

11 10423

*mi...*

JÓZEF KREMER.

# PODRÓŻ DO WŁOCH.

Z DRZEWORYTAMI.



TOM I.

Droga z Krakowa do Tryestu. — Opisanie Weneeyi.



WARSZAWA.

NAKLAD I DRUK S. LEWENTALA.

Nowy-Świat, Nr 39.

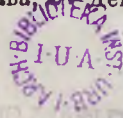
1878.

PODRYÓZ DO WŁOCH



Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Декабря 1877 года.



WYDAWCA: KSIĘGARNIA  
WARSZAWA, ul. Krakowska 10



11.474

WARSZAWA

11.177/56/53

BZ08PK/016-06

# PODRÓŻ DO WŁOCH.

## PRZEDMOWA. (\*)

Składając obecnie pod sąd życzliwych czytelników tom *piąty* i ostatni mojej „*Podróży do Włoch*“ (\*\*) pragnę przywieść jeszcze w pamięć cel a zadanie tej całej wieloletniej pracy; bo tym trybem zapewne wytłómaczę się najjaśniej z postępowania mojego w tomie niniejszym.

Jakoż zaraz na wstępie do „*Podróży*“, dopełniając powinności mojej, otwarcie wyznałem, że nie mam bynajmniej zamiaru opisanja Włoch, ani nawet skreślenia przewodnika, coby zwracał uwagę na wszystkie piękne i ważne przedmioty Italskiego półwyspu. Oswiadczyłem, jako sobie jedynie życzę obeznać młodszych czytelników z historią sztuki, zwłaszcza z dziejami architektury, rzeźby i malarstwa, wyświecając ich rozwój na ważniejszych pomnikach i dziełach artystycznych istniejących we Włoszech — wyraziłem przytem, iż w tej mierze będę miał zarówno na względzie sztukę starożytną (grecką i rzymską) jak i artyzm, który się rozwinął w chrześcijańskich wiekach na italskiej ziemi.

Czytelnik życzliwy przyzna, iż zadanie takowe nie ustępowało nigdy z myśli mojej wśród tej całej pracy i nadało jej cechę właściwą. Jakoż naprzód w każdym włoskiem mieście, które odwiedzałem z czytelnikiem, ograniczałem się do opisów skromnej liczby zabytków i artystycznych dzieł, przedstawiających atoli dokładnie styl sobie właściwy i charakter epoki, w której powstały. Następnie, idąc ściśle za tym celem sobie wytkniętym, nie wspominałem czytelnikowi bynajmniej o wszystkich miastach, które rzeczywiście

(\*) Przedmowę niniejszą Kremer dołączył do *ostatniego* tomu *Podróży do Włoch*. Podajemy ją jednak w obecnem wydaniu już w tomie *pierwszym*, jako wstęp do całego dzieła, objaśniający dokładnie cele i zamiary autora. — St.

(\*\*) Pierwsze wydanie *Podróży do Włoch* wyszło w Wilnie u Zawadzkiego w pięciu tomach. T. I r. 1859. T. II r. 1860. T. III i IV r. 1861. T. V, część pierwsza r. 1863, część druga r. 1864. — St.



w „Podróży“ mojej poznałem, ale przedstawiałem na tych kilku ale najważniejszych stolicach, których pomniki i dzieła sztuki nawzajem się uzupełniają i wyjaśniając, wystarczały, by złożyć całość i obraz dziejów sztuki, który, choć ogólny, odpowiada atoli mojemu założeniu.

Ta powyżej wymieniona potrzeba przedstawiania na nie wielkiej ilości przedmiotów stała się jeszcze konieczniejszą a wymagającą jeszcze więcej zrzeczenia się siebie — gdy mi przychodziło w niniejszym tomie skreślić zabytki wieczystego miasta. W tej albowiem stolicy dwóch olbrzymich epok świata przedmioty wysokiego znaczenia a wspaniałego majestatu otaczają wędrowca tak odurzającym tłumem, iż mu się trudno zrazu upamiętać a nawrócić do siebie. Przecież, mając na troskliwej baczności zamiar tej książki, opisuję w Rzymie jedynie zabytki, będące unikatem na całej ziemi, i takowe których poznanie jest potrzebne dla uzupełnienia sobie naszych poprzednich wiadomości o sztuce i jej dziejach.

Tak się działo, iż w mojej pielgrzymce po Rzymie zwróciłem jedynie pełną uwagę na przedmioty następujące.

Rozpocząłem przedewszystkiē od ruin starożytnego Rzymu. Bo przecież to jego kultura i sztuka stała się ważnym czynnikiem cywilizacji i arcyzmu nowożytnych czasów. Zabytki i gruzy pompejańskie, które w tomie przeszłym były osnową naszych uwag, są zaiste tylko wstępem przygotowawczym do spuścizny, czekającej wędrowca w nieśmiertelnym grodzie. Ztąd też zwaliska dawnego Rzymu, zwłaszcza objęte wewnątrz jego starożytnych murów, zajmują pierwszą a nierównie obszerniejszą część naszych obchodów po wieczystem mieście.

Drugą część poświęcam „kościółom i muzeom rzymskim“.

Tutaj przeto staje z razu na pierwszym tle kościół św. Piotra, będący najwspanialszym Bożym przybytkiem w całym świecie chrześcijańskim, a dziełem architektonicznē najwyższego znaczenia.

Następnie odprawwszy dłuższe pielgrzymki do najstarszych rzymskich bazylik, skreślam krótkim pobieżnym zarysem dzieje architektury w Rzymie w wiekach średnich i nowoczesnych.

Z kolei odwiedzam katakumby, owe święte tajemnicze podziemia, będące kolebką naszej wiary a zarazem zawiązkiem rzeźby i malarstwa pierwotnych chrześcijan.

Gdy w katakumbach Rzymu zabłysły pierwsze iskry chrześcijańskiego arcyzmu, w tym samym Rzymie chrześcijańska sztuka zapłonęła najwyższą chwałą w geniuszu Rafaela Sanzio z Urbinu — reju szkoły rzymskiej. Mistrz ten i dzieła jego stają się więc treścią obszerniejszych rozpraw naszych.

Oddawszy hołdy Rafaelowi wstępujemy do kaplicy Syktyńskiej Watykanu, w której Michał Anioł Buonarrotti na podziw wszystkim pokoleniom roztoczył pierwsze dzieje ludzkości, — postacie proroków i sybill — i Sąd ostateczny.

Na uzupełnienie naszych rozpraw o sztuce chrześcijańskiej wspominamy jeszcze o niektórych najważniejszych obrazach, przechowanych w Rzymie, i o kilku znakomitych mistrzach sztuki.

Kończąc zaś już całą naszą *Podróż*, odprawiamy wędrowki po zbiorach papieżkich i prywatnych, kędy przechowane nieprzebrany światem cuda starożytniej skulptury. W tych muzeach napotykamy imiona jakimś jest Myron, Fidias, Polyklet, Skopas, Praxiteles, Lysippus i te wszystkie wielkie chwały, których dłuta tak potężnie przyczyniły się do uzacnienia naszego rodu.

Tak więc stawiam przed oczy czytelnika wielkie pomniki Romy, które w połączeniu z dziełami sztuki, rozebranemi w poprzednich tomach, składają całość, wystarczają dla naszego zamiaru.

Atoli już dawniej zwróciłem uwagę naszą, iż nam koniecznie wypadnie dodać jeszcze do tej „*Podróży*“ wskazówkę, ułatwiającą czytelnikowi dopatrzenia się ładu dziejowego w zabytkach artystycznych, przez nas oglądanych.

Wszak zamierzaliśmy w całej tej „*Podróży*“ naszej uwidocznic na dziełach sztuki historyczny rozwój arcyzmu, więc jego epoki i okresy w kolei jak po sobie następowały w czasie. Jednak — „*Podróż*“ nasza właśnie dla tego, że jest podróżą, nie zdoła nam przedstawić zabytków sztuki w takowej pożądanej kolei dziejowej. Bo w czasie naszego pobytu w jakimś mieście, lub w jakimś muzeum, możemy się jedynie zajmować temi dziełami, które nam dostarcza właśnie to miasto lub muzeum nam obecne — a co więcej, zajmować się niemi tylko koleją, którą nam następuje sama miejscowość, więc często bez żadnego względu na ich następstwo historyczne.

Tak się więc niekiedy dzieje, że zabytki, należące do późniejszego jakiego okresu, opisujemy wcześniej i na odwrót, iż zabytki wcześniejsze opisujemy po dziełach późniejszej epoki. Co więcej! Często dzieła zrodzone we dwóch zupełnie różnych czasach, lecz znajdujące się w jednym i tym samym miejscu stają się osnową naszych uwag współczesnych — gdy przeciwnie znowu dzieła jednego i tego samego okresu, lecz przechowane w różnych muzeach, a nawet po różnych miastach bywały przez nas opisane w oddalonych od siebie ustępach a nawet w różnych tomach naszej *Podróży*. Ztąd też wynikało, że charakterystyka ogólna jednej i tej samej epoki artystycznej bywa niekiedy rozrzucona po różnych miejscach dzieła naszego.

Gdym dawniej zwrócił uwagę na trudności takowe, orzekłem, że łatwo je sprostować zdołamy, dodając do końca *Podróży* naszej choćby najogólniejszy szkic historyczny arcyzmu, zwłaszcza byłem przekonany, iż najwięcej przydatnym będzie zarys sztuki starożytnej; bo sądziłem — jak mniemam słusznie, iż pogląd czytelnika na rozwój chrześcijańskiego arcyzmu we Włoszech już nie mało ułatwiony był w samej *Podróży* naszej. Jakoż wśród niej, gdzie wypadalo, przypominałem już w porządku epok dzieła nowoczesnej architektury przez nas uprzednio widziane, a mówiąc o mistrzach nowożytnego



malarstwa w głównych jego ogniskach (w Wenecyi, Medyolanie, Neapolu i Rzymie) trzymałem się historycznego następstwa; nakoniec skreśliłem już zarys dziejów wszystkich trzech rodzajów sztuki w Toskanii, zatęm historią artyzmu tęj krainy tak zamożną w twórczą fantazją i we wielkich mistrzów. Lubo zapewne takowe postępowanie nasze jest jak mniemam nie małą pomocą dla czytelników do uchwycenia kolei dziejowej sztuki nowoczesnej, przecięz rozumiem, że im się przysłużyć zdołam, gdy uzupełnię pierwotny zamiar mój, to jest, gdy jeszcze dodam do niniejszego tomu zarys sztuki nowoczesnej na ziemi italskiej, choćby ten obraz był wielce i ogólny i nader skrócony w porównaniu do bogactwa swojej osnowy. Tym trybem albowiem złoży nam się w zarys całość historii sztuki, będącej przeważnym przedmiotem tęj całej *Podróży*.

Aby zaś szkic takowy wystarczył celowi naszemu, oznaczam wszystkie najgłówniejsze epoki artystyczne w ich następstwie dziejowém — skreślam choć ogólnie ich cechy i styl im właściwy — przytaczając zarazem miejsca w *Podróży*, w których każda z tych epok była scharakteryzowana; — podobnie przy każdej epoce przypominam tęj najcenniejszych mistrzów i przedstawców — nadewszystko przytaczam dzieła do nięj się odnoszące, a przez nas w czasie *Podróży* w różnych miejscach oglądane; wskazuję zarazem stronicę w dziele, określając bliżęj charakter mistrzów lub dzieł przytoczonych.

Rozumiem przeto, jako zarys takowy nie tylko jest streszczeniem (niby rekapitulacją) całej naszej *Podróży* i wszystkich pięciu tęj tomów, ale stanie za przypomnienie tęj głównej osnowy, a to już w sposób chronologiczny, historyczny.

Ufam więc, iż cała ta praca moja, używająca pełnej swobody i wszystkich korzyści, które tęj nastęrcza forma *Podróży*, jeszcze przez dodanie do niniejszego tomu owych zarysów odpowie zarazem głównemu celowi a zadaniu swojemu.

Z tego tęz powodu oprócz spisu ilustracyj wedle kolei, którą są umieszczone w *Podróży*, podałem ich spis drugi, w którym uporządkowane są wedle epok i okresów sztuki.

Podobnie w końcu tomu niniejszego czytelnik znajdzie **poczet alfabetyczny** artystów, tak starożytnych jak nowoczesnych, wspomnianych we wszystkich pięciu tomach tęgo dzieła z przytoczeniem stronic, na których o każdym z nich była mowa. Nadto przy każdym mistrzu ważniejszym dodaję najpotrzebniejsze o nim wiadomości.

Ofiarując teraz całą tę pracę życzliwej publiczności, pragnę, aby korzyść, którą z nięj odniosą młodszy czytelnicy, odpowiadała choć w części uczciwej woli i wytrwałości mojęj.

Jakie myśli i uczucia, obawy i nadzieje mnie przenikają w chwili, gdy się rozstaję z tą wieloletnią pracą, o tęp prawie w końcu tęj *Podróży* naszej, żegnając się w obec Rzymu z cnym czytelnikiem moim.

Tutaj atoli niechaj mi wolno będzie dopełnić ścisłej i sumiennej powinności i oświadczyć najszczerze podziękowanie mojemu szanownemu wydawcy panu Adamowi Zawadzkiemu, którego firma nie litowała ani trudu, ani żadnych starań, ani wielce znacznych ofiar w wydawaniu tej książki — pragnąc aby się stać mogła i najużyteczniejszą a przystępną dla czytelników naszych (\*).

Kraków w Listopadzie, 1862.

---

(\*) Jak zaś znaczne były ofiary Firmy Zawadzkich, lożone na tę książkę, widać z tego, iż koszt wykonania drzeworytów z rysowaniem ich na drzewie, tudzież z freską do tomu IV-go i Sądu Ostatecznego Michała Anioła do tomu V-go, wynosiły górą złp. 10,000.





Z Krakowa do Wiednia.

Był to ranek letni, przeczysty i pogodny; natura do koła tak sobie była rada w tym stroju swoim zielonym, że pełna uciechy umizgała się do niebiańskiego błękitu, co ją też nawzajem bawił, składając jej z lekkich różowych obłoczków dziwne kształty, postaci magiczne, i znów je rozwiewając, z kolei sadił się na nowe koncepcje a coraz to wymyślniejsze figury i obrazki.

Póki nasz pociąg jeszcze okrążał łukiem miejskie obejście, póty wśród hałaśnego gwaru i turkotu dolatywał głos któregoś z dzwonnów krakowskich. A głosy dzwonnów — to nielada muzyka! Te głosy — to niewidzialne czarodziejskie nitki, co nas wiążą z miastem ojczystym. Schiller onej cudnej pieśni swojej „o Dzwonie“ dodał godło: „*Vivos voco. Mortuos plango. Fulgura frango*“. A cóż dopiero dzwony rodzinnego miasta, gdy się z niego wyprawiamy na czas przydłuższy! Ulisses marzył niegdyś z miłością o dymach z chat ojczystych, bo on nie znał dzwonnów, co prawią miedzianemi usty o życiu krajów, o życiu ludzi i o różnych ich kolejach. Wszak trzema tysiącami lat później, Napoleon, jak mówią, słysząc dzwony, wzywające na wieczorne nabożeństwo, zatrzymał się w przechadzce samotnej — stanął i rozrzewnił się do dna duszy swojej; bo mu te dźwięki zagrały całym światem wspomnień z dziecięcych lat. Mówią też, że owe wspomnienia, w duchu jego wywołane, miały mu poddać myśl o konkordacie ze Stolicą Apostolską. Czyli się rzecz iście tak ma, nie wiedzieć z pewnością; to jednak niewątpliwa, że skoro mąż, jak Napoleon, który dosłyszał zegaru historii, co wybija, jakby godziny, wielkie epoki w dziejach świata, mógł jeszcze być poruszony głosem dzwonu, będącego dziełem marnych rąk śmiertelnego człowieka — tém więcej zrozumieć można, że nam, ludziom powszednim, tak się dziwnie serce rozbiera na tony dzwonnów domowego grodu. Te ich wołania, to niby uczucia pokoleń wszystkich, co przepłynęły długim następstwem wieków: te tony nietylko głoszą ludziom Boże i ziemskie sprawy, lecz one nawet tak się splotły z życiem, tak prze-



jęły duszę każdego z nas, jako to powietrze ojcyste, jak tchy naszych borow i powiewy naszych łąk.

Podobnie tedy jak wszystkim się zwykle dzieje, tak i mnie się stało, gdy pędem pary oddalałem się od rodzinnego gniazda. Ów głos, dolatujący z wieżyczki ubocznego kościółka, choć tak skromny, wskrzesił w pamięci tony wszystkich innych dzwonów, znanych nam od dawnych, od bardzo dawnych lat. Zdawało się, jakoby te wie-szcze spiżowe, to zlewały dźwięki swoje w jeden wspólny akord; to znów, jakoby każdy grając z osobna, z kolei budziły w sercu wspomnienia rzewne, a treść przeszłości całej. Bo wiecie dobrze, że głosy dzwonów krakowskich tak zestroiły się do kamertonu serc naszych, iż każdy z nich, gdy przemówi, już obudzi w głębiach piersi wtorującą im strunę. W tych dźwiękach napowietrznych słyszymy jakby symbolikę naszego żywota i wszystkich kolei jego.

Ów ton tak przeciągły, głęboki, a przecież tak rzewny, towarzyszył ci, gdyś szedł za trumną ojca lub przyjaciela od serca: tamten wołał za dziecięcych lat i jakby gromił i burezał, gdy nam jakoś nieradno było zabrać się do książek; ten znowu zwierzyńiecki, od wielu lat pęknięty, pod wieczór klekotem suchym, jakby drewnianym, lecz bolejącym i przenikliwym, przypomina pacierze za utonionych w Wiśle; ów znowu głosi święta radośne miastu, bo w nocy wigilii Bożego Narodzenia zwołuje na mszę pasterską, lub na Wielkanocną rezurekcyą Pańską. Więc też zmartwychwstają radośne obrazy, lubę, serdeczne wspomnienia z porannej młodości życia naszego. Inny zaś przywodzi dźwiękiem swoim one noce długie, nieprzeczekane, gdyś czuwał u łóża drogiego ci człowieka, licząc tchy umierającego i straszące miejskiego zegaru uderzenia. I znowu inny, ów okropny dzwon złowrogi, co z wysokości wieży Maryackiej do dna przeraża duszę, krzycząc na miasto, że demon pożaru stanął wśród spokojnych mieszkań ludzkich, — jego to wołanie straszliwe mieszało się z chmurami czarnych dymów i z morzem płomienistém, ze słupcami ogniów, gdy gorzały domy, ulice, pałace, rynki i kościoły krakowskie. A dymy te, urosłszy w olbrzymów potwornych, kroczą po mieście, głowy chowając w obłoki, to znowu się tarzają po ziemi i wiją się i gramolą, jakby węże stugłowne, pieklów wysłańce. Ten dzwon jęczał jakby w mękach, gdy promienne słońce lipcowe, patrząc przez pożogę, świeciło niby bładą księżycową poświatą; i wołał dzwon ratunku, gdy noc zapadła, gdy one dymne widma potworne paliły się krwawym płomieniem, a dźwigając się po nad wieże, po nad jęki ich dzwonów, chodzili w tryumfach po walącym się grodzie naszym; te widma potrasały pochodnie, miecąc pożogę pod obłoki. Więc pytasz, czyli się roje nowych światów zapaliły na niebie? czy to głównie lecające, czy może gwiazdy co się gonią wśród chmur ciemnych i czerwonych? Już pożar przetrzymał rozpaczliwe wołania dzwonu, pożar rozlুকany szaleje, a dzwon oniemiał: oniemieli ludzie i patrzą w osłupieniu na własnego nieszczęścia mają-



stat! I patrzę na strzaskane sprzęty, długoletnie świadki domowych losów rodzinnych, na wizerunki ojców, matek swoich, co teraz porozstawiane niby śmieci po ulicy błotnistej. I nie wierzę swoim zmysłom, co im mającą jakby gorączkowym, złowrogim snem!

Słuchaj teraz brzmia inne tony; brzmia pełne, głębokie akordy, niby archaniołów arfy, i płyną harmonie po morzu powietrznem i bije nad miastem powódź tonów wspaniałą falą, śpiewając żywym i umarłym, — niby to chóry milionów, co przebolewały już żywot ziemski, którym nie dojmie już doczesne cierpienie — to Zygmunt stary! To dzwon nad wszystkie dzwony; na jego wołanie tak wdzięczno, uroczysto i świątecznie ci w duszy a spokojnie w sercu; te tony — to z innych światów muzyka; one goją i koją co w sercu tęskni i boli; na głos Zygmunta i ochoty weselne, gwarne, poważniejszą, a maleje, biednieje, co w chwili, co ziemską boleścią zrodzone.

Otóż takowe uczucia, wspomnienia i obrazy przelatywały poprzez duszę moją, gdy dźwięki jednego z krakowskich dzwonów, jakby na ostatnie pożegnanie doścignęły nas wśród wartkiego pędu a turkotu na kolei żelaznej: te tony, jakby szybkością błyskawicy, przywiodły na myśl one wszystkie niegdyś przebyte, to jasne, to posępne, to radośne, to ciemne sceny żywota naszego. Bo, jak dobrze wiecie, gdy dusza w napięciu, potrzeba tylko lekkiego potrącenia, a już na dnie istoty naszej ożyją wszystkie postaci, wszystkie obrazy niby dawno wygasłe, dawno ogłuchłe, i wszystkie staną przed duszą w barwach świeżych, w wizerunkach wydatnych, jak gdyby się działy w żywej obecności naszej. Pożegnaj się z rodzinną strzechą, z krajem twoim, a długo jeszcze będziesz patrzył na świat sercem wstecz zwróconem, i obaczysz całą przeszłość za sobą zostawioną, wszystką obecność, co się wplotła w życie i w duszę twoją.

Już minęły linie łagodne, faliste i tak wdzięczne góry świętej Bronisławy, i mogiły i gaje i lasy u jej stóp rozesłane; minęły łąki i role, potoki, wioski i dworki, i dwory i kościoły sielskie, i już przesunął się cały ten świat domaszny, każdemu z nas z przechadzek dalszych tak dobrze znany. Wtedy już widoki coraz mniej poufałe, coraz to więcej obce, cudze, zbliżały się i przemykały pędem. Więc teraz już, Bogu polecając i dom i swoich i miasto i kraj, mogłem jakoś upamiętać się chłodem; i zostałem sam na sam z myślami moimi.

Wiemy jednak wszyscy, jak to zwykle z nami bywa! Choćbyś już najpilniej u siebie rozważył zamiar jakiegś dalszej podróży, przecież znowu i znowu nawracać będziesz myślą na cel, który cię ma uprowadzić w dalekie strony. A to tem częściej będziesz rozbierał te ochoty twoje, im ci trudniej przyjdzie odstać od powszednich trybów życia i porzucić na czas przydłuższy te swojskie a ciche kąty domowe. A może czytelnicy moi i tego doświadczyliście na sobie, że to właśnie w pierwszych chwilach już rozpoczętej podróży zwykle najrzadziej rozpatrujemy się raz jeszcze w zamiarach, których doko-



nać chcemy tą wycieczką naszą, a dzieje się to, jak myślę, z tej przyczyny, że w chwilach takowych z jednej strony nie wabi nas jeszcze świat nowy, ciekawy, a z drugiej strony już jakoś są ukołysane uczucia, które zakipiały w nas przy pożegnaniu się ze swojemi i z domową strzechą i z krajem rodzinnym; a nadto, rozpoczynając już drogę, widzimy jak ta podróż, która dopiero niedawno była pomysłem, stała się naprawdę rzeczywistością.

Zrozumie tedy czytelnik życzliwy, że i u mnie podobnie się zdarzyło. Jakoż, w pierwszych godzinach oddalenia się od Krakowa, gdy mnie już odbiegły ojczyste strony, spoufalone od pierwszej młodości mojej; gdy już daleko za mną zostały owe cudne natury dekoracye, co obstały w koło dziejowy dramat starego naszego grodu; gdy już wieżycy i kościoły krakowskie utonęły gdzieś w dalekiem morzu powietrznem: wtedy przeprowadziłem przed oczy, niby na przegląd, te wszystkie życzenia moje, które ziścić pragnąłem w tej podróży mojej, i uobecniłem sobie wszelkie cele, których w niej dosięgnąć zamierzyłem.

Ufam, czytelniku mój, że nie policzysz mi za jakąś próznostkę natrętną, jeżeli ci szczerze wypowiem wszystko, com sobie wtedy roił i marzył; myślę, że nawet zeznania takowe będą ci na rękę. Bo, choć prawda, że każdemu wolno jeździć kędy i jak mu się podoba, toć przecież, jeżeli się zabiera do opisanja drogi swojej, już każdy czytelnik słusznie się zapyta, mówiąc: „powiedz, po coś jeździł, abym mógł wiedzieć, czyli twój opis pojdzie mi w smak i rym, abym mógł ocenić, czyli ci się pisanie twoje udało“. Dla tego, czytelniku mój, zapraszam cię w myśli z sobą do wagonu i zwierzę ci się ze wszystkich zamiarów, które mnie wiodły do Włoch, a dopełnię tego tём chętniej, że w tych pierwszych chwilach drogi mojej już miałem zamysł pisanja tej książki. Tak więc już wtedy miałem przed oczyma czytelnika, jakby obecnego sobie, i prawiłem mu w myśli o rodzaju opisu tej wycieczki mojej. Otóż, chcąc być zupełnie szczerym, nietylko przytoczę czytelnikowi łaskawemu te cele podróży mojej, które mają jakieś znaczenie ogólne, a więc odnoszą się do publiczności, lecz wypowiadam się nawet i z takowych, które są li osobiste i mnie samego się tyczą. Myślę albowiem, że jeżeli w rozbiarach ściśle naukowych pisarz winien roztoczyć sam przedmiot swój, a nie występować bynajmniej z osobistemi chętkami, uczuciami swojemi, tedy przeciwnie ze samej istoty opisu podróży wypływa, że tam, krom rzeczy, koniecznie widać autora z całym osobistym usposobieniem jego.

Zaczynam przeto owe wyznania moje!

Któż z nas nie zna pana Longina Siekierzynskiego, Skarbnikowicza Czerskiego, z którym nas niedawno zaprzyjaźnił Kraszewski (\*).

(\*) Zob. *Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego*, tom XXXI: *Ostatni z Siekierzynskich*. — St.

Pamiętamy wszyscy, jak to zacnego pana Longina co rano witał grzyb ogromny, który z kilku mniejszemi w ocienionym kątku pokaju przez noc wyrastał i jak to biedny skarbnikowicz, skoro tylko ujrzał grzyba, leciał i dusił go nogą z całej siły, rozrzucając starannie szczątki nieprzyjaciela. Lecz wiecie także, że uparty grzyb, choć stokroć gnieciony, zawsze się pojawiał, i że ta walka skarbnikowicza z owym grzybem rozpoczynała się dzień każdy, bo przez każdą noc ten wróg jego tak się uwinął, że co rano musiał powiedzieć gospodarzowi szyderskie „dzień dobry“.

Otoż, widzicie, ja mniemam, że każdy człek, poki żyw, jest takim biednym Siekierzyńskim. Bo, jak świat długi i szeroki, nie ma zaiste nikogo, choćby i najszcześniejszego, coby mu dzień w dzień nie wyrastał w życiu jakiś grzyb, lub przynajmniej jakiś grzybek mały, a to w kształcie jakiegoś kłopotu lub kłopotku, biedy lub biedki drobnej. Lubo prawda, że nam nie zawsze tak łatwo, jak panu Longinowi, zgnieść tych gości natrętnych!

Cóż wtedy w tém osobliwego, że każdy radby, choć od czasu do czasu, uwolnić się od tych codziennych fechtunków z życiem i ze światem. Nie ma tedy i dziwoty żadnej, że i ja zapragnąłem pofolgować sobie na chwilę i ochłonać troszkę z pracy a codziennego trudu. I to jest pierwsza przyczyna, która mnie wiedzie w dal.

Domyślam się atoli, że każdy z nas chętnie przyzna, iż samo usuwanie się z pod biedek powszednich jeszcze w tym względzie nie wystarczy, bo takowe jest tylko istną negacyą. A wiecie dobrze, że sama goła negacya, sama potęga ujemna, nigdy i nigdzie jeszcze na nie się nie zdała; aby złe uleczyć, trzeba koniecznie jeszcze pierwiastków budujących i twierdzących, dodatnych. Więc zgodzicie się ze mną, że nie tylko wypada oswobodzić się od stosunków ciasnych, dusznych, ale potrzeba na miejsce ich przeniknąć się jeszcze treścią wielką a głęboką, tudzież napelnić duszę stosunkami na wielką, na ogromną stopę. A czyliż jest na całej ziemskiej kulicy kraj, coby w tej mierze sprostał ziemiom włoskim! W nich przejmują myśl wędrowca powiewy dziejorodne świata. Zaiste, jak lud każdy, co ciężko napracował się z historią, co twardą walką zdobywał wśród wielu stuleciów chorągwie zwyciężkie i dosługiwał się wieńców chwały, rad zawiesza te wieńce swoje i zatyka sztandary w świątynicy bóstwa swojego; tak dla dziejów całego ludzkiego rodu, dla wszystkiej jego chwały i zasługi podobną świątynią, podobnym przybytkiem są — Włochy.

Wszak owe prawdy, których się historia powszechna dobiła w latach tysiącznych, owe, że tak rzeknę, potęgi wiekuiste, które ona krwawym trudem wyważyła z głębin ducha ludzkiego, łączą się to dalszém, to bliższém przymierzem z włoskim półwyspem, więc zostały oznaki swoich tryumfów na tej ziemi wybranej, co jest trzech części świata sąsiadą. Na niej to dzieje stare, na niej baję pradziadowe, pierwsze zawiązki kultury i historia nowa i stulecia średnie





odprawiły żywot swój; tutaj sileniem lat tysięcy wykluwała się największa część owych wielkich wypadków, co nadawały zwrot ludzkim myślom i jej rozwojom; tu rodził się ów długi szereg wielkich mężów, owych olbrzymich postaci, co, jakby wyobraźniki a wysłańce mocy historycznych, stanęły w galerii ludzkich dziejów. Dla tego też zaiste sama natura, owa tak chętna duchów służebnica, całym wdziękiem, całym urokiem najwyższym ustroiła, uposażyła tę ziemię, czyniąc ją znacną widownią dla dramatów historii. Czyliż więc dziwno, że skurczą się w drobiazgi owe małe troski życia, gdy odetchniesz tutaj pełnemi piersiami tym powietrzem, którym same ludzkie dzieje oddychały. Tutaj zaprawdę rozpląną w nicestwie owe powszednie życia zabiegi obok rozmiarów olbrzymich, któremi historia wymierza trudy i pańszczyznę rodowi ludzkiemu. Tutaj na tej ziemi italskiej, w obec spraw Bożych, w oboch ważących się losów świata, serce wędrowca wznosi się, rośnie, bo przeczuwa zadanie duchów stworzonych, a tak się dźwignie nad te mgliste, mroczne, codzienne poniża, że się już brata z tém, co wielkie, co święte — a to co drobne, maluchne, gdzieś pod sobą w głębi zostawia. Wtedy duch człowieka, uznając, że z dzielnicy nadzmysłowej rodem, zmiata z siebie ślady doczesności ziemskiej. W takich to chwilach maleje życie tuteczne i pierzchają mgłą wszystkie troski i wszystkie biedy światowe.

Tak przeto od wielu, od bardzo wielu lat Włochy nęciły mnie ku sobie, ku tamtym stronom zwracając chęci moje i serdeczne życzenia. Więc w chwilach, gdy trud i mozoly powszednie życia, zachody i prace zużyły i trawiły siły, wtedy, w tych szaroburzych chwilach, zapalałem sobie na pociechę niby świeczkę w duszy, samemu sobie przyrzekając, że się wyprawie kiedyś do Włoch. W tych obietnicach, sobie samemu czynionych, byłem niejako podobnym do onego dziwaka, co go wymyślił ów genialny *Hoffman* szalonej pamięci (\*). Ów dziwak, o którym on prawi, choć już był starszym siwym, tak lubił marzyć o latach pacholących swoich i o tych ich pociechach i radościach, że, ile razy był zadowolniony z siebie, sam sobie obiecywał w nagrodę niespodzianki jakieś. Więc w wigilię imienin swoich skupował sam sobie, niby bez wiedzy własnej, jakieś cacka, obrazki, złociste jabłuszka, jasełka i bawidelka, a to wszystko rozkładał wieczorem na stole i obstawiał stoczkami, niby zupełnie w sposób, jak to ongi przed wielu, wielu laty czyniła dla niego matka jego. A gdy nazajutrz wstał i obaczył te wiązania i obrazki, jasełka i jabłuszka złote, już nie było końca radości i pociechy jego.

(\*) Ma tutaj Kremer na myśli znanego niemieckiego poety, kompozytora i rysownika *Ernesta Hoffmana*, ur. w Królewcu 1776 r., † w Berlinie 1822. Pisma jego, pełne dowcipu i bujnej fantazyi, na nowo wydane zostały w r. 1871. W latach 1802 do 1806 Hoffman przebywał za rządów pruskich w Płocku i Warszawie. — St.

Podobnie i ja sobie czyniłem, obiecując odbyć tę podróż włoską. Choć, po prawdzie mówiąc, owe jabłuszka złociste, które wędrowca na owę włoskiej ziemi czekają, są to istne hesperyjskie jabłka życia naszego, które, wedle starego greckiego mytu, strzeżone są przez „troski trudu pełne, owe siostry ponure, co je zrodziła ciemna noc, a zrodziła je bez małżonka, bez miłości“. Jakoż te jabłka złote zdobył Herkules długim szeregiem niesłychanych prac, znojem krwawym i poświęceniem bez granic. A nie lada też są owe obrazki i bawidelka, które Italia dla wędrowca przechowuje, boć to są dzieła piękności, bo to są arcydzieła wielkich mistrzów w sztuce!

Więc też mnie, jak każdego innego, nęciły ku sobie Włochy i tameczne sztuki pięknej cuda, bo kogoż one nie urzekną lubém czarodziejstwem swoim! One, jak wyleczają umysł życiem codziennym zboląły, tak promieniem wdzięków swoich rozświecają, ogrzewają uczucia nadziemską jasnością, uprowadzając je z cklivej tutecznej doliny w świat radości przeczystych.

Bo przecież „człowiek nie tylko samym chlebem żyje!“ jest jeszcze inny chleb — chleb idealny, co umaczany w winie niebiańskiej poezyi wzmacnia siły duchowe, by dotrwały do ostatka, a gdy pożyjesz chleb ten, już się zwiążesz przymierzem z tém, co zacne i wielkie, i pogodzisz się ze światem i z życiem i z sobą.

Zaiste! we Włoszech możesz odświeżyć, odkąpać duszę widokiem dzieł arcy-mistrzów cyrkla, dłuta i pędzla. Italia jest piękności obiecaną ziemią, w niej zebrane, jakby w muzeum a galeryi, pomniki a zadatki najważniejszych okresów sztuki. Tam w rozwaleniu, krzewem i zieleń porośla, wdzięczy się architektura grecka, tak pełna uroku i cichej harmonii; tam patrzy na wędrowca owo harde, pełne grozy a wzniosłego majestatu budowanie starego Rzymu. Na ziemi italskiej artystyczny Hellenów duch skamieniał nieprzeliczoną ludnością rzeźbionych postaci, które, rodząc się w przeróżnych okresach rozwijającej się, kwitnącej i umierającej sztuki, jakby przez usta marmurowe opowiadają nam całą historję i wszystkie epoki klassycznej skulptury. I znowu owe obrazy malowane, owe mozaiki i wazy, przechowane w miastach i grobowcach zapadłych, ziemią i popiołem zasypanych, lawą niby wiekiem trumny przywalonych, uczą nas czém było malarstwo w starożytnym, klassycznym świecie.

Lecz skoro już na włoskiej ziemi nauczyć się możesz, jak się rodziła, żyła i umierała starożytnych mistrzów twórcza fantazya, témci więcej tam na pomnikach czasów chrześcijańskich zrozumieć zdołasz, czém była sztuka w stuleciach w Chrystusie wychrzczonych. Tam na żywe oczy widzisz, jak budowania staro-rzymskie zwolna przeistaczają się na przybytki Boże, jak na zuchwałych zwaliskach pogańskiego przepychu wyrasta architektura domów Zbawiciela, jak ona, nabierając własnego tętna i własnego oddechu, staje się osobną, nową, nigdy dawniej niewidzianą sztuką. Tak architektura odbywa



we Włoszech przemienienia swoje. Tutaj snuje się nic duchowa fantazyi artystycznej przez pokolenia wszystkie i przez stulecia wszystkie, a bylebyś dojrzał tej nici, niby tajemniczej duchów przędzdy, a obaczysz jak to z siebie następnie się zmienacka rozdziły wszystkie architektoniczne formy i style chrześcijańskich ludów.

Wiecie też, że gdy nastąpiła godzina, już ona wskrzesiła we Włoszech sztukę, co rosła i rozwijała się pięknnością pod wodzą znacznych mistrzów, aż się nie stała przedmiotem tytanicznej miłości Michała-Anioła, onego arcy-mistrza Włoch; ona wtedy, wzmógłszy się kochaniem jego w ducho-władną moc, zatrzęsała do dna sercem człowieka.

Lecz jeżeli architektura, jeżeli rzeźba czasów chrześcijańskich tak świetnie promieni się na ziemi italskiej pomnikami zacnemi, co dopiero rzecz o sztuce malowania? Ona, obrawszy sobie we Włoszech ojcowiznę swoją, roz tuliła się tutaj pięknnością jak już nigdzie w żadnym narodzie, jak już nigdy w żadnym dziejowym okresie. Bo powiedzcie, czyli wszystkie inne ludy europejskie razem wzięte, w całym długim pasmie swojego żywota, zdobyły się na tak wielką liczbę tak wielkich geniuszów w malarstwie, jak ta jedna ziemia italska! A malarstwo jest sztuką chrześcijańską, a malarstwo włoskie zrodziło się i rozwinęło o własnej mocy i potędze. Bo gdy architektura i rzeźba ludów nowożytnych, w pierwotnych zaczątkach swoich, oparły się na wzorach klasycznych, póki nabrawszy własnego polotu fantazyi, nie zrodziły, zwłaszcza w budownictwie, nowych i odrębnych stylów; przeciwnie, malarstwo urosło i wzmogło się we Włoszech prawie bez wzorów i przykładów, spuścizną ze świata klasycznego przekazanych. Wiecie, jak to włoskie malarstwo rozkwitło w różnych odrębnych szkołach, z których każda zaploneła właściwą sobie dążnością, właściwą zaletą, a przecież one wszystkie, nawzajem się uzupełniając, złożyły jedną wielką całość, jedną wielką sztuki wszechnicę, mając za wspólne serce swoje pięknność najwyższą z bezśmiertnych światów zrodzoną. I dotychczas, po świątnicach Pańskich, po pałacach, po przybytkach sztuki promieniają pięknnością te dzieła malowane i patrzą na nie pokolenia późne, a podziwienie przejmują je dreszczem, gdy widzą jak przed ich oczyma, przed ich zmysłami, a w żywej obecności na doczesnym jawie, owe tajemnicze ducha wróżby, co były przy stworzeniu wszech-rzeczy w serce człowieka włożone, przybierają na siebie formy cielesne, stając się pięknnością. I oddają późne pokolenia holdy geniuszowi ludzkemu, i składają dziękczynienia nadniebnemu Siewcy, co posiał te gwiazdy ludzkie wśród śmiertelnego świata.

Zważ zatem, jeżeli w tych Włoszech szczęśliwych nauczyć się możesz, czem architektura, rzeźba i malarstwo starożytności klasycznej, i czem jest architektura, rzeźba i malarstwo w historii chrześcijańskiej; jeżeli tamtych trzech rodzajów sztuki wypatrzeć

zdołasz najgłówniejsze zwroty i epoki w ich historycznym rozwoju, więc podobno jest nam po co odwiedzić te Włochy!

Wyznaję jednak, iż prócz tej ogólnej pojęty, wabiącej wszystkich pod niebo italskie, miałem jeszcze osobny i osobisty powód. Jakoż, właśnie pod owe czasy, zabierałem się do skreślenia obrazu „dziejów artystycznej fantazyi“ w historii powszechnej ludzkiego rodu (Tom II Listów z Krakowa); więc nietylko miałem nadzieję, że ta wycieczka moja do Włoch pokrzepi umysł i nastroi go usposobieniem stosowném do pracy tego rodzaju, lecz ufałem, że mi ona dostarczy na czas długi wspomnień, niby duchowego chleba, i że będę miał znów na kilka lat czém żyć umysłowo, a nakoniec roko- wałem sobie, że ten przelot, choć pośpieszny przez Włochy, poda mi zaiste sposobność uzupełnienia wyobrażeń moich o wielu jeszcze dla mnie wątpliwych szczegółach historii sztuki we Włoszech; co nawet w pewnym względzie było obowiązkiem moim (\*).

Choć atoli tuszylem sobie, że ta wędrówka moja pójdzie na korzyść owęj książki, którą skreślić miałem; mogłem jednak przewidzieć, że tylko drobna cząstka spostrzeżeń i notat, w podróży mojej poczynionych, umieścić się zdoła w tém dziełku, bo ono miało być tylko ogólnym, pobieżnie rzuconym szkicem dziejów artystycznej fantazyi. Tak się tedy stało, że mi się czepiła myśl skreślenia osobnego opisu tej wycieczki, któryby, obok treści tyczącej się scen natury i ludzi owych stron, *wyjaśnił zarazem ogólnym zarysem historię architektury, rzeźby i malarstwa a to tak w czasach chrześcijańskich jak i w starożytności klasycznej*. Ta myśl tak mocno mnie zajęła, iż postanowiłem u siebie wykonać ją wedle sił moich. Przewidywałem, że książka takowa mogłaby być właśnie uzupełnieniem owego szkicu dziejów artystycznej fantazyi (w II T. Listów z Krakowa), bo co w nim winno być jedynie ogólną zasadniczą teorią, znalazłoby w takowym opisie podróży swoje udowodnienie, uiaocznienie i praktyczne zastosowanie. *Tak przeto złożyłaby mi się w formie wędrówki przez Włochy, niby historia sztuki, wykazana na pomnikach rzeczywistych, istniejących na ziemi italskiej*. Lubo atoli wiem, że sztuka roztoczyła się we Włoszech właściwym i wyłącznym sobie trybem, a więc różnym od jej historii w innych krajach Europy, jednak nikt też zaiste nie wątpi, że dokładniejsze wyświecenie różnych epok sztuki włoskiej wystarczy, aby nabrać nie lada wyobrażenia o jej dziejach u najcelniejszych ludów Europy. Wszak nawet owe właściwości włoskiej sztuki, o ile one rzeczywiście miejsce mają, wła-

(\*) Jakoż, do moich dawniejszych obowiązków w uniwersytecie, miałem właśnie świeżo sobie powierzone wykłady estetyki i historii sztuki (mianowicie architektury, rzeźby i malarstwa) w Szkole Sztuk Pięknych. (Professorem estetyki i historii sztuki w Szkole Sztuk Pięknych, Kremer mianowanym został w r. 1850; podróż do Włoch zaś odbył w r. 1852. Zob. życiorys. — St.).



śnie podać mogą pożądaną porę do porównań i wyjaśnienia tego, co się w innych krajach działo.

Otóż przełożyłem szanownemu czytelnikowi — *cały zamiar i cel tej książki.*

Z tego założenia mojego nie trudno poznać, że w tej pracy będę miał głównie na względzie tę część publiczności naszej, która ani podróżowała we Włoszech, ani chce odbywać podobnej wędrowki. wszelako, pilnując drogiej strzechy domowej, rada przecież zapoznać się nieco z historią architektury, rzeźby i malarstwa. Jednak, mimo to, zdaje mi się, iż nie zbłądzę, gdy w pracy tej, ile się da, zwrócę bacznie moje i na tych czytelników, którzy albo już byli we Włoszech, albo się do nich wybierają. Proszę atoli i najuprzejmiej ostrzegam, aby nikt nie mniemał, jakoby ta książka mogła mu zastąpić przewodnik. Bo nie tylko dziś nie brak już doskonałych przewodników, ogłoszonych w różnym języku, więc też nie ma czego powiększać ich liczbę; lecz nawet ich przeznaczenie jest inne, a inne będzie przeznaczenie książki niniejszej. Jakoż, gdy przewodnik winien z natury swojej wymieniać i wyliczać wszystko, co piękne a ważne, nic w tym względzie nie opuszczając, przeciwnie, obecna książka moja, założywszy sobie skreślenie dziejów sztuki, winna głównie wybierać sobie małą liczbę z tych pomników i dzieł artystycznych, które są przedstawieniem sztuki i jej stylu w pewnej epoce i pewnej miejscowości; lecz za to takowe wybrane pomniki i dzieła winny być w naszej książce ile możności dokładnie opisane, aby czytelnik mógł z nich nabrać wyobrażenia o typie współczesnego okresu sztuki.

Rozumie się atoli, że mimo tych wszystkich chęci i życzeń moich, ten zarys wycieczki mojej nie będzie sobie rościł prawa, aby miał uchodzić za istną historię sztuki; bo ta historia wymaga dzieła systematycznego, z osobną ku temu zakrojonego, a nie opisu podróży, w której przedstawienie dzieł sztuki, wedle następstw po sobie idących epok, nie zawsze od woli naszej zależy; a nadto, obraz mojej wycieczki, właśnie dla tego, że nim jest, obejmie zapewne wiele przedmiotów innych, nastęczonych przez podróż, a niemających żadnego związku z historią sztuki. Prócz tego, nie braknie też, jak myślę, ustępów, będących wpływem osobistego nastroju duszy, bo uczucia nasze, nawet mimo woli naszej, zabrzmią w nas i zadygocą, gdy się pojawią cuda natury i dziwa ludzkiego geniuszu. a trudno też, by ci nie zawtórowała w piersiach obca radość i obca boleść.

Otóż tak ułożywszy sobie pomysł do całej tej książki, jakoś nie lękałem się już czyjego z boku zarzutu, jakobym bez potrzeby pomnażał tłumy setek opisów Włoch, których i tak już bez liku na świecie. Bo najprzód dość wiedzieć, jak to się dzieje w innych literaturach europejskich! One choć tak są obfite w książki tego rodzaju, jednak im rok-rocznie przymnażają się podróże do Włoch,

a przecież nikt się tam nie krzywi na przybytek takowy. I arcy-słusznie! Bo nigdy do syta napatrzeć się nie możesz temu, co z istoty swojej wielkie i piękne i treści głębokiej; owszem, im częściej do dzieł sztuki nawrócisz, tém silniej w sobie spotężniejsz i duchem urośniesz; bo piękność, podobnie jak prawda, jest bez granic i niewyczerpana nigdy; więc ktoby w przedmiocie nieskończonym a bez granic widział jakieś granice i rzecz oddawna wyczerpaną, to chyba dla ograniczenia swojego własnego umysłu, a wyczerpanej treści ducha swojego. Widać tedy, że już dla tych powodów ogólnych nie miałem się czego lękać zarzutu, jakobym, zabierając się do skreślenia podróży włoskiej, miał się osnowy zużytej i jakobym powtarzał dawno ogadane rzeczy. Owszem mniemam, iż na takowe przymówki tém mniej zasłużę, że, mając zamiar w opisie mojej wycieczki skreślić zarazem historję sztuki, już tém samem chwycilem się trybu zupełnie nowego, różniącego tę pracę moją od wszystkich innych znanych mi włoskich podróży, tak swojskiej jak i obcych literatur.

Laskawy czytelnik niechaj raczy nie liczyć mi niniejszego oświadczenia na karb zarozumienia zakochanego w sobie a próżności śmiesznej, bo ja najmocniej przekonany jestem, że nie wszystko, co nowe i oryginalne, jest zarazem trafne i szczęśliwe. Owszem, ponieważ wiem, że wiele już jest prac tego rodzaju dokonanych z najwyższym talentem, ponieważ wiem, że z temi pracami, pełnemi świetności, moja książka na żaden sposób mierzyć się nie zdoła, otóż właśnie dla tego pragnę, aby ona przynajmniej odznaczała się inną a właściwą sobie cechą, aby miała choć na myśli oswojenie kształcącej się młodziej braci z historją tego, co jest piękne i zacne na świecie, rozszerzając ile możności upodobanie w dziełach mistrzów sztuki. I dałby Bóg żeby mi się w tym względzie powiodło! Albowiem upodobanie w piękności nie jest przecież bynajmniej zaletą przycepioną z zewnątrz do człowieka, ale raczej jest pewną oznaką, że we własnem sercu naszym już roznieciło się i rozgorzało przecucie o przyszłém nadziemskim przeznaczeniu człowieka, o jego wyższości nad tém wszystkiem, co tuteczne i marne. Jakoż, już sama miłość do promiennych a przeczystego uroku form sztuki jest jawnem świadectwem, że w nim samym wzmogły się zacne pragnienia i chęci przeczyste; bo to tylko może się stać jego kochania przedmiotem, co mu jest z istoty pokrewnem, i co uznaje być krwią i kością własnego ducha naszego. Upodobanie nasze w tém co piękne jest zaiste świętym talizmanem w świat; bo jeżeli, jak słusznie ktoś rzekł, miłość a hodowanie kwiatów ziemskich przemijających strzeże uczucia młode, niewinności pełne, tém ci więcej, jak myślę, obroną od niedobrego będzie miłość do arcydzieł sztuki, do onych nieśmiertelnych kwiatów, które hoduje anioł piękności w życiu tutecznem.

Otóż takowe były wyznania moje względem tój książki, z których ci się zwierzałem w myśli w pierwszych chwilach rozpoczętej



drogi. Bo, jak wiesz, już wyjeżdżając z Krakowa miałem zamiar skreślenia tej książki, i jużem w tych chwilach wyobrażał sobie, jakobyś, czytelniku życzliwy, wraz ze mną siadł do wagonu i słuchał cierpliwie tych powodów moich, tudzież planu książki i trybu jej traktowania. Właśnie takie fantasmagorye najczęściej piszących nachodzą! Spytaj któregobądź autora, a najpewniej mi poświadczy i przyzna, że ile razy w nim zrodzi się myśl napisania nowej jakiej książki, rozmawia w duszy z czytelnikiem, jakby z kimś przytomnym; więc mu prawi, tłumaczy się i pyta o rady, i chwali się troszkę, i rozbiera wątpliwości i t. d. i t. d.

Nie rozumiej atoli, szanowny czytelniku moj, żem już teraz na piękne i do czysta wypowiedział się z powodów, które mnie nęciły do owego kraju „kiedy cytryny kwitną“. Bynajmniej; jeszcze we mnie działała jedna przyczyna, której, choć jest najosobistszą ze wszystkich, zataić nie mogę, chcąc stanąć z czytelnikiem zupełnie na szczerze i pragnąc go już z początku oswoić z barwą całej książki, którą trzymam w ręku. Oto, krótko mówiąc, jeszcze mnie wabiła do Włoch nadzieja odświeżenia w sobie uczuć młodzieńczych i wrażeń, których doznałem niegdyś — niegdyś, przed bardzo wielu laty! Ufam bowiem, że ta wycieczka przeniesie mię, choć na krótkie chwile, w dawno uplynione czasy. Jakoż, będąc ongi jeszcze studentem Jagiellońskiego Uniwersytetu (*culgo* akademikiem), zwiedziłem pierwszy raz te Włochy, patrzałem na ten kraj cudów pełen, mając lat dwadzieścia; więc to było w tym wieku, w którym, jak wiecie, cały świat gra nam skoczno tana, gdy gwiazdy i ludzie, drzewa i wody, gdy natura cała zdają się być jedynie na to stworzone, by z nami jakby zapustne grajki luezały, śpiewały, by razem z sercem naszym hasały radośnie. Było to w tym wieku upojenia, gdy życie całe, gdy świat wszystek, a cóż dopiero Włochy, były czarnoksiężkim ogrodem poezyi, oświeconym magicznymi świeczkami fantazyi. Lecz od tego czasu minęło lat dwadzieścia sześć, więc ćwierć stulecia z górą! Cóż dziwnego, że teraz pragnąłem cofnąć się w owe lata złocistych marzeń i lubych choć mającnych dziwadł; zdawało mi się, że warto doświadczyć na sobie, czyli powtórny widok onych miejsc, niegdyś za młodu zwiedzanych, nie zabrzmi na tych samych duszy klawiszach, co dawniej przed laty, i czyli może choć kilka z onych tysięcznych świeczek nie zapali się jeszcze magią swoją?

Jednak upraszam jak najmocniej czytelnika mojego, aby nie rozumiał, jakobym miał dziecinnie żałować ubiegłych, młodocianych lat. Bo ta młodość, toć przecież tylko wiosna pełna kwiatów, w których tak rzadko zawiązuje się owoc, a marzenia młodości mają tylko dla marzącego wartość swoją; są to słodkie kłamstwa uludne i pieścidła bez znaczenia! Kto zbyt żałuje tej młodości, tedy albo sam sobie daje smutne świadectwo, że nie rad z trybu, którym skwitował się z życiem: albo też te żale nie są ani szczerze ani prawdziwe.

I zaiste, gdy kto z znacznych ludzi sam w siebie wmawiał, iż radby z duszy wrócić do młodocianych lat, niechaj, położywszy rękę na sercu, szczerze powie, czyliby się podjął to życie już przeżyte odpracować raz jeszcze? czyliby chciał przenieść na sobie raz jeszcze te wszystkie zwodne uludy i te męki serdeczne, pałace, i te nadzieje zdradne, co tylekroć nie dotrzymały danego nam w młodości słowa, a pierzchły za lada powiewem światowym. Niechaj pomyśli co przecierpiał, co przebolewał, ile walk przemógł ze światem i z sobą — a mniemam, że bez wahania cofnie życzenia nierozważne. Lecz jeżeli tak się rzecz ma, czemuże się znów dzieje, że wspomnienia młodocianych lat tak są w nas rzewności pełne? Zkąd nam tak lubo a dźwięczno usłyszeć znowu te struny, co nam śpiewały na wiosnę życia naszego, a dziś milczą, niby lutnia pęknięta, dawno zapomniała? Zkądże tedy ta sprzeczność we własnej duszy naszej, zkąd ta dwoistość uczuć we wnętrzu naszym?

Nie wiem czyli czytelnik życzliwy zna ową powiastkę o „starej pannie“, wymyśloną już nie pamiętam przez którego z poetów? Opowiem ją wam choć krótkimi słowy, bo ona może nieco wyjaśni nam ową zagadkę własnego serca. Wszak widzicie, że ku temu ma się już nawet sam tytuł onęj zagadki, bo przecież, podobnie jak nam wszystkim, tak i pannom starym szczęścia nadzieje nie dotrzymały przyrzeczenia danego w młodości, i im rzeczywisty świat wyrządził krzywdę, i im niegdyś kłamne młodociane uludy, niby wróżki zwodne, prawily o wielkiej a pewnej wygranej na stawce ziemskiego żywota.

I mogę śmiało się rozgadać, bo czyli wyjrzymy prawem, czy lewem okienkiem z wagonu, okolica już jakoś równa, ekliwa, niby ziemna i nudna.

Otóż nasz poetka gadatliwy maluje nam, jak tam może, izdebkę swojej heroiny. Więc na oknie klatka, w niej para ruchawych kanarków i doniczka z różą, a druga z cyprysem; na kominku ogień, na ścianie obraz Zbawiciela na krzyżu, uwiencony żywą passiflorą, i znowu wizerunek przenaświętszej Matki bolesnej, za nim palmów wiązka. Szyby w oknach ustroiły się w gałązki i kwiatki z lodu, bo na dworze zima, więc mroźno i śnieżno. Pod oknem stolik, na nim książki, jako: „Ołtarz Złoty, Chleb Duchowy, Wieniec Różowy, Matka Świętych Polska“. — Obok na krześle „stara panna“ — ona trzyma w rękę książkę o żółkłych kartach i czyta spłowiełe pismo; bo w tej książce od pacholecych lat zwykła zapisywać wszystkie trudy a boleści, długiej a ciemistej pielgrzymki swojej na ziemi. Ona atoli oddawna pogodziła się ze światem i z sobą, uczucia jej już wychorowały się z doznanych cierpień, oddawna życie jej jest życiem miłości i poświęcenia; kędy głód zabolil a nędza trawi, tam „stara panna“ zjawia się aniołem pocieszycielem; więc ona nie jest sierotą samotną na ziemi, — a oblicze siwój niewiasty rozpromienione jest niebiańskim pokojem. Bo choć zimno, mroźno wśród



ludzi, — w jej sercu goreje już promień nadziemskich nadziei. To serce było także niegdyś na krzyżu rozpięte i passiflorą uwieńczone; na miejscu weselnego róż, wyrosły jej na tej drodze doczesnej cyprysy smętne. Dziś wszystko co ziemskie przeminęło jak zły sen. I czyta niewiasta siwa w tych zapiskach swoich, niegdyś łzami pisanych, a uśmiech jakby o rajskich ogrodach wykwił na zapadłych licach bladych. I dziwi się niewiasta, że się uzbierał, przez jedno życie, tak długi szereg tych bólów piekących, tych cierpień krwawych. I ona cieszy się tym długim przeciągłym szeregiem nawiedzeń Bożych. Bo to przecież każdym cierpieniem zerwała się jedna nić onęj siatki, co ją do ziemi wiązała; więc coraz swobodniej unosiły się w górę oczy duszy jej; każda serca rana uczyła wyższej a wyższej mądrości; z każdą boleścią palącą, niby ogniem czyszcącym, wytopiła się jako zuzelica jedna z żądź samolubnych i pragnień zwodnych; aż tak wyzdrowiony, tak przezroczysty stanął niewiasty duch, że obaczyła życie swoje i wszechrzeczy ziemskie na tle świętych, nigdy niezmiennych prawd, że patrzyła w pokoju na doczesny i tameczny świat, jakby na stykające się z sobą części jednej i tej samej całości. Więc dla tej niewiasty szcześniejszej skon jest tylko, jak ktoś rzekł, rozebraniem się wieczornym z szat tutecznych, by się obudzić w promienistym zaraniku.

I czyta „stara panna“ w tych zapiskach swoich i rozpatruje się z rzewnością w latach dawno pogrzebionych, — aż znoważła zaczęła się jej w oczach, — owe litery spłowiade spłynęły z sobą, bo po szkle okularów pociekła łezka. Wśród kartek żółkłych pojawił się listek barwny. On niegdyś był listkiem róży, dziś jest próchnem martwem. Przez łzy uśmiechnęła się spokojem cichym niewiasta zgrzybiała. Ten listek był niegdyś liściem z róży, darowany jej miłościem zadatkami od ulubieńca serca jej, gdy się wyprawiał na wojnę, z której już nigdy nie wrócił. I utonęła duszą w tym listku umarłym, — długo w niego patrzyła, aż ów listek biedny, spróchniały w jej oczach żywych rozwinął się różą pełną, żyjącą; ale róża nie była z tego świata, bo ona oblana purpurą, jakby użyconą z nieba palącego się zachodem, i róża odetchnęła wonią nadziemską, a promienie jasności płonęły w kwiecie; niewiasta ujrzała nieskończoność Bożą w kwiecie gorejącym; ten listek spróchniały, niegdyś ziemskiej miłości upominek, przeistoczył się w nadgwiazdną różę, co zadatkami miłości niebiańskiej. Na dworze były śnieżne płaty i srożyła się burzą zima mroźna. Wtedy niewiasta... „Panowie! Szczakowa! — Prosimy o pasporty“.

Te słowa przerwały rojenia moje! Pociąg się zatrzymał. To zaiste nieszczęsna Szczakowa, któżby jej nie poznał? Dworzec kolei żelaznej, — na tym koniec — a w około, jak okiem daleko zasięgniesz, piaski i piaski, wysadzane, jakby czarnymi płatami, bukietami z jałowcu; za piaskami lasy — a za lasami znów piaski. Nie dziw, że taka natura martwa wypłoszyła mi wyobraźnię z pokoiku



onęj zacnej niewiasty; bo zawsze rzeczywistość jałowa lubi nas wyganiać z krain pieszczotliwych marzeń w piaski i pustkowia życia. Nie kończę przeto już owęj rozpoczętej powiastki, którą bez trudności w myśli czytelnik uzupełni i odgadnie jej sens moralny.

Któż wie, może też dobrze, że mnie tak przebudziła Szczakowa, bo niewiedzieć jak długobym się jeszcze był rozwodził nad myślami, które mnie nachodziły w czasie pierwszych chwil po opuszczeniu Krakowa.

Lubo atoli jest rzeczą pewną, iż tym trybem opowiadając wycieczkę moją niedalekobysmy zajęchali, skoro w tych kilku godzinach drogi tyle się nagadałem; przecież mnie to nie korci i nie wykreślę nic wcale z tego wszystkiego, com powyżej napisał. Bo godzi się, zwłaszcza na początku podróży i książki mojej, abym, ile razy mi się pora nadarzy, przestrzegł czytelnika, pokazując mu, co go czekać może w dalszym ciągu opowiadania mojego. Niechajże tedy już z góry wie, że często-gęsto znajdzie rzeczy, bez których, ściśle mówiąc, obeszłoby się wcale w opisie podróży, a zwłaszcza w takiej podróży, która mu dość zuchwale zapowiedziała, że ma pretensyę być niby wycieczką artystyczną. Tak to zwyczajnie, gdy autor zbyt ufa życzliwości czytających, już mu się często gada, co mu chwila na pióro przyniesie. Jeżeli tedy taki nader mowny towarzysz podróży nie odstraszy odważnego czytelnika, więc proszę z sobą w dalszą drogę.

---

*Szczakowa.*

Szczakowa! Ten budynek niewielki, ale schludny i gładki, jest dworcem kolei, w nim urząd pograniczny. Wkoluteńko piasek czysty, biały, poplamiony krzewami ciemnego jałowcu, co tu stanęły jakby ostatnie stracone pikiety roślinnego życia. To pustkowie istnym rajem zajęcym, lecz rozpaczą dla człowieka, któremu przyjdzie tu zamieszkać. Bo nasze Krakowskie do połowy prześliczne i pełne widoków cudnych. Więc pagóry w gaje odziane, więc skały fantastyczne i ciemne lasy, mogiły i łąki, i potoki i role chleborodne — a zdaleka niekiedy na widnokregu zaświeca srebrem i błękitem jasnym Tatrów harde budowania. Słowem, ta połowa, to istic obiecana ziemia, a tak malownicza, jak gdyby naumyślnie dla pejzażyistów a poetów stworzona. Druga zaś połowa, to piaski, i pustki jałowe i ekliwe. Wszak proszę sobie z niej nie żartować! Małoż to ludzi na świecie nudnych i jałowych i ekliwych? Gdy atoli ich bliżej poznasz, gdy im zajrzysz w głowę i serce, toć znajdziesz skarby duchowe, co drugich bogacą, i uczujesz ciepło duszy, co nie jednego ogrzeje. Otóż widzicie, pod tą zewnętrzną jałowizną, poniżej tych jałowców i piasków nudnych i ekliwych, chowają się

skarby cynku i węgla, co bogacą i ogrzewają blizkich i dalekich, i swoich i obcych.

Dziwna to rzecz z tą siłą żywotną! — na tych piaskach głuchota i śmierć, — ale gdzie tylko w dolkach woda deszczowa dłużej się zatrzyma, kędy jest ślad choć wyschniętej strugi, tam puściły się trawki i ziola, niekiedy nawet coś *per modum* kwiatka się wyświeci. I nie ma czemu się dziwić! — bo przecież i duch ludzki, co to inném życiem żyje, niż ta bezduszna roślinność, biednieje atoli wśród jałowizny świata, i nie rozwinie się wiedzą ani wykwitnie w niesmiertelne kwiaty swojej zacności i wrodzonej swobody; lecz dodaj mu choć troszkę lepszej ziemi, troszkę pożywienia, a puści się wonnym zieleń, a kwiatem umiejętności i sztuki Bogu na chwałę.

Do samego boku dworca przytulił się ogródeczek mały, otoczony sztachetami; łatwo ci proroczyć, jak się biedakowi na pustyni wiedzcie. Natura o tyle przyczyniła się do niego, że dostarcza już gotowych ścieżek piaskiem wysypanych, które też broni, by nie zarastały niepotrzebną trawką. Wśród ścieżek — grządki; na grządkach goździki, a klują się też jak ich stać georginie — ba, nawet kilka krzewów różanych. Wszystkie te krzewy niepomalu się dziwią, z kąd one się tu wzięły. Jest tu jeszcze altanka zgrabnie z żerdzi i obręczy związana. Z jednej strony altanki pnie się wyczka, z drugiej pnie się groszek, znać jak się siłą i męczą, by jakoś się w górę dostać. Widać wyraźnie, że wyczka i groszek pałają do siebie nieszczęśliwą miłością, więc radeby się zejść nad altanką i ucałować nawzajem, — ale cóż, gdy im brakuje soków pożywnych! — Przecież na ich listkach biednych świeci rosa rześista, więc piją tę rosę ulubienicy, nie tracąc nadziei, i pną się jak tam mogą. Rzekłbyś, że to para ubogich kochanków, co tęsknią miłością do siebie; — przecież im nie wystarczy na życie, patrzą tedy w górę, spodziewając się pomocnej rosy niebiańskiej.

Zacna to była myśl założenia sobie tutaj tego ogródka; bo ona uczy, że nie ma tak jałowego położenia w życiu, którego by sobie nie można umiać i ustroić, byle nie brakło odwagi i chęci dobrej, byle mieć tyle rozumu, by przestać na małym. Jestem pewien, że te biedne nierozwinięte kwiaty tak są kochane od tego, co je sadił i pielęgnuje, i taką mu są pociechą, jak gdyby świeciły najwyższą siłą i najbogatszą pięknnością. Wszak matka kocha właśnie najwięcej to dziecię, które wychowała wśród najboleśniejszych trosk i trudów — a tylko zli ludzie milują więcej swoje dzieci urodzive i silne, niż ułomne i niedorodne.



*Dworzec kolei w Mysłowicach.*

(Pogranicze pruskie.)

Cóż to się stały za dziwy! Te tłumy podróżnych, co z nami przeleciały koleją do Mysłowic, takie jakies rozmowne, giestykulujące, uprzejme i gładkie. Mieszkańcy chwilowi wagonów, tak dla siebie usłużni, poufali, jak gdyby byli jedną, dobrze wychowaną rodziną! — Wszyscy względem wszystkich przesadzają się w grzecznościach; zwłaszcza też piękna płeć odbiera od mniejszej pięknej dowody kornego hołdu. Ten przywleka stołki dla dam, ów objuczył się górą szalów, mantylek, torb i torebek podróżnych, haftowanych, ów przybiega z limoniadą, a znów inny skrapia chusteczki wódką kolońską. Wszak i sami panowie podróżni między sobą nader uprzejmi — a do tego gwar — rozmowy — a czasem i uśmiechy skryte. Te uprzejmości i grzeczności, istic cudem w naszym przecywilizowanym, samolubnym świecie. Dziwniejsza atoli jeszcze, że cała geometrya wystąpiła na twarzach i twarzyczkach figurami czarnymi jak węgiel; — koła, elipsy, trójkąty, trapezy, prostokąty i t. d. wykwitły to na skroniach, to na czołach lub brodzie.

Widzę jednak, że tych zjawisk dziwnych nikt sobie bez komentarza nie wyjaśni. Więc wytłómaczę, co się święci. Pociąg nasz, wyruszywszy ze Szczakowy, już już dosiadał samej między krakowskiego a Prus, gdy szereg wozów, naładowanych podobno cynkiem, umocowany z tyłu pociągu, odczepił się jakoś. — „Stój! stój!“ — wołają konduktory — maszynista, nie żałując sobie, jak zakręcił, tak osadził w miejscu nasz pociąg, który też stanął jak wryty. — Lecz one wozy z cynkiem, rozmachane pierwotnym rozpędem, choć odczepione, gonily jeszcze śpiesznie za nami; dopędziły więc i ogromnym co się zowie szturchaniec dały znać o swoim przybyciu. Rozumie się, że podróżnym, siedzącym w wagonach, ani sniło się o całej tej historii. — Jedni dumali spokojnie, inni ćmili cygara, a inni drzemali snem prawego; aż tu hałas i szturchaniec ów straszliwy, zamaszysty — więc niektóre szyby pękły, kalecząc choć zlekka — więc zderzenie głów naprzeciw siebie umieszczonych; — byli i tacy, co się z siedliska zesunęli; a jeszcze na dobitkę skrzyńeczki, cybuchy, pudła, zawieszane nad głowami, zmienacka spadały na przestraszonych wójazerów. To wszystko odbyło się szybkością gromu. — Wrzask i hałas. — Wśród burzy a zamętu slychać tylko na różne głosy gammy: „Uciekajmy!“ „Ja wyskoczę!“ „Otworzyć wagony!“ Dalej wezwania i modlitwy. — I znów: „Nic to! nie to! Bądźcie spokojni!“ — Ale daremnie — „Gwałtu!“ Wrzask, krzyk się wzmagają — „Uciekajmy! Ratujcie!“ „Ja wyskakuję!“ woła jakiś otyły jegomość, wciskając się w okno. „Otwierajcie wagony!“ ktoś huknął głosem grzmiającym. — „Daję słowo honoru, że nie ma obawy“ krzy-

czy co gardła jeden z oficyalistów pociągu. — „Co mi tam po pańskim honorze!“ — „Otwierać!“ — „Wody! wody! Dama zemdlą! — Doktora! Doktora!“ woła drugi. — Nakoniec przecież się uspokojono, bo całe towarzystwo, wydostawszy się z wagonów, przekonało się, że nie ma czego się obawiać. Już i kilku skocznych kawalerów pobiegło do bliższej strugi i do swoich kaszkieciaków podróżnych nabrawszy wody otrzeźwili zemdlone damy. I wszystko już się jakoś uspokoiło, gdy, niby znów na przyczynę, jakaś pani, co inne trzeźwiła i uspokajała, z wielkiego poruszenia sama doznała spazmów — nowe hałasy. Znów woda ze strugi, znowu wódka kołńska w robocie.

Teraz już burze hałaśniejsze ucichły, zwawy tylko gwar słysząc. Podróżni, stojąc gruppami około wagonów, nawzajem sobie opowiadają, co każdy myślał i o czém nie myślał w chwili zderzenia. Każdy zapewnia, iż odrazu był przekonany, że nie ma niebezpieczeństwa. Przecież dana wzajemna pomoc i wspólny strach zbliżyły ludzi do siebie; ztąd wywiązała się ta grzeczność i uprzejmość, tak rzadka na kolejach żelaznych. Nawet owo zderzenie się osób jakoś spoufaliło ludzi. Ten pan, co z guzem po lewej stronie czoła i ta dama, co z guzem po prawej stronie czoła, to pewnie *vis-à-vis* z wagonu. Przeprosiwszy się nawzajem, patrzcie jak teraz się prowadzą, miląc się do siebie. Ochłódł też i ów jegomość gruby, co to gwałtem chciał wyskakiwać, i z wielkim trudem ledwie zdołał uwolnić się napowrót z uściśnienia okna, w które się był zrazu wtłoczył. On to, stojąc wśród grupp, najżywiej rozprawia, a dobywszy z pugilaresu nożyczek i kitajki angielskiej, której ogromny zapas z sobą woził, wystrzyga owe figury geometryczne, stosując się niby do formy ran, czyli plasterski, potrzebne lub nie, wszystkich niemi częstuje, dyrgując ich ulokowaniem; a co który plasterek szczęśliwie umieści na twarzy, przy każdym powtarza: „Wiecie państwo, że ja miałem naprawdę wyskoczyć; jakże kontent jestem z tego małego przypadku.“ — „Jabym się był zupełnie i bez najmniejszego przypadku obszedł“ — odpowiedział jakiś pan, który, jak znać z wymowy, berlińskiego rodu. — „Gdzie tam, mój panie, przecież będziemy mieli o czém mówić, gdy wrócimy do domu.“ — „To pewnie Sas“ — rzekł z cicha do mnie ów pan z Berlina. — „A to dla czego?“ — „Bo oni wszyscy tacy, polują na awantury, aby się czém mieli przed żoną i dziećmi pochwalić, a najczęściej arcy dziwacznie się do tego zabierają. Czyli pan nie słyszał co się niedawno stało w Dreźnie z onym murzynem?“ — „Nie słyszałem, ale wielce radbym słyszeć.“ — „Otóż jedna z najgłośniejszych kawiarni drezdeńskich, dla dodania sobie splendoru, przyjęła za garsona murzyna. Jakiś jegomość przybywa z prowincyi do stolicy, a słysząc o tém, co tchu spieszy do kawiarni i każe, aby mu murzyn podał kawy. „Otóż, prawi sam do siebie, będę mógł już powiedzieć w domu, że mi istny murzyn usługiwał; — trzebaby go jeszcze jakoś zaczepić i wdać się z nim w rozmowę.“



I wiesz pan jak on sobie w tém począł? oto rzekł do murzyna: — Waszeć zapewne nie tutejszego pochodzenia?“...

Tak mi rzecz opowiedział ów pan z Berlina. Co do mnie, ja tyle tylko wiem, że trudno o ludzi grzeczniejszych, rozumniejszych, pracowitszych, jak Sasi.

*Dworzec kolei w Raciborzu.*

Podobno nie wiele stracimy, mój czytelniku, gdy opuściwszy tę salę pełną dymnych cygar, kuchennych zapachów, wyziewów piwnych, much i gwaru, odetchniemy na powietrzu świeżem, wolnem, czekając zanim dzwonek na nas zawoła, że już czas wsiadać. Tuż obok dworca most, a wprost tego mostu, nieco poniżej, początek jędnęj ze skrajnych ulic starego historycznego Raciborza. Ulica ta się skręca — więc tylko kilkanaście jej domów na widoku naszym. Znać, że te domy po większej części świeżej daty, bo ich styl, jeżeli to stylem nazwać można, jest najczęściej prawie ten sam, który za naszych czasów tak się rozgospodarzył w Niemczech Północnych, a mianowicie w Prusach. Wszak on, po pożarze krakowskim nawet do nas przywędrowawszy, wyziera natrętnie z wielu odbudowanych domów. Ba! ten styl w mieście naszym pojawił się najprzód w owym rozłożystym krakowskim dworcu kolei żelaznej, celującym raczej techniką doskonałą żelaznego wiązania dachu, niż polotem artystycznej fantazyi. Ten styl, raz nazawsze wykoncypowawszy sobie proporce, te same przekroje gzemów, te same formy okien, drzwi i t. d., już je ciągle powtarza, nie łamiąc sobie głowy nad nowemi wymysłami. Więc dla tego, wedle mojego zdania, jest raczej „maniera“ jak stylem; bo rysunek form jego, w ogóle ciągle się powtarzający, mniej wypływa z natury rozumowej rzeczy, jak raczej ze smaku przelotnej epoki. Styl ten zrazu ujmuje — bo niby lekki, czysty, chędogi i zgrabny — jednak w rychle się nam zeckliwi, bo tak trzeźwy, rozsądny, prozaiczny, jak rachunek kupiecki. Czasem się on wprawdzie rozochoci, napada go niekiedy jakaś chwilowa chęć udawania fantastyka, mianowicie, gdy mu przyjdzie postawić dom wiejski; wnet atoli ochłodnie i wytrzeźwi się, niebawem wraca do rozsądnej, codziennej prozy, — tak jak panienka, co radaby sobie poskakać, pobiegać, lecz sznurówka ciasna, trzewiczki cisnące, a mianowicie spojrzenie pedanckiej guwernantki angielskiej przypominają formy sztywnej, nienaturalnej przyzwoitości. Styl ów z istoty swojej nie ma wydatnego charakteru, jest prawdziwym synem naszych czasów; bo i terażniejsi ludzie mają wprawdzie twarze, lecz brak im fizygnomii. Te domy raciborskie, które tu widzimy, tém się niby od siebie różnią, że jedne są nieco wyższe, a drugie nieco niższe, te

szersze owe węższe, te malowane niby na cielisto, tamte na piaskowo i t. d. — i toć cała indywidualność tych facyat nowożytnych.

Jakże się atoli spodziewać po dziełach rąk ludzkich swobody indywidualnego piętna, gdy przyroda sama tak jest już wzięta w prawidła utylitarności trzeźwej, że, ściśniona w karby cyrkla, ledwie dyszy, stając się naturą sztuczną. Choć pędem po kolei żelaznej przeleciałeś ze Szczakowy do Raciborza, widok tak zwanych lasów, które dojrzałeś w drodze, jest tego dostatniem, głośnóm świadectwem. Wszystkie w nich drzewa tak są do siebie podobne, ich formy tak stereotypowe, jak dwie krople wody. Stoją te biedne drzewa obok siebie w wymierzonym oddaleniu, wszystkie wszerek i wzwyz jednej miary nawzajem się kopinując; nie rozumiem, jak te drzewa nie usychają z nudów! Ta jednostajność tych drzew, to ich ciągle stereotypowe powtarzanie się jest tak okropne, że, bez przesady mówiąc, mogłoby o szal przypisać każdego człowieka o sercu żywym, o cieplej wyobraźni, gdyby mu przyszło przez taki wrzekomy las wędrować. Pomyslcie sobie, że tej strasznej jednostajności nie urozmaica wcale światek krzewów i gęstw, co się niegdyś składał w wdzięczne bukiety i w mroczone, tajemnicze państweczeko ptasiej ludności. Tych krzewów tutaj nie ma wcale; las dzisiejszy — to nie las, to fabryka drewna, więc to przezroczystry zbiór kijów prostych, w ziemię wbitych, nagich, jadrnakich, udających u góry, że mają gałęzie i konary. Prawda, że tak nakazują reguły gospodarstwa leśnego, że to użyteczne; lecz niechajno utylitarność stanie się jedynym bożkiem tegoczesnych ludzi, a przyjdzie im na to, że, jak ktoś rzekł, ich własne wnuki, trzymając się zasady swoich poprzedników, uprawiać będą grunta zwłokami starszych pokoleń. Europa cywilizowana zapomniiała już, co są lasy. Dziś nie obaczysz już tych szarych, mchem obrosłych praszczurów roślinnego świata, co, wśród potężnych konarów, otulając kapliczkę z obrazem Matki bolesnej, sięgały wierzchołkiem powyżej kniei całej. W kolo otoczone młodszą generacją drzew prawily im o starych czasach: więc o pustelnikach, co w odsadzeniu od świata, wśród tchów womnych borów, w ciszy świętej oddani Bogu, życie pokutne, samotne ofiarowali za winy swoje. Te stare olbrzymy kniei prawily niegdyś ludziom o królach i bohaterach, co w czasie łowów na dziki i niedźwiedzie odpoczywali pod tą zieloną kopułą bujnego ich liścia, opowiadali o strachach puszczy, o czarnoksiężniczkach, o rozbojnikach, rycerzach i pielgrzymach błędnych. Te baję wszystkie, tak lube i urocze, zniknęły jak sen. W tych dzisiejszych wrzekomych borach, nie ma gdzie skakać wiewiórka „taneznica“, ani nie ma się gdzie podziać zajac, ani, trwożliwszy od niego, przemycarz. Wolę ja te lasy fantastyczne, z całym dziwem natury bujnej, wolnej, które okryły Karpaty w sąsiedztwie Tatrów naszych. Do nich wprawdzie nie zajrzała jeszcze przemądra cywilizacya — ale za to w nich jesteś samnasam z Bogiem i naturą Jego.

Na tej ulicy Raciborza cicho, spokojnie, porządnie i schludnie —



w oknach doniczki z kwiatami, powiew rusza sztorami; w przeciagu całego kwadransa, przesunęła się przez ulicę jedna tylko figurka, podobno zgrabna kuchareczka z koszyczkiem na rękę, zadzwoniła, drzwi same się otwarły, a figurka zniknęła. Znow cicho, odludno, zdawałoby się, że patrzemy na dekoracyę teatralną, przedstawiającą ulicę miejską, na której już swobodnie, jakby wśród puszczy, knują się intryżki miłosne, a kochanek, rozwodząc się nad swoim afektem, układa projekta ucieczki z ulubienicą w oknie stojącą, póki jakaś ciotka lub wrogi opiekun nie przerwie miłosnych adaggiów rozkochanej parki. Patrząc się na tę ulicę cichą i tak bezpieczną, jakoś, niby siłą przeciwnieństwa, mimowolnie nasuwają się sceny z owych burz i zamieci społecznych, które zatrzęsły miastami w stuleciach średnich. Otóż ten Raciborz, tak dziś pewny siebie, siedzący jakby na przypiecku głębokiego pokoju i kultury, patrzył przed wiekami na dziwne rzeczy.

Któż nie wie, jakie to czasy smętne i ciężkie były u nas, gdy ów biedny Leszek Czarny panował; nie weselęj też było tutaj na Szlążku, bo one rycerskie a ciepło-głowe Piasty Szlążkie, to szamotały się z Polską, to najeżdżały się między sobą. A podobno nad nich wszystkich celował butnością i zuchwalstwem Henryk Wrocławski (Probus); był to człowiek uparty a hardy, i zbyt gorąco kąpany, jak wszystkie Szlążaki, a przytém bitny i mężny, jak wszystkie Piasty. Prawda jednak, że jakoś bliżej serca swojego trzymał obcych niż swoich, co mu wcale nie idzie na pochwałę. A lubo był poetą i składał wiersze wdzięczne, rozpieszczone i niemi gruchał o miłości, i lubo go nawet przewali „Łagodnym“, był przecież czasem, a mianowicie dla swoich, dość twardym. Po co nam atoli tutaj tych rozpraw dłuższych, znany i bez tego dobrze wizerunek jego z historyi Polski. Tutaj tyle tylko o nim wspomnę, o ile jego żywot awanturny wiąże się z tym Raciborzem.

Otóż wszyscy wiemy, jak temuż Henrykowi pewnego razu zachciało się zabrać Wielkopolskę dla siebie; więc najechał kraj znienacka, a mając tajne konszaky ze Sędziwojem, kasztelanem kaliskim, dostał Kalisza zdradą. Niedługo się przecież w nim usiedziało; bo choć się w nim na twardo bronił, wyparli go w rychle z niego Wielkopolanie. A tak Henryk, nic nie wskórawszy, zmarnowawszy daremnie pieniądze i mężne hufce, ze smutkiem ruszał napowrót do Wrocławia. Tutaj, nie na wielką pociechę swoją, znalazł pustki w skarbcu. Przeto gniewny sępił się, dumając jakby znow podlatać zasoby swoje i powetować szkody. Nie trudno mu było o sposób. On już oddawna się krzywił, widząc, jak Tomasz biskup wrocławski, rósł w zamki, miasta i włości bogate. Pokusa tedy była nielada, a przytém dufał, że mu przecież gładzziej pójdzie z biskupem, niż z bitnymi Wielkopolanami. Więc znienacka rozesał groźne rozkazy, aby nie Tomaszowi, ale jemu płacono dziesięciny kościelne; a na domiar nacierał twardo na biskupa, aby mu

złożył grubą sumnę w gotówce. Tomaszowi nie kwapiło się z pieniędzmi. Ztąd ksiązę najechał mu miasta i dobra katedralne i zagarnął to wszystko, jakby swoje (\*).

Takie zuchwałstwo nie mogło ujść płazem; jakoż Świnka, arcybiskup gnieźnieński, ujmując się za Tomaszem, zwołał zbor biskupów do Łęczycy, którzy téż po niezbyt długich naradach, wyklęli jednomyślnie Henryka, lecz nietylko jego, ale i Wrocław; co większa, obłożyli klątwą wszystkie majątności księcia i wszystkie pomocniki jego i poradniki w téj sprawie. Henryk atoli tém wcale nie skruszał, nawet wziął jeszcze bardziej na kiel; bo, nie namyślając się długo, wygnął z Wrocławia Tomasza i duchowieństwo. Duchowieństwo schroniło się do zawsze gościnnéj Polski, a biskup Tomasz wśród mnogich niebezpieczeństw przedarł się tutaj do Raciborza. Temu miastu naonczas rozkazywał zacny Władysław, ksiązę na Opolu; ten będąc człowiekiem wielkiego serca, z całej duszy rad był wygnaćowi, ofiarując mu przytułek w Raciborzu. Uczciwi tutejsi mieszczanie warci téż byli swojego pana, otaczali biskupa tulacza czcią, zasługując mu się, jak który z nich mógł najlepiej.

Jednak Henryk wrocławski tak się zajął i zaciął na Tomasza, że mu nawet i w Raciborzu nie chciał dać spokoju. Więc pisze ostre listy do Władysława, więc wyprawia butne posły do niego, czyniąc mu wyrzuty i cierpkie wymówki, że biskupa trzymał w Raciborzu, żądając, by bez zwłoki wypuścił wygnańca ze swéj opieki. Zaczne ksiązę opolskie, choć niezbyt potężne, choć wrożył dla siebie złe, które się już dla niego wyświęcało, przecież uczciwie stał przy biskupie i daném mu słowie; w niczém tedy Henrykowi nie folgował i hardo mu się stawał, pogardliwie na one wyrzuty i żądania jego odpowiadając.

Ksiązę wrocławski uwziąwszy się, bądźco bądź, swojego dokażać, zbiera co tchu szlązkie chorągwie, i licznym zastępem ciągnie na Raciborz. Oblega miasto, nie żałuje taranów, kusz, i bije mury, ciska kamienie i przypuszcza szturm. Lecz nie tak mu była miękka sprawa z Raciborzanami, bo ci wcale nie od bójki, a pycha i przechwalania się Wrocławiaków od starych lat stały im solą w oku. Mężnie przeto a ochoczém sercem odpierają napastników. I niewiedzieć, jakby się to wszystko jeszcze skończyło, gdyby w samym Raciborzu, czyli raczej w samychże Raciborzanach nie pojawił się nieprzyjaciel wewnętrzny, — głód. To wróg straszniejszy, niż o n Henryk za murami i wszystkie Wrocławczyki jego; bo mniejsza o bitkę, choćby i o guza, mniejsza o tarany, bo i na to sposób, lecz jakże im było wojować z własnym żołądkiem!

Zrazu nie przykrzyli sobie w niedostatku; gdy się atoli głód

(\*) *Klose*, Breslau I, 2, str. 551. (*Klose*, Documentirte Geschichte und Beschreibung der Stadt Breslau. 5 tomów. 1780 — 1783 r. — St.)



naprawdę wznagał, mruzcili zeicha, potem coraz donośniej a donośniej, aż też naostatek zaczęli wygadywać na tę wojnę i kłać całą sprawę.

W rychle nie żartem zanosilo się na srogą biedę, mór głodowy już coraz głośnieję dobywał się do drzwi rodzin, kędy wprowadzie nie bywało i dawniej zbytkowo, przecież nigdy nie brakowało powszedniego chleba. A strach okropnego skonu nie jedną mężną duszę zmroził.

Wtedy biskup, któremu już oddawna serce się krajało, patrząc na rozpacz i jęki straszliwe, zwołał do siebie kanoników swoich i, wedle kronikarzy, tym trybem do nich rzecz miał: „Patrzcież, najmilejsi bracia moi! To miasto uczciwe, które przez czas tak długi udzielało nam ochrony bezpiecznej i lubego pokoju, które nas, biednych ściganych tułaczy, u siebie podejmowało serdeczną gością, to miasto teraz morzone jest głodem i dręczone obawą śmierci okrutnej. Nie godzi się już, aby dłużej jeszcze niewinni ludzie za nas cierpieć mieli. Lepiej podobno będzie, jeżeli wyswobodzimy miasto biedne, samych siebie poświęcając. Pójdźmy, oddajmy się sami w ręce srogie okrutnika. Pójdźmy! Choćbyśmy nawet wolnością lub gardłem przyplacić mieli!“ Słowa takowe przejęły jakby promieniem miłości Bożej serca zaenych kapłanów. Wszyscy gotowi iść za biskupem, sami siebie na ofiarne odkupienie miasta poświęcając. Biskup przywdziewa ornat, jakby na wielkie święto Pańskie, bierze infulę i pastorał; kanonicy w szatach uroczystych idą za pasterzem, który „daje życie za wieczki swoje“.

Lud Raciborza ze łzami patrzy teraz na orszak poważny i święty, co, śpiewając psalmy, Bogu się porucza i zwolna ciągnie ku murom miejskim, by się śmierci zaślubić. Lud kłęka, biskup go błogosławi. Teraz już bramy miejskie, od tak dawna zamknięte, roztworzyły się i wypuściły męczeńskie grono.

Tomasz i zacne towarzysze jego już się zbliżają do pierwszej straży oboznej nieprzyjaciół. Giermki książęce zdaleka już spostrzegły pochod uroczysty i poznały biskupa. Wpadłszy tedy do namiotu Henryka donoszą, że sam Tomasz, któremu jest tak zaciętym wrogiem, zbliża się do obozu. Nie wierzy zrazu książę, potem uderzony podziwieniem wyskoczył z namiotu, rzuca się spiesznie naprzeciw biskupowi i, jakby tchnięty niebiańskim promieniem, pada twarzą na ziemię, i woła: „Ojcze! zgrzeszyłem!...“ — Biskup podnosi go, przytula do siebie i łza spłynęła zwolna po wyschłych, białych licach: przebacza mu z całego serca. A ów Henryk, twardy i hardy, teraz z całych piersi na głos zapłakał. Gdy takie łzy na ziemię padną, uśmiechają się anieli w niebie.

Obaj ci ludzie, co niedawno gorzeli nienawiścią ku sobie, teraz ściskając się i całując w zachwyceniu radośnem wzięli się pod rękę, i sami, bez świadków, weszli do kościoła św. Mikołaja. I Bóg wysłuchał ich modlitwy, i łaską swoją pojednał ich na życie całe.

Biskup i książę wystąpili ze świątnicy z rozjaśnionem obliczem, a Henryk poznał, jak to ludzkie serce ubogie, gdy nienawidzi, jak bogate, gdy miłuje.

Henryk wrócił biskupowi wszystko, co mu był dawniej zabrał, owszem uczynił nowe, hojne nadania dla katedry wrocławskiej. Wszak nam prawią kronikarze, że nawet później sam Wrocław odstępował Tomaszowi, co atoli kapłan zacny oddalił od siebie, nie pragnąc władzy światowej. Rozumie się też, że arcybiskup gnieźnieński zdjął rzucone klątwy swoje.

Lecz wróćmy do Raciborza. Tam było huczno i radosno, gdy od ust do ust puściła się wiadomość weselna, że biskup ocalony, że go sobie książę przyjął za brata od serca. Więc już wszystkie bramy na oścież roztwarto, a we wszystkich bramach teraz zgłodniałe biedaki witają zapasy dawno niewidziane. Więc brzmią wesołe ochoty i świetne festyny; więc z za muru wezwane do miasta na biesiadę Wrocławiaki uczują teraz z Raciborzanami, i piją kolejnego na wieczne braterstwo i wzajemne, niustające kochania.

O Henryku nie ma czego dłużej prawić; chybabym przypomniał jeszcze, że mieszczenie krakowscy po śmierci Leszka Czarnego, 1289 r., wezwali tego Henryka do Polski; że on umarł niby jako książę krakowski i sandomirski. Przecież te tytuły z imienia i z rzeczy należały się, jak wszyscy wiemy, raczej Władysławowi Łokietkowi.

Henryk zaś, choć otoczony świetnością i odziany chwałą, smętnie dobił kresu żywota swojego; był bowiem, jak piszą, otrutym przez własnego lekarza. Wszak też było w one czasy bardzo szaro i chmurno, i na Szlązku i w Polsce, ba, na całym świecie nie było lepiej. Moznaby wyliczyć cały szereg szlązkich książąt, co nie swoją śmiercią skonali. Napady, zdrady, uwięzienia, gwałty, toć było naówczas prawie rzeczą powszednią. Dość wspomnieć na dzieje następcy po tymże samym Henryku.

Temu następcy także było na imię Henryk (V). On na dworze swoim chował Pakosława herbu Habdank, i wielce mu był łaskaw, hojnemi darami i dobrodziejstwami go obsypując. Zdarzyło się, że on Pakosław, niewiedziąc czyli z niebacznosci, czyli z trafu ślepego, popełnił mężobójstwo. Pokrewni zabitego stanęli przed Henrykiem, czyniąc skargę i żądając sprawiedliwości. Przywołany Pakosław przed oblicze księcia nie tał czynu, lecz nie przywiódł ani jednego słowa ku obronie swojej; znając bowiem skłonność księcia do siebie, ufał więcej przyjaźni i sprawiedliwości jego. Henryk z żalem widział upór zuchwalca, atoli szczerze miłując obwinionego radby był z serca, aby go ocalić; więc go odprawił, wyznaczając mu czas do namysłu a obrony. Poczem powtórnie Pakosław staje przed księciem. Lecz on, ciągle trwając w uporze swoim, ani teraz nie otworzył ust na odparcie żaloby mu zadanej. Wtedy książę po raz trzeci odprawia go, dając raz jeszcze czas do głębszego namy-



słu i porady z przyjaciółmi. I po trzeci raz stanąwszy wobec księcia Pakosław pycha stwardniała odrzuca od siebie wszelką myśl obrony. Tak to on dufał Henrykowi i życzliwości jego. Jednak książę ze sercem bolejącem i drżącemi usty tak do niego przemówił: „Gdy nie masz, co byś mógł przywieść za niewinnością twoją, niechaj ci uczyniona będzie sprawiedliwość!“ I przystąpiły zbrojne pachołki, i sprowadziły po zamkowych schodach na dziedziniec książęcego grodu. W osłupieniu stanęli w koło szlączy rycerze, dworzanie i służba zamkowa. Głowa Pakosława spadła od ręki katowskiej (\*).

Wśród całej tej sceny tragicznej, której było tak krwawe rozwiązanie, stał na boku młodzieniec dwudziestoletni, i słuchał mów zachwałych Pakosława, i przestróg książęcych — i on w ciżbie zeszedł na dziedziniec, i widział jak się potoczyła po bruku głowa skrważona. Milczał młodzieniec, bladeść na jego twarzy bledszą była od oblicza onej ściętej głowy. W piersiach zapłonęły ognie uczuć i krew warem zakipiała w sercu. Młodzieniec milczał. Gdy już było po wszystkim, zniknął w korytarzach ciemnych, długich zamku. Tym młodzieńcem był Lutko, rodzony syn nieszczęsnego Pakosława.

Książę Henryk, człek otwarty, szczerem a całym sercem ufając młodzieńcowi, o niczem złém nie myślał. Przecież był ktoś z dworzana jego, co w czasie onych tragicznych, smętnych chwil, miał Lutkona na bacznem oku. Bystrém spojrzeniem zajrzał w głąb serca młodzieńca; a potem, wraz z innymi powiernikami księcia, udał się do Henryka, przywodząc mu niebezpieczeństwo, mogące urość dla niego, gdyby dłużej przy boku swoim trzymał syna Pakosława, — zaklinając i błagając, by go wydalil z domu swojego. Książę na to wezwał do siebie Lutkona, i w obecności rycerstwa, dworzana, tak do niego mówił: „Widziałeś na własne oczy twoje, jako ojciec twój samowolnie wyzwał na siebie sprawiedliwości miecz. Teraz daję z dwojga do wyboru: albo wyrzuc ze serca uczucie a do czysta pamięć skonu rodzica swojego i wszelkie nienawistne uczucie, albo opuść dom mój i służbę moję. Masz ośm niedziel do namysłu!“

Po ośmiu tygodniach Lutkon z gromem przyjaciół przyszedł do księcia, i padszy przed nim klęczkiem, tak do niego przemówił: „Widziałem na własne oczy moje, jak ojciec mój samowolnie wyzwał na siebie sprawiedliwości miecz! Świadcząc się Bogiem, przysięgam, że ani w słowach, ani w czynach, nie będę chował w sercu żadnych uczuć nienawistnych ku tobie panie.“ I płacze młodzieniec, zaklinając się na wszystko, co jeno najświętszego na niebie i ziemi. I wola: „Panie! pozwól, bym był sługą twoim.“ Henryk, na to do

(\*) Kłose. Breslau I. 2. str. 571.

Stenzel, Chronica Princip. Polon. Script. str. 116 i następ.

łez rozrzewniony, odwrócił twarz wzruszoną od kłęczącego, i na wieczną zgodę podał mu prawicę drżącą, i rzekł: „Jać od tej godziny będę ojcem twoim!“

I od tej chwili też, zacne ksiązę nie litował ani upominków, ani szczodrych darów dla młodzieńca, by mu umaić życie jego. Przecież więcej, niż dary i upominki, ważyły uczucia serdecznej miłości, któremi otoczył Lutkona, i miał go zawżdy i wszędzie za syna swojego, strzegąc od szwanku i chroniąc od złego, a powierzając mu później najważniejsze sprawy.

Zdarzyło się wtedy, że ksiązę Henryk miał śmiertelnego wroga w Konradzie, księciu na Głogowie, co oddawna knując zdradę w sercu stroił zasadzki, by umatnić wrocławskiego księcia i dostać go w moc swoją. A jak zwykle dobry człek dobrego, tak i zły przeczuwa złego. Niecny Konrad wywróżył sobie ciemnego ducha, co się czaił w złém sercu Lutkona. Gładkimi tedy słowy i podarki kusząc młodzieńca, przywiódł go do tego, że tenże bez wiedzy pana swojego wymknął się z Wrocławia i eichaczem udał się do Głogowa. Tutaj Konrad, jakby mistrz sztuk piekielnych, słówkami palącemi jadem, wskrzesił pamięć straconego sromotnie Pakosława, budząc zemsty i nienawiści szatany w sercu synowskiem. I dokazał swego!

Jakoż, gdy Henryk, nie przeczuwając nieszczęścia żadnego, kąpał się w Odrze, tuż przy zamku swoim, słudzy jego zrazu zoczyli na drugim brzegu Lutkona na czele jeźdźców, rzucającego się wpływ przez rzekę. Pobiegli śpiesznie do pana swojego, przestrzegając o tém co widzieli, a czego sobie wytłómaczyć nie umieli. Lecz ksiązę rzekł: „Wszak to Lutko, mój najwierniejszy sługa, co go kocham jak syna! Gdzie Lutko — tam nie ma dla mnie szwanku ani obawy!“ Ledwie atoli Henryk wyrzekł te słowa, a już Lutko niecnota, dopadłszy księcia, pojął go. Szamotali się uczciwi słudzy ze siepaczami; jednak, bez broni będąc, wnet byli powaleni; jeden nawet z dworzan ksiązęcych rzucił się na Henryka, osłaniając go własném ciałem, lecz w chwili zarabali go łotrowie; potem śpiesznie wsadzili przemocą księcia bez sukni na konia, i cwałem, ile konie wyskoczyć mogły, uprowadzili. — Pędzili z nim cały dzień, okrywszy go jakimś płaszczem starym, pędzili noc całą, aż nie stanęli w miejscu, kędy ich czekał Głogowczyk. On już był przygotował dla wrocławskiego księcia męczarnie wymyślne; bo sporządziwszy skrzynię drewnianą, zewsząd żelazem okutą, w niej uwieził nieszczęsnego Henryka. A skrzynia tak była ciasna, że ksiązę pojmany nie mógł ani stanąć, ani usiąść, ani się położyć. Bo on się uwziął, aby go katuszami zmusić do odstąpienia księztwa. Sześć długich śmiertelnych miesięcy, długich jak wieczność, przetrwał w mękach skonania więzień; ciało jego za życia się psuło, jakby już był umarł. Nakoniec okupił ostatki dni, które mu zostały na świecie, dając darem Głogowczykowi wielką część dziedzictwa swojego.



Dzieje takowe, pełne ohydy szkaradnej, powtarzały się w dziejach szlązkich; zabójstwa, zradne uwięzienia w turmach ciemnych, męki zadane nieprzyjaciołom, morzenia śmiercią głodową posłów, gwałty i nadużycia okrutne władzy — toć były jakby wypadki codzienne, powszednie. Dodajcie do tego jeszcze stosi, na których płonęły czarodzieje, prześladowania za wiarę, ludożercze wojny Husytów — a będziecie mieli naprędce obrazek ówczesnej historii. Wszak wszędzie tak bywało, wszędzie broiła rozkołysana, bezuzdna chuć zemsty i dzikość żądzzy zmysłowej. A choć później się nieco ustały rozniecone namiętności, ujęte w karby potężniejsze rządów, toć przecież w czasach, gdy się rozszalały wojny, znów dzikość a surowizna barbarzyńska, chwilowo ugłaskana, występowała z całą ohydą, pokazując zwierzęce szpony swoje. Wszak to półczwarta stulecia minęło od onych dziejów Henryków wrocławskich, gdy Szlązk po wojnie trzydziesto-letniej stał się pustym, umarłym cmentarzem. Kronikarze nam prawią, że po tym Szlązku, co dziś tak spokojny, ruchawy, bogaty i wesoły — naonczas przez cały dzień jeździć można było nie spotykając żywej duszy. Pożogi, potwór zarazy śmiertelnej, morderczy najeźdźca, głód, chodziły od powiatu do powiatu, wytępiając ludzki rodzaj. Wsie i miasteczka spalone sterczały w głuchej niemocie, z pod gruzów tu i ówdzie wyzierały trupy. Trzeba było jakby przez pustynie Wschodu przebywać ówczesny Szlązk, jednocząc się w zbrojne karawany; bo nawet psy, niegdyś wierne towarzysze człowieka i stróże potulne wiejskiej zagrody, łącząc się z wilkami w stada, napadały samotnych wędrowców, rozdzierając i pożerając człowieka, któremu miały być towarzyszem i obrońcą. Mówią też, że od tego czasu Szlązk nie wrócił więcej do zamożności dawniej.

Niechaj się święci cywilizacya! — Ona lubo nie zdołała jeszcze wyzwolić zupełnie istoty ludzkiej z pod demona złych chuci, przecież uszczupliła mu potęgę — a co więcej, zrodziła rumieniec wstydu w ludziach, co choć jest jedynie mocą negacyjną, przecież jest tak silnym sprzymierzeńcem idei moralnej, iż nawet zło jest rade przecież ubrać się w pozory słuszności i prawa; a choć kłamie, jednak udaje, że mu idzie o zakon boży i ludzki. Ztąd nadużycie przemocy, gwałty wyrażone prawu, z każdym lat dziesiątkiem traciły pierwotny bezwstyd swój, a społeczność we wszystkich względach coraz to więcej zaczęła dbać o cześć a uczciwe imię, a tak stawała się sama uczciwszą, moralniejszą i coraz to więcej z istoty swojej chrześcijańską.

Niechaj się święci cywilizacya, co w tryumfach obchodzi uzaczenie natury ludzkiej! Te tryumfy tak są świetne, że jęj przebaczyć można, choć nam i popsuły trochę malowniczość lasów! — Cofam i ja chętnie moje jakieś fochy, którem wyjawili, patrząc na one wrzekome bory cywilizowane. Nie widać tu wprawdzie puszczy, onych wspaniałych świątnic przyrody, lecz je może w części wynagradzają owe tak miłe a przerażne zjawiska, które wszędzie spostrzeżesz,

choćby przelatując parą kraj. Oto naprzykład te proste stróże kolei żelaznej: to przecież ludzie niezamożni i nie wykwintni, a jednak ustroili sobie najczęściej, jakby wiankiem, ogródkami budki swoje, wzdłuż kolei stojące. W tych ogródkach świełek kwiatów pysznie rozwiniętych, z których wiele wcale niepospolitych — a nawet kosztowniejszych i wymyślniejszych; znać, że je hoduje ręka umiejętna a miłująca wdzięki natury. Nie dziwiłbym się nawet, gdyby się w tych budkach znalazły i lepsze jakieś książki. Wszakże niedawno, chcąc się rozpatrzeć w starożytnym i okazałym ratuszu wrocławskim, i obaczyć miasto i okolice, wstąpiłem na wieżę ratuszową i tam u stróża widziałem troszkę klasyków niemieckich i tragedye Shakespear'a. Coś to bardzo się zmieniło od czasów onych wrocławskich Henryków.

Lecz gdy już każdy, nieobrany spelną z rozumu i ze serca, odda z duszy całej cześć tej cywilizacyi, niechaj sobie na myśl przywiedzie dawne barbarzyńskie czasy, a przyzna, że to właśnie nauka gruntowna i głęboka umiejętność były jej potężnemi czynnikami. Rozumie się, że to nie owa nauka, będąca li błyskotnym bawidłem, nie umiejętność z amatorstwa hodowana, ale sumienna praca okolo wiedzy, która życie całe chłonie; ta jedynie dała światu treść i wagę, umacniając go w prawdy najświętsze, wedle których toczy się piasta wszech-rzeczy stworzonych. Nauka i umiejętność takowa wysyła na wszech-strony duchy swoje, co choć niewidzialne, choć słuchem, ręką i okiem ludzi nie ujęte, wszędzie są obecne, wszędzie przytomne. One panują nad człowiekiem choćby nieukiem, władają jego sercem — one wypuszczają na niego sny w nocy, a przeczucia we dnie; bo te duchy żyją w powietrzu, którem oddycha, w zdroju, w którym gasi pragnienie. Tych duchów jest pełen świat, ich nie zaklnie czarodziej żaden, ani urzędze żaden guślarz ciemno-głowy. A wszelki przemysł, wszelkie silenie się praktyczne, posuwające świat, są jedynie wyrobnikami, czeladzią w służbie prawd wyważonych z głębi nauki i prawdziwej a nie kłamliwej teoryi.

#### Wiedzi.

Tu byłoby zaiste o czem pisać a nawet pod względem sztuki i pod względem życia; dotykając wszelako tym razem Wiedzi w przelocie tylko prawie kilkogodzinnym, nie wspomnę o żadnym z tych przedmiotów, mogących być treścią tak bogatą dla uwagi naszej. A będąc zajęty zakupnem kilku jeszcze drobiazgów, co niby fraszki, ale gdy nimi wzgardzisz i zapomnisz, one w drodze, jakby złe demonki, mszczą się za takowe lekceważenie i zaniedbanie. Trudno atoli było nie wstąpić, choćby na chwilkę, do właśnie otwartego kościoła Augustyanów, i nie przypatrzeć się znów grobowcowi arcyksiężnicz-



ki Krystyny, który jest isticie arcydziełem Kanowy, — a trudniej jeszcze nie wejść do poważnego a mrocznego wnętrza Św. Szczepana i obejść go w koło, bo ta średniowiekowa architektura gotycka staje przed nami jakby kamienna epopeja, a epopeja śpiewana przez stare wieki. Pojawienie się kościołów, jakim jest Św. Szczepan wśród współczesnego nam czasu, działa jakby *memento mori*, jakby wystąpienie proroka, co wśród tańców i wrzawy powszedniej, wśród płasów, śpiewów i biesiad wesolych wieczność przypomina. Patrząc na takie budowanie, dziwna potęga zawładnie sercem człowieka; każdy uczuje na ten widok, jakby naprzemiany, to kurczenie się duszy swojej w karła, to znów dźwiganie się jej w olbrzyma, bo każdy w obec budowy takowej to maleje, to rośnie w nieskończoność, czując, że to sprawa zacia człowieka. Taka architektura, wyrabiana w ciosowce dziergane, jest jakby książką sybillińską, której się odczytać, której się i doczytać nigdy spełna nie zdołasz.

Śpiesząc przez te ulice tłumne, gwarne, ludne, świecące bogactwem składów i sklepów, nabitych wymysłami elegancyi nowocześniejszej a błyszczącego zbytku, już prawie minąłem kościół Franciszkański (Minorytów), gdy sobie przypomniał, że w nim właśnie umieszczona jest owa przesławna kopia, sławniejszej jeszcze „Wieczerzy Pańskiej“ przez *Leonarda da Vinci* (\*).

Jak to niekiedy bywa, dziwnym splotem okoliczności zawsze tak mi się wydarzało, że w czasie moich dawniejszych pobytów w Wiedniu, nigdy mi się jakoś nie zeszło, abym obaczył tę mozaikę. Wiedziałem, że oryginał tego arcydzieła, czekający mnie w Medyolanie, tak zbezczeszczony gwałtami żywiołów, a więcej jeszcze barbarzyństwem ludzi, jest dziś jedynie upiorem pierwotnej swojej piękności. Znałem ja wprawdzie obraz ten z owej głośniejszej w świetle ryciny *Raffaella Morghena* (\*\*); dziś atoli już jest rzeczą niewątpliwą, że lubo dzieło Morghena jest samo najwyższem arcydziełem rylca, przecież jest tylko niewierną kopią oryginału. Więc jakże nie korzystać ze sposobności! Wstąpiłem tedy do kościoła. W nim cisza uroczysta, bezludna, dziwnie ukołysała duszę po wrzawie głośniejszej, turkotnej ulicy. Mozaika ta wykonana jest w wielkości oryginalnego obrazu, umieszczona we właściwej wysokości, w trafnie dobranem świetle. Mógłbym się tedy tu rozwozić szeroko i długo nad genialną koncepcją Leonarda, nad tą jego kompozycją, mogącą być modłą dla wszystkich kompozycji artystycznych, a zatem nawet nauką głęboką dla wieszczów; rozprawy takowe tém więcej byłyby mi na rękę i tém więcej zrozumiałe, iż wizerunki „Wieczerzy Pań-

(\*) Kopię tę w rozmiarach oryginału wykonał znakomity artysta na polu mozaiki *Giacomo Raffaelli*, ur. 1770. — St.

(\*\*) *Raffaell Morghen*, pierwszorzędnny rytownik włoski, ur. 1758 we Florency, umarł tamże jako professor Akademii sztuk pięknych r. 1833. — St.

skiej“, najgęściej rozpowszechnione po świecie, są właśnie kopiami obrazu Leonarda: wszak nawet rycinki, znajdujące się w zwykłych książkach do nabożeństwa, są przypomnieniem tego arcydzieła, a ztąd już ułatwiłyby nam niemało rozbiór wszelki. Jednak wolę zachować się z tém wszystkiém do stosowniejszego miejsca, bo do chwili, gdy obaczę sam oryginał w Medyolanie; tutaj ośmielam się jedynie wyznać, że wrażenie, jakiego doznałem patrząc na tę mozaikę, nie wyrównało oczekiwaniu. Może moja własna w tém była wina, może nadzieja moja była zbyt wygórowaną — temu nie przeczę, zataić atoli nie mogę, że koloryt zdawał mi się niby przygasły, omdłały, a mimo to kontury przecież jakieś szorstkie i twarde. Obraz ten uczynił wrażenie, jakobym się patrzył na kobierzec cudnej roboty, ale oddawna spłowiwały i poszarzały. Jednakże ta mozaika jest wyrobiona z taką miłością, z taką prawie pobożnością dla arcyministra, który ją w głębiach ducha pojął, że liczyć się zawsze będzie między klejnoty sztuki swojego rodzaju. Wiadomo téż, iż w czasie, gdy wicekról Lombardyi Eugeniusz Beauharnais polecił mozaistcie *Raffaelliemu* wykonanie tej pracy (za 400,000 franków), dzieło oryginalne było natenczas tak zniszczone, że Raffaelli już nie wiele zdołał się go radzić i trzymał się głównie kopii olejnej, stworzonej pędzlem sumiennym malarza *Bossi*, który był wszystkie poprzednie kopie najtroskliwiej porównał, i wykonał pracę swoją ile mógł najwierniej (\*). Bądźcobądź, mimo nieskończenie licznych rycin, kopij olejnych, a nawet kartonów tu i owdzie zachowanych, dzieło wielkie wielkiego mistrza już nie będzie wskrzeszone dla ludzi. Smętne szczątki, pozostałe dziś z tego obrazu, są dowodem, jaką ogromną, niepowetowaną stratę poniósł piękności świat. Napoleon, za czasu pierwszej bytności w Medyolanie, odwiedzając refektarz klasztoru w Santa Maria delle Grazie, uderzony był cudnością tego arcydzieła, napisał na kolanach rozkaz, aby klasztor był wolny od załogi wojskowej; daremnie — obraz zniszczał, a światu dostały się spuścizną jedynie kopie, ryciny i mozaiki.

Samotność cicha świątyni, uroczystość głęboka samej treści obrazu, zasmucający los arcydzieła sztuki, i znowu koleje tragiczne tego samego człowieka, co wśród rodzącej się własnej wielkości uczył niweczące się wielkie dzieło dawno zmarłego geniuszu — toć jakby różne tony żalobnego akordu uderzyły na duszę moją i zajmowały myśl, gdy już oddawna znowu byłem wśród gwaru tłumów, cisnących się przez ulice.

Znienacka przeto obaczyłem się w obec sążnistych afiszów przy-

(\*) Giuseppe Bossi, jeden ze znakomitszych lombardzkich malarzy nowszych czasów (ur. 1777 † 1815), wslawił się głównie swoją kopią *Wieczery Pańskiej* Leonarda da Vinci. Studya swoje nad tym przedmiotem ogłosił w nader pouczającym piśmie: *Del cenacolo di Leonardo da Vinci*. Milano. 1810. — St.



lepionych do rogu domu; między innemi odznaczyło się olbrzymie uwiadomienie: że dziś wieczorem, w jednym z ogrodów na przedmieściu, młodszy Strauss będzie się popisywał świeżo skomponowanemi walcami. Nie słyszałem jeszcze dawniej *Straussa* młodszego; miałem atoli przeczucie, że i jego granie będzie mi lekarstwem na myśli zbyt melancholiczne; więc patrzę na zegarek — sam czas! — siadłszy zatem do dryndulki pojechałem do onego ogrodu.

I tutaj, jak zawsze i wszędzie, pełno ludzi wesółych, łatwych do zabawy, nie pogardzających nigdy onemi przyjemnostkami, które życie powszednie daje; stoliki przy stolikach, ba — cały ród stolików! a w około każdego to gronko przyjaciół, to wianek jakiegoś rodziny — tu podwieczorek, tam kolacya, a wszędzie rozmownie i domaszno, dymno-apetyczno; — a gdy się już zmierzcha, więc na każdym stole i stoliku świeca pod dzwonem, i na drzewach wśród liści migocą się latarki różnobarwne. Na uboczu estrada *à la rustica*, na niej pełno świec. Tam stoją muzykanty — wśród nich Strauss młodszy — niedawno temu współzalatnik światogłośnego ojca o berło smyczkowe, dziś samoistny jego władca. To jeszcze człowiek bardzo młody, fizygnomia jego nie tuzinkowa, wtóruje wyrazistą grą twarzy dźwiękom ulotnych melodyj; postać jego, niby cała muzykalna, rusza się z pewną gracją; ale cóż kiedy znać, że jej właściciel wprowadził w rzeczywistość filozofią życia, co skacze, śmieje się i hula w tych lekko-duchych walcach jego. Śmiga żwawo po skrzypcach, przytém daje takt smyczkiem i ręką i nogą i brwiami i twarzą.

Nie znam się dostatecznie na muzyce, bym chciał rozstrzygać między Straussem I a Straussem II, więc powiem jedynie, jak każdy z nich na mnie działał. Słyszac dawniej starego Straussa, zdawało mi się, że każdy z tych walców jest isticie poemacikiem małym, ale ukończonym w sobie, że każdy z nich żyje jakby głębszą myślą, rozkręcającą się wirem kołowrotnym tańca. Były to myśli jakby wytrawnego ucznia Epikura, co wiele się nadoświadczał w życiu, wiele w świecie zgłębił, wiele się naubiegał, namozolił, a nakoniec rzucił to wszystko o ziemię, wołając: furda świat i kłopoty biedy! bajka ambicje i wielkości jego — to wszystko „wielkie nic“! używajmy życia póki się da, bawmy się i kochajmy, hulajmy, bo reszta i tak nic nie warta! — W Straussie młodszym wiele melodyi i dźwięku; przecież te tony jego — to tylko fale drobne z wierzchu duszy zebrane; i one brzmią i oddychają lekko-duchem poniewieraniem trosk i świata — ale przecież w tej jego muzyce wyraźnie dosłuchać się możesz, jako ten wesóły pogląd na życie i losy jego, jest raczej pociągami przyrodzonym, smakiem naturalnym autora, że jest raczej temperamentem wrodzonym, niż summą ostateczną i rezultatem najwyższym filozofii żywota. Demonek, żyjący w tych jego walcach, już nie szuka, jak u starego Straussa, zapomnienia biedek i kłopotków, bo

ich nigdy nie doznał, nie poniewiera światem, bo nie wie o nim. Dusza młodszego Straussa już nucąc i walcując na świat się zrodziła.

Ten stary Strauss — toć podobno był jednym z najgłośniejszych ludzi na całym ziemskim planecie; gdy zagrał na zaczarowanych skrzypkach swoich, już tańcowali w Sztokholmie i Neapolu, w Warszawie, w Lizbonie, w Konstantynopolu, w Moskwie, w Nowym-Jorku, w Paryżu. Wszak podobno nawet królowa jejmość Pomare, hasała i puszczała się kręconego, wedle przykazu Straussa. Cały świat tańcował na tę nutę jego. Słyszac tę muzykę zdawało się, że widzisz na oczy te walce, że widzisz jak wylatują ze skrzypków jego rojami gnomki skrzydlate, pokusne, urodne geniuszki, coby rade udawać aniołków, ale im się to nie wiedzie, bo ich ojczyzna i królestwo wcale z tego świata. Więc też wśród tych tonów skocznych, hulających, lekkomyślnych, szalonych, słyhać drwinki demonków i ich wyśmiechy ironiczne. Więc po całym świecie szaleją, tańczują młodzi i starzy, i mężowie i niewiasty, tańczują bogaci i ubodzy, szczęśliwi i strapieni — tańczują wśród biedy i skonu, we dnie i w nocy, tańczują na kwiatach i na własnych grobach — rzekłbyś, że to on tańiec ze śmiercią, co go wyrysował ów fantastyczny drwiarz Holbein, co był także facecyonistą straszliwym. I tańcowali na zabój, do upadłego ze śmiercią, aż też ona wzięła w tańiec i samego grajka. I ponieśli biedaka — i zagrzebali; — oniemiały skrzypki jego — dziś one tak potulne, niewinne, jak każde inne skrzypki ze zwyczajnego drewna strugane; w nich pusto, i już na piękne wyteńpione w nich gniazdo djablików, co uleciały szukać sobie innej gospody.

Jednak te skrzypki, choć dziś nieme i potulne, bezduszne zwłoki, jednak one nie grały daremnie! Demonki, djabłatka dokazały swego!

Nie wdawajmy się tym razem w rozprawy szerokie nad wpływem tych walców na historią muzyki, ale wejźmy pod strzechę domową i patrzmy, czyli one goście nie zostawili śladu po sobie. Mniejsza o stękających na zepsucie świata onych trzęsi-głowych obłudników, o tych płaksów z okiem wywróconem, którym każda radość, każda ziemska wesołość zdaje się być sprawą szatańską — o nich mniejsza; jeżeli atoli przynajecie, że dziś muzyka stała się chlebem powszednim, że dziś w każdym domu, na każdym piętrze rzepoli i stęka i jęczy, jak w czyścęcu od rana do nocy, jakiś nieszczęśliwy fortepian, jeżeli przynajecie, że muzyka stała się dziś koniecznym czynnikiem wychowania i towarzyszką nieodstępną życia, czyliż nie warto bliżej zajrzeć w oczy tój jejmości, czyli tutaj nie stosowniejby było, niż w innych razach pytać się o pochodzenie tój pani i o to „kto ją rodzi“? — Może to zły duch! — Więc nie zawadziłoby zakląć ją i przywitać starowocznem słowem: „wszelki duch Pana Boga chwali“! — Wszystkie oczy starsze, niby strażniki kontrabandy, pilnują, by jakiś romans Kocka, śpiewka Bérangera, albo kto inny z tejsze wsi nie wniósł się między panienki młode. Ale romans Kockowy



a śpiewka Bérangera, toć przecież z góry, uczciwie składają na progu domu wyznanie swojej wiary; tymczasem zdaje się rzeczą bardzo gładką, gdy panią podłotek, nauczywszy się ledwie stawiania palców na klawiszach, zrywa się do wygrywania samych walców zawrotnej namiętności, do polki (\*), co nie polskim ale czeskim tanem, co hasa rozlukanym szaleem zmysłów.

Ba! nie radbym uchodzić za przesadnego pedanta, i ja wiem, że nuty do tych walców i polek nie koniecznie już są krogulczym pazurkiem pisane: co więcćj, ja wierzę, że nawet w samej polce-tremblante nie koniecznie zawsze djabeł tańczy w pierwszej parze, — ja w to wierzę (a to niemała grzeczność z mojej strony), ale niechajże i inni nie przesadzają, niechaj się zgodzą, że sama ta płochą, lekka muzyka, pewnieć nie przyczynia się do głębokości uczuć, do uszlachetnienia duszy młodych osób. Że takowa strawa muzyczna bardzo mało pożywna, to znać już z ogromnej ilości tych kompozycyij Straussowskich. Strauss pisał i pisał, co mu papieru stało, co mu palców starczyło, i wyrzucał te nuty swoje w świat tak gęsto, tak często, jak ptaków stada — a co który nowy walec — to piękniejszy, dźwięczniejszy. I pisał i pisał, a to wszystko świat pochłoniął, połknął, strawił, przegrał, przetańcował do szczytu — i zapomniał na piękne. Jednak choć je strawił i zapomniał, toć przecież i to prawda, i to jest *factum*, którego nikt nie zaprzeczy, że smak do tój lekko-nogiej, płochy-serceij muzyki tak się zagęścił, tak się rozsiadł po domach i rodzinach, jak o tём ani myśli było przed Straussem. Lecz temu wszystkiemu warto bliżej się przypatrzeć.

Pyta może kto: o cóż tedy mi chodzi w tój muzyce? Łatwa odpowiedź! byleby pytający pierwój odpowiedział, poco młodzież uczy się muzyki, dając tój nauce na ofiarę tyle godzin wiosennego życia swojego? Powiadają nam, że uczą się muzyki naprzód: bo taki zwyczaj powszechny, tak już przyjęto w świecie! Zgoda — bo wszelka chęć odróżniania się jest dziwactwem, a świat przestał już kochać się w oryginałach, a może go już nie stać na nich, jak go nie stać na samodzielne fizyognomie, bo dziś w tym świecie nikt już nie jest samym sobą, a każdy zawołać może: „ja jestem milion!“ choć tym razem nie w tym sensie, jak to niegdyś wyrzekł ów wielki nasz wieszcz! — Dalej prawią, że dzieci uczą się muzyki, bo toć przecie miłe rozerwanie się po pracy; grający, śpiewający zabawi siebie i rozweseli drugich. I na to zgoda, bo i to nielada argument. Dalej mówią: może też w jakięjs panience okaże się talent świecisty, a wtedy byłoby czém nie na żarty zabłyskotać przed światem. — To już dalibóg trudno! Wszak z graniami, które przed 30 laty zwano koncertem, już dziś nie odezwie się nawet panią kilka kilkonasto-letnia, choćby w kółku większém przyjaciół, zebranych na jakie imieniny w domu rodziców, choćby wiedziała, że każdy z nich sutą gościnię na pewne oklaskiem zapłaci. Wierzajcie

(\*) Właściwie „holki“.

atoli, że to twarda, że nie łatwa sprawa, zwłaszcza w tym czasie wirtuozów, których muzyka najczęściej wyprawia sztuki lamane, magając koziółki, jakby już wszystkie kości miała zgruchotane. I nie dziw; bo ci panowie najczęściej całe pojęcie muzyki do góry nogami przewrócili. Bo nam ludziom zwyczajnym a profanom gospodarski rozum powiada, że mechanika, że technika muzyczna, jako zewnętrzna forma, jest potrzebna, aby było czém wyrazić treść duchową. Powiadamy przeto, że wykonanie — to środek, a treść — to cel; lecz ci ichmoście wołają: „Przepraszamy, nie znacie się, treść — to bajka, a szaty, forma — to grunt. Duch — to żarty; palce — to rzecz; w to nam grać! — Tu nie chodzi o myśl, która się wykonawa, ale o wykonanie samo.“ Nie ma tedy dziwoty, że palce bawią się w bajaców, skacząc, poliszynelując i udając, że ich jest 20, ba 40!

Niechaj nam tedy żyje mistrz Karol Lipiński! Niechaj nam żyją wszyscy jemu podobni wirtuozy, artyści, których, chwała Bogu, jeszcze nie braknie. Pókiż to jednak będzie jeszcze tych przekupniów, co założywszy stragi swoje szarlatanijskie w przedsionkach świątyni muzyki kupczą, frymarczą i szachrują tonami? — Wszak szczęść Boże, już niemyślne oznaki nam wrożą, że czas wirtuozów już przemija, więc może — już przeminął.

Wróćmy atoli już do pytania naszego. Mała nadzieja, jak widzim, aby gra świetną, zuchwałą, olśnić salony.— Ale powiecie: niechajby się rzeczywiście w pacholeciu mnieją zamożnej rodziny pojawił jakiś talent promienny, czyliby to pacholę, choć tak małe, nie mogło wygrać dla siebie sławy, a dla rodziny całej stać się potuchą a ulgą w ciężarach materialnych życia? — Niechajże człek każdy uczciwy a bez uprzedzenia powie, czyli już nie dość tych biednych dzieciuchów koncertujących po świecie, które, nie zaznawszy nigdy uroków lat dziecięcych, wśród twardej pracy zaprzędają się nadziejom tak często zawodnym, i to wczesną starością umierają z trudów, to zapóźném rozczarowaniem poznają, że owe talenta zawczesne nie dostały swoim przyrzeczeniom świetnym a tak kłamliwym. Wyznajmy, że idąc na popisy takich pacholąt, chodzim raczej na dziwowisko, niekiedy dla dobroczynności i jałmużny, ale nigdy, lub bardzo rzadko, dla muzyki. Biedne to dzieci! Wszyscy je niby uwielbiają, a nikt im nie zazdrości.

Więc pocoż młodzież uczy się muzyki, zkąd potrzeba tej nauki, wymagającej tyle mozolnego zachodu, a tak kosztownej, zwłaszcza pod względem czasu, który jej dajemy na ofiarę? — Jużcić jasna rzecz, że tu nie sama czcza moda jest potęgą niewołącą; moda, zwyczaj nie miałyby tej siły wskroś przenikającej, tak wytrwałej i upornej, bo z każdym prawie rokiem więcej się wzmagającej między ludźmi. Znać, że powód tu jest głębszy i tkwiący w samym duchu i społeczności nowożytniej. Ja myślę, że ta potrzeba, to pragnienie instynktowe muzyki ztąd się rodzi, że jakby wróżba wewnętrzną czujemy, że dla wychowania chrześcijańskiego środkiem pomocniczym



jest ta sztuka, która właśnie przed wszystkiemi innemi jest sztuką chrześcijańską.

Tak jest. muzyka jest sztuką najwięcej odpowiednią duchowi chrześcijańskich ludów. Gdy wiara zbawienia promieniem swoim rozświeciła tęskne, ciemne serca tajniki, wtedy przebudziły się anioły w piersiach ludzkości, anioły, co ciężkim snem przez całe te długie stulecia, przez te długie lat tysiące starej pogańskiej historii spoczywały nieme w duszy człowieka. One się ocknęły na wołanie wiekuistości i zaśpiewały hymny o Bogu, o wyższem pochodzeniu człowieka, o zacności jego i nieśmiertelnym żywocie. Człowiek cofnął się w siebie, zwrócił oczy duchowe w łono własnego ducha, a wtedy materya i ciężkość, i cała natura, więc i śmierć cielesna straciły swoją moc. Odtąd zaczęły się dzieje wewnętrzne, dzieje uczuciowe dla świata. A natura, a materya oniemiała dla niego, barwy zewnętrzne świata przygasły, osłępiły, straciły znaczenie swoje.

Tak tedy z jutrznią wiary chrześcijańskiej, na miejsce sztuki materialnej, zewnętrznej, pojawiły się sztuki uduchowione, idealizujące. A gdy przestrzeń jest podstawą wszelkich jestestw materialnych, obejmując cały świat zmysłowy, zatem też w miarę uduchowienia się form piękności, znika zarazem z materyą znaczenie przestrzeni w dziełach sztuki. Nie dziw tedy, że za chrześcijańskich ludów rzeźba zestąpiła z panowania nad państwem piękności, że jej miejsce zajęło malarstwo a mianowicie muzyka. Bo rzeźba, owa ukochana sztuka Grecyi i starego Rzymu, jest jeszcze sztuką materialną; jej posągi wymierzają wszystkie kierunki przestrzeni, ich wątek jest materyą bezwładną, ciężką; zatem rzeźba ma na względzie ciężkość tej materyi, a co więcej ta sztuka liczy jeszcze na światło rzeczywiste, które znajduje w naturze, więc jeszcze nie stwarza sobie światła idealnego, uduchowionego. Inaczej czyni malarstwo.

Malarstwo o tyle jedynie ulega rzeczywistej przestrzeni, o ile uwzględnia wymiary samego obrazu swojego; samo jednak dzieło malowane, ujęte w granicach obrazu, jest wolne i wyswobodzone od tych rzeczywistych wymiarów, bo ma własne oddalenie swoje (perspektywę), własne wymiary, skrócenia, a tak stwarza własne idealne zmyślane przestrzenie; obraz ma i własne światła i cienie swoje, własne oświecenie idealne; a ciężkość, ta zupełnie znikła, bo przedmioty malowane nie wazą — została sama ciężkość zewnętrzna: płótna i farb. A cóż dopiero dzieje się z muzyką! — Ona jest sztuką nad wszystkie sztuki dla chrześcijańskiego świata. Tu ulotniła się przestrzeń, rozplynęła się tchem materya; ze wszystkiej materyi zostało jedynie drganie powietrzne, niewidzialne, rozplywające się falą dźwięku. A jak uczucia, myśli, wizerunki niewidome fantazyi, radości i trwogi, nadzieje i tęsknoty, słowem wszystkie dzieje wewnętrzne duszy rodzą się i przepływają w czasie, tak też i muzyki tony, jej akordy i jej melodye i harmonie ulatują w czasie, do wiekuistości się unosząc. W muzyce historia wewnętrzna ducha i jego przeczcucia

ubierają się w dźwięki; w niej duch słyszy samego siebie, słyszy własne zachwycenie swoje, widzi siebie w chórze aniołów, czuje, jako mu wyrastają skrzydła promienne cherubinów, a te skrzydła, z harmonii i tonów złożone, unoszą go w niebo na rozcień otwarte. Spadły zwłoki materyi. Poniżej — na dole, na ziemi została materya i ciężkość jęj, a barwy i jęj światła i cienie przygasły — umarły (\*).

Tak muzyka, jako sztuka, odnosząca się najwięcej do wnętrza człowieka, idealna, duchowa, uznaną też była przez świat chrześcijański za sztukę, zrodzoną z własnej krwi, własnego ciała jego, bo przecież ten świat chrześcijański także żyje życiem wewnętrznym, idealnym, duchowym. Człowiek, krzyżem na świat wychrzczony, słysząc proroki wiekuiste we wyrocznicy serca swojego, tonąc we własnym duchu swoim, tym wróżbom wewnętrznym, tajemniczym dał posłuchanie; on, słysząc muzykę Bożą, brzmiącą w sercu jego, party był niewymownym rozrzewnieniem, aby tej treści ducha swojego, będącej nieskończoności odgłosem, nadał ciało i wyraził ją tonami muzyki zewnętrznej, doczesnej.

A jak w historii powszechnej uczucie siebie, uczucie własnej osobniczej indywidualności mogło dopiero pojawić się na łonie wiary chrześcijańskiej, co uświęciła głębokie znaczenie i ogromną wagę każdego pojedynczego człowieka, tak też muzyka, owa sztuka, od uczuć chrześcijańskich wybrana i najwyżej ukochana, jest właśnie sztuką, która najbardziej jest stosowną do wyrażenia tej osobniczej indywidualności każdego człowieka, różniącej go od wszystkich innych ludzi. Bo w muzyce, więcej niż w którejkolwiek innej sztuce, mienią się barwą właściwą uczucia i myśli i tęsknoty wewnętrznej treści naszej. A jak ten kontrapunkt, będący duszą chrześcijańskiej muzyki, zestrąja dźwięki i tony różne i odwrotne w jedność harmonii, tak serce, przepelnione wiarą, zlewa w akordy dźwięki doczesne i wiekuiste, tony niebios i ziemi, śmierci a zmartwychwstania; tak słubem świętym łączy osobniczą, indywidualną cechę, pojedyncze piętno każdego człowieka z prawdami, które są zakonem wszech-duchow, i które im Bóg napisał przed światów stworzeniem.

Człowiek muzyką niedosłyszaną serca swojego rozmawia z Bożą miłością na dźwięki, na tony; i nawzajem światów harmonia, wieczności gra, ma wtórowanie swoje w sercu znikomego człowieka; bo on sam jest dźwiękiem, co rodzi się na ziemi, na grobach, na mogiłach, a płynie falą melodyi przez wieczność — przez wieczność całą, pod Boży tron.

Nie dziwny się tedy już, z kąd się bierze ów instynkt nowożytnych czasów, co tak potężnie ciągnie serca wszystkie do muzyki.

(\*) Nie ma tutaj czego obszerniej się rozwodzić nad istotą muzyki i stosunkiem jęj do innych sztuk, boby mi przychodziło powtórzyć to, co w Listach z Krakowa powiedziałem, mianowicie w Liście XXVIII. Tam tedy odsyłam czytelnika.



Wszak w zawiązkach wiary, srogie ciemieźce, barbarzyńcy surowi stopnieli, gdy o ich serca uderzyły pieśni pierwszych chrześcijan, pełne uczucia i tkliwości rzewnej. Więc rosła i rosła ta muzyka, ta wiary zbawczą córą.

W wiekach średnich, obok piosenek światowych i śpiewów kościelnych, zradzają się pierwsze początki kontrapunktu, a w szesnastym stuleciu rozkwitła odrodzona muzyka w całym uroku i wdzięku. Anioł muzyki siał po ziemi, jakby gwiazdy niebiańskie, geniusze muzykalne, co świecili i sobie i światu na chwałę, aż czas nam współczesny, jakby powiewem wiosennym tchnąwszy po sercach wszystkich, rozbudził je muzyką, a ochota do muzyki puściła się w tysiącznych sercach, jak się puszczają tysiączne kwiaty po polach, po łąkach, co nie sadzone, nie siane, kwitną kobiercem nieprzeliczonych barw. Ta miłość do muzyki nie jest modą, bo ona choć pewnie nabierze innych a innych form, przecież już nie przemienie nigdy i na zawsze pozostanie z nami na ziemi.

Jeżeli atoli jest prawdą, że w najgłębszych toniach serca, i w historii ludzkiego rodu śledzić nam wypada tej przeważającej skłonności naszej do muzyki; jeżeli się przekonujemy, że ta ochota nasza do tej sztuki właśnie rodzi się z uczuć, wlanych nam w serca przez wiarę chrześcijańską, więc już teraz nie trudno wyjaśnić i znaczenie prawdziwe muzyki dla nas. Widać, że ona isticie ważnym czynnikiem w chrześcijańskim wychowaniu. Ale tém samém znać już, że jej rzeczywiste przeznaczenie być powinno, aby rozrzewniała uczucia, przejęła serce zacnością i tém, co wielkie i szlachetne; by skąpała duszę w krynicy przezzystej tonów, by ją umocnić niewinnością nieskalaną, by do niej nie miało już przystępu to, co małe i niegodne, co żądzą brudną skażone. W tém znaczeniu pojęta muzyka obudzi sprzymierzeńca wychowania w samym sercu młodém, sprzymierzeńca, co już ułatwi sprawę wykształcenia moralnego. Przecież z tego samego już łatwo zgadnąć, jaki rodzaj muzyki odpowie wielkiemu jej znaczeniu.

Widzimy tedy, że nie popisywanie się błyskotne, tumaniące jest celem tej sztuki z nieba zrodzonej; widzimy, że już bynajmniej o to nie chodzi, by ją koniecznie doprowadzić do mistrzostwa w wykonywaniu przetrudnych muzycznych kompozycji; boć właśnie takowe kompozycje nie zawsze (a może nawet rzadko) należą do tych, które najsilniej i najrzewniej przemawiają do duszy, prorocząc jej o tém, co zacne i wzniosłe w uczuciach człowieka. Tém mniej atoli zdaje się być stosowną ta przerażająca dziś ochota do muzyki tańców, która zaprawdę w niektórych rodzinach tak się zagaęciła, że już krom niej rzadko inną jaką posłyszysz. Tu nowoczesna zapamiętała ochota do tej muzyki tak się rozszerzyła, że już kąkolem a chwastem przydusiła myśl do muzyki głębszej, treściwszej; wszak ta wietrzna, wstąpiwszy na kościelne chóry, odzywa się wśród uroczystości nabożeństwa. Trudno nam przypuścić, aby nadużycie takowe przeszło

bez znaku, aby muzyka tak pusta i płytka, stawszy się nieustającą towarzyszką młodzieży, nie ochuchała jej serca, zwłaszcza dziewic młodych.

Ja tu mówię atoli jedynie o nadużyciu! Bo jestem tego przekonania, że tańce, i im właściwa muzyka, tak wypływają z najgłębszej istoty człowieka, jak płacz, jak boleść, jak nadzieja i radości jego. Ba! przyznaję się nawet do tej wiary, że rzadko i jedynie za osobliwą łaską Bożą się zdarza, aby młodość, smętnie i bezradnie spędzona, nie odezwała się później charakterem nieużyтым, jałowym i samolubstwem w sobie zamkniętym. Jestem najmocniejszego zdania, że człowiek, który się ani serdecznie śmiać, ani się z całej duszy bawić nie umie, pewnie najczęściej także nikogo krom siebie samego kochać nie zdolen.

Owszem raczjby się zalić przystało, że się już dziś bawić od serca nie umięją; a jakże im się bawić! skorupa na duszy, uczucia sztywne jakby jasełka na drutach, a krew zimna niby u gadów— ale za to pretensyj i wymagań co niemiara. Czas dzisiejszy o zmarzszoném, bezochotném sercu, ciska się w taniec jakby w desperacyi, i nie chodzi mu o zabawę, lecz o przechodni szal upojenia. Ztąd tż zaledwie muzyka się przerwie, znów wszyscy skrzepli jakby pośmierne Piotrowiny! Zazdrość nas bierze, gdy od starych słyszemy, jak się starsi od nich niegdyś bawili, jak się to oni umieli lada czém ucieścić, jak mało im trzeba było do serdecznej ochoty. Prawda, że to i owo może być przyczyną tej na szaro odmiany, ale i to prawda, że dawniej jakoś cieplej było w sercu, że było więcej w duszy prostoty, a więcej wzajemnej, życzliwej miłości, a mniej fochów i mniej wymysłów — więc dużo pokoju i przyrodzonej wesołości w charakterach; — wszakże nie rzadko starzy umierali z facecyą na ustach. Więc tż każdy całego siebie oddawał ochotnej zabawie; ale bo tż muzyka była mniej zagmatwaną, mniej sztuczną, a krom muzyki świeckiej i światowej, żyła po domach, po rodzinach, jakby aniołstróż, muzyka nabożna, którą śpiewała matka z dziećmi, dziadek z wnukami. Prosta to była muzyka i nieuczna, a jednak przejmowała duszę do dna, poruszając najzaciejszą jej treść!

„To staroświecczyzna!“ zawołacie. Być może, lecz ja myślę, że w tej staroświecczyźnie, obok pobożności tkwi instynktowa mądrość, nad którą żadna metafizyka głębszej już nie wymyśli. Mniemam, że się z tego wytlómaczę.

Wszędzie pełno utysków, pełno gorzkich żalów, że zgasła dawna świętość rodziny, że nie ma w niej serdecznego spoju. Pod blichtrzem kłamliwych form towarzyskich i udanej spokojności, uczucia nie jednej niewiasty kurczą się boleścią na chłód, mrozący życie jej rodziny; a pod przymilaniem się, wewnętrzną męką wymuszoném, serce nie jednej matki umiera na suchoty, gdy je przez długie cklive lata zdreńczy smiertelnie obojętność oschła i jałowość własnych dzieci jej; gdy to serce jej tak niegdyś pełne bogatej treści, teraz, choć niby



wśród swoich, znajdzie się samotne, osierociące jakby w głuchej pu-  
styni.

Ten rak, co się wzał w najświętsze stosunki ludzi, jest zaiste ponurym plodem naszego czasu — lecz ufajmy, że się mu obronić zdo-  
łamy. Ale ratowanie od niego społeczności jest zaprawdę w rękach niewiast i matek samych, boć to one są ludzkości sercem; one zdo-  
łają cudów dokazać proroctwem uczuć swoich; gdy one staną na straży ogniom świętym miłości rodzinnej, gdy kapłanic będą cnym obyczajom domowym — wtedy — lecz jedynie wtedy znów się zjed-  
noczą ogniwa serdeczne, od Boga uświęcone, a będzie pojednane, co chwilowo od siebie odstało.

Ja rozumiem, że podwaliną pierwszą miłości rodzinnej a domo-  
wego obyczaju jest jedność, łącząca matkę z dziećmi swojemi, i że je-  
dność takowa potęguje się stopniem potrójnym, niby trzema następu-  
jącymi po sobie epokami życia. Pierwszym stopniem jest owa jedność  
pierwotna, cielesna, gdy życie dziecięcia nie oddzieliło się jeszcze od  
osoby matki, gdy dusza matki przepromienia sobą duszę dziecięcia,  
co, jeszcze pączkiem duchowym będąc, ma się rozwinąć na Boży  
kwiat. Tutaj już sama natura poślubiła dusz dwoje jednością; wła-  
śnie atoli gdy tutaj dopiero sama natura, sama fizyczność dokonywa  
tęj jedności, dla tego też ten związek, będąc niby mimowolny, jest  
najmniej duchowym, więc najniższym. Gdy wszelako w następnej  
epoce matka już piersiami karmi niemowlę swoje, gdy własnem ży-  
ciem dzieli się z życiem dziecięcia swojego, już wtedy nastaje stopień  
drugi onęj jedności; bo lubo zasadą i tego stosunku jest jeszcze za-  
kon natury, przecież wykonanie jego od zacnej woli matki zależy,  
jest tedy już na poły duchowem, jest to przeto związek fizyczno-du-  
chowy, więc prawdziwie ludzki, bo i człowiek jest jestestwem zmy-  
słowo-duchowem. Lecz w rychle następuje stopień trzeci i najwyż-  
szy tęj jedności, gdy święte to ogniwo, łączące matkę i dziecko, uza-  
cni się, uświęca, przemieniając na czysto duchowe przymierze; gdy  
nastaną one święte chwile, gdy matka ducha swojego, rozjaśnionego  
wiekuistą światłością, wlewa w ducha dziecięcia — owe chwile, gdy  
matka uczy dziecko swoje poznawać Boga, gdy je uczy pacierza.

Owa jedność pierwsza, pierwotna, cielesna, lubo od natury dana,  
choć mimowolna, niechaj przecież będzie uzacnioną od matki myślą  
świętą — niechaj matka wszędzie i zawsze ma obecne sobie, jako  
talizman, nieodstępne przekonanie, że się stała nadziemskich, nie-  
śmiertelnych światów powiernicą, że Bóg powierzył jęj własnej oso-  
bie, jęj opiece, jęj bez granic miłości związek bezśmiertnego ducha;  
to przekonanie, ta myśl obroni duszę matki od skalania, od chęci  
nizkich, od gwałtów namiętności własnych —; ta myśl, jakby pierwszego  
promyk niebiański, zwróci ów pączek ducha do wiekuistości słońca.  
Niechaj później w następnej epoce matka nie zrzeka się świętego  
prawa żywienia niemowlęcia swojego; wszak to zjednoczenie jak  
jest utwierdzeniem a odnowieniem onęj cielesnej pierwotnej jedności.

tak jest również wstępem a przepowiednią ostatniej najwyższej jedności, bo onego jej przymierza z dziećmi, gdy matka nauką swoją o Bogu złączy dziecię swoje z wiekuistą prawdą. Niechaj matka nie zrzeka się nigdy owego najświętszego prawa uczenia dzieci swoich zasad cnoty i uczciwego obyczaju i uczenia ich pacierza. Jak dawniej krwią swoją, jak następnie piersiami swojemi żywiła dziecię swoje, tak przeto teraz duszę duszy własnej wlewa w duszę pacholęcia swojego, i karmi je wiekuistości piersiami; a matka doczesnego żywota stanie się matką żywota, co nie ma granic. Gdy przemówi w imieniu wiekuistości do pacholęcia swojego, już stanie się w obec dziecięcia jakoby wysłannicą Bożą i ksienią prawd najwyższych; wtedy dusza matki i dusza dziecięcia złączą się z sobą miłością nadziejską, której nie przewyżczą burze, której nie przemoże śmierć. A cóż dopiero, gdy pacierz, gdy modlitwa spotęgują się wspólną pieśnią, wspólnym śpiewem, muzyką! — Już wtedy stopnieje wszystko, co święte i wielkie w sercu matki i w sercu jej dziatwy, spłynie w tonach i akordach wspólnych; i dusze ich, jeszcze za żywota, po tonach, po dźwiękach wspólnie unosie się będą w Niebo przed oblicze Boże — i tam, choć na ziemi zrodzone, spłyną w jedność niebiańskich harmonij — a zawtórują tym harmoniom cherubiny, i zawtórują im harmonie gwiazd, co dźwięczą i grają miłością wiekuistą. A przymierza matki i dziatwy będzie Niebo i ziemia świadkiem, i będą mu świadkiem prawa, co są wszechświatów piastą; — i matka i dzieci jej, choć jeszcze na ziemi, już będą miłością na wieczność całą połączone. A ta miłość matki i dzieci, jakoby anioł jasności, świecić będzie nad domem, nad obyczajem rodzinnym; a wtedy bajka już kłęski zewnętrzne, bajka ludzka zawiść; — zamieci światowe rozbijają się o ściany domowe, a te ściany, choćby najbiedniejszej lepianki, dostoją jako opoka wśród morskich bałwanów.

Taka jest wedle mnie potęgująca się jedność matki i dzieci, co będzie utwierdzeniem miłości rodzinnej i uczciwości obyczaju, a zetrze złowrogą moc, co toczy szczęście ciche, domowe; takie jest wedle mnie najwyższe, najświętsze zadanie muzyki pod domową strzechą.

A znać, że do muzyki takowej nie potrzeba wiele sztuki ani wiele zachodu; ona prostoty pełna i niewymyślna, łatwa; ona tylko serca pragnie, więc staje wdzięcznym gościem i w chacie biednej i w złocistym pałacu, a wszędzie darem niebiańskim za gościnność zapłaci.

Przecież, com wyrzekł powyżej, nie ma pójść na niekorzyść muzyce światowej, sztucznej, artystycznej; miejmy serce szerokie, otwarte na wszystko, co jako piękne, zacne i wzniosłe z ducha ludzkiego poczęte; bo wszystko idzie na chwałę jego a uzacnienie najwyższe. Nie kurczmy się w sobie ślimakiem bezmyślnym, gdy nas dolatują tony i dźwięki obce z dalekich stron, na dalekiej ziemi zrodzone. Wszelako — niechaj pomną mistrze tonów, że ich muzyka wtedy dopiero w głębie serca przejdzie i stanie się krwią i oddechem



dustry wszystkich, gdy będzie jakoby śpiewaniem owego pradziadkowego dzwonu nad rodzinnym grodem ; więc gdy tej ich kompozycy zawtórować zdoła cała ojczyzna natura, gdy ją zrozumieją domowe lasy i góry i mogiły i rzeki, gdy cała w koło przyroda słuhać będzie tej muzyki, jakby dźwięków onego śpiżowego wieszczka nad katedrą naszą, gdy na jej głos zadrży natura, jakby na własne tony swoje, jakby na pieśń kiedyś przed wieki słyszana — wtedy na taką muzykę roztworzą się serca żywych, roztworzą się groby umarłych.

*Z Wiednia do Tryestu.*

Wczesny poranek. — Wyjeżdżam z Wiednia. — Ulice jeszcze spokojne, bezgwarne ; ci tylko uwijają się po bruku, których konieczność wygnała z komnat sypialnych, domasznych.

Lokomotywa ochoczym pośpiechem wydiera się na południe. Otóż już na prawdę jestem na drodze do Włoch !

Po kilku-godzinnym pędzie pociąg zatrzymuje się w Glognitz ; bo tu już wzdyma się tytaniczna góra Semering, a kolej przez Semering jeszcze nieskończona. Więc jakby z całego stada istnych koni trojańskich wysypują się z wagonów podróżne tłumy, aby już *more antiquo*, bo ucziwie końmi przemódz górę, co nam tak zuchwale drogę zawaliła. Na uboczu też czeka w pogotowiu cały naród powozów, kolas, karet, karetek, dryndulek, karyolek, rozmaitych kształtów i formy i kroju ; jedne istne dzieci najnowszego czasu, inne zarwały z klassycyzmu, inne znów romantyczki fantastyczne. Kolorów i kształtów na wybranie, bo żółte, błękitne, tabaczkowe, czerwone seledynowe, pękate, wązkie, rozkracyste, piętrzaste, poziome i już niewiedzieć jakie. Znać, że panowie pocztmistrze nieładą sobie zadali pracę, by zebrać te reprezentantki wszystkich czasów mód i smaków. Jak zawsze w życiu i na świecie, tak i tutaj, kto czujny a nie guzdrze się, ten pierwszy, a kto pierwszy, ten lepszy ; doświadczyłem i ja tego przysłowia na sobie ; bo nie dopilnowawszy się w konkurach zaledwie uzyskałem dla siebie jakąś prababczyną karetkę na cztery osoby. Za młodych czasów swoich była ona podobno buraczkowa, dziś trudno za tę barwę słowem zaręczyć ; po obu jej bokach znać atoli jeszcze wyraźnie dwa bukiety róż malowanych, przewiązanych białą wstążką ; może ona ongi przed laty była słubną karetką ! Teraz, chwielejąc się, jakby kośćmi klekocąc, niepewna siebie, więc też jej na stare lata i nie bardzo radno pójść w taniec pod górę. Rumaki jej, bez wątpienia pełnoletnie, zwiesiły głowy ; zapewne one tak się zadumały nad nauką o wędrówce dusz, którą mędrzy tegocześni wznowili na pociechę i zbudowanie wszelkich zwierzątek i zwierząt. Kwadruje też do tego garnituru i woźnica siwy, a z miną jakby do pogrzebnego karawanu.

Ruszono, zaczęła się tedy ruszać potrochu i nasza buraczkowa karetka. Prócz nas miała jeszcze dwóch lokatorów, bo w niej już zajął miejsce jakiś jegomość i jakaś pani czy panna. Ruszyliśmy naprawdę, przed nami sznur pojazdów, za nami sznur pojazdów. Przecież się nie najeżdżają zbyt poufale, a to dla straszliwych tumanów; bo każdy pędzi otulony tajemniczym, gęstym obłokiem kurzawy, aż jakiś wielkogęby zefir, z boku dmuchnąwszy, rozgarnie mityczne opony i odsłoni maść koni i kolaski. Gościwiec, arcydzieło swojego czasu, pnie się ślimakiem pod górę; więc ciągle się spinając biegnie naprzód wprost na południe, potem się skręci i nawróci na północ, potem znów na południe i tak dalej a dalej, wyżej a wyżej, a za każdym zwrotem osiąga nowego górskiego piętra. Zwyczajnie byleś sobie nie przykrzył a drapał się do góry, choć wężykiem to w lewo, to w prawo, to naprzód, to w tył; byleś ruszał się a ruszał, choć zwolna, lecz zawzięcie, toć dokażesz swojego i w końcu staniesz u szczytu.

Turkot, klekot powozów, trzask z biczków, wołanie za nami, przed nami, pod nami, nad nami; słycać całą karawanę, choć jej nie widać. Niekiedy atoli z poniższego górskiego piętra tuman kurzawy biegnący zwiastuje, że tam na dole przed jakąś arką ruchomą gramoli się para szkapiać dyszących, sapiących. Od czasu do czasu ktoś z czupurniejszych pocztylionów to zdala, to zbliż weźmie się trąbić; łatwo atoli poznać, że ta ochota najczęściej takich napada, którzy mniej obdarzeni od natury muzykalnym uchem. Niekiedy nas z tyłu najeżdża dryndula, w niej jakiś jowialny wąsał, co głośno rozpowiada niestworzone facecye, więc grzmiały śmiechy hałaśne, i znów gdzieś za nami pozostali, cicho. I znów dalej a dalej, wyżej a wyżej. Czasem na skręcie widać tam gdzieś na dole poniższe dryndulki; patrzymy się tedy na nich z góry; jednak inne, co już powyżej nas jadą, oddają nam wet za wet, także z góry na nas samych poglądając.

Widok z karetki najczęściej zaden, przed szybami, co nieznosnie brzęczą, snują się kłęby kurzu, który przepływa jakby morze balwanami. Gdy się te cmy na chwilkę rozstąpią, z jednej strony widać tuż obok nas spinający się do góry bok jałowego Semeryngu. Te jego schyły spleziste, porosnięte trawskiem długiemi, ostrymi, twarde, chudemi pokrzywami, spalonymi ostami. Jestem pewny, że ta roślinność wrzekoma, gdyby deszcz lunął, okazałaby się w szacie to burój, to brunatno-granatowej; teraz zaś, pokryta warstwami kurzu, jest jednostajna, popielata. Za to jednak z drugiego okna przepyszne panorama na pobliskie góry; poniżej nas w głębi łąki i bory i role. A już oddawna mam na oku dolinkę, którą z trzech stron obstały góry i skały zuchwałę; dno doliny równinką, po której rozlesłana majowa przesliczna murawa, jakby sukno jasnozielone. Na tej łączce jakby cacko stanął kościół bieluchny z czerwonym dachem, tuż przy nim dzwonnica, w koło kilka potężnych starych



drzew; dalej domek schludny o szybach świecących i okiennicach zielonych, i on dachówką pokryty; zapewne to plebania. Obok niej sad; dalej na łączce kilka krów i owiec, za nimi potok, przez potok mostek, za nim pola, potem ściany skalne a powyżej góra stroma, w gęsty las ubrana. Obrazek to był wdzięczny i luby, jakby wycięty z ilustrowanej Delilowej sielanki, co to na poły wiejska dziewczyna, na poły dama salonowa. To światek dla siebie osobny. Jakto tam świeżo, domaszno, zielono, powiewno, spokojnie! A tu nam w tej ciasnocie tak parno, tak piekielnie a dławno od kurzu. Dziwna rzecz! że tam, prócz onych krówek, ani widać duszy żyjącej; może nie dojrzę; więc dobywam szkiel, ale jeschcem nie wytarł tej nieszczęśliwej perspektywki, gdy, jakby sztor gęsty, zazdrościwy tuman zakrył sobą okno, a ciągle biegnąc natrętnie przy powozie zasłonił na piękne i łączki i kościół i plebania i góry. Trzeba było więc myślą cofnąć się wewnątrz siebie, czyli wewnątrz karetki i obejrzyć się w koło. Przez szparę do odwiecznej naszej dryndulki wpada promień jaskrawego słońca, więc pyłki kurzawy na tym promyku tańczą, igrają, pływają, wirują, to uciekają od siebie, to się przyciągają, to gonią za sobą, a tak te pyłki przedstawiają starą historią atrakcyi i repulsyi, kochania i nienawisci w milionowych przeróżnych zjawiskach! Szkoda tylko, że nie atomista, albo nowożytny jaki molekulista, bo nie brakłoby obserwacyj. Ale cóż tu robić! Jeszcze daleko do stacyi kolei żelaznej, a ten Semering na złość się garbi a garbi. Obawiam się bym się nie począł nudzić na dobre. Może mię podratują obserwacye moich towarzyszy, i może w niedostatku czegoś innego, podadzą choć treść do domysłów, by mnie ochronić od nudów. Może te obserwacye przyprawią o ziewanie czytelnika, tém lepiej! wszak to właśnie zaleta każdej relacyi podróży, jeżeli wędrowiec zdoła udzielić czytelnikom własnych uczuć swoich. Przyznaję atoli, że w chwili, gdy się zabierałem do tych obserwacyj, nie miałem nic lepszego do czynienia; jeschce nie przeczuwałem wcale, że ten kościółek na równince, że ta igra pyłków w promieniu słonecznym, i ci nasi podróżni mieli się do siebie w jakimś związku symbolicznym, mistycznym.

Otóż zaczynam! Na stronie przeciwniej, przy drugiem oknie buraczkowej karetki siedzi ów jegomość, młody on blondyn, oczy jego siwe, faworyty misternie ostrzyżone łączą się pod brodą, a tak oprawiły twarz niby ramą owalną; rysy dość regularne, choć nieruchome. Kaszkiet popielaty, *per modum bonnet de police*; właściciel jego lubi się nim bawić; ta czapeczka wcale praktyczna, bo wedle woli i okoliczności może być włożona na głowę, to wzdłuż, to wszerek, to spuszcza daszek z przodu, to z tyłu, to z tyłu i z przodu; więc gotowa na sloty i na słońce; na tym kaszkieciuku nawet i przespać się można, można go i od złego razu do kieszeni schować. Już nie będę się silił na sumienny opis dalszej garderoby naszego towarzysza, przemilczę więc nawet owo paletot o przelicznych i prze-

różnych kieszeniach, o jego kroju i formie; bo ta czapeczka niech nam będzie próbką, że pod nią mieści się dusza, co jest uosobionym komfortem wymyślnym, który też odbił się w całej zewnętrznej osobie. Tyle tylko jeszcze powiem, że zaczawszy od góry, bo od kaszkiecika do kamaszów, cały ubiór jest jednej i tej samej barwy popielatęj, ba, i z tej samej materyi. Gdym jeszcze obaczył kołnierzyki i łapki od koszuli, jakby odcyrklowane w najściślejszej symetrii, dalej kaletkę skórzaną arcymisterną, takąż cygarniczkę i pugilares i zegarek i paszport, co urosł w grubą książeczkę, słowem gdym spostrzegł, że wszystkie te drobiazgi, co zwykle są jakie-takie u innych ludzi, u niego były spotęgowane dogódkami wyrafinowanej doskonałości, a wykończone z bezprzykładnem u nas mistrzostwem; gdy przytém jakieś coś odezwało się w spojrzeniu, w ruchach jego, co łatwo dojrzyć, lecz trudno wypowiedzieć, wtedy już zawołałem sam u siebie: juźcić to Anglik, a pewniej jeszcze kuzyn jego, Amerykanin północny! Ten domysł silniej się jeszcze u mnie utwierdził, gdy nasz wędrowiec, przypadkowo odwróciwszy się, pokazał, że nie ma occiputu, więc, że głowa jego jajkowata!... I doprawdy zgadłem, jak się to później okaże. Widać tedy z przyrzędów, że to był wojażer z fantazyi, lecz wcale nie taki jak np. ja, ale na ciężki kamień; widać, że to człek, co się w czepku rodził, a któremu, jak to mówią, nie brakło nigdy na łyżce ani za łyżką, że to... nie wiedzieć jakibym sobie jeszcze wyroił domysł podobny i równie niepotrzebny, gdy zagnała słyse: „Widzisz pan księdza? To on sam! Ot tam w ogrodzie!“ Tak zawołała po włosku na Amerykanina owa panna czy pani, którąśmy razem z nim zastali w buraczkowej naszej karetce. I prawda! od czasu kiedyś lustrował młodego blondyna i bawił się wróżbami, wdrapaliśmy się znów o kilkadziesiąt stóp na Semeryng, i znowu widać i kościółek i plebanią, one tylko jeszcze głębiej poniżej nas zostały; lecz choć teraz obrazek ten niezmiernie zmalął, przecież łatwo nam już zajrzeć z góry wprost do ogródka, i wyraźnie obaczyć przez szkła kilka osób, siedzących wśród drzew około nakrytego stołu, a choć samego księdza trudno było rozpoznać, słusznie atoli wnosila ta dama, że przy obiedzie nie brakuje zapewne i samego gospodarza. Teraz wprawdzie już zgadywałem, dla czego tak mnie się pierwój zdawało odludno i pusto około kościółka i plebanii; przecież od tej chwili już mniej mnie obchodziły te sielanki, odbywające się gdzieś daleko na dole, bo przeczuwałem, że tutaj tuż przedemną roztacza się romans w najzupełniejszej formie. Zkąd tej damie tak uderzające zajęcie się księdzem! któremu zaiste przy obiedzie ani przez myśl nie przeszło, że tam u góry wśród kurzów tak silnie jakieś młode serce poruszył! Zkąd tej damie ten rumieniec, co tak niedyskretnie wystrzelił na licach, zkąd ten lekki uśmiech przelotny, co opłynął usta naszego panicza?

W tej młodej damie pewnie nie ma ani kropelki anglo-saksońskiej



krwi, bo choćby mniejsza o tę parkę oczu, co mimo wilgoci swojej pała się płomieniem wśród długich mownych rzęsów, toć już znać, że ten koloryt ciepły twarzy ochuchany był powiewem południa, a te kilka słów, które jej z duszy wytrysły, wyrzeczone były organem pełnym harmonii, i tą mową, co się rodzi w krajach, kędy kwitną i pieśni i pomarańcze i muzyka. Jakież stosunek wzajemny tych państwa do siebie? Oni niekiedy tak dziwnie na siebie patrzą, a spojrzenie tak głębokie, że zdaje się rzeczą dość wątpliwą, żeby to było małżeństwo, a przynajmniej dawniejsze, lecz niewątpliwą wcale, że to nie brat i siostra.

Już oddawna zawiązało się między tym panem a mną jakieś przymierze milczące; oba pragnęliśmy bowiem równie bronić się tak od kurzawy jak ód zaduchy skwarnej; więc siedząc u dwóch drzwi-czek karetki, tuż wedle strony, z której były tumany, to on przymykał swoje okno a ja otwierałem moje, to on otwierał swoje a ja moje zamykałem. Z tych wzajemnych manewrów *pro publico bono* łatwo już przyszło do rozmowy, choć ten panicz zamorski dość był zrazu małomówny a zamknięty w sobie. Na początku, jak to bywa, treść gawędy czeza, bo mowa się cedzi to o drodze, o Semeryngu, o kolei, więc o nadziei, że w rychle będzie dokończona droga żelazna przez te góry tak olbrzymich rozmiarów. Opowiadał, jako przed kilku tygodniami z umysłu wyprawił się z Wiednia, by się przypatrzeć tym pracom niesłychanym. Twierdził, co bardzo wiele z jego strony, że nawet w samej Ameryce nie widział nigdzie robót, łamiących się z takimi upornymi trudnościami, jak te prace około Semeryngu. Rozповідаł, ile tam gór skalnych na wylot przewierconych, ile sążni tych tunelów, jak pociągi, wydobywszy się z ciemnicy podziemnej, lecą między niebem a ziemią, po wiaduktach przeskakujących szerokie przepaście. Prawił, jak prochem rozsadzają się wśród dymnych gromów urwiste ściany, żeby według nich uzyskać jakąś ściankę dla kolei; jak to robotnicy, niby jaskółki zawieszeni na sznurach nad otchłaniami, murują podpory dla przyszłej drogi żelaznej; jak to tam całe mrowiska ludzi się krzątają, przecinając parowy, piętrząc filary olbrzymie na filarach, przywlekając ciosy, równając wydolenia; jak tam pociąg śpieszy po tak straszliwych wysokościach, że już same konduktory nie obronią się zawrotowi, chyba odwracając twarz od przepaści, lub zamrużając oczy. Opowiadał nam, jak to tam przez wiele mil cała ta droga będzie światem niezliczonych wiaduktów, tunelów, otchłani i wysokości pełnych zgrozy. Słowem, prawil nam o tém wszystkiém, coby zapewne mogło zakrawać na mitologią lub bajeczki arabskie, gdybym już o tém poprzednio nie był wiedział z opisów i doniesień publicznych, i gdyby świat nie znał, że mocą milionów a milionów można cudów dokazać, i że warto też pokusić się o te cuda, gdy idzie o tak ogromną wygranę, jak jest przecięcie Europy na dwie

połowice i połączenie Tryestu i Hamburga, więc dwóch morz, bijących o dwa przeciwne brzegi tej stariej naszej części świata.

Co chwila ta nasza rozmowa stawała się cieplejszą, poufalszą; bo wiecie jak to jedna godzina wspólnej podróży, a do tego jeszcze w takiej ciasnocie, jak ta nasza, ściślej zbliża ludzi do siebie, niż miesiące znajomości zwyczajnej, i stanie za korzec soli razem zjedzonej. Im więcej się rozochociła nasza gawęda, tém piękniej świecił umysłem wyrobionym nasz młody towarzysz; rozpatrzył się on dobrze w najgłówniejszych literaturach Europy i potoczysto mówił ich językami, wiedział co się święci tu i owdzie po świecie, i wiedział z kąd się co kluje, a obejrawszy wielki kawał naszego planety, prawil mądrze o tém i o owem a bez junakieryi. Jużci to wszystko razem to niemało na dwudziesto-kilko-letniego młodzieńca, a to jeszcze takiego, co widział u swojego ojca rzędy bezułek z dolarami; prawda, że i gdzieindziej niekiedy taki młodzieniec się uda, jednak takowy najczęściej krukiem białym.

Tak się tedy działo, iż zjeżdżając z ostatniego piętra Semeryngu jużesmy się jak najlepiej nawzajem oswoili z sobą; co do mnie przynajmniej, życzyłem im z serca najszczęśliwszego powodzenia w świecie. Pytacie atoli, coż to za romans, na który się już nie na żarty zaczynało w początku relacyi mojej? Otoż pókim był z nimi na Semeryngu, mistyczność mglista osłaniała mi tajemnice tej całej historyi; przecież gdy jeszcze całą drogę do Tryestu odbyliśmy w towarzystwie tej parki, więc gdyśmy sobie towarzyszyli i cały ten dzień, i całą następną noc, i znów nazajutrz dzień cały, więc nie brakło sposobności rozmówienia się z sobą. W tych też chwilkach czynili nam ci młodzi zwierzenia z tajemniczek swoich, zwyczajnie gdy serce przebierze szczęściem, to i zakipi a przekipi. Opowiem tedy już teraz czegośmy się dowiedzieli. Czytelnik pozna, że weszła mi przypadkowo w rękę najprześlicniejsza osnowa do długiej a treściwej powieści, bylebym zdołał z niej coś zgrabnie urobić. Lecz ja nie nie zrobię! Co innego gdyby mi nasz Kraszewski lub Korzeniowski, lub Kaczkowski pożyczyl kałamarza swojego, kędy w atramencie promieniały się barwy tęczowe miłosnych historyj, i plu-skają się intrygi i rozpacz i tęsknoty kochania! Toby było co innego! Lecz bez takiego przyrządu wypadnie mi opowiedzieć wszystko najprozaiczniejszą prozą.

Ten młody blondyn zwał się panem Jonatanem i był synem przebogatego ojca w Bostonie, nie wiem z pewnością, ile ten ojciec miał pieniędzy jednak z tego, com dosłyszał później, *kalkuluje*, wyrażając się po amerykańsku, *kalkuluje*, że był *wart* jakie milion dolarów. Otoż ten jegomość, dawszy synowi najstarszemu wychowanie, postanowił wyprawić go na wojaż. rozumie się nie po naszymu, bo podróż nie miała się kończyć na troszce Niemiec, troszce Paryża, a na dodatek na szczypcie Anglii lub Włoch. Stary Yankee inaczej tę rzecz pojmował. Przywołał syna, rozło-



żył na stole mapę ogromną dwóch połowic świata, popodkreślał czerwonym ołówkiem miejsca, które, wedle niego, warto było odwiedzić, a przy każdej czerwonej kresce polecał synowi, by go przypomniał nieustającej przyjaźni panów korespondentów, i na każdą kreskę czerwoną wystawił spory weksel lub list kredytowy od złęgo nieprzewidzianego razu.

I pojechał tedy pan Jonatan; więc zapołował sobie trochę w Indyach Wschodnich na tygrysy, w Egipcie wdrapał się na Piramidy; przypatrzył się jak tańczącą na balach ambassadorskich w Paryżu, a jak znowu na Hotentotach; zazierał w krater Etny, zachwycał się Apollinem belwederskim, a z Holendrami łowił śledzie; odwiedził jarmark w Niżnym Nowogrodzie, a nocą chodził z gitarą po ulicach Sewilskich. Słowem, widział wszystko co było do widzenia; a gdy właśnie już wszystko obaczył i gdy już się miał z powrotem do swojej Ameryki, wtedy ono licho skrzydlate, co je poganie zwali bożkiem, dla niego stało się istnym djablikiem, bo go zaprowadziło... dokąd... niktby nie zgadł, gdybym nie powiedział, ot zaprowadziło go wprost do Grefenberga, więc do Prisnica, który tę troszkę ciepłej krwi, co jeszcze w sercu ludzi się płatała, do krzty rozczynił w wodzie, jako w uniwersalnem lekarstwie na wszystkie cielesne strapienia ludzkie.

Otóż ta sama bieda, co parła pana Jonatana do Grefenberga, zaniósła tam także z pod Padwy starego wysłużonego kapitana z wnuczką jego, niby z tą samą damą o wilgotnych a palących oczach i onych długich rzęsach, znanych nam z buraczkowej karetki. Kapitan od dawnych lat był wdowcem i po żonie i po służbie i po całej rodzinie, po której tylko oni dwoje pozostali na świecie.

Obaczyli się ci młodzi państwo, i, już nie pomogły zimne grefenberskie *duśze*, i cebry wody nie przygasiły zabójczych płomieni, ani Prisnicowe mokre koce nie przytłumiły żarów. Więc oświadczenia się formalne o rączkę młodej damy; więc miłe przyjęcie onychże sentymentów. Bo staremu wiarusowi oddawna na sercu kamieniem myśl, komuby miał wnukę powierzyć, gdyby jemu samemu przyszło głowę położyć. Powziąwszy tedy języka o młodym zamorszczyku, oburącz chwycił za *quinterno* w tej stawce życia. Od tej chwili dla rozkochanych chłodne pagórki grefenberskie przybrały się we wdzięki Edenów a skopowina, wieprzowina i kapusta, i mleko, któremi Prisnic zwykł był raczyć bez braku swoich pacjentów, zamieniły się w istne ambrozye i nektary olympijskie. Bo miłość, jak wszystkim od początku świata wiadomo, cuda działa.

Ochłonawszy z pierwszego zachwyty, nasz pan Jonatan wyprawa epistolę do ojca, nadziewając ją afektami wrzącemi, wiele prawiąc o aniołach, rajach, ideałach i innych osobliwościach. Stary Yankee trzymał ten list w rękę, czytał i czytał, nie mogąc pojąć zkład znowu synowi jego, co to przeciw rodowity Amerykanin, takie bluźnierstwo przeciw złotemu cielcowi. Nakoniec mruknął: „nie ma

o czym gadać, chłopcu się w głowie skrećilo! żenić się z panną co *nie nie warta!* wnuka jakiegoś tam chudego kapitana!“ Ba, gdyby to była jakaś księżniczka, choćby nawet hrabianka, byle starej daty i brzmiącego imienia, niechby już nawet nie była posażną, niechby jój brakło nawet kilku z pięciu *P*, toby jeszcze jako-tako. Lecz wnuczka jakiegoś kapitana, którego i żywa dusza nie zna!

Bo całemu światu dobrze wiadomo, jak to owi republikanie nowego świata wcale nie są obojętni na stare rody starej Europy; wiadomo jak to każdy Yankee, wróciwszy z Europy do swoich, częstuje ich relacją o Miladych, u których bywał na herbacie, o dukach, o których się ocierał, o gwiazdach i parach, z któremi był sobie brat za brat, o rautach „of high life“, na których tak było tłumnie i prześwietnie, że połowa zaproszonych gości stała na schodach, a gdy wojażerowi historycznych faktów nie stanie, nakłada poezyą.

„Wnuczka jakiegoś tam kapitana“ pomrukiwał stary Yankee, „oczywiście chłopiec oszalał, to istny romantyk“. Pisze tedy do jedynaka, a ofukawszy go i natarłszy uszów, co się zowie, każe wracać do domu. Na takie *dictum* młody wyprawia do Ameryki jeszcze czulsze desperacye, błagając, zaklinając, przysięgając. Na to ojciec huczniejsze grzmoty i gromy wpieczętował w list swój; na co znów syn potęguje swoje prośby i rozpaczę. Tak przez wiele miesięcy latały listy przez Atlantyk i przylatywały z powrotem. Na nieszczęście i bohater nasz nie miał już matki, coby, jak to bywa, łagodziła, nadrabiała, pocieszała. Nakoniec skliwiła się ta czcza korespondencya ojcę, więc się zaciał, i nie odpowiadał więcej ani słowa na listy jedynaka; ale za to napisał do Europy do przyjaciela swojego, który był posłem czy konsulem Stanów Zjednoczonych u jednego z państw niemieckich, aby mu syna bałamuta bez straty czasu do Ameryki dostawił. Ten konsul był starym kolegą jego, jemu ufał jak samemu sobie, uważając go za drugą a poprawną edycyą samego siebie.

Gdy się to dzieje, pan Jonatan, nie otrzymując odpowiedzi od ojca na listy swoje, wziął się także na zuchwałę, i postanowił u siebie żenić się choćby bez pozwolenia. Z taką tedy desperacką propozycyą staje przed kapitanem. Jak piorun atoli uderzyła w niego odpowiedź starego rębajły, który mu rzekł: „Wiesz, panie Jonatanie, iżbys mi był miłym synem, ale ja nikomu nie narzucam wnuki mojej, ani się cisnę w obce rodziny. Niechaj twój ojciec cieszy się dolarami, a ja, mospanie, zachowam u siebie dziewczynę. Uważam stosunki nasze za zerwane, i na tém kwita!“ Znać, że ten stary wiarus, człek dawnego autoramentu, bo harda dusza w ubogiem ciele: przecież się w tém pomylił pan kapitan, że myślał, iż, płaćnawszy słowem jak pałaszem, rozciął na piękne mienie się ku sobie serc dwojga. Lecz młody strętował zrazu na owe srogie wyroki, przecież nie uważał wcale onych stosunków swoich za zerwane. Widywał się, choć bez wiedzy dziadunia, z połowicą duszy swojej;



więc nawet spotęgowały się westchnienia, dumania, sentymenta i t. d.; słowem, te wszystkie przyrzady i przybory, które czytelnik znajdzie w najlepszym gatunku pod firmą: „Dumas et fils“.

Lecz właśnie wtedy, gdy serca kochanków grały najczulszym trenem, pan konsul, po wielu miesiącach korespondencji wysyłanej w różne strony, dotropił się nakoniec śladów młodego wyrodnego Yankee, a opasawszy się ojcowską grozą, rozkazał mu się stawić przed sobą. Pan Jonatan pojechał natychmiast, by nie pogorszyć jeszcze więcej swojej sprawy. Zaledwie atoli się pojawił przed panem konsulem, gdy ten huknął obcesem na niego, jak grad leciały na biednego chłopca wymówki i bury; wyrzucał mu stary, że samą myślą żenienia się z panną, która nie ma złamanego grosza, okrywa sromotą Amerykę całą. Słuchał pokornie młody, bo nie chciał z nim zadrzeć do ostatka; gdy jednak tamten, uniesiony zbytnim rankorem, następował na uczciwość tych, których młodzieniec kochał i poważał, gdy stary zręda zaczął się kłąć na czem świat stoi, że nigdy nie zezwoli, aby jakieś tam awanturniki mieli uwikłać w sidła jednego z najznakomitszych synów Zjednoczonej Ameryki; wtedy zabrało cierpliwości młodemu, rozperzył się i stawiał mu się dumnie i zuchwale. Burza ogromna słów. Gdy atoli w końcu szanowny opiekun wyrozumiał, że przecież sam stary żołnierz odpycha już od siebie myśl tych związków, wtedy rozdarł szeroko oczy z podziwu na tę niespodziankę; więc już cierpliwiej słuchał, co mu powiedział pan Jonatan o owym aniele, co mu się pojawił w niewieściej postaci u Prinsica, o szczęściu bez miary, którego się spodziewa jeszcze tu na tej ziemi doczesnej i t. p., coraz cierpliwiej a cierpliwiej stary słuchał, aż się i udobruchał. A gdy pan Jonatan z niechcenia natrącił mu, że kapitan zapewne teraz bawi w Dreznie, dokąd z Padwy dla jakichś tam interesów przyjechał, wtedy stary rzekł, zapalając spokojnie hawanna: „jutro biorę koleją i jadę do Drezna, by tych twoich fenixów obaczyć“.

Teraz podobno i mój urząd historyografa na schyłku, bo każdy już domyśla się zwyczajnego rozwiązania komedyi. Poseł obaczył się z dziadkiem i skończył na tém, że serdecznie pokochał wásalą, więc i wnuka zdała mu się niczego, a nareszcie tak go samego za serce chwyciła, iż stanął sam po stronie kochanków, i napisał list wielce rogaty do ojca, do Ameryki, burząc i lając go z koleją. I przyszło więc na to, że pan poseł sam, zastępując ojca, formalnie i ceremonialnie dla pana Jonatana prosił o rękę owego anioła o długich rżesach. Z tego wszystkiego znowu wypadła jazda owa przez Semeryng, kędy młodych państwa prowadziła droga z Drezna wprost na ślub do kościoła św. Antoniego w Padwie. Dowiedziałem się też, że ów stary wásaty jegomość, co z koleją, jak może pamiętacie, za nami jechał w najbliższej kolasce, tak tam czegoś dowodząc, rozprawiając i śmiejąc się i gadając facecye, dowiedziałem się, mówię, że ów jegomość był właśnie owym dziadkiem historycznym.

Tak tedy zjednoczyła się półkulica zachodnia naszego planety z półkulicą wschodnią, świat nowy ze starym, a to jeszcze z najstarszą jego cywilizacją, bo z włoską; a co rozdzieliły morza, to zjednoczyła miłość, bo dla niej oceany, to furda! I zaiste, ona więcej dokazała jak owo zaślubienie morz, bo połączyła ubóstwo z milionami dolarów, i dla tego to wszystko warto było wspominki i dla tego umieściłem tę nieosobliwą historią wśród osobliwości mojej podróży, a to tém chętniej, że jest na prawdę prawdziwą historią.

I jak się to dziwnie rzeczy splotły! i owe atomy pyłków, igrające z sobą i przyciągające się nawzajem, i ta karetka exsłubna z bukietem u boków, i ten kościółek z księdzem w dolince! Wszystko jakoś dobrze już pojąłem; tylko tego tak nadzwyczajnego wzruszenia tej damy na widok kościółka i księdza, tego, mówię, nigdy jasno nie zrozumiałem!

Jesteśmy w Mürrzuschlag. Słysząc brzęk talerzy, szcęk łyżek, widelców i nożów, „a półmiskom dzieje się wedle własnego ich prawa“ jak ongi wyraził się wśród wieczery Hegel, a powtarzał nazajutrz pełen podziwienia bałwochwalski Berlin cały. Jeszcze zajeżdżają przed restauracją ze Semeryngu niektóre powozy, spóźnione marodery, a z każdej wykluwają się różnojęzyczne pasażery; mówią to ze słowiańska, to po niemiecku, to po madziarsku lub po wołosku; lecz jakakolwiek mową się kto odezwie, każdy posypany gęstym pyłem, każdy szpakowaty; więc, choć głodny, śpieszy przecie do sąsiedniej izby, kędy długim szeregiem czekają miednice i ręczniki, i szcztoki, i miotelki. Nakoniec wszyscy sobie podjedli.

I osobiłwa to rzecz, każdy jak wszedł, to niezmiernie jakiś miękki i potulny, a teraz po półmiskach strasznie suchowaty i suchwały!

I znów wszyscy na kolei, i nuż dalej strzałą w świat. Dobre nam dano wagony! Bo długie i pełne okien, niby długie wążkie salki; wzdłuż przez środek między ławkami miejsce wolne, a gdy nam tych wagonów tym razem nie skąpili, więc nam przestronno, zatem możesz zmieniać swobodnie miejsca i wyzierać to z tego, to z przeciwnego okna, by się nacieszyć rozlicznym wdzięcznym widokiem. Wszak już jesteśmy w czarodziejskich dolinach Styryi, w dolinie Murycy, a później czeka nas równie wdzięczna dolina rzeki Mury.

Tutaj przyroda, ta cudna malownica, jakby w natchnieniu szczęśliwem ustroiła nam w koło ten świat. Tu z lewej i z prawej roztaczają się obrazy alpejskiej przyrody; lecz ona tutaj bez zgrozy i lęku, a przymilająca się i luba. Ta natura i tu jest panią okazałą, wieleemocną, ale nie hardą, nie dumną; bawi się niby w pasterkę lub śpiewa piosenki z dawnych lat. Prawda, że na tylném tle pejzażu dźwigają się góry potężne i piętrzą się butnëm budowaniem pod obłoki, a na czole swoim noszą jakby ukoronowane od prze-



szłości stare zameczyska, co siwe i dumne. Te góry odziały boki od szczytu w hale zielone, a poniżej otuliły się w gęste, bogate, bujne lasy stare, u samego spodu zaś postawiły stopy swoje jakby na podnóżu haftowaném w ogrody, łąki co świecą w pałacyki i zameczki nowoczesne, bo tym schludnym budynkom tu na dole bliżej ludzi, wygodniej, domaszniej jak onym odwiecznym rozsypiskom na szczytach, kędy sejmują chmury i hulają błyskawice i gromy.

Gdzieniedzie od bioder gór wyzierają skały po nad las, dziwaczając się we fantastyczne, rozpustne, wymyślne postaci. Czasem i wśród niziny i łąk a mieszkań ludzkich stanie takowy opocznej natury kaprys, udając to basztę, to ogród olbrzymów, to potwór przedpotopowy, to mnicha klęczącego; rzekłbyś, że tu sen fantastyczny skamieniał. Bliżej, bliżej rozstawiły się wioski o czerwonych dachach, na polu zakryte cieniem gęstych sadów, a od wioski do wioski biegną drzewami wysadzone drogi wśród łąków dojrzewających złotem, na tych drogach toczą się wozy drabiniaste, lub pędzą karyolki lekkie, lub dziewcząt grono śpieszy od miasta. I znowu łąki i domki osobne, krzewy i kapliczki samotne, ówdzie zaś w pobliżu kolei grupkami ustawiły się krowy, a tak im ładnie na tej łączce, jak gdyby je na nią wymalował jaki Paweł Potter; znać atoli, że i te krowki już wyrobione na cywilizacji współczesnej; bo jak niegdyś uciekały na widok tej strasznej dla nich lokomotywy i całego pociągu, co z hukiem i grzotem przelatywał, tak teraz one już zaledwie głowy od trawki podniosą, spojrzą, i znów skubią łączkę z niezamąconym duszy pokojem.

Królową atoli tej doliny, jej duszą i rusalką jest ta rzeka Murycy; ona z daleka pod górami świeci niebem i jasnością słoneczną, a bliżej nas pieni się wężykiem przebiegając doliny i, jakby chciała powitać w tym domu swoim tłumy jadące, postępuje pod kolej i towarzyszy nam; czasem nawet droga żelazna przeskakuje lekkim mostem przez jej wody, a naówczas Murycy niby spłoszona ucieka od nas, lecz wnet znowu przesadza pociąg jej nurty przeczyste, a wtedy dziwnie świecą te jej śnieżne piany obok długiej, brudnej kity dymów, które wleczone są za sobą; a dziwniej jeszcze błyszczą te iskry węglane czerwone, piekielne, wytryskujące z komina maszyny, obok iskiei dyamentowych rozsianych od słońca po krystalicznych falach rzeki, która teraz tak wdzięcznie obok nas płynie, by znów pobiedz w dal i polulać wśród łąk i sielskich sadów.

Przecież czarodziejskie natury uroki wzmagają się jeszcze samym pędem szalonym naszej jazdy; potęgują się nawet i ciągłymi zakrętami, któremi bieży kolej żelazna. Zład ciągną i wiecznie ruchawa zmiana całej przyrodzonej dekoracji. Tło przednie, więc bliższe nas, zatem większych wymiarów i silnych wyrazistych barw a głębokich cieniów i jasnych światel, tylko się mignie i ucieka błyskawicą, jak przemyka chwila obecna, dotykalna, co na nas bije tak jaskrawą barwą i tak mocnym cieniem a światłem rażącym. Tło

środkowe przepływa już mniej śpiesznie, i wolniej unosi z oczu one wioski, kościoły i role zbożne, i wieńce sadów; słowem te światki ciche, co gospodarzą w dolinie, jakby ubiegłe lata, jakby dawne obrazy znikają, zachodzą, a na ich miejscu pojawiają się świeże formy, coraz nowsze widoki. Owe zaś na tylnem tle góry i bory ich, i szczyty ich skalne, ochuchane kolorytem eterycznym, dygocąc w światłach, cieniach lekkich, przejrzystych, kroczą już zwolna, wspaniale, uroczyście, jakby pamięć bohaterów zmarłych, a choć one w końcu przeminą, jeszcze z daleka żegnają nas wzniosłym przyczółem swoim i wołają na wędrowców zwaliskami dawnych grodów. I ciągle — i w każdej chwili poblizsze pagóry i skały i gaje zesuwiają się i rozsuwiają, niby ruchome kulisy tego precyzyjnego teatru natury. A te obrazy wszystkie, ujęte oknami wagonu, jakoby w ramy, zamieniły go w galerią, kędy na ścianie porozwieszane pejzaże, malowanie wielkich mistrzów, z tą tylko różnicą, że te widoki natury tutaj ciągle się zmieniają a rozpromienione są słońca jasnością.

Nad tą widownią nieustających przeobrażeń unosi się inny dramat. również pełen ruchu i życia, bo gra napowietrznych potęg. Niebo czyste; lecz przecież na nim, jakby wyspy, płyną i pędzą obłoczne budowania, rozłożyste a gęste i kipiące; i one to piętrzą się w góry i grodziska zwalone, to udają orłów olbrzymich, to rozwieszają się sztandarem śnieżnym w purpurowe rąbki; więc płyną i ścigają się te postaci obłoczne na niebie; więc i po ziemi, po dolinach, siołach, lasach i górach płyną, pędzą i ścigają się ich cienie. A kędy cienie padną, tam jakieś posępne dumanie natury, tam rozlany smutek i żal; ale gdy znów cienie przelecą, gdy jasności niebiańskie rozświecą napowrót przyrodę, tam ona się uśmiechnie radością, tam ona ochocza ubiera się w barwy weselne, jakoby w wigilią swojego ślubu.

Tak widoki ciągle zmieniają swoje oświecenie i koloryt, a te przeistoczenia tak wyraziste i tak częste, że się zdaje jakoby sama natura rada pokazać jak to malować pejzaże, jak zestrajać do siebie cienie i światła, i barwy. Natura to mistrzyni nie lada! Przez owo okno wagonu widzimy światek osobny: domki o czerwonym dachu i śnieżnych ścianach, i łączkę jasno-zieloną, i wodę błękitną, przysypaną ogniem słonecznym, i tuż nad nią wianek wierzb ubranych w liście srebrzyste, i dalej rolę poszytą zbożem żółtawem, a natura powleka każdy z tych przedmiotów farbą jemu właściwą, zachowując pilnie prawa cieniów i światła. Lecz czyliż na tem przestaje już ona boża malownica? Bynajmniej! Obłok zasłonił od słońca ten nasz pejzaż mały, a w oka mgnieniu zmieniły się barwy jego; wszak ten dach jest jeszcze czerwony, ale on już inaczej się czerwieni, inaczej teraz mieni się i woda i inaczej barwy żółte, zielone, błękitne, inaczej grają teraz cienie i światła. Lecz choć grają inaczej światła i cienie, i barwy, przecież i teraz one wszyst-



kie nawzajem do siebie nastrojone, i zlewają się w harmonijny akord kontrapunktem widowym. A gdy po tym mroku znów promienie zaświecą jasnością słońca, już, jakby struny lutni silnie uderzone, podwyższają się i potęgują tony wszystkie natury, płonie ogniem paląca czerwoność, lśnią srebrem drżącym wierzby, łąki mieniają się teraz zielonością zlocistą, a obok żółtych fali chleborodnego łąnu błękit też wody zaświeci atlasem haftowanym w gwiazdki błyszczące. Treść obrazu ta sama, wyraz atoli a fizyognomia jego się zmienia; muzyka natury ta sama, ale ona już śpiewana z innego tonu.

Często spotkasz się z pejzażem, stworzonym przez mistrza niepopolitej zasługi, a jednak w tym obrazie odzywają się jakieś obce dla nas dźwięki, przemawia z niego do nas jakby człek chorobą znękanym, co nie jest sobą samym, nie możemy się w tym pejzażu jakoś pochwycić i poznać. Aż tu obok nas stanął znawca z czuciem artystycznym w oku, przemówił i rozwiązał zagadki. W tym obrazie, rzecze, brak harmonii w oświeceniu; ten dom i te drzewa różnią się od siebie kilku godzinami pory dziennej; bo jeżeli w naturze te skały tak silnie zabrzmią światłem, jak tu na tym obrazie, już tu i owa woda malowana koniecznie zajaśniałaby w innych barwach. Teraz już snadno nam pojąć, zkąd ten obraz jakoś obcy dla nas, zkąd on w oczach naszych tak niby nie swój. Bo, zważy, duch nasz sam jest akordem a jednością różnych tonów i dźwięków, co brzmią w treści jego: on sam jest jakby cichym odgłosem owej harmonii, co żyje we wszech rzeczach stworzonych; więc też duch nasz dopiero wtedy rad sobie, więc jemu dopiero wtedy domaszno, swojsko i lubo, gdy i na zewnątrz znajdzie tę harmonię i wewnętrzne akordy własnej treści swojej, gdy on w dziele piękności sam siebie znajdzie jako we zwierciadle a odgłosie swoim. Wtedy przecucie niewymowne, nieogarnione, a jednak niby oddawna znane i poufałe, zawróży stworzonemu duchowi o harmonii, którą Bóg zestroił światów wszechnicę.

Chcemy jedności w charakterze człowieka, zestroju rozumu i uczuć, wiary i myśli, pragniemy tej jedności w każdym dziele poezji: chciéjmy ją również widzieć i w malowanym widoku natury w całej jego kompozycji, więc pod każdym względem, więc nawet w jego światłach i barwach. Niechaj malarz w tej mierze nie pogardza starą radą, niechaj patrzy przez szyby farbowane na świat, gdy się na nim rozlewa powódź światłości słońca; a już i młody uczeń sztuki nauczy się jak przyroda gospodarzy w państwie barw i światel, zestrzajając je z mistrzowska do wzajemnej zgody. Szybą ciemna czerwona okaże mu świat w żarach palących, a zieloność drzew, biel domów, błękit nieba, wody, trawy, góry rozplomienią ogniów pożarem; rzekłbyś, że wulkany rozwarły otchłanie swoje, że straszliwa katastrofa, niweczająca Herculanium i Pompeję, znowu się powtarza przed oczami twojemi, że niebo zaszło pożogą krwawą, że

natura cała ochłodzona płomieniem. A znowu z kolei spojrzysz przez szybę żółtą. Niebo, ziemia w jaskrawym świetle zdają się przedstawiać pustynię głuchą, grobową Sahary, gdy morderczy Samum, unosząc w podniebne wysokości gęste chmury piasków, technie śmiercią na wszystko, co żyjące. Albo gdy znowu z kolei weźmiesz szkło błękitne do ręki; świat ten, dopiero co pałący, gorący, południowy, nagle przeistoczył się na noc jasną przecudną, zalaną morzem księżycowych światła. Chłód północnych powiewów tchnął jakby na ciebie samego; spokój uroczysty, mistyczny otulił te drzewa i domy i góry i siola: tak tu lubo, tajemniczo, iż co chwila oczekiwać będziemy, że się pojawi z czystych jeziora nurtów grono rusalek o postaciach rozwiewnych, stojące do nocnych lekkich tanów.

Czyli jednak owym pałącym żarem purpury rozogni się świat, czyli zaświeci jaskrawą żółtą światłością, czyli opłynie błękitem miodym księżycy — zawsze i zawsze barwy wszystkie, i światła i cienie wszystkie, zestroją się zgodą i jednością harmonii pełną. Dla tego i mistrz prawdziwy pejzażów nawet w obrazku bez treści bogatej, bez różnorodności odmian, w przedmiocie jednostajnej cikliowości zdoła okazać dziwy sztuki swojej. Niechaj np. stworzy nam obrazek z tych błoni krakowskich wśród jesiennego wieczoru, gdy kłęby tumanów zakrywają miasto, i budowanie wieżaste, harde Wawelu, i górę św. Bronisławy i mogiłę jej; gdy wśród tęsknej a cikliwej równiny, kilka krówek, biedny mostek, gruppa wierzb, a nadewszystko, gdy lekka zamglona poświata zachodzącego słońca będą całą treścią pejzażu. Niechaj malarz przedstawi nam ten obrazek tak prostej treści; a jeżeli jest istnym mistrzem, już na jego malowaniu gra samej atmosfery, mgły, blade mistyczne światła i żalobne tęsknoty natury, jakby duchy błoniów, poświadczą mu, że jest prawdziwym malarzem. A jeżeli tę jedność i zestroj w przyrodzie zrozumie, spotęguje harmonią i własnego ducha kontrpunktem, jeżeli — co jeszcze więcej, zaważy — jeżeli wleje w to dzieło swoje jedność własnej istoty swojej, jeżeli z miłości udzieli mu własnej duszy swojej, własnego nastroju uczuć, który w nim grał gdy się na tę naturę patrzył, gdy malował to dzieło swoje, — wtedy ta natura malowana nie będzie już tą rzeczywistą naturą, ale stanie się własną duszą mistrza; więc te jej tchy i pulsa przejdą w nasze serce, w piersi widza, i my patrzeć będziemy na tę naturę jak patrzył na nią mistrz, i będziemy czuli jak on czuł, bo on nas oczyni urokiem czarodziejskim swojego geniuszu, zmagnetyzuje potęgą swojego wejrzenia, co na nas patrzeć będzie z głębi obrazu jego. I w tym właśnie cała tajemnica pejzażysty, by wlał ducha swojego w naturę, a ona mu odda siebie niby ulubienica i narzeczona, sercem ukochana; a kto tego dokaże, już stworzył dzieło, w którym żyć będzie jedność a harmonia najwyższa duchowa. Wszak uważamy, że harmonia światła i barw w malowanym obrazie nie jest jeszcze jego całą jednością, całą harmonią; w kompozycji po dziele mistrza wymagamy jeszcze innej



jedności, której albo wcale nie znajdziemy w naturze, albo znajdziemy ją wielce niedostatecznie a biednie wyrażoną.

Lecz patrzmy w te obrazy natury rzeczywistej, które wglądają przez okna wagonu; patrzmy się im w serce, a wyznamy, że one nie mają tej jedności najwyższej, duchowej, bo nie są zamknięte, okónczone w sobie, bo są jedynie dziełem przyrody a nie artystycznej piękności. Każdy z tych obrazów okazuje, że jest tylko wykrawkiem całej nieogarnionej okiem naszym okolicy, że jest tylko ułamkiem jej jako całości. Ba! wszak sama ta okolica jest tylko ułamkiem całej natury, całej powierzchni ziemi. Przy każdym obrazku, który tu przez okno wagonu na nas patrzy, myślimy o dalszym ciągu okolicy, pytamy cobyśmy jeszcze obaczyli, gdyby tych ram nie było. Podobnie żaden z tych obrazów natury rzeczywistej, nie jest całością, jednością duchową. Inaczej w pejzażu prawdziwego mistrza! Obraz jego, jego natura jest całością, jest dla siebie całym światem; więc gdy patrzymy na niego, już nas nie nęci ciekawość, co z lewej, co z prawej strony jest ukryte, nie pragniemy dalszego ciągu; — ba, nawet czujemy, że wszelki taki dalszy ciąg zepsułby nam doskonałość całości! Otóż widzicie, jak to każdy pejzaż doskonały, będąc piękności dziełem, jest wyrazem całej idei, więc jest całością zupełną w sobie. Pamiętajmy atoli jeszcze, że widoki rzeczywistej natury, choć często tak urocze, tak wdzięków pełne, przecież nie dosięgają najwyższej piękności artystycznej. Bo piękność jest w naturze li szczęśliwym trafem. Przedmioty natury, właśnie dla tego, iż nie są duchem, zależą od przypadku. Wszak urocze i wdzięczne są te widoki styryjskie; lecz gdy właśnie pierwiastki, które je złożyły, są z istoty swojej niezawisłe od siebie, więc jest zaiste szczęśliwym przypadkiem, że się one tutaj tak zeszły i związały w całość tak piękną; jest to szczęśliwą wygraną, że ta Muryca srebrna, i te łąki, i dąbrowy, i te góry razem się spotkały i że się złożyły w te obrazy łube. Mimo to, choć te szczegóły tak szczęśliwie się sprzymierzyły z sobą, toć mistrz prawdziwy i tak nie odmaluje ich żywcem, ale jeszcze je usamowolni, wyswobodzi od śladów tej przypadkowości ślepej i nie jedno doda lub ujmie, a co więcej, jakesmy rzekli, tchnie w tę naturę uczucie i duszę swoją.

Wszak o tém wszystkim nie teraz nam prawić; dodajmy raczej jeszcze słów kilka, niby na przyczynek do onej harmonii światła i barw, która, jak się rzekło, nie jest bynajmniej jeszcze całą kompozycją pejzażów. Patrzmy na ten świat cały tych dolin i alp styryjskich, i nieba i ziemi i wód; on jest oblany dźwiękiem powietrznym, jest ochuchany jakby duchem natury; ztąd też łagodzą się ostrości jego konturów, różnice barw, przeciwieństwa światła i cieniów; ztąd tutaj nie ma szorstkich linii, ani rażącego światła i cienia, ani krzykliwych barw; te wszystkie bóle, tony fałszywe ukoila natura, zestrajając je wszystkie do zgody, do miłości wzajemnej. A są przecież oczy, co patrzą a nie widzą! Bo zkądby się już miały wzięść

owe malowane widoki, co nam pokazują świat tak bezpowietrzny, żebyś rzekł, iż te góry i drzewa i grody zamknięte były pod szklanym dzwonem, z którego machiną wypompowano wszelką atmosferę! Kontury twarde, barwy i oświecenie suche, a tak jaskrawe, że aż oczy bołą; nie ma tu metalu w tych dźwiękach, obraz nie ma kontrastu. Zważ kwiaty żywe, rosnące obok siebie; choć są o przeróżnych barwach, tak się wdzięcznie zestroją, że nie obaczysz fałszywych, piskliwych dźwięków; one choć wyrosły tuż obok siebie, jednoczą się, spływają z sobą, bo ich ześlubia natura lubą harmonią, — a potem porównaj te kwiaty z bukietami, co się wylęgly z pod pędzla jakiego wrzekomego mistrza! Więc i tej harmonii niechaj się uczy mistrz od natury; lecz niechaj przecież zawsze pamięta, że dzieło sztuki nie jest dagerotypem i że, jak się rzekło, piękność natury, jak pod każdym względem, tak również i co do światła i barw powietrza, jest tylko szczęśliwym trafem, że natura, nawet w najpomysłniejszym razie, nie dosięgnie nigdy duchowej piękności dzieła mistrza prawdziwego.

I długo, długo jeszcze ten dramat światła na ziemi wtórował obłocznym scenom na niebie — a długo jeszcze nęciły ku sobie oczy te tany rzeki po dolinie, rozwijające się w linie tak wdzięczne i urocze, a od rzeki znów ku sobie unosiły myśl owe harde szczyty styryjskich gór; bo już prawie każdy z nich uwieńczył się grodziskiem zuchwałem i butnym, co mu zostawiły w upominku czasy dawno umarłe, wieki rycerskie, co już na zawsze przepłynęły światem. Często mocą szkieł zajrzeć mogłem w samo tajemnicze wnętrze onych murów starych; widać w nich powiewne krzewy, spinające się po ścianach drzewa. Tam cicho i pusto; okna, odrzwia zamienione w bezkształtne otwory, któremi odwieczne zameczyska, jakby trupie czaszki, patrzą się w dolinę, poglądając na tłumy młodych pokoleń, co się mrowią pod ich stopami. W tych twardych czaszkach wysechł mózg, owo dziwne ducha podścielisko, a na miejscu dawno zmarłych, niegdyś tak żywych i kipiących uczuć, a śmiałych, groźnych myśli, orzeł się gnieździ lub lęgnie zwierz drapieżny; a jakby cienie i dusze pokutne dawno pogrzebionych, dziś snują się po rozsypiskach legendy i podania dziwne, i powieści cudotworne. One same jedne pilnują tych gruzów, a miłością stanęły im na straży, broniąc od zniszczenia i poniewierki. Tak lud miejsca dawnej grozy i lęku otulił wdziękiem poezji.

I cóż już dziś po onych starych rycerzach, cóż po tych uczuciach wrzących, gorących, w naszych czasach prozy, rozsądku i cyfer? Gdy te zamki żyły jeszcze pełnym życiem, wtedy człek opierał się sam na sobie, i dufny w siebie stał o własnej mocy. Prawda, że wtedy nie miał zapory zbawienną, ani oporu w ładzie i w węglach społecznych; bo społeczność młoda nie była jeszcze ujęta w karby ustaw i obyczaju; więc prawda, że wtedy broila ostateczna swawola obok ostatecznej bezwoli; jednak za to każdy brał na własny ciężar



losy losów swoich, więc w harcie a dzielności osobistej widział przeznaczenie żywota swojego. I nie było prawd ogólnych, tętniących w wspólnem sercu towarzystwa ludzkiego; więc każdy sięgał do własnych piersi po natchnienie, a co mu wywroiła chwila, do czego parło go osobiste uczucie, co w duszy zakiepało, to wykonał w świecie, to wprowadził w rzeczywistość. Ztąd ten czas był tak poezyi pełen, ztąd życie każde było pieśnią całą, ztąd każdy z osobna w indywidualności swojej był całością dla siebie, był prawdą całą; dziś potęgi ogólne ujęły w jeden szyk społeczność całą; sama tylko społeczność jest prawdą, całością, indywidualne barwy zaś zbladły: więc są tacy co człowieka rozumieją być tylko jedyneką głuchą.

Wszak dzwonek zawołał a tłumy już we wagonach; dzwonek zawołał a tłumy już wysiadły.

Więc tym zamkom przedwiecznym, co na wierzchołkach górskich stróżują nad krajem, tak dziwno gdy na dole, w głębi, przelatuje potwór o ślepiach iskrzących, dyszący iskrami i dymem, jako niegdyś stare smoki starych powieści i legend — i przelatując sapie, syczy, gwizdzie i grzmi, porywając z sobą w zapamiętałym pośpiechu jakby całą ludność potępieńców. Zaledwie się zatrzyma i popasie węglem, i znowu gwizdnie, syknie i sapnie, i znów leci na złamanie karków. A są tacy, których nawet i te kilka minut przestanku mierzi; bo im biedakom tak śpieszno z tem życiem, minuta stracona cięży grzechem — czas płaci, czas traci. Dwóch towarzyszy młodości, co razem się uczyli w izbach szkolnych, a których długie lata i szerokie przestrzenie rozdzieliły, spotykają się na rozstajnych kolejach: — ledwie się poznali, ledwie uścisk pierwszy, ledwie pierwsze wysunęło się słowo, już dzwonek rozkazał — i już każdy porwany w inną stronę. Więc każdy z osobna, ukrywszy się w kącie wagonu, дума, a wyobraźnia zmiotła kurzawę z zapyłonych obrazów młodości, — i znów ożyły dawne wspomnienia, i ruszają się i mówią postaci dawne, w zapomnieniu uspięne! I żal mu rozstania!

Inny zaś gniewa się na ten dzwonek, bo nie dojadł kotleta!

Dziś zginęła dawna poezya podróży, zniknęły te tęsknoty słodyczy i oczekiwania pełne, co żyły w wędrowców sercu; bo dziś, jakby w cudacznej bajeczce, niegdyś od nianki słyszaną, zaledwie pomyślisz, a już para czarodziejska uchwyci, unosi cię wichrem i składa u celu zachcianek twoich.

Przecież nie żałujmy onych czasów starych! Bo wyższą mają wagę ład i ustawy powszechne i prawa i sprawiedliwość, będące węglem i trzonem społeczności, niż one działanie od chwilowego natchnienia, od jednostkowej woli zawisłe. Nie żałujmy onych czasów starych, bo choć zginęła dawna poezya podróży, choć zniknęły dawne wędrowców tęsknoty, przecież zbiera się ludzkim dziejom na nową, dawniej nigdy niesłychaną, poezyą; świat się ma zaiste ku epopei olbrzymiej, której nie przeczuwał ów cały szereg

pokoleń pradziadowych. Wszak oddalenie, więc przestrzeń, owa stara macierz materyi, co cięży kławą pierworodną na wszystkiem, co z ziemi zrodzone, dziś pokonana duchem; duch położył stopy swoje na materyi, bo przemógł pierwszy jęj warunek, bo jęj przestrzenie i jęj rozmiary. Teraz, co w sercu się zajmie zacnem uczuciem, co w myśli błysnie natchnieniem, tego już żaden naród nie chowa ślimakiem w sobie, nie ukrywa w ciasnocie samolubstwa, lecz jakby tchem duszy swojej wysle światem dalekim, napelni powietrze, którem oddychają inne ludy, przepromieni ich serca i spotęguje ich moc. A tak, wiecznie działając i oddziaływając, wzmoże się jasnością ów pierwiastek, będący posagiem, danym ludzkiemu rodowi i zaświeci płomieniem nad historią narodów, na znak, że duch sprawiedliwości i miłości stanął pomiędzy niemi na ziemi, i przejął na prawdę ich życie i serca ich.

Wszak i ludy pierwotnej historii dokonywały dzieł olbrzymich; wszak nad Gangesem świętym i nad Nilem starym stanęły budowania na podziw późnym lat tysiącom; przecież to mocowanie a silenie się tych robotników czasów praszczurowych nie poszło na zdrowie ludzkiemu rodowi. Duszę tych ludów, jeszcze nocną spiączką złożoną, nawdził przez sen duch; więc to nie ich myśl była czynną, ale ich fantazyja, owiana tchem gościa z nadświetnej dziedziny, rozplamieniona ogniem, wzmożła się w olbrzyma, rozbijała bez granic. Tak tedy ludy owe, jakby miotane marzeniem, pasowały się i siliły, by stworzyć dzieła olbrzymie a fantastyczne, do sennych obrazów podobne, podobne z ogromu do dzieł natury, która trzymała jeszcze ducha tych ludów w jęctwie swoim. Więc we wnętrzościach gorkują świątynie labiryntne, stawiają ciosy granitowe na ciosach, piętrzą zuchwale bałwany marmurowe i dzwigają budowania bezmierne. Przecież i Egipt i stare Indye przemogły jedynie hart niezity materyi, zwalczyły brzemię ciężkości jęj; jeszcze atoli nie odniosły tryumfów nad potęgą, co jest wszelkiej materyi warunkiem a podwaliną, bo nie pokonały przestrzeni, jęj odległości i wymiarów, — a tak duch człowieka, nie będąc usamowolniony jeszcze w zupełności od więzów zmysłowych, jeszcze nie rozwiązał zagadek własnej istoty swojej. Brzask niepewny, poranny jedynie na poły oświecił mu tajemnice własnej bytności; więc to przeczucie, na poły zrozumiane prorocstwa były mądrością jego, a symbolika dwójznaczna jego wiara.

Dopiero duch chrześcijańskich ludów, pod tchnieniem wiekuistości zrodzonych, starł moc materyi i wstał z martwych i odetchnął w zaraniu. Wiara Chrystusowa wybawiła człowieka z pod przemocy bezmyślnęj przyrody i dodała mu swobody.

Lecz, choć inny się czas w dziejach święci, choć inna poezya, ni by orle młode, na świat się kluje, przecież nie zatracajmy poezyi przeszłości. Bo ten jedynie mądry, rządny a zacny, który, przy własnym bogatym dorobku, umie czcic dziadów swoich puściznę.



A od lat wielu już wyrzeczona jest prawda, iż co dawno umarło w doczesności, co już oddawna w życiu pogrzebane, to zmartwychwstaje odziane pięknnością i nadziemskim sztuki urokiem; o czym rzeczywiście, obecny świat zapomniiał, to przytula do siebie miłością poezya, to stroi i mili wdziękiem niebiańskim. Te stare zamki, te odwieczne świątnice i grody i pomniki, one to zaiste są ową „arką przymierza między dawnymi i nowymi laty“, one są otulone „wieścią gminną“ jakby szatą z bluszczu i mchu wonnego. Te budowania, te pomniki pradziadowe, dźwigane w różnych stuleciach, w różnych kolejach narodu, one są dla każdego ludu jakby słupce milowe, wskazujące ile wieków już przeszedł drogą przez świat; one mu prawią ile przecierpiał boleści, ile sobie liczy zasług i wieków służby w ludzkości sprawie.

Patrząc na te zamki styryjskie nawróciłem myślą w nasze domowe strony; tam mniej tych grodów, a zastęp ich z każdym lat dzieśiątkiem rzadszy a rzadszy; znikają po jednemu. To burze i słoty trapią siwe mury, to je mrozy lub rośliny rozsadzają, albo pożar pochłonie, lub piorun w nie uderzy. Ale mniej żalości gdy żywiły, gdy gromy biją na dziedzictwo, co nam je przeszłe, dawno umarłe pokolenia przekazały; gorzej gdy je zbezczesci ręka gburowata ciemno-głowych ludzi. Jaki-taki zakupi ziemi kawał, i znajdzie w przyczynku gdzieś na skale zamczysko, co przeszłości kamiennym wróźbitą prawi o nigdy niepowrotnych czasach. Więc się tamtemu biedakowi uwidzi, że wraz z prawem do gruntu i lasu kupił sobie i prawo znieważania przeszłości pamiątek; więc je albo zupełnie zniweczy, albo póty trefni te gruzы niepoczesnym wymysłem, póty się sadzi na bezrozumne koncepta, póki poważnym świadka umarłych wieków nie wystrychnie na wierny wizerunek umysłowej biedy samego dziedzica. Ja sądzę, że co ma duchowe znaczenie, to wyjęte z pod ceny pieniężnej, tego więc nikt z pojedynczych ludzi nie może być właścicielem; zabytki starych lat są własnością całej ziemi, na której stanęły, są własnością dziejów; do nich nikt z prywatnych nie ma prawa, a kto je znieważa z przyczyny, że przyszedł w posiadanie materyalne tej spuścizny starej historii, jest przeniwiercą tej ziemi całej, jest przeszłości felonem, jest onym niewiernym sługą, co okradł nieobecnego pana swojego!

Tak mi się roilo, a roilo po myśli, nie mogąc oderwać oczu od tych gór i zamków, co już teraz, oblane światłem purpurowém wieczora, świeciły nad doliną jakby pochodnie płomienne; już barwy po jednej gasły, a cienie, choć jeszcze przezroczyste, jasne i błękitne, rozplywały po wioskach, lasach, strugach i łąkach; tak, mówię, mi się roilo, gdy nagle coś, jakby biały motyl olbrzymi, mignęło przez wagon, lecąc wprost ku oknu, którem właśnie do mnie przemawiał ten świat tak uroczy; były to kartki, uniesione wietrzykiem

z książki, którą w rękę trzymała dama, siedząca u przeciwnego okna; kartki już chciały czmychnąć z wagonu, gdy mi się udało w sam raz je uchwycić i oddać pięknej właścicielce; jej uprzejme podziękowanie podało też bliższą sposobność do rozmowy. Obok niej siedział wielce poważny, okrągły pan, jak się łatwo było dorożumieć, jej godny małżonek. Dama ta, kształtów wcale nie wymokłych, zdawała się już w pierwszych po-południowych godzinach dość skwarne go żywota; po samym panu zaś znać było, że z krete sem odprawił nieszpory swojej ziemskiej pielgrzymki. A gdy oboje ci państwo jaśnieli wystrojeniem, wyświeżeniem nielada eleganckiem, gdy mianowicie dama była istnem uosobieniem ostatniego żurnalu mód, więc łatwo przypuścić, że nie z daleka i nie daleko jadą. Jakoż ten pan musiał mieć znakomity mir w okolicy, bo z niepospolitym respektem i afektem witali się z nim inni ichmoście, co także na chwilę stali się uczestnikami naszego wagonu; a z rozmówek, które on z nimi prowadził, można było zgadnąć, że jest właścicielem zamoznym młota i dobr w tych tu stronach, i że teraz właśnie się wybrał z piękniejszą połowicą istoty swojej w blizkie sąsiedztwo na odwiedziny; i dla tego oboje tak wykrygowani strojnie i zdobnie. Bylbym się zapewne mógł zapuścić w odmet domysłów darennych, badając czyli krawata tego pana, tak wielce pękata, jest również czynnikiem tak niezbędnym do elegancyi, jak te jego buty lakierowane. Ale w sam czas przypomniałem sobie, iż często-gęsto w krajach górzystych, więc tak w Styryi, jak i w naszych Karpatach, osoby, choć najmodniejsze, obdarzane niekiedy bywają od natury wolem; więc u nich chustka podsadzista bywa w modzie.

Rzekłem, że wręczenie damie kartki zbiegłej z romansu było pierwszym początkiem rozmowy, a rychłe poczęstowanie jegomości tabaczką dopełniło reszty. Tak tedy, po zwykłych wstępnych czechyach ogólnikach, wprost i dość ze staroświecka zapytałem się tych państwa, czyli też wiele jest legend i podań przywiązanych do tych zamków, których tak pełno w całej Styryi. „Jest ich na biedę co niemiara“, westchnął ten pan, „więc na te legendy poluje też chmara romansistów, poetów i innych chudeuszów; więc te pismaki włóczą się po górach i dolinach i zbierają między chłopami plotki, śpiewki, — a co im lada stara niewiasta nagada, to sobie mają za klejnot najwyższej wartości.“

„Ale, mój mężu najdroższy, toć jest właśnie powołanie poety, aby podania żyjące wśród gminnej i prozaicznej rzeczywistości wznieść w dziedzinę nadziemskich ideałów“, rzekła z cicha i sentymentalnie dama o owych arcy-rzeczywistych i arcy-ziemskich, a nie-idealnych formach.

„Co mi ta ich poezya, mój aniele“, odpowiedział pan w krawacie, „na bajkach świat nie stoi! Ci ichmoście poeci durzą swojemi legendami ludzi, zawracając młode głowy i bez tego już nie nazbyt utwierdzone, i im który z nich niedorzeczniejsze plotki wymyśli, tem



za sławniejszego człowieka uchodzi; a ręczę, że gdybym którego z nich do rachunków moich zasadził, okazałoby się, że to człeczek do niczego, że nie pojmie najprościejszej rzeczy.“

„Wybacz, drogi mężu, ale też poetów żywiłem nie jest ten świat codzienny, praktyczny, realny.“

„Tak jest“, zauważył zacięty w swojej prozaiczności małżonek, „ci ichmoście, niby wzniesieni nad praktyczny, realny świat, a przecież mają pretensją pobierania z niego dochodów realnych i bardzo rzeczywistych! Niechby już sobie gryzmolili, byleby te ich piśmidła miały jakiś cel, jakieś praktyczne zastosowanie; ale ze wszystkich legend, pieśni, poematów, których się mimowolnie a do znudzenia w życiu nasłuchiwać musiałem, żadna z tych ramot nie ma sensu prócz jednej! — a tą jest owa powieść, której ty, aniele mój, właśnie nie lubisz — ona powieść o beczce.“

„A która się tak nie estetycznie kończy! — Biedna Kunegunda!“ przerwała wzdychając dama i wietrząc się wachlarzem.

„Czy estetyczne lub nie, mój aniołku, to obojętna — lecz to pewna, że pan Reimprecht gracko sobie poradził!“

„Przebrzydły okrutnik! jakże go nie cierpię“, zawołała z oburzeniem małżonka!

„Co do mnie, mój aniele, jestem zdania, iż sobie postąpił jak najsluszniej!“

„Nieszczęsna Kunegunda!“ znów westchnęła dama, zapinając sobie jasną glansowaną rękawiczkę na pulchnej ręczce.

Z ciekawością niepospolitą patrzałem to na jedną, to drugą połowę tego dziwnego stadła, nie mogąc wyrozumić o co tu istotnie chodzi. Nakoniec małżonek zwrócił się do mnie i rzecze: „Pan nie znasz historyi o beczkach?“

— Żałuję nieskończenie, że nie mam tej przyjemności — odpowiedziałem.

„Więc ją panu opowiem, a pan sam osądzisz.“

„Przed niewiele już wiekami żył w tych tu naszych stronach na zamku Frauenburg rycerz Reimprecht, a miał żonę Kunegundę von Dürrenstein...“

„Lecz dodaj także drogi mężu“, przerwała dama, „lecz dodaj, że ona go nie kochała nigdy, że była prawie zniewoloną gwałtem oddać rękę temu złośnikowi!“

„To obojętna, mój aniołku“, odparł pan z dużą krawatą. „Otóż pewnego razu niewiedzieć z kąd zjawia się na zamku frauenburskim jakiś stary włóczęga z lirą; niby to zarywał na trubadura, niby to coś nakształt minnesingera; więc śpiewał i grał i wywodził trele o kochaniach, tęsknotach, rozpaczach i niedorzecznościach, które podobaly się niewymownie pani Kunegundzie, a które były tak nudne, iż za każdym razem najniezawodniej usypiały pana Reimprechta...“

„I nie dziw“, znowu przerwała małżonka, „bo ten Reimprecht

był człowiekiem grubym, bez uczuć, nie umiejącym ocenić, co tkliwe i rzewne.“

„To obojętna,“ ciągnął dalej jegomość, „dość na tém, iż choć nasz rycerz nie lubił tych brzęków i jęków poetyckich, nie wygonił przecie próżniaka i nawet żywił go dość długo na zamku swoim; bo, jak już wspomniałem, te śpiewki usypiały go najsmaczniej, a jak usnął, to już na dobre, bo do białego dnia. Czego mu też wcale nie mam za złe....“

„Daruj, najdroższy mężu, że ci znów przerywam, ale nie zapominać dodać, że, wedle kroniki, twój rycerz głównie dla tego tak smacznie zasypiał, bo zwykle nie skąpił sobie do poduszki gęstych wiatów,“ dorzuciła z przyciskiem dama, chłodząc się żywo wachlarzem.

„To obojętna, moj aniele — bądź co bądź, to rzecz główna, że pewnego razu, niewiedziąc już jakim nadzwyczajnym wyjątkiem, pan Reimprecht obudził się przypadkiem długo wprzód zanim świtać miało; — budzi się tedy i przeciera oczy i patrzy, a tu na podłodze siwa broda i łysina, i tym razem one rozstały się na podziw jakoś zbyt daleko od siebie. Więc znówu przeciera oczy i patrzy — a tu nowy cud; bo ów stary włóczęga, co go tyle czasy chował i karmil w domu swoim, przedzierzgnął się w młodego szlachcica, pana von Saurau; a co jeszcze najdziwniejszym cudem, że ten pan von Saurau, choć w tej chwili nie miał siwej brody, choć nie był łysym, choć nie śpiewał wierszy, lecz mówił prozą, jednak dość ciekawie był od pani Kunegundy słuchanym.“

„Chciej dodać, serce moje,“ odezwała się dama, „że pan Sarau kochał już Kunegundę za nim poszła za szkaradnego Reimprechta, że ją kochał nie bez wzajemności, że już był prawie z nią po zaręczynach — a zresztą, cóż w tém złego, że chciał raz jeszcze widzieć przedmiot dawniej miłości swojej!“

„To być wszystko może,“ odrzekła mniej piękna połowa tej pary, „lecz koniec końców był taki, że pan zamku darennie wytrzeszczał oczy, nie mogąc wyrozumić tych wszystkich dziwów. Chodził długo po komnacie i dumał, i sam się pytał, coby mu wypadło uczynić z tym fantem. Nakoniec przypadkowo stanął u okna, — spojrział — obaczył przy świetle księżyca dwie beczki niegdyś pełne, teraz wypróżnione, które przypadkiem stały na dziedzińcu. I myśl wielce trafna rozświeciła mu rozum. Więc kazał wcisnąć w jedną beczkę piękną Kunegundę, a w drugą pana von Saurau — i stoczyć obie beczki ze zamku po skalach w rzekę Murę, która, jak państwo widzicie, właśnie płynie wzdłuż żelaznej kolei.“

„Biedna Kunegunda!“ westchnęła dama.

„Teraz powiedz nam pan,“ rzekł jegomość w pękatej krawacie, „powiedz pan szczerze, czyliż nie dobrze się znalazł frauenburski dziedzic, i czyli nie słuszny spotkał koniec panią Kunegundę i jej gaszka?“



„Powiedz pan i osądź sprawiedliwie, czyli się godziło być tak srogim okrutnikiem, jak on ohydny Reimprecht?” zapytała pani.

Byłem troszkę w kłopotcie, jak mi się z tego kompromisu wywiązać, gdy, jak na szczęście, pociąg zwolnił pędu, i wolniał coraz więcej, — więc stacya blizka. „Przybyliśmy“ zawołały obie połowice. Więc na przedce zbierają mantylki, parasolki i torbeczki, laski, skrzyneczki i inne manatki, — i po lekkim pożegnaniu wytaczają się z wagonu. Niedaleko przy dworcu już ich czekał powóz; znać, że się w oném sąsiedztwie spodziewano tych odwiedzin. Lokaj galonowany z pewnem natężeniem podsadził panią do powozu, potem udało się dźwignąć i pana, — drzwiczki trzasły — ruszyli — pojechali, — zniknęli z oczu. Lekki obłoczek kurzu, poruszonego na gościńcu, był już jedynym śladem tych państwa. Niewiadomo mi atoli czyli w powozie jeszcze nastąpił dalszy ciąg dyskusyi w sprawie pani Kunegundy.

„Wierzej mi pan, że nasza Styrya bogata w legendy i podania, z których wiele mogłoby być skarbem dla poetów prawdziwych.“ W te słowa odezwał się do mnie głos, należący do jakiegoś pana, który już od Semerynga z nami podzielał nasz wagon. Był to człowiek już letni, a na suchej twarzy starca malowało się wiele rozumu i łagodności, choć niekiedy lekki ruch ironii przelatywał po tych ustach drobnych i misterynych. Ten pan przysłuchiwał się w milczeniu gawędce mojej z owém osobliwem stadłem; a choć się nie mieszał wcale w rozmowę, znać było, że ta cała scena znakomicie go bawiła.

„Zdawało mi się“ rzekł dalej, „że pana zajmują także tradycye i klechdy i powieści, żyjące między gminem; więc się panu przyznając“ mówił z uśmiezkiem „że, — jak się ten pan raczył wyrazić — i ja należę do tój „chmary próżniaków, co włóczą się po górach i dolinach, polując na plotki i zbierając bajki między chłopami i staremi niewiastami.“ Lecz ja, jako człowiek podeszły, skwitowałem się z życiem, więc też już i odpocząć mogę; a gdy kocham ten kraj mój rodzinny, przetoż lubię podsłuchiwać jego uczucia, marzenia i sny, które mu kwitną w tych legendach i powieściach. Bo ja myślę, że lud każdy te jedynie ze swoich podań zachowuje w pamięci i w sercu, które są najwierniejszém odbiciem jego wyobrażeń i pulsem jego duszy. Co więcćj, lud każdy nie przestaje nigdy na podaniach, które wziął dziedzictwem po dziadach, ale chętnie je rozwija po swojemu, wedle własnego uczucia swojego. Tak ta gminna poezya, niezgnękana nigdy, pracuje bezświadomie w duszy ludu, bo w nim, póki życie tętni, działa fantazya, choć on sam nie zna potęgi, co w nim prze i robi.“

„Więc zapewne pan sam jesteś poetą i ubierasz treść podań ludowych w postaci artystyczne?“ zapytałem.

„Wyznaje, że niegdyś miałem te słabostki, doświadczałem się, — lecz w końcu zawiesiłem lutnię moją na kolku, bo nabrałem przeko-

kania, iż nie poradzę trudnościom, a znów mam tyle czci dla tej fantazyi gminnej, że nie śmiem jej spacyć, zbezczeszczyć miernym moim talentem. Bo choć prawda, że póki lud jaki żywy, póki mu ciepło w duszy, zawsze go stać będzie na nowe a coraz nowe powieści i pieśni, które mu wyrosną ze serca, jak rosna krzewy i kwiaty po tych styryjskich naszych górach; lecz gdy jaka powieść lub śpiewka stara żyje od wieków między gminem, gdy się stała jakoby oddechem uczuć jego, wtedy wedle mojego zdania, tylko świetnym talentom wolno szczeplić na tych dzikich drzewach gałązkę poezyi artystycznej.“

„Zgoda na te uwagi, rzekłem, widzę z tego, co pan mówileś, że obadwaj odróżniamy ściśle trzy stopnie, bo najprzód goły fakt, więc zdarzenie historyczne lub wypadek, albo pojaw natury; potem ten sam fakt, ale przeistoczony już przez fantazyą powszechną gminną; a nakoniec pracę mistrza lub poety, który z tej osnowy stworzył dzieło artystyczne sztuki. Jeżeli zaś obadwaj zgadzamy się na takowe coraz wyższe stopnie, więc sądzę, że pan przyznasz ze mną, iż poeta każdy, biorąc z ręki ludu powieść lub pieśń, już ma łatwiejszą z nią sprawę, bo znajduje osnowę już upoetyzowaną, a tak jego przyszła praca poetycka już jest przez sam gmin na poły dokonana. Gdy gmin jakąś katastrofę lub jakieś zjawisko natury lub factum historyczne podjął powieścią, legendą, pieśnią, — już, jakby z balwana marmurowego, dłutem swojej poezyi rodzinnej wyrobił z grubego przysły posąg. Tak tedy poeta ma się do podania gminu w tym samym stosunku, jak gmin do gołego faktu natury lub historii, słowem do owęj pierwszej ręki, podającej osnowę dla dzieła sztuki.“

„Otóż w tem właśnie widzę ogromną trudność dla poety,“ odpowiedział mi ten pan, „bo jeżeli podania gminne już na poły odbyły pracę, jak pan mówisz, toć się też tem więcej wymaga po pracy artystycznej istnego poety. Bo mamy prawo żądać, aby nie tylko nie uronił żadnej z tych piękności rodzinnych, pierwotnych, ale nadto, aby tę osnowę, już tak przygotowaną, pódniósł do wysokości prawdziwej poezyi. Bo niechaj sobie co chcą prawią, ta twórczość fantazyi gminnej, choć tak zdrowa i świeża i potężna, nie jest jeszcze poezyą prawdziwą.“

„O tej różnicy poezyi gminu i artystycznej,“ wtrąciłem, „tyle już za naszych czasów wypłynęło zdań, że radbym wiedzieć, jakie pańskie zapatrywanie się w tej mierze?“

„Prawda, istotna wieża babilońska w tej sprawie w świecie estetyków i filologów i *di tutti quanti*; co do mnie, nie osmielam się odzywać ze sądem stanowczym; rozumiałbym atoli, że owa różnica wynika już ze samej istoty rzeczy. Bo jeżeli prawda, że poezya gminu jest twórczością bezświadomą, że jest potęgą natury, pracującą w duszy gminu bez jasnej nawet wiedzy jego, więc właśnie ta bezświadomość jest charakterystycznym piętnem tej twórczej fantazyi gminnej, — to piętno różni ją głównie od twórczości poety-



artysty. Bo ten brak jasnej wiedzy siebie w stworzeniu czyni poezją ludową podobną do piękności kształtów, które natura sama z siebie rodzi, a które, o ile są piękne, winny to szczęśliwemu przypadkowi, np. szczęśliwemu położeniu w słońcu, bujnemu gruntowi i t. d. Rzekłbym, że twórczość poetyczna panuje nad duchem ludu, jak twórczość przyrody panuje nad kwiatem. Prawda, że ona włada również i nad poetą we właściwym znaczeniu, lecz przecież i poeta nawzajem nad tą własną twórczością swoją panuje i jest nawzajem jej władcą. Z tej różnicy zasadniczej rodzą się, wedle mnie, wszystkie inne. Z tej różnicy najprzód wypływa, że w powieściach, pieśniach ludu, obok ustępów najwyższej poetyczności, znajdziemy inne wielce niepoetyczne, a to dla tego, że pomysł duchowy nie uwolnił się jeszcze od swojej przypadkowości, od prochów, któremi go obsypał świat rzeczywisty, słowem, że pomysł poematu nie stał się jeszcze przezystym ideałem. Nie dziw tedy, że też ten pomysł nie ma dość potęgi, by sobą przejąć wskrós formę poematu. I dla tego też każdy, choćby najcieplejszy wielbiciel tych pieśni, zgadza się chętnie, że nie mają właściwej formy, a bez formy takowej nie ma prawdziwej poezyi. Tak jak tańce narodowe, jak je lud tańczy, nie są jeszcze sztuką piękną; trzeba artysty, aby je podniósł do znaczenia sztuki pięknej, choć to dość rzadko się udaje; bo najczęściej w skokach i wykręceniach ichmościów baletników ani się dopatrzysz ducha narodowego, który żył pierwotnie w tych tańcach.“

„Ja się godzę,“ odpowiedziałem, „że pieśni ludu nie mają formy ukończonęj, ale to wtedy tylko, jeżeli się zrodziły z fantazyi zwyczajnej, powszechnej, nie będącej wyższem natchnieniem, to jest z fantazyi, którą niby wszyscy ludzie mają sobie udzieloną, choć w wielce różnym stopniu (\*). Więc z takowem zastrzeżeniem godzę się, jak mówię, na to zdanie, choć nawet myślę, że i ta fantazyja zwyczajna może jest w ludzie wiejskim nierównie silniejszą, świeższą, niż w innych warstwach społeczności, których czynność duchowa jest więcej abstrakcyjną, rozumową, w których raczej myśli niżeli obrazu rodzą się z duszy. U ludu wiejskiego zaś zmysły i uczucia są świeższe; on całą pierwotną czerstwością patrzy na naturę i świat fizyczny, a myśli swoje rad nosabia, uzmysłowia, nadając im postaci. Otóż, mimo tego wszystkiego, jestem z panem zdania, że i czerstwość ta fantazyi gminnej nie wystarczy, aby ją uczynić prawdziwie poetyczną. Przecież, czyli pan nie zechcesz przypuścić, że gdy się zdarzy między ludem talent istic poetycki, że gdy się w nim pojawi w całym znaczeniu geniusz, ażali taki już samym natchnionym instynktem, samem, że tak rzekę, od natury danem jasnowidzeniem nie zgadnie najwyższej piękności i nie wywroży sobie formy właściwej? Sięgnę po ogromne przykłady! Przypominam Homera, który wła-

(\*) Ob. Listy z Krakowa T. I. str. 179 i nast. — dalej List. XII i XIII.

śnie urosł na osnowie podań, przywodzę Shakespearą, który pewnie nie studyował estetyków.“

„Nie ma co mówić, przykład Homera, Shakespearą — to artylerya obłącznicza najcięższego kalibru. Ale Homer jest Grekiem, a lud taki, jakim byli Hellenowie, nie wróci się drugi raz na świat; ich duszą, ich wiara, ich tchem było poczucie piękności. A co do Shakespearą — on wcale nie jest poetą gminu, a jego studia zaiste były głębsze, niżby się nam może z wierzchu wydawało; a w końcu czyli nie ma w tym wielkim człowieku wadek, któreby w części pewnie zniknęły, gdyby był żył w naszym czasie i zaczerpnął całej naszej wiadomości o sztuce.“

„Lecz — widzę, że strach około naszej dyskusji; możemy, jak się to tak często zdarza, pogmatwać w porozumieniu się wzajemnym, jeżeli — póki czas — nieograniczmy ściśle pytania, o które nam chodzi. Otóż zapewne i pan nie wątpisz, że co innego wcale jest, gdy poeta-artysta odbiera pierwsze potrącenie swoje od poezji, która żyje w gminie, od fantazji swojego ludu, gdy ona dla niego jest ziemią pożywną, z której bierze potęgę i siłę, które on rozwija właściwym mu kwiatem, a co innego znowu wcale jeżeli on pieśni, legendy gminne już gotowe przerabia, czyniąc z nich dzieło sztuki. Otóż, co się tyczy tamtego pierwszego zachowania się wieszczą do poezji ludowej, rozumiem, że takowy stosunek jest wspólny wszystkim prawdziwym poetom. Każdy wieszczę powinien brać potrącenie od poezji swojego ludu, od uczuć, które w nim pracują, od fantazji co w nim robi; z tego to źródła wieszczę prawdziwy powinien czerpać siły pożywne; ta fantazja jego ludu niechaj mu będzie powietrzem, w którym oddychają kwiaty jego artystycznej potęgi, promieniem słonecznym, co barwi je farbą i zaprawia wonią. Tak czyni i czynił każdy wielki poeta każdego narodu. Kto tego nie pojmuje, jest tylko wrzekomym poetą. Poemat jego będzie kwiatem w doniczce chowanym, albo nawet tylko kwiatkiem robionym, woskowym; poeta takowy jest owym pysznym upadłym aniołem, co się zbuntował prawdzie ogólnej. Czy możemy zaprzeczyć ogromnego talentu klasykom francuzkim; a dla czego ich tragedye takie zimne i martwe, dla czego one tak abstrakcyjne i głuche? Oto ja myślę dla tego, że, krom innych przyczyn, ciążył na nich głównie ten grzech śmiertelny, że nie stanęli w żadnym stosunku do poezji, do fantazji gminnej swojego ludu! Jeżeli atoli takowe jest piętno każdej istnej poezji, toć rzecz jasna, że bywa znowu szczególny rodzaj poezji artystycznej, w której zachodzi jeszcze bliższy i ściślejszy stosunek między poetą, jako mistrzem sztuki, a fantazją gminną. Dzieje się to wtedy, gdy mistrz już nie samo potrącenie bierze od fantazji ludu, ale ima się gminnej poezji już gotowej; przyswaja sobie pieśni, gawędy, legendy ludowe i t. d. a przerabia tę osnowę jedynie o tyle, aby ją uczynił poezją artystyczną. Jeżeli w ogólności dla każdej poezji artystycznej fantazja gminna jest, jak rzekłem, tylko



ziemią pożywną, rosą, płomieniem słonecznym, atmosferą, słowem żywiołem, w którym rozwijają się, jako kwiaty, poezye artystyczne — toć przeciwnie dla owego szczególnego rodzaju artystycznej poezyi poezya ludowa sama jest już prawie kwiatem, choć dziko urosłym, na którym mistrz szczepi dzieło sztuki swojej, i pielęgnuje go i hoduje, aż mu nie wyrosną wieńce chwaly jego. I o této szczegółowej poezyi toczy się głównie spór nasz, bo trudno oznaczyć kędy się kończy ów główny stosunek, owo ogólne piętno każdej poezyi, a kędy się rozpoczyna ów szczegółowy rodzaj poezyi, którego powołaniem jest podnieść dzieła fantazyi gminnej do dziedziny sztuki prawdziwej. Granice są rozplynne, misterne. Mniejsza jednak o to, bo nam o zasadę chodzi. Po tém wszystkim zgodzimy się podobno obadwa, że w tym naszym sporze nie nazywamy poezyą gminną takiej pieśni, która, żyjąc wprawdzie w ustach ludu, jest jednak dziełem jakiego poety-artysty, a przyjęła się w duszy gminu przypadkiem mu do serca.

„Przecież — nawróćmy do naszego pytania,“ kontynuował staruszek, — „czy poezya gminu rodzima sama przez się może być istnem dziełem sztuki? Czyli sam geniusz, jeżeli się zdarzy wśród ludu, może samą potęgą swojego natchnienia utworzyć doskonałe dzieło sztuki? Zdaje mi się, że pytanie takowe już się rozwiązało powyżej; bo zgodziliśmy się na różnicę zasadniczą między poezyą ludową a artystyczną, a ta różnica jest tak głęboka, tak żywotna, że i geniusz rodzimy, choćby najwyższy, nie zdoła jęj przełamać. Czyli pan rozumiesz, że Michał Anioł, że Leonard byliby się dźwignęli w owych proroków sztuki, bez wszystkich owych przygotowań umysłowych, co tak są silną pomocą każdemu mistrzowi? Ja, chodząc po tych górach naszych, gdy usłyszę pastucha grającego na piszczałce, przechodzę z wielkiem uszanowaniem; bo myślę, kto wie, może w tym pastuchu zamaskowany jaki Weber lub Bellini; ale cóż z tego, kiedy ten Weber i Bellini zestarzeje się i umrze niezdemaskowawszy się nigdy. Jeżeli tedy w malarstwie, rzeźbie, w muzyce, w tańcu lub w innej jakiej sztuce sam geniusz nie wystarczy, aby być mistrzem, dla czegożby miała sama poezya być wyjątkiem od tego ogólnego prawidła! Wyznaję atoli chętnie, że geniusz jest tak wielkomocny, iż przebije wszystkie trudności, i że on szybkością błyskawicy uzupełni brakujące mu środki; co więcej, nie taję się panu wcale, iż mnie litosć a zarazem śmiech bierze, gdy jakiś wrzekomy mistrz lub niewydarzony poeta tém jedynie nam chce dowieść doskonałości swojego płodu, iż nas zapewni, jaką to ogromną pracą, jakim to trudem srogim, jaką nieprzeliczoną liczbą nocy bezsennych dokonał dzieła swojego. Jeżeli dzieło jego nie ma własnych zalet, toć te wszystkie jego wywody nas nie przekonają, a jedynie wypadnie mu sumiennie poradzić, aby w inną stronę zwrócił usiłowanie swoje; bo ta jego pracowitość wytrwała, pilność nieustraszona, trafniej użyta, może ogromnych rzeczy dokazać, może mu zjednać poszanowanie

powszechnie i wdzięczność kraju swojego, jeżeli wybierze przedmiot właściwy dla siebie. I wtedy z jego pracy więcej będzie chleba, niż z całej chmary owych niedowarzonych geniuszów. — Ja mam prawdziwy wstręt do geniuszów!“

Spojrzałem z podziwieniem na mojego towarzysza, lecz widząc go we ferworze, nie przerywałem mu filipiki żarliwej przeciw geniuszom.

„Ja, mój panie, długo na świecie patrzałem na kilka wzrastających pokoleń, i widziałem jak to z tych tak zwanych geniuszów porobili się ludzie ładacy i nicponie na ciężki kamień. Ja w życiu mojem wierałem i pod strzechy skromne wieśniaków, i w zamki i pałace, i w domy miast i miasteczek. Gęściej niżby się zdawało napotykałem po rodzinach chłopięta, co geniusze *in spe*, wielcy ludzie w ziarnku. Taki chłopiec nadzwyczajnych zdolności zwykle był cackiem rodziców i krewnych; z ust do ust latały jego koncepta i dowcipy, nawet drugim ubliżające: chłopiec rósł w lata a zarazem w uprzedzenie o sobie, stając się admiracją mamy, ciotek, wujenek i stryjenek — a nuż się jaka babcia znajdzie, toć się on do gruntu wykrywi. Alboż to pan nie zgodzi się na to, że z tych premiantów, co to świecili niby przyszłe luminarze po niższych szkolnych klasach, bardzo rzadko który wyszedł na człowieka, a to dla tego, że ich rozpieszczono, zwichnięto miłością własną za młodu.“

„Myślę,“ odrzekłem, „że uczucia miłości rodziny, a mianowicie pieśczoły rodziców i dziadów są tak naturalne, tak wrodzone sercu, że nie mogą pójść na zle dzieciom i wnukom. Cieszenie się wnukiem jest najczęstszą ostatnią radością, którą doznają dziady w życiu swojem; ono ściera im z duszy pamięć niejednej zgryzoty i niejednej boleści, która ich paliła raną w sercu. Jakże ich potępić, że się rozkwili, gdy wnuka do serca przycisną i troszkę z nim popieszczą!“

„Ba, niechby się i pieścili, ale niechaj nie psują!“ odrzekł tym razem nadzwyczajnie żywo ten pan cichy.

„Linia graniczna tutaj tak misterna, że trudno jej nie przekroczyć,“ wtrąciłem z niechęcią.

„Owszem, sądziłbym że bardzo łatwo; póki chłopczyną grzeczną, potulną, pokorną, pracowitą, a przede wszystkim póki na skinięcie posłuszną, to znać, że go jedynie pieszczą: jeżeli zaś zacznie być krnąbrnym i leniuszkim, to znać, że nie tylko go pieszczą ale też i psują. I cóż się dzieje? Oto z tego chłopca geniuszka, co to miał być pociechą rodziców, chwiałą rodziny, wyrasta zarozumialec nieznosny i próżniak; bo go nadeją pychą przekonanie, że byleby chceć raczył, a już zostawi za sobą całą zgraję współuczniów swoich; ba, niezadługo i nauczycieli mało sobie waży — a gdy mu się uczyć nie chce, więc pomiata tą ich nauką, a nawet wszystkiem czegó się przed nim dorobili. On dopiero będzie prorokiem mądrości! Więc w latach, gdy mu się raczej trzymać ławek uniwersyteckich i pilnej pracy, on już przedzierzgnął się w autora; zamiast samemu się uczyć, on rad uczyć kraj cały, a butnością szarlatanią imponuje nie jednemu z kolegów,



któremu nie wart rzemyków rozwiązać. Lecz jakież koniec tego wszystkiego? — taki iż, przemarnowawszy życie młode, zwiczmnie i późniejsze lata. W nim przebudzone są olbrzymie pretensye, zatem pali go żądza jakiego wielkiego znaczenia między ludźmi; a świat, nie dając nigdy nic na kredyt, pomiata nim i za nic go sobie waży; ztąd późniejsze życie skwaszone i nieszczęśliwe, niekontent ze swojego losu i z siebie samego. Co więcej, gdy taki niewydarzeniec, niczego porządnie się nie nauczywszy, nie znajdzie często nawet uczciwego wyżywienia dla siebie, nie dziw tedy, iż zakipi niechęcią do ludzi i żołącią w piersiach, że się staje zabitym wrogiem wszystkich szczęśliwszych czyli lepszych od siebie. Więc albo ginie gdzieś pod płotem, albo, co gorsza, nie mogąc stać o pracy zacnej, odda się na wszystkie podłości, tak że gotów rodzzonego ojca i wszystko co święte przeefrymarczyć, jak ów Żyd, co sprzedał Chrystusa Pana. Jeżeli zaś taki geniusz już z domu otoczony zamożnością, gdy jego życie nie potrzebuje pasowania się ze światem o chleb powszedni, więc też on nie ma się z kim zmierzyć, nie pozna tedy nigdy jak doprawdy mało wart; a więc będzie istnym Dalaj Lamą, co, oblegany tłuszcza pasibrzuchów, otulony obłokiem dymnych kadzidel, żyje z wiecznym zawrotem głowy.“

„Bardzo to szary i bury ten pański obraz geniuszów,“ rzekłem, „być może, że się niekiedy to dzieje z winy pierwszego prowadzenia; przecież i to prawda, że bez geniuszów świat nie byłby się nigdy dosłużył dzisiejszej kultury, ani byłby się dobił w naukach i sztukach tak wysokiego stanowiska. Rozumiałbym również, żeśmy oba w naszej rozprawie nie dość wyraźnie odróżnili geniuszów, w prawdziwem i ściśłem znaczeniu, od tych, co tak wrzekomo się nazywają. Tamci sami jedni są twórcami postępu i nowych zwrotów w dziejach ludzkości, więc też oni zwykli przewycięzać trudności zawodne; nie czas ich stwarzać, ale oni najczęściej czas swój tworzą; oni tworzą, bo muszą tworzyć; jest to duch wyższy, który ich posiadał, a któremu oni oprzeć się nie zdołają. — Inaczej dzieje się z talentami. Talenta, chociażby najświetniejsze, mają jedynie powołanie aby rozwinać to, co geniusze już stworzyli, aby puścić w świat ich świecące pomysły. Geniusz dobywa z głębin szybu ducha swojego ogromne bryły rudy złota, — a talenta przerabiają je na monetę drobną, szercząc się między ludźmi.“

„Lecz,“ — przerwał mi mój towarzysz, „bo też takie geniusze, geniusze w ściśłem znaczeniu, jak pan ich nazywasz, nie rodzą się tak często i gęsto jak gryby; geniuszów tak mało, że chyba na lekarstwo światu! a to właśnie, wyznać należy, z wielkiej łaski Pana Boga i na wielkie szczęście ludzi! Bo jeżeli potrzeba całego zastępu licznych talentów, zatem wielu lat i wielu pokoleń, aby to, co jeden geniusz sprawi, wyrobić, roztoczyć, wyjaśnić; więc, jak mówię, to wielka łaska Boska, że się geniusze nie pojawiają tak gęsto, jak żabki po deszczu. Bo cożby się tedy stało? Jeszczeby się świat

w jednym nie rozpatrzył, a tu już zalatuje drugi i trzeci i t. d. A pan przyznasz, że ten duchowy ludzkiego rodu żołądek niezmiernie po-mału trawi; długiego więc czasu potrzeba, zanim jaką prawdę jako-tako przerobi sobie na soki pożywne i krew.

„Być może,“ mówił dalej starowina ochłonawszy z rankoru, „być może, że pan nie podzielasz mojego zdania co się tyczy geniuszów w ogólności. Nawracając atoli do rzeczy po tём długim a niepo-trzebném zбочeniu, myślę że się pan zgodzisz, że i wielki geniusz poetycki nie będzie jeszcze prawdziwym wieszczem, jeżeli nie ma wiedzy sztuki, czyli raczej wiedzy własnej swojej czynności; bo wtedy on sam, jak rzekłem, będzie na poły jakby potęgą natury; zatem jak dzieła przyrody, tak i on nie będzie jeszcze wolnym od przypadkowości, wypływającej koniecznie z każdej nieświadomości siebie samego; bo do każdego dzieła sztuki, krom natchnienia ro-dzącego w nas ideał, potrzeba działania, w którém mistrz i dzieła siebie samego świadom jest. Zgodzisz się pan tedy również: że i naj-cudniejsze powiały poezyi gminnej wymagają artystycznej ręki; bo, — że skorzystam z pańskiego górniczego porównania — te pieśni gmin-ne, często tak przesliczne co do osnowy swojej, są zaiste najwyższej ceny dyamentami, szmaragdami, co, wydobyte z głębokiego szybu fantazyi ludu, wymagają jeszcze szlifowania, formy, która im dopie-ro nada ogromną wartość. Przecież do tego właśnie potrzeba ręki lekkiej, artystycznej, a o taką wielce trudno. Co więcej, trzeba ja-kiéjs pobożności i czci dla tych kwiatów fantazyi, które nie sadzone, nie siane rosną po grobach, po starych murach, i również rade się rozwijają tak po ogródkach jak i po cmentarzach sielskich, a o tę cześć i poszanowanie jeszcze trudniej. Patrzmyż, co się stało z tём cudnie piękném podaniem o Dziewicy Orleańskiej! Od czasu, jak tój osnowy tak poetycznej dotknęła się brudna i cyniczna ręka Woltera już ta bogata treść przepadła na zawsze dla francuzkiej poezyi. Co zaś do artystyczności, biorę za przykład Bürgera. Proszę pana, któż zdołał już szczęśliwszym talentem przyswoić sobie powieści i pieśni gminne, jak ten arcymistrz; boć to on dokazał nawet tój prawdzi-wie wielkiej sztuki, że treści wskróś romantycznej nadał formę ści-słe klassyczną. Wszak cała Europa zna „Lenorę“ Bürgera, co, prze-tłómaczona na wszystkie języki, słusznie się szczyć być „królową ballad.“ A jednak teraz panowie krytycy polują chciwie na po-wieści i pieśni gminne, mające jakieś podobieństwo do „Lenory“ — i już dowodzą jasno, jak dwa razy dwa — cztery, że nawet pod ręką mistrzowską Bürgera niektóre ustępy straciły urok swój i wdzięk prostoty pelen, i że te ustępy są nierównie piękniejsze w pierwotnej swojej postaci, niż w przerobieniu Bürgerowém. Pytam się tedy, jeżeli już taki wielki poeta chybił, cóżby się dopiero stało nam lu-dziom tuzinkowym? Czyliż przeto nie jest bezpieczniej, uczciwie, sumiennie zbierać te pieśni, te powieści, i wiernie je spisywać, by stały się materyałem i osnową dla jakiego prawdziwego śpiewaka



przeszłości, coby dokonał do ostatka dzieła poczętego pod tchem natury?”

„Przyznaję, — odpowiedziałem — że to jest praca wielkich zasług, wymagająca atoli szlachetnego zrzeczenia siebie, zwłaszcza, że to nie tak łatwo powiedzieć sobie samemu: zbywa ci na potrzebnym talencie, więc bądź wyrobnikiem, mozołającym się dla innych, uprawiaj ziemię, na której drugim a nie tobie urosną laury!”

„Wierzaj mi pan“, odrzekł, „że i ta praca ma swój wdzięk i arcyzajmujący, co pewnie nie ustąpi urokom, których doznaje botanik, zbierający rośliny po górach do swojego zielnika, albo geolog, co, z młotem w rękę, rad wypukać ze skały martwej, umarłej, wieści o starych dziejach naszego planety. A dla mnie ta praca jest jeszcze innego niepospolitego powabu. Jakoż, gdy, jak to sam pan wyżej powiedziałeś, najczęściej te legendy, powieści i pieśni gminu mają początek a źródło to w jakimś wydarzeniu natury, w jakiejś katastrofie sił przyrodzonych, lub też we fackie historycznym, w jakimś np. wypadku objętym u kronikarzy; otóż jest arcyzajmująca dla mnie rzeczą porównanie tej osnowy historycznej, tego faktu z przeistoczeniem, jakiego z nią dokonała fantazya gminu; bo właśnie z przeobrażenia tego wywróżyć sobie mogą one moce, co żyją i robią w duszy ludu, boć on zawsze nastraja po swojemu fakta do uczuć własnych. A potem znów lubię śledzić, czyli u innego jakiego ludu nie ma podobnego wydarzenia historycznego; a gdy je znajdę, co dość gęsto bywa — bo ta natura ludzka wszędzie jedna — toć znowu porównywan te legendy różnych ludów pomiędzy sobą, i bawi mnie, gdy widzę, jak jedna i taż sama osnowa rozmaicie się przedstawia, jak ona w legendzie każdego ludu przybrała jemu właściwą fizyognomią, a nawet te same rysy i dążności, które się wybiły w jego losach, w sztuce i uczuciu religijnem. Tak np. i my mamy tutaj, w Styryi, naszą Ines de Castro; losy jej historyczne zupełnie te same jak owęj damy portugalskiej, a legenda o niej przecież zupełnie różna.

„Zapewne to Agnieszkę Bernauer?“ powiedziałem.

„Przepraszam; Agnieszka — to jest niemiecka Ines; ona też żyje w pieśniach, powieściach różnych ziem niemieckich; my atoli mamy w Styryi jeszcze naszą własną Ines, co jest słowiańskiego pochodzenia.“

„Wyznaję panu, rzekłem, że jej historia zupełnie mi nieznaną.“

„Opowiem ją tedy panu po krótko; boć niezadługo przyjdzie nam czas pożegnać się z sobą, gdyż na pierwszej stacyi opuszczę wagon, by przenocować w pobliskiej wiosce, a jutro świtem wyruszę między góry. Opowiem rzecz ogólnie, by mi starczyło jeszcze troszkę czasu porównać historyczny fakt z jego przeistoczeniem, którego doznał w poetyzujących ustach ludu.“

„Będę słuchał z wdzięcznością i uwagą.“

„Otoż, na początku piętnastego stulecia, żył na zamku cylejskim hrabia Herman, — panek hardy i twardy.“

„Przepraszam, że przerwę, wtrąciłem, czyli to nie ten Herman, co był ojcem małżonki cesarza Zygmunta, onej Barbary tak... nieskromnej pamięci?“

„Ten sam, i dla tego też ten ostatni cesarz z Luksemburskiego domu wplótł się w powieść moją.“

„Rad temu jestem“, zawołałem, „bo w niej spotykam znajome mi figury. Jakoż, siostrą rodzoną czyli podobno stryjeczną tój Barbary była przecież owa Anna, którą poślubił sobie Władysław Jagiełło, a ten Herman sam znów był zięciem naszego Kazimierza Wielkiego“. (\*)

„Tak jest — i, widzisz pan, te to świetne kolligacye z królami i cesarzami właśnie zawróciły pychę głowy cylejskich grafów, a tém samém stały się przyczyną nieszczęścia mojej pięknej heroiny! Otoż Herman miał syna Fryderyka, który, jak pan widzisz, był szwagrem cesarza, powinowatym Jagiełły, a wnukiem waszego Kazimierza, ostatniego Piasta: bo nie obca mi historia polska. Więc ten Fryderyk pojął był za małżonkę Elżbietę Frangepan; takowy związek przecież, jak się zdaje, nie liczył się do najszczęśliwszych. Elżbieta umarła a Fryderyk wrychle rozgorzał gwałtowną miłością ku Weronice, córce prostego szlachcica chrobackiego. Wszak ta niewiasta słowiańska była udarowana od natury najwzruszszym wdziękiem i urokiem. Moznaby tedy przejrzeć Fryderykowi, że ją zaślubił bez wiedzy ojca i zezwolenia cesarza. Niezadługo atoli wydała się tajemnica. Zygmunt zapozwał przed sąd swój Fryderyka, a pojmawszy go, okuł w kajdany i odesłał ojcu. Herman, oburzony do żywego na syna, że śmiał niegodnym związkiem skalać świetność swojego domu, wtrącił go do więzienia i trzymał długo na zamku odludnym, w ciemnicy a ciężkich okowach. Fryderyk był zmuszony do uroczystego zrzeczenia się zamków, włości, miasteczek, danych mu przez ojca. Ten nawet tak się uniosł gniewem, że kazał zrównać z ziemią zamek Friedrichstein, a to jedynie dla tego, że po imieniu syna tak się nazywał.

„Łatwo sobie wystawić, co się działo wtedy z biedną Weroniką.

(\*) Wyznaje szanownemu czytelnikowi, że trudna mi rada z pochodzeniem tój naszej królowej Anny. — Ta wnuczka Kazimierza Wielkiego była, według Długosza i Bielskiego, córką Wilhelma hr. Cylejskiego, według Hübnera zaś (Genealogische Tabellen, Leipzig, 1837), Naruszewicza, Lelewela, jest córką Hermana Cylejskiego, brata Wilhelma. Ztąd też Hübner, Lelewel i inni uważają cesarzową Barbarę i naszą Annę za siostry rodzone, a Aschbach (Geschichte Kaisers Sigismund. T. I. str. 261), opierając się na Długoszu, Bielskim twierdzi, że Barbara i Anna były siostry stryjeczne. Aschbach powiada, że Herman, według niego, miał wprawdzie dwie córki, lecz druga została zaślubiona Mikołajowi Góra. Które z tych dwóch zdań ma słuszność za sobą? — Nie wiem, — a choć ta wątpliwość długo mi po głowie chodziła, zostawiłem w końcu rozstrzygnięcie jej naszym historykom.



Gnana trwogą, ścigana przez siepaczy, wysłanych na zwiady od srogiego teścia, ukrywała się, jak pisze kronika, po nieprzebytych puszczach, błąkała się po górach, po gęstwinach bezdrożnych, mając przy sobie tylko jedną ze służebnic swoich. W ciemnych jarach, wśród skał i jaskiń leśnych, zdjęta strachem trawiła życie w modlitwach gorących i łzach, błagając Boga o ratunek i opiekę, zbyt drogo krótkie chwile szczęścia oplacając. Udało się przecież jednemu z jej przyjaciół wynaleźć jej przytułek i umieścić ją w zamczku drobnym, ale właśnie dla tego niby bezpiecznym. Krótka pociecha! Sfora siepaczów, rozpuszczona od Hermana, wytopiła jej zacisze, i okuwszy ją w łańcuchy zawiozła przed oblicze okrutnego teścia. Herman ustanowił sąd, a złożył go z ludzi od niego zawisłych, przed którymi oskarżył Weronikę, jakoby mocą sztuczek szatańskich oczarowała mu syna, jakoby nawet kusila się o otruciu jego samego. Weronice wedle prawa dodano obrońcę. Herman, który na chwilę nie wątpił o potępiającym wyroku, rad był zachować wszystkie formy ustawami przepisane. Rzecz się atoli inaczej obróciła. Sędziowie, widząc jej wdzięki i piękność niewymowną, łatwo zgadli, jakim to czarnoksiężstwem Weronika zjednała sobie serce Fryderyka; uznali ją tedy za niewinną. Tém atoli Herman nie ochłodził nienawistności swojej; więc znowu srodze synową wtrąca do baszty, tu ją męczy i dręczy; nakoniec postanowił przypawić ją o śmierć pragnieniem i głodem. Gdy się to nie udało, wyprawia morderców; — ci dopiero uspokoili chęć okrutnika: wiążą biedną i wrzucają do wody i topią (r. 1424).

„Fryderyk, po długich latach odzyskawszy wolność, rozkazał zwłoki nieszczęśliwej kochanki wydobyć z ziemi i pochować uroczyście w kościele Kartuzów w Geyrach.

„Pan tedy widzisz, że losy biednej Weroniki słusznie można porównać z historią Ines de Castro i Agnieszki Bernauer“, rzekł do mnie ten pan, odetchnąwszy głęboko po nieładzie zmęczeniu, bo wszyscy wiemy, jak to trudno mówić wśród turkotu i brzęku wagonów.

„Zdaje mi się atoli“, odpowiedziałem, „że podanie portugalskie jest szlachetniejszym, bo tu nie sam teść jest wykonawcą morderstwa! Wiadomo bowiem, że Alfons IV, choć uniesiony był nienawiścią przeciw swojej synowej, i już w sercu gotował jej śmierć, przecież, gdy Ines stanęła przed nim, jej wdzięki anielskie, zacność i szlachetność jej duszy, tak rozbroiły nieużytego starca, że serce jego skłoniło się do przebaczenia. Ztąd szkarada zbrodni spadła na onych trzech nieczemnych dworaków, co, nie przeczuwając zmiany uczuć w królu, a wiedzeni podłą chęcią niecznej przysługi, dokonali morderstwa, wśród niewiast dworskich przeszywając puginałami nieszczęśliwą Ines. A tak ohyda nie ciąży wprost na królu, a tém samém zrozumieć można zupełne pogodzenie się syna i ojca. Ztąd też i cała powieść jakoś więcej w sobie zamknięta i skończona, a co

więcej ta powieść na prawdę jest tragiczną. Bo choć zabójstwo nie było dokonane z rozkazu Alfonsa, choć tedy on sam nie jest zbrodniarzem, toć przecież on nie jest wolnym od winy; bo to właśnie ta pierwotna nienawiść jego i żądza zemsty niesprawiedliwej była powodem strasznego ciosu, który tak ciężkiem, bolesnem brzemieniem przywała serce jego; i w tém właśnie tkwi, jak myślę, tragiczność figury Alfonsa. Wszak w całej tej powieści włada jakaś tajemnicza karząca potęga, bo żadna z głównych figur nie jest zupełnie bez winy.“

„Przystaję na pana zdanie“, rzekł nieznajomy, „co więcej, zgadzam się nawet, że daleko poetyczniejsza, niż o Weronice naszej, jest historia Agnieszki. Jakoż, wypadek na turnieju, okropne szczegóły jej śmierci, owe kajdany, które jakby cudem spadają [z jej rąk, obląkanie jej małżonka, potęga uleczająca muzyki, — to wszystko czyni z tego podania arcy-szczęśliwy przedmiot dla poetów.“ (\*)

„Bądź jak bądź“, mówił dalej mój towarzysz, „otóż są trzy niewiasty, których losy smętne tak wielce są do siebie podobne.“

(\*) Losy smętne Ines de Castro są tak słynne, że zaiste będą znane moim czytelnikom; nie chcę tedy ich trudzić powtórzeniem tego tragicznego wypadku. (\*) Wołę raczej powiedzieć słów kilka o Agnieszce mniei nam znanej, gdyż bez tego wyjaśnienia trudno zrozumieć zdanie powyższe mojego towarzysza podróży; a wypiszę tę historią wprost z jednego z pisarzy niemieckich, nieco ją skracając, ale nie zresztą nie zmieniając.

Prawie w tym samym roku, gdy Jagiello poślubił sobie Annę Cylejską, Ernestowi księciu bawarskiemu na Mnikowie (München) urodził się syn Albrecht. Elżbieta, małżonka Ernesta (księżniczka Visconti z domu), z najwyższą serca poeciach widziała w wzrastającym pacholeciu uczucia łagodne, pełne szlachetności i słodyczy; znając atoli dzikość i barbarzyństwo swojego małżonka, postanowiła wychowywać ulubieńca swojego z daleka od ojca, — a nawet, gdy dorósł, pragnęła usunąć wszelką porę zetknięcia się syna z ojcem; więc za jej staraniem dzwignął się na uboczu daleki zamek Vohburg, który przeznaczyla na mieszkanie jedynakowi. Tam młody Albrecht żył w samotności, słodząc sobie cliwe chwile poezją i muzyką. Mroźny chłód rozdzielał ojca i syna, tak niepodobnych do siebie. Zdarzyło się nawet, że Ernest w krwawej bitwie ocalił życie Albrechtowi, a przecież i ten wypadek nie zdołał ich połączyć miłością i wzajemnem zaufaniem, — owszem obaj, nawzajem się unikając, widywali się jedynie przy nadzwyczajnych uroczystościach. Tak się rzeczy miały, gdy w Augsburgu odbywano turnieje, na które i Albrecht przybył. Na tych to turniejach, wśród grona niewiast, obaczył postać nadzwyczajnej urody, dziewięć tak piękną, że się zdawała być zjawiskiem nadziemskim. Dopytuje się o nią u innych, — odpowiadają, że to Agnieszka Bernauerin, córka chirurga. Albrecht przebiera się za mieszczanina i w tym stroju zapoznaje się z Agnieszką. On albowiem pragnął pozyskać jej serce samym urokiem swoich uczuć płomiennych i li zaletami osoby swojej, nie wzywając na pomoc świetności swojego stanowiska i urodzenia. W rymie też przymioty jego duszy i postać i szlachetność zmieciły miłość namiętną w duszy Agnieszki; a dopiero, gdy rozkochany Albrecht był pewien wzajemnych uczuć swojej ulubienicy, odkrył jej tajemnice, wyznając, że jest następcą bawarskiego księcia. Jak grom uderzyła ta

(\*) Tragiczną historią miłości Ines de Castro do Don Pedra, syna Alfonsa IV króla Portugalskiego wcielił Camoens do swojej *Lucydy*. Znany zaś poeta portugalski Jan Baltysta *Gomes* (ur. 1770, † 1863) osnuł na tej historii tragedyę: *Noni Castro*, przełożoną na język francuzki przez Denis, na niemiecki zaś przez Wittcha. — St.



„Wiem ja o czwartej“, rzekłem, „której historia śmiało stanąć może obok tamtych. I dziwna rzecz, że i dla mojej heroiny, równie jak dla Agnieszki i Weroniki, wodne głębie stały się grobem. Przecież skon polskiej Ines, tak Izawy i okropny, podał treść do poematu jednego z najznakomitszych wieszczów.“ Wywdzięczając się tedy opowiedziałem mojemu towarzyszowi losy Gertrudy Komorowskiej, której Malczewski w swojej Maryi postawił pomnik tak cudownej piękności, że przetrwa wszystkie wieki — jej na cześć, a niecym gwałtem na sromotę.

Słuchał opowiadania z wielkiem zajęciem ten pan; — nakoniec rzekł: „Ta powieść tém straszniej porusza serce, że fakt tak blisko sięga naszych czasów, że ohyda zbrodni niesłychanej tutaj nie ułagodzona nawet blichtrzem jakiegoś sądu i prawa; w skonie Ines, Weroniki, Agnieszki gra nawet jeszcze wzgląd polityczny, — Gertruda zaś stała się ofiarą obrażonej dumy prostego panka, gdyż ożenienie się syna z córką szlachcica polskiego, wedle mojego zdania, nie byłoby sprawiło żadnej istotnej odmiany w rodzinie magnata. A zbro-

wiadomość w Agnieszkę — już teraz obaczyła otchłań bezdenną, rozdzielając ją od wybrańca jej serca. Małżeństwo takowe zdawało się być niesłychanem! Rozpacz, która ogarnęła dziewicę, zdjęła boleścią i duszę Albrechta: teraz i on przeżywał i poznał ogrom nieszczęścia swojego! Namietność pałaca bez nadziei to go wyrzucała z miasta na zamek Vohburg, to znów męki serdeczne i szal sprowadzały napowrót do Agnieszki. Te katusze nie dawały mu wytchu ani spokoju; więc jak błyskawicą przejęła go myśl odrzucenia precz od siebie wszelkich względów i uwiecznienia miłości swojej, pojmując za małżonkę dziewicę nieskałanej cnoty. I w zaciśnięty swojego zamku, w gronie kilku przyjaciół, odbył się akt święty ślubów. Już szczęście bez granic objęło sobą małżonków, gdy ojciec Albrechta, srogi książę Ernest, oddawna podejrzewając o te stosunki syna, zapragnął go doświadczyć, by do ostatka się przekonać o prawdzie wieści, które chodziły między ludźmi o zaślubieniu się jego syna z córką wgardzonego chirurga. W tej myśli naprzód wysłał do niego swatów, ofiarujących mu za małżonkę Annę Brunswicką, pannę cudnej urody. Albrecht obojętnie odprawił dziewczosłębów. Niezadługo potem gotowano świetne turnieje w Ratusbonie, na które zbierało się rycerstwo ze wszystkich krajów ościennych. Pojawił się w szrankach i Albrecht. Wtedy z rozkazu starego księcia w obliczu całego zgromadzenia ogłoszono: że Albrecht, jako żyjący, wbrew obyczajom rycerskim, z wierutną niewiastą w związkach plugawych, nie godzien by z rycerstwem kruszył kopije. Albrecht, słysząc jaki srom rzucono na jego cześć i na kochanie jego, zapalony gniewem, wola, że Agnieszka jest jego małżonką świętym Sakramentem przed Bogiem mu poślubioną — i wyzywa do krwawej rozprawy każdego, co by śmiał na jej uczciwość nastawać. Wraca do siebie — uroczyście, publicznie sprowadza małżonkę na zamek Straubing, oddając go Agnieszce na własność a siedzibę, i ogłasza ją za księżniczkę bawarską.

Ojciec tłumil zajadłość w tajemnicy piersi swoich, a tak udało mu się usnąć czujność syna. Później upatrzysz sobie dogodną chwilę, pod pozorem zdradnym wywabił go z zamku od żony; lecz zaledwie się oddalił z domu Albrecht, a już wpadli do niego wysłańcy Ernesta, ujęli Agnieszkę i okutą w kajdany zawlekli przed sąd. Już dawno puszczone były między lud wieści, że Agnieszka oddaje się praktykom czarnoksiężkim, że za jej sprawą piekielną księżką Wilhelm i nowo-urodzony synek jego zeszedli ze świata. Więc też już obeszło się bez form sądowych; wyrok śmierci był już wydany, zanim nieszczęsna niewiasta stanęła przed trybunałem swoim. Wśród niesłychanego zbiegowiska ludu zaprowadzono Agnie-

dnia i mord przebrany w maski ochocze, zapustne. jest wedle mnie arcydziełem okropności, — jest to poezya tak demoniczna, iżby sam geniusz Shakespeara nie zdobył się na piekielniejszą ironią. „Nie rozumiej pan, wtrąciłem, jakoby ów niecny magnat miał wielu panów polskich do siebie podobnych.“ — „Chętnie wierzę i nie chcę tej krzywdy czynić narodowi polskiemu“, dodał staruszek. — „Ale, wracając do naszej rozmowy, chciał pan baczyc, że jeżeli przyznaję, iż dzieje Ines, Agnieszki i waszej Gertrudy są poetyczniejsze od historyi naszej styryjskiej Weroniki, toć pan nie rozumiej, jakoby nasz lud powtarzał sobie jej losy tak jałowo, jak o niej prawią kroniki i jak je panu opowiedziałem. Owszem lud je przerobił po swojemu i wyhaftował na niej, jako na kanwie, poemacik pełen wdzięku. Tak np. Fryderyk, małżonek Weroniki, żyje w sercu gminu jako młodzieniec cudnej postaci, pełny szlachetności rycerskiej i uniesień romantycznych; lud wierzy, że wypuszczony po długich latach z kaźni ojca, zrzekł się świata i władzy i świetności doczesnej, że nawet został zakonnikiem kartuzem, w tym samym klasztorze, kędy jego

szkę na most nad Dunajem: tłumy, widząc jej piękność i wdzięk niebiański, plakały z rozrzewnienia; — oprawcy wtrącili ją w topiele wodne. Ona wśród fal wzywa Bożej pomocy, — i już się zdawało, że jej błagania i jęki wysłuchane, bo jakby cudem okowy spadły z jej ręki, i ona już dopływała do brzegu, gdy jeden z oprawców odrywa szynę żelazną od poręczy mostu, a obwinawszy o nią długie złote piękne włosy Agnieszki, zanurza ją we fale okrutne. Już wody unosiły tę cudną jej postać, gdy na brzegu rzeki pędem stanął Albrecht. Na widok bezdennego nieszczęścia, uderzony jakby gromem, wyrwa się z rąk przyjaciół, by już skoczył do Dunaju i we falach utopił życie swoje. Długo trwało pasowanie się jego z przyjaciółmi, aż nakoniec, używszy przemocy, uratowali od samobójstwa. Lecz wtedy na miejsce szaleństwa opanowało go obląkanie głuche: wpadł w odretwienie martwe ciała i duszy — bez ruchu, nie widząc, nie słysząc — skamieniał. Już skon miał go połączyć na wieki z miłością jego, gdy jeden z jego przyjaciół wpadł na myśl szczęśliwą, by na nim doświadczyć potęgi muzyki. Więc zaśpiewano mu pieśń z czasów błogiej miłości i szczęścia. Na te dźwięki utraconego raj, jego dusza wstała z martwych! — Ale zaledwie ocknęła się w nim przytomność, gdy żądza najokropiejszej zemsty na ojcu, na sprawcy jego nieszczęścia, pożarem ogarnęła serce jego. Właśnie wtedy książę Ludwik bojował z Ernestem; więc do wroga własnego ojca śpieszy młodzieniec, a tak się staje wrogiem własnego kraju. — dziedzina ojca jego plonie pożogą, bitwy mordercze rozniósł syn po ziemi rodzinnej. A klęski, biedy i jęki, — pałace się zamki i siola, znaczyły drogi Albrechta, jakby aniola zniszczenia. Przecież w końcu po długich latach upamiętał się; demon zemsty go odstąpił. Więc zesmutniał i płakał i nad krajem własnym i nad sobą. A ojciec przywalony nieszczęściem, wiekiem i zgryzotą rozplynał zalem nad czynem swoim. Mieszczanie monacheńscy wyszli poselstwem przed Albrechta; za ich to pośrednictwem stanęło widzenie się ojca i syna. Obaj, skruszeni nieszczęściem, spojrzeli na siebie, przebacząc sobie nawzajem. Sam ojciec rozkazał wystawić Agnieszce kaplicę grobową, pełną przepychu, — w kaplicy pomnik, na którym w marmurowym posagu widać postać Agnieszki, odzianą osłoną zwykle należącą się tylko niewiastom domów panujących. U stóp jej wyrzeźbiony był kształt psa i jaszczurki. jako domło wierności i domowego życia. Kaplica uposażona była fundacją na wieczne czasy na nabożeństwo żałobne, mające się odbywać w każdą rocznicę śmierci Agnieszki.



miłość pochowano; tam w pokucie i smutku modlił się w samotnych nocach przy jej grobie; legenda nawet prawi, że pewnego ranka znaleziono go bez duszy przy trumnie ukochanej żony jego. Tymczasem historia ani słowa nie wie o tém skapturzeniu jego, ani o długotrwałym smutku, ani o skonie w nocy samotnej; owszem zapewnia, że Fryderyk żył jeszcze długo i wesoło i zdrowo, że się pogodził z ojcem i cesarzem Zygmuntem, że go ten nawet już w osm lat po śmierci Weroniki udarował i mitrą książęcą i uczynił go jednym z najpotężniejszych lenników swoich. Lud zapomniał również o zbrodni, która cięży tak smętnem brzemieniem na pamięci ulubieńca jego, na tymże Fryderyku; — powieść gminna nie wspomina bowiem wcale o śmierci pierwszej jego małżonki Elżbiety Frangepan; a przecież fakt niewątpliwy, że pewnego poranku znaleziono ją zamordowaną w łóżku, — chodziły pogłoski, że to własny jej małżonek Fryderyk umaczał ręce swoje w krwi jej.“

„Dziwnie też“, przerwałem, „dziwnie poplotły się losy niewiast, należących do tej rodziny. Weronika ginie od teścia, Elżbieta od męża, a bratowa Zygmunta, to jest Joanna, małżonka cesarza Wacława, utraciła życie rozszarpana od psa faworyta męża! — Wszak to kundel olbrzymi, co legiwał u nóg Wacława, rzucił się na Joannę w nocy i zagryzł we własnej sypialnej komnacie. Okropne podejrzenie, a więcej nawet niż podejrzenie żyje w historii, jakoby tego psa poszczuł sam okrutnik Wacław.“

„Dodaj pan“ — zawołał mój towarzysz — „że i Zofia, druga małżonka tego ciemiężcy, nie była szczęśliwszą; a osobliwym trafem ta Zofia była właśnie ciotką Albrechta, męża Agnieszki; na jej to właśnie dworze wychowywał się i dorósł Albrecht.“

„Najpomysłniej podobno“, rzekłem, „obróciły się losy Amy, siostry stryjecznej Fryderyka, zaślubionej Władysławowi Jagielle. Prawda, że i jej życie nie zakwitło różami, bo biedactwo tak było szpetne, że Jagiełło, obaczywszy ją, ociągał się ze ślubem, pod pozorem aby się wprzód w Krakowie nauczyła po polsku! — Zdaje się, że Jagiełło, nawykły do wdzięków Jadwigi, przez życie całe nie przemógł odrazy swojej do Amy; przecież i to pewno, że też nigdy nie doświadczyła krzywdy żadnej od niego.“

„Mówiąc o kobietach Cylejskich“, wtrącił staruszek, „nie zapomnijmy przecież i o Barbarze, żonie cesarza Zygmunta, będącej tak wierutnych obyczajów, że sam Zygmunt, nie widząc innej na to rady, w żarty hańbę obracał. Jakoż, gdy pewnego razu jeden z dworzan, rozmawiając z kolegami, rzekł, jako słyszał, że kobieta, która przypadkiem polknie sierść lamparta, już na życie całe najgorzej się prowadzi, Zygmunt, który przypadkiem dosłyszał rozmowy, zawołał śmiejąc się: jeżeli tak jest, toć ani wątpić, że moja Basia nie włosek jeden, ale pewnie całą skórę lamparta polknęła!“

„Lecz nawracając znowu do podania o naszej Weronice, — jak fantazyja gminu dodała swoich barw figurze Albrechta, rozswiecając

ją magią uczuć swoich, tak w pamięć samęj Weroniki wplotła cudotworność poetycką. Tak np. chwile jej trwogi i lęku, gdy się kryła po puszczech, stanowią u ludu jakby powieść osobną, w której nie braknie pustelników samotnych i rozbójników, i całego romantycznego przyrządu. Podobnie z kroniki nie widać, jakim trybem Weronika uniknęła śmierci tak okropnej, gdy ją Herman chciał w więzieniu zamorzyć, — a lud wypadkom nadzwyczajnym, prawie cudom, które małowniczo opowiada, przypisuje jej ocalenie od głodu. Wszak tym trybem się zawsze działo z poezją rodzimą gminną; ona od wieków lubiła fakta ubierać i stroić po swojemu! Tak np. nie ma może narodu, kędy nie chodzą podania o nienawiści dwóch braci rodzonych: znajdziemy je wszędzie, zaczawszy od mitów greckich, a kończąc na tej naszej tak skromnej Styrii, a wszędzie wypadki historyczne mienia się i migocą fantazją, właściwą każdemu krajowi. — Gdym się już tak rozgadał, opowiem panu naprędce gadkę tego rodzaju, która nam z gór naszych wykwitła.

„Niegdyś w szarych latach broili tu w naszych górach dwaj bracia, a zwali się panowie von Reichenburg; jeden z nich gnieździł się w zamku na skale, a drugi w zamku pod skałą. Obaj zajęli się od dzieciństwa nienawiścią tak srogą na siebie, że każdy rad czyhał na porę swobodną, by drugiemu zgubę zgotować. Otóż wróg naszej duszy, co to rad ludziskom stawiać sidła zdradne, tak rzecz sobie urządził, iż pewnego ranka w tej samej godzinie, ba w tej samej chwili, każdy z nich niby z przypadku, mając rusznicę nabitą w rękę, wyjrzał oknem, i każdy z nich drugiego obaczył; więc każdy chwycił za strzelbę — wymierzył — wypalił, i każdy trupem legł z ręki bratobójczej. Złożono ich zwłoki w wspólnej kaplicy, a nawet w tym samym grobowcu. — co, jak się okazało, nie było myślą zbyt szczęśliwą ani oględną; bo odrazą złowroga śnać trwała po za skon. Lud sobie szeptał, że w każdą rocznicę ich śmierci, o północy, słychać w kaplicy jakiś gruch, łoskot, zgrzytanie zębów. Ztąd łatwo już domyslić się można było, że bracia wstają z trumien, że walczą i szamocą się z sobą do pierwszego kura. Więc też nie darmo, gdy po wielu — wielu latach otworzono ich trumny, znaleziono skielety ich odwrócone od siebie, pięści kościaste złożone w kulak jakby w gniewie, a zęby zacięte. Ja sam, będąc pewnego razu w Reichenburgu, widziałem tuż przy ołtarzu niszę; oto w niej po dziś dzień jeszcze stoją dwie czaszki trupie: są to głowy ichmościów von Reichenburg, — one zwrócone ku sobie, mizdrzą się do siebie. Lud okoliczny atoli najmocniej przekonany, że w rocznicę śmierci tych braciszków jeszcze słychać on gruch i stuk i hałas, — a gdy kościelny, co jest człowiekiem statecznym a sensatem, nazajutrz zrana wejdzie do kaplicy, co za dziwy! te głowy trupie, co jeszcze wczoraj patrzyły się na siebie, teraz od siebie odwrócone.“

„Mocno żałuję“, ciągnął dalej mowę starszek z uśmiechem, „mocno żałuję, że nie był nigdy w Reichenburgu w ową rocznicę; nie



mogłem tedy uczynić eksperymentu i przekonać się, jakim to sposobem te głowy skutecznieją to odwrócenie od siebie. Lecz mniejsza o to! patrz pan, wedle starego greckiego mitu zwłoki wrogich braci tebańskich, także bratobójców, złożono na stosie wspólnym. Lecz płomienie, ogarniające stos i ciała bezduszne, rozdzieliły się na dwa ognie osobne, świadcząc o nienawiści trwającej po za skon. Powiedz pan, czyli to nie istny prawdziwy, najklassycyzniejszy klassycyzm? A inaczej u nas w Styryi, skielety złożone w tym samym grobie pasują się i szamocą, — czaszki odwracają się od siebie — przyznasz, że to znowu romantyzm najczyściejszej wody!... Ale! tu stacya moja! (patrzając na zegarek) wleliśmy się jak jakie ślimaki — 10 minut zapóźno — kompletna noc!“

Pożegnał się z lekka ze mną mój towarzysz, wyskoczył z wagonu, raz jeszcze skinał ręką i utonął w ciemności; — raz jeszcze z daleka, gdy mijał latarnię żarzącą dworca, jasne jego palety mignęło mi się w świetle, a potem już na dobre starowina przepadł w grubiej nocy.

Prawda, anim się w czasie tój gawędy spostrzegł, że już tak późna godzina. Lamy w wagonie już oddawna zapalone oświecały w koło zupełnie nową dla mnie ludność podróżnych, co była wsiała na ostatnich stacyach w miejsce dawniej ubytych wędrowców. Tu i owdzie tylko w cieniu, jak wilcze oczy, tlił się czerwony żarek cygara; większa część moich towarzyszy i towarzyszek to drzemie, kołysząc głowami, to spi smacznie w różnych pozycyach, jak tam kto może. Na dworze ciemno i buro; około okien niekiedy przelatują iskry lokomotywy, a stróże kolei, stojący z rozpaloną pochodnią w rękę wzdłuż żelaznej drogi, jakby demony przelatują pędem szalonym.

Trzeciwy to był dzień! Przecież to dziś jeszcze widziałem, choć wczesnym porankiem, kościół św. Szczepana w Wiedniu! Tak jak na przegląd przesunął się w pamięci i Semeryng — buraczkowa kareta — i romans u Prinsica — zamki w dolinach czarodziejskich Murycy i Mury — jegomość z grubą krawatą i wachlująca się jego połowica — Lenora Bürgera, co, wraz z kochankiem umarłym, na koniu pędzi na cmentarz, gdy w koło nich tańczą po księżycu nieboszczyki — pani Barbara, i Weronika, i Malczewski, — skielety, czaszki trupie. Toć wszystko jakby jaselka w szopce przemykało się przed duszą moją; a zamiast muzyki — sztuk, puk, turkot wagonów i z daleka sapanie, a niekiedy gwizd piekielny lokomotywy; wtórowało zaś do koncertu chrapanie dość donośne niektórych wojażerów, a mianowicie tam ktoś pod lampą nie żaluje sobie tego sennego grania. Cień padł na twarz! — Patrzę — a tu poznaję, że to nasz pan Jonatan! — Amor nie przeszkadza Morfeuszowi, onemu geniuszowi sennych marzeń; bo obaj chłopcy skrzydlate, obaj kapryśne stworzenia; a często i drwiące i ludzące.

Przecież, zkąd tój damie, mówiłem do siebie, to nadzwyczajne

poruszenie na widok księdza! — Nie wiem! — Nie wiem również, czyliby pan Jonatan spał tak smaczno, gdyby, zamiast jechać z tą damą do kościoła św. Antoniego w Padwie, puszczał się bez niej na statku parowym do Ameryki!

I tak sobie dumalem, gdy maki, rozsypane po moich towarzyszach, i mnie oczy zaproszyły. Więc zaczęła mię nie na żarty śpiączka rozbierać, a obrazy dnia całego zaczęły hulać hasem niedorzecznym, chaotycznym, więc przemykały się wirem zamętym skielety i krawaty, wachlarze, karety, aż też to wszystko zamieniło się w istny głęboki sen.

Zasnąłem tedy, a nie myśląc samego siebie budzić przed świtem, korzystam z tej swobodnej dla mnie chwili, by się zwrócić do czytelnika. Istotnie prawda! Od wyjazdu z Wiednia, aż do chwili onego zaśnięcia, upłynął tylko dzień jeden, a jakże ja się sążnisto o nim rozpisałem! Rad sobie jestem serdecznie, że wyrobiłem dla siebie już w pierwszych onych godzinach mojej podróży prawo do rozgadania się wedle mojej woli a ochoty. Był to pomysł, jak teraz widzę, istotnie wielce szczęśliwy! Mimo tego, zdaje mi się, że może i przesadził i nadużył przywileju. Bo gdyby mi przyszło tak rozwlekle prawić o każdym dniu tej mojej wycieczki, opis napuchłby w cały szereg tomów. Wypadnie mi się tedy powściągnąć i wprowadzić jakiś ład i gospodarstwo w to pisanie moje; że tego dokonam, rozumie się, ile mnie stać będzie, przyrzekam niniejszém uroczyscie.

---

*Lublana (Laibach).*

Gdym się z rana przebudził, otóż ja na dworcu kolei w Lublanie! Nie bardzo miłą była dla mnie myśl, że tu skończyła się ta droga żelazna, że znów będzie trzeba staroświeckim obyczajem wsiąść z niepyszna do jednego z tych ogromnych wozów pocztowych, co batalionem całym porozstawiane na dziedzińcu, gotowe do zaprzęgu. Ale się jakoś pocieszył, patrząc w świat. Niebo czyste wroży, że i dzień będzie pogodny. Godzina czwarta — słońce już, już miało się wznosić nad zieloną ziemią, więc wysłało przed siebie na najwyższe niebo gawieź tłumną małych rumianych obłoczków o złotym, palącym rąbku. Więc też wszystko, co na ziemi, — bo i pola i wieże i kościoły bliżkiej Lublany — oblane złocistą purpurą. Nad miastem tylko wznosi się góra, i ona w różowym świetle jaśnieje na niebie; na szczycie jej stary zamek. Te wczorajsze harde szczyty alpejskie gdzieś zniknęły, pozostały za nami, a w ich miejsce pagóry o łagodnych krągłych konturach, porośłe krzewami. Ten widok atoli nie był ckliwy, bo nie brakło ogrodów i ról zbożnych, a gościniec wysadzony topolami przerywał, o ile go stać było, jednostajność



obrazu. Jakaś cisza spokojna, jakieś milczenie głębokie, uroczyste tchnęło po naturze; rzekłbyś, że ona odmawia ranne paciorki swoje. Tu i owdzie grono ludu wiejskiego ożywia obraz; jedni ciągną ku miastu z jarzyną i mleczym — inni śpieszą na łąki, w ich rękach kosa błyszczy we wschodzącem słońcu. Ten świat, tak spokojny i cichy, był w dziwnej sprzeczności z wczorajszym, co tak gwarny i hu-czny i śpieszny. Około dworca, co przecież jest budynkiem rozłożystym, tak bezludno teraz i mileząco, jak gdyby był jakaś „chata za wsią“ odsuniętą od ludzi. Wstąpiliśmy do sali restauracyjnej: owa ciżba podróżnych gdzieś się podziała, rozpierchnawszy się na wsze strony. Tu i owdzie przy stoliku jedynie zasiadł jakiś gość przy kawie; w drugim pokoju krzątają się inni, by choć na prędce uporządkować swoją toaletę, co nocną jazdą przybrała formy niedbałości, trochę zbyt genialnej i fantastycznej. I błogo było na sercu, bo teraz już dość stało czasu do wszystkiego. „Nie ma się państwu czego śpieszyć“, zapewniał konduktor, zabierając się do ogromnych dzbanów kawy i śmietany a do setnej góry białych rogali z masłem. „Staniemy dobrze przed nocą w Tryeście!“ powtarzał konduktor; a przez okna widać było, jako pocztyliony z flegmą ongi greckich mędrców nabijali krótkie swoje fajeczki. — Każdy z nas czuł, że znów stał się jakby indywidualnością osobną, że coś znów znaczy na świecie; poki na kolei żelaznej, póty każdy był głuchą abstrakcyjną jedyneką.

W rychle pojawili się nasi towarzysze z buraczkowej karetki, wraz z ojcem rębajlą, i przysiedli się do nas. Wśród najlepszej gawędy weszły do sali dwie damy z wysokiej północy, żaląc się, że im urzędnik pocztowy czyni trudności, nie chcąc przyjąć ich pakunków; nieporozumienie zapewne rodziło się ztąd, jak mi się zdawało, że ani same te damy, ani ich panna, ani sługa nie dość władały językiem. Uważałem ja te damy już od samego Wiednia. Miały one zamiar przez Tryest, Wenecję przejechać Lombardję, a ztamtąd nawrócić do Paryża, by tam zimę przepędzić.

Wiadomo wszystkim, że jazda pocztą i tę ma ucziwą zaletę, nieznaną na kolei żelaznej, że towarzysze podróżni jakoś się więceć do siebie swoją, że tworzą niby rodzaj korporacji. Otoż tym chwalebny duchem korporacji przejęci, pan Jonatan i ja wyszliśmy, by tym damom rzecz ułatwić i pośredniczyć w tej twardej sprawie. Zaledwie atoli nastroiiliśmy się do figur retorycznych, które miały skruszyć nieużyte serce pana oficjalisty pocztowego, gdy ten jednym giestem pokazał nam miejsce w przeznaczonym na pakunki wozie, a drugą rękę zwrócił do olbrzymich waliz skórzanych, stojących na podłodze niby małe domki. „Osądźcie sami panowie, możeż ja zabrać te kufry, kiedy one są tak długie, że ich pomieścić nie mogę w wozie pocztowym?“ „Jakaż na to rada?“ odrzekliśmy chórem z panem Jonatanem, „niepodobna, aby te damy pojechały bez rzeczy swoich!“ „Na to tylko ta rada, rzekł pocztmistrz, że dam oso-

bny wóz, który sobie te panie najmą swoim kosztem.“ Na to znów z naszej strony taki argument: „Te panie zapłacili w Wiedniu i za siebie i za rzeczy swoje całą drogę do Tryestu i nie są obowiązane kłopotać się o rzeczy swoje w czasie całej tój podróży, — *ergo* nie mogą być zniewolone do ponoszenia po raz drugi wydatków.“ „Jednak i my znów nie jesteśmy obowiązani dawać osobnego furgonu za tę płacę, która z porachunku na nas wypadnie, — inaczej przysłoby nam zbankrutować!“ Nie będę już powtarzał dalszych naszych dyskusyj *pro* i *contra*. Dość, że jakoś nasz kompromis skończył się krakowskim targiem, a co rzadko się zdarza, skończył się z zadowoleniem wszystkich stron.

Dla mnie znowu zaświeciła całą chwałą mądrość starego Arystotelesa, który uczył, aby się trzymać we wszystkim i zawsze i wszędzie średniej miary. Otóż, jak wiele tłumoczków, pudełek, walizek, słowem wielka ilość rozosobnionych manatek jest prawdziwą plagą w drodze, — bo trudno jakoś te wszystkie sztuki mieć na pamięci. — tak z drugiej strony, jako przykład tych dam uczy, warto też wystrzegać się innej ostateczności i nie chcieć znów wszystkie rupiecia i szmatki eleganckie i tobołki pakować w olbrzymie tłumoki.

Lecz stary Arystoteles daremnie wyrzekł owo mądrości słowo; ono zostało zamknięte w niemiej książce, a na świecie broją i zdarzają się od wieków ostateczności, niepohamowane miarą. Każda ostateczność chwilowo się rozpiera, nie cierpiąc butnie obok siebie odwrotnej swojej siostrzycy, żadna z nich nie chce się nastroić do kamertonu ogólnej harmonii. Pytajcie się historii wszystkich stuleci, wszystkich lat tysięcy; ona rozwinie wam tragedye łzawe, krwawe, w których figurami są ostateczności, przebrane za historycznych ludzi, a podługą teatralną ziemnicę szerokie, krwią spluskałone. I trwa tragedia, poki się nie pojawi w dziejach geniusz wielkiego człowieka, który na grobach, na kruchcie przeszłości wyrzeknie słowo, co samo jest harmonią i kontrapunktem owych ostateczności, łamiących się z sobą. Arystotelesa słowo mądrości pogrzebane jest żywcem w księdze, a przecież to samo słowo, to samo prawo, piśmem jarzącem skreślone na niebie, podtrzymuje światy w przestrzeni bez granic. Jakież zakon prowadzi po ścieżkach płomienistych gwiazdy, ową czeladź radośną, świecistą, owe druhy niekończącego się nigdy wesela? Dla czego nie zderzają się z sobą te słońca w swojej drodze? Oto, bo ich zakonem, który je wiedzie i trzyma, jest miara. Oklepane to oddawna zdanie, że każda prawda, jeżeli będzie przez zbyteczną logikę rozwiniętą do ostatnich konsekwencyj, stanie się niedorzecznością, absurdum. Dla czego? — bo jest ostatecznością! Więc to oklepane zdanie ma słuszość za sobą; prosimy tylko, aby takowego rozwinięcia do ostatnich konsekwencyj nie nazywać logiką, bo logika właśnie rozkazuje godzić, co różne, i zeslubiać, co sobie wręcz przeciwne. Potem prosilibyśmy własnem imieniem logiki, aby onego oklepanego zdania nie stosować do prawd,



które są trzonem świata, bo tutaj pomylisz się nielada, jeżeli najwyższe stopnie tych prawd absurdum nazwać raczysz.

Patrzcie, do jakich to przemądrych kontemplacyj doprowadziły mię owe ogromy kufrow damskich! Chodziłem sobie po dziedzińcu, sam rad będąc tym salomonowatym wnioskom moim, gdy mnie znie-nacka przebudził z zadumania poczytłion, co, prowadząc parę koni, z całego gardła wrzasnął tuż koło mnie, wołając na chłopca, by się śpieszył z drugą parą rumaków; a wołał on słowiańskim językiem. Wszakże już od pierwszej chwili, gdym stanął na tym dworcu, mogłem poznać, że jestem w Karniolii, więc w kraju czysto słowiańskim. — I dziewczęta, usługujące w restauracyjnej sali, i służba dworca, i włościanie, idący w pole na robotę, rozmawiali między sobą po słowiańsku. Nie brakuje wprawdzie i w Styryi Słowian, przecież oni tam wielce rozsypani, a zresztą i nieprzeważni liczbą; jakoż wedle statystyki (z roku 1846) na jedenastu mieszkańców znajdziemy tam siedmiu narodowości niemieckiej, a czterech słowiańskieję. Inaczej w Karniolii, bo tutaj na stu mieszkańców jest prawie tylko ośmiu Niemców, a blisko dziewięćdziesięciu Słowian (\*).

Zaiste, badania historii języka, poezyi, obyczaju i zwyczaju szczepów słowiańskich długo jeszcze bogatym a nowym plonem wynagradzać będą pracowników uczonych. Byleby atoli nikomu nie pójść śladem jednego ze znakomitych ludzi, co, będąc wieszczem na wielką i wspaniałą stopę, stał się chwałą całej literatury słowiańskiej; a przecież, gdy w najnowszych czasach jał się szperania około dziejów pierwotnych i językowych Słowian, zabląkał się w manowce bezdrożne wyobraźni swojej, siłąc się, aby w łacinie koniecznie wy-patrzeć podobieństwo do słowiańskich narzeczy. Albowiem pokrewieństwo słowiańszczyzny, germańszczyzny z mową rzymską lub grecką bynajmniej nie jest dowodem, jakoby jeden z tych języków brał z drugiego swój początek, lecz raczej jest wskazówką, że one wszystkie mają jedną wspólną macierz, choć daleką, bo mieszkającą na górskim pograniczu Indyów.

Wesoło, po staremu brzmiały trąbki pocztarskie; weselej jeszcze świeciło poranne słońce, gdyśmy, w kilkunastu podróżnych, umieszczeni po wozach, ruszyli wartko w drogę ku morzu. Boć to dziś, a to jeszcze dobrze przed wieczorem, jak zapewniał konduktor, mamy stanąć w Tryeście — dziś znowu obaczę morze.

(\*) Według nowszej statystyki z roku 1870 Styrya ma 1,137,990 mieszkańców posiada 410,000 Słowian. W Karniolii zaś w ogólnej liczbie 466,334 mieszkańców, jest tylko około 30,000 Niemców. — St.

Kras.

Znasz ty, czytelniku moj, to żalobne a smętne duszy nastrojeenie, gdy po ciężkiem nieszczęściu, po straszliwej klęsce w sercu czczo i głucho, a świat dokoła pustkowieem martwem, bezmiernem, — gdy to życie, co dopiero tak pełne ruchu i ciepłego tętna, zdrętwiało nagle kamieniem, — gdy każdy dzień, jakby bez przeszłości i bez jutra, gdy chwila obecna niby umarła na świat przychodzi? Znasz ty te chwile bezdennej tęsknoty, gdy uczucia gorące nie mają się gdzie przytulić, a godziny, jak sieroty, rodzą się bez nadziei, a konają bez żalu? — Otoż takowej głuchoty serca, takich uczuć chorych, takowej strasznej negacyi wiernym obrazem a wcieleniem jest *Kras*.

Kras jest to górska wysoczyzna, wzdymająca się do tysiąca stóp nad zwierciadłem morza. (Krasa, pole kamieniste — Krasowiec, mieszkawiec Krasu — das Karstgebirge). Kras jest światem głuchym, martwym, skamieniałym, bez oddechu; — światem, od którego się anioł żywota, cisnąwszy na niego przekleństwo, odwrócił i opuścił go nazawsze.

Przez wiele, wiele mil gościniec bieży temi pustkami do Tryestu, a z prawej i z lewej szerzy się rozłogiem wielomilowym ta natura równie umarła, równie martwa.

Gdy przed dwudziestu sześciu laty, puściłem się tą przestrzenią jałową, pamiętam, jak zmienacka widok jej rozpaczliwy chwycił mnie za serce niby zimną, trupa ręką. Dziś, lubo już byłem przygotowany, lubo wiedziałem, co mnie czekało, trudno mi jednak przychodziło obronić się urzeczieniem tej przyrody, co tutaj okiem zgąsłm, spojrzeniem zeszkłonnem umarłego patrzy na wędrowca. Kędy spojrzysz, — wszędzie a wszędzie morze kamienne, nieprzebyte, nieprzejrzane. Głaz przy głazie — i z blizka i z dala świat zasłany okruczem skalnym, to drobniejszym, to sterczącym w ogromne bałwany; bo cały Kras jest kamieniem z wierzchu tylko nieco pokruszonym. Ani z blizka, ani z dala nie obaczysz drzewa; niekiedy tylko, lecz bardzo z rzadka, z pośród kamieni trwożliwie wygląda krzew karłowaty, chudy, suchotny; gałęzie jego jałowe, liście biedne, zgłodniałe — on cały niby roślinności zapomnianym podrzutkiem. Niekiedy znów sterczy jakieś zielsko ostre, walczące ze śmiercią; nigdzie nie widać ani rzeki, ani potoku, ani strugi, ani źródelka. Nie widać nigdzie, jak daleko oczy zalecą, oazy zielonej, umajonej łączką lub krzewów bukietem. A straszno posłuchać, co się tu dzieje wśród jesieni, gdy wichry nie znają zapor, wyjąc i jęcząc pędzą po tych pustkach ogromnych; lub gdy w zimie śnieżne zamieci, stanąwszy dębem, hulają cwałem i gonią wędrowców i wozy pocztowe, a straszą ludzi zimnem, lodowem objęciem.

Zdawałoby się, że na tej przestrzeni mieszka demon negacyi, co wyrócił pochodnię nad życiem wszelkiem i nad wszelką uciechą, że



tutaj pogorzelisko każdej nadziei, każdej przyszłości. A dziwna to rzecz, że ta natura w tej niewżytej jałowiznie swojej, w tym smętnem ubóstwie swoim, w tej rozpacz, pełnej ironii, taka jakaś dumna, taka jakaś harda! Ona zerwała z całym światem, a w tym osieroceniu swoim i nędzy bez granic taka pyszna, bo rozwiódła się z życiem; jęć obojętno, co inne ziemie obchodzi, co warunkiem wszelkiej treści. Ta natura — to pieśń śmiertelna, to poezya bezdenniej głuchoty. Ta natura, pełna ironii, jest jakby komentarzem widowym jednego ze znakomitych wieszczów i najświetniejszych talentów nowożytniej poezyi naszej, owego artysty i arcyministra mowy ojczystej. Znamy go wszyscy. Wszak to on zerwał ze światem, z całą treścią żywota. On rzucił żarzewie we własne uczucia, niby w dom własny, a pożar ogarnął treść jego życia i ogarnął całą przeszłość i przyszłość, a paliły go promienie jasnej chwały wyższego od niego wieszca. I usiadł hardy, dumny poeta na zgliszczach tego wszystkiego, co mu było niegdyś tak drogiem, — usiadł jakby na tronie smętnego państwa negacyi, odziany ponurym majestatem swojej boleści bezdenniej. I lżył światu i sobie, i skrwawioną pięścią wyrwał serce z piersi własnych i „w szale mąk swoich rzucił to serce swoje na nieszczęście towarzyszów“ — i umarł. Lecz choć umarł, — ta poezya jego jest jeszcze pełną piękności upiorzycą, co, jak widmo grobowe, czyha jeszcze, by wyssać krew ze serc młodych, wyssać z nich nadzieję i miłość i wiarę.

Zaiste, ironią życia jest Kras — świat kamiennych bałwanów; gdziekolwiek tylko zoczysz dziwne jakieś zapadłe kotliny lejkwate; a te kotliny wydolone najczęściej ciągną się około siebie wężykiem, a często taka kotlinka otoczona w koło jakby murem cyklopowym, dźwignionym z kamieni surowych, położonych na sobie bez spoju i zlepu. Te murki są tu wzniesione, aby choć po trochu osłonić od wrogiego wichru owe trawki łekliwe, biedne i krzewy mdlejące. Dla tego też w tych tak ogrodzonych miejscach obaczysz niekiedy kilka kózek znędzniałych, pod opieką obdartego, schorzałego pastuszka.

Te murki luźne, — toć jest cały ślad pracy, na który się człowiek zdobył wśród tej opuszczonej, bezdusznój natury. Daremnie kuszono się, aby ją zapuścić borami, coby i drzewem niesły pożytek ludziom i chroniły grunta od zawiei i zamieci. Daremnie! wiatry wydmuchały lesne zasiewy, a sadzone drzewka pomarły dotknięte jakby dżumą śmiertelną.

Tak jest, natura Krasu zerwała z całym światem. Bo nigdzie podobno na kuli ziemskiej nie pojawia się już to samo zjawisko. W tym stopniu dziwnego rozwoju swojego, ta martwica kamienna, ta jałowizna, tak pełna ironii i negacyi, ma powód wewnętrzny, — więc nieuleczony przez ludzkie zabiegi. Bo tym powodem jest budowa geologiczna, podziemna. Cały Kras jest skałą wapienną tak powarstwowaną, tak poprzedzianą i tak szczelinami poszarpaną,

iż żadna woda nie trzyma się na wierzchu, na jawie, ale przecieka, przesącza się w przepaście podziemne, i tam się zbiera w ogromne zlewiska. Więc otchłanie ciemne, nocne wypijają wszelki żywot świata, co na jawie, co na dniu słonecznym. Rosa, wody deszczowe giną w głębiach, więc i strumienie, potoki, przyplływając ze stron ościennych, nikną w Krasie bez śladu. Nawet i znaczna rzeka „Reka“, niby bezimienna, przepada w głębinach tej martwej przestrzeni, i płynie pięć mil pod ziemią, a nie występuje na jaw, aż pod Duino, niedaleko Tryestu, spiesząc do ujścia swojego, do Adryatyckiego morza.

Tak w otchłaniach głębokich zradza się świat niewidny, tajemniczy; bo te wody spotęgowane pod ziemią w olbrzymie zlewiska, torują sobie, w ciemnych przepaściach przez skały, koryta i drogi, niby tunele, gościńce tajne. Często tedy, gdy wody podbiorą fundamenta i węgly opoczne, już sklepy przyrodzone, pokrywające te drogi nurtów podziemnych, pękają, zapadają się; ztąd rodzą się owe wydolenia lejkowate, zakłęśnione, tworzące się na powierzchni Krasu; ztąd ich układ wężykowy odpowiada owym krętym biegom wód w głębokościach.

Praca uporna tych mocy wodnych nieznekana, niezmordowana nigdy, tworzy w przepaściach państwo nocne jaskini, pieczar, grodów. Wszak owe, na cały świat sławne, adelsbergskie groty Krasu są właśnie wypłóczyskiem takowem. Ztąd też natura tego rozłogu, co na jawie tak grobowy i jałowy, chowa w głębinach swoich budowania cudotworne, pełne niemego świecistego przepychu. Siły przyrodzone, te czarodziejskie budowniki, wykopawszy sobie wodnym prądem podziemne przestrzenie, pieczary olbrzymich rozmiarów, bo do 96 stóp wysokie, ubierają je w przystroj bogaty, fantastyczny, świecisty. Krople wody nasycone wapnem, sączą się przez strop jaskini, cieką zwolna, lecz cieką bez ustanku, bez spoczynku; a tężejąc kryształem rosna to od średniego trzonu pieczary zwolna w dziwne postaci, to znowu wieszają się od góry od sklepienia w sople, w stalaktyty błyszczące. Takto królestwo ciemności, zbudowane trudem przyrodzonych demonów, zdobi się przez długie wieki lasem kolumn, podpierających strop; ztąd pieczary podziemne, zamienione w czarodziejskie pałace, pyszną się okazałością, o jakiej nie słyhać na jawie rzeczywistym. Jakoż w tych nocnych państwach moce natury zradzają formy kapryśne, jakby wymarzone snem gorączkowym; tu widać niby trumny lub grobowce, to wieżycy gotyckie, to sztandary, to rycerzy lub karłów, to zakonnice pokutne, to jakąś bujną obcą roślinność zwrotnikową, to zwoje kwiatów i owoców. A gdy wstąpisz w to państwo tajemnicze, gdy te ciemnice zakłete rozświecisz płomieniem pochodni, już cały ten gród podziemny i wszystkie te jego postaci i figury dziwne, krystaliczne, przezrocyste, rozpromieniają się wspaniałością niesłychaną, zagrają jasnością i barwą, zabłysną szkarłatem, fioletem, zamigocą światłem



zielonem, żółtem, jakby wysadzone w szmaragdy, rubiny, brylanty, szafiry. Widok to czarnoksiężki, jakby fantazją kipiącą Wschodu wymyślony, jakby ci na oczy stały bajki z „Tysiąca nocy i jednej“ — a przygrywa tym podziemnym dziwom, nakształt luku dalekich organów, potok Poika, co się rzuca z szumem w groty i w nich przepada, by znów o kilka godzin drogi wypłynął na świat widny.

Pytasz, czyliby i w piersiach owego wielkiego wieszca nie zagrały przybytki cudowne w klejnoty barwnej jasności, w skarby promieniste, gdyby nie był sam przytłumil w tej świątyni duszy serca jego, tak bogatych, nie ochłonęły ciemnice rozpaczliwej goryczy i ironii bezsercnej? Bo miłość — to życie! Nienawiść, negacja — to skon i grób!

Nie rozumieście atoli, jakoby ten świat czarnoksiężki, nocny, podziemny był państwem martwem, beżżywotnem. Wszak i tu, w tych otchłaniach wiecznie ciemnych, jest życie; tu gospodarzy jakieś dziwne, dziwaczne stworzenie. Jest to ów prawie zagadkowy *Proteus anguineus*. W tych grotach adelsbergskich dyszy przepaściście, ciemne jezioro (św. Magdaleny). I spokojne i nieme, nieruchome spoczywają te wody jego, niby urzeczone słowem demona. Lecz gdy na wierzchu, na świecie spadnie deszcz ulewą gwałtowną, gdy ogromne bałwany wód rzucą się w otchłanie pieczar skalnych — wtedy jeziora pełne jakiegoś ruchu, zwierciadła jego biją w kręgi po krągach. Życie wstąpiło w te gluche, umarłe topiele — życie tłumne, ołocze, wesole, bo po wodzie zwija się ciżbą nieprzebraną Proteus.

Proteus — to mieszkaniec tych ciemnic zapadłych — jest on jakby rybą, węgorzem, jaszczurką. Gdy dorosnie — toć już gruby na wielki palec, a długi na cali piętnaście. Głowa jego jak u węgorza, a tuż pod głową dwie nóżki o trzech palcach, u tylnych łapek zaś ma ich tylko dwa. Zwinny, ruchawy, chybko strzela po wodzie. Widać u niego wprawdzie jakieś początki sześciu żeber, lecz one nierozwinięte. A co więcej, on ślepy! bo oczy jego jeszcze pod skórą, a tak maluchne, jak na ukłócie szpilki. Wszak to stworzenie ani zna, ani potrzebuje światła; — ono płodem wiecznej nocy; ztąd też jest prawie bez barwy, a tak nikłego, bladego koloru. Bo wiemy, że tym trybem bywa zawsze w naturze, iż światłość nie tylko sama w sobie rozszczepia się w promienie różnobarwne i nie tylko oświeca barwy obce, ale sama je zdradza; dla tego też rośliny, chowane po ciemnych miejscach, po piwnicach, są tak bladej, nikłej i wątlęj barwy. Podobnie rzecz się ma i z rumieńcem na obliczu człowieka w ciemnościach więzienia; tak rychło zwiędnieją kwiaty na licach, jak kwiaty w sercu jego. Dla tego, gdy Proteus wyniesiony będzie na świat dzienny, staje się jakiś nieradny i smętny, jasność mu dojmuje, więc i ruchy jego mniej żwawe; za to jednak ta

jego barwa nijaka zwolna ciemniej, aż w końcu zwierzątko zajdzie barwą ciemno-oliwkową.

Choć Proteusa trzymano nieraz długo w niewoli, nikt podobno nie doszedł, czém się on żywi; niekiedy wystarczy dodanie mu świeżej wody, a on nie swój i smutny uchowa się jednak przy życiu. Mimo to, że jego żywot jest tak zagadkowy, a tak tajemniczy obyczaj, przecież ciemniejszą jeszcze tajemnicą jest pochodzenie jego. Wszak on jedynie w pewne czasy, zwłaszcza po nawałnicach rześistych, okazuje się w tym jeziorze — a do tego w takiej od razu mnogości. Być może, że słusznie domyślają się geologowie, iż Proteus nie rodzi się w tym jeziorze, ale nierównie jeszcze niżej, więc gdzieś w najgłębszych otchłaniach zapadłego topieliska; ztąd też, gdy ulewne deszcze burzą a powodzią zwalą się w głębiny nocne, już ono topielisko się zbierze i napuści jezioro owym dziwnym proteusowym żywotem. Tak się też często dzieje z człowiekiem. Gdy burze życia w serce uderzą, gdy nawałnice wrażeń gwałtownych rzucają się w głębie duszy naszej, — wtedy niekiedy wypłyną z ciemnych topieli istoty naszej dziwne proteusze, zagadkowe, tajemniczego pochodzenia, którym jakoś nieradno, smętno w jasnościach sobie przytomnego rozumu.

### *Obczyna.*

Z daleka, przez kurze poruszone końmi naszymi, widać po lewej stronie gościnną jakies budynki, wzdłuż nich szereg nieprzeliczonych bryk ładownych, a wszystko ku nam zwrócone. Siano rzucone wiązkami przed końmi; tu i owdzie grono skrętnie uwijających się ludzi. Tymczasem furmany, z powagą uroczystą grandów hiszpańskich, spokojnie rozmawiają z sobą, lub usiadłszy na stosach przydrożnych kamieni, pogrążyli się myślami w dymkach swoich krótkich fajeczek. To Obczyna! To ostatnia stacya przed Tryestem. A Tryest, podobnie jak teraz i Wenecya, jest miastem wolnym handlowem, przeto w owych domostwach umieszczony urząd celny; ztąd też zatrzymał się ów zastęp bryk stękających pod brzemieniem towarów całego świata. Lecz mniejszao to. Obczyna jest imieniem świetnym, głośnym po wszystkie ziemie i kraje; Obczyna zapisała imię swoje na życie całe w sercu i pamięci każdego, kto ją choć raz obaczył. Tutaj wita nas morze, a wita obrazem tak wspaniałym, tak świetnym i majestatu pełnym, jak już mało gdzie na świecie.

Już oddawna, zbliżając się do Obczyny, zdawało się, że nas zatłuje oddech od morza; a tchnienie morza jest tchem historii powszechnej. Choćbyś się wydarł na najwznioślejsze górskie iglice, dźwigające się wśród twierdzy ogromnych obszarów lądowych; choćbyś cały kraj pod stopami twojemi mappą rozłożył, — uczujesz



jedynie powiewy dziejów ludu, co się rodził i żył na tym ziemi obszarze, usłyszysz szepty duchów wielkich jego mężów, co mu stanęli na reju wśród pielgrzymki jego przez żywot, obaczysz duchy jego oczystej przyrody, co mu zbudowały jego góry, posiały bory i kwiaty i łąki, co mu wodzą potoki rodzinne i rzeki splawne, niby gościńce „wiążące wstęgą kraj z krajem, lud z ludem“. Lecz gdy zniemacka obaczysz morze, gdy cię ono uderzy głęboką muzyką fali swoich, wtedy zdaje ci się, że słyszysz organy w domu Bożym, gdy kapłan gotuje się podnieść nad ludem Ciało i Krew Pańską; wtedy myśli i uczucia podniosą się na najwyższe alpy ducha twojego. Morze — to potęga a wysłannik całej ziemskiej kulicy; w grzmotach jego balwanów przemawia cały ziemski planeta; w tych jego chorałach sły chać, jakby w akkordach Beethovenowych, wszystkie dzieje rodu ludzkiego, — tych pokoleń, które dawno rozwiały lat tysiące, i tych ludów, które kiedyś wystąpią, jako bohaterzy w dramacie dziejów.

Już oddawna zdawało się, że na rąbku nieba rysuje się linia eteryczna, niby lekka kreska na kryształowej kuli przezczystej. — „Proszę otworzyć powóz!“ — wołaliśmy chórem na konduktora, „wyjdziemy na chwilę!“ — „Jeszcze nie czas!“ — odpowiedział z flegmą konduktor, „owszem, niechaj się państwo nie patrzą w tamtą stronę, wysiadzimy ot tam, na owym pagórku, tam cierpliwość państwa będzie wynagrodzoną!“ — I zajechaliśmy w rychle, a stanawszy wysiedli wszyscy. Tuż obok gościńca niby poręcz, stary, niski murek, ale choć on niski, choć zewsząd obtargany, obleciały, był atoli stanowiskiem wyższej ceny, niż jaka pyszna łoża teatralna, aksamitem wybita i kobiercem wysłana: bo z tego na poły zburzonego murka patrzysz na tę widownię Bożego świata, roztaczającą się całą współnością swojego majestatu.

Zrazu zaiste trudno ci się tu pochwycać. Zrazu się zdaje, że błękity nieba jaśnieją na dole, głęboko pod tobą, że świecące niebios sklepienie zachodzi aż do podnoża góry, na której stanąłeś, że ten pod stopami twojemi ziemi kawał unosi się wśród kuli niebiańskiej i płynie po wiekuistej przestrzeni. Bo tutaj tak nieznacznie zlało się morze z niebem, a promieniste szafiry powietrzne i obłoki złociste przeglądają się tak jasno w zwierciadle spokojnym wód, żeć się zdaje, że to morze, co w głębi pod tobą, jest dalszym ciągiem nieba samego. To złudzenie pierwszych chwil jest tak magiczne i czarodziejskie, że dłuższego czasu potrzeba, zanim się rozpatrzysz i poznasz, że błękity, które widział w głębi, nie są niebem, lecz morską otchłanią; zanim dojrzysz na widnokręgu ową granicę lekką jak włos, kędy się niebo zetknęło z ziemią, jak się styka doczesności trud z przecuciem wieczności w sercu dobrego człowieka.

Ten murek nasz jest jeszcze na pełnej wysokości góry; atoli troszkę dalej już ta góra stroma spada w głąb, przeto gościńiec bieży w dół, skręcając się często wężem, by ulagodzić gwałtowność górskiego stoku. Na dole, w dalekiej głębi, nieco po lewej, usiadł

Tryest handlowy, ludny, przodem zwrócony do morza. Dalej domy i ulice, i kościoły jego wstępują na górę, piętrząc się w amfiteatr, — a jak ramiona potężne wysyła wśród fal swoje tamy ciosowe. W porcie rzędami długimi stanęły okręty większe i mniejsze; przez szkło perspektywki widać las masztów i sieć lin potężnych, widać na przybrzeżu ruch żwawy, odczozy mrowiących się ludzi. A na otwartem morzu przesuwały się, to dalej, to bliżej, statki o żaglach rozpiętych, niby ptaki o białych skrzydłach, przelatujące głębie powietrzne; niektóre z nich, jak plamki srebrne, przeslizgują się na ostatnim rąbku widnokregu; one — to przybywają po długiej wędrówce z różnojęzycznych krajów, to opuściwszy port, pędzą w świat szeroki: na szczęście im Boże. A często gęsto, to z blizka, to zdala, widać na morzu smugę ciemną, czarną, kończącą się w obłok bury, rozwiewny — to statki parowe, owe włóczące się fiakry i dorożki oceanów. Za miastem dolina, co zdaje się być parowem szerokim, w niej białą się jakieś bryły, niby porozrzucane olbrzymie kamienie. Lecz gdy przez szkło spojrzysz, widzisz, że to dworki, wille, pałacyki wiejskie, otoczone ogrodami i roślinnością bujną, bogatą; — to mieszkania tryesteńskich kupców. Gdy im się ekliwi wśród komptorów i rachub i cyfer, gdy im duszno i parno w tym gwarze handlowym, wtedy uciekają z miasta, by znowu odetchnąć Bożem powietrzem, wśród drzew i kwiatów, i przypomnieć sobie, że jest i natura na świecie. Szczęśliwi, gdy i w to zacisze ustronne nie pogoni za nimi, jak piorun, telegraf o szwankowaniu milionów, o ważeniu się ich fortuny i wielorakiego nabytku.

*Tryest.*

Zahamowano koła, a woz od Obczyny, kwicząc i stękając, szorował z góry ciągle wężykiem, to tam to tu się skręcając; bo gościnniec, podtrzymywany murem potężnym, zwolna, jak już rzekłem, i oględnie spuszczał się ku Tryestowi. Teraz widać, że i na tym tu nawet schyle górskim nie brakuje dworów wiejskich, will i kassyńców. Uderzył mnie z nich jeden zwłaszcza pałacyk, stojący tuż nad gościnnicem, istny pałac wenecki w miniaturze. Lecz jakoś mu nie do twarzy w tych szatach uroczystych stariej adryatyckiej republiki. Po co mały ma koniecznie naśladować większego od siebie, po co mu tak zuchwale a niepotrzebnie nas wyzywać do porównania z wielkim jego wzorem, po co każdy nie ma być sam sobą? Wszak np. nie jeden poeta byłby wcale luby i wdzięczny, a dorobiłby się oklasku od swoich i wonnego wianku, gdyby chciał być tym, kim go Pan Bóg stworzył i gdyby go zło nie kusiło naśladować kulę w kulę wielkiego arcymistrza, uwienieczonego europejską chwałą; więc te zachcianki, zamiast laurową koroną, kończą się najczęściej wieniec grocho-



wym. Podobnie też się dzieje z tym pałacykiem niby weneckim; prawda, że on schludny i strojny, że linie jego brzmią harmonią; jednak kto widział pałace weneckie w Wenecyi, może powie, że ten pałacyk przypomina lokaja, co, przybrawszy na się pokryjomu suknie swojego pana, wymknie się cichaczem w niedzielę na zaściankowy balik. Bo mniejsza o to, że ten pałacyk zbyt mały, nawet mniejsza o to, że mu brak marmurów — ale, co gorsza, jemu nie dostaje zwierciadeł morskich, z których, jak lilie wodne, wyrastają pałace w Wenecyi; zamiast morza bije tu falą kurzawa gościńca — a już najgorsza, że go nie stać na historią, na przeszłość wielką, ogromną, pełną chwały a zasług w obliczu dziejów ludzkich i Boga.

Im bliżej Tryestu, tém też dokładniej, zwłaszcza przez szkła, przypatrzeć się mogłem dworkom i willom, co się zebrały w onej dolinie, o której wspomniałem, tak odsadzonej od wrzawy handlowej i miejskiego handryczenia. Wyznaję, że i one, póki były widziane z Obczyny, przyrzekały wiele bardzo, a bliżej nie stawily się w słowie. Trudno wśród tych kassynów dojrzeć jakąś piękniejszą budowlę: są to najczęściej sobie kamieniczki prozaiczne, domki bez fantazyi, na hazard obok siebie rzucone. Jedne poglądają na się oko w oko, drugie boczają się na siebie, inne się tyłem odwróciły od reszty kompanów, niby nie chcą słuchać plotek i bajek. Gdy patrzysz na to grono will, nasuwają się twój wyobraźni owe pudełka zabawek dziecięcych, w których są liczne klocki drewniane w kształcie domków i takóž malowane; więc je pacholę rozstawia na stoliku to tak to owak i klaszcze w ręce, że mu się tak pięknie udało. Słyszałem atoli, że wnętrze tych domów pełne wygod, komfortów (*sit venia verbo*) a nawet przepychów bogatych. Ani wątpię; bo Tryest rośnie prawie na widoku, zamożność jego przybiera bajeczne rozmiary, a wzmacnia się tak potężnie i szybko, jak już może mało które inne miasto na świecie. To bogactwo wszelako i ten wzrost nagły jest kwiatem sprzyjających okoliczności; a forma zewnętrzna tych will jest kwiatem właśnie smaku ich dziedziców.

Co się tyczy onego tak bogatego wnętrza tych will, dziwne a nie nader budujące mnie doszły komeraże: np. że w jednym z tych pałacyków sieni ustrojona w kolumny pyszne z białego świecącego marmuru. Jednak, cóż z tego? gdy te kolumny są dane wbrew rozsądkowi architektonicznemu, bo one nic nie dźwigają, są niepotrzebnym cackiem — a sieni jest tak mała, że one napróżno miejsce zabierają. W tej samej willi wszystko kapie złotem, jakby chciały przypominać przepychy złociste w dawnym kościele Jerozolimskim. W jednym ze salonów z dziesięć obrazów olejnych, potężnych a przytém tak jednakowych rozmiarów, że znać, iż były obstalowane hurtem! — a w drugim salonie, słuchajcie! stoją w środku *duo* fortepiany: jeden Erarda paryzki, a drugi Streichera wiedeński. To wszystko podobno wystarczy na próbkę, by pokazać czém jest zamożność a napu-chła próżność bez wykształcenia!

Rogatka. Urzędnik, odebrawszy pasporty, pyta w której oberży stanąć zamyślamy, żeby wiedział, dokąd je odesłać. Ja stanę w „Locanda Grande“ odrzekłem. Wyjaśnię później, dla czego raczej tę niż inną oberżę sobie obrałem.

Toczyliśmy się dość zwolna i poważnie do miejsca naszego przeznaczenia. Miałem tedy nie mało czasu przypatrzenia się fizyognomii ludzi, którzy tłumnie cisnęli się przez ulice, a dopomagało mi zachodzące słońce, co silnym promieniem oświecało rysy twarzy. Nieliczne to były chwile téj naszej jazdy, a przecież one wystarczyły, aby poznać tę wyrazistą różnicę szczepowego pochodzenia mieszkańców, z całą dobitnością świeżą, niezamazaną. Przeważały fizygnomie włoskie z tak silnie wybitną cechą właściwą, twarze niemieckie, słowiańskie, greckie, a nawet przemykały się wschodnie.

Jak w szajne-katarynce ten widok wieloplemienny a harmider różnojęzyczny odprowadził nas aż do Locanda Grande. Więc co tchu każdy radby pomyśleć o porządku około swojej osoby i troszkę się wyprostować. Bo będąc wypuszczonym po 36 godzinach z ciasnoty to wagonu, to wozu pocztowego, miło się jakoś uczuć na własnych nogach i zostać napowrót właścicielem samego siebie.

Wystąpiliśmy na rynek, sąsiadujący z naszą lokandą na Piazza Grande. Zmierch gęsty już był spłynął na świat, lecz za to cała piazza pełna niezliczonych światełek. Bo już nie wiem, ile rzędów straganów stanęło szeregiem na tym placu, zostawując przejścia między sobą niby drobne uliczki; na straganach goreją latarki, lampki oświecające całe góry brzoskwiń, pomarańcz, cytryn, fig, winogron w ogromnej obfitości; bo choć na straganach piętrzyły się nieprzeliczonem mnóstwem te wdzięczne dary południowej natury, toć większa jeszcze ich mnogość kipiła z przepelnionych koszów, stojących przy straganach, lub stosami dźwigała się w piramidy na białych śnieżnych płachtach, rozpostartych na bruku. Przy każdym straganie dwie, trzy przekupki, ubrane nie bez pretensyjki — ba, i nie byłoby o co je karcieć, bo najczęściej wcale nieszpette i niepodeszłe, choć niekiedy figury może zbyt setne, kolosalne. Zdawało mi się też, choć nie jestem tego zupełnie pewny, że one lampki, świeczki tak były ustawione, że nie tylko rozlewały silną jasność swoją na pomarańcze, figi i kwiaty — ale i w niepoślednim blasku pokazywały oblicze tych sprzedających dam. Rozumie się, że tu ani myśli o pitagorejskim milczeniu; zewsząd wrzał żwawy szwargot, to z sąsiadką, to stragan zawiązał krzykliwą konferencyą ze straganem naprzeciw stojącym; a najczęściej wychwałki owoców wzięły w ogień krzyżowy kupujące panie lub ichmościów, co, przemyskając się zwolna i poważnie wśród gwarnego państwa Pomony, znów rozmawiali między sobą po swojemu, więc językami prawie wszystkich końców Europy. Lecz rozumie się, że tu wśród innych przeważa język włoski, a obok niego już illiryjski, i ten dość głośny, bo on, jak to mówią, tu na swoich śmieciach.



Język illiryski! To mi przypomina przygodę wcale nie tragiczną, która się wydarzyła jednemu z dzieci krakowskich, a szkolnemu koledze mojemu, a którą tu kładę, będąc do tego od niego upoważnionym. — Rzecz się tak miała. Mój kolega, będąc jeszcze studentem, wybrał się ze stryjem swoim, by się troszkę przypatrzeć Wenecyi i Lombardyi. Na samém odjeździe z Krakowa ktoś mu poradził, aby, gdy stanie w Tryeście, wdał się z tamtejszym ludem w rozmowę, zapewniając, że ten lud mówi po illirysku, a język jego jest tak podobny do polskiego, iż każdy Polak, byleby miał ucho a zdolność do lingwistyki, bez trudu a gładko rozmówi się z ludem w Tryeście. — Kolega mój, przybywszy do Tryestu, pała gorącą chęcią złowienia jakiegoś Illiryzczyka, by doświadczyć przepowiedni a przekonać się zarazem o swoim talencie filologicznym. Widząc tedy na uboczu przekupnia z płótnami, zbliża się do niego i, pytając niby o ceny towaru, wdaje się w szeroką z nim rozmowę. I o dziwy! najdoskonalej się rozumieją; gawęda idzie jak z płatka! „Jakże ten język illiryski podobny do naszego!“ mówi do siebie mój kolega. Przytém jednak cieszy się z serca, że tak z nienacka odkrył w sobie i ucho do języków a tak olbrzymi i nadszpodziewany talent do filologii słowiańskiej; i długo rozkoszuje jeszcze w tej rozmowie. Nakoniec się pyta Illiryzczyka:

„A z których to stron jesteście, mój człowieku?“

„A prosię jegomości, a jużcić z Jędrychowa.“

„Z jakiego Jędrychowa!“ zawołał mój kolega!

„A prosię jegomości, a jużcić z tego, co to pod Krakowem“, odpowiedział wrzekomy Illiryzczyk!

Wrócmy atoli na nasz plac Grande w Tryeście. Otóż ta tak zawrotna, hałaśna babilońska wieża — cizba, blask tłumnych swiatełek, woń owoców, niemało nas z razu odurzyły po cichem dumaniu w wozie poczytnym; trzeba tedy było odetchnąć na ustroniu — więc małuchną przechadzką przejrzyć, co się w pobliżu święci.

Bogate sklepy w koło buchają światłem, ale podobno najbardziej jaśniej ów pałacowaty dom, co to od dołu i z pięter swoich bił stoikiem jasności. To Tergesteum, to zakład handlowy Lloyda, tej kompanii, co jest kupcem na ogromną, olbrzymią i zącą stopę, co przedsięwiera, śmiała i mądra stała się pulsem handlowego ruchu na łądach i na morzach, a tak zarazem jest pierwiastkiem potężnym cywilizacyi i kultury. W Tergesteum odbywa się giełda: tam schadzki, tam ważą się ogromne summy, a rodzą się przedsięwzięcia, ogarniające wszystkie kraje a przymorza w koło; więc też nie dziw, że tam na stole rozłożonych pism czasowych bez liku: jest ich podobno półtrzecia sta. Wstąpiliśmy do dolnej sali, iskrzącej strojnością i światłem gazowem. Byli z nas goście dość natrętni, bo ani proszeni ani wezwani; a przecież zewsząd przyjmowała nas grzeczność uprzejma. Obejrzawszy na pędce, co nas mogło zajmować, zateśkniliśmy za

naszą oberżą, zwłaszcza, że figi i pomarańcze nie zawsze staną za wieczерzę.

Ta nasza lokanda jedną stroną zwrócona jest do onęj krzykliwej, gadatliwej Piazza Grande, a drugą patrzy na morze, co oddalone od nięj jedynie na kilka kroków; tamta strona huczna, szumna, tłumna, iskrząca od świateł, ta druga teraz późnym wieczorem cicha, milcząca, dumająca i ciemna; ku nięj skierowawszy naszą drogę, wnet minęliśmy rześisto oświecony Teatro Grande; potem już coraz ciemnięj a ciszēj około nas, i stanęliśmy w końcu tuż na krańcu ciosowego morskiego przybrzeża. Tu tylko odgłosem dolatuje gwar rynku, tu głęboke milczenie; tłumne okręty śpią snem północy, niektóre z nich tak blizkie nas, że je można prawie ręką dosięgnąć. Maszty o zwiniętych żaglach, jakby bure skielety ginęły gdzieś u góry w ciemnościach, a sznury i liny naksztalt pajęczęj siatki rysowały się na wieczorném niebie. Tu i owdzie błysnęła na statkach latarka, w jęj blasku siadło kilku majtków, może bających o swoich wodnych przygodach, o chybi-trafi swojego żywota. Te drewniane domy, one tak tutaj potulne, niepyszne a lada chwila zerwą się z wichrem i napasują się z falą i burzą; a lubo najczęściej przemogą zwycięzko, niekiedy przecięż przepadną; a te ich majtki, ta czeladź przemysłu i kultury, skonają w wodnēj otchłani, bez łzy matek i żon i dziatwy, bez krzyża i napisu, i zginą jak ginie żołnierz prosty, bez rozgłosu, bez śladu, nieznany, zostawując innym wawrzyny, co wyrosną z jego grobu.

W restauracyjnēj sali naszēj oberży samotno. Przeszedłem się po nięj. Okna wychodzą na morze, więc tuż przedemną znów te maszty i liny okrętowe. Czyliż-to ta sama sala, którą miałem na myśli?

Wszedł garson — zapytałem: gdzie tu jest Nr. 10? „Na drugiem pięttrze tuż prawie nad nami; żąduję, że w tēj chwili jest zajęty przez dwie damy. Jeżeli jednak pan zatrzymasz się do jutra, pokój ten będzie wolny i będzie go można widziēć!“ odrzekł garson, zgadując o co mi chodzi.

Otóż ten Nr. 10 był powodem dla czego właśnie stanąłem w Locanda Grande!

W tēj izbie pod Nr 10, przed dawnym czasem, bo przed laty 84 (w r. 1768) odbyła się scena straszliwa, zbrodnia haniebna, co ciężkim gromem gruchła po Europie, a bolesnięj jeszcze uderzyła w świat naukowy stratą ciężką, do dziś dnia jeszcze niepowetowaną, jeszcze nieodżałowaną. W tēj izbie padł z ręki mordercy Winkelman.

W tēj tu sali zapewne zaszło pierwsze jego poznanie się z zabójcą swoim.

Wyznaję, że mimo nocy przeszłēj na kolei żelaznēj przepędzonēj, tak jakoś rozkołysane były myśli moje, że nie czułem jeszcze potrzeby spoczynku; użyłem tedy tych kilku chwil, by je poświęcić pamięci tego wielkiego męża. Te zapiski zapewne są bez wagi dla mojego



czytelnika, ale zdaje mnie się, że się godzi bym tutaj, stanąwszy na progu do Włoch, onej świątynicy sztuk, nieco obszerniej się rozpiisał o człowieku, który tu właśnie, na tej między dwóch narodów, ba, dwóch różnych światów, życie położył i który właśnie geniuszem swoim rozświetlił królestwo sztuki dawniej; a pierwszy założywszy podwaliny umiejętne jęj historyi, nauczył, jako się patrzyć ma na arcydzieła piękności. On to, zbogacony nieprzebranym zasobem nauki, jasnowidzeniem geniuszu odsłonił przed światem przebrzmiałe dzieje sztuki starożytnej, a świat przewidział i zrozumiał już duchy zakłete w ułamkach marmurów, a te posągi, niegdyś nieme, przemówiły o swojém pochodzeniu.

Zaiste, kto staje na granicy Włoch, co nam z taką miłością przechowały spuściznę po starowiecznych ludach, temu trudno, by duszy swojej nie zwrócił do Winkelmana, i w myśli nie złożył wdzięczności jego ogromnym zasługom. Wszak gdy w opisie podróży wolno piszącemu przemówić czasem o sobie, zatem wyznaję, że to właśnie jego historya sztuki, wpadłszy mi w rękę jeszcze za studenckich moich lat, sprawiła tak głębokie wrażenie na duszy mojej, że już zostało na życie całe. Prawda, że wtedy ani stać mi nie było, abym nawet przeczuł kogo mam przed sobą; przecież, zdawało mi się, czytając te jego karty, jakobym słuchał Kolumba, prawiącego o odkrytych przez siebie światach; a jeżelim w tém czytaniu rósł o ile było sił moich we wiadomość, tak z drugiey strony malalem, patrząc na te nieznurtowane głębie jego erudycyi, na ten geniusz, umiejący ułamki ze starych pisarzy, pojedyncze ich domniemania a myśli spleść w całość organiczną. A to zeszkromnienie i zmalenie, jak powszechnie wiadomo, zawsze idzie na zdrowie młodemu, bo ściera, zwykle temu wiekowi, próżność i zarozumienie puste, przypominając, że się nie ma jeszcze z kim zmierzyć. Wielce też dziwnemi niekiedy drogami kroczy kultura przez świat!

Zaiste, uderzy nas podziw, gdy wśród późnego a współczesnego nam narodu obaczymy niespodzianie człowieka, co wyrazem twarzy i fizyognomii przypomina nam żywcem oblicze jednego ze sławnych mężów starej historyi, zapadłej już od lat tysiąców. Wtedy się nam zdaje, że marmurowe popiersie, zachowujące nam szczęśliwie od wielu wieków wizerunek dawnego mędrca lub bohatera, przybrało na się krew i życie, że oddycha i myśla i sercem tuż przed oczyma naszymi! — W takowych rzaczach, rzekłbyś, że osobliwą igrą natury powtórzyła się raz jeszcze na świecie dawno umarła postać, że znów wskrzeszone z grobu pojawiły się rysy oblicza, które niegdyś żyło wśród społeczności dawno umarłej i dawno już pochowanej! A jakież dopiero dziwy, gdy już nie zewnętrzne kształty ciała, gdy już nie część materyalna, śmiertelna ponowi się wśród późnego prawniczego lat tysiąca; lecz gdy nawet sam duch jakiego starożytnego ludu odżyje w duszy współczesnego nam człowieka, gdy w niej uosobi się cały ten świat dawno pogrzebany, a przebywający jeszcze tylko echem

swojej sławy w dziejach powszechnych; gdy w tym człowieku żywym, żyjącym wśród nas, w jego chęciach, uczuciach, w jego skłonnościach, znajdziesz zmienacka uczucia, chęci, i cały sposób zapatrywania się innej epoki dziejów ludzkich, innego ludu, innego dawno pogrzebanego świata. Czyli wtedy nie będzie się zdawało, że może, poruszające niegdyś historią, zmartwychwstały w tym człowieku, po długim, martwym śnie grobowym? Czyliż wtedy nie pomyślisz, że duch, co stróżuje miłością nad historią, wywołał tego człowieka, aby nam był prorokiem przeszłości i żywym zwiastunem duszy ludu od wieków umarłego, aby nam tłumaczył jego trudy i sprawy zacne a wielkie dzieła? by one już nie były hieroglifem zagadkowym, ale by te prace a dobytki duchowe poszły na zdrowie światu? Zaiste, taki człowiek będzie się zdawał być na to przeznaczonym, aby współczesnemu sobie pokoleniu wskazał kędy i jak zakląć te skarby, co, niby ukryte pod ziemią, były bezwidoczne dla całego ludzkiego rodu.

Otoż takim nadzwyczajnym i jakby od Opatrzności uświęconym człowiekiem był Jan Winkelman; on stanął wśród ludzi prawie jako anomalia swojego czasu. Na początku XVIII stulecia, wśród epoki oznaczonej tak właściwem piętmem a silną barwą, urodził się Winkelman z duszą starego klasycznego świata. Co było tętnem i pierwiastkiem umysłowym Greków i Rzymian, toć znów odżyło w piersiach tego męża; on czuł ich sercem, oddychał ich oddechem, myślał ich rozumem; ich obyczaje i chęci odezwały się w jego własnej duszy, a odezwały się całą wszechwładną, niepohamowaną potęgą. Tak się więc działo, że tęsknota niewymowna, że siła przeczucia, niezależna od jego woli, parła go w stronę, kędy świeciła gwiazda jego przeznaczenia; więc też dla niego wszystko inne, co bywa przedmiotem ludzkich zabiegów, stało za głuchą, obojętną lupiną; miłość bowiem, przebudzona w młodej duszy, potęguje się w moc, która ją wiedzie do poświęceń wszystkich, w obec której wszystko marne i biedne. Duch starożytniej klasyczności jakby magią opanował całą istotę Winkelmana, tudzież stał się przyczyną wszelkich jego cierpień i boleści, a zarazem powodem jego promiennej chwały przed światem.

Tak jest, Winkelman z usposobieniem dawnego Greka, urodził się po dwóch przeszło tysiącach lat, po epoce najwyższego rozkwitu Hellady, a był dla świata przeszłości wieszczem; on wywodził jej tajne serca drganie i najszybsze tęsknoty i tęch jej duszy; a ta Hellada, tak uroku i wdzięku pełna, oddawna w grobowcu złożona, ocknęła się ze śmiertelnego snu na głos miłości jego — i poznała ukochanego swojego syna, i wypowiedziała mu całą treść duszy swojej; ona w chwilach jego natchnienia stała mu przed oczyma, szepając mu dzieje i wesela i tryumfy Hellenów — a on, spisawszy wszystko w księgi jakby testamentem swoim i Grecyi — umarł.

Taka jest istota duszy Winkelmana, takie jego usposobienie umysłowe, takowe jest jedyne prawdziwe stanowisko ocenienia jego zasług i zmierzania jego prawdziwej wielkości.



W stariej Brandeburskiej Marchii, tak niehojnie opatrzonej od natury, przysiadła do ziemi wśród piasków miescina Stendal. Otóż w tém miasteczku żył na początku wczesnego wieku pewien majster szewski. Pod niską strzechą biednego szewca, od wczesnego ranka do późnej nocy szła żwawo praca szydłem i dratwą i młotem. Lecz chociaż nieborak nie litował ani sił, ani znoju, lubo u niego w izbie było chędogo i ucziwie, a w sercu ciepło i bogobojnie; jednak przez małe szybki okienek często gęsto zaglądała bięda i troska. Znosił atoli majster ubogi i głód i chłód, bo go dźwigała w utrapieniach ufność w Bogu i miłość żony, więrnęj towarzyszkii przez szare i bure chwile cierpkiego ich żywota. Rozwidniło się wszelako w sercu smętnem biednych małżonków: bo kiedy Bóg w domu, to bywa i pociecha: więc bywa i gość w domu. — I gość zawitał. Jakoż przed samemi godami Bożego Narodzenia, jakby na gwiazdkę, urodził się w onęj niskiej izdebce synek. A gdy poszli do księciola małżonkowie, by ochrzcić pacholę, pan pastor zapisał w księgi swoje, jako 9 Grudnia r. 1717 urodziło się dziecię płci męzkiej, któremu z imienia i nazwiska: *Jan Joachim Winkelman*.

Jan był już jedynem dziecięciem ojca swojego. Ztąd też był i jedyną a serdeczną pociechą rodziców, i całą ich w przyszłość nadzieją. Gdy wśród ubóstwa pacholę zasnęło w kolebce, małżonkowie zcicha z sobą gawędząc roili sobie a roili wielkie rzeczy o tym Janku swoim. Serce rodzicielskie widziało promienną aureolę, bijącą jasnością od głowy dziecięcia. A ta jasność promienna była dla ich uczuć wróżbą, że ich mały ulubieniec dosięgnie kiedyś zaprawdę najwyższego szczytu szczęścia, najświetniejszych honorów w życiu; słowem tuszyli, że kiedyś będzie pastorem. Znać, że podobnie, jak u nas tak i u protestantów, w oczach ludzi ubogich najwyższem szczęściem i losem najświetniejszym, którego rodzice pragną dla syna, jest ten, aby kiedyś mieszkał na plebanii jako w domu swoim. Przeto ciągle chodziła biedakom po głowie myśl, jakby tu sobie począć, aby ich jedynak, odbywszy szkoły, mógł później uczęszczać na jaki uniwersytet i słuhać teologii.

Zaledwie malec urosł w pacholę, już ojciec zaprowadził go do nauczyciela szkołki miejscowej w Stendalu, najserdeczniej mu ulubienca swojego polecając. Ten nasz nauczyciel zwał się Toppert; on już się miał bardzo ku starości, lecz chociaż nigdy nie liczył się między luminary o świetnych talentach, był przecież człowiekiem z ciepłym sercem, i posiadał dość nauki, a przedewszystkiem umiał gruntownie język łaciński i grecki; nadto w izbie jego na półkach czernili się gęstym szeregiem klassycy starożytni, a krom ich stały tam jeszcze inne przeróżne a przeróżne księgi.

Gdy pierwszy raz przed starcem stanął nasz Janek, ani przeczuł pocziwy Toppert, że temu ładnemu dzieciuchowi z twarzą rumianą zawdzięczy własną nieśmiertelność; a istotnie, gdyby nie to małe pacholę, niktby nie wiedział, że był kiedy jakiś Toppert na świecie.

Pilność nieznekana, bystra pojętność, a przytem jakieś wdzięczne milenie się małego Winkelmana wnet sprawiły, że stary nauczyciel z całego serca go pokochał; nie szczędził przeto pracy, aby rozwinąć umysł młody, który pobłyskiwał już tak uderzającym talentem w tej młodziuchnej głowie; a najwięcej dla tego pieścił się Toppert ze swoim wybrańcem, iż ten okazywał tak niezwykłą miłość a pociąg niepohamowany do języków klassycznych i literatury starożytnej.

Zawiązała się tedy dziwna a rzadka przyjaźń między starym mentorem a młodym wychowankiem; a ta przyjaźń nabrała rzewności głębokiej i jakiegoś świętości przeczystej — bo Toppert ociemniał. Wtedy młody Winkelman czytywał, pisywał za ślepego starca i w chwilach wolnych wodził go za rękę na przechadzkach. Za tyle troskliwej miłości wdzięcznie opłacał się chłopczynie staruszek, ucząc i prawie mu, co tylko sam wiedział, o czem tylko kiedyś słyszał i udzielając rad serdecznych, jakie mu podawało własne a tak długie doświadczenie. A te nauki i rady starca były głębsze i świetniejsze niż kiedykolwiek, bo gdy wzrok jego doczesny, zewnętrzny zgasł — oczy wewnętrzne, duchowe, spotęgowane miłością, zajaśniały widzeniem bystrym i dalekim. Toppert, poznawszy wzmagającą się dzielność w uczniu swoim, nie bał się już szwanku dla niego i pozwolił mu używać biblioteki jakby własnej.

I zgadł stary nauczyciel; bo dowolność a swoboda w czytaniu, coby pewnie obalamuciła nie jedną słabszą głowę, poszła Winkelmanowi na potęgę i moc zbawienną. Bo lubo był prawie jeszcze pacholęciem, lubo w tym steku książek rzucał się to w tę, to w ową stronę, przecież instynkt niemylny jego natury, ów duch dawnego klassycznego świata stał mu na straży i opatrzenie pokierował jego czytaniem. Ztąd geografia starożytna, historia powszechna, mianowicie dzieje Greków i Rzymian, a przedewszystkiem literatura tych narodów były żywiołem i atmosferą jego duszy. A gdy mu się zdarzyła chwilka wolna, wtedy, zamiast oddać się igrom i zabawom chłopięcym, które zajmowały jego rówieśników, młody starożytnik wybiegał za miasto na piaszczyste mogiłki i w nich kopał i grzebał, by odkryć urny i stare popielnice, których nie brakło w okolicy Stendalu.

Tak uczył się, tak żył młody Winkelman w swoim miasteczku rodzinném, aż urosł na 16-letniego młodzieniaszka; wtedy, dzielnie wyćwiczony w językach i literaturach starożytnych, udaje się do Berlina, bo miał nadzieję, że się wzmoże w naukach na tamtejszém, wielce słynném gimnazyum, tak zwaném kolońskiém; a co więcej, tuszyl sobie, że pruska stolica nastreczy mu przecież sposobność udzielania tego, co miał, młodszym pacholętom; miał więc nadzieję, że dochód z tych lekczyjek wystarczy i na własne jego potrzeby, i na jaką taką zapomogę dla starego ojca.

Gdy bawił w Berlinie, doleciała go wieść, że w Hamburgu poj-



dzie na sprzedaż biblioteka Fabrycyusza, uczonego szerokiej sławy. Ta wiadomość jak iskra elektryczna zatrzęsła młodą duszą; bo wiedział, że ta biblioteka była tak bogata w starych klasyków! Pokusa gwałtowna, ogromna nie dała mu pokoju. Ów geniusz dawnych Greków potężnie zapukał w serce jego, więc mu już niepodobienstwem było oprzeć się tym ponętym mocom.

Zatém pewnego poranku Winkelman pieszo ruszył z Berlina gościńcem, co wiedzie wprost do Hamburga. Lecz jak tu sobie począć? On nie ma prawie grosza przy duszy! Mniejsza już o niewygody, o nocleg, o głód; ale za cóż tu będzie książek kupić? — A tych klasyków trzeba kupić koniecznie, bo ów duch Hellady i stariej Romy nie daje spoczynku. Młodzieniec tedy wyrzuci z serca wszystkie wątpliwości, wszystkie względy, i po drodze wstępuje do dworów szlacheckich, do probostw, i, bez ogródki, prosi o datek pieniężny, aby miał za co nabyć ukochanych swoich pisarzy. Oblicze otwarte, szczere młodzieńca sprawiło, że tych datków nie brakowało, a może też nie mało pomagała postać jego szlachetna i wielce nadobna; jakóż, bądź co bądź, stara gadka ma może słusność, gdy prawi, że gładka postać, to pasport w świat, a powierzchowność miła, to list polecający do ludzi.

Mniej szczęśliwie po powrocie wiodło mu się w Berlinie, bo z nikąd jakos nie przychodziły owe lekcyjki z takim upragnieniem pożądane i z taką ufnością spodziewane. Długo się biedak pasował z głodem; dopiero, gdy się zerwały wszystkie nadzieje zarobienia sobie na chleb, ruszył do Stendal, i znowu w onej izdebce nizkiej, o szybkach drobnych, w rzewnem objęciu przytulił się do serca staro-ojca.

W roku 1738 widzimy Winkelmana na Uniwersytecie w Halli, zapisanego na wydział teologiczny; wiadomo atoli, jak to w tym wieku XVIII-ym teologia protestancka zaprawiona była pedantyzmem szkolarskim, bezdusznym. Więc nie dziw, że Winkelman, jak sam powiada, na żaden sposób nie mógł smakować w tej strawie jałowej, niepożywnej. Coraz tedy rzadziej a rzadziej bywał na odczytach suchych teologicznych, a w końcu już prawie i nogą nie powstał w tych lektoryach; lecz za to przesiadywał po całych dniach w bibliotece uniwersyteckiej, tonąc w studyach klasyków starożytnych. A im głębiej się w nich wczytywał, tém jaśniej rozwidniał mu się ten właściwy im świat. Figury pojedyncze, zrazu mgliste i rozplynne, nabierały konturów wyrazistych, odziewały się ciałem plastycznym, rozwidniały się fizyognomią i barwą; a ta społeczność starożytna, tak dla nas zwyczajnych ludzi niby obca i cudza, swoiła się do Winkelmana coraz to przytulniej, jak gdyby on ze krwi i z kości do niej należał.

Młody uczeń akademicki własny swój sposób zapatrywania się ujrzał w tej społeczności starożytniej, zrozumiał ją wskrós i ukochał. Jak kocha i rozumie swój swojego. Bo lubo prawda, że te studia

klassyków rozwinęły i przebudziły w nim wiedzę jasną o stosunkach, obyczaju i całej duszy dawnoczesnych ludów, przecież nierównie jeszcze słuszniej powiedzieć wypada, że te studia nie byłyby miały dla niego tój ponęty nieprzewyciężonej, gdyby w nim samym nie przemieszkiwał duch pokrewny staremu światu. Całe jego usposobienie umysłowe było, jakem rzekł, wskrós do dawnych Greków podobne; równie jak i oni, ten człowiek nadzwyczajny okazuje się nam być z jednej sztuki, z jednego odlewu; w nim zupełna harmonia własnej istoty z sobą.

Przecież, uznając genialność Winkelmana i oddając hołdy jego zasłudze, nie kładźmy zbyt wysoko usposobienia ducha jego i ludzi do niego nastrojem wewnętrznym zbliżonych. Zrozumiemy się dobrze pod tym względem! — Prawda jest, że Winkelman był całością w sobie, ulaną jakby z jednego odlewu, że jego całe to usposobienie uczyniło go w badaniu starożytnego świata arcymistrzem, pojmującym wskrós duszę dawniej Hellady i Romy; przecież z drugiej strony, ośmielam się wyrzec, iż właśnie te nadzwyczajne a charakterystyczne potęgi umysłu jego miały za grunt swój pewną ujemność, pewien brak w jego treści duchowej. To zdanie moje może nie jednemu z czytelników wydawać się będzie zbyt zuchwałe. Pragnąc się wytlumaczyć do czysta z mojego pojmowania rzeczy, proszę czytelnika, by porównywał ze mną usposobienie duszy, będące ogólną cechą ludów nowożytnych, ze zjawiskiem wyjątkowym, jakie nam przedstawia cała umysłowość Winkelmana. Treść wewnętrzna każdego nowoczesnego człowieka jest nieprzebraną głębią; w nas brzmią nieustanne dźwięki innego świata, jakaś nieukołona, niespokojna tęsknota, a niewysłowiona rzewność śpiewa nam w duszy i unosi uczucia w dal bez granic, w dal niezmierną; w sercu naszym pracuje i pasuje się wiele potęg i mocy; ztąd we wnętrzu naszym jakieś łamanie się, jakieś rozdwojenie istoty naszej. Żyjemy wśród natury, wśród zmysłowego świata, wśród doczesnego żywota, — i ta natura, i ten świat, i ta doczesność wiążą nas tysiącem nitek swoich, a przecież ani natura, ani ten cały świat zewnętrzny, ani żadne ziemskie szczęście, choćby najwyższe, żadna rozkosz doczesna zaspokoić nas nie zdoła, ani utuli boleści naszego sieroctwa na ziemi; zawsze i zawsze słyszymy tamecznych światów wołanie. Tych upałów serca nie ostudzi też rozumowanie, choćby najgłębsze, ani poezya w promienne szaty ubrana, ani piękność w jasnej dziedzinie sztuki zrodzona, bo i poezya i sztuka, odziewając się we formy zmysłowe, mają jedynie w sobie o tyle treść duchową, o ile te formy ją pomieścić zdołają, o ile te formy, choć zmysłowe, do ideału podniesione, zdołają być nadzmysłowego świata zwiastunem. Dopiero na łonie wiary naszej znajdziemy ukoj owęj bez granic tęsknoty, znajdziemy ukołysanie, ucieszenie się potęg i chęci, łamiących się w sercu naszym. Wiara chrześcijańska balsamem niebiańskim zalewa wszystkie bolejące rany, zestrąja harmonią dźwięki rażące, godzi przeci-



wienstwa i otula cierpienia palące piersi naszych; rozświeca co ciemne, co wieczorne w duchu naszym. Tak człowiek, choć jeszcze na ziemi, wśród natury i doczesnego świata, korząc się Panu, godzi się i z ziemią i z naturą i zewnętrznym światem i losem swoim, godzi głębiny wewnętrzne istoty swojej z rzeczywistością zewnętrzną, i odprawia z cichą, błogą radością przeznaczone sobie w tym życiu mozoły i trudy.

Takie usposobienie ludów chrześcijańskiego świata. Otchłania nieprzebytą odróżnione są od nich ludy klasycyzmu starożytnego. W piersiach i w myśli tych ludów nie roztworzyły się jeszcze owe głębie duchowe z tym nieprzebranym bogactwem treści swojej. Więc też u nich nie ma wewnętrznych walk, one nie znają owęj bez granic tęsknoty, która nam w sercu płacze, ani słyszą wołania dziedzin nadziemskich, bo ich nie bolą rany rozdwojenia się wewnętrznego i zewnętrznego świata; lecz też one nie znają co błogie, co najwyższe serca radości, rodzące się z ukoju owych boleści palących i owęj niewysłowionęj tęsknoty; im nie rozwarły się bramy szczęśliwości rajskiej, wiecznej, bez granic; oni ani marzyli o wiekuistej miłości! W sercu tych ludów mroczno, głucho; lecz one nie przeczuwają tego mroku serca własnego i tej własnej głuchoty swojej. Cóż tedy dziwnego, że im spełna wystarczał świat zewnętrzny, i natura i jej wdzięki i życie doczesne; że zdołali duszę zestroić do pełnej zgody z rzeczywistością obecną. Zrozumiemy tedy, że u nich wszystkie tony duszy, że wewnętrzna istota i zewnętrzny świat mogły być łatwo w zgodzie i harmonii; pojmujemy tedy, że w tym ograniczonym znaczeniu można powiedzieć, że to byli ludzie całkowici i z jednego odlewu. Lecz zgadujemy również, że ta całkowitość, ta harmonia a zgoda nie doszła bynajmniej do najgłębszego swojego znaczenia, że ona nie ma nic wspólnego z owym świętym spokojem i całkowitością, których się dosługuje chrześcijanin, żyjący w pekorze ducha wedle Bożego zakonu, i w ufności w Panu. Za tem też idzie, że najwyższym duchowym szczytem owych ludów były wysokości, na których płonie sztuki piękność, owa córa duchowa ubrana w szaty zmysłowe. Dla nas atoli żadna piękność sztuki nie wystarczy; ona bynajmniej nie jest szczytem najwyższym duszy naszej.

Taki był nastrój umysłowy Greków i Rzymian; podobny jemu był nastrój Winkelmana, o ile tylko człowiek nowożytny społeczności mógł się stać odrodzeniem żywym Hellady i Romy, onych pogrzebanych przed wiekami światów. A rzekliśmy, że zaiste takim był Winkelman już z samego przyrodzonego usposobienia swojego. Pomysłmy nadto jeszcze, że Winkelman urodził się i wychował wśród wieku XVIII, więc w czasie okropnej czczości serca a bezwiary! — pomysłmy, iż on nadto urodził się w protestantyzmie, że się kształcił na wykładach jałowych w Halli. Tak jeszcze dokładniej zrozumiecie, iż Winkelman całą potęgą geniuszu swojego oddał się badaniu starożytnego świata, że całą gorącą miłością rzucił się w objęcie da-

wnej sztuki klassycznej, że rozumiał wskrós te zapadłe światy. Pojmujemy tedy, iż jedynie w tém samém znaczeniu, jak o starożytnym Greku mówić możemy, że był z jednej sztuki ulany, że był całkowitym w sobie, tak również i o Winkelmanie powiedzieć można, że był całkowitym człowiekiem a z jednego odlewu, zatem, że nie znał rozdwojenia w sobie. Pierwszy Göthe wyświecił ten żywiół starożytnej klassyczności w duszy Winkelmana, uważając, że w nim nawet przebywał jakiś pierwiastek pogański (\*). To spostrzeżenie jest zapewne bystre, dowcipne, lecz ono dla tego, jak się zdaje, błysło Göthemu, że on sam może jest geniuszem nieco pogańskiego nastroju.

To wszystko, cośmy sobie o Winkelmanie w tej chwili powiedzieli, tyczy się jego charakteru już zupełnie ukończonego w sobie, to jest, jakim był wtedy, gdy duch jego już urosł i zmożniał w potęgę i siłę mężką; — przecież zaród tej istoty jemu właściwej już wyzierał kielkiem w pacholących latach, gdy jeszcze zostawał pod opieką ślepego mistrza swojego w Stendal; ten pierwiastek już śmiało i bujnie roztulił listki swoje w Halli. Widzieliśmy bowiem, jak to on omijał z daleka ekliwe i mdłe lekcye owych oschłych nauczycieli, i jak całemi dniami wertował starych klassyków, a studyował ich i czytywał, żyjąc o samym suchym chlebie i wodzie, jakoby jeden z onych mędrców starożytnego świata.

Jak zaś studia te pożarem ochłonęły duszę jego, znać ze słów uczonego Boysena, który w jednym ze swoich listów powiada: że słysząc Winkelmana, wykładającego Herodota, zdawało się jakoby był w zachwyceniu, jakoby geniusz jaki przez niego przemawiał. Gdy zaś czytał Cezara wojnę z Gallami, do tego stopnia rozognił wyobraźnię swoją, że nie mógł oprzeć się myśli widzenia koniecznie sceny tych wojen, i że sam u siebie postanowił udać się do Francyi i Paryż obaczyć. Wyrywa się tedy z Halli, i rusza pieszo w stronę Zachodu. I tutaj jednak powszednia codzienna prozaiczność ochłodziła zapal i wyobraźnię młodzieńczą. W drodze nie było co jeść — trzeba było wrócić do Halli! Mimo tej nauczki, mimo biedy, która go sciskała zmorą nieublaganą, Winkelman, żyjąc suchym chlebem, pieścił jednak w sercu projekta zuchwałe, i wśród najdotkliwszego niedostatku sam sobie najuroczyściej przyrzekł, że odbędzie podróże, naowczas prawdziwie olbrzymich wymiarów; bo mocno postanowił u siebie, że będzie we Francyi, w całych Włoszech, w Egipcie, i nie wiedzieć już gdzie. Wtedy albowiem już nakształt mappy rozkładała mu się przed oczyma cała przeszłość starożytna; on ją miał obecną przed duszą swoją, on wypiastował ją w sercu i ochuchał ją tchem miłości swojej. Ona też nawzajem przemawiała do niego

(\*) Göthe napisał w roku 1805 krótką charakterystykę Winkelmana, zamieszczoną w zbiorze jego dzieł, wyd. Cotty T. XXIV str. 1 do 36. — St.



z książek, siadała nocą przy łożu, śląc na duszę jego senne obrazy i marzenia pełne zachwytu. Ten student ubogi był tak bogatym, tak zamożnym jakby moczcz, odziany purpurą i panujący milionowym ludom. Ta jego wysepka mała rozszerzyła się światłem ogromnym i zaniknęła w sobie cały tłum stuleciów wielkich. Gośmi biednego młodzieńca byli wieszcz, mistrze, bohaterzy i wszystkie najświetniejsze postaci upłynionych starych dziejów.

Winkelman, chcąc atoli jako-tako obronić się nędzy, pisywał w różne strony, ofiarując siły swoje, a tak zwrócił się listownie i do zacnego *Gessnera* (\*), znanego nam wszystkim od lat dziecięcych, jako autora sielanki „Smierć Abla“. Nakoniec dostał się przecież jako nauczyciel do domu jakiegoś rotmistrza, a później znów wychowywał dzieci jakiegoś urzędnika; a później jeszcze udało się Boyse-nowi wyrobić mu nauczycielstwo szkółki w mieście Seehausen.

Przyjął to miejsce Winkelman, bo nie pozostawała inna nadzieja. Przez pięć następnych długich lat z całym poświęceniem uczył na elementarzu abecadła, jak się sam wyraża, „zgraję plugawych żaków“. I biedził się i mozolił z nimi wtedy, gdy wiersze Homera i chory Eschyla lub Sofoklesa grały mu w duszy, i mimowolnie przechodziły z serca do drgających uniesieniem ust. Z gorliwością uczciwą i sumienną dopełniał Winkelman obowiązków wziętego na się urzędu; a przecież owa czern, której nigdy na świecie nie braknie, która zawsze nieśmiertelna a której nigdy nie stać na zmysł odgadnięcia znakomitego człowieka, zaczęła mruczeć i krakać na „niezdolnego“ Winkelmiana, cierpkie czyniąc wyrzuty zacnemu Boyse-nowi, że, polecając takiego nauczyciela, raczej dogodność Winkelmiana niż dobro szkoły miał na celu. Ten młody człowiek atoli, wśród cierpkich uczuć i niegodnego znoju, nie upadał pod brzemieniem zawistnym wstrętnego losu; w chwilach swobodniejszych, wyzwoliwszy się z gwaru i wrzasku a zaduchu izby szkolnej, pracował i studyował z całym nateżeniem sił swoich, niekiedy spijając tylko trzy, a nawet niekiedy dwie godziny. Uczył się, prócz klasyków, jeszcze języka francuzkiego, włoskiego, angielskiego, a to bez żadnej obcej pomocy, używając kilka lichych grammatyk a lichszych jeszcze słowników, których mu był następczył szczęśliwy jakiś przypadek.

Mówiliśmy, że pięć lat tak przemęczył w tym piekle bakalarskim Winkelman; już przeszło 30 lat upłynęło mu życia, — życia tak pięknego, tak pełnego treści duchowej. Lubo bez środków a widoków, byłby pewnie porzucił i tych żaków, i elementarz i nauczycielstwo swoje, które ssało z ducha jego najszlachetniejszą treść, gdyby nie pamięć na starego osiwiatego ojca. On onóg, jak prawi biograf jego, wszystkie trudności przełamać, przemódz wszelkie zawady — lecz ojca zgrzybiałego opuścić, toć dla niego było niepod-

(\*) Salomon *Gessner*, poeta szwajcarski, ur. 1730 † 1787 r. — St.

bienstwem. Wszak, co uzbierał krwawego grosza, posyłał starcowi, by podtrzymywać ostatnie dni jego.

Niezadługo atoli doszła go wiadomość, że ojciec jego a dobroczyńca śmiertelną niemocą złożony. Pospieszył tedy do Stendal, ucałował ręce ojcowskie i serdecznie nad lożem umarłego zapłakał. Teraz stanął samotny na świecie; ale czuł się być silnym a potężnym, bo duch jego był zbogacony dorobkiem całej wielkiej klasycznej przeszłości, i posilony błogosławieństwem starca, któremu był pomocą wierną, i pociechą i dumą uczciwą.

Zył wtedy, obok Augusta III, króla polskiego a saskiego elektora, hr. Büнау, minister, mąż rzadkich zalet, bo wspierał artystów i uczonych, a sam był uczony; do niego to udaje się listownie Winkelman, ofiarując mu się za bibliotekarza do prywatnego jego zbioru ksiąg. Büнау odpisuje, że miejsce żądane już jest przez innego literata zajęte, ale zapytuje, czyliby nie zechciał przyjąć sekretarstwa w bibliotece, z pensją roczną 80 talarów (!) — Winkelman, przeczytawszy list, odetchnął głęboko, odetchnął wolnemi piersiami, i, jak sam się wyraża, przycisnął list zbawczy do ust i przycisnął go do serca. Teraz on wyswobodzony od onych mąk, co mu trwały wolnym jadem żywotną moc i zdrowie duchowe. Tak biedne 80 talarów zdołały odrodzić siły wielkiego Winkelmańa; tak to szczupła pomoc dokazać niekiedy zdoła ogromnych rzeczy, dodając otuchy człowiekowi o wielkim geniuszu, otuchy, o której się ani śniło tym, którzy, będąc materyalnie niezawisłymi w świecie, ani czuć ani ocenić nie umieją całego szczęścia stanowiska swojego w życiu.

Te osmdziesiąt talarów, lubo zaiste nierównie więcej znaczyły w ówczesnym braku pieniędzy niż dziś, były przecież i naowczas wielce pomierną sumką; ona atoli wystarczyła do zaspokojenia wszelkich potrzeb skromnego życia Winkelmana. Jakoż główniejszą rubryką jego wydatków były suknie, bo do charakteryzujących go rysów, jemu właściwych, należy dbałość o powierzchowność a zewnętrzną. I tém właśnie różnił się od wielu współczesnych, a nawet późniejszych uczonych niemieckich i nieniemieckich, którym się zdawało i zdaje, jakoby ubiór rozczochrany i na poły cyniczny był cechą nierozdzielną od literatury i erudycyi. Co więcej, Winkelman, jak podobno rzekłem powyżej, był urodziwy, piękny, — a dość też był rad tym przymiotom swojej osoby. Otóż to dbanie o powierzchowność również, jak mnie się zdaje, czyni go podobnym do onych starożytnych Greków i estetycznego ich usposobienia.

Winkelman był we czci wysokiej u hrabi Büнау, rozkoszował w skarbach ksiąg rzadkich i kosztownych, o których dawniej ani wiedział; oczyma pochłaniał ryciny, przedstawiające arcydzieła starożytnej sztuki; nadto poblizkie Drezno sprowadzało go często do siebie. Więc rozpatrywał się w onej przesławnej galeryi drezdeńskiej obrazów największych mistrzów; nadewszystko jednak studiował zabytki starożytnej rzeźby. Grono znakomitych ludzi, ba-



wiących naówczas w saskiej stolicy, wnet odgadło głębie umysłowe tego nadzwyczajnego człowieka; otoczyli go tedy poważaniem i szczerą miłością. Ich towarzystwo poszło też na korzyść Winkelmanowi, bo rozmowy z uczonymi i artystami ułatwiły mu rozpatrzenie się w pięknościach sztuki, i poznanie jej wdzięków i uroków ukrytych dla zwyczajnego oka.

Wnet atoli nad losami jego zapłonęła gwiazda, co go miała powieść do celu wszystkich pragnień serca jego, co miała urzeczywistnić dawne marzenia, co mu miała być przewodniczą ujrzenia Włoch i Rzymu. Rzecz tak się miała. W domu hrabiego Büna u bywał często monsignor Archinto, nuncyusz papieżki. On sam, będąc człowiekiem wielkiej nauki, bystrością właściwą swojemu narodowi, wrychle odgadł geniusz Winkelmana i nadzwyczajną jego uczoność; miłość do chwały własnego kraju podała posłowi myśl, czyliby Winkelmana nie mógł pozyskać dla ziemi włoskiej. Pewnego razu tedy, wśród poufalej z nim rozmowy, rzucił pytanie, czyliby nie chciał udać się do Rzymu? dodając, że może nie będzie rzeczą trudną wyrobić mu tam jakie bibliotekarstwo. Zadygotał w sobie radością na tę propozycję Winkelman, widząc się tuż u celu tak gorących nadziei swoich. Nuncyusz oświadczył, że warunkiem koniecznym do otrzymania tej posady jest wrócenie na łono Kościoła katolickiego. Winkelman okazał się chętnym w tej mierze. Różni różnie tłómaczą gotowość woli jego; są atoli zdania, pełne powagi, twierdzące, że wczytanie się jego w Ojców Kościoła mogło wywrzeć wpływ potężny na umysł jego. Bądź co bądź, to pewna, że wśród całego życia swojego Winkelman doznał najwięcej pomocnej życzliwości od katolików; z tej strony przyszły mu wszystkie zwroty szczęśliwe w losie jego.

Zanim się atoli sprawa co do posady rzymskiej z nuncyuszem ostatecznie ułożyła, Archinto wyjechał do Wiednia, zostawując Winkelmanowi list polecający do ojca Raucha, spowiednika króla polskiego. Ojciec Rauch tak rzeczą pokierował, że król wyznaczył naszemu starożytnikowi 200 talarów pensyi rocznej na dwa lata, aby przez ten czas mógł żyć w Rzymie niezawisłe, i oddać się w zupełności i z pełną swobodą ulubionym sobie studjom.

Podobno w tej chwili trudno było znaleźć na całym okręgu świata szczęśliwszego człowieka nad Winkelmana. Wnet też uroczyscie przyjął wiarę naszego Kościoła (r. 1754).

W roku następnym wydał rzecz „O naśladowaniu dzieł sztuki greckiej“. Do napisania tej książki skłonili go wielbiciele jego, pragnący, aby już teraz światabrał jakiegoś wyobrażenia o geniuszu świętym ich przyjaciele. Zaiste, pismo to ocuciło wszystkich z letargu, półgłowe niedouki wykrzykiwali na zuchwastwo jego pomysłów; ludzie głębsi a poczciwsi cieszyli się sławą nowego pisarza i wielką nadzieją, która się już w nim wyświecała. Nakoniec roku 1755 w jesieni Winkelman wyjechał do Rzymu.

I stanął w Rzymie — tém ognisku a sercu starożytnego świata! „Na pierwszy widok olśniał, potem uderzony był podziwem bez miary, a w końcu opłynęło go morze rozkoszy, gdy patrzył żywnymi oczami na te przedmioty, którym dawno już był duchem swoim obecny, które ukochał już od wiosennych lat całym pełnym sercem“; — tak się wyraża prawie dosłownie o nim jeden z jego biografów, dodając, że uczucia, które przejmowały Winkelmana w Rzymie, nie mogą być oddane piórem: te uczucia, samo tylko serce zrozumieć zdoła.

Winkelman, zaraz w pierwszych godzinach swojego pobytu w Rzymie, był jakby wśród własnej rodziny, jakby wśród własnej ojczyzny swojej.

Już jedynie polotem dotknijemy się reszty życia jego. Od chwili, gdy stanął w Rzymie, aż do chwili jego zgonu, przepłynęło tylko lat trzynaście; atoli ten nieliczny szereg lat był szeregiem triumfów i świetnej chwały, był to czas niewypowiedzianej rozkoszy duchowej. W tej to krótkiej epoce życia swojego Winkelman zbudował sobie pomniki, które już wieki przetrwają. Co mu sam Rzym nastręczał, co mu poddawały kilkakrotne podróże jego — już to do Neapolu, już do Florencji — wszystko to składał w pismach swoich. Dzieła większe i mniejsze, pisane w szybkim następstwie w czasie jego pobytu we Włoszech, rodziły się w duszy, wrzącej i kipiącej zapalem. Pomijając inne jego prace, wspominam o niektórych, np. jego odkryciach uczynionych w Herkulanum; później pisał o starożytnych pomnikach niewydanych jeszcze (*Monumenti antichi inediti*) — dalej o znaczeniu allegoryi, — następnie skreślił myśli swoje „O uczuciu piękności“, a w roku 1764 pojawiła się w Dreźnie jego „Historya Sztuki“.

Genialność, ogromna erudycya, były cechą tych wszystkich prac jego, a nadto odznaczyły się one osobliwym darem kombinacyi, przy zadziwiającej, obszerniej i wierniej pamięci. Gdy Winkelman patrzył na jakie dzieło sztuki, już jakby błyskawicą ocknęły się w duchu jego wszystkie ustępy, wszystkie wspominki, odnoszące się do tego przedmiotu a czytane kiedyś, gdzieś, w jakimś starożytnym pisarzu; ale nie dość, że te urywkowe zdania wypłynęły mu z duszy na jaw, lecz one wiązały się w okamgnieniu w całość organiczną. A pamięć jego istic była tak potężna, że jęj zupełnie zaufał; więc najczęściej przywodził, pisząc na pamięć miejsca autorów, nie zacierając nawet w źródła, by się przekonać, czy się w tej cytacyi nie pomylił — a pomyłka też rzadko kiedy się zdarzyła. Im dłużej, za lat młodości, geniusz jego zazdrościwym losem trzymany był na uwięzi, tém więcej teraz, czując się swobodnym, wolnym i szczęśliwym, wzmógł się Winkelman w duchu wszechmocną siłą, a parla go nieprzewyciężona moc, aby myśli swoje, rodzące się w toniach najgłębszych jego istoty, oddał śpiesznie światu. Tak się tedy działo, że zanim jaka książka jego była wydrukowana, już byłby ją pod



wielu względami powtórnie inaczej napisał, jużby był wiele ustępów inaczej oddał, inne całkiem odmienił. A najważniejsze dzieła jego bez zwłoki tłómaczone były na obce języki.

Krom zarzutu takowego zbytniego pośpiechu, spotyka zwykle prace Winkelmana jeszcze i ten, że w nich stosunkowo tak mało trudni się malarstwem starożytném; jabym atoli ośmielił się twierdzić, że to chłodniejsze uczucie jego dla malarstwa wypływa z właściwej cechy jego ducha, bo on kochał i cenił przedewszystkiem rzeźby, a ta przeważająca miłość jego do tej sztuki właśnie rodzi się z jego wskroś klassycznego usposobienia —, i z tej strony Winkelman, mimo wiedzy własnej, staje się Grekom podobnym.

Takowe podobieństwo jego ze starożytną Helladą, już kilkakrotnie powyżej przez nas wyświecone, występuje jeszcze pod innym względem w samym Rzymie. Już za pacholącego wieku przyjaźń idealna, nieznaną granic w poświęceniu, jak ją pojmował świat starożytny, była dla Winkelmana najwyższą potrzebą duszy, najgorętszą żądzą serca; i właśnie ta tęsknota ukochania kogoś całą duszą rzuciła go często w objęcia niegodnych go przyjaciół: tak, między innymi, sam ów sławny malarz *R. Mengs* \*), któremu się Winkelman całą duszą oddał i całego siebie powierzył, za to przywiązanie serdeczne obrazil go w najtkliwszych uczuciach jego i odplacił mu zdradą.

Wśród takowych bolesnych zawodów, raniących serce jego, nie brakło mu przecież zkadınad z duszy przyjaciół, a między nimi już pierwsze miejsce trzymali kardynałowie Passionei i Aleksander Albani, co, kochając sztukę i umiejętność, mieli go we czci wysokiej. Mianowicie Albani uważał go za przyjaciela i brata, i z miłością do serca przytulił. Tak na stopę europejską wielki pan i ubogi uczony połączeni byli ślubem wzajemnego poważania i braterstwa, a kapłanką, łączącą ich przymierzem przeczystem, była ona piękność klassycznego świata, co w koło nich skamieniała w postaci marmuru. Willa kardynała, co pełna przepychu i arcydzieł rzeźbionych, ta willa, co dziś jeszcze jest skarbnicą sztuki, ona była jakby własnym domem Winkelmana; on w niej tak rządził a gospodarzył, jakoby w domu u siebie; więc też cały lud rzymski żartem nazywał ją willą Winkelmana.

Lecz inne jeszcze go czekały honory: papież Benedykt XIV (Lambertini) chciał poznać Winkelmana, o którym był tyle już słyszał, a pragnąc zaszczycić go najwyższą oznaką poważania, wezwał go, aby mu odczytał niektóre ustępy z jego dzieła: *Monumenti Inediti*. To się stało. A tak Winkelmana spotkał najświetniejszy za-

\*) *Rafael Mengs*, znany przedstawiciel eklektycznego kierunku w nowszym malarstwie, ur. w Czechach 1728 r. um. w Rzymie jako Dyrektor Akademii malarstwa r. 1779. — St.

szczyt, jakiego tylko mogły doznać zasługi autorskie. Gdy zaś przyjaciel jego i dobrodziej kardynał Albani zajął urząd bibliotekarza Watykanu, już zaświeciła i Winkelmanowi pewna nadzieja otrzymania pierwszej posady, któraby była opróżnioną przy watykańskiej bibliotece. Widział tedy zapewnioną przyszłość swoją na całe życie. Nadto przyjechał pod te czasy do Rzymu dawny jego opiekun Archinto i został kardynałem. Więc też niezadługo przyjaźń znacznych dygnitarzy Kościoła, a więcej jeszcze własne zasługi wyniosły go na godność, przewyższającą wszelkie nadzieje jego; bo Winkelman był mianowany „Prezydentem wszelkich pomników w Rzymie i koło Rzymu“.

Mimo stanowiska tak pełnego zaszczytu i korzyści materyalnych. Winkelman, wiedziony uczuciem powinności, pragnął obrócić siły swoje na użytek własnego kraju; więc ofiarował służby swoje własnemu królowi Fryderykowi II. Zapewne uważał on, że gdy Wolterowi i innym Francuzom, hodowanym w Poczdamie, tak było dobrze i błogo pod bokiem pruskiego króla, toć przecież może się i znajdzie miejsce jakie dla swojego, a mianowicie dla własnego poddanego. Ale układy pod tym względem skończyły się na niczem. Wygoił się atoli wnet Winkelman z tej lekkiej rany, lecz za to powziął myśl niezłomną zostania na życie całe na tej wdzięcznej i tak lubej ziemi włoskiej; zaczął więc już uważać siebie za przyswojonego syna wiekuistej Romy.

W życiorysie Winkelmana, umieszczonym na wstępie do jego *Historyi sztuki starożytnej*, widzimy jak to około owego czasu różne miasta niemieckie, słysząc o uwielbieniu Włochów dla tego męża, rade były okazać światu, że i one nie są obojętne na chwałę a zasługi wielkiego ziomka; zapraszały go tedy zewsząd, ofiarując zaszczytne posady. Szkoda tylko, powiada autor owej biografii, że się zapożno na te uprzejmości zdobyły, i że potrzeba zwykle, aby wprzód Hiszpania, albo Francya, albo Włochy poznały się na geniuszu jakiego mistrza, muzyka, lub uczonego niemieckiego, zanim same Niemcy oddadzą mu cześć i uznanie należne.

Lubo atoli Winkelman nie zmienił postanowienia swojego, pragnąc we Włoszech żyć i umierać, nie mógł się jednak oprzeć gorącym życzeniom a prośbom licznych przyjaciół i kolegów z dawnych lat, naglących z całą serdecznością, aby ich przecież odwiedził w stronach rodzinnych.

Wyjechał tedy z Rzymu na te odwiedziny nieszczęsne.

Było to na wiosnę w r. 1768, gdy Winkelman wybrał się z Rzymu w towarzystwie rzeźbiarza Cavaceppi (Bartolomeo), co mu był przyjacielem i chował dla niego wdzięczność prawdziwą, za udzielone mu rady i nauki tak zbawiennie działające na jego pojmowanie sztuki. Droga prowadziła przez Tyrol. Oddech Alp majestatycznych, tchy wiosenne, ubierające naturę w ślubne szaty pełne wdzięku, owiały go w około. Przecież te cudowne uroki przyrody nie zdoła-



ły utulić w piersiach jego żalobnej tęsknoty; jakieś złowrogie wróżby wewnętrzne, jakieś brzemie ciężkie przycisnęło mu serce kamieniem. A ile razy obaczył budowanie gotyckie o stromych ostrych liniach, serce płakało mu żałością, wyrывая się za formami klasycznymi starożytnego świata, a które już był daleko za sobą na południu zostawił. I coraz żałośniej i coraz smutniej zachodziło mu serce niepokojem. Daremnie rozweselał go towarzysz podróży Cavaceppi, bo Winkelmana dusza zwracała się do Włoch, do Rzymu, jakby do ojczyzny swojej, ukochanej od dziecięcych lat, boć tam unosiły się wszystkie miłości i tchy duszy jego. Widok Augsburga, Monachium nie rozwiął ciemnego obłoku, co ciążył na uczuciach jego. W Ratyzbonie oświadczył swojemu towarzyszkowi i przyjacielowi, że już nie zdolen puścić się dalej do Drezna ani do Berlina, że wróci sam wprost do Włoch, do swojego ukochanego Latium i do Wielkiej Grecyi. Zaledwie Cavaceppi namówił go, że skierował drogę przez Wiedeń. Tu przybywszy osłabił w sobie, jakby trapiiony niepokonanem przeczcuciem nieszczęścia; a gdy zewsząd nacierano na niego namową, aby w Niemczech pozostał, wtedy, walcząc między tęsknotą do Włoch a miłością rodzinnego kraju, został rzucony gorączką na łożę, i w ciężkiej niemocy odchorował niepokoję swoje. Gdy wrócił do sił, minister Kaunitz otoczył go życzliwością szczerą i obdarzył bogatemi upominkami; niezadługo miał też Winkelman pochlebne posłuchanie u cesarzowej Maryi Teresy i również od niej został zaszczycony darami w oznakę poważania.

Obejrawszy wszystkie zbiory sztuki i galerye obrazów w Wiedniu, ruszył Winkelman d. 28 Maja 1768 r. z Wiednia do Tryestu; ale tym razem sam jeden bez towarzysza.

Tegoż samego dnia, nawet tój samej godziny, gdy Winkelman wyjeżdżał z bram Wiednia, śpiesząc ku Tryestowi, przybywa do tegoż miasta człowiek nikomu nieznanym, udaje się do Locanda Grande i tam zajmuje na drugiem piętrze małą izdebkę pod Nr. 9. Nikt z ludzi, należących do oberży, nie spostrzegł u niego ani tłómczka, ani żadnego innego pakunku z rzeczami.

Dnia 1 Czerwca, było to we środę o godzinie 11-ej przedpołudniowej, zajeżdża poczta wiedeńska do Tryestu; z niej wysiada podróżny, udaje się do Locanda Grande i zajmuje w niej pokój pod Nr. 10. Pokój ten ma dwa okna, wychodzące na port wewnętrzny, a jedno okno zwrócone na dziedziniec oberży. Nr. 10 graniczy z numerem 9; drzwi obu tych mieszkań tylko o siedm kroków oddalone od siebie.

Podróżnym z Nr. 10 jest Jan Winkelman; sąsiadem jego w N. 9 jest Franciszek Arcangeli — jego morderca.

Godzina południowa. — Wszyscy podróżni, mieszkający w oberży, zbierają się w sali restauracyjnej i zasiadają do obiadu około wspólnego okrągłego stołu. Zasiada i Winkelman: tuż przy boku jego Arcangeli.

W czasie obiadu Winkelman pyta gospodarza, czyli nie wie o jakim statku, co by bez zwłoki miał odpłynąć do Wenecyi? Gospodarz odpowiada, że nie ma żadnej wiadomości w tym względzie. W tej chwili, przerywając rozmowę, odzywa się Arcangeli z zapewnieniem, iż zna okrętowego kapitana, który właśnie zamysła przeprowić się do Wenecyi. Winkelman prosi nieznanego towarzysza, aby mu zechciał wskazać ten statek. Arcangeli oświadcza się z chętną gotowością, dodając, że po obiedzie nawet z okna sali będzie mógł widzieć rzeczony okręt, gdyż ten stanął na kotwicy tuż przed oberżą. Winkelman przypatrzył się teraz bliżej swojemu sąsiadowi. Był to człowiek, mający około lat 40, wzrostu średniego, twarzy brunatnej nieco dziobatej; oczy jego były siwe, brwi i włosy czarne, czoło niskie. Suknie jego przyzwoite, lubo wytarte i zużyte.

Po obiedzie, Arcangeli i Winkelman wybrali się wspólnie do owego kapitana; ten atoli im oświadcza, że ruszyć nie może, bo jeszcze czeka na uzupełnienie ładunku. Lecz słyszą zarazem o innym okręcie, który ma jeszcze tego tygodnia wypłynąć wprost do Ankony; gdy jednak przypadkiem jego kapitan nie był obecny, więc Winkelman i Arcangeli umyślili później się z nim obaczyć, a tymczasem wracają razem do Lokandy. Winkelman udaje się do swojego pokoju, by sobie nieco odpocząć. O godzinie piątej znów się oba schodzą, i stojąc przy oknie rozprawiają o podróży Winkelmana; ten dziękuje Arcangelemu za uprzejme przysługi, które mu wyświadczył. Wieczorem poszli wspólnie do kawiarni na kawę, a wrócili razem do domu. Już było ciemno. Winkelman wstąpił do izby Arcangelego, — tam też przyniesiono świece i dla obudwóch wieczerzę; ale Winkelman, wedle zwyczaju swojego, przestał na chlebie i winie (\*).

Tak tedy zeszedł dzień pierwszy pobytu Winkelmana w Tryescie i znajomości jego ze zabójcą swoim.

Gdy na nieszczęście pogoda niepomyślna trzymała statki w por-

(\*) Sądzę, że rozpisując się nieco obszerniej nad szczegółami, odnoszącemi się do ostatnich ośmiu dni życia Winkelmana, więc do pobytu jego w Tryescie, przysłużyć się może czytelnikowi już to dla samej wagi wielkiego tego meża, już to dla tego, że bardzo często ten ostatni tydzień żywota jego jest i niedostatecznie i błędnie przedstawiony, nawet przez biografów niemieckich. Opierałem się zaś, co do tych szczegółów, na obszerniej a wielce zasłużonej pracy szanownego Rosetti: *L'ultima settimana della vita di Giovanni Winkelman*; pismo to tém wyższej jest wartości, iż czerpane było głównie ze źródeł urzędowych, a mianowicie z aktów kryminalnego procesu. Nasz zacny i tak świetnych zasług Stan. Potocki w dziele swoim: *O sztuce u dawnych czyli Winkelman Polski*, Warsz. 1815, wspominając o życiu Winkelmana, dotknął tylko kilku wyrazami zgonu jego (T. I, str. 104), nie mógł atoli uniknąć w tej mierze pomyłek, rozsypanych za czasów jego o poznaniu się Winkelmana z Arcangelim.

Wszak to był Rosetti, który pierwszy poruszył umysł w Tryescie do wystawienia grobowego pomnika, choć ten jego zamysł poczęty w r. 1808 nie przyszedł zrazu do skutku.



cie, więcz dniana dzień odraczał się odjazd Winkelmana. Coraz też poufałej a poufałej zbliżał się do niego Arcangeli. Widywano ich obudwóch prawie ciągle razem; razem jadali obiad, razem odprawiali przechadzki, razem też wstępowali na kawę, którą z kolei płacili; coraz też zabójca ściślej a ściślej matnil w sidła ofiarę swoją.

Nie przypisujemy atoli Winkelmanowi jakiegś nieoględności we wdawaniu się niby z człowiekiem pierwszym lepszym, jaki mu się nawinął; bo otrzymawszy od Arcangelego dowody usłżności, w każdym razie tak milęj, trudno mu było szorstkiem obchodzeniem się odczepić go od siebie, zwłaszcza, gdy samo sąsiedztwo izb utrudniało już usunięcie się od nieznanego; przytęm Arcangeli zdawał mu się być rządneho, skromnego usposobienia. Zważmy także, iż gdy Winkelman zamysłał jedynie w przelocie dotknąć Tryestu, gdy tedy co godzina mógł się spodziewać znalezienia statku, któryby go przeprawił do Wenecyi, więc też mógł uważać stosunek swój z Arcangelim za chwilowy, przelotny, który lada kiedy się przerwie, a tęm samęm muięj miał wstrętu do wdawania się bliższego z człowiekiem nieznanym bliżęj. Dodajmy do tego, że dla spodziewanego krótkiego pobytu w Tryescie żył zupełnie samotnym, nie szukał sobie znajomości w domach tamtejszych i pragnął być niepoznany w tęm mieście. Prawda i to, że zacne i szlachetne z natury serce jego nie przeczuwało też łatwo w drugim zdrady, jak to widzieliśmy w stosunkach jego z Mengsem. Mimo to, jest rzeczą pewną, że przestając z Arcangelim miał się na bacznosci, zachowując zwykłą oględność, którą się przestrzega w stosunkach do ludzi nieznanych i w obcym kraju. Tak np. nie pokazywał nigdy większych zapasów pieniędzy, mając zawsze przy sobie tylko nieco drobnej monety na opatrzenie małych potrzeb biejących. Zdaje się, że raz tylko odstąpił od zwyczajnej ostrożności swojej. Rzecz tak się miała. Naowczas nieznano jeszcze dzisiejszych przepisów policyjnych; więc ani Arcangeli, ani sam nawet oberżysta nie wiedział ani o stanie, ani o nazwisku Winkelmana; nazywano go włoskim zwyczajem po imieniu. Przecież samemu Arcangelemu wiele zależało na wywiedzeniu się o bliższych okolicznosciach, dotyczących jego towarzysza, aby tęm łatwiej mógł go opłatać zdradą swoją. Wziął się tedy na podstęp, by dopiąć tego celu swojego. Było to właśnie czwartego dnia miesiąca i bytnosci Winkelmana w Tryescie, gdy w czasie przechadzki wśród potocznej a poufałej rozmowy, Arcangeli, czyniąc niby zwierzenia nieszczęśliwemu, powiedział mu, jakoby oberżysta miał jakieś wątpienia i niepewności co do osoby i stanu Winkelmana. Ten się usmiechnął i rzekł, że gospodarz może być zupełnie spokojnym, że bynajmniej nie jest człowiekiem niebezpiecznym; a gdy wrócili do domu, pokazał Arcangelemu pasport swój i listy polecające go różnym włoskim domom kupieckim. Wte-

dy chytromówny łotr, stawiając dalsze zasadzki, miota obelgi na gospodarza, niby oburzony jego ciekawością. Ujęty tym podstępem obłudnym, Winkelman dodaje, że jest nawet osobiście znany ministrowi Kaunitzowi i samej cesarzowej Maryi Teressie; że od obojga otrzymał w upominku kosztowne srebrne i złote medaliony. — Wiadomość o kosztownych medalach utwierdziła niezłomnie plan demoniczny w sercu zloczyncy, poczęty już od pierwszej chwili zbliżenia się jego do Winkelmana.

Nie przeczuwał zacny ten człowiek potęgi złego, która robiła w duszy jego towarzysza, ani odgadywał, kim to jest ten towarzysz, i że mu właśnie zgubę gotuje w tych chwilach krótkich, w których się od niego oddalał.

Ten Arcangeli był urodzony w Campiglio; będąc jeszcze 16-letnim chłopcem, uciekł z domu ojca swojego, ubogiego wieśniaka; udał się do Florencyi, tam służył za kucharza w domu księżęcym; po dwóch latach został kucharzem u hr. Bordi, później dostaje się do Wiednia i służy w domu hr. Cattaldi — wrychle okrada pana swojego z pieniędzy — ucieka do Prezburga, tam przebiera się w strój węgierski, wraca przelotem przez Wiedeń, udaje się ku Włochom. Lecz w Lublanie schwytyany przez władzę, ogłcony z pieniędzy ukradzionych, zaprowadzony został napowrót do Wiednia, gdzie był skazany na cztery lata kajdan i pracę publiczną. Tymczasem, właśnie w trzy lata po tym wyroku, z powodu zaślubin arcyksięcia Leopolda, wielu więźniów miało skrócony sobie czas kary, między nimi znajdował się na nieszczęście i Arcangeli. Był to znów ów fatalizm złowrogi, który szedł trop w trop za Winkelmanem w ostatnich czasach jego żywota. Bo gdyby Arcangeli — powiada jego biograf — nie był wypuszczony na wolność, już zamiast spotkania się w Tryeście z Winkelmanem, byłby jeszcze w więzieniu dosiadywał wyroku swojego, a ten wielki człowiek nie byłby padł z jego ręki. Arcangeli uwolniony włóczy się po Wenecyi, z tamtąd wraca do Tryestu, szukając jakiego umieszczenia dla siebie; gdy go nadzieje zawiodły, wraca do Wenecyi. Po niejakiem czasie znowu udaje się do Tryestu, a było to jak wiemy, w kilka dni przed przybyciem Winkelmana do tego miasta.

Ze wszystkich okoliczności wykazuje się jawnie, że Arcangeli miał zamiar popełnienia jakiej zbrodni w Tryeście; bo miejsce było do tego wielce sposobnym, zwłaszcza dla napływu cudzoziemców i znakomitego ruchu handlowego. Z tego to właśnie powodu stanął w najcełniejszej oberży miasta, dla tego właśnie weneckim przyjaciółom kazał pisywać do siebie na ręce niejakiemu O. Bosizio, dla tego uczerpił się Winkelmana, z którym o ścianę sąsiadował.

Gdy dla Winkelmana był pełen niby dobrodusznych chęci, serce jego zepsute legło zdradę ohydłą. Aby mógł pokazać w oczach Winkelmana, że mu nie brak pieniędzy, zastawia za kilka reńskich złotą obrączkę i czyni wszelkie przygotowania do mordu. Niedługo



potem tak nieznacznie pokierował rozmowę z Winkelmanem, że się od niego dowiedział o znakomitej wartości pieniężnej owych medalionów; chciwość rozpalila się chucią gwałtowną. Zatem party złym duchem, dnia 7 Czerwca wieczorem poszedł cichaczem do sklepu i kupił nóż na pięćz długi, z pochwą. Mając ten nóż w kieszeni udaje się wedle zwyczaju razem z Winkelmanem do kawiarni na wieczórę i pijąc z nim kawę, z przyjacielska i poufnie gawędzi o jego podróży do Wenecyi. Zdaje się, iż wtedy długa zwłoka już była do tego stopnia zniecierpliwiła Winkelmana, że tego wieczora oświadczył, iż woli swą drogę odprawić ładem, niż czekać dłużej na wiatr pomyślny. Te wyrazy przestrzegły zdrajcę, że mu się potrzeba albo pośpieszyć z zamysłem, albo go zupełnie zaniechać. Więc znowu opuszcza na chwilę Winkelmana, wstępuje do innego sklepu i kupuje sobie postronek, i znów wraca do kawiarni na gawędę z towarzyszem swoim. Gdy się zmierzchało, pożegnał się z nieszczęśliwym i udał się pokryjomu do domu. Tu skręca stryczek i, czyniwszy kluczkę, kładzie go razem z nożem na stolku i przykrywa sukniemi, by miał wszystko na podporządku w każdej chwili.

Winkelman wraca później niż zwykle; wstępuje atoli jeszcze do swojego przyjaciela. — Wieczera. — Już zbrodniarz miał dokonać zamysłu, ale nikczemną duszę ogarnęły strachy — nawzajem podają sobie rękę na dobranoc — Winkelman udaje się do swojej izby na noc ostatnią.

Zaświtał nakoniec 8-my Czerwca: była to środa, dzień tak straszny, straszny zwłaszcza, jak się wyraża Rosseti, dla przyjaciół umiejętności i sztuki.

Arcangeli, wbrew zwyczajowi swojemu, zrana nie wita się ze sąsiadem swoim; ale idzie na samotną przechadzkę, zapewne by nabyć odwagi do okropnej zbrodni. Tymczasem Winkelman, nie znalazłszy towarzysza w jego izbie, poszedł do kawiarni; tam mu powiadają, że Arcangeli właśnie co wyszedł. Winkelman oddała się, mówiąc, że ma nadzieję spotkania się z nim i że pójdzie naprzeciwko niemu. Gdy się to dzieje, zoczyńca upatruje u brzegu łódz, którąby mógł zamówić dla ucieczki do Monfalcone; przecież nie mógł dobić targu.

Potem wraca do domu, a mając morderstwo w sercu, stroi żarty ze służącą oberży, zajętą sprzątaniem izby. Następnie, a było to około 9 godziny przed południową, wszedł do pokoju Winkelmana. Ten właśnie usiadł był przy stoliku, umieszczonym między oknami, wychodzącemi na port; złożył był suknie zwierzchnie, krawat i perukę, i zajął się pisaniem, jak się zdaje, dodatków do nowego wydania „Historji Sztuki”. Obaczywszy gościa swojego, wstaje i, idąc naprzeciw niemu, wita go serdecznie i oznajmia, że dziś jeszcze, dziś wieczorem wyjeżdża, a z uniesieniem radośnem prawi mu o powrocie swoim do Rzymu. Zaprasza go, aby go odwiedził w tej stolicy świata, prawi jak tam cudnie, jak tam pięknie w pałacu kardynała Al-

bani; obiecuje, że mu wszystko pokaże i że jego przyjaciel obaczy, w jakim on poszanowaniu u ludzi, i jak mu dobrze w tym ukochanym Rzymie. Podczas téj rozmowy służąca, będąca w izbie, ściele łożko i zamiata izbę; ona, choć słowa nie rozumiała po włosku, widziała atoli, że rozmowa toczyła się trybem przyjacielskim i spokojnym. Gdy skończyła robotę swoją, wyszła, zostawując obudwóch gawędzących poufale z sobą i chodzących razem po pokoju. Niezadługo weszła druga służąca, aby zabrać lichtarz, który został w pokoju; widziała ich jeszcze z sobą rozmawiających wesoło i uprzejmie.

W rychle Arcangeli opuszcza Winkelmana, śpieszy do swojej izby, bierze nóż, wyjmuje go z pochwy, i razem z postronkiem ukrywszy go w kieszeni, wraca do Winkelmana pod pozorem, jakoby zapomniał chustki do nosa. Przy téj sposobności pyta, jakby z przypadku, czyliby Winkelman nie pokazał medalionów w czasie obiadu wspólnego w sali jadalnej. „Nie chcę się chlepić przed wszystkimi“, odrzekł Winkelman. Wtedy znowu tamten pyta, dla czego nie chce wyjawić, kim rzeczywiście jest? — Na to odrzekł Winkelman: „nie życzę sobie być znanym“. — A gdy, jak się zdaje, natręctwo mu się nie podobało, zasiadł nanowo do stolika. Wtedy Arcangeli, skoczywszy niby wąż, zarzuca mu z tyłu postronek i ściska, ale Winkelman, zerwawszy się nagle, odpowiada napastnikowi gwałtownem uderzeniem. Morderca dobywa noża i naciera na Winkelmana; ten chwytając jedną ręką śmiało za ostrze, a drugą za gardło zabójcę. Szamocąc się z sobą i szarpiąc, zbliżają się do drzwi niemal na dwa kroki. Nie ma prawie wątpliwości, że Winkelman, będąc czerstwym i silnym, byłby przemógł Arcangelego; ale wśród pasowania się oba powalili się na ziemię, a tak nieszczęśliwie, że Winkelman legł na spodzie; — wtedy Arcangeli, mając już wolną rękę, zadaje mu pięć głębokich ran nożem.

Mimo dwóch okien izby, otwartych na ulicę, nikt z przechodzących nie słyszał hałasu ani krzyku — zdaje się, że wrzawa, panująca przy porcie, zatłumiła wołanie Winkelmana, a to tém bardziej, że postronek przydusił głos jego. Atoli posługacz oberży Harthaber, zatrudniony na pierwszym piętrze w sali jadalnej, znajdując się właśnie pod pokojem Winkelmana, usłyszał loskot sprawiony przez wywrócenie obu pasujących się. Przystępuje do okna i słucha — wypada ze sali — i, wybiegłszy po schodach na drugie piętro, słyszy jęk i zdławiony krzyk. Nagle otwiera drzwi i widzi mordercę, jak z twarzą zwróconą ku drzwiom, ciężarem ciała swojego przyległ nieszczęśliwego, trzymając obie ręce na piersiach jego. Arcangeli, spostrzegłszy sługę, skoczył a szybkością błyskawicy rzuca się przez drzwi, i bez kapelusza, bez surduta, z skrwawioną kamizelką ucieka po schodach.

Harthaber chce podnieść Winkelmana, lecz ten o własnych siłach powstał z ziemi i oshupiałemu słudze pokazując piersi, rzecze: „patrz, co mi uczynił“. Harthaber, który, jak wszysecy ludzie w ober-



ży, przywykł uważać Winkelmana za przyjaciela domu, tak był uderzony strachem i żalem, że nie mógł zrazu przyjść do siebie; prosi jednak zranionego, aby chciał poczekać w izbie, póki mu nie sprowadzi chirurga. I wybiegł.

Winkelman atoli, pragnąc śpiesznego ratunku, powłokł się z nim na pierwsze piętro; chwiejąc się dochodzi do mieszkania gospodarza. Drzwi jednak były zamknięte! Wrychle jedna ze służb oberży, nie spostrzegając go, przebiega korytarzem do kuchni, ale w drodze słyszy wołanie przydławione: „Jezus! Jezus!“ I znów: „Teresso! Teresso!“ Wtedy dopiero go spostrzega sinego i na twarzy oblanego krwią; lecz traci przytomność i bieży do kuchni z krzykiem oznajmując, że Winkelmanowi puściła się ustami krew. I znów nieszczęśliwy przez długie chwile został sam jeden; lewą ręką trzymał się poręczy schodów a prawą przyciskał do ran na piersiach, z których płynęła krew strumieniem. Co chwila ktoś przybywa, lecz przestrasz tak powszechny, że nikt nie zdolen przyjść w pomoc biednemu: jeden rozumie, że jest samobójcą, drugi śpieszy po księdza, inny znów mdleje, widząc tyle krwi. Nakoniec przypadkowo przechodzi krawiec, mieszkający w oberży, i ten dopiero zdejmuje duszący krwawy postronek z szyi Winkelmana.

Winkelman zaprowadzony do swojej izby. Chirurgowie na za pytanie jego odpowiadają, że rany są śmiertelne. Umierający, zebrawszy ostatki sił, w krótkich wyrazach opowiada cały akt morderstwa: a czując się blizkim śmierci, przebacza zbrodniarzowi „z całego serca“ i oświadcza, „że podałyby mu rękę na znak odpuszczenia winy“. Poczem każe skreślić ostatnią wolę, w której, krom mniejszych zapisów, uczynił kardynała Albani, swojego przyjaciela i dobrodzieja, dziedzicem całego majątku swojego. Opatrzony śś. Sakramentami umiera w siedm godzin po dokonanej na nim zbrodni.

Zaledwie skołał Winkelman, a wiatr, tak długo przeciwny przepławie morskiej, nagle się odwrócił i mnóstwo statków wypłynęło do Wenecyi.

Tymczasem Arcangeli, jakeśmy rzekli, bez kapelusza, bez zwierzchniej sukni, skrwawiony, nie zabrawszy nawet nędznych manatkow swoich, wypadł z oberży, i dziwnym trafem, właśnie w tej porze dzienniej, w której ulice są najludniejsze, zdołał się wysunąć z miasta. Po wielu strachach i kłopotach, dostawszy zkądcis sukni, dobiegł gościńca, wiodącego do Lublany. Lecz po kilku dniach przytrzymany był przez żołnierzy jako człek podejrzany, odprowadzony do Adelsbergu, gdzie zaraz po pierwszym śledztwie wyznaje zbrodnię swoją. Wsadzony na wózek, dostawiony był do Tryestu. Zaledwie wieść po mieście gruchła, że wiozą schwytanego mordercę, w chwili cizba tłumna ludu otacza wóz, okrzykami radości dając znać zadowolenie swoje, że prawo zgwałcone pomszczonem będzie. Zapadł wyrok. — Dnia 26 lipca, było to także we środę, na placu przed Locanda Grande Arcangeli skończył życie na kole.

Winkelmana zwłoki były pochowane bez uroczystego pogrzebu; bo on z nikim w mieście nie zabrał był znajomości — a choć dowiedziano się z pasportu o nazwisku jego, nikt w kupieckim Tryeście nie przeczuwał ogromnego znaczenia człowieka, którego chwala już się rozeszła po wszystkich krajach Europy. Pogrzebany był na cmentarzu bez krzyża, bez napisu; a gdy po szeregu lat zabrakło miejsca dla świeżych zwłok, wtedy wykopano wielki dół i w niego bez braku wrzucono kości ze wszystkich starych grobów, więc i kości Winkelmana. Zginęły przeto bez śladu znikome szczątki tego tak ogromnych zasług człowieka, a było to wówczas, gdy już z dzieł jego, przetłómaczonych na różne języki, świat uczył się poznawać arcydzieła sztuki; a było to wówczas, gdy każdy strzępek papieru, opisany jego ręką, przechowywano w pałacu Albani, jako drogi skarb. Tam zostały te pisma jego, póki ich Francuzi, ceniąc je wyżej złota, nie zabrali, bogacąc nimi bibliotekę cesarską w Paryżu.

Dopiero w najnowszych czasach wznosił się pomnik grobowy na cmentarzu katedry Tryestu. Roślinność potężna, owiana tchem południowej natury, szepece cieniom jego cześć, a fale morskie przygrywają tej eichłej mowie drzew i kwiatów.

Piękne są słowa pociechy i utulenia żalu, które wyrzekł Gothe, mówiąc o skonie Winkelmana: „On zniknął ze świata“ powiada Gothe „w chwili, gdy już stanął na wysokości szczęścia, jakiego tylko mógł zapragnąć. Do niego tęsknił kraj ojczysty, ku niemu zwracały się objęcia przyjaciół, oczekiwały go wszystkie oznaki miłości, której tak gorąco pragnęło serce jego; dla niego zgotowano wszystkie dowody, świadczące o uszanowaniu publiczném, które on sobie tak wysoko ważył. Zaiste on był szczęśliwym, bo z najwyższego szczebla doczesnego żywota uniósł się między duchy wiekuiste; bo krótkotrwały przestraszył, bo przemijające cierpienia uprowadziły go z doczesności koła. On nie zaznał, czém jest ułomność późnego wieku, ani uczuł, czém ubytek sił duchowych — a nawet owo rozproszenie kosztownych skarbów sztuki w Rzymie już nie odbyło się przed oczyma jego. On żył jako mąż, on pożegnał świat jako mąż w potędze całej swojej sily. Tak tedy wszystkie szczęście stało się udziałem jego, że się pojawia potomności w swojej pełnej a czerstwej mocy: — bo w jakiej postaci człowiek opuszcza ziemię, w takiej też chodzi wśród cieniów; wszak Achilles będzie dla nas na zawsze młodzieńcem, gorejącym chęcią najwyższej chwały. I dla nas płynie korzyść z wczesnego zgonu Winkelmana. Bo od grobu jego technie na nas powiew świeżej jego sily, co podnieca w duchu naszym pragnienie, byśmy to, co on począł, rozwinęli dalszém pasmem, z miłością a chęcią czerstwą, a nigdy uleżnąką.“

Zacne to są słowa Gothego. Lecz lubo prawda, że od czasów Winkelmana ze szczęściem i talentem następcy jego budowali umiejętność na węglach, założonych przez tego wielkiego człowieka, i lubo prawda, że wiedza o dziejach sztuki znakomicie się dziś już



rozwinęła, toć podobno mało kto zbliżył się geniuszem do onego prawie jasnowidzenia przeszłości, co tak promiennie świeciło w duszy Winkelmana. Chętnie oddając hołdy i nowoczesnej zasłudze, możnaby przecież powiedzieć, że w jakim się mamy stosunku my, powszednie i powierzchowne amatory sztuki, do ludzi, którzy dziś z powołania i talentu poświęcają się badaniu dziejów sztuk pięknych — w takim samym stosunku zostają znów ciż sami ludzie (z małym wyjątkiem) do wielkiego swojego przodka a mistrza — Winkelmana.

A jeżeli pełne prawdy są wyrazy Göthe'go, gdy mówi, że jest naszym prawem a powinnością, aby od czasu do czasu obchodzić uczciwem wspomnieniem pamięć tych mężów, co duchem stali się fundatorami niewyczerpanych nigdy zasobów umysłowych; więc i czytelnik mój zrozumie, że i ja tem biednym mojem wspomnieniem o Winkelmanie rad byłem oddać pokłon geniuszowi jego i odprawić, wedle możności mojej, niby uroczyste choć tak skromne egzekwie na cześć pamięci jego.

Wszak Winkelman tak urosł w olbrzyma, że się stał chwałą wszystkich ludów, wszystkich krajów, a gwiazdą przyswiecającą całemu naukowemu światu. A nam tem milej oddać cześć i uwielbienie podobnym mu ludziom, że i Polsce nie braknie takich mężów, których geniusz stał się dziedzictwem całego rodu ludzkiego, którym wszystkie narody uplotły wieniec z niezgasłych nigdy promieni.

Trudnoby mi atoli przyszło ukończyć ten ustęp mój o Winkelmanie, nie wspomniawszy także z wdzięczną uczciwością o mężu, co pierwszy piórem polskiem oddał hołdy swoje zasługom tego człowieka; co szerząc chwałę i naukę jego wśród ziomeków swoich, sam tak znacznie pomnożył chwałę własną na ziemi rodzinnej — a tym mężem jest Stanisław hr. Potocki.

Jeszcze w r. 1803, a zatem przed półstuleciem Stanisław Potocki, potrącony pismami Winkelmana, oświadczył Towarzystwu Przyjaciół Nauk, że ma zamysł skreślenia dzieła o sztuce, przystępnego dla większego koła czytelników. We dwanaście lat później, bo w r. 1815, dojawilo się to dzieło w trzech tomach pod tytułem: „O Sztuce u Dawnych, czyli Winkelman Polski“. — Tę pracę swoją zacny autor poświęcił małżonce swojej w oznakę „wdzięczności, przyjaźni i szacunku“ (\*).

(\*) Lubo „Winkelman Polski“ St. Potockiego należy do dzieł ważnych w literaturze, przecież jest w ogóle niezmiernie mało znany publiczności czytającej; to zjawisko dziwne można w części wytłómaczyć zbyt szczupłą ilością odbitych egzemplarzy, co znów stało się osobliwym trafem.

Rzecz, przynajmniej jak slyszalem, tak się miała. Wiadomo, że „Winkelman Polski“ wyszedł z drukarni księży Pijarów. Hr. Potocki, sprzyjając całem sercem temu zacnemu zgromadzeniu, mającemu tyle zasług w kraju, darował mu rękopism tego dzieła. Gdy atoli chciano przystąpić do druku, rzecz znalazła opór w braci-szku Siekierce. Był to starszek przeszło 80-letni, siwy jak gołąbek; więc zwały

Lubo tój książce Potocki nie nadał znaczenia, jakie sobie pierwotnie zamierzył, przecież ona jest głośnym świadectwem o szanownej dążności i świetnych talentach autora. Potocki wprost oświadcza, że w dziele swoim „idzie w ślady Winkelmana, mimo odmian, skróceń i dodatków, które uważał za potrzebne“; a tak, obok samodzielności w zdaniach, umiał szanować geniusz swojego wielkiego wzorodawcy.

Prawda, że dzisiejszy świat naukowy może się nie zgodzi w zupełności na zapatrywanie się Potockiego; prawda, żeby już z nim nie podzielał wszelkich jego pojęć estetycznych; ten postępek jednak nie jest naszą osobistą zasługą, lecz raczej wpływem onych pięciu dziesiątków lat, które świat nie mógł przecież w nieczynności strawić, zostawując ugorem pole ludzkiej wiedzy. A cześć dla Potockiego tém silniej wzmaga się w sercu naszym, gdy zważymy w nim tę rzadką potęgę ducha, która, na przemiany, to go czyniła jakby uczonym z powołania, łamiącym się w zacisku pracowni swojej, to go wyprowadzała na jaw jako męża stanu w życie rzeczywiste i publiczne. Gdy Potocki z jednej strony kreśli wymownym językiem cały szereg znakomitych i wielkich dzieł, w tym samym czasie jest czynnym jako prezes rady stanu i ministrów, jako komendant kadetów, i zbiera sobie najpiękniejsze korony obywatelskie, przewodnicząc komissji edukacyjnej. Wszakto jemu kraj zawdzięcza wpro-

wiele w zgromadzeniu, — był też powszechnie szanowany już to dla wieku, już to dla pocziwości swojej, a z resztą jako spuścizna ze starodawnych czasów. Miał on pod swoją opieką magazyn papierów i książek, wydawanych przez księży Pijarów, i pilnował też tego urzędu z wielką sumiennością i najtroskliwszym staraniem. Temu obowiązкови całém sercem się oddawał Siekierka, bo on już nic miał innej rozkoszy na świecie, jak ten skład papierów i książek, a w wolnych chwilach jak gawędy i rozmowy z dawnym przyjacielem swoim, majstrem szewckim, Janem Kilińskim, z którym się od starych lat serdecznie pokochał. Otóż, mimo cnót swoich, braciszek miał i swoje uporne przesady i uprzedzenia; a okazały się one wielce jawnie wtedy, gdy przyszło drukować *Winkelmana Potockiego*, bo braciszek Siekierka na żaden sposób nie chciał wydać ze składu papieru, wołając: że szkoda papieru, bo tę książkę pisał „wielki pan“, więc pewnie nie wiele warta! — Daremnie nalegali Pijarowie, którym trudno było użyć przewagi nad starcem, stojącym już nad grobem, a który pod wielu innemi względami był tak szanowny i czcigodny. Nakoniec po prośbach i przedstawieniach samego ks. Bielskiego, zacnego prefekta zgromadzenia, niły udobruchał się Siekierka i przyrzekł, że wyda potrzebny papier; ale znać, że to mówił, by się zbýć natarczywych namów i prośb. Drukowała się tedy książka St. Potockiego. Ale zapóźnie spozbrzegli ci zacni księża, że odbitych było tylko 200 egzemplarzy, a z tych jeszcze wypadło odtrącić 20 wyłoczonych dla autora na lepszym papierze.

Może braciszek Siekierka, co był przecież sam bratem od serca szewca Jana K., mniejby miał wstrętu do tój książki i do jej autora, gdyby mu ktoś przed wydrukowaniem książki był szepnął: że ten „wielki pan“ napisaniem tych trzech obszernych tomów właśnie chciał uczcić szewckiego syna — bo Winkelmana.

Lecz tak to bywa na świecie; często uprzedzenia wzajemne czynią ludzi wrogami, a ci sami ludzie, gdyby się bliżej nawzajem w sobie rozpatrzyli i porozumieli, jużby się pogodzili i ukochali!



wadzenie w życie najcelniejszych zakładów naukowego wychowania; więc to ręka Potockiego rozsiała po ziemi rodzinnej światło, jakby ziarno nauki i zacności. A jednak ten „książę mówców“, jak go nazywano, wśród trudów publicznych zdobywał na życiu jeszcze dość chwil wolnych do podkrzepienia umysłu tęp, co piękne i wdzięczne, a idąc torem Winkelmana rozkoszował w dziwach sztuki.

Tak tedy, obok jasnych postaci Staszycy, Czackiego, Lindego, Kopczyńskiego, Ossolińskiego, obu Śniadeckich i innych znakomych ludzi, stanęła też postać Potockiego w panteonie tych imion świetnych, które będą na zawsze tak wysokim zaszczytem owej epoki, którą zowią czasami Księztwa Warszawskiego.

Niechaj się święci we czci ta galerya pełnych zasług mężów; niechaj będzie zachętą szanownym ludziom, by się ogrzali otuchą a ciepłem serdecznym; a niechaj zarazem okryje rumieńcem sromu czoła tych, co mogąc dokonać znacznych i uczciwych spraw, wolą, jakby bezrozumne istoty, zejść ze świata milczkiem, i przepaść w niestwie — bez zasług i śladu!

### *Wenecya.*

Nasz statek parowy zatrzymał się w pędzie. A jakby powieści czarodziejskie otoczyły nas w koło dziwy Wenecyi. Trudno się zrazu opatrzeć, trudno się upamiętać w tym zupełnie nowym dla nas świecie. Sceny spłowiełe powszedniego życia gdzieś przepadły, jego proza codzienna pierzchła, jak brudne mgły jesienne; natomiast, naksztalt bajeczki arabskiej, wymarzonej snem młodości, zagrała nam swoją muzyką Wenecya — owa dumna a przecież tak urodna pani mórz.

Zaprawdę, to nie zużyte, sztuczne zachwyty, to nie uniesienia ogadane, uświęcone starym zwyczajem; lecz to istny szczery podziw, co każdego uderza, gdy statek, płynąc od Tryestu, nagle zatrzyma się w Wenecyi. Bo obrazy, tutaj się roztaczające, nie powtarzają się już nigdzie więcej na świecie. Wśród starej, tak rozsądkowej Europy, staje nam tu znienacka czarnoksiężstwo wschodniej fantazyi. Nam ludziom z Północy zwykle bezbarwnie i smętnie upływa życie; wrażenia jego malują się na duszy, jak szare wizerunki na szarem tle; tu atoli, w obec tej Wenecyi, zapalają się w duszy światła błyszczące, barwy mieniące, potężne.

Tam, po lewej stronie naszego statku, wyrosły z wody dwa szeregi pałaców marmurowych o nadzwyczajnych a tak wdzięcznych formach; wśród nich stanęła wspaniała kopulasta świątynia Panny

Maryi della Salute; to wjazd do Canal Grande. Kędy spojrzysz, już to pałace, już to kościoły i wieże w stroju zdobnym, niedzielnym przezierają się w łamiącym się zwierciadle morskiej fali, lekkiej, ruchawej. Tutaj zewsząd uroczą poezya ubrała się w architektury dzieła.

Jakkolwiek zewsząd na nas biją zjawiska, tak wdzięczne i świeże — przecież jakoby czynieniem ciągle ku sobie nas porywa mniejszy plac Św. Marka, który *Piazzetta* zowią, a który całym czarem roztwiera się przed oczyma naszymi.

Dość nam swobody i czasu przypatrzenia się temu ognisku dawnej Wenecyi! Bo upłynie pewnie z górą jakie pół godziny, zanim opuścimy statek. Natłok podróżnych nieprzeliczony, a co gorsza, zniewala do stoicznej cierpliwości owo prawdziwie bajeczne mnóstwo tobołków, tłómków, pudełek, kufrów, które w tej chwili wyciągają na sznurach z okrętowego składu, niby ze studni głębokiej; bo choć przy tej robocie dużo pośpiechu, a więcej jeszcze krzyku i wrzasku, toć nie wiedzieć, kiedy się to skończy; jakoż, dna onej studni ani widać, choć manaty, już wydobyte, zalegają górami pokład. Nadto, zapowiedziano wszystkim podróżującym paniom i ichmościom, że pierwszeństwo należy się jakiemuś milordowi, podobno posłowi przy jednym z dworów włoskich; a choć nikt tego matadory naocznie nie widział, gdyż przez cały czas drogi nie wychodził z ukrycia swojej kabiny, toć nikt nie protestuje, bo nikt sobie nie przykrzy, — jest czém się zabawić, jest na co się patrzeć; bo między nami a *Piazzettą* ledwie paręset kroków przestrzeni morskiej, co nas od niej oddziela. Niechajże sobie poczekają cierpliwie gondoly i barki, co stadami około nas się pluskają. Gdy atoli słońce południa nie na żarty dopieka, więc każdy czempredź rozpina sobie namiotek osobny, i w okamgnieniu cały statek pokryty parasolami. Tak i ja uczyniwszy, zdam wierną relacyą z tego, co tu widzimy przed sobą; a pragnąc, ile możności, unaocnić czytelnikowi czarodziejski widok roztaczający się przed statkiem naszym, udzielam mu na fig. 1-szej *wizerunek Piazzety Św. Marka, widzianej ze strony morza*.

Widzimy tedy, jak to *Piazzetta* promieni się niby świetlica przepyszna, której jeden bok, bo strona zwrócona ku nam, więc ku morzu, jest otwarty; roztworzyła się tedy cała długość *Piazzetty* którą w ostatniej dali zamknęła wieża zegaru; nad jej wierzchem płaskim, lecz wielce strojnym, wznosi się dzwon, jakby w powietrzu zawieszony; po bokach dzwonu czernią się dwa olbrzymy szpizowe, co wybijając młotem uciekające godziny, dają znać, że na zawsze już i niepowrotnie przebrzmiała starodawna chwała Wenecyi. Nieco bliżej nas widać po prawej, boczną stronę kościoła Św. Marka, co wznosi w jasne niebo potężne kopuły swoje, a po lewej, naprzeciw niego, wlatuje w górę strzałą jego sławna dzwonnica *Campanile*, (ktorej atoli nie widać na naszym obrazku). A już na przodzie, z prawej i lewej strony, jakby ściany *Piazzetty*, ciągną się na kro-



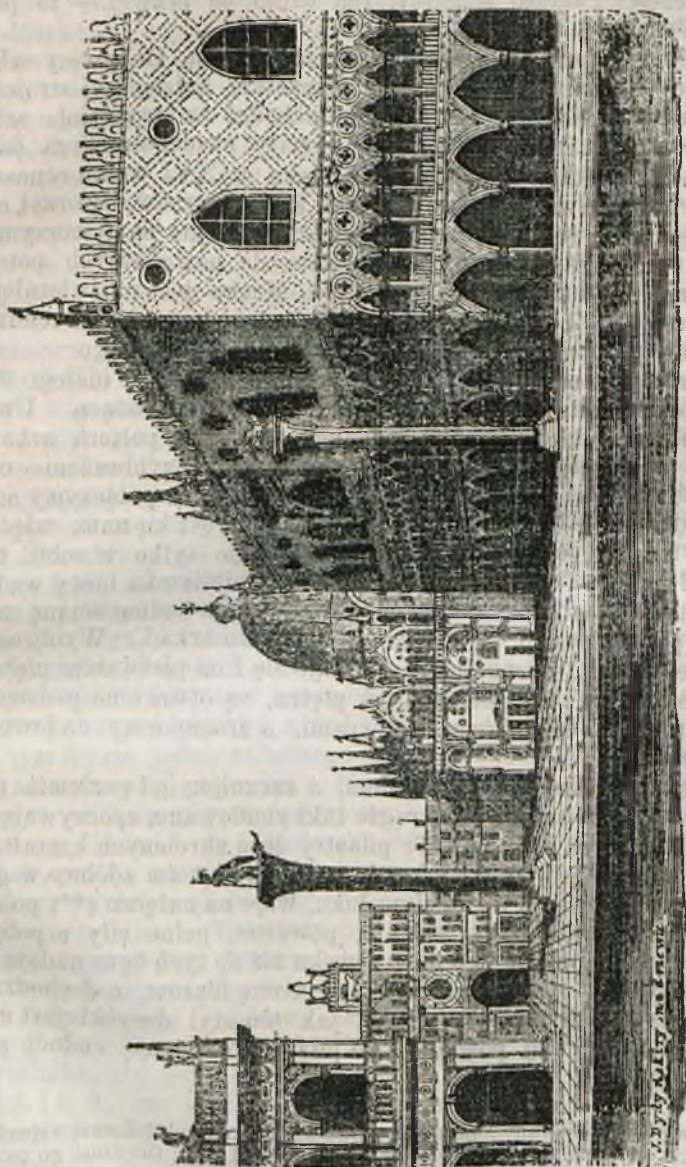


Fig. 1. Piazzetta.

ków ledwie kilkanaście od morza dwa wspaniałe i przepychu pełne pałace. To po lewej Piazzetty — to dawna biblioteka Św. Marka (dziś w części Palazzo Reggio); ten drugi po prawej — to pałac dożów Weneckich.

Chciéjmy najprzód przypatrzeć się pierwszemu. Dobywszy szkieł, doskonale widzieć możemy nawet wszystkie szczegóły i stroje tej przepysznej architektury, co słusznie uchodzi za arcydzieło sztuki XVI wieku (r. 1536) i za pomnik chwały swojego mistrza *Jakóba Sansovino* (\*). Tutaj nam się uczyć, jako w XVI wieku renesans, będący wówczas w swoim najwyższym kwiecie, znów otworzył oczy na sztukę starożytną klassyczną, a mianowicie już na starorzymską architekturę, i zastosował ją genialnie do nowożytnych potrzeb chrześcijańskich ludów. Biblioteka Św. Marka jest najświetniejszą budową swojego rodzaju we Włoszech całych, a zarazem cudnym przykładem późniejszego renesansu, zwłaszcza weneckiego.

Naprzód pamiętajmy, że cała ta architektura jest z białego marmuru, któremu czas i soty odjęły białość jaskrawą, rażącą. Uważmy, iż na naszym wizerunku widzimy zaledwie półtora arkady; wszelako one jakotako wystarczą, aby nam dać wyobrażenie o tej wspaniałej całości, zwłaszcza jeżeli ten wizerunek połączymy sobie z następującym. Jakoż, strona biblioteki wprost ku nam, więc ku morzu zwrócona, jest dość wąską, bo obejmuje tylko w sobie trzy arkady, lecz za to całą wspaniałą długością biblioteka bieży wzdłuż samej Piazzetty. Jakoż ta strona, stanowiąca jedną ścianę tego uroczego placu, pyszni się rzędem 20 przeszło arkad. Wyobraźmy tedy sobie, że taki szereg arkad znajduje się i na pierwszym piętrze, że tedy te arkady, tak poziemia jak piętra, są otwartemi podsieniami, wspaniałemi, szerokimi galeryami, a zrozumiemy cudowność tego budowania.

Lecz przypatrzmy się szczegółom, a zacznijmy od poziemia (rez de chaussée). Tu arkady, w krągłe łuki zbudowane, spoczywają na pilastrach opartych o filary. Te pilastry dość skromnych kształtów, ale za to łuki pełne wdzięku; każdy w środku swoim zdobny w głowę lwią albo ludzką, a na każdym łuku, więc na nałęczu (\*\*), po obu stronach spoczywają figury męskie, poważne, pełne siły a potęgi, wyrabiane płaskorzeźbą. Po mistrzowsku też do tych figur nadają się pilastry doryckie, strojące zewnętrzną stronę filarów, a dochodzące już pod brzus (architrav); bo wiecie, jak ten styl dorycki jest uroczy i pełen męskiej powagi. Te pilastry dźwigają cudnej pię-

(\*) *Jacopo Tatti*, zwany *Sansovino*, głowa szkoły architektonicznej weneckiej w XVI wieku, ur. we Florencji 1477, um. w Wenecji 1570. Odróżnić go należy od nauczyciela jego *Andrzeja Contucci*, zwanego także *Sansovino*, ur. 1460, um. 1529 r. — St.

(\*\*) Nałęcz, po fr. *archivolte*, jest obłęczysty brzeg, wystający na czele sklepionego łuku. Ob. K. Podczaszyńskiego *Nomenklatura architektoniczna*.



kności nadbrusie (fryz) doryckie. Fryz ten, jako dorycki, rozdziela się na triglify i metopy. W tych metopach widać rzeźbione sprzęty wojenne, pancerze, hełmy, tarcze i trąby, i medaliony ze lwem Św. Marka.

Lecz jeżeli to poziemie, jako część dźwigająca, dolna jest dorycka, więc silna i mężka, — to znowu piętro lżejsze jest pełne niesłychanego bogactwa i niewieściego wdzięku; tu bowiem styl joński wystąpił w całym uroku swoim. Nasza fig. 2, przedstawia właśnie *całą wyższą część tego piętra biblioteki, wraz z belkowaniem i zakończeniem od góry całego budynku*. Na tém piętrze arkady o wiele węższe a wysmuklejsze i lżejsze; u dołu zdobi je zgrabna balustrada marmurowa. I tutaj łuki krągłe są podobnie w środku ubrane w głowy lwie i niewieście, a wspierają się na bogatych gzymsach, spoczywających na kolumnach jońskich żłobkowanych. Patrzmy, jak tym kolumnom ślicznie i zgrabnie z temi kapitelami o ślimacznicach misterynych. Jak na dole, tak i na tém piętrze, po obu stronach arkad, więc na archiwoltach, widzimy opierające się na nich figury; ale one już są zastosowane do stylu jońskiego, więc te figury są niewieście, skrzydlate i pełne gracyi. Oprócz onych kolumn jońskich, dźwigających łuki, jeszcze są inne, większe od nich, jońskie kolumny zdobiące zewnętrzną stronę filarów; one głowicami strojnymi dźwigają fryz ubrany już z całą świetnością płaskorzeźby pełnej gracyi. Bo ten fryz, jako joński, już nie jest poprzedzielany, jak dorycki, przez tryglify i metopy, lecz jest jednym nieprzerwanym pasem i dla tego też fryz joński nadaje się tak szczęśliwie do płaskorzeźb wdzięcznych, bogatych. Tak też na naszym fryzie widzimy bogate zwoje kwiatów i owoców i wstążek, a trzymają je w rękach chłopięta, amorety dziwnej lekkości, a nad zwojami — głowy niewieście i lwie. Na tym fryzie pełno radośnego wesela, i tu wszystko jest życiem, grą niewymownej piękności. Nad tym fryzem, tak bogatym i weselnym, widzisz gzyms, ustrojony spornikami, co są znów zdobne w głowy, liście i t. d. Dachu nie widać, bo cały gmach uwieńczony w balustradę; na niej unoszą się posągi bogów, co w olimpijskich urokach swoich mają błękitny nieba za tło swoje; a po rogach widać obeliski strzeliste. Tak tedy w rytmie muzykalnym unosi się ten gmach, pysniejszy jeszcze zestrojem i harmonią swoją, niż bogactwem kosztownych marmurów. Ale bo też stanął on w czasie, gdy odmłodnione ludzkości dzieje straciły średniowiekowy swój wstręt do świata pogańskich klassycznych uroków. Proszę atoli czytelnika, aby naszego wyrażenia się o kolumnach doryckich, jońskich i t. d., nie brał ściśle co do słowa, aby nie rozumiał, że ten gmach naśladuje greckie style; owszem to użycie arkad krągłych i pilastrów, to piętrzenie łuków na sobie dowodzi, że tak Sansovino, jak jemu współcześni artyści, mieli przed oczyma swojej fantazy budowania starorzymskie, a mianowicie piętrzące się amfiteatra starój Romy. Przecież to dzieło jest dalekiem od twardej grozy swych

hardych wzorów; nie jedno tutaj znajdziemy przekroczenie prawideł nawet rzymskiej architektury. Lecz przecież całość uśmiecha się niewymownym wdziękiem! Znać, że to ta architektura późniejszego renesansu zrodziła się w owym wieku XVI, co podobno wśród całej historii chrześcijańskich ludów odznaczał się najpromienniejszym zmysłem piękności i natchnieniem artystycznym. Czyli kiedy Europa doczeka się powrotu takiego stulecia? Może — lecz to wtedy dopiero, gdy się opatrzy w potrzeby cielesne, gdy przestanie łamać się i walczyć o chleb powszedni, gdy zrzuci brzemię cisnące jęj na sercu.

Po drugiej stronie Piazzety, więc, jak widzimy na naszym wizerunku (fig. 1 str. 133), wprost naprzeciw tej biblioteki, dźwignął się wysłannik innego świata, innego stulecia, bo dwoma wiekami starszy od niej (r. 1340); jest to ów na świat i na wieki sławny *Pałac dożów* weneckich. On zwrócił się rogiem swoim ku nam; od tego rogu jeden bok pałacu ciągnie się wzdłuż przybrzeża morskiego, a drugi bok bieży wzdłuż Piazzety, stanowiąc jedną ze ścian tego przepyszego placu. Nikt zaiste nie zdoła, bez głębokiego poruszenia duszy, wpatrywać się w ten gmach, co tutaj stanął jakby murowaną historią tej starzej republiki. Powaga świetnej, olbrzymiej przeszłości taką mocą uderza myśl, że samo uszanowanie i groza bronilyby to budowanie od krytyki zbyt drobiazgowej, pedanckiej. Architektura potężna i wspaniała, o olbrzymich rozmiarach, jest isticie dobranem tłem dla fantazyi, co urokiem podań i poezyi ubiera pałac dożów. Formy architektoniczne nadzwyczajne tęp tu silniej występują, że się różnią całym światem od biblioteki Św. Marka, owego arcydzieła Sansovina. Stolica dożów jest wyobrazicielką drugiej połowy średnich wieków Wenecyi; jest ona niby gotycka, ale przytęp tak ochuchana tchem fantastyczności maurytańskiej, arabskiej, żeć się zdaje, że przybyła niby w swaty od dalekiego bajecznego Wschodu.

Oba boki pałacu, które przed sobą widzimy, są do siebie podobne.

Poziemie (rez de chaussée) jest i tutaj podsieniem, więc długim szeregiem arkad, lecz arkad rozkraczystych, ostrołukich, co spoczywają na podsadzistych, krępych, grubych, okrągłych kolumnach, które nie znają podnożów, uwienczyły się atoli w potężne a fantastyczne głowice. Gdy całe to spodnie budowanie jest ciężkie i smętne i grozy pełne, — pierwsze piętro jest zupełnie wbrew od niego różnym światem; tu wdzięk i lekkość eteryczna, życie i ruch. Bo to pierwsze piętro jest także podsieniem, więc galerią otwartą; i tutaj bieży niezmierny szereg arkad; przecież tych arkad jest dwa razy więcej niż na dole, więc jednej arkadzie podziemia odpowiadają dwie na pierwszym piętrze. Ztąd też one tak wysmukłe, a kolumny smigłe, lotne; od dołu połączone są balustradą, a od góry dźwigają ostrołuk. Lecz gdy na dole ostrołuki powstają wprost z dwóch



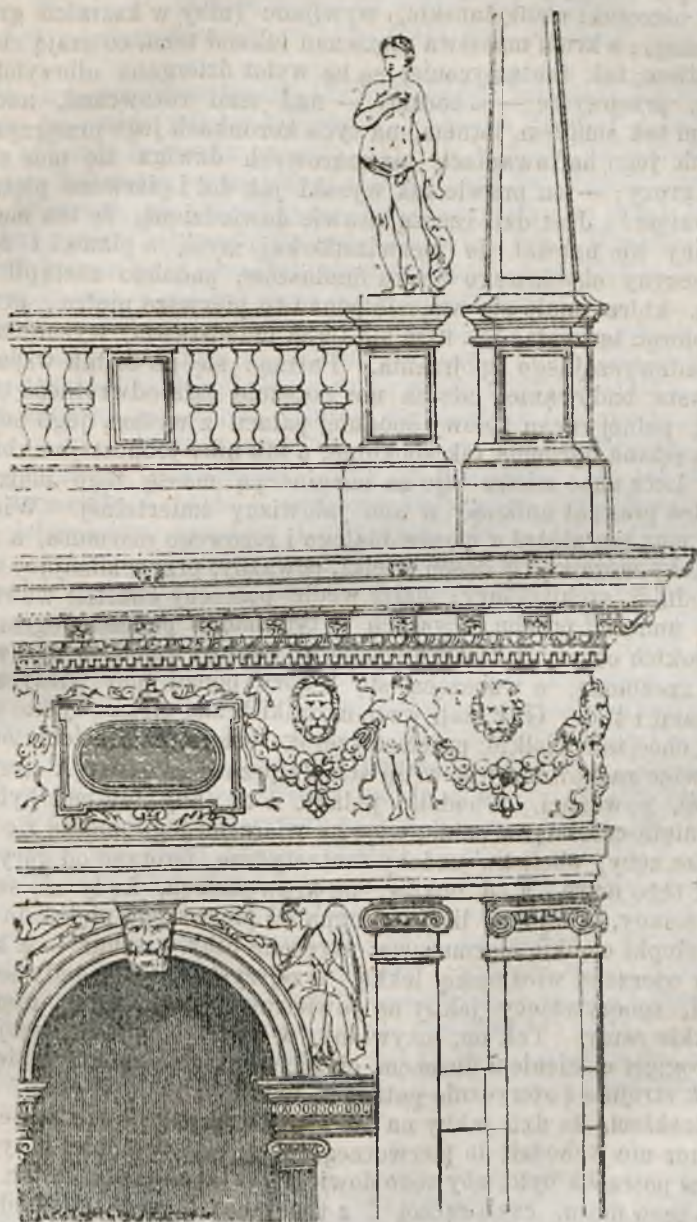


Fig. 2. Wyższa część biblioteki Św. Marka.

łuków przecinających się z sobą, arkady pierwszego piętra migocą się w ostrołuki maurytańskie, wywijane (niby w kształcie gruszki śpiczastej); a krom mnóstwa rzeźb nad łukami temi, co grają cieniem i światłem tak fantastycznie, są na wylot dziergane olbrzymie różowce, przejrzyste — a baczymy — nad temi różowcami, nad tém piętrem tak śmigłym, lotnym, na tych koronkach jego przejrzystych, na tych jego haftowaniach marmurowych dźwiga się mur ciężki, pełen grozy; — on prawie tak wysoki jak dół i pierwsze piętro razem wzięte! Jest dziś rzeczą prawie dowiedzioną, że ten mur tak ogromny nie należał do pierwiastkowej myśli a planu, i że on, z przyczyny chwilowego braku funduszów, podobno zastąpił budowanie, które miało się wznosić ponad to pierwsze piętro; przecież my, biorąc ten pałac jak nam się teraz przedstawia, wyznajemy, że jest nadzwyczajnego spojrzenia. Patrząc się na to tak wspaniałe, uroczyste budowanie, uderza nas potężnie cała odwrotność tej gry żywej, pełnej ruchu połowy spodniej pałacu z wyższą jego połową; boż ta ściana ogromna tak spokojna, a tak niby jednostajna abstrakcją. Lecz choć mistrz bije na imaginacją masą tego muru, toć przecież pragnął uniknąć w nim jałowizny śmiertelnej. Więc naprzód mur ten złożył z ciosów białego i różowego marmuru, a złożył je jakoby mozaikę, w deseń wielki, poważny, przypominający wzory wschodniej architektury; dalej wedle potrzeby świetlic wewnętrznych, umieścił po obu facyatach w tym murze po siedm ogromnych ostrołukich okien, z których środkowe jeszcze wzięte w oprawę bogatą rzeźbioną, a wnoszącą się u góry ponad mur wieżyczkami, igielkami i t. d. Gdy atoli wzór mozaiki brzmi zlekka tylko, gdy te okna, choć tak wielkie, przecież szeroko bardzo są od siebie oddalone; więc zachowana jest w tej ścianie przewaga grozy a ciszy uroczystej, poważnej. Chodziło jednak o to, aby ten mur był jakąś zamkniętą całością w sobie, więc na wierzchu jego unoszą się w powietrze zęby, obeliski, ozdoby fantastyczne, tworząc od góry lekkie rąbek tego muru, a od boków, na krawędziach, kędy się schodzą góry słupki cienkie marmurowe, skręcone niby w sznur — a kończą się u wierzchu wieżyczką lekką, przejrzystą. Otóż tedy ten mur ciężki, spoczywający jakby na powietrznem budowaniu, ujęty jest w lekkie ramy. Tak on, ożywiony w sobie, nie jest więc onem złowrogim ciśnieniem dusznem, ciężącym na tych spodnich piętrach, co tak strojnie i eterycznie patrzą w świat.

Rzekłem, że dziś jakby na dokumentach jest dowiedzionem, że ten mur nie wchodził do pierwotnego planu; że właśnie, iż tych dowodów potrzeba było, aby tego dowieść, wyraźnie znać, że ten pałac, mimo tego muru, czyli raczej i z tym murem, jest istnem dziełem sztuki, że, wśród waru fantastyczności kipiającej, czuwa tu mądrość artystyczna. Tym mistrzem, który począł w duchu swoim ten pałac, był *Filip Calendario*, a doża, który mu polecił to budowanie,



zwał się Marino Faliero. Obaj wdali się w tajemne związki przeciw rządowi Wenecyi. Faliero zginał od miecza katowskiego, a Calendario był powieszonym (r. 1355). Taki był początek tego pałacu (\*).

Jednak jeszcze nam trudno odwrócić się od Piazzetty. Na samym przodzie jej, więc między biblioteką (pałacem Reggio) a pałacem dożów, widzimy ze statku naszego, jako się wznoszą dwie suchwałę granitowe kolumny; — na jednej z nich stanął Św. Teodor, niegdyś patron Wenecyi, na drugiej ryczy lew skrzydłaty, co przez długie wieki był godłem tej hardziej królowej morskich fali. Wszakto między temi kolumnami Calendario skończył życie, a sędziowie patrzyli się na skon jego, z galeryi przez niego stworzonej.

Gdy facyata pałacu dożów, ku morzu zwrócona, ma po lewej ową kolumnę z tém dumnym godłem; po prawej kończy się ta strona pałacu wązkim kanałem, którego tylko wstęp widny ze statku, a następnie ukrywa się wśród pałaców wspaniałych. Przez kanał ten wiedzie most z białego marmuru na dalszy ciąg pobrzeża, które zowią pobrzeżem słowiańskim „Riva dei Schiavoni“, co tak szerokie i wspaniałe a ludne i ruchawe, kędy pełno gondolierów i modnych ichmościów, rybaków i strojnych dam. Dalej, jeszcze ku prawej, sznurują wielkiem prawie niedojrzanem półkolem domy i pałace; one, patrząc w fale wodne, pluskające pod ich stopami, słuchają tej muzyki morskiej, co niby zawsze jedna, a przecież zawsze wspaniała a niesprzykrzona nigdy; a nad dachami ciżbą wznoszą się owe charakterystyczne, kieliszkowate kominy weneckie.

Teraz olbrzymy spiżowe na zegarowej wieżycy poruszyły się, uderzyły w dzwon, a tony srebrne, głębokie przelatują Piazzettę i morze, głosząc, że już godzina dwunasta południowa. Nie darmo tedy powódź jaskrawego światła załala potopem gorącej jasności świat. Płoną zarem słonecznym pałace, wieże, kopuły; jak pocho-dnie palą się nad niemi krzyże złociste — cała Piazzetta w ogniu! Wszystkie architektoniczne linie, rzeźby pałaców, i koronki kamienne, i hafty dziergane, przezroczyście migocą się, ruszają życiem, biją głębokim, prawie czarnym cieniem, obok świecistych, przejasnych światel. Słońce przeziiera się we falach morskich; więc kołyszą się i huśtają po wodach snopy iskier płomiennych, a co która przesunie się gondola, już wyorze za sobą bruzdę roztopionego złota.

Otóż już schodki z pokładu na dół ku morzu spuszczone! — Po nich tłum podróżnych wstępuje do gondol, a za niemi z pokładu wło-

(\*) Według nowszych poszukiwań okazuje się, że głównym kierownikiem budowy Pałacu Dożów już w r. 1340 był *Pietro Baseggio*. Calendario zaś pracował tylko przy boku swego krewnego Baseggia, i dopiero po śmierci tego ostatniego w r. 1354 został głównym budowniczym pałacu; ale działalność jego trwała tylko do r. 1355, w którym poniósł śmierć przez powieszenie. Zob. dzieło: *O. Mothes*, *Geschichte der Baukunst Venedigs*. 1860. — St.

ką i rzucają kuferki, tłómoki i wszechkształtne manatki. Wnet też to gondole czarne z domkiem w kir obitym, to szerokie barki, pokryte namiotem barwnym pasiastym, rozlatują się na wszystkie strony. Więc i na nas już kolej; już z gondoli patrzym na statek, co teraz samotny i cichy, rad przecież już odetchnąć po tym gwarze halaśnym, zanim nową ludność, równie huczną i szumną, zanieśnie napowrót do Tryestu.

Gondolierzy nasze, widząc obcych, więc nieobeznanych z labiryntem kanałów i uliczek weneckich — podobno, jak się później spostrzegłem, nie powiedli nas najkrótszą drogą do oberży im wskazanej. Lecz nie było czego żałować ani się gniewać, bo tutaj zaprawdę nie zawadzi schwycić jakiś kwadransik, by się trochę opatrzyć i wrócić do równowagi a wewnętrzznego chłodu. Otóż gondola nasza, zlekka i z miękka się kołysząc, prosto płynie do onego kanału, co, jak rzekłem, ciągnie wzdłuż tyłów pałacu dożów. Jużemy podpłynęli pod ów most marmurowy. „Jak się zowie ten most?“ „Della Paglia!“ odpowiadają gondolierzy. Już nasza gondola w tym kanale. On nie ma chodników po bokach; po obu stronach wprost z wody wznoszą się dwa wysokie ogromne budowania; więc u góry świeci tylko wązki pas błękitnego nieba. Ten gmach po lewej — to, jak rzekłem, tyły pałacu dożów; ale choć to nice jego, jakież tu przepych wzniosły i dumny, jaki strój i wdzięk architektury, pełen bogactwa i smaku! Tutaj już nie widzimy fantazyi z gotycka orientalnej, jak na tamtych dwóch facyatach tego pałacu — tutaj zupełnie inny styl: to istny *renesans* choć wcześniejszy, to architektura z początku XVI stulecia. Zaraz od wody występują bogato wyrabiane cokóły marmurowe; nad nimi marmury wyrzynane w gęste rzędy mocno wypukłych brylantów niby na jakich szklach czeskich, — nad nimi okna prostokątne, wyżej wielkie o arkadach półkolistych; a tak wyżej, wyżej pełno strojnych pilastrów, fryzów, gzymsów bogatych i t. d., aż pod sam dach. A gdy się gondola nasza zakolysze, gdy wiosło w wodzie sunie, już fala wytryskuje po tych marmurach, strzela w górę niby wąż między owe rzędy rzeźbionych brylantów i znów kaskadkami po nich spływa.

Ten zaś gmach po prawej, co utopiony w głębokim cieniu a tak smętny, żalobny i poważny, co patrzy na nas groźnie przez okna o grubych kratkach żelaznych — to więzienia, to owe sławne „Prigioni“. Gondolier, stojący na przodzie, pokazując w górę, woła: „il Ponte dei Sospiri“ — to ów most „Westchnień“. On na wysokości dwóch piętér zawieszony jakby w powietrzu; z jednej strony oparty będąc o pałac dożów, z drugiej o gmach więzienny, prowadził wprost ze sali sądowej do kaźni, pod dachy olwiane. On cały zakryty jest korytarzem; u boku tylko okna, kędy, zamiast szyb, dziergane płyty kamienne. W tej chwili on cały oblany słonecznym blaskiem, choć wewnątrz niego zapewne ciemno i mroczno.



A jaki to elegancki i strojny ten most żaloby i trwogi —! On rozpięty łukiem śmiałym i wdzięcznym, a jego linie architektoniczne, pilastry, rzeźby a nadto floressy i essy, ubierające jego wierzch, czynią go istotnie cackiem strojnem, świecistem.

Pod mostem wychodzą na wodę z pałacu dożów dwie bramy, tuż obok siebie umieszczone, bo przedzielone jedynie filarem zdobnym; a trochę dalej takż para dwóch drugich bram. A jakież to one cudne i wspaniałe! Gondolierzy, widząc nasze zajęcie, zwolnili ruchy wiosel, wiedzeni bystrym instynktem, tak zwykłym temu weneckiemu ludowi. Około prostokątnych drzwi, z góry i boków, gęsty, szeroki zwój kwiatów i owoców, rzeźbiony z mistrzowska w kamieniu; więc grona winne, róże, liście, figi, tulipany, melony; a powyżej zawieszzone gracyjnie festony; nad niemi znowu krata żelazna przepyszna, co sama licznym wzorem i kompozycją artystyczną; a to wszystko znów ujęte w półkolistą arkadę bogato ubraną i wsparte na pilastrach o bogatych głowicach. Gdy miniesz te bramy, znów idą te cokuly i brylanty, i arkady i t. d. — powyżej wspomniane.

Już to prawda, że te przepyszne nice pałacu dożów wyraźnie okazują, że choć takż są renesansem, są przecież wczesniejszym niż Biblioteka Sansovina, która tak z mistrzowska umiała połączyć ornamentykę z tém, co ściśle wynika ze samej istoty architektury. Ta zaś strona pałacu dożów nie zdołałaby się może wytłómaczyć, gdyby jej przyszło zdać nie na żarty sprawę z tych dekoracyj architektonicznych; pokazałoby się może, że fantazyja co stworzyła tę tylną stronę pałacu, igrała sobie lekka, strojna, wesoła, mniej dbając o surową logikę sztuki samej. — Ba, bo ten renesans tu jeszcze jest młody a z uczuciem lekkim i z radością w sercu.

Lecz, bądź co bądź, nie ma co mówić, była to wielka a zamożna pani ta republika Wenecyi! Bo pańskość prawdziwa objawia się właśnie tém, aby było i suto, i bogato, i pięknie nietylko dla oka ludzkiego, ale nawet w zakąciach odwróconych od świata; — a już przedewszystkiem, aby hojność i bogactwo łączyło się zawsze i wszędzie z uczuciem piękności i smakiem artystycznym.

Nie wiem ile już kanałów, ile mostków i mostów, ile zakrętów minęła gondola nasza, aż nareszcie zatrzymała się przed oberżą.

Mając dłużej w Wenecyi zabawić, trzeba się było, ile możności, w mieszkaniu jakoś rozgospodarować domaszno, swojsko; a chwila po przybyciu naszém właśnie była do tego sposobną, bo na dworze nielada dopiekał upał skwarny, więc ani myśli, aby w tej chwili udać się w jakąś wycieczkę na miasto. Więc z kolei, z głębi tłumoczków pojawiają się manaty, co, od Krakowa nie widząc świata, przybyły do Wenecyi; stanął téż ów rządek książek, bo bez nich trudno we Włoszech; a zresztą ten papier drukowany — toć już jest chroniczną chorobą i grzechem pierworodnym literackiego cechu, więc go już niepodobna od siebie odczepić. Wystąpił z głębi kufierka

i zeszytik z notatkami, a za nim i gruby zeszyt niezapisany, i ułożyły się oba obok onej biblioteki i kałamarza i pióra: to wszystko na biedę mojego przyszłego czytelnika.

Jakoż przystoi zaraz z góry ostrzedz łaskawie czytających tę książkę, że i oni nie tak łatwo wydobędą się z Wenecyi. Rozpiszę się o niej szerzej, niż o jakimkolwiek mieście włoskiem i obszerniej, niż nawet o Rzymie samym. — A to dla czego? zapyta zapewne czytelnik — odpowiadam: najprzód dla tego, że w tej Wenecyi wypadnie mi porozumić się z czytelnikiem co do wątków Historii sztuki, a zwłaszcza pomówić o epokach malarstwa i architektury w wiekach chrześcijańskich, kreśląc choć ogólną charakterystykę stylów budowania i t. d. — Wypadnie mi tedy w Wenecyi założyć fundamenta nie tylko dla tych pomników sztuki chrześcijańskiej, które się znajdują w Wenecyi, lecz równie i dla tych, które spotkamy po innych miastach włoskich. Otóż jest jeden powód rozpisanie się tak szerokiego w tej Wenecyi. Powód drugi właśnie ten, o którym wspominałem na wstępie tej podróży, wyjeżdżając z Krakowa. Jakoż tam rzekłem, że głównym celem tej książki jest chęć, abym dał wyobrażenie o historii sztuki tym z naszych ziomków, którzy pilnują rodzinnego zagona; dodałem atoli, iż zapewne nie zawadzi, jeżeli będę miał, ile możności, na względzie i tych czytelników, którzy albo już zwiedzili Włochy, albo zamierzają je zwiedzić. — Lecz z takowych podróżujących rodaków naszych bez porównania większa część nie zapuszcza się w głębsze Włochy, lecz przestaje na Włoszech Północnych, a mianowicie na Wenecyi. Bo do Wenecyi wabi i bliskość położenia, i szluszna ciekawość a często i nadzieja pokrzepienia zdrowia. Zdaje mi się tedy, iż, rozwodząc się tak wielce szeroko i dokładniej o Wenecyi, dogodzę może życzeniom nie jednego z moich czytelników i czytelniczek (\*).

---

(\*) Przy tej sposobności atoli powtarzam raz jeszcze prośbę moją, na wstępie do tej podróży uczynioną, aby czytelnik nie rozumiał, jakoby mu ta książka zastąpić mogła jednego z tych przewodników doskonałych a ogłoszonych w różnych językach. Jakoż, gdy celem niniejszej książki jest oswojenie czytelników z dziejami sztuki, więc też nie będę prawił o wszystkich najpiękniejszych i najważniejszych dziełach sztuki jakiegoś miasta, jak to czynią dobre przewodniki, ale ze wszystkich pomników wybiorę małą liczbę, bo tylko te, które są najdoskonalszemi przedstawcami swojej epoki a stylu. — Przy tej sposobności atoli polecam podróżującym choć dwa przewodniki, wielce znakomite, to jest *Manuel du Voyageur en Italie* p. *Ernest Foerster*, — a przewodnikiem przez Włochy, z mistrzowska zwracającym bacność na dzieła sztuki, jest dzieło *Der Cicerone* przez *J. Burckhardt*. Basel 1855. Z tej książki wiele też korzystać będę, opisując dzieła sztuki. (Szacowne dzieło *Burckhardt'a* wyszło w nowem 3-ciem wyd. r. 1873 w opracowaniu *Zahna* 3 tomy. Dodatek do niego stanowią: *Beiträge zu Burckhardt's Cicerone von Otto Münder*. 1874. Prócz tego zalecają się jako najnowsze a nader praktyczne i wszechstronne podręczniki dla podróżujących po Włoszech dzieła *Baedekera* i *Gselfelsa*, każde w trzech tomach i w licznych wydaniach. Na wzmiankę zasługują również książki: *M. Nohl, Tagebuch einer italienischen Reise* 2 wyd. 1877,



Zaledwieśmy się urządzili jako tako z tym domem wędrownym naszym, gdy wstąpił garson pytając, czyli zechcemy należeć do Table d'hôte? Ja zwykle w drodze nie lubię tracić swobody i wolę jadać kiedy i gdzie, i ile mi się podoba, więc niechętnie wdaję się w zobowiązania; przecież, jak w tej chwili, nie było co lepszego czynić.

Z nami do stołu zasiadła niezgorsza liczba dam i ichmościów. Znać było od razu, że prawie całe to towarzystwo jakoś poufałej się do siebie miało, rozmawiając z sobą jak po dawniej znajomości. W rychle się okazało, zkąd tym paniom i pannom ta zażyłość, mimo różnorakiej narodowości. Oni zjednoczyli się w małą koczującą rzeczpospolitą i pod przewodnictwem pana Bulgari puszczaali się na oględziny osobliwości weneckich. A trzeba nam wiedzieć, że ten p. Bulgari, gruntownie przewertowawszy wszystko, co ważniejszego w tej wodnej a przepysznej stolicy, nauczywszy się z partesu prawie o wszystkim, uczynił się w Wenecyi mentorem, vulgo Cyceronem ciekawych podróżnych. A nie było z tém źle klientom jego, bo w kilku dniach, bez zachodu i kłopotu, widzieli czyli raczej patrzyli się na wszystkie przedmioty godniejsze uwagi —, i nie było też z tém źle i samemu p. Bulgaremu, bo klientela jego składała się codzienn z kilkunastu a niekiedy z dwudziestu osób; a gdy każda osoba płaciła dziennie pięć czyli 6 lirów (cwancygierów), więc też każdego wieczora, gdy p. Bulgari obrachował się z kasą swoją, pokazywało się, że po odtrąceniu wydatków na gondole, na grzeczności brzęczące, które czynił dozorcóm kościołów, galeryj, pałaców i t. d., zawsze jakaś nielada sumka zostawała u niego w mieszku; a te nielada sumki, wpływające dzień w dzień przez lato całe, znów dodane do siebie wzrastały w summę dość okrągłą; było się tedy czém jako tako pocieszyć po podjętych trudach i mozolach. I to wielce słusznie. Bo najprzód p. Bulgari wcale, jak później się przekonałem, nie jest tuzinkowym Cyceronem; znał swoją rzecz gruntownie, a wiedział nierównie więcej niżby się z razu zdawało, słysząc go recytującego oklepane frazesy przy każdym obrazie, przy każdym pałacu lub kościele. On dla zwyczajnych podróżnych, którym tylko o to chodzi, aby jak najrychlej odbyć te nieszczerne dla nich osobliwości, był zwyczajnym Cyceronem, częstującym zdawkową wytartą monetą; gdy atoli zmiarkował, że ktoś zajmuje się bliżej przedmiotami, że ma stosowne wyobrażenie o tém, co widzi i słyszy, już p. Bulgari, tknięty poczciwą ambicyą, dobywał z innej szufladki umiejętności swojej. Po prawdzie mówiąc, dość rzadką miał ku temu porę; bo w mentorstwie najczęściej widział potrzebę nie zapuszczania się w żadne głębsze misterye sztuki i historyi, a stosował się

i E. Krieger, *Reise eines Kunstfreundes in Italien*. 1876. Ta ostatnia szczególniej praca odznacza się równie umiejętnym jak zajmującym poglądem na sztukę włoską. — St.)

uprzejmie do duchowego wzrostu swoich Telemaków. Ale p. Bulgaremu należą się najpiękniejsze wieniec za cierpliwość zgrabną i chłodną krew, z którą odpowiadał na olbrzymiej niedorzeczności zapytania, co go opadały to z tej, to z owej strony; sztuką krzyżową i nieustającym fechtunkiem odcinał się nieucznej ciekawości, a już najczęściej niemądrym uwagom i zbyt oryginalnym domysłem. Przecież nie ma się czego i dziwić tym pytaniom, uwagom i domysłem, bo trudno by się niejednemu na piękne w głowie nie zamąciło przy tym życiu, które wiodą tutaj ci państwo, pędząc bez tchu, niby szczuci złym duchem, od pałacu do pałacu, od kaplicy do kaplicy, od galeryi do galeryi. Jak tu biedny człek nie ma stracić siebie, lub nie zgubić jakiej klepki, gdy wszystko skręca się szalonym wirum w mózgu; gdy Sansovino i Calendario, i Tycyan i Tintoret, i Falieri i Foscari, gdy dzieła architektury i malarstwa, gdy bucentaur i rzeźba, niby szatańskim jakim *steeple Chase*, przeluczy przez duszę, zostawując w niej jedynie tuman kurzu po sobie.

Nie darmo też jeden z podróżnych przy stole wylewał swoją biedę, lamentując na stan duszy swojej. Był to szlachcic węgierski o czarném oku, kruczych wąsach a świeżych czerstwych licach; a człek serdeczny, ciepły, o zdrowym gospodarskim rozumie. szerszy od innych swoich towarzyszy; — wypowiedział, wyrąbał z rycerska, otwarcie to wszystko, do czego może żaden z nich sam przed sobą przyznać się nie chciał. „Nie wiem, jak tam państwo, lecz co do mnie, niechaj przepadną, zawołał, jeżeli aby krztynę wiem z tego wszystkiego, com widział a czegom nie widział; szumi mi w uszach i burczy w myśli. Wierzę, że to piękne rzeczy, które nam pokazywano, ale cóż z tego, gdy to wszystko zlało mi się w głowie mętną lurą. A to istny tyran ten Bulgari! On mi przypomina mojego gubernera, co mnie tyle różnych uczył wiadomości, a tak gwałtownie nadziewał różnemi naukami, że w końcu nic a nic nie umiał. A wierzajcie mi, państwo, że w tedy, za onych moich opłakanych czasów chłopięcych, nie pragnął nigdy z taką żądzą wakacyj, jak teraz wyglądam godziny czwartej, jako chwili zbawczej, w której nas ten bakalarz straszny wypuszcza ze swojej szkoły, a to jeszcze wypuszcza na obiad. Ani mi się śniło kiedykolwiek abym, na moje stare lata, jeszcze takiej podpadł biedzie i powrócił do kłopotów pacholęcych. Jednak jeszcze mam dwa dni tej szkoły, trzeba wychylić ten kielich goryczy do dna!“ Temi słowy wychylił Madziar szklanekę wina za zdrowie swojej pięknej sąsiadki.

Gdybym nawet nie był uprzednio postanowił zwiedzać Wenecyi bez przewodnika, ten przykład żywy, który miałem przed oczyma, byłby mi był przestrożą a odstrachem od wszelkich Cyceronów, więc jeszcze silniej utwierdziłem się w przedsięwzięciu doświadczenia już własnych sił a szczęścia w tej wędrówce mojej. Wszak oddawna byłem przekonany, że jedynie dla tych podróżnych cicerone jest niezbędny, którym zbyt śpieszno dla skąpego czasu; kto zaś nie



liczy się tak skrupulatnie z godzinami swojemi, a przytém, już wyjeżdżając z domu, mniej więcej wie gdzie mu czego szukać i jak o tém wszystkiém sądzić; toć już lepiej może uczyni, jeżeli się bez mentora obejdzie. Boć potrzeba pokoju i ciszy a ukołysania, aby treść, w duszy rozpuszczona, skryształizowała się, aby nabrała kształtu i formy i ładu.

Stańto tedy między nami na tém, aby już z notatkami, uczynionemi oddawna w Krakowie, i z przewodnikiem drukowanym puszczać się na zwiady a oględziny, z całą swobodą a wygodą; nie zrzekając się atoli myśli, aby kiedyś, za podaną sposobnością, przyłączyć się na jaki dzień jeden do owieczek p. Bulgarego, aby i z tej strony poznać się z życiem wędrowném podróżników po Włoszech.

### *Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

A gdzież najprzód pokierować pielgrzymkę, jeżeli nie ku kościołowi Św. Marka, co tak blisko naszej kwatery. I stanąłem na placu Św. Marka! — Zdawało się, że chóry piękności geniuszów, że całe grona duchów przeszłości zaintonowały pieśń ogromną, pełną wspaniałej uroczystości i powagi. Żadne inne miasto, żaden inny kraj na kuli ziemskiej nie ma placu, coby mógł na równi stanąć z tą przestrzemią, tak okazałą i jedyną.

Wierzajcie, że to pewnie nie przesadne, rozbujające pochwały!

Nie myślę atoli kusić się, bym słowami chciał roztoczyć choć jaki-taki obraz tego słynnego placu, bo na to nie stać pióra, do tegoby pędzla potrzeba; więc tylko słów kilka powiem, odwołując się do wizerunków i rycin, tak gęsto między publicznością naszą rozsypanych.

Słusznie powtarzają a powtarzają ciągle, że plac Św. Marka, to niby olbrzymia, przepyszna sala. I prawda; bo on się najprzód tém już różni od wszystkich innych rynków i placów na świecie, że te jego ściany nie są poprzecinane żadnemi ulicami, uliczkami (bo te uliczki a komunikacye — to przejścia ukryte). Tak ściany tej sali ciągną się jednostajnie, bez ustępów i przerwy. Prawda, że ten plac jest najcudniejszą i najogromniejszą salą na świecie, a jej stropem — to sklep włoskiego nieba. Przecież plac Św. Marka jest tak charakterystycznym dla artystycznej fantazyi tego świetnego adryatyckiego grodu, że go słusznie za prawdziwe dzieło sztuki uważać możemy. On razem z Piazzettą stanowi całość tak czarodziejską, że należy mu się nieco bliżej przypatrzeć. Dla tego niechaj zechce czytelnik rzucić okiem na naszą Fig. 3 (str. 146). Ona pokazuje nam rozkład budynków na placu Św. Marka (oznaczony P S M.) i na

Piazzettę (P...ta), oraz przyległości najważniejsze. Planik nasz równie podaje jakie-takie wyobrażenie o wzorach strojnych, któremi, jakby kobiercami, wyłożona posadzka marmurowa placu i Piazzety.

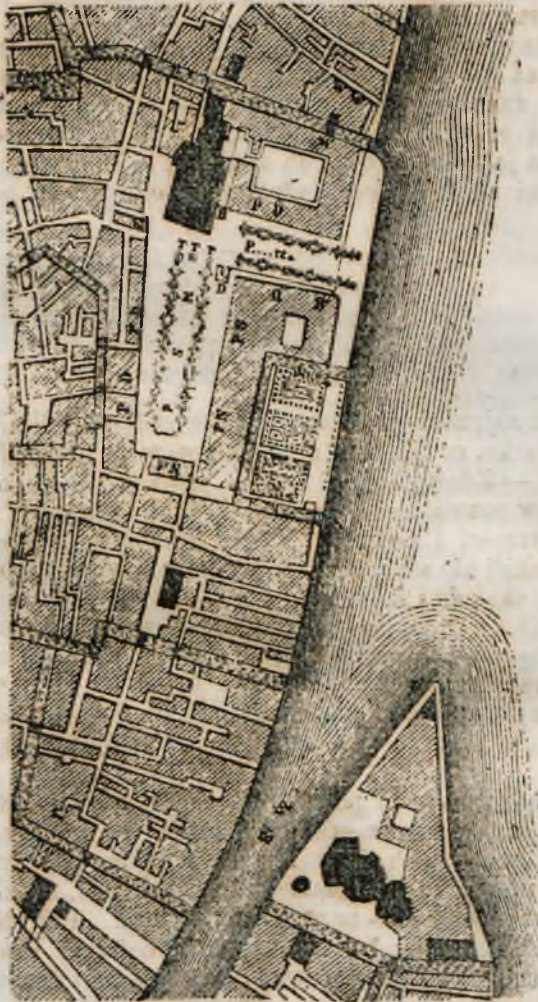


Fig. 3. Rzut poziomy placu Św. Marka i Piazzetty.

Stąpmy tedy w samej głębi placu Św. Marka, więc przy krótszej jego ścianie, którą tworzy pałac zwany *Fabrica Nuova* (ob. F N), a stanmy tak, abysmy ten pałac mieli za sobą; wtedy wprost naprzeciw nas obaczmy dopiero w dalekiej perspektywie główną wystawę (front) kościoła Św. Marka (oznaczony przez S M). Po naszej



lewą rękę z Nuova Fabrica styka się pod kątem prostym pałac *Prokuracyj Dawnych* (P D, P D); on bieży długim frontem (bo uliczki, oznaczone na planie, są jedynie korytarzami szerokimi w samym poziomie pałacu). Kędy się kończy ten pałac, tam widać cudny budynek, zwany *Wieżą Zegarową*, już przez nas dawniej wspomniany (Z); na wierzchu jego dzwon i owe dwa olbrzymie spiżowe, a nieco dalej, w tej samej linii, widać inne jeszcze okazałe budowania. Po naszej zaś prawej ręce, także pod kątem prostym schodzi się z Nuova Fabrica pałac *Nowych Prokuracyj* (P N); on rozciąga się prawie tak daleko, jak naprzeciw niego stojące „Dawne Prokuracye“; ale gdzie on się kończy, tam już nie ma liczących z nim dalszych budowli, lecz jest róg pałacu; gdy ten róg obejrzemy, znajdziemy się na Piazzetta i obaczymy już po prawej ręce znaną nam bibliotekę Św. Marka (B B), po lewej zaś pałac dożów (P D); a wprost naprzeciw nas wspaniałe morze, zwłaszcza miejsce, kędy zarzucił kotwicę statek nasz i z którego rozpatrzyliśmy się w pięknościach nieporównanych Piazzetty. Uważmy, że przy tym rogu Nowych Prokuracyj unosi się w powietrzu owa kształtna, tak śmigała dzwonnica (Campanila D) Św. Marka; ona jednak nie dotyka się tego rogu, jest małym ustępem od niego oddzieloną, stała więc samodzielnie. U jej spodu stworzył Sansovino budynek przesiłiczny, ową Loggia, czyli Loggietta, istne cacko marmurowe i wdzięczny żarcik geniuszu jego. Nie trudno zgadnąć, jakto ta Campanila i Loggia stroi i zdobi całe wejście tego cudownego świata.

Widzimy tedy, jak owa wieża zegarowa, ze swoimi olbrzymami, stanowiąca na przedłużeniu jednego z boków placu Św. Marka, patrzy się wprost frontem swoim na Piazzettę. I jeżeli pojdziemy od onego rogu, kędy się kończą Prokuracye Nowe ku kościelowi Św. Marka, już wtedy będziemy mieli za sobą sam plac Św. Marka, po lewej wieżę zegarową, po prawej zaś Piazzettę, a w końcu jej morskie zwierciadła; co właśnie stąd pochodzi, iż Piazzetta i plac mają się pod kątem prostym do siebie. Widzimy wprawdzie na naszym rysunku, że plac Św. Marka nie jest doskonałym prostokątem, ale tego wcale nie znać w rzeczywistości dla bardzo znacznego rozmiaru jego.

To lekkie wyjaśnienie rozkładu placu tego i budynków, otaczających go w koło, przyda nam się do łatwiejszego zrozumienia tego, co jeszcze w tekście o nim powiemy.

Wszak to wszystko nie stanowiłoby jeszcze czarodziejskich jego uroków, bo i po innych miastach przecież nie braknie rynków i równie wspaniałych pałaców; ale plac Wenecyi jest tylko jednym i jedynym na świecie całym (\*).

(\*) Fig. 3 oznacza nam jeszcze przedmioty, o których już była mowa, albo o których niezadługo wspomnimy. — I tak na Piazzetta K K oznaczają owe dwie

Tutaj atoli w tych budowaniach żyje harmonia, tutaj całość poetyczna, choć rozmaitości pełna, tutaj to architektura oczynia fantazją czarnoksiężtstwem niewymownem, bo, jak rzekłem, cały plac ten może być uważany jako dzieło sztuki. Wszak widzieliśmy już powyżej owo arcymistrzowstwo, tchnące wdziękiem najwyższym w bibliotece Św. Marka, co ją stworzył Sansovino na Piazzetta; ta biblioteka, jakeśmy powiedzieli, pewnie jest najpiękniejszym i najwspanialszym przybytkiem publicznym we Włoszech całych. Otóż wystawmy sobie, że dwa boki placu Św. Marka, bo Nowych Prokuracyj i tak zwaną Fabrica Nuova, są właśnie naśladowaniem, prawie kopią tę przecudną bibliotekę! Sansovino zaiste tą swoją architektoniczną kompozycją tak uderzył dusze Wenecyan, tak je oczarował, że ta biblioteka już na długie wieki została najwyższym wzorem artystycznej piękności. Jakoż *Vincenty Scamozzi* wznosił niedługo po Sansovinie, bo w r. 1584 Nowe Prokuracje, a blisko trzysta lat później, bo na początku XIX wieku, Napoleon Pierwszy kazał zburzyć dawniejsze budynki i zastąpić je pałacem Fabrica Nuova (\*). Scamozzi atoli, choć się urodził w kwiecie owego błogiego dla sztuki czasu, co go pełnym, późniejszym renesansem zwiemy, już przecież za życia swojego dotknięty był następną, rodzącą się już, złowrogą epoką, gdy instynkt wieszczy coraz ciszej a ciszej odzywał się w piersiach mistrzów; ta epoka dała się uczuć i Prokuracyom Nowym. Jakoż, na piętrze pierwszym stanęło drugie, którego nie ma we wzorze — bo w bibliotece; prawda, że to drugie piętro jest w sobie pełne piękności, że również zestroiło się, ile tylko można było, z pierwszym piętrem i poziomem; i to niemniej prawda, że gdy dzieło Sansovina jest istnem dziełem sztuki, więc kompozycją będącą ukończoną całością w sobie — zatem ten dodatek, to drugie piętro psuje tę całość organiczną. Przejrzyjmy atoli tej słabostce. Czyliż się nie zdarza nawet wielkiemu *Szekspirowi*, że już po rozwiązaniu, po ukończeniu swojego dramatu, jeszcze doda akt jeden, który nie łączy się organicznie z całością, który jest tylko

---

kolumny granitowe, dotknięte przez nas powyżej (porów. Fig. 1). T T T. oznaczają trzony spizowe, u których utwierdzone maszty; jeden z tych trzonów przedstawiony na Fig. 5. W tyle Prokuracyj Nowych i biblioteki spostrzegamy oznaczony ogród, należący do Palazzo Reggio. Za pałacem dozów widać kanal wieszony, po drugiej stronie jego położone więzienia W W, a most M W, łączący więzienie z tyłami pałacu dozów, jest właśnie owym mostem westchnieni, o którym mówiliśmy wjeżdżając do Wenecyi, a który, jak nam wiadomo, jest wysoko zawieszony nad wodą, bo prowadzi ze sali sądowej pałacu wprost pod poddasza ołowiane więzienia. K W oznacza kanal wielki, czyli raczej wstęp do niego. D znaczy *Dogana*, a S M S wyraża kościół *Santa Maria della Salute*, — o obudwóch tych budynkach będziemy później obszerniej mówili.

(\*) *Vinzenzo Scamozzi* urodził się we Wicency r. 1552. umarł w Wenecyi r. 1616. Dla nas rzeczą ważną, że on w r. 1587 wraz z posłem weneckim Piotrem *Duodo* odwiedził Polskę i dwór Zygmunta III.



zbytecznym do niej przyczynkiem. Prawda znowu, że też nie te ułomności stanowią o wielkości geniuszu jego. Mimo tego, Fabrica Nuova i Nowa Prokuracya są cudnym odgłosem biblioteki Św. Marka. Jakoż w tych gmachach i poziemym zbudowane jest w arkady, i tu panuje ten poważny styl dorycki, i tutaj powtarzają się owe piękne męzkie figury, i fryze bogate, i balustrady. I tutaj również powyższe piętro wdzięczy się architekturą jońską i kolumnami, co strojne w kapitele gracyjne i żłobki, mieniające się światłem i cieniem, i tutaj łuki arkad ożywione w postaci niewieście, tak lubego, miękkiego wyrazu. A owo drugie piętro, przez Scamozzego dodane, jest już złejsze od pierwszego, bo się ustroiło w lotne wysmukłe kolumny korynckie.

A teraz naprzeciw stojące Prokuracye Dawne. Te nierównie starsze; one należą do epoki najwcześniejszego renesansu; zbudował je *Bartolomeo Buono* (\*) jeszcze przy końcu XV wieku. I tutaj również całe poziemie w arkady, i pierwsze piętro całe w arkady, i drugie piętro całe w arkady; wspaniale, choć wesoło i świątecznie, wznosi się ta budowa w powietrze. Lecz tutaj już architektura znacznie się różni od gmachów wyżej wspomnianych. Tu nie ma filarów potężnych, które dopiero stają się złejsze przez pilastry i półkolumny z niemi się łączące. Jakoż, krągłoluki poziemna spoczywają na filarach czworosściennych, jednak cienkich i śmigłych; a także łuki na pierwszym i drugim piętrze wsparły się na kolumnach lekkich, okrągłych, żłobkowanych, których strojne kapitele z koryncka ubrane są w liście. U góry samój, nad okapem, wieńczą gmach ozdoby: więc wazony i wyrzynania kamienne. Lecz zważmy, że arkady poziemna dwa razy są szersze niż owe, które stanęły na piętrach; zatem na każdą kolumnę dolną przypadają dwie na pierwszym lub drugim piętrze; łatwo więc sobie wystawić, jak ta całość jest gracyjna, jak ożywiona i ruchu pełna, mimo to, iż żadnych tu nie ma figur, żadnej płaskorzeźby; tutaj sama weseli się architektura bez wtórowania jej młodziej siostrzycy — skulptury, co tak strojna i mowna.

Kędy się kończą te dawne prokuracye, tam się wznosi wieża zegarowa licująca z niemi.—Ona znów dziełem Piotra *Lombardo* (\*\*) (r. 1496), więc także kompozycya wcześniejszego renesansu. Cały budynek strzelił wieżą czworosścienną płaską u góry; tam na wierzchu ów dzwon i olbrzymy jego: poniżej pole błękitne, gwiazdkami złotemi posiane, wpośród nich lew skrzydlaty; poniżej znów pole a w niem trzy niże: w środkowej posąg Najświętszej Panny, a jeszcze niżej — pole z zegarem — a pod nim już brama potężna, niby

(\*) *Bartolomeo Buono*, albo *Bono*, budowniczy i rzeźbiarz, umarł 1529 r.—*St.*

(\*\*) *Pietro Lombardo*, znakomity budowniczy i rzeźbiarz XV-go wieku, głowa licznej rodziny, poświęcającej się sztuce; umarł 1515 r. — *St.*

brama przechodnia, wiodąca do całego labiryntu uliczek i ulic i kanałów. Po obu stronach tej wieży przystawione pawilony, arcywdzięcznie wiążące się z nią w całość, więc okna kragle, balustrady i pilastry strojne, zdobne; a niezmiernie też szczęśliwa była myśl Piotra Lombardi, gdy trzecie, więc najwyższe piętro tych pawilonów, cofnął w tył, zostawując z frontu i z boków zewnętrznych szeroki taras; tak bowiem te pawilony same przez się zestrzajają się z lotnością samej wieży, która właśnie owem polem błękitnym, gwiazdzistym i dzwonem wznosi się nad wierzch tych pawilonów. Choć w oddaleniu znacznym, czytelnik nasz na Fig. 1 mógł dojrzeć ogólnych i charakterystycznych form tej wieży zegarowej.

Teraz może czytelnik już nieco zrozumie ogromne wrażenie artystycznych piękności tego placu, owych budowiań w arkady, — a arkady są niewymownie oryginalne i urocze. Temi arkadami, niby otwartemi galeryami zdołamy odprawić nielada przechadzkę, — ba podróż (\*).

Jako zaś żadnej piękności, jak wiadomo, nie zaszkodzą bogate szaty, tak też i piękności tej architektury nie jest na zawadzie, gdy ona cała, od stóp do głów, ubiera się w kosztowne marmury. A tego pięknego i drogiego jest tutaj na dużą skalę, bo pałace te są ogromne. Oto uważajmy np. pałac Prokuracyj dawnych. Mówiłem dopiero, że arkady poziemia są dwa razy szersze niż arkady pięter, a że tamtych jest 50, więc na każdym piętrze jest po 100 arkad i po 100 kolumn, bo tu długość pałacu jest 400 stóp. Więc miałem podobno słuszość, gdy wyżej rzekłem, że to nielada wędrówkę można odbyć wzdłuż tych czterech pałaców, gdy każdy z nich tak znakomitych wymiarów.

Ten plac i Piazzetta, ze swojemi pałacami (wyjawszy pałac dózów i bazylikę św. Marka), zasługuje już i pod tym względem na hold estetyka, że ta architektura, budując arkady na arkadach, roztacza nam przed żywe oczy obraz zewewnętrznego kształtu starorzemyjskich teatrów i amfiteatrów, a nadto uczy, czem był styl renesans we wcześniejszej, a czem w późniejszej epoce swojego rozwoju. Tutaj występuje na jaw jasny i w wielkich wymiarach owa epoka odrodzenia klassycznego świata, stanowiąca taki ogromny zwrot w dziejach kultury europejskiej.

Teraz zbierzmy sobie naprędce w myśli razem, cośmy o tym placu rzekli; zbudujmy sobie w wyobraźni i jęgo pałace, i bazylikę

---

(\*) Jakoż, zaczynając od końca Prokuracyj dawnych, więc od miejsca, kędy one graniczą z wieżą zegarową —, czy dołem, czy piętrami możemy przebyć całą długość tych Prokuracyj; potem, zwracając w lewo, idziemy wzdłuż Fabrica Nuova —, potem, znów idąc w lewo, ruszamy niezmiernie długą galeryą Prokuracyj nowych; a przybywszy pod Campanilę zwracamy się na prawo, jesteśmy na Piazzetta i śpieszymy wzdłuż biblioteki i w końcu jęj stajemy nad morzem i widzimy już cały przepych wstępu do Canal Grande.



Św. Marka, co świeci orientalnym przepychem, i wieżę zegarową i Campanilę z przeszliczną Loggią swoją; przypomnijmy sobie, że posadzka tej sali, którą placem Św. Marka zowią, są marmury czarne i białe, niby w kobierzec mozaiką złożone, a stropem tej sali jest to gorące, ciepłe, promieniste niebo włoskie; a nadewszystko, że tuż obok, bo 10—12 kroków od biblioteki lub pałacu dożów, igra morze —, to nieskończone, to odwieczne morze —, a przyznamy, że na całym świecie nie ma drugiego placu Św. Marka; przyznamy, że wszelkie podziwienia, choćby najgęściej słowami ogadane, w rycinie opatrzone, nie wyczerpią nigdy tych piękności. Możemy wracać i wracać do Wenecyi, odwiedzać dzień w dzień plac Św. Marka, a nie przesyćmy się nigdy jego widokiem; bo co istotnie piękne, to nie sprzykrzone nigdy; bo piękność, podobnie jak prawda, choć dawna jak świat, nie starzeje się nigdy, jest wiecznie młodą, wiecznie odradza się wdziękiem, jak one bogi Olimpijskie, wzniesione nad krzywdy światowe i ziemskie niedole.

Lecz pamiętajmy, że w tych świetnych dziełach architektonicznej piękności żyje jeszcze przeszłość, a przeszłość tak promienistej, tak wielkiej sławy. Tu na tym placu Św. Marka, w tych pysznych pałacach rodziły się czyny, co już głośnie przez świat i stulecia wszystkie; w tych przestrzeniach mieszkał duch historii powszechnej; tchem jego uniesiona Wenecya dokonała spraw, które jej samej poszły na jasną chwałę a potężną moc, a całemu ludzkiemu rodowi na uzacnienie umysłowe i wieńce uroczę. Bo tutaj, wśród błyszczących czynów miecza a laurów mądrości politycznej, zakwitły też wieńce nigdy niezwiędłe sztuki pięknej.

Zważmy — człowiek każdy odbiera od natury ciało, by duch jego miał ogniwo, coby go łączyło ze światem fizycznym, z naturą materialną; lecz choć to ciało jest darem dane duszy naszej, ona jednak jest jego mistrzynią a panią — a im więcej duch ludzki urośnie poczuciem samego siebie, im potężniej wzmoże się w siłę i dzielność; im tedy jaśniej przepromieni się jaką wielką prawdą, tem też ściślej weźmie pod swoje władztwo a panowanie i cielesność — tę zmysłową służebnicę swoją, czyniąc ją swoją wyrobnicą wśród materialnego, widomego świata. Wtedy głuche demoniczne moce, burzące i robiące w człowieku, umilkną; one już korne i potulne uciszą się, i słuchać będą jego skinienia, gdy je duch zakonem swoim a rozkazaniem ujmie w karby swoich rządów; bo to prawo, jeżeli zaiste ze samej istoty ducha a nie z przemijających namiętności płynie, nieskończenie wyższego jest znaczenia niż to ciało, niż te wszystkie zjawiska natury, tak przelotne i marne. Więc gdy duch przejmie sobą to ciało, wtedy on tak już zajaśnieje w tej cielesności swojej, że stanie się jego symboliką a hieroglifem, jego na zewnątrz wróżbitą; wtedy duch choć lekkim odgłosem zabrzmi w ruchu całej postaci, odezwie się w gięstach, w chodzie, w tej całej muzyce a rytmie ciała, w tej indywidualności zewnętrznej człowieka; wtedy duch sam sobie stwo-

rzy rysy twarzy, fizyognomią, wyraz oblicza, który zwróci do natury i do bliźnich swoich, i który wzniesie do Boga w posepnych lub w jasnych chwilach swojej pielgrzymki przez świat. I to przez niego stworzone oblicze będzie mu przed Bogiem i ludźmi świadectwem z odprawionego żywota na ziemi. Ztąd też, gdy przez piękność a urodę, od natury daną, przeziara albo czczość i pustkowie ducha, albo, co jeszcze straszniej, zwichnięcie i zepsucie uczuć — wtedy ta piękność fizyczna, darem dana, sama sobie będzie szyderstwem i własną siebie samej demoniczną ironią.

Jak z czelkiem pojedynczym, tak podobnie rzecz się ma z ludem każdym; jak człowiek swoje ciało, tak lud każdy bierze kraj swój ojczysty od natury posagiem. — Więc też niwy i góry, skały i lasy i rzeki rodzinne, jeżeli będą przepromienione jego myślą, a przejęte gorącym uczuciem jego duszy, jeżeli będą napojone jego krwią ciepłą, serdeczną — wtedy zapukają własnem sercem tego ludu, będą krwią krwi jego; wtedy rzeki i potoki rodzinne staną się istic pulsem rodzimego ducha ludu; wtedy powiewy i tchy staną się jego oddechem a wichry i burze własnem westchnieniem i boleścią jego. A im obfitszym znajem twardego trudu, im pełniejszym potokiem krwi uświęci oczyszczną swoją lud, im cięższą pracą, im wyższą myślą przerobi tę ziemię swoją, tem wyraźniej na nią wycisnie piętno własnego ducha; tem wierniejszym ona będzie wizerunkiem a symbolem jego istoty wiekuistej; tem przeto ściślejsze śluby zwiążą duszę ludu z naturą rodzimego kraju; ta natura, choć martwa, będzie przecież wskrós przeniknioną jego uczuciem a myślą; ta natura, choć głuchoniema, stanie się wymowy pełną i zatętni nigdy niezgasłym żywotem.

A cóż dopiero ten wenecki lud! On nawet nie miał od natury udzielonej sobie ziemi rodzinnej a gruntu dla swojej historii; ale on przemógł duchem tę naturę, sam stworzył sobie ziemię a grunt na ojcowiznę swoją! Natura osadziła, wśród adryatyckiej fali, mielizny z błota i morskiego zielska wodą zalane (Laguny) — a Wenecya na tych błotach i zielskach, wodą zalanych, wbiła miliony a miliony pałków, i na nich, jakoby na węglach dźwignęła 28,000 domów, 41 rynków i placów: ocembrowała ciosem 400 kanałów, i zbudowała półpiętaset marmurowych mostów; wykonała tłummy świątnic Pańskich, ubierając je w przepych zamożności i w urok sztuki pięknej; wysadziła miasto swoje, jakby klejnotem, nieprzebraną liczbą pałaców świecących wspaniałością i formą artystyczną. Wenecyanie ujęli w karby posłuszeństwa rozhułkane bałwany Adryatyku i szal złowrogi żywiołów, dźwigając na morzu pełnem, od samego trzonu a dna jego, mur ciosowy — dzieło olbrzymów, co ciągnie się w długości dwóch mil wśród kipiących, pieniających szalów morskich; a gdy dokonaczyli tej pracy, wtedy zaczęła, bo słuszną dumą, położyli na niej napis: że dokonana była „śmiałością rzymską a złotem weneckim“ (ansu romano, aere veneto).



Tak rósł ten morski gród i rozwijał się w państwo czarnoksiężkiego uroku i potęgi przez wieki długie, świecąc sprawami szerokiej chwały, rosnąc w sławę z męstwa i przemysłu, z mądrości politycznej i obywatelskiej cnoty; a zarazem ta Wenecya stała się ogrodem cudnym, rodzącym złociste owoce sztuki pięknej i najwyższej kultury.

Było to w stuleciu piątym, więc w onym czasie tak nocnym i smętnym, gdy wołanie Archanioła historii zabrzmiało nad ludzkim rodem, zwiastując staremu światu, że nadeszła godzina skonu jego, że nastał poród nowej społeczności, poród wśród boleści bez granic a mąk, dla których brakło wyrazu w mowie ludzi. W tym wieku piątym tak straszliwym, gdy ją już dożerał śmiertelny rak, a gdy konanie miało być jeszcze tak długie i tak okropne; w tym czasie trwogi i katuszy, o wschodnie bramy cywilizowanego świata były ciosy najeźdźców, a jakby dalekim gromem rozległy się uderzenia tłuszczy bezmierniej, tej chmury milionowych barbarzyńców Azji. I padły zgruchotane, spróchniałe owe bramy, a przez progi ich rzuca się czern jak wichur Boży, jak potop lub pożar ognisty, jak jakaś moc bezrozumna, bezoka natury — i kroczy czern przez świat. Kroczyła przez świat demonem zniszczenia ta dzicz, co miała być zasiewcą nowej historii i odrodzeniem społeczności nowej; a kędy noga barbarzyńców stąpiła, tam tumany dymów unosiły ku obłokom grody i miasta, i świątnice i uroczę dzieła dawnej sztuki, i dobytek tysiącoletniej pracy wszystkich przeszłych pokoleń; tam krew wyciętej mieczem ludności sprawiała zagony, a posoka ludzka ciekła w państwo podziemne na datek ofiarny tym wszystkim ludom, które niegdyś Rzym poświęcił na ołtarzu Jowisza kapitolńskiego. I stało się, że sąd ostateczny odbył się na oczy doczesne, że trwogi jego a odplaty, zgrozy pełne, stanęły jeszcze wśród ziemskiej tuteczności i pojawiły się jeszcze wśród doczesnego żywota.

A demon ślepy zniszczenia, negacyi i wywrotu najął sobie nieprzeliczone a przeróżne rody dzikie za czeladź swoją; dziś nazwy większej części tych ludów przepadły w zapomnieniu; historia przechowała tylko szczupły szereg imion tej różnojęzycznej tłuszczy, co mordem i pożogą wytknęła szlaki swoje przez Europę. Na czele ich wyryte płomieniem wrogie imię Hunnów. Jak upiór straszny, jak dławiciel, do szaleństwa opojony wyziewem ludzkiej posoki, pędził przez kraje szerokie zapamiętały, bezmyślny, bezsercy ród Hunnów; a wodził je, jak sęp, ludobójca Attylla, co sam się zwał królem królów, a biczem bożym. Już ciżba milionowa przepchała się przez śnieżne Alpów zapory; już cudnie piękna a błoga niedawno Lombardya ogłuchlęm pustkowiec; ustały pulsa wszelkiego żywota, sterczą jedynie samotne grzyby świątnic, grodów, kopciem czczerniałe; w rozsypiskach zwalonych cuchnie spalenizna ludzkich ciał; zwierzydki, necony trupami, sam jeden teraz gospodarzy w mieszkaniu człowieka. Cywilizacya świetna rozorana tabunem azyatyckim,

a puścizny najszlachetniejsze dawnego świata teraz rozniesione na kopytach końskich.

Lecz wśród krzyku rozpaczy, wśród jęku pożogi i mordów, ucieka gromadka mężów i niewiast i dzieci od włoskich brzegów, ścigana trwogą, pędzona strachem, unosząc życie przed ową dziczą, co się człowiekiem zowie, powierza się na kruchych łodziach morskim bałwanom i przeprowia się ku onym mieliznom błotnym; bo między nimi znalazły się takie, co nieco wystawały nad wierzchy wód. Tam ta garstka ludzi z gałęzi i liści spleta sobie strzechy, tam już postanowiła żyć i umierać. — Te są zawiązki a pierwociny tej wielkiej i sławnej Wenecyi!

Te plecione z gałęzi i liści strzechy wzmogły się w marmurowy wodny gród — a wnet zdziwiony świat, przestraszony Wschód uznał potęgę ramienia młodego państwa. Wojny Krzyżowe dostarczyły mu zasobów a bogactw, a wojna z cesarzem Fryderykiem Rudobrodym, uwieńczywszy Wenecyą koroną zwyciężką, stawia ją na czele potężnego związku Lombardzkich miast (r. 1180). Wenecyanie zdobywają Konstantynopol — tę świetną stolicę wschodnich cesarzów — i podbijają Kandyą, Moreę, i Cypr, i Zante, i Cefalonią i mnóstwo innych greckich wysp. Równie ciężko zaważyło meztwo Wenecyi na stałym lądzie; z jednej strony Istria i Friul, z drugiej Wicenza, Werona, Belluno i Padwa przyłączone do adryatyckiego grodu, — a na południu Włoch stary Tarent i Otranto i Brindisi korzą się pod przewagą skrzydlatego Lwa Św. Marka. A tak w Wenecyi odbyły się zrękowiny dwóch odwrotnych światów, rozdzielonych czasem i przestrzenią; bo w tej mórz stolicy powiazał się Wchód z Zachodem, a społeczność starożytna z nowoczesną.

Jeżeli atoli były świetności pełne te dzieje, toć one iście nie przysły darmo temu ludowi.

Czém Wenecya dźwignęła się w moc ową prawie bajeczną dla naszych prozaicznych czasów? Zkąd jej ta świetność prawie do mitów poetycznych podobna? — Wenecyanie tak ściśle zrosli sercem i myślą z chwałą a potęgą swojej Wenecyi, o ile tylko lud chrześcijański zrosć może sercem i myślą z ideą doczesną. Bo ludy wypia-stowane wiarą zbawienia to mają do siebie, że żywot tuteczny, choć promienny i treści pełen, że chwała a błogość ziemska, choć wabna i urocza, nie zdola jednak wyczerpać całej duchowej istoty ludów takowych, i nigdy nie zaspokoi nieskończonej tęsknoty co ku wiekui-stości wiedzy. Atoli lud Wenecyi tak był duchem bogaty, tak za-możny sercem, iż choć tonął okiem w odkupienia godle, co mu od Syonu jasniało nieskończoności jutrzeńką, choć go prorocтва wiary przejmowały wiekui-stości dreszczem, jeszcze go przecież było stać, by siłą olbrzymią duszy osiągnął tak wysokie przyczola ziemskiej chwały. Lud wenecki w tem się zbliżał do klassycznych ludów staro-żytności, że powinność jego względem własnego kraju była zara-zem skłonnością uczuć a osobistém pragnieniem jego; więc ofiary,



które składał ukochanej swojej Wenecyi, były potrzebą jego duszy i nieprzemogionym instynktem jego serca. I toć jest całą tajemnicą wielkości i zacności tego grodu!

Jakoż człowiek dosługuje się wtedy dopiero błęgiego, szczęsnego pokoju duszy swojej, gdy chęci jego osobiste nastroją się do zakonu przez Boga mu danego, gdy skłonności serca jego pogodzą się z ustawami prawa, a zacnego obyczaju, co przebywają żywcem w głębiach własnej jego istoty. Bo wtedy człowiek nie będzie więcej złamanym na dwoje; on wtedy już nie zazna onego, tak pełnego boleści zwycięstwa, gdy uczucie powinności bierze górę nad gorącym, choć błędnym serca pragnieniem; bo wtedy co święte, co wielkie i zacne stanie się własnym pragnieniem, własną chęcią jego; a co uzna być powinnością swoją, to nie będzie mu więcej trudem krwawym, bo stanie się nawet potrzebą jego serca, jego duszy kochaniem.

Zważmy, że czém dla człowieka, jako dla jestestwa o przyszłym, wiecznym żywocie, jest życie ziemskie, posłuszne prawdom Bożym, czém dla niego jest zaślubienie się zasadom prawa i obyczaju, tém dla niego, jako żyjącego w doczesnym świecie, jest oddanie się powinnościom względem kraju, w którym żyje. Lubo prawda, że nawet obie te strony, choć różne w człowieku, przecież w ścisłym są z sobą związku; bo im zacniej człowiek wyrobi z siebie uczucia obywatelskie, tém ściślej zjednoczą się jego osobiste dążności i chęci i pragnienia z powinnością, którą ma dla kraju swojego. Trudy i łamanie się, dokonane z ciepłą miłością, przestaną być poświęceniem ciężkiem, staną się rozkoszą, gdy w człowieku żywioł indywidualny, ludzki zesłubi się z obywatelstwa poczuciem.

Ta właśnie jedność żyła pełnym tętnem w duszy ludu Wenecyi. Wenecyanie dokonali ogromnych spraw, a historia ich jest pasmem dziwów i cudów. Ale te dziwy i cuda były tutaj naturalne, one płynęły z własnej przyrody wewnętrznej tego ludu, i dla tego nie były opłacane twardem szamotaniem się z sobą, ani bolesnym zrzeczeniem się i trudem serdecznym. Ku tym pracom a sprawom wielkim parla go własna istota jego i sama gorąca kipiąca duszy żądza, więc one nie były mu trudne. Czyliż jest poświęceniem dla róży, gdy roztula liście swoje i oddycha wonią? Czyli dla miłodego serca, rozjaśnionego miłością, poświęcenia są doprawdy poświęceniem? Ta jedność osobistych dążności i ofiar, łożonych przez ten lud dla Wenecyi, nie były mu goryczy pełnym zrzeczeniem siebie; i dla tego, jakeśmy rzekli, Wenecya z onych biednych i zaledwie dojrzanych początków dźwignęła się tak świetnie, tak okazała w dziejach ludzkiego rodu.

Lecz pytamy, jakiż to złowrogi czar urzekł tę promienną a wdzięczną panią mórz, i złożył niemocą i zaprawił zarodem śmierci jej życie, co tak świeciło chwałą wśród innych ludów?

Długi i liczny jest ów poczet smętny chorób, co trawi i pojedynczych ludzi i państwa! Owa straszliwa, tajemnicza kwoka czarna,

co ją nieubłaganem przeznaczeniem zowią, wysiaduje różne rodzaje skonu mocarstwom, i potęgom na ziemi i z ziemi zrodzonym.

Przeliczne też są choroby państw. Patrząc na ich omdlewanie, że jedne są podobne roślinom zimotrwałym, które, choć wśród mrozów stają się straszącym skieletem własnej postaci, choć gubią liście swoje i tętna swoich żywotnych soków, przecież w rdzeniu a korzeniach, w ziemi ukrytach, przechowują moc tajemniczą, co czeka wiosny powiewów i jej ożywczego tchu. I znów są inne państwa, co umierają niby roczna roślina; jak każdy jej kwiat, gdy raz przekwitnie, nie obudzi się nigdy więcej, skoro przejdzie jego pora, tak i cała roślina kona, by umrzeć na zawsze.

A jak każda roślina usycha śmiercią albo dla własnej, wewnętrznej niemocy, albo gdy jej niedostaje zewnętrznych warunków, gdy jej brak ciepła lub chłodu, dżdżu lub posuchy, cienia lub światła: tak i Wenecya skonała z obu tych powodów, bo jej poszła śmierć z własnej, wewnętrznej niemocy, a zarazem uległa pod brzemieniem wielkich zwrotów historii świata.

Atoli najczęściej prawie tak bywa, że obie te przyczyny równocześnie biją na umierające państwa. Drzewa północy tracą liście swoje nie tylko dla tego, że jesień nastaje, ale i dla tego, że są zmęczone na mocy wewnętrznej.

Jej wielkość a potęga roztoczyła się właśnie w onej epoce, gdy duch dziejów średniowiekowych w całej pełni swojej panował nad światem, gdy czas romantyczny, fantastyczny, rycerski przejmował wskroś duszę Europy: więc też Wenecya urządziła się wedle ducha onego wieku, czyniąc wyobrażenia jego węglem domowych swoich stosunków. Tak się stało, że szczupłe koło przeważnych rodzin, jaśniejących prapradziadową zasługą, ważyło w rękach swoich władztwo Wenecyi. Lecz gdy na ujściu wieku piętnastego, a przy związkach szesnastego stulecia inny nastał czas, gdy się historia zabierała w nowe drogi, w nowy zwrot duchowy; wtedy Wenecya opuściła czujność mądra, stojąca jej od wieków na straży. Wenecya, trzymając się onych ustaw a zasad od praocjów jej przekazanych, uważając możnowładztwo za piastunę i paizę swojej wielkości a sławy, lekko sobie brała one zwiastuny, co zwolna już pukaly pod fundamentem jej potęgi; nie wierzyła oznakom, co się pojawiały i dniem i nocą na niebie i na ziemi; przesłyszała godziny, co jej wybijały nowe epoki świata; i, jakby przez sen, dosłuchując się jedynie jakby z daleka wołania czasu, trwogą a przestraczem na wewnątrz wywieranym chciała uprzedzić pękające się podwaliny społeczności swojej. Ale trwogi i przestraczy były li negacyjną, więc bezżywną mocą! — Ocknęła się Wenecya dopiero przy samym schyłku ósmnastego stulecia, gdy uderzyły gromy w dawny świetny dom; zerwała się z długiej śpiączki, chcąc naprawić dawne zaniedbanie. Przecież już było za późno — Wenecya umarła! — Wenecya umarła, umrzeć musiała, bo była przeżyta, bo pierwiastek, którym



ona stała, już nie był na czasie. A choć żal głęboki przejunie serce na skon tej mórz królowej, toć przecież skon ten był wyrokiem nieubłaganęj logiki ludzkich dziejów.

Wtórym powodem skonania tej dumnej mistrzyni mórz była przyczyna zewnętrzna. I dziwnem zrządzeniem historyi, ta sama epoka, ten sam zawiązek szesnastego stulecia, co zrodził z siebie owe wielkie zwroty w dziejach Europy, był zarazem początkiem, choć jeszcze niewidnym, śmiertelnej niemocy Wenecyi; co więcej, nawet jeden z tych pojawów i wypadków ciężkiej wagi, które były właśnie czynnikami i wysłańcami onego zwrotu, stał się główną przyczyną jej skonu. Tym wypadkiem było odkrycie nowęj połkulicy świata, i wytropienie nowęj drogi do Indyj, do onego kraju marzeń całych ludzkich dziejów; do Indyj, co, jakby bajeczka czarodziejska, wabiły od wieków złotemi jabłkami wszystkie narody i stulecia. Te wypadki jak roztworzyły oczy historyi i odemknęły na oścież serce Europy, tak zarazem zostawiły Wenecyą na uboczu tych szlakow, któremi miały chodźć przysze kultury i handlowe stosunki świata, a które zarazem bogacą zamożnością ludy i nie pozwalają zdrzemać się wśród ogólnego ruchu dziejów. Wtedy dawne gościńce na morzach i lądach, których była panią Wenecya, opustoszały, ogłuchły, a z każdym dziesiątkiem lat, stała na znaczeniu stolica Św. Marka, co była dotąd pośrednicą między Wschodem i Zachodem. Co więcej, owe nowe zwroty w dziejach, wywracając feudalizm europejskich państw, zbierając w jedno ognisko ich moc, nadało im odrodzoną siłę, która znów wyrażała się na zewnątrz potęgą wojsk w karności wyćwiczonych. Gdy zaś tak na Zachodzie i Północy liczne zastępy wojenne otaczały europejskie trony, na Wschodzie też urosł Wenecyi potężny wróg. W témże piętnastem stuleciu runęło cesarstwo Greckie, a na rozsypankach jego zaświecił półksiężyc — godło islamizmu, a z nim zuchwalstwo butne i chuć podbojów. Aby Wenecya teraz utrzymała się przy posiadłościach z dawnych lat, trzeba było sił lądowych, a ona była przedewszystkiem mocarstwem handlowem, morskiem; wrychle stanęła jej przed oczy straszna prawda, że najemniki, złotem zaciężne, że krew obca a kupna nie stanie za wojsko z własnych synów. Historia Wenecyi odtąd zamienia się na historią klęsk i strat. To konanie trwa lat trzysta. Napoleon zadał jej tylko cios zewnętrzny, dobijający; lecz śmiertelny rak toczy już od trzech wieków serce Wenecyi, a konieczność jej śmierci była zapisaną oddawna, bo wielkość tego państwa była osadzoną na szczyptłych a przemijających fundamentach, zastosowanych do położenia świata, które koniecznie zmienić się musiało.

Tak jest, trzysta lat umierała Wenecya — a nieznacznie, zwolna, bo historyi powszechnęj się nie śpieszy. A jak najwyższym szczytem tutecznego żywota jest miłość, i jak ten szczyt a najpiękniejszy kwiat jest zarazem pierwszym zawiązkiem dalekiego skonu; tak też czas, gdy pierwszy tajemniczy zaród choć dalekiego upadku puścił

pierwsze niewidome kielki w życiu państwa, jest zarazem epoką, w którym ono zwykle świeci najwyższą promieniejącą jasnością; wtedy właśnie to państwo, choć z robakiem śmiertelnym w sercu, staje się podziwem i czcią świata. W tej tedy jakby pierwszej południowej godzinie swęj chwały a wielkości, ludy wykwitają urokiem swęj sztuki pięknej.

Tak to piętnaste i szesnaste stulecie jest epoką najzaczniejszych mistrzów Wenecyi, których imiona, jakby wieńcem olimpijskich bogów, jaśnieją miłością nad tym cudnym morskim grodem. A dzieła tych mistrzów żyć będą na długie, długie wieki. Choć Wenecya sama umarła śmiercią doczesną, choć ona jedynie przebywa już wśród duchów w świecie elizejskich cieniów; toć jęj malowane obrazy, jęj architektura i marmurowe postacie żyją nieśmiertelnym wdziękiem; bo one pochodzenie swoje wiodą z dziedziny nadświatnych ideałów; one, lubo na ziemi zrodzone, są poczęte w duchowych dziedzinach twórczęj fantazyi; ich nie dotknie więcj fala zawistna ani żywot ziemski, a ich uśmiech nadniebiański zwiastuje, że są bez cierpień, bo one same są bez skazy a tutecznej winy. Te dzieła sztuki, te piękności córy, co przeżyły swojém życiem bezśmiertelnę historiją swojęj Wenecyi, jawnie świadczą, że dzieje powszechnej historyi, choć są arcydziełem naszego doczesnego żywota, nie są jednak jeszczę najwyższém dziełem ducha ludzkiego.

Wszak prawda, że w dziejach państw i ludów także się dopatrzeć możemy potęg pracujących w duchu ludzkim, ale ten wizerunek nigdy nie będzie dostatecznym a wiernym. Bo choć lud każdy przędzie z miłością tę nić swoich dziejów, i rzwilża ją łzami swojemi, i skrapia krwią serdeczną milionów swoich synów, lubo dniem i nocą wirem pędzi kołowrót onęj nigdy nieznękanęj prządki, którą historiją zowiemy, przecięj nie braknie przeszkód z zewnątrz, matwiających a psujących te prace krwawe. Czasem nawet parka zawistna przedwcześnie utnie żywota nić. Gdy atoli już dzieje żadnego narodu nie wystarczą, by były jego ducha wiernęm odbiciem, tęp mnięj dzieje powszechne świata zdołają być wizerunkiem ogólnym ducha ludzkiego. Bo historya świata oddana jest ustawom przestrzeni i czasu. Jęj sceną są kraje, — jęj aktorami są stulecia i lat tysiące. Lecz scena rozszerza się bez końca, ciągle a ciągle zmieniają się dekoracye, a akta dramatu mnożą się bez końca; ten dramat nigdy nie ukończony, w nim nigdy nie spada zasłona. Tak i wizerunek, który nam podają dzieje, będzie wizerunkiem nigdy nie skończonym. I dla tego człowiek tęskni do sztuki pięknej; bo on w jęj dziełach widzi, choć w zmysłowych formach, duchową swoją istotę. W swoich tradycyach, legendach, w swojęj poezyi, muzyce, w swoich budowlaniach, rzeźbach i malowanych obrazach, naród każdy głębięj samego siebie pozna, niż we własnych dziejach swoich.

I zacnie sobie tęp Wenecya poczęła w tęp tęsknocie swojęj; ona stworzyła piękności dziwy; z łona jęj złocistej wodnej toni poczęły



się mistrze, co się stały hasłem, wzorem osobnej a nowej szkoły w dziejach sztuki pięknej. Tak tedy wśród silenia się z ciężkim trudem rzeczywistego świata, wśród łamania się smętnego a kłesk, którymi ją nawiedzał duch historii powszechnej, Wenecya była zwrócona geniuszem do nadziemskiej dziedziny piękności, z kąd jej grały tony jakby harfy nadobłocznnej.

Pomnąc na takowy dwoisty żywot tego ludu, bo z jednej strony na owo pasowanie się w rzeczywistości z historycznymi mocami, a z drugiej strony na to jego oddanie się sztukom pięknym i ideałom anielskiego uroku; rzekłbym, że w tej Wenecyi powtarzały się dzieje biblijne patryarchy Jakoba. Wszak i tego męża nawiedził na zaranin duch, wysłannik Boży, i mocował się z nim Jakób na jawie, i mocował się ciężkimi pasowaniem i rzeczywistym trudem aż do świtu. Ale Jakób miał i sen błogi, i on we śnie widział Niebo otwarte i zstępujące po szczeblach Anioły — ideały nadświatnego uroku.

Te ideały Wenecyi obecne są na tym placu Św. Marka. Bo, nie wspominając już o skarbach sztuki, zwłaszcza o malowanych obrazach, które w tych pałacach znalazły tak świetne przytulenie swoje: dość patrzeć na te same architektury dzieła, by zrozumieć myśli i uczucia, które władaly tym nadzwyczajnym ludem. Te galerie i arkady, te kolumny i stroje rzeźbione są jakby brzmiającą epopeją jego żywota.

Prokuracye stare i nowe — to są pałace stołeczne urzędu i rządu; tu przebywały korporacye, które władaly państwem, tu zatem mieszkał duch ogólny, bo abstrakcyjny, bo jeszcze nienosobiony tej starej republiki —: on w tych architekturach dumnie pogląda na świat i prawi o dziejach świetnej wielkości.

Lecz jeżeli w tych Prokuracyach Wenecya uczeiła ogół swojego ducha, ona w pałacu dożów, na przyległej Piazzecie, oddała hołdy swoje jednemu, pojedynczemu mężowi, który był też jednostką noszącą jej ducha i wcieleniem jej chwały. A lubo często były tak łązawe i smętne losy tych książąt Wenecyi, lubo ta ich złocista mitra stawała się często boleści koroną; toć jednak doża na zewnątrz państwa, bo względem obcych mocarzy, był ogniskiem i wyobrazicielem potegi i weneckiej sławy; on był narzeczonym, kochankiem adriatyckiej fali: on rok w rok zaślubiał się obrączką tej miłośnicy swojej — a te śluby uroczyste jak były pełne wysokości poezyi, tak chowały w sobie myśl głębokiej politycznej mądrości.

I znowu inny pierwiastek weneckiego ducha zamieszkał w pałacu biblioteki, w owym cudnie pięknym dziele Sansovina. Tu dawno archiwa państwa i księgi, umiejętność i historia królują w tym przybytku, jako w domu swoim; one wiążą człowieka z państwem wiedzy, a są mistrzynią całego ludzkiego rodu; ich władztwo i panowanie trwa, choć zapadają się mocarstwa a umierają ludy.

Wszystkie atoli te pałace, lubo tak różnego znaczenia dla ducha Wenecyi, będąc pałacami, są dopiero pojawem doczesnych idei; ale

jest jeszcze jeden przybytek na tym placu prześwietnym. W tym przybytku, jakby na stolicy swojej, królowała idea, wiążąca historią Wenecyi z niebem: jest to Bazylika Św. Marka. Ona nie jest katedrą, lecz domem, w którym zamieszkał Patron opiekuńczy Wenecyi, a Oředownik jej przed Bogiem. Tutaj już Niebo samo i wiekiuistość stanęły wśród doczesnego żywota, a Opatrzność sama pojawiła się wśród ludzi. Czyli tedy dziwno, że lud ten składał świętemu Ewangelicie najbogatsze dary zamożności swojej, że mu poświęcał w ofierze zasoby, zdobyte przemysłem i mieczem? Kościół Św. Marka jest jakby apoteozą najświętszych uczuć dawniej Wenecyi, jest jej miłością ojczyzny w niebo się wznoszącą. Jej życzenia serdeczne, jej obawy i nadzieje, jej tęsknoty, przetłómaczone na modlitwy, stały się czcią Św. Marka i nabożeństwem w świątynicy jego. Św. Marek — to Wenecya modląca się a szukająca opieki w Niebie.

Jakże on nadzwyczajny, jakichże dziwnych form ten kościół! Jego kształty i zarysy tēm silniej uderzają fantazyą, że się główną wystawą zwrócił do pałaców architektury szesnastego stulecia, tchnąc oddechem klassycznego świata. Więc tēż on wśród tych pałaców jest jakby gościem z dalekiego Wschodu, i znów jakby wysłannikiem starych lat chrześcijańskiej historyi. Więc tēż najwięcej jeszcze zestraja ze stykającym się z nim pałacem dożów; bo i ten zdaje się opowiadać o innym świecie, kędy inne dzieje, inna natura, inne pokolenia ludzkie.

Wiem, że zapewne większa część czytelników moich zna tę sławną wenecką bazylikę, choćby z rycin tak gęsto rozsypanych po świecie. Przecież uważałem za rzecz wielce potrzebną, byśmy im podali na fig. 4 *wystawę główną (facyatę) kościoła Św. Marka*, bo ta budowa tak jest oryginalną, a zrazu tak niby obcą, i ona tak wielce różna od kształtów, do których przywykliśmy od lat dziecięcych, iżby nam trudno było poradzić jej samym gołym opisem, nie mając zarazem przed oczyma jej wizerunku; a następnie rysunek ten będzie dla nas tēm korzystniejszym, że mimo różnych stylów, które się w tēj budowie migocą, przeważającym w niej tonem jest styl bizantyński, tak ważny dla nas, a o którym właśnie tak rzadko będziemy mieli porę rozprawiania w tēj podróży naszej. Za drugim nawrotem do tego kościoła, przypatrzmy się bliżej wnętrzu jego, a wtedy znowu udzielimy czytelnikowi widok wewnętrzny i plan gruntowy tēj świątynicy weneckiej.

Spojrzawszy na kościół Św. Marka, zrazu zawołałbyś, że to cerkiew kopolasta, naśladowująca bizantyńskie kroje, błyszcząca kosztownym marmurem, i malowana w złociste obrazy; lecz obok tego znów spostrzegasz wywijane linie kapryśne maurytańskie, i znowu igrające floresy, wieżyczki i ozdoby gotyckie. Nakoniec znowu imię samo natrąca myśl, że może ta architektura założona wedle stylu staro-chrześcijańskiej bazyliki. Słowem, zdaje się być trudnem zadaniem, abyś zrozumiał mowę i niby giesta fantastyczne tego nadzwyczajnego



czajnego budowania; zdaje się, jakoby była na polu zagadką w historii sztuki; a przecież, mimo fantastyczności i samowoli tego budowania, trudno znów zaprzeczyć, że ta dziwna a prawie dziwaczna jego różnorodność zestrojona jest w doskonałą harmonią, że tu jakiś

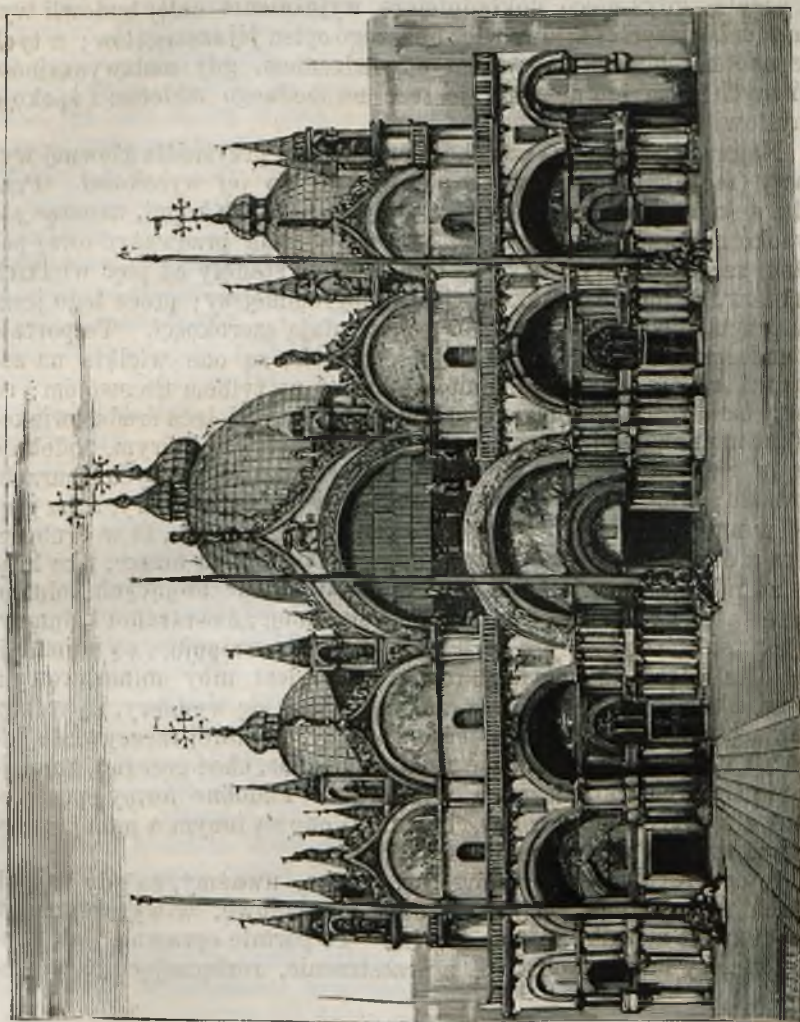


Fig. 4. Kościół Św. Marka.

duch niewidzialny pogodził i złął te przeciwieństwa w jedność, pełną wdzięku i przepychu. I ten duch jest zaprawdę tu obecny; jest to duch historii weneckiej. Chcąc poznać czém był ten lud, jakiego dzieje pierwotne i żywot młody, wyczytajmy się w ten przybytek.

jakby w symboliczną księgę, a wyproroczą nam się wszystkie tajemnice jego. Dla tego ten kościół Św. Marka mógł tylko zrodzić się w Wenecyi; tak on jest tylko jej samą właściwym, i on jedynie z jej życia wyłómaczonym być może. To zrozumienie głębsze tej architektury jest zaiste wielce zajmującym i uczącym; odłożmy je atoli na później, gdyż nieco dokładniejsze wyjaśnienie całej budowli wymaga ściślejszych faktów, więc bliższego opisu jej szczegółów; a tych niepodobna objąć za pierwszym odwiedzeniem, gdy nadzwyczajność głównych form nie pozwala jeszcze swobodnego oddechu i spokoju umysłowi (\*).

Najprzód uderza nas szerokość przeważna, przysiadła głównej wystawy (facyaty), zwłaszcza w porównaniu do jej wysokości. Prawda, że nad tym frontem dźwiga się pięć hardych kopuł, unosząc się wysoko nad światem; przecież one nie zdołają przeważyć owej potężnej szerokości wystawy, w której rzędem stanęły aż pięć wielkich portalów, z których środkowy jest najogromniejszy; prócz tego jeszcze przybudowania z obu stron przyczyniają szerokości. Te portale są umieszczone jakby w głębokich niżach; są one wielkie na zewnątrz, a mają nierównie mniejsze bramy na tylnym tle swojem; co jest właściwością nie bizantyńskiej architektury, lecz średniowiekowej, a mianowicie jest cechą romańskiego stylu, w którym, podobnie jak u Św. Marka, portal umieszczony bywa w grubych murach, z przodu; więc od ulicy ma szerokie i wysokie wymiary, a im głębiej w mur, tém się one więcej zwązają i zniżają, tak, iż w grubości muru z obu stron umieszczone kolumneczki coraz są niższe, i że krągłe arkady, łączące każdą parę naprzeciw siebie stojących kolumn, także są coraz niższe a niższe. Tak się dzieje, że ostatnie kolumny, to jest te, któremi się już do samego kościoła wstępuje, są najmniejsze. Ta głębokość portalu romańskiego jest niby miniaturowym przysionkiem. A owe, coraz zmniejszające się wymiary, są wdziedziczną zapowiedzią wnętrza samej świątynicy, w której rzeczywiste oddalenia okażą w perspektywie uludnej podobne, choć pozorne, zmniejszenia się architektonicznych wymiarów. Podobne formy spostrzegamy i u gotyckich portalów, lecz tutaj one są innym a mniej szczęśliwym krojem wymyślone.

Lecz wracając do portalów Św. Marka, uważmy, że gdy w tych niżach umieszczone portale zajmują ich połowę, w wyższej części świeci świat mozaiki na dnie złotém. \* Te portale oprawne, jak wiemy, od góry łukiem kolistym, a przestrzenie, rozłączające je na ze-

---

(\*) Zasługuje na uwagę, że w ostatnich latach zajęto się restauracją kościoła Św. Marka. Restauracya ta skuteczną została nie na korzyść wielkiego pomnika sztuki; przeciwnie, wiele szczegółów zmieniono samowolnie, bez należytego względu na wymagania artystyczne, na charakter i styl wspaniałego dzieła. Wykazuje to niestety zbyt dowodnie hrabia A. Zorzi w dziele swoim: *Osservazioni intorno ai Ristauri interni ed esterni della Basilica di San Marco*. Venezia. 1877. — St.



wnątrz od siebie, tudzież wnętrze samych niź, aż do wysokości onych złocistych obrazów, są ustrojone we dwa rzędy cienkich kolumn, z których dolne potężniejsze; a wyższe, nad niemi stojące, lekkie i misterne. Jest tedy tych kolumn tłum cały, a one najczęściej z nadzwyczaj bogatych i wielce rzadkich materyałów.

Nad temi niżami i łukami ciągnie od góry przez całą szerokość wystawy głównej (a nawet wzdłuż boków kościoła) ganek poważny; on przeto oddziela część dolną facyaty, która nierównie wyższa od górnej części. Tutaj, na tém niby piętrze, widać równie pięć niź, lubo już one mniej wysokie i mniej głębokie od dolnych; one też więcej wstecz cofnięte. Gdy one atoli umieszczone są wprost nad dolnemi, ztąd i tutaj arkada środkowa jest najogromniejsza; i tutaj w zagłębieniu tło złote, a na niem mozaikowe świeciste obrazy treści religijnej. W środkowej tylko niży nie ma tych obrazów, za to jednak tutaj osadzone jest okno olbrzymie, a przed niem owe sławne starożytne cztery konie śpiżowe, stojące tu na równi z gankiem powyżej wspomnianym. Choć atoli i na tém piętrze niże we wnętrzu swoim są od góry półkolistą arkadą zasklepione, toć te arkady są zamknięte, jakby w ramach, łukiem niby gotyckim, z maurytańska wywijanym, tak, iż w szczycie swoim tworzą ostrze kończyste, niby dziób ostry. Tak tedy te pięć łuków składają zewnętrzne kontury, wyrzynające się na niebie, a cały rąbek tych łuków wysadzany w liście, w figury, nastrzępiony floresami, a na owym dziobie stoi posąg. Więc te posągi a liście, floresy, fryzury podlatują fantastycznie w powietrznę błękitną grą i ruchem dziwacznym, a przecież miękkim i miłym, zwłaszcza już na łuku środkowym, kędy te wszystkie przystroje, a mianowicie posąg, na ostrym szczycie stojący, przybierają wymiary śmiałe i ogromne. Przecież na tém jeszcze nie koniec, bo między temi, z maurytańska fantastycznemi, łukami i floresami wznoszą się wieżyczki gotyckie przejrzyste: jest ich sześć, a w każdej z nich umieszczona figura rzeźbiona, a każda z tych wieżyczek okryta dachem spiczasto ostrym, na którego szczycie powiewa chorągiewka.

Odpowiednie tej facyacie są dwa boki kościoła; i tu arkady i niże wyższe i niższe, i tutaj ganek i wieżyczki, z tą tylko różnicą, że bok prawy kościoła (gdy staniemy obliczem, zwróconém do facyaty jego), w większej części swojej zasłonięty przez graniczący z nim pałac dożów, jak to widać było na naszym wizerunku Piazzetty. (Fig. 1.)

Tak tedy już ze samej strony zewnętrznej, tak fantazyi pełnej, tak pełnej sprzeczności przeróżnych a migocącej się różnaitością stylów, poznać można położenie geograficzne Wenecyi, bo jej niegdys pośrednictwo między Wschodem i Zachodem, Południem i Północą. Z tej zewnętrznej facyaty zgadnąć możesz stanowisko tej mórz mi-strzyny w rozwoju kultury europejskiej; podobnież tu widać, że to blisko 800 lat pracowała, by sobie wystawić ten pomnik własnej chwały i nabożności serdecznej. Jakoż, zaczęło się budowanie tej

bazyliki w dziesiątym stuleciu, więc prawie w chwili, gdy polski Mieczysław kruszył balwany. I stroiła, złościła, ubierała Wenecya ten kościół swój aż w późne lat dziesiątki siedemnastego wieku; zatem do czasu, gdy trzeci z Wazów umierał.

A cóż dopiero się działo, gdym wstąpił we wnętrze przybytku tej świątynicy! Tu najprzód przysionek ustrojony w najkosztowniejsze marmury i mozaiki i złoto. Skorom przekroczył progi, nowy a niezwykły świat zaczął grać w koło mnie — świat błyszczący niesłychanym przepychem. złocisty i pełen blasku, ale poważny i posępny.

Trudno się tu oprzeć myśli, że nas owiał duch tętnący ze Wschodu, od Carogrodu, od onej złocistej stolicy bizantyńskiego stylu. Tu cicho, bogato, smętno a świecąco! (\*).

Filary potężne czworograniaste dźwigają sklepienia, kopuły i silne koliste arkady; lecz między temi wielce podszadzistemi filarami stanęły w głównej nawie po trzy kolumny okrągłe, złączone arkadami; one oddzielają tę nawę środkową od pobocznych, a od góry na tych arkadach biegną ganki, co są niby nadpowietrzną widownią, z której patrzysz i w środek kościoła i w poboczne przestrzenie jego. Ściany, filary odziane są w płyty kosztownych marmurów czerwono-brunatnych, co się świecą i błyszczą niby kamienne zwierciadła. W tej atoli wysokości, kędy ściany i filary już się mają zamienić na łuki, arkady, sklepienia, kopuły —, w tej, mówię, wysokości już nie widać więcej tych marmurów, lecz błyszczy i żarzy się wciąż złoto. Te wszystkie sklepienia, te arkady, kopuły powleczone są jednostajnie złocistym tłem, na którym już rozpoczyna się świat mozaikowych obrazków. Całe niebo figur świeci tu i lśni w barwach, a te postaci tak są grozy pełne, tak poważne! One dalekie od ziemskiego żywota, co tętni krwią ciepłą, oddechem doczesnym, gdzie serce drga tuteczną radością i światowem cierpieniem. Te postaci bezczule, bez pulsów, patrzą nieruchome i z mrozem ze złocistego nieba swojego na nas żyjących, jako na mieszkańców innego świata. One tak samotne, ich nie otacza zielona natura ziemska, ani drzewa, ani góry, ani kwiaty — one na tłem złotem tle, tak abstrakcyjnym, oddzielone są od doczesnego żywota.

Długo jeszcze wpatrywałem się w te złote przestrzenie, co zajmując całą część wyższą kościoła, świecą i błyszczą ludem świętym, ale tak groźnym, nieruchomym i martwym. — I znów nęciły oczy ku sobie te blaski marmurowe ścian, co tak dumne posępnym przepychem. I znowu trudno oderwać spojrzenie od posadzki, co drobną mozaiką kosztownych kamyków haftowała się w kobierzec różnobarwny i wymyślnych wzorów i wzorków! Te dziwoty wszystkie potęgują się, gdy, zwolna przechadzając się, zmieniasz widownią; zwolna

(\*) Tutaj jedynie zlekka popatrzymy na wnętrze tego nadzwyczajnego kościoła; w tomie drugim ściślej rozbierzemy jego architekturę.



kryją się, zesuują dopiero co widziane perspektywy, arkady, filary, kolumny, i z wolna zachodzą na swém złotem niebie postaci owe — a z wolna występują nowe widoki, nowe arkady i wychyla się inne nowe niebo, inny ród figur świętych martwych i samotnych. Lecz choć zmienia się dramat, choć na miejscu dawnych nowe wysuwają się sceny, zawsze okazałość prześwietna, bogactwo niesłychane i przepych towarzyszy tym wszystkim scenom. A lubo przyrzekłem czytelnikowi wrócić się do téj dziwnej świątyni i wypatrzeć z niej duszę okresu, który ją stawiał, przecież nie mogłem wyzwolić się z pod oczynienia téj architektury nadzwyczajnej, i nie wiem jak długo byłbym się wpatrywał w ten świat, tak dla nas nadzwyczajny, gdyby nagle nie ożył jakiś ruch osobliwy po kościele — ; to temi, to owemi drzwiami wstępują ludzie różnego stanu, różnego wieku a śpiesznie zwracają się do wielkiego ołtarza, szepcząc żwawo, lubo z cicha, i giestykulując żywo z sobą. Lecz wśród téj rozmowy przytłumionej słychać co chwila wyraz: *Pala d'oro — ! Pala d'oro!*

I było im czego się śpieszyć, bo dość trudno obaczyć ten dziw, co zowią Pala d'oro; bo aby go ujrzeć, trzeba do tego albo zbyt wiele zachodów, albo téż przejazdu jakiejś wielce znakomitej osoby. Dziś podobno przybył do Wenecyi jeden z książąt, należących do rodzin panujących w Niemczech, i dla tego wystąpiła na jaw Pala d'oro.

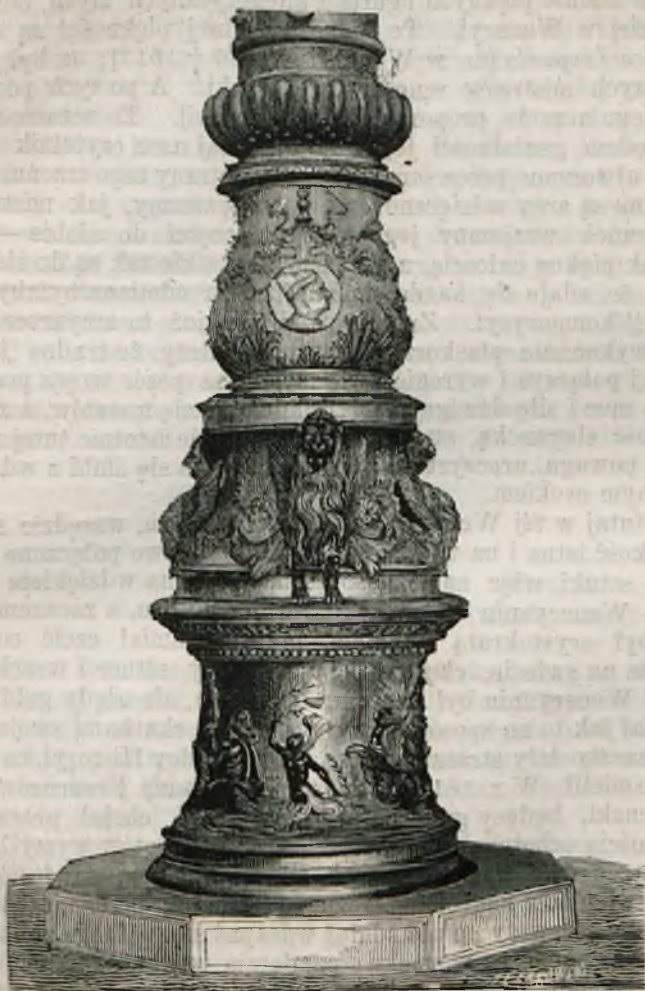
Czemże atoli jest to Pala d'oro? Oto, jest to dzieło niezmiernie uczące pod względem dawnej sztuki chrześcijańskiej, a oraz prawdziwe cudo pod względem kosztowności, skarbów niesłychanych i prawdziwie bajecznych. Pala d'oro — to obraz, czyli raczej zbiór przelicznych obrazków i wizerunków; jest to pomnik i wzór starej sztuki bizantyjskiej, a zwłaszcza malowania i rzeźby i złotnictwa. A trudno téż zrazu objąć okiem tę gęstą ciżbę drogich kamieni prawdziwie sennego ogromu; więc olbrzymie turkusy, gigantyczne szmaragdy i rubiny, onyxy i t. d. i t. d.; więc niepodobniestwem opisać te wszystkie światłości barwne, któremi wysadza i oświeca natura swoje niewidzialne, podziemne, nocne pałace, a które, wyszedłszy z głębin tajemniczycych ziemi, błyszczą się na tej „Pala“, migocą jakby w bajeczce arabskiej; wśród nich mieniają się perły zadziwiającej wielkości, których dostarczyły głębie dalekich obcych mórz. Pomijając atoli już te nieocenione skarby, na które długie stulecia się składały, dla nas ważniejsza, że to Pala d'oro jest isticie pracą starego Konstantynopola. W r. 976, gdy potęga i przemysł Wenecyi roztulały dopiero pierwsze młode listki swoje, pobożność rodzącego się miasta, chcąc niebu złożyć w ofercie zacny dar, zamówiła ten obraz w Carogrodzie, kędy stara cywilizacya wlokła już życie swoje wśród długiego smętnego konania. Prawda, że ten zbytek niewypowiedziany drogich kamieni dodany był w późniejsze wieki — , i to prawda, że nie wszystkie obrazki, składające ten obraz, w jednej epoce powstały; mimo to jednak całość nadaje się do siebie, nie zawierając sprzeczności w sobie. Na prędce licząc, dostrzegłem, że siedmdziesiąt

przeszło obrazków stało tutaj to nad sobą, to obok siebie długimi rzędami, a każdy z tych wizerunków jest wzięty w osobne architektoniczne ramy, więc od góry łukiem, od boków filarami od innych oddzielony; a każdy z tych oddziałów zdobny zwojem liści, kwiatów, gałązek, a te wszystkie floresy i zwoje i filarki wysadzone owemi olbrzymimi perłami i bezcennymi klejnotami. Cały zaś obraz wielce bogato otoczony oprawą, to jest ramą złotą czyli srebrną a pozłacaną, i dziwnie troskliwie a misternie wyrabianą. Te wizerunki rozciągają sceny, wzięte to z Nowego i Starego Testamentu, to z żywota Św. Marka; to znów widać całe szeregi archaniołów, z których każdy osobnym obrazkiem. Wszakże i tutaj, jak zwykle w bizantyńskiej sztuce, uderza nas owa symetryczność nieużyta, geometryczna, dalej chudość i sztywność figur, a brak życia; figury twarde, smętne, bez wdzięku i ruchu. A na całość tchnęła jakaś groza i smutek; przedewszystkiem niedostaje tutaj indywidualności w rysach twarzy; więc te twarze martwe i głuche, a wszystkie tak podobne do siebie, jak gdyby były architektonicznymi ozdobami — więc znać, że jakaś umarła, beztreściwa abstrakcyja przycisnęła tu duszę artysty. Słowem, okazuje się jawnie, że to dzieło jest pracą przeżytego, niedołęznego Carogrodu, którego nie stać było na śmiałą twórczość artystyczną, więc jej brak pokrywał kosztownym materiałem: złotem, emalią, cizbą perel i kamieni drogich, a tak stworzył modlitwę z klejnotów niesłychanej ceny. Lecz z drugiej strony nie sądzmy lekko o tej sztuce malarskiej bizantyńskiej i chciemy wiedzieć, że na tej Pala d'oro, jak na wszystkiem malarstwie bizantyńskiem figury miały być właśnie symetryczne, bez indywidualności, bo one nie mają być wizerunkiem ziemskiego życia; one są nadziemskie, wzniesione nad tuteczność a istniejącymi w sobie i dla siebie. I to jest właśnie głębokie znaczenie bizantyńskiego malowania, więc zrozumiemy, że dowolność ludzka nie miała mieć tutaj pola dla siebie — bo te postaci, tak twarde i bez krwi, są usymbolizowaniem uczuć pełnych grozy i smutku, których nie owiały tchy doczesnego żywota. Lecz o tém malowaniu jeszcze w inném miejscu powiemy.

Już się szarzał wieczór, gdyśmy wystąpili z kościoła Św. Marka; słońca już nie było na niebie wysokiem, ale rubinowe obłoki, palące się żarem zachodu, oświecały plac główny, a ich wizerunki świeciste, szkarłatne, kąpały się w morzu za Piazzettą. Lubo strudzony umysłowo tém wszystkiem, com był widział, i jakby zagłuszony wołaniem dawnych wielkich stuleciów, trudno mi przecież było oddalić się od kościoła i nie zatrzymać się na chwilę przed trzema masztami, utkwionemi rzędem przed świątynią. Te maszty — to świadki dawnych prawników tryumfów; z ich szczytów powiewały trzy olbrzymie sztandary, na oznakę zgromienia Cypru, Morei i Kandyi. One wysoko sięgają w niebo, jako trafne godła a zwiastuny morskiej potęgi Wenecyi. Jakoż i tutaj chwala wojenna i orężna moc szlachetnie poślubione wdziękom sztuki pięknej.



Maszty te są utwierdzone w podnóżach na trzonach brązowych, które są istic arcydziełem artystycznej kompozycji. Nasza fig. 5-ta przedstawia jeden z tych trzonów *spiżowych* tak cudnie pięknych. — Patrząc na niego, rzekłbyś, że to podnóże jakiego olbrzymiego kau-



*Fig. 5.* Trzon *spiżowy* maszty na placu Św. Marka.

delabru, lub lampy, wymyślone wyobraźnią prawdziwego mistrza onej starodawniej klasycznej sztuki — tak ta kompozycja jest cudnie zestrojona, tak te formy są przeczyste! Różne ich części to uśmiechają się wieńcem i liściem, to są z kolei zdobne w zwoje kwia-

tów lub owoców, wśród których zawieszono pęki broni i sprzętów wojennych — i świecą się wizerunki dożów i wodzów republiki. Na innej znów części podnoża widzisz cztery lwy skrzydlate; one głową i piersią występują z wnętrza podnoża, jakby dźwigając brzemię masztów; a poniżej znów inna część ustrójona w płaskorzeźby, roztańczające w cudnie pięknych figurach allegorycznych myśli, odnoszące się do dziejów Wenecyi. Te podnoża cudnej piękności są dziełem *Aleksandra Leopardo* (ur. w Wenecyi r. 1450 † 1515); on był jednym z pierwszych mistrzów renesansowej epoki. A po tych podnóżach znać to jego uczucie proporcji i pięknych linii. To uczucie właśnie jest dowodem genialności jego. Bo niechaj nasz czytelnik spojrzy na linie, utworzone przez sam kontur zewnętrzny tego trzonu, a przyzna że one są arcy wdzięczne! A potem patrzmy, jak mistrzowski jest stosunek wzajemny jego różnych części do siebie — każda z nich tak piękną całością, a zarazem wszystkie tak są do siebie nastrojone, że, zdaje się, każda choć najlżejsza odmiana byłaby zepsuciem całej kompozycji. Zresztą pomijając już to arcyurocze i poetyczne wykonanie płaskorzeźb, wyznać należy, że trudno już było genialniej połączyć i wyrazić dwie myśli, na pozór wręcz przeciwne sobie, bo moc i siłę dźwigającą ogromne brzemie masztów, a zarazem strzelistość elegancką, strojną. A to zadanie istotnie tutaj rozwiązane, bo powaga, uroczystość i potęga dziwnie się ślubi z wdziękiem i gracyjnym urokiem.

Tak tutaj w tej Wenecyi, jak już raz rzekłem, wszędzie spotyka się pańskość istna i na wielką stopę, bo bogactwo połączone z miłością do sztuki, więc zamożność uszlachetniona wdziękiem duchowym. — Wenecyanin był wielkim wojownikiem, a zarazem politykiem; był arystokratą dumnym, przecież umiał czić co zacne i wzniosłe na świecie, chętnie oddając hołdy sztuce i wszelkiej zaśłudze. Wenecyanin był kupcem, bogaczem, ale nigdy geldhabem; a wiedział jak to na sposób zacny pysnić się skarbami swojemi.

Te maszty dały straszną naukę świętokradcy Historii, co ją skalać się ośmielił. W r. 1811, za czasów panowania Francuzów, admirał francuzki, będący gubernatorem Wenecyi, chciał uraczyć lud uroszystością ochotną; więc wśród innych conceptów wymyślił i ten, aby natrzeć dwa z onych trzech masztów łojem, zawiesić na ich szczycie wieniec z nagrodami różnemi rodzaju, przeznaczonemi dla tego, ktoby pierwszy po nie zdołał wdrapać się. Takie zabawki rubaszne były naówczas w smaku; pamiętam nawet, że za moich chłopięcych lat odprawiano podobne widowiska u nas, zdaje się, że na uroczystościach zaprowadzenia wolnego miasta. Ale w Krakowie używano zwiyczajnego kija sosnowego; więc też ów zuchwalec, co się pokusił o nagrodę składającą się, o ile pamiętam, z nowej karazyi, z pistoletu, butelki wina i dukata, przyplacał to w najgorszym razie niemocą kilkodniową. Inaczej się stało w Wenecyi. Tu gubernator poniewierał starożytną chwałą, a czyniąc sobie igraszkę



z zabytków pełnych sławy, użył tych masztów do niepoczesnych swoich pomysłów. Sakiewki z pieniędzmi zawieszono u szczytu czekają śmiałków łakomych. I nie brakło ich. Wielu doświadcza swoich sił, lecz zaledwie który spał się łokci kilkanaście, już omdlewając na mocy i nie mogąc się utrzymać na ślizgich i łojem pomazanych słupach, mimowolnie spuszczał na ziemię wśród śmiechu i świstu drwiącego tłumu ludu, a na wielką zabawę i krotochwilę pana gubernatora. Nakoniec znalazło się dwóch majtków, co, zręczniejsi i wprawniejsi do takiej roboty, z całą otuchą wygranęj wzięli się do dzieła. I naprawdę jeden z nich już spał się pod samienki szczyt; już sięga po sakiewkę napełnioną pieniędzmi — wtém maszt trzeszczy, łamie się i wali na gapiącą się czerni, kaleczy wielu z niej — a majtek po kilku godzinach umiera. Atoli na drugim maszcie drugi majtek szczęśliwszy: drzewo stare dzielnie się trzyma, dygoce tylko; majtek już, już ma worek w ręku z pieniędzmi, lecz — wtém nagle omdlewają ręce, daremnie ściska nogami drzewo — spada na głowę; wnet rozbita czaszka na bruku a mózg sposoczył podnóża bronzowe. Lud wierzył, że patron starój Wenecyi, Marek Św. ukarał nieowagę starożytnęj choć już umarlój chwały. Niewiedziąc jakiego pochodzenia byli ci majtkowie; jeżeli Francuzi — słusznie, a jeżeli Wenecyanie — jeszcze słuszniej ukarani!

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg).

Prawilem wam dotychczas o placu Św. Marka, jakby na nim życia nie było, jakby ten lud włoski, co tak ciepły i ruchawy, rześki i bystry, nie istniał na świecie; — i zaiste sam jedynie duch piękności, przemieszkujący w tych okazałych budowaniach, dawał nam wyłącznie posłuchanie; przecież na tym placu żwawo i ruchawo, tłumnie i gwarno, świecisto i wesolo.

Gdy drzewo kona, usychają najprzód liście i drobne gałązki, potem więdnije życie w tym i owym konarze, nakoniec całe drzewo jest istnej śmierci obrazem; lecz lubo to drzewo stało się wizerunkiem skonu, jeszcze w głębi jego pnia, jeszcze w jego rdzeni, w jego sercu żyje ostatkami życie; podobnie, gdy człowiek umiera, skrzepną naprzód członki od serca odległe; zmrok, wysłannik nadchodzącej nocy, zalewa oczy; zmysły, wiążące nas z materyalnym światem, gasną po jednym; lecz choć już śmierci godzina wybiła, przecież serce dygoce, i puka uczuciem, miłością i ostatniem świata pożegnaniem, a zarazem to umierające serce drga w sobie wiekiuistości tęsknotą. Wszak i w epokach historii, gdy cnota schodziła ze świata, gdy rak zepsucia już toczył mnięj zacne społeczeństwa członki;

jeszcze wtedy szczupłe grono najszlachetniejszych ludzi przechowywało cześć dla tego, co uczciwe, co dobre i święte na ziemi; w ich piersiach, niby na ołtarzu Bożym, gorzał jeszcze płomień wiekuistych prawd, i świecił jasnością nieumierającego nigdy zakonu. Podobnie dziś dzieje się z Wenecją. Dalsze jej ulice, uliczki, kanały i wyspy dziś ciche i samotne, bezduszne, dalsze domy i pałace, rynki stoją martwem pustkowiem; lecz na placu Św. Marka, na tém starém forum Wenecyi, w tém jej sercu wre życie ciepłe, i kipi rzeskość ochocza, tu gwarnie i radośnie.

Patrzmyż, co się święci tu na ziemi, na tym placu sławnym, gdy wieczór zapala gwiazdziste lampki swoje i zaczyna stroić niebo mroczne w te tysiączne nocne kagańce swoje. Arkady, poziemia prokuracyj starych i nowych i tej nowój Fabrica, co je łączy z sobą, goreją światłem, istnym żarem jasności. Bo sklep przy sklepie bucha światłością gazu; więc jakby powódź słonecznych promieni zalewa arkady, a rozplywa się jeszcze po za arkady, po posadzce marmurowej samego placu. Krom tego atoli jeszcze na samym placu, bo od wieży zegarowej, stanęły gęstym nieprzejrzanyim rzędem wysokie strojne i zdobne brązowe świeczniki, kształtu starożytnych kandelabrow, a każdy z nich pali się sнопami gazowego ognia, a każdy, sądząc się by był świetniejszy niż sąsiady jego, rad udawać jakieś małe promieniste słońce. Więc też i niedziw, że tutaj późnym wieczorem tak widno jak wśród południa, tylko że oświecenie fantastyczniejsze, poetyczniejsze. Sam tylko kościół Św. Marka, tworzący czwartą stronę placu, otulił się lekkim przejrzystym mrokiem: jego niże, olbrzymie jego wieżyczki i floresy i cały ród kolumn kosztownych, i stare złociste mozaiki migocą się w cieniu, igrają niby fantasmagorye magiczne, niby wspomnienie z dalekich lat, niby widzenia, co się niekiedy we śnie pojawiają biedakowi znękanemu dziennym trudem. Zresztą cała przestrzeżona placu przestrojona, oświetlona jasno, rzesisto, bogato jako istna sala balowa.

A jaka to sala balowa! O okazalszą trudno na świecie całym. Brak turkotu pojazdów i koni, których niezna Wenecya, uczyniłby złudzenie zupełne, gdyby okrom tej wrzekomiej sali nie przypominał że to rynek, choćby rynek najwspanialszy na ziemi.

Goście już od dawna zebrani — wszak od pierwszych chwilek, gdy słońce zabierało się do snu, przyływały na plac Św. Marka liczne a strojne tłumy pięknego a wykwintnego świata. Boć to tak się dzieje co wieczór od wielu wieków, o ile tylko zawistne słoty i owe wszystkie śleپookie potęgi natury nie zdarzą się ze zwyczajem ludzi i nie zniweczą ohoty serdecznej. I pod kolumnami i od ściany pałaców dłuży się rząd nieskończony krzeselek — i znów drugi ich rząd — a wśród nich rozsypany cały ród stołów i stolików; wszak i za filarami, niby już na placu samym, jeszcze cisną się wiankami krzeselka i stoliki.

A stoliki wszystkie, i wszystkie te setki krzeselek zajęte już od-



dawna przez ludność elegancką — a garsony skoczne, czupurne wylatują z kawiarni, niosąc stopy lodów, sorbetów, czekolady i inne płody gastronomicznej sztuki. A przy stolikach krzyżują się gawędy wielojęzycznej Europy. Tu słyszysz szeplenienie piękności angielskiej, o dużych błękitnych oczach, włosach zlocistych a poci lśniącej bieli; tam znowu płonie głębokie wejrzenie dumnej córki Wenecyi; marmurowy jej profil tak bladej, szlachetny, a przecież tak wrzący życiem pełnym treści serdecznej.

Gdy tak jedna część publiczności usiadła gruppami pod sklepieniem arkad, część druga, a nierównie liczniejsza, przechadza się ich środkiem, a przechadza się zwolna, poważnie, bo tak składniej i milej, tak zręcznie im odprawić przegląd siedzących i widzieć wszystkich i być widzianym. Zresztą w tym tłumie wszelki pośpiech byłby niepodobny. Dla tego ta ludność, tak zdobna i modna, w tej wędrówce podzieliła się na dwie rzeki, mijające się nawzajem: jedni posuwają się w dal; a tamci, ciągnący się wzdłuż filarów, z powrotem wracają, aby, doszedłszy do końca arkad, zmienić role swoje. Jednak i te kolumnady, choć tak szerokie, choć tak długie, bo obejmują trzy strony placu całego, przecież nie starczą; więc i na placu samym jeszcze w koło ustawione stoliki; tam siedzą gruppami lub stoją, lub się zwolna przechadzają wśród tych placów tak okazałych, pod tym niebem tak czystym i spokojnym. Więc grona po gronach i dam i ichmościów. Damy, jak wszędzie i zawsze, w stroju co do barwy i kroju mniej więcej zgodnym z estetyką a artystyczną fantazją; ichmoście zaś, jak wszędzie w dzisiejszej Europie, w ubraniu potwornym, bezbarwnym, abstrakcyjnym. Niekiedy tylko wesoły rybak wenecki, lub ktoś inny z ludu, zabłąkawszy się w te wytworne towarystwo, odznacza się fantastyczną zwieszoną czapką czerwoną, pyszniąc się herkulesową postacią; lub madziarskie luzary, co gdzieś na łądzie zostawiwszy konie, czamarrowani złotem, brzęcząc ostrogami i szablą na posadzce marmurowej, przerywają cikliwość ubiorów, właściwych dziś poci mężczyźni, więc mniej pięknej połowie ludzkiego rodu. Czasem przesuwa się głośnie grono niewiast z ludu, a ich opalona lecz radośna, śmiejąca się twarz, a charakterystyczny strój dodają ciepła i życia tym zastępom ruchomym wytrefionej publiczności. Ale już najdzielniejszym pierwiastkiem tego życia i ruchu są owe wrzaskliwe, nigdy nie milczące, nigdy nie spoczywające demonki, co się niby w przekupniów bawia, — a jest ich gatunków bez liku i miary. To jakby podsadziste i kolosalne motyle migoczące się kwaciarki; na głowie kapelusze słomiany ogromnych wymiarów, z niego powiewają długie wstążki; na lewym ręku koszyczek zgrabny, w nim cały skład kwiatów wonnych, barwnych, w prawym ręku kwiat i bukiet; więc skoczy, sunie, dygnie, uśmiechnie się i zanim się obaczysz, już masz kwiat w ręku; przecież ten bukiet nie ochroni ciebie od drugiej a nawet od trzeciej córki Flory, zwłaszcza w razie, gdy jaką białogłową prowadzisz. Lecz nie ma się bardzo

srożyć, bo to zwyczaj i miły i wdzięczny — a te kwiaciarki, choć najczęściej same setnych i niezbyt lekkich kształtów, tak się gładko i lekko sprawują, tak sobie zgrabnie poczynają, że nie żal, choćbyś z całą kolekcją bukietów do domu wracał. Zaledwie mignęły ich kapelusze słomiane, zaledwie furkły wstążki i uleciały fartuszki jedwabne, a już znowu staje przed nami drab jak posąg, z czapką wenecką czerwoną na kruczych kędziorach, i ofiaruje gondolę w miniaturze, z drzewa misternie wyrobioną: jest tam i owa buda czarna i dziób żelazny i ławeczki, nawet dwa wiosła, a nawet w budce poduszki skórzane i szybki w oknach; więc deklamuje co gardła i perswaduje, że to najprześliczniejsza pamiątka z Wenecyi, którą zabrać możesz do kraju swojego. Jeszcze ten nie skończył buńczucznych panegiryków swoich, a już obok niego chłopiec trzyma na wyfiochowanej desce suche konfitury, nadziane na białe strugane drewnianka; a pokazuje jakto, niby brylanty i dyamenty, na owocach świeci i migoce cukier; a chłopiec dowodzi, że to isticie owa ambrozja, którą niegdyś król wysokiego Olimpu zajał w gronie wesółych śmiejących się bogów, popijając nektarem. „Zapewne pan skosztujesz moich pomarańczy“, woła trzeci, niosąc przed sobą na ramionach kosz pełny tych złocistych darów południa; ten sobie jakoś praktycznie postąpił, bo w koszu kilka przedziałów, a nad każdym z przedziałów sztandarek papierowy z ceną owoców w nim objętych. Kupiłeś pomarańcze. „Mam przesłiczne nożyki, których doskonałość *stipendia* nadaje się do pomarańczy“, woła znów inny, pokazując znów zbiorok dość licznych scyzoryków. Ten jego sklep chodzący obejmował wszystkie materyały do pisania. A choć ten towar jego nieosobliwy, tak jednak umiał smacznie ułożyć i tak artystycznie ugruppować, a tak wie jakto pokazywać i zachwalać ten biedny handelek swój, żeć się isticie zdaje, jakobyś widział utwory najwyższego ukończenia; a był to ładny chłopczyzna, a tak mu też jakoś mądrze i figlarnie z oczu patrzyło, że trzeba było koniecznie bliżej rozpatrzeć się w jego magazynku wędrownym. Ze zwinnością Pinettego pokazuje wielobarwne i różnowonne laki i ołówki, kałamarze, nożyczki, pieczątki, piaski złociste, noże ze słoniowej kości, a nade wszystko już rozwodzi się nad wyborem swojego papieru listowego. Więc najprzód roztasował listy z przyczółkami widoków weneckich — ale znać, że ich artysta miał więcej odwagi jak szczęścia: *honneur au courage malheureux!* Nie kupisz. — Więc rozkłada nasz Włoszek cały zbiór innego papieru, i milczy — ale oczy mu się coś śmieją — to nie bez kozery, bo to isticie papiery symboliczne. Jakoż nie tylko znajdziesz żółtawe, zielonawe, zlekka różowe, i szare i błękitnawe — a każda barwa, jak wiecie, coś gada, coś znaczy — lecz, co więcej, każdy list na czołku ma jakiś kwiatek lub ziółko.

Te roślinki, te istotki, tak nieśmiało niewinne, mistyczne, idą jednak w posły od serca i niby gości, lub rumieniec, lub westchnienie z cicha prawią, czego usta wymówić się lękają. Rozpatrz się w tych



listach zagadkowego przeznaczenia! Rozumie się, że najprzód klasycyzmu nie braknie, więc zaraz na pierwszej kartce w pełnym przepychu rozkwitła róża — w jej liściach, jak w wonném łódeczku, całe gniazdo śpiących amorków, co się otuliły, niby w kołderki, w motyle skrzydełka swoje. Na innej ćwiartce ogadane oddawna niezapominajki — mdłe biedaczki mają lezkę rosy w oczku i milczą i czekają. Dalej fijołek, co to wstydliwą główkę pod trawkę chowa, a za to nęci mocnym zapachem, jakby wołając, żeby przecież o nim pamiętano; — i znów przedpotopowy sztywny klasyk — tulipan, co egoista dumny swoją barwą i starożytnym rodem, lecz bez zapachu i wdzięku. Tuż po nim na żółtawym papierze chwiejąca się i niestała w swoich sentymentach trzcina wodna; znać że ją jakiś nowy wiatr zawiął, bo się zwraca obcesem w inną stronę — to będzie istny przytyk do kogoś! Na innej ćwiartce welinu jakiś nieszczęśliwy słonecznik z ciemném opaloném obliczem, o żółtych płomienistych liściach — on cały jakby w sznur powykręcany, widąc jako on zwracał się za miłością swoją, za jakimś tam słońcem swoim. Słońce jednak na niebie wysokiem nie wie nawet o jego czułościach, które niedostępne dla niego — a on nieboraczysko ze swoim kochaniem bez nadziei umrze na ziemi, wśród ubogiej zagrodki swojej. A to znów nowa czyli stara myśl, bo arcy prozaiczna, arcy praktyczna — jakoż ten tu list, nie ofiaruje kwiatów żywota, lecz za to zwój kłosów zbożnych, z których będzie chleb, a może i z masłem. I znów inna winiетка romantyczno-fantastyczna — pokrzywa kwitnąca!... I jeszcze inne, i jeszcze inne godła. Dziwna przecież, że nie mogłem nigdzie znaleźć białej lili! Kto wie, może wszystkie już wykupione. Co do mnie nie będąc już młodym, nie mając już potrzeby onych rozmów na hieroglify, ani żadnych malowanych dragomanów dla afektów i sentymentów, nie kupiłem tych listów; lecz, wynagradzając jako tako filutkowi czas stracony, nabyłem wiele od niego zachwalony kałamarz podróżny, zamykany niby arcy szczelnie. Przecież ten kałamarzyk, jak się później w drodze pokazało, nie odpowiadał wcale swojemu zadaniu; złośliwy zdrajca zawsze podstępnie się roztwierał. Zwyczajnie jak łotrzyk, nie wierzył, że każdy prawy kałamarz jest na to, aby służył, jak może, pocziwiej sprawie, aby nie czernił, nie walał, nie plamił. Zatem też między nami na tém się skończyło, żem mu wypowiedział urząd — a tak poszedł w rupiecie wymietne.

Iście bał najzupełniejszy! Teraz nawet zabrzmiała muzyka. Prawda, gdy się zatapiał w towarach koczującego sklepu, kapela wojskowa stanęła na środku placu Św. Marka. Lud, co tak kocha muzykę, otoczył ją gęstém kołem. Więc nie widać grających, ale ich stanowisko odznaczają latarnie świeciste, wysokie, ustawione teraz wieńcem wielkim oświecając im nuty. Muzyka wyborna. Kapela gra jedną z tych starych melodyj madziarskich, co tak dziwnie, tak głęboko przejmują. Zrazu grzmi dzikością ognistą, szaleje na-

miętnością wrzącą, zmysłową, porywa zapomnieniem siebie; przytęm zuchwała, butna i sroga. Wnet atoli te tony straszne miękną i rzewną żalością płaczą; — znów dźwięki przenikliwe, niby rozpacze czystej miłości, niby jęki niewieście przeszywające serce wskrós — i szlocha i skarży się ta muzyka, i boli i kwili, przedzierając się w głąb' duszy słuchacza. Aż oto, jakoby anioł pociechy, powiewając skrzydłami nad grobem miłości, ochładza rany i bóle, i łagodzi cierpienia i goi żale — już anioł zcałował lzy gorące. Kończy się ta dziwna melodia jakimś tryumfem uroczystym, pogodzeniem ducha z sobą i z niebem, i zaślubieniem go z tém, co nieskończonóm, nadświatném. Tak, zdaje się, że to tutaj sztuka rodzima, że uczucia natchnieniem zgadły, że pathos, — ta moc, co unosi człowieka do czynów, co nim włada wszechmocnie a porywa urzeczeniem, — znajduje ukojenie swoje i ukołysanie w prawdach przedwiecznych; że dźwięki pojedyncze fałszywe, rażące serca, spływają i topnieją harmonią w muzyce wiekuistej!

Bo zawsze a zawsze w tej sztuce tonów schodzą się dwa światy, bo nie tylko ducha i natury, ale myśli i dźwięków. Wszak ta sama muzyka jeszcze okazuje, że, wcielając się w tony, godzi ziemskie uczucia, życie doczesne z żywotem wiecznym, z zakonem, co króluje nad światem. A to jest właśnie jednym z najważniejszych pierwiastków każdej muzyki prawdziwej.

Choć ta tu muzyka wojskowa należy do pierwszych swojego rodzaju w Europie, choć wykonywa po mistrzowsku najwyższe kompozycje; przecież myślę, że dla rodzajów melodyj węgierskich nie ma nad muzykę cyganów, jak ją to słyszeć można po kąpielach na Węgrzech. Te tony przenikające, te przeszywające jęki tych skrzypców cygańskiej muzyki, podobno nazawsze każdemu w pamięci zostaną, kto je raz w życiu posłyszał.

Czas atoli i na nas, byśmy, opuściwszy te nieruchome stanowisko nasze, doświadczyli z innymi wędrowki wzdłuż tych okazałych arkad. Więc prawie od zegarowej wieży ciągniemy zwolna kolumnadą Prokuracyj Starych —, potem, zwróciwszy się na lewo, idziemy wzdłuż kolumnady owiej Nuova Fabrica, i znów puszczamy się temi przeslicznemi, tak pełnemi okazałości, podsieniami Prokuracyj Nowych. Lubo jednak tu zawsze i wszędzie świecisto, bogato i modnie i strojnie; przecież widać, że publiczność w różnych miejscach różną przybiera fizyognomią. Bo choć ona miesza się z sobą i splata, jednak, rozpatrzywszy się bliżej, zgadniesz, że są kawiarnie przeważnie ulubione przez cudzoziemców, a inne znów przez swoich, że w jednych dawną tradycją zbiera się historyczna arystokracja Wenecyi, a znowu w innych skromna, średnia warstwa społeczności. Gazet w tych późnych chwilach już nikt nie czyta, bo tę pańszczyzną nowożytną cywilizacji każdy już odbył w przedpołudniowych godzinach, schował siwą głowę między nowinki gadatliwe i plotki, co mu je baje jakiś dziennik-sroka. Więc zwolna wśród tłumów po-



suwając wędrowkę naszą, puszczaamy mimo nas coraz inne a inne sceny i figury, jakby cienie chińskiej latarni. Aż też stanęliśmy na końcu Prokuracyj Nowych, więc tuż obok dzwonnicy Św. Marka, co lekka niby dziewica, eteryczna jak miłosne westchnienie, wzbija się w niebo ciemne. Obchodzimy ją w kolo — a u jój podnóża patrzy na nas przez noc ta Loggietta, świecąc białą marmurów i wdziękiem linii swoich, i prawi nam o mistrzu swoim Sansovinie Florentczyku, co stworzył to cudowne cacko dla Wenecyi, przybranėj ojezyny swojej (\*). A tak stanęliśmy na Piazzecie. Jak tu cicho i spokojnie! Tutaj oświecenie, lubo dostateczne, zdaje się przecież mdłe i blade obok onėj jasności jaskrawej, która nas dopiéro co opływała na placu Św. Marka. Te kilka płomyków, co się migocą w latarniach, oświecają tylko własną samotność swoją. Gwary tłumów i tony muzyki, przyplływając z placu Św. Marka, jedynie stłumioną falą zalewają Piazzettę, a wtóruje im rytmiczny szum morskiej fali: ona coś szeptem i gada, niby przez sen coś prawi.

Tutaj tak cicho i spokojnie, tu można odetchnąć głęboko, szeroko — odetchnąć oddechem morza. W półcieniach rozpoznać zdołasz grupy samotne, przemyskające, jak duchy, po podsieniach pałacu dożów —; inne znów postaci stanęły w środku gronem i gawędzą; bo tu tak miło i swobodnie, tutaj nikomu się nie śpieszy. Te marmury pałacu dożów, dziergane fantastycznie, otuliły się zagadką na polu przejrzystej nocy, i niby występują z ciemności i znów się chowają i znów się jawią jakby myśl wielka, co, bliska zrodzenia, porusza się w duchu wielkiego człowieka. Zbliżamy się do pobrzeża — akkordy morskie z każdym krokiem silniejsze a głębsze. Tuż pod stopami naszymi to morze, ten stary sfinx stworzenia; czyli on drżmie w pokoju, czyli się miota gniewem wśród burzy, czyli płasza radością pod pocałowaniem lekkich powiewów, znać iżby rad przemówić — bo on kronikarzem dziejów ducha ludzkiego, bo on się patrzył gdy Bóg rozdzielał suchę od wód, gdy pierwszy człek się rozdził, gdy pierwsza krew płynęła po ziemi; z jego łona pojawiły się dzisiejsze części świata, on zamknął w swoich głębiach stare lądy pradziadowe. I rad przemówić stary sfinx, a sili się i biedzi. Nikt atoli z ludzi nie zrozumie już tej mowy jego, bo przeczcucie duchowe a natura już rozwiódły się na wieki od siebie. Tylko nauka a mądrość prawdziwa znów zdoła ześlubić i połączyć oba te bieguny odwrotne.

Owe granitowe kolumny nad brzegiem wzlatają w noc. Jednak Św. Teodor i Lew Ewangelisty niewidne na tych strażnicach swoich. Na stopniach marmurowych, zstępujących do morza, zasiedli gondolierzy i gwarzą z sobą — inny prowadzi się z kochanką swoją; mimo ciemności atoli rozpoznać możesz cizbę czarnych gondoli, uwią-

(\*) Zob. powyżej str. 134.

zanych niby trumny pływające. Naprzeciw nas — tam za wodą — na wyspach di Giorgio i Giudecca goreją ogniska rozpalone na brzegu; te ogniska przezierają się w morzu, więc ich wizerunki niby światełka błędne płasają po falach, migocą się, mieniają i gasną w wodzie, i znów się zapalają, i znów nikną, i znów się jawią.

Idąc z wolna, wzdłuż pałacu dożów, zbliżyliśmy się napowrót do placu Św. Marka. Wtedy mimowolnie przez duszę przesunęły się wspomnienia dziejowe z dawnych, bardzo starych lat — i te wspomnienia ulotne, migotne były niby błędne światełka, co hulają po grobach historii, po cmentarzach przeszłości. Tutaj, na tym placu odbyły się, jako na forum, wielkie zdarzenia Wenecyi; tu grały czarne i jasne jej losy, tu odbywały się jej trwogi i tryumfy, jej radości najwyższe; tutaj na tym placu podrzucały ją ostatnie konwulsyjne konania.

Jest temu bez mała pięć stuleciów, gdy na tym tu placu świętecznie ubranym, przystrojonym brzmiała radość i świetne turnieje, uczty, muzyka i tańce. Bo doleciała przez morze wiadomość, że Kandya, owa wyspa bogata, potężna, zdobyta i połączona z dziedzictwem Św. Marka. A zewsząd płynęli tłumnie książęta obce, by obchodzić uroczystość. Tu przed Bazyliką urządzono wysokie podniesienie, na niem stał doża i senat, patrząc na te uciechy szczęśliwej Wenecyi. A obok doży stał gość, co choć nie książęciem, ani mocarzem, ale był gościem nad goście — bo to był Petrarka.

Ot tam znów nad morzem, właśnie wśród onych kolumn granitowych, właśnie pod Lwem Św. Ewangelisty, tam w r. 1625 przybiły bogato wystrojone gondole, z nich wysiadły liczne grona mężów obcych w świetnych strojach. To król wicz polski Władysław IV, otoczony dworem i ludem weneckim, udający się przez Piazzettę do Bazyliki Św. Marka. A znowu pod sam koniec tegoż stulecia (1699 r.), dama w czarnym stroju przyklękła w Bazylice, modląc się za zmarłym małżonkiem; tylko szczupłe grono otacza żalobną niewiastę. Bo ona, unikając natłoku cisnącego się ludu, w tajemnicy odwiedza świątynię. Zaledwie atoli wystąpiła z kościoła i stanęła, by się przypatrzeć tym przepychom jego głównej wystawy, gdy poznana i już otoczona była okrzykami przywitania; już ze sklepów, z domów, z gondoli śpieszy lud ciżbą tłumną, by obaczyć, by uczić królową polską, wdowę po onym bohaterze, co zgromił wrogów wspólnych Polsce i Wenecyi i całej kulturze europejskiej (\*).

Gdy tak przebierał w pamięci obrazki ze starych wieków, mocniej a mocniej przyplływała muzyka z placu Św. Marka; muzyka, przegrawszy przeróżne kompozycje najcelniejszych mistrzów włoskich, teraz kończy serbską melodyą. Z nienacka, jak gdyby na

(\*) Co do pobytu Maryi Kazimiry, małżonki Jana III, w Wenecyi, ob. Viaggio a Roma della S. R. M. Maria Casimira i t. d. przez A. Bassani. Roma 1700.



dobranoc, kapela zaniechała bezdusznych narzędzi muzycznych, zmienia muzykę instrumentalną na śpiew — jak gdyby szło o prym między sztuką, co się rodzi z drewna i metalu a głosem ludzkim. Z kolei słyhać to granie, to śpiewanie — a ta melodya serbska, lubo tak tęskna i prostoty pełna, przecież pełna potęgi i do dna porusza duszę człowieka. I słuchają Włosi tych tonów obcych i cudzych a z milczenia i bacznej ich uwagi, ze słów kilku, które przemawiają do siebie, widać, że zrozumieli tę muzykę, że im trafiła do serca. Bo muzyka jest językiem wspólnym, powszechnym wszystkich krajów, wszystkich ludów.

Niezadługo olbrzymy śpiżowe na wieży zegarowej uderzyły północ. Północ — a tu przecież dzień pełny, jasny na tym placu czarodziejskim, oświetlonym i tysiącem płomieni i jasnością duchową, co mu promieni z dawnych lat. Więc też tak trudno go zażegnać i uwolnić się z pod urzeczenia magicznego, w którym nas trzyma. Zatem raz jeszcze puścimy się wzdłuż tych jego arkad wszystkich, raz jeszcze go obejdziemy w koło — a potem — czytelniku szanowny „Dobra noc!“

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

Od progu oberży naszejzaledwie masz trzy kroki do schodów ciosowych, o które się pluska morze. Tutaj o każdej godzinie widać tłum gondoli, co z sobą pogmatwane jakby kłębkami chaotycznym. Gondolierzy, czekając na gości jakich im bogowie sprowadzą, złożyli wiosła swoje, i, to leżąc, to stojąc, lub siedząc, bawią się w ukochane far niente. Ci z sobą radzą i gwarzą, ów zajada melona lub brzoskwinie, a tamten znowu wśród ciepła drzémie, a kołysze go miękka fala. Zaledwie atoli kto z podróżnych wystąpi z hotelu, już przerwane gawędy, sny i zajadanie, zewsząd wrzawa, zewsząd głośne hałaśne polecanki i wychwałki; wszyscy mają do ciebie przemowy, każdy cię przekonywa, że to on właśnie być winien owym choćby „z tysiąca wybranym“. Ten się chęłpi, że jego gondola nowiuteńka, tamten się zaklina, że już w całej Europie nie ma tak pulchnych poduszek jak te, któremi się szczył „barka“ jego; inny pokazuje z fanfaronadą olbrzymie ramiona, pytając czyli wątpimy, że polecim strzałą przez wodę, bylebyśmy się jemu powierzyli. Kto z nich bliższy już wyskoczył na schodki, przytrzymując gondolę łańcuszkiem; albo już przygotowaną deskę położył niby mostek jednym końcem na schodku, a drugim na brzegu swojej gondoli. Wśród ogólnego rajwachu dostrzegam, w rzędzie gondoli najwięcej od nas odległych, staruszka — on widać nie przegada, nie przekrzyczy

młodszych kolegów o herkulesowych piersiach; więc fizygnomią, ruchem rąk, giestami wszelkiego rodzaju zachęca, nęci, wabi do swojej gondoli. Czapka jego niegdyś ponsowa, teraz spłowiała, żółkła, i on sam biedaczysko spłowiał od lat i trudu; z pod tej czapki wrzadkie kosmyki wyslizgują się włosy białe — a opalone jego ręce i ramiona tak chude i biedne!

Gdy jakoś hałaśne samochwalne panegiryki przypadkiem na chwilkę zapauzowały, starzec korzystając co tchu ze sposobnej pory, woła: „Niechaj mnie państwo weźmą, jam człek dawnej daty, ja znam Wenecyą jak siebie samego, ja wszystko państwu opowiem!“ Wtém zewsząd, jak roje komarów, uderzyły na niego żarty i drwinki i, zwracając się do nas, chór cały woła: nie bierzcie go państwo, bo on zbutwiały i barka jego zbutwiała, on nic nie wie, on do niczego! — Dałem mu znak żeby podpłynął, i od tej już chwili ustał harmider jakby uciał, zamęt gondoli się rozgmatwał — deska podana — i my już w gondoli. Lecz gdy rzekłem do starego, że na „Canal Grande“ jedziemy, jeszcze jeden z towarzyszyw jego przemówił, a było właśnie ten co najwięcej hałasił, szumiał i huczał, szczyjąc się siłą swych ramion. A teraz on już poważnie z cicha przemówił: „Canal Grande“ tak długi, wypadaloby państwu wziąć „due Cavalli“ co znaczy: dwa konie, alias dwóch gondolierów. Prawda — miał słusność! Zaledwie atoli obaczył, że się zastanowił, a już cię skoczył do naszej gondoli i uchwycił wiosło — skinął na starego, ten giestem zadowolenia odpowiedział — i ruszyli. Nasze oba gondolierzy teraz przyjacielmi od serca. „Jedźcie jak najwolniej“ poleciłem im „i zatrzymujcie się przed każdym kościołem, przed każdym osobliwszym pałacem!“

Zaledwie ruszyliśmy, gdy gondola nasza przemykała się około ogrodu, zwanego Reale, co tuż pod pałacem Reggio. Ten ogród, czyli raczej ogródek, jest isticie dziwnych uroków. On to styka się z hardą, pełną przepychu marmurową architekturą — to niby płynie na morskich zwierciadłach, co igrają u stopni ciosowych tego zielonego światka wdzięków magicznych. W tym ogrodzie natura cała bujna, kwitnąca całą pełnią swoją; ten ogródek jest isticie jakby cudownem widzeniem w tej Wenecyi z fali zrodzonej. Gdy te pałace jej tak dumnie patrzą, mierząc świat daleki, gaj morze wtóruje im starowiecznym hymnem swoim — tu, na tej drobnej przestrzeni, drzewa wiążą się gęstym splotem liści w nieprzejrzyste sklepienie; krzewy wonne, rod wdzięczny kwiatów, ubrany w różnobarwne szaty, zebrały się w bukiety strojne, a ścieżki, lśniącym piaskiem wysypane, śpieszą w gęstwiny mroczne, kędy roje ptaszków wyspiewują chorem piosenki miłosne. Złącz te wszystkie wrażenia razem i stanie ci zaprawdę przed duszą czarodziejska Armidy. Cesarz Napoleon I założył to miejsce rozkoszne. On Wenecyi darował ogródek za Wenecyą. Mówią także, że pani Sand, co tak często lubi czynić Wenecyą światem powieści swoich, w nocach pogodnych po-



lecała swojej gondoli płynąć ku ogrodowi temu, — i siadała na stopniach jego, prowadzących ku morzu — i, odprawivszy łódź swoją, w cichej samotności podслуhiwała pieśni ptaków i szeptów liści, kwiatów, i morskich gaworów. Wśród tego koncertu, dumając i marząc, trawiła długie godziny. Dopiero, gdy gwiazdy jedna po drugiej gasły, a niebo na wschodzie zadygotało rodzącym się dniem, wtedy gondola czekająca z daleka zbliżała się, zawołana tonem piszczalki malej.

Wierzę, że to nielada były myśli i obrazy, które występowały z duszy poetki wielkiej, gdy w tych godzinach, w tych miejscach dawała posłuchanie naturze i historii; że to były nielada uczucia, które jej przynosiły i magiczne mocy przyrody i duch dawno minionych wieków. W tych chwilach geniusz poezyi zwierzał się jej z tajemnic swoich.

Lecz jeżeli sama pani Sand, z talentem tak potęgi pełnym, nie pomijała sposobnej pory, któraby ją mogła natchnąć twórczą siłą i poruszyć struny spoczywające w jej duchu; więc niechaj nie będzie wstydem żadnemu z poetów lub artystów, jeżeli chętnie dusze podda wrażeniom zewnętrznego świata, by go potrafiły zachwyceniem wieszczem, i by, użyczając treści dla fantazyi jego, rozpalili w nim potęgę twórczą, co płodzi i rodzi.

Kto atoli od samej przyrody nie uswięcony na mistrza, w takim nie zagoreje nigdy święty płomień natchnienia. Ten nie będzie miał oczu i uszu i serca dla zjawisk zewnętrznych, i nawzajem świat w koło niego tak bogaty i pełny osnowy, będzie mu stepem głuchym i martwym. Bo wiecznie waży dawna prawda, że każdy tyle widzi i słyzy w świecie zewnętrznym, ile sam w sobie ma wartości, ile sam w sobie ma treści. Nie przeczę atoli, że też istny poeta i prawdziwy artysta także miewają chwile, w których duch ich niby zjałowuje i ogłuchnie w sobie — i będzie pusto i bezdzwięcznie w sercu; ale i temu trudno zaprzeczyć, że wytrwałość uporna, że ćwiczenie się i wprawa, że nieustające stróżowanie nad sobą, zdołają przemodź tę ducha jałowiznę, dokazać, że coraz rzadziej a rzadziej nawiedzać będą te chwile bezsilne, bezrodne. Wszak jest również zasadą, już przez nas wspomnianą w innem miejscu, że pierwsze potraćenie do dzieła sztuki nie powinno nigdy iść z wnętrza własnego ducha mistrza, ale od zewnętrznego świata, więc od zjawisk w życiu ludzi, lub w życiu bezduszej natury. Takowe zjawisko, uderzając o fantazyę mistrza, natchnie ją twórczą siłą; fantazyja zaś, objawszy gorącym kochaniem przedmiot, co jej w ofierze złożył zewnętrzny świat, przerobi, przeistoczy ten przedmiot, oswobodzi go z ułomności doczesnej, a, tchnąwszy w niego pierwiastek wiekuisty, tém samem już nada mu formy i kształty wdzięków nadziemskich. Przecież o tém wszystkim rozprawiałem już przy sposobności innej, dawniejszej (\*);

(\*) Listy z Krakowa. List XI.

— więc tutaj tylko przypomnijmy sobie, że wszelkie dzieło sztuki wyłęganie się powtórny kalemą, lub nawet prawdziwym trupem, jeżeli początek jego pójdzie od wnętrza artysty; bo wtedy będzie tylko myślą, myślą abstrakcyjną, bezcielesną; wrzekomy mistrz będzie naówczas chodził po świecie zewnętrznym, szukając dla tej myśli szat, postaci, szukając form obrazu; lecz co on znajdzie, będzie to zawsze wymuszonem, bo wyszukanem, — więc dziełem bez prawdziwej wartości artystycznej.

Czyliż z tego wszystkiego nie wypływa już wniosek, że poeta-artysta chętnie zapragnie potrącenia od zewnętrznej rzeczywistości, że odda ucho i serce gawędom o starych latach, że podziękuje z serca gdy mu ktoś nastarczy przedmiot. Wszak nawet podane muzykowi libretto, przedmiot obstalowany u rzeźbiarza, malarza, byle nie czczy, jest takim potrąceniem szczęśliwem.

Właśnie też dla tego poeta, artysta, pragnąc tych ożywiających wrażeń, chętnie się puści niekiedy w drogę dalszą, zatęskni do scen życia i natury, mniej opatrzonych i osłuchanych, do wrażeń dla niego świeższych, więc silniejszych; zostawując swoją dzwonicę rodzinną innym, dla których ona ma cały urok świeżości. Cóż dziwnego, że np. dla wielu Krakowianów, jako zrodzonych wśród grodziska starego, natura jego i pomniki mniej już silnie działają, niż na pielgrzymia z Litwy lub Ukrainy? Przecież jak ta zasada iść się co do przestrzeni, tak i co do czasu. Niechaj grono znakomitych pisarzy roztoczy liczne powieści na tle jednej i tej samej epoki historycznej, np. na czasach Stanisława Augusta; a wnet ta osnowa się opatrzy, te studia tracą na świeżości wrażeń, i dla pisarzy samych i dla czytającego ogółu, a odezwa się głosy przeważne, że już trzeba szukać innych przedmiotów mniej wyczerpanych. Lubo i to prawda, że przedmioty same są prawie niewyczerpane nigdy, że mogą poddać różne, nieprzeliczone strony swojej istoty, że zatem nie tak w nich samych tkwi powód zubożenia, jak raczej, że takowe rodzi się w samym duchu ludzkim, który, oswoiwszy się z niemi, staje się mniej kłiwym na potrącenie, które mu z nich płynie. Wszak niejednen, obaczywszy znięcka niewiastę pełną piękności i wdzięku, stał się poetą i wyśpiewał hymnem uczucia swoje i chwałę ulubienicy; ale, choć jej zawdzięcza poetycką wenę swoją, choć jej nawet winien, że pierwszy raz poczuł w sobie zachwyt wieszczcy, — jednak przestał opiewać sonetem i odą ową piękność, gdy się z nią ożenił; wówczas zwrócił natchnienie swoje do innych przedmiotów; więc już natura i dzieje ludzkie stały się treścią jego pieśni.

Czy myślicie, iżby Petrarca był nam zostawił tak liczny, tak długi szereg owych precudnych pieśni, uwielbiających Laureę, gdyby ją był pojął za małżonkę?

I to jest rzeczą niewątpliwą, że choć przedmiot jaki, np. okres historyczny, ustąpi miejsca innemu przedmiotowi, innemu okresowi, nawet innemu opracowaniu artystycznemu — toć przecież dzieła,



do niego się odnoszące, pewnie nigdy nie zaginą i zostaną spuścizną potomkom, o ile w rzeczy samej są dziełami artystycznymi, o ile są wyrazem sztuki prawdziwej, a nie wypadkiem manieri i osobistego zwyczajnego poglądu lub czasowej dążności.

Tak sobie roilem i marzyłem i o Napoleonie i o pani Sand, i o pisarzach naszych; bo podobno do rojeń a marzeń nie ma jak jazda w gondoli weneckiej — rozumie się jednak po Wenecyi samej, a nie tam gdzieś po stawie północnym. Jazda ta isticie duchowym jest sybarytyzmem. Patrząc się na tę gondolę z wierzchu, niktby nie odgadł zalet jej wewnętrznych. Budka wprowadzie tak niska, iż trzeba się mocno nachylić, by się dostać do jej siedzenia; lecz już usiadłszy i oparłszy się na tych skórzanych poduszkach, puchem nadzianych, miękkości arcyepikurejskiej, możesz skąpać duszę w marzeniach i rozkoszować w cudnych obrazach. Po prawej i po lewej okno, które, wedle pogody a pory dziennej lub własnego kaprysu, możesz mieć albo otwarte, albo zamknąć to szybą, to oponką, to żaluzją. A okno tak niskie, że nie trudno ręką pogłaskać morskie kędziory. I płynie gondola z miętka i wdzięcznie się kołysząc — i unosi, jako ptak wodny, wysoko nad falą swój dziób o żelaznych zębach, — a lubo on się lekko kokietując, to w tę to w ową stronę się nachyla, wskazuje przecież linią idealną przez powietrze kierunek swojej wodnej drogi. Tymczasem przez okno z prawej i lewej i przez drzwi wehodowe snują się występujące z morza precudne obrazy czarodziejskiej Wenecyi; a fale, to samorodnym ruchem, to wiosłem pobudzone, pluskają taktem rytmicznym o boki gondoli. Więc wpatrujesz się w lekkie tany tych płynnych szmaragdów, w igrzy słonecznych płomieni, co na nich się palą i świecą, i we formy obłoków, co po nich pływają, łamiąc się w stokrotne kształty; to znów po morzu, po falach, po tych igrach wszystkich oczy śpieszą ku budowaniom, co często tak okazałej, wspaniałej, a zawsze i wszędzie tak oryginalnej architektury.

„*Ecco! la Dogana di Mare!*“ woła nasz gondolier, i prawda! stanęliśmy już na wstępie do Canal Grande. I tu na lewym jego brzegu wznosi się la Dogana, niegdyś urząd celny przebogatej Wenecyi, tej pośrednicy handlu Zachodu i Wschodu — a tuż za tą Doganą wznosi się w przepychu swoim kościół *S. Maria de la Salute*, dźwigając strojną a potężną kopułę swoją. Niechaj sobie odpoczną gondolierzy, a ja znajdę chwilkę do bliższego rozpatrzenia się w tych dziełach budowanych.

Dogana jest nielada dziełem, choć cała fizyognomia jej jest już wyraźną metryką czasu, w którym się rodziła: stało się bowiem w roku 1680, więc w okresie, kiedy styl *barocco* (niby *rococo*, choć nie to samo) wydziwiał po świecie artystycznym, strojąc fiochy i spazmatyczne grymasy. O stylu *barocco* nieraz jeszcze mówić będziemy, więc jak na teraz pamiętajmy, że w nim główną cechą jest samowolność epoki, i kaprysy osobiste współczesnego mu czasu.

W tym stylu nie widzimy stosowania się do tego, czem jest rzecz sama, więc do praw architektonicznych, wypływających ze samej istoty sztuki, owszem ten styl jest raczej gwałceniem tej logiki architektury. Gzimsy zbyt potężne łamią się i nagle urywają, mury się krygują i wycinają, jakby były nożycami w tekturze wykrawane: kolumny, pilastry najdziwaczniej są użyte, a one same często niby w sznur, w śrubę skręcone i t. d. i t. d. Jakoż, jeżeli w innych stylach, np. w renesansie wcześniejszym, zwłaszcza weneckich, widzujemy niekiedy, że dekoracje architektoniczne nie odpowiadają naturze rzeczy i nie łączą się wskroś organicznie z budynkiem, toć się to dzieje jakby z przypadku; mistrz, w zachwyceniu swojej młodej fantazyi, stroi i zdoła, więc też się zdarza, że odstępuje od onej logiki. Co innego w barocco; tutajbys rzekł, że mistrz raczej z całą pełną wiedzą gwałci rozsądek, logiczność, by samowolę swoją pokazać; ztąd też przesada, ztąd szukanie efektu jest cechą tej architektury, ztąd też tak często w niej spotykamy, że szczegóły zanadto wiele mają pretensyi zwrócenia na siebie uwagi, że tedy potężniej występują, niżby im się z prawa należało. Wszelako te cechy są tylko właściwe barocco w najwyższym jego rozwoju. Że atoli styl ten ma i swoje wielkie zalety, okaże się nam również z budynków w jego duchu wykonanych.

Dogana — to gmach długi; czołem jego czworościenna baszta ku nam zwrócona. Od razu uderza nas, że do niej z trzech stron przybudowane facyaty: są to przysionki na filarach i kolumnach; tak tedy kokietuje i mizdrzy się ta Dogana w trzy różne strony. A jak narożniki samej wieży zdobne w silnie występujące ciosy, tak te filary i kolumny przepasane są dwa razy niby pierścieniem z ciosów, występującym potężnie z grubości tych słupów, są to przeto takie kolumny, któreby nasi mularze „baniastemi“ nazwali. Dach wieży, który spoczywa na wspornikach (kroksztynach) zamaszystych i strojnych bogato w płaskorzeźby, kończy się, zamiast wierzchołka, sześcianiem kamiennym. Od czterech rogów dachu aż do tego sześciannu ciągną się essay ciosowe z lekka wywijane. Na tym sześciannie klęczy dwóch olbrzymów, dźwigających na barkach swoich ogromną kulę, a znowu na tej kulicy stanęła na jednej nodze Fortuna, trzymająca w rękach żagiel rozpięty.

Wszak to wszystko dziwne i nadzwyczajne, a to tém więcej, że Fortuna i ta kula i te olbrzymy są zaiste niezmiernych wymiarów, w porównaniu do wysokości całej budowy; bo, o ile stojąc w gondoli ocenić mogę, razem wzięte pewnie zajmują trzecią część całej wysokości gmachu, licząc od samego podnoża owych filarów aż do głowy Fortuny. Przytoczyłem te szczegóły, aby czytelnik mógł przeczuć, jakim wrażeniem silnem uderzają te formy, tak dziś niezwykle. Lecz właśnie ta Dogana wyrosła Wenecyi wtedy, gdy lekko-duchy Jakób II król angielski, wyprawiał na dworze swoim nieustające



zapusty, a Ludwik XIV przebierał się za Apollina, przystrajając głowę w promienie złociste bez liku.

Nie rozumiemy atoli, jakoby tej Doganie nie było pięknie w tym jej przystroju choć tak kapryśnym, choć tak wymyślnym. Tutaj widzisz wprawdzie i wady stylu barocco, ale też znajdziesz i zalety jego, np. te szczegóły architektoniczne silnie występujące, i wybijające i wydatne i potężnie się rozpierające, wyzywają też nielada cienie i światła, które, pozwalając sobie niemało, i czernią się i jasnieją z całą czerstwością, z całym zuchwalstwem; więc też efekt tego wszystkiego niepospolity, niepowszedni. Prawda, że ten styl jest kokietą, zapominając o godności sztuki, a tylko dbając o dekoracją miejsca; ale on ma przecucie, jak się zastosować do tego miejsca, w którym buduje, i ma wykwinny instynkt, jak korzystać z perspektywy i z danego sobie otoczenia. Tego wszystkiego przykładem ta Dogana. *Józef Bennoni* wystawił tę architekturę. Trzeba wyznać, że trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek inne budowanie, co by było więcej stosownem i do morza i do otoczenia całego, jak ta Dogana.

Tuż za Doganą wznosi się kościół *Santa Maria della Salute*. Popatrzcie się na załączony tu obraz tego kościoła (Fig. 6, str. 184), lecz zarazem pomyślcie sobie te olbrzymie wymiary tej świątynicy, a zwłaszcza tę kopułę tak wzniosłą, tak hardą, a nadto to zwierciadło morskie, z którego ta świątynica wyrasta i dźwiga się wspaniałością czarodziejską; wystawcie sobie obrazy błękitów nieba i obłoków, opływające jej podnóża, a może nie będziecie się dziwili, że obaczywszy to budowanie zawołałem: ba! warto było w trzęsawiska wodne wbić milion dwakroć sto tysięcy palów, aby na nich dźwignąć tę świątynię, tak przepychu pełną i okazałą! — Dumnie i potężnie stanęła jej bania na ośmiościennym bębnie (tambour) swoim (\*), a za taką kopułą w głębi, więc dalej od wschodu, siadła, jak widzicie, jeszcze druga mniejsza kopuła, a obok tej jeszcze dwie dzwonnice smigłe wlatują ku niebu.

Gdy zaś temu budowaniu, jak i sąsiadce jego Doganie, chodzi o to, aby ze wszech stron było wspaniałem a pokaznym; więc prawie na wszystkie strony ma przybudowane facyaty (wystawy, fronty). Jakoż, na naszym wizerunku, oprócz głównego frontu, widać ich jeszcze dwa. Tak gdy opływasz w gondoli ten kościół to z tej, to z owej strony, zawsze prawie on zwraca się niby obliczem do ciebie. Przecież jeden tylko jest główny front, a w nim główny wchód.

(\*) Kopuła każda składa się z dwóch części: z kubła, to jest, z graniastosłupa lub walca wznoszącego się pionowo nad budynkiem, i ze sklepienia, które go pokrywa. Wyraz *kubel* jest polecony przez Podczaszyńskiego, przecież zdaje się, że lepiejby było użyć wyrazu *bēben*, bo ten dobitniej maluje formę tej części architektonicznej, a nadto jest swojski. — Kubel zaś pochodzi od wyrazu niemieckiego *Kübel*.



*Fig. 6.* Santa Maria della Salute.



Więc od morza samego wstępują szerokie wspaniałe schody: one prowadzą na przestrzeń równą, na plac dość obszerny, — a od niego znów powtórny zawodem z trzech stron wznoszą się jeszcze wspanialsze schody do głównych drzwi kościoła. Wierzajcie, że nie ma pewnie stolicy w Europie, któraby nie była rada przenieść tę Santa Maria della Salute do siebie na ozdobę i zacząć sławę. Bo też i tutaj znać, że ta Wenecya — to istna wielka pani, co nie żalowała sobie; gdy umyśliła uczcić Boga, i że lubiła się pokazać przed światem, gdy chodziło o wyjawienie swojej zamożności i potęgi.

Atoli i to budowanie wspaniałe ma swoje wady i niemało błędów estetycznych. I nie może też być inaczej, bo ta świątynia rodziła się właśnie w tej samej epoce, która wydała na świat Doganę, więc w czasie, w którym duch przeczystej piękności już nie rozświecał, nie rozciepiał serca artystów. A lubo ta architektura nie jest jeszcze bynajmniej pełną wyobrazicielką stylu *barocco* zwanym; toć przecież znać, że on ją już z lekka ochuchał, a nadewszystko dał się we znaki w szczegółach i ornamentach.

Wenecyanin *Baldassare Longhena*, który wymyślił plan tej świątyni (r. 1630), miał głównie na celu, aby ubrać, udekorować jak najokazaliej ten wstęp wspaniały do Canal Grande. I widzieliście, że mu się też to udekorowanie świetnie udało; dla ozdobienia miejsca przybudował np. tak wiele frontonów, a tak zepsuł jedność całego budynku; dla chęci dekorowania poświęcił artystyczność prawdziwą. I właśnie tém Longhena dowiódł, że już nie był jednym z tych wielkich mistrzów XVI wieku. On uważał sztukę jako środek, jako służebnicę mizdrzącą się do zachcianek ludzkich — a nie pojmował w duchu swoim sztuki pięknej w najwyższem jej znaczeniu — jako córy przeczystej, córy idealnych światów, owę dziewicy swobodnej, wolnej, co ród swój z głębin ducha ludzkiego wie dzie, co nikomu nie służy, lecz sama żąda dla siebie czci, hołdu i miłości nieskalanęj. Epoka Longheny była już wiekiem ciężkiego, ciasnego oddechu.

Ztąd tak liczne grzechy estetyczne w tém budowaniu, co ubliżyło sobie, chcąc być jedynie przystrojem miejsca, i zrzekając się wartości artystycznej, istniejącej samej przez się i dla siebie.

Pierwszym błędem jest zaiste ten, gdy patrzysz na kościół ze strony głównych drzwi, kopuła celna zasłania sobą zupełnie drugą pomniejszą za nią stojącą. Owe liczne facyaty (wystawy, fronty) jak same przez się są wadą, tak na domiar grzeszą dziwną i przesadzoną strojnością i przyborem; tak np., jak widzimy, dźwigają one na wierzchu swoim olbrzymie ciężkie ślimacznice (essownice), łącząc je niby z kubłem kopuły. Te wierzchy frontów, ślimacznice zaludnione mnóstwem figur — bo ich jest przeszło sto dwadzieścia — te posągi paradują to stojąc wyżej, to niżej, to dalej, to bliżej. Na tej głównej kopule stanęła druga maluchna kopułka, i tutaj powtarzają się owe essownice, choć w miniaturowych rozmiarach; ale na

każdej z nich jeży się obelisk, z których znowu każdy dźwiga na szczycie swoim kulę — a na wierzchu samej tej kopułki posąg Najświętszej Panny.

Owa druga pomniejsza kopuła, która się niby kryje za tamtą główną, także na szczycie ma taką kopułkę maluchną, i tutaj podobne ślimacznice, i tutaj na szczycie figura. Zapomniałem jeszcze zwrócić baczną uwagę czytelnika, jako na samym wierzchu ośmiościennego kubła kopuły, tam kędy się już zaczyna wznosić właściwa bania, widać balustradę kamienną obiegającą go w koło. A gdy pilastry, zdobiące na wysokościach kubel są doryckie, więc poważne, podszadziste, mężkie, — tymczasem, wbrew logice, pilastry zdobiące fronty (facyaty), znajdujące się tedy w niższej części budowy, są korynckie, więc lekkie, strojne! Tak styl, okazujący siłę i ciężkość, spiął się niewłaściwie do góry i stanął nad stylem wysmukłym, strzelistym, zdobnym i mniej silnym.

Obejdzie się bez dalszego wyliczania tych szczegółów; com tu rzekł naprędce wystarczy, aby przeczuć nietylko wady i zboczenia estetyczne w tej kompozycji całej, lecz aby zarazem nabrać wyobrażenia, jaki tu niepokój w tych szczegółach, jaka ruchawość, wrzawa tych wszystkich linii łamiących się i krzyżujących z sobą, — jaka tu bitka i hałas tych linii i płaszczyzn, to kolistych, to prostych, tych figur, ślimaków i essownie wielkich i małych, tych niż, obelisków, pilastrów, płaskorzeźb, gzymsów, kapitelów, zwojów kwiecistych i t. d. i t. d. Ta architektura — to jakby dama bogata, lecz bez przyrodzonego smaku i taktu, która radaby na balu pokazać wszystkie kosztowności jakie posiada; więc ponawieszała najrozmaitszych świecidełek na sobie i chodzi niby żywy sklep jubilerski, sama sobie rada, że jej się tak pięknie udało.

Lecz, jak powiedziałem, i radbym to jeszcze najczęściej powtarzać, że to budowanie jest ogromnego wrażenia, mimo błędów, mimo dziwaczenia się swojego, zwłaszcza w szczegółach, — a to tём więcej, że niedostatki jego pojawiają się dopiero za dokładnym, trochę pedantyczniejszym rozbiorem. Ale nic nie zdoła wyrazić świetności tej kopuły tak wspaniałej, potężnej, tego ogromu i bogactwa, całości wielkiej, gdy się patrzymy z pewnego oddalenia na tę architekturę okazałą, na te schody szerokie, co mnóstwem stopni prowadzą do progów kościelnych. Dodajmy jeszcze, jakem rzekł, w wyobraźni miejsce, w którym stoi, więc ten żywioł wodny, wiecznie poruszający się u stóp tej świątyni — więc obraz jej, co w wielkich zarysach pływa na falach rozświetlonych jasnym, czystym niebem południa; a zrozumiemy, jak łatwo przebaczyć tym usterkom i ułomnościom, które występują dopiero za bliższym a krytyczniejszym rozpatrzeniem się w tej budowie.

A czyliż z ludźmi inaczej się dzieje? Ileż to razy bywa, że chwalamy jakiegoś człowieka, że całym sercem uznajemy świetność jego talentów i zasług; a choć go osobiście nie znamy, cieszymy się



jednak szczerze, że takiego nam Pan Bóg nadarzył; czyliż wtedy, gdy się później do niego zbliżymy i gdy spostrzeżemy, że i on ma swoje „ale“, że i on nie święty — czyliż, mówię, wtedy wypadnie go już całego potępić? czyliż za to się godzi przepomnieć o jego zaletach i lekce sobie ważyć przymioty jego? — Kto jedynie ujemną stronę w drugich widzi, już sam pisze sobie smutne świadectwo, że i w sercu i w głowie jego ujemnie; o takim nawzajem łatwiej powiedzieć, czego on nie wie i czego nie czuje, niż orzec, czem on jest z rozumu i czem jest z uczuć własnych. I nie trudno wytłumaczyć sobie to zjawisko ze samej natury ludzkiej. Duch właśnie dla tego, że jest duchem, rad obaczyć siebie samego w świecie zewnętrznym jakby w zwierciadle, więc rad się uzupełnić i rozszerzyć własną treść swoją; więc pragnie znaleźć dalszy ciąg własnej istoty w rzeczywistości, która go w koło otacza. Jeżeli więc jest zacny i szlachetny, wtedy już samym instynktem będzie party, aby podobnież to zacne i szlachetne w drugich wypatrył; jeżeli jest rozumnym, już też rozum obcy, a talent będzie mu ponętą a urzeczeniem lubem, — tak odwrotnie czleka płonnego, nie mądrego, o robaczliwem sercu, własna niedobra natura już do tego prze, aby również wyszukał w drugich niemądrość, lub niedostatek talentu, lub słabość moralną. Jakoż ta chęć, czyli raczej ta konieczna potrzeba rozszerzenia duszy i uzupełnienia istoty własnej, będąc ogólnem i powszechnem prawem, objawia się we wszystkich kierunkach duchowego życia. Dreszcze rozkoszy przechodzą człowieka, gdy patrzy na dzieło sztuki, gdy w niem poznaje pierwiastek idealny, wzniesiony wysoko nad rzeczywistość, nad naturę ulomności doczesnego życia; te dreszcze idące z idealnych, nadzmysłowych światów, ztąd zaiste się budzą w duszy człowieka, iż ona sama przeczuwa, że jej własne przeznaczenie nie kończy się na tym świecie, że jej istota wzniesiona nad tuteczną śmierć. Ztąd też ludy, którym wzrok duchowy zaległa jeszcze pogańszczyzna, w tym swoim śnie na jawie marzą o rozkoszach, radościach cielesnych pośmiertnych. To oczekiwanie ich, lubo żądzą zmysłową zbrukane, nieocknęłoby się w ich piersiach, gdyby w nich nie zamieszkała istota wyższa nad światy zmysłowe, nad żądze cielesne. A cóż dopiero człowiek wiarą zbawienia wychrzczony! Miłość, rozplomieniona w jego sercu, tak rozgrzeje całą istotę jego, że on wszędzie miłość Stwórcy obaczy; on ją pozna w harmonii barw tęczyowych, co wstęgą przymierza między niebem a ziemią, i posłysz ją w grze morskiej fali, w śpiewaniu gajów i w szumie borów, i ujrzy tę miłość, jak odziewa w szatę lilią polną i jak o ptaszkach pamięta, i o robaczku świecącym, jak piastuje gwiazdy i słońce na dłoni swojej, jak czuwa opatrnie nad dziejami ludzkiego rodu. Człowiek z miłością chrześcijańską w sercu, w każdym sercu miłość obudzi; on będzie wszechmożny tą miłością swoją; za jej tchnieniem ciepłym roztopi skorupę skamieniałą na sercu zbrodniarza; a to serce oddawna stwardniałe, odwrócone ad Bożych prawd, znów

zapłacze żalem, i zapłacze wiarą i nadzieją w Boże miłosierdzie, i znów zatęskni za miłością, jak dziecko od matki zbląkane (\*).

(\*) Mniemam, że dla łatwiejszego porozumienia się z czytelnikiem, nie zawadzajmy sobie tutaj położyć uwagę, wyjaśniającą bliżej nasz sposób zapatrywania się na stosunek sztuki pięknej do natury i do całej rzeczywistości. Jakoż, gdy w ciągu tego niniejszego dzieła dość często jeszcze potrącimy o stosunek takowy, więc będzie korzystną rzeczą, jeżeli już w tym miejscu, więc z góry zapobieżymy mylnemu pojmowaniu stanowiska naszego. Otóż właśnie powyżej mówiliśmy, że „dzieło sztuki jest wzniesione nad naturę a rzeczywistość“, — w jakimże sensie mamy to wzniesienie rozumieć? — Uważmy, iż nawet w życiu codziennem, powszedniem, prawie co chwila sądzimy o piękności rzeczy przyrodzonych, mówiąc np. że ta róża piękniejsza od tamtej, że koń piękniejszy od gadu, że wczoraj był dzień piękny, że pięknie była oświecona natura, że dziś dzień jest słotny, brzydki, że okolica oświecona mniej pięknie, że tu i owdzie natura jałowa i t. d. Z tego znać, że jednym przedmiotom natury przypisujemy piękność wyższą niż drugim, a przecież takowe orzeczenia nikogo nie rażą, nikt nie widzi w nich zarozumiałości wyrokującej o doskonałości rzeczy przyrodzonych, bo każdy czuje, że takowe sądy pochodzą ze stanowiska li ludzkiego, że tym trybem sądząc myślimy, mimo wiedzy nawet, o piękności czysto-artystycznej, z którą te przedmioty przyrodzone porównujemy, niby z ideałem swoim — więc też żaden człowiek dobrej wiary i zdrowego rozsądku nie weźmie sądów takich za ubliżenie rzeczom stworzonym.

Otóż z temiż powszedniemi, codziennymi sądami, w blizkim związku jest orzeczenie nasze, że dzieła sztuki są wzniesione nad rzeczywistość i naturę: to wzniesienie nad naturę rozumiemy li pod względem *czysto-artystycznej piękności*, to jest pod względem tej piękności, którą człowiek w ograniczeniu swoim ma sobie od Boga przekazaną, jako dzielnicę swojej ludzkiej twórczości. Z tego atoli widać, iż nam wypada ściśle rozróżniać tę piękność artystyczną, będącą ideałem człowieka (należącą do jego duchowego świata), od piękności a doskonałości przyrody. Widzimy też, iż mieszając w myśli te dwa rodzaje piękności, moglibyśmy dojść do wypadków bezrozumnych i szalonych, do zarozumiałości obłąkańców. Piękność, właściwa naturze, jest, jakeśmy dopiero rzekli, zupełnie innego rodzaju, niż piękność artystyczna. Naturze wcale nie chodzi o tworzenie ideałów w znaczeniu artystycznem, jej celem jest zupełnie inna piękność. Każdy mistrz, choćby był największym geniuszem, uchodziłby słusznie za obłąkańca, gdyby chciał dzieła swoje mierzyć z doskonałością jestestw natury, które przecież słyszy z rąk Bożych. Zatem znać, że pod względem artystycznym mówimy słusznie, że *Wenus Medycejska*, że kobiety jak je maluje Tycyan, Rafael, nie mają, ani mieć mogą równych sobie niewiast wśród rzeczywistości. Pominąwszy atoli to stanowisko artystyczne, które właśnie jest ludzkie, powiemy natychmiast, że owe świetne arcydzieła sztuki będą zawsze tylko kobietami malowanemi i wyrzeźbionemi z marmuru, i wyznamy, że nad wszystkie dzieła wszystkich największych geniuszów artystycznych, wyższej doskonałości jest jeden listek rzeczywisty; bo wszyscy ci mistrze, którzy byli, są i będą, takiego listka zrobić nie zdołają. Lecz też ta niemoc nie ubliża wcale ich geniuszom, bo oni właśnie, jako jestestwa ograniczone w swojej mocy twórczej, nie stwarzają rzeczywistości, nie stwarzają w rzeczywistości, ale w dziedzinie ideałów i uludy. Łatwo też zrozumieć, dla czego mówimy, że upodoba róża piękniejsza niż druga, i dla czego, pod względem artystyczności sądząc, mówimy, że dzieło piękności wzniesione jest nad rzeczywistość. Bo sztuka, również jak i sądy takowe, postępuje sobie ze stanowiska ludzkiego, i bierze przedmioty z osobna, w odosobnieniu jako jednostki, więc w odłączeniu od całości, do której w rzeczywistej naturze należały. A sztuka nie może sobie inaczej postąpić, ona nie może brać całości natury za osnowę właściwą dla niej; jej osnową są tylko rzeczy jednostkowe. Tym trybem zaś sztuka, biorąc rzecz, spostrzega na tem jednostkowym jestestwie, przez siebie wybranem, wiele znamion, które nie należą wprost do własnej natury jego, które go szpecą i ujniają piękności form przyro-



Przecież coś nadto rozpuściłem myśli i niepotrzebnie zбочyłem od przedmiotu mojego! Chciałem jedynie powiedzieć, że wytykając

dzonych, np. słoty albo upały przeszkodziły róży do pełnego rozwoju; robaczek się w niej zagnieździł i t. d. Słowem, fantazyja twórcza mistrza porównywa przedmiot sam z sobą, to jest z tém, czémby on wedle jej stanowiska być powinien. Takowe cechy przeto, jako niby obce względem własnej istoty jestestwa, uważa sztuka za przypadkowe, więc je wszystkie odrzuca, i dopiero to jestestwo, tak oczyszczone z przypadkowości, czyni wzorem dla siebie i wznosi je do ideału piękności. Z tego też wprost wynika, że jeżeli, mówiąc o dwóch przedmiotach tego rodzaju, powiadamy, że jeden jest piękniejszy niż drugi, toć znaczy, że tamten pierwszy szczęśliwym trafem ma na sobie mniej cech przypadkowych, przeszkadzających mu do rozwoju własnej istoty swojej, a drugi ma więcej cech takowych. Takie jest stanowisko estetyki ludzkiej.

Teraz uważmy, czém toż samo jestestwo będzie w rzeczywistości, a prawdzie swojej! Ono w rzeczywistości należy do wielkiej całości, a należy do niej wraz z nieprzebraną liczbą innych i różnych od niego jestestw i pojawów natury. Otóż te jestestwa i pojawy, istniejąc z tamtém jestestwem razem i społecznie, działając nawzajem na siebie, wpływają i na owo jestestwo (słoty, robaczek w róży, jeden kwiat drugi zasłania, ciśnie go; niedostatek, cierpienia fizyczne i moralne wpływają niekorzystnie na piękność niewiasty i t. d.), a od tych wpływów i działań obcych, zewnętrznych, właśnie pochodzą owe cechy, które estetyczność oddala, nazywając je przypadkowemi, a dla tego je tak nazywa, bo uważa przedmiot, jakżeśmy rzekli, tylko idealnie, bo w zupełnym odosobnieniu od całości natury. Jeżeli atoli ten sam przedmiot weźmiemy prawdziwie umiejętnie, to jest w najgłębszej prawdzie jego, już przyznamy, że on winien być wzięty w łączności z tą naturą, i wraz ze wszystkiemi tamtemi jestestwami i pojawami; przyznamy tedy, że te cechy, które są w oczach mistrza czémś przypadkowem, są owszem koniecznym wpływem praw odwiecznych natury, a tém samem nie są trafem, nie są przypadkiem, lecz mają swoje głębokie, pełne mądrości powody. A tak widzimy, że w naturze, w jej prawdzie uważanej, nie ma przypadków. Jeżeli ze stanowiska sztuki a artystycznego poglądu, uważającego przedmioty w odosobnieniu, te cechy okazują się być obce, cudze, naleciałe względem przedmiotu, więc nie należące do jego własnej istoty, przeciwnie ze stanowiska prawdy i ściśle rozumowego pojmowania, te cechy właśnie do istoty jestestwa należą; bo warunkiem koniecznym jego natury jest właśnie ten stosunek jego do tych innych jestestw, do tych innych potęg natury, które właśnie przez swoje wpływy stały się przyczyną tych cech. Gdy już do samej istoty każdego jestestwa należy, aby się zachowało do całości natury, jako jej cząstka, więc też właśnie do istoty tego jestestwa koniecznie należą i skutki tego zachowania się jego, to jest cechy, idące mu od innych jestestw. Ztąd znowu wypływa, że sztuka, biorąc w odosobnieniu przedmiot, już tem samem tworzy dzieło, które nie należy do rzeczywistości, które ma tylko pozory rzeczywistości, ale nią nie jest. Tak tedy i pod tym względem zrozumiemy bliższe znaczenie naszej zasady: jako dzieło sztuki wniesione jest nad rzeczywistość świat; ono jest nad niego wniesione w tym sensie, iż do niego nie należy, bo należy do sfery duchowej ideałów. Jak rzeczywistość nie jest artystycznością, tak artyzm nie tworzy rzeczywistości. Jego dzielnicą jest właśnie państwo wdzięcznej uludy. Dzieło sztuki wznosi się nad rzeczywistość, chroniąc się w świat magicznych uroczych pozorów. Lecz na tém nie kończy jeszcze zadania swojego fantazyja twórcza. W naturze, rzeczywistości, drzewo jest drzewem, okolica okolicą i t. d. Każda rzecz ma tu znaczenie odpowiednie swojemu przeznaczeniu i własnej swojej istocie. Te same atoli przedmioty natury, gdy będą przemienione w dziedzinie sztuki, przeistoczone bywają i pod tym względem, że one tutaj przybierają inne i nowe znaczenie. Mistrz kładzie w przedmioty takowe myśl swoją, ideę artystyczną; a tak takowe przedmioty stają się już wyrazem duchowego pierwiastku, a tém samem przybierają i inne formy, bo formy dopiero artystyczne. A tak i pod tym względem mówić

wadki i ułomności w tym tak wspaniałym kościele S. Maria della Salute, nie mamy bynajmniej na myśli ubliżenia jego okazałości płonnem ogadywaniem. A mniej jeszcze było celem naszym popisywanie się niewczesną jakąś krytyczną mądrością. Pragnąłem jedynie wskazać na wzorce, co się koniecznie dzieje, jeżeli mistrz, wieszcz, artysta, pisarz, przestanie wyłącznie służyć samej czystej idei piękności; jeżeli, mizdrząc się albo do smaku, albo do panujących powiewów swojego czasu, stanie się przენiewiercą kapłaństwa swojego, jeżeli, ubiegając się za efektem, za poklaskiem tłumów, samego siebie odbiegnie. Pisarz, artysta co poniżej sztukę do tego, aby była mu sługą a środkiem dla obcych jej celów, już spaczy własny, choćby świetny, talent swój i skreśli w karykaturę własne dzieło swoje. Otoż budownik, co ten kościół chciał mieć dekoracją, paradą, próżnym przystrojem, już za karę, za to ubliżenie sobie, zwicmnął, zeszcpił tutaj te formy architektury swojej. Niechaj mistrz stwa-

można, że dzieła sztuki wnoszą się nad rzeczywistość; np. w rzeczywistości, obłoki, skały, drzewa, wody są w naturze jestestwami bezdusznymi; w pejzażu zaś malowanym te obłoki, skały, drzewa stają się wyrazem duchowego nastroju mistrza, są uduchowione.

W najbliższym związku z tem wszystkiem, cośmy dopiero powyżej powiedzieli, jest jeszcze inny wzgląd na naturę. Jakoż mówimy np. koń jest doskonalszym stworzeniem niż np. robaczek: czyliż takowe zdanie miałyby znaczyć, jakoby w naturze, będącej dziełem Bożej mądrości, mogły być jestestwa mniej doskonale stworzone? Takowa bezmózgła myśl nie przechodzi przez głowę żadnemu badaczowi natury, ani żadnemu estetykowi, ani filozofowi, byleby im nie brakło choć trochę zdrowego sensu. Oni widzą w naturze stopniowanie coraz wyższe jestestw i mówią, że im wyższy jest stopień, tem doskonalsze na nim stają jestestwa. Ta wyższa lub niższa doskonałość jest przeto względem ludzkim, odnosi się li do zapatrywania samego człowieka, który z jednych jestestw, łatwiej i doskonalej nauczy się poznawać doskonałość natury, niż z innych jestestw stojących niby na niższym szczeblu organizmu. Otóż to pojęcie o wyższej lub niższej doskonałości jestestw natury ma tylko miejsce ze względu na jednostkowe poznanie człowieka. W tem znaczeniu tedy winno też być brane wyrażenie używane przez filozofią, gdy mówi np. o idei, która w naturze dopina coraz wyższych szczeblów i stopni doskonałości. W tem też znaczeniu mistrz-estetyk powie, że im wyższej doskonałości jest jestestwo, tem doskonalszą będzie osnową dla twórczej fantazyi. Jeżeli atoli uważać będziemy naturę, czem ona jest sama w sobie, czem są jestestwa w całości i w związku uważane, już wtedy każdy człowiek, nieogolocoły z rozumu, powie, że natura, uważana sama przez się, więc w prawdzie swojej, nie zna niedoskonałych jestestw: że robaczek jest również doskonałym, jak organizm człowieka; bo każde jestestwo jest właśnie tem, czem ma być i czem powinno być w skutek swojej własnej istoty, i w skutek stosunku swojego do całości natury. Zrozumiemy też z tego, że wyraz szpetność, również jak niedoskonałość, ma tylko znaczenie ze względu ludzkiego; są to więc wyrazy, których nie ma w dykcyonarzu nauk przyrodniczych.

Przestajemy na tych pobieżnych wywodach, mając nadzieję, że w innem miejscu jeszcze dotkniemy tej samej treści, choć z innej strony. Cośmy tu rzekli wystarczy dla czytelnika do zrozumienia głównej myśli naszej o sztukach, w jakichkolwiek formach ona będzie wyrażona w ciągu niniejszego dzieła. Uwaga powyższa przyczynia się nawet do rozjaśnienia ostatecznego niektórych trudności, które czytelnika może napotykały w innych moich książkach, a mianowicie w Listach z Krakowa.



rza budowy z czystej czci dla piękności artystycznej, niechaj ją uznaje być wyłącznie bóstwem swojej fantazyi a Kochaniem swoim; wtedy strój, ozdoba miejsca sama się znajdzie, a dzieło jego już samo przez się zbudzi podziwienie i cześć.

Przy tej krytyce mojej powyższej towarzyszyła mi atoli i ta myśl, aby unaocznic, co się działo w końcu wieku XVI ze sztuką, gdy uczucie prawdziwe wędniało w piersiach artystów, gdy barokizm już — już świat nachodził; a do tego zamiaru wielce się nadał kościół ten, bo on, jak wyżej rzekłem, nie należy jeszcze bynajmniej do tego nieszczęsnego stylu, a jednak uczuwa już zbliżenie się jego — on zcicha już wroży, co się to dziać będzie niezadługo w dziedzinie sztuki pięknej.

Drzwi do kościoła były właśnie otwarte. Wstąpiliśmy tedy po tych stopniach i schodach tak wspaniałych, uroczystych, prowadzących do progów świątynicy. Wnętrze uderza zrazu podziwieniem najwyższem. Ta kopuła olbrzymia, tutaj taka harda, spoczęła na łukach krągłych, na grupach kolumn korynckich, przypartych do potężnych filarów; a oświecenie tutaj czarowne, przepychu pełne!

Rozbierzmy jednak nieco bliżej rozkład wewnętrzny tej budowy! Prawda, że i tutaj dopatrzeć się można niedostatków, przecież, w ogólności mówiąc, trzeba wyznać, że wewnątrz tej świątynicy jest przy danych warunkach arcyumiejętną i szczęśliwą kompozycją.

Zwracając uwagę na załączony tu *rzut poziomy tego kościoła S. Maria della Salute*, skreślony na figurze 7-mój, widzimy, że główna część budowania tego jest osmiokątem. Jeden z boków tego osmiokąta tworzy wstęp główny do kościoła, a drugi, leżący naprzeciw niego, objął wstęp do presbiterium. Pozostałe zaś sześć boków osmiokąta, (więc po trzy z każdej strony), umieściły w sobie, niby niże, kaplice. Te przeto właśnie na zewnątrz tworzą owe facyaty i fronty poboczne. Przecież w ten główny osmiokąt wbudował się niby drugi; bo dźwignęły się ośm potężnych filarów, odpowiednich ośmiu kątom owego zewnętrznego osmiokąta, one przeto tworzą ten idealny osmiokąt wpisany. Od tych filarów do ścian owego większego osmiokąta zbudowały się sklepienia: — tak więc w koło biegną podsienia (portyk) wspaniałe, potężne. Te filary są ozdobne w kolumny korynckie, a ze strony swojej, do środka kościoła zwróconej, dźwigają znowu rząd pomniejszych filarów, niby piętro, a na tych powyższych filarach, na tém piętrze, unosi się hardo owa przepyszna kopuła.

Rzekliśmy, że bok naprzeciw wchodu, prowadzi do presbiterium. Więc przez wspaniałą arkadę przechodzisz do tego presbiterium, które, zaprawdę, jest nieco osobliwego rysunku, bo tworzy niby owal. Jakkż z obu boków łączą się półkoliste niże olbrzymie (absydy). Longhena użył tutaj pomysłu wykonanego, jak obaczymy, w jednym z kościołów zbudowanych przez Palladia, — bo za wielkim ołtarzem, umieszczonym na głównej stronie presbiterium, wznoszą się arkady, a po przez te arkady widać wspaniałą przestrzeń zakrystyi. Widok

ten jest arcykazały, czarujący, tajemniczy, jakiś mistyczny, zwłaszcza przy tej różnej a magicznej grze światła.

Otóż mamy rozkład wewnętrzny. Trudno zaprzeczyć, że on jest pomysłem oryginalnym i wielce szczęśliwym. Jednak i tutaj znajdują i słusznie, błędy, tak np. owo łamanie się ścian w ośmiokąt sprawia jakiś niepokój, a to tem więcej, iż znowu każdy z owych po stronach leżących 6-ciu boków łamie się jeszcze dwa razy, two-

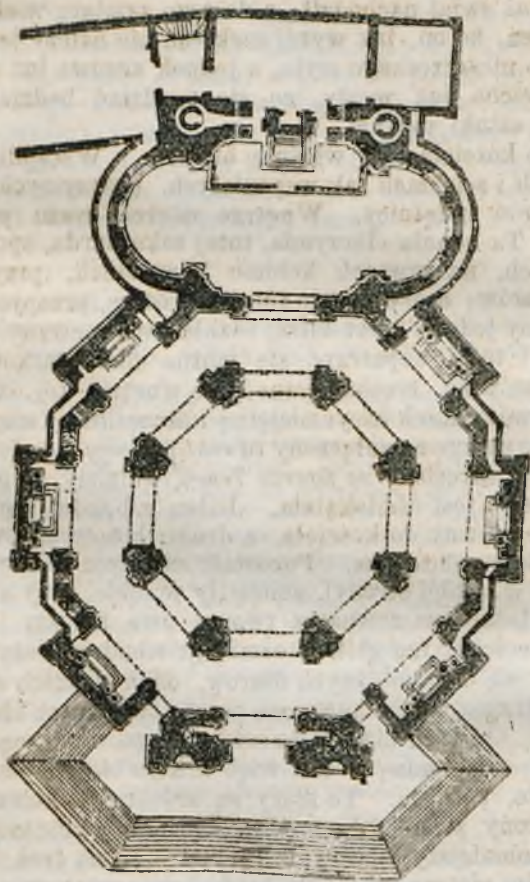


Fig. 7. Kościół S. Maria della Salute. — Rzut poziomy.

rząc owe kaplice. Następnie gania, że owe filary i pilastry stojące na dolnych filarach a dźwigające kopułę, są daleko cięższe od nich, bo nawet porządek tych wyższych jest dorycki, a niższy jest lżejszy, bo koryncki. Jest to błąd spostrzeżony przez nas i zewnątrz kościoła. Dalej uważmy jeszcze, że trudno powiedzieć, czyli te linie krągłe w presbiterium nadają się do linii głównej części kościoła, składającej się z samych linii prostych i t. d. Lecz jeżeli już



zewnątrzne kościoła jest wspaniałe, uderzające, a dopiero przy ściślejszem przypatrywaniu się odsłania niedostatki swoje,— toć jeszcze potrzeba surowszej, ściślejszej krytyki, by wytropić błędy tego wnętrza, co zaiste jest pełne majestatycznej okazałości a ogromnego wrażenia.

Nie będę wam prawil o obrazach arcy mistrzowskich w tym kościele, bo o malarstwie weneckiem chowam rzecz do innej sposobności. Powiem tylko, że pogodziłem się znowu z Longheną, gdy wyszedłem z kościoła, zatrzymałem się na najwyższym stopniu i spojrziałem na ten Canal-Grande. Istotnie, rodzaj architektury Longheny nie jest wielkim rodzajem, ale sam Longhena wielkim jest mistrzem w tym rodzaju.

Jakże, nie dziwnaż, nie cudownaż ta Wenecya! W tej chwili, gdy niby ukończywszy jako tako rzecz i z Doganą i ze Salute, które nam urosły jakby na pokaz fantazyi XVII-go wieku — a tu na drugim, bo na prawym brzegu Canal Grande, tuż naprzeciw nas widzę gościa ze starych lat — wysłannika wieków średnich! Wszak to niegdyś *palac Giustiniani*, dziś „Oberża Europy“ (\*). — Budynek ten ubrał się w formy niby maurytańskie, niby gotyckie, więc pełen fantastyczności i poezyi; więc jakby prawil o zdobyciu Konstantynopola przez bohaterów Wenecyi, jakby śpiewał o turniejach, o wojnach krzyżowych i prześlicznych tęsknych damach, i o zbrojach i o tarczach, o olbrzymach i o karłach. Ten pałac niby rycerzem i trubadurem, co tu wygrywa piosenkę z dawnych czasów tak wdzięczną a tak butną i zuchwałą, o tych czasach, w których jeszcze była prawdą owa pieśń-modlitwa do Najświętszej Panny :

Faites reine immortelle!  
 . . . . . Qu'aimé de la plus belle —,  
 Je sois le plus vaillant.

Lecz mimo to opisywać nie będę tego pałacu, bo ten styl jego ciągle a ciągle wyrasta w Wenecyi, rośnie po wszystkich ulicach, kanałach, pobrzeżach i placach; jest to kwiat isticie wenecki, który się tutaj roz tulił całym urokiem swoim. On, będąc gotyką z maurytańska przystrojoną, głównie sprawia, że ta Wenecya nabiera tak orientalnego spojrzenia, jakby odaliska kąpiąca się w morzu. Nie wdamy się atoli teraz w bliższe jego opisy, bo znajdziem do syta takich pałaców; nie braknie nam tedy i wspanialszych jeszcze i wydatniejszych wzorów tego stylu. A potém ten biedny pałac Giustiniani został teraz oberżą! — Juźci on temu nie winien! Prawda!

(\*) *Palazzo Giustiniani* po najnowsze czasy pozostał siedzibą *Hotelu Europejskiego*. — St.

Wszelako wolę wybrać inne jakie budowanie, będące wyobrazicielem tej samej epoki, a noszące zarazem imię historyczne rodziny, któraby wielkimi sprawami, znacnym poświęceniem dla ogółu, zapisała się w księgi dziejowe swojego grodu.

Lecz zaledwie gondolierzy uderzyli kilkakrotnie wiosłem po falach, gdy na lewym brzegu, bliżutienko kościoła della Salute, uśmiecha się i wdzięczy miniaturowy pałacyk *Dario*. On znowu z innej epoki; on istnym synkiem pierwszego najwcześniejszego renesansu (z r. 1450). On stroi sobie figle ze symetrii, żartuje sobie z reguł poważnych; więc ubrał się i wystroił po swojemu, a tak mu zgrabnie i ładnie w tej kapryśnej tualecie, że go nikt nie skarci za tę swawolę a floczki wdzięczne. A znów niedaleko od niego, na tym samym lewym brzegu kanału, stanął sobie pałac *Manzoni Angarani*. Znać, że on współcześnie się rodził z pałacykiem *Dario*; one obadwa tegoż stylu, one obadwa z czasów *Lombardi*, tej rodziny mistrzów, którzy wyobrazają pierwsze lata epoki odrodzenia sztuki, tego okresu fantazyi tak butnej, wdzięcznej i młodej. Architektura jednak pałacu *Angarani* mniej sobie pozwala niż jej sąsiad, jest o wiele stateczniejszą; już się jakoś więcej zastanowiła nad prawidłami sztuki klassycznej. A lubo jej szaty z najkosztowniejszego marmuru, toć ona jednak wcale nie harda i dumna; bo kolumny jej, fryzy i gzymse gracyjne i eteryczne, a spojrzenie pełne radości i ochoty; a te zwoje kwieciste, które porozwieszała na sobie, tak lube i wdzięczne, iż rzekłbyś, że w tych ścianach nigdy nie zamieszkała troska, nie spłynęła łza, że tu obchodzą wieczne, nieustające wesele.

Pokolysawszy się nieco, gondola nasza poniosła nas wprost na przeciw pałacu *Cornaro* (a *San Maurizio*). On dużo późniejszy niż tamte dwa —; stworzył go w r. 1530 znany nam już *Jakób Sansovino* (\*); jest to tedy architektura w stylu późniejszego renesansu (\*\*). Widać przecież, że *Sansovino*, w chwili poczęcia w duszy tego pałacu, był jeszcze wskrosz oczyniony wspomnieniem poważnym starego Rzymu. Jakoż, lubo te dźwięki, idące mu od pogromców świata, już nastroiły się do uczuć nowoczesnej, chrześcijańskiej historii; jednak cała kompozycya tego pałacu technie jeszcze taką uroczyością i grozą, jak gdyby w nich przebywał duch dawnego rzymskiego senatu, co rozkazywał wszech ludom ziemi i sprowadzał w tryumfie na Kapitolium pojmane ich bogi. Prawda, że fantazyja artystyczna *Sansovina* później łagodnieje, że nabiera uśmiechu i wdzięku, jak to

(\*) Zob. powyżej str. 134.

(\*\*) Czytelnik z samego opisu budynków, należących do wczesnego lub późniejszego renesansu, poznać muić więcej zdoła różnicę tych dwóch epok renesansowych, przecież bliższe i wyraźniejsze ich ocechowanie będzie mimo to konieczne; zachowujemy się atoli z tą charakterystyką dokładniejszą do późniejszego czasu, bo przypatrzwszy się wprzód architekturze tych epok, łatwiej też zrozumiemy na czem one zależą.



okazuje nad wszelki wyraz piękna jego biblioteka Św. Marka ; jednak w czasie, w którym on w toniach ducha swojego widział ten pałac Cornaro, jeszcze był prawie pod wyłącznym wpływem form starożymskich, co to patrzą na świat jakby arcykapłan-wojownik. Nie myślmymy atoli, jakoby ten pałac Cornaro był smętny i ponury ; bynajmniej, on tylko mężki, uroczysty, cichy, spokojny i bez namiętności ; tutaj ani cienia nie ma kokieteryi, nie ma strojów przesadnych, ani popisywania się ozdobami ; a lubo wiem, że ścisła krytyka gani niektóre szczegóły, np. proporcją kolumn, rysunek gźémsów i t. d. ; jednak nam mniej o szczegóły chodzi, jak raczej o ogólne wrażenie, które sprawia ten pałac.

Dół, to jest poziemie (rez de chaussée), jak przystoi, jest ciężką, potężną rustyką ; więc buduje się z ciosów niezmiernie silnych, występujących, wydatnych ; a cokuł, więc część tego dołu najniższa, przeto ta, która się spuszcza od progów głównej bramy aż do powierzchni wody, jeszcze z ogromniejszych, jeszcze z zuchwalszych ciosów złożona. Bram głównych jest trzy ; one tuż stoją przy sobie, i one rustyką potężną. Aby jednak ułagodzić to budowanie twarde, butne i surowe, Sansovino w tej dolnej części pałacu ubrał okna pięknie rzeźbionym fryzem doryckim, i nakrył ten fryz od góry lukiem zdobnym ; lecz gdy takich okien jest tylko dwa z każdej strony, gdy te fryze ich są skromne, więc też nie psują grozy poważnej tego dolnego budowania.

Nad tą rustyką unoszą się dwa piętra, każde o siedmiu oknach. Te okna w luk krągły sklepione, — jakkolwiek wielce poważne, przecież nie ciężkie —, unoszą się śmiało, wysoko, a dochodzą u spodu do samej posadzki pokojowej, więc są raczej drzwiami, które się otwierają na galerię o pięknej balustradzie kamiennéj. Między każdą parą okien świecą dwie kolumny ; na pierwszym piętrze te kolumny są jońskie, na drugim korynckich kształtów (\*), a między krągłemi lukami okien i kapitelami tych kolumn widać w płaskorzeźbę wyrabiane pancerze, hełmy, tarcze, miecze i inne godła wojennych spraw. Toć wszystko dziwnie pięknie się nadaje do całego estetycznego dźwięku tej architektury tak mężkiej, poważnej i świątecznej. Gźémsy poziemna i pierwszego piętra silnie występują na zewnątrz, a tém samém też potężnym biją cieniem. Tymczasem cienie pionowe, które się rodzą od kolumn samych, są lekkie i tylko na pół mroczne. Kolumny zaś drugiego piętra, jako korynckie wysmukłe, wzlotne unoszą lekki brus (architrav), nad którym fryz szeroki ; lecz w tym fryzie, prócz siedmiu małych okienek owalnych, otoczonych wieńcem, nie ma ozdób żadnych ; więc choć on sze-

(\*) Już powyżej prosiłismy czytelnika, aby wyrazów : *greckie, jońskie, korynckie* nie brał w ścisłe greckiem znaczeniu ; lecz raczej trybem, jak te porządki były przerobione przez Rzymian, a których to form znów po swojemu użył i zmienił renesans.

roki, nie jest jednak ciężki, tylko spokojny i wyrazisty. Dopiero nad nim kończy facyatę gżems zdobny i wielce bogaty, podtrzymywany szeregiem sporników misternych (kroksztynów).

Tak tutaj całość brzmi cudną harmonią. Od ciężkiej rustyki, która legła na dole, dźwigając całość, aż do szczytu, architektura ta, unosząc się w górę, staje się coraz lżejszą, eteryczniejszą. Lecz to unoszenie się nie jest rozplątne, rozwiewne, owszem oznaczone wyraźnym odstopniowaniem. Bo najprzód uderza potęgą rustyka aż do pierwszego piętra —, na niej stanęło pierwsze piętro już lżejsze, — a na górze owo drugie jeszcze eteryczniejsze. A tak te trzy części następują po sobie niby trilogium poetyckie; — nadto dach, jako pokrycie a najwyższa część całości, ma jeszcze odpowiedni sobie na dole ów cokuł tak potężny, co, jakem rzekł, spoczął poniżej bram pałacowych.

Tak w tej kompozycji widzimy w pięknym zestroju wyższe części architektury do dolnych, a siły dźwigające do brzemienia ciążącego.

Jeżeli atoli spostrzegamy taką troistość logiczną artystyczną, idąc od dołu do góry, zatem w kierunku pionowym, również znajdujemy taką troistość i w kierunku poziomym, zatem od ręki jednej ku drugiej. Wszak na dole w rustyce, w samym jej środku są trzy bramy; widzicie zatem, że one tworzą ognisko i części środkowe. Otóż dla zachowania zestroju z tém dolnem budowaniem, mistrz i na pierwszym piętrze i na drugim zbliżył nieznacznie trzy okna środkowe do siebie, a tak utworzył z nich z lekka całość osobną, będącą środkiem a ogniskiem pięter. Gdy to zbliżenie atoli mogło być jedynie bardzo misternem, ledwie dostrzeżonem, więc trzeba mu było jeszcze mocniej wyrazić ową część środkową, zatem genialny mistrz połączył jeszcze te trzy środkowe okna wspólnym gankiem, zostawując dla każdego z pozostałych czterech okien osobną galeryjkę i balustradę. Rozumie się, że środkowe trzy okna na fryzie górnym w tym samym stosunku są przysunięte do siebie.

Widzieliśmy tedy w tym pałacu troistość kompozycji zachowaną i w kierunku pionowym i poziomym; — ztąd ta architektoniczna całość, choć niema i kamienna, tak śpiewa i gra w duszy naszej, mimo to, że, jakośmy rzekli, to i owo w szczegółach zasługiwałoby na naganę.

Zważmy, że ta wystawa pałacu wcale nie olbrzymia, bo, jak wiemy, prócz poziomu ma tylko jeszcze dwa piętra, za całą szerokość objęła w sobie tylko siedm, lubo arcy dużych, okien; a przecież i najściślejszy krytyk nie zaprzeczy, że ten pałac zdaje się większy niż rzeczywistość jest a ogromne czyni wrażenie. Pochodzi to ztąd, że te jego linie i formy budzą w duszy harmonię. Zaiste dla uczuć naszych nie potrzeba materyalnych ogromów, szerzących się potężnie w przestrzeni, lecz potrzeba spokrewnionych nam pierwiastków duchowych.



Dusza nasza tęskni do harmonii ziemi z niebem, myśli z rzeczywistością; człowiek się łamie przez całe życie z sobą, żeby zestroić serce i rozum, przeszłość i przyszłość, skłonność uczuć z zimnym powinności majestatem; więc też duszy człowieka tak błogo, tak radno i miło, gdy znienacka, niespodzianie, obaczy w dziele sztuki obraz tego zestroju a zgody. Aby jednak tego dokazać, niechaj się dzieło zbuduje w kompozycję prawdziwą, w trilogium, będące istotą każdej kompozycji. Znajdziem je zaś wszędzie i wszędzie, kędy zawładła prawdziwa artystyczna fantazyja. Znajdziem to trilogium w odzie i w malowanym obrazie, i w postaci dłutem rzeźbiarza z marmuru wywołanej; znajdziem je w dramacie jak i w budowania arcydziele, i w muzyce wielkiego mistrza; znajdziem je równie i w całym żywocie zacnego człowieka, co sam siebie uczynił arcydziełem swoim, i umiał zestroić życie ze śmiercią, młodość i starość zgrzybiałą, i doczesne wesela z przyszłością zagrobową. O tej harmonii nieskończoności człowieka z duchem żyjącym w dziele sztuki już i dawniej mówiłem, i nieraz mi jeszcze o niej mówić przyjdzie.

I do tego pałacu łączą się historyczne wspomnienia. Jakoż dnia 12 marca 1625 roku z wieczora pałac Cornaro jaśniał światłem zarzającym — światło łamało się w ruchawém zwierciadle ciemnej fali. Tłumy gondoli zanosily do pałacu co przedniejszych mieszkańców. Kto świecił starą zasługą, wdziękiem lub znaczeniem, wezwany do Cornaro; — samych niewiast zebralo się sto trzydzieści, one są najwyższym przystrojem świetlic bogatych. Bo tego wieczora w pałacu był festyn wielki — do tańców brzmiała muzyka, rozplywając się daleko w nocnych cieniach po falach Laguny; zastawiano uczty kosztowne. Cała Wenecya pragnęła uszanować gościa z dalekich stron — bo królewicza polskiego, przyszłego Władysława IV.

Natłok gmachów jest tutaj na tym Canal grande tak przeważny, a tak gęsto przesuwiają się pałace po pałacach, z których każdy prawie inny a inny, — że braknie oczu, braknie i sluchu, by ująć wzrokiem ten świat architektury i zatrzymać imiona świetnej przeszłości, które głośno wywołują z dumy gondolierzy, pokazując to w prawo, to w lewo, to przed siebie, to wstecz. Bo zaledwie puściles okiem za kierunkiem, wskazanym ręką gondoliera, zaledwie zrozumiesz o który to pałac mu chodzi, gdy znów brzmi nowe imię i występuje nowe budowanie z za kulis tej jedynej w świecie całym jazdy wodnej. Więc gondolier woła, wskazując na prawo Palazzo Treves, Tiepolo, Cavalli, Mocenigo, Corner, Spinelli, Contarini, — i znowu wyciąga rękę ku lewemu brzegowi, zaklina, byś podziwiał pałac: Foscari, Balbi, Pisani, Barberigo. Tymczasem drugi gondolier, stojący na przodzie, odwraca od tych cudów baczność twoję, bo przestrzega, byś się przecie odwrócił ku prawemu brzegowi, bo właśnie mijamy pałac Farsetti, Bembo, Manin i t. d. i t. d.

Myślę atoli, że mnie nikt nie posądzi, abym wśród tego magicznego świata mógł zostać zamkniętym w tej budce ciemnej. Jakoż,

mimo deszczyku, który od czasu do czasu pokrapiał oddawna, porzuciłem jej poduszki puchowe, i stanąwszy przed nią rozkoszowałem w tém wolném, swobodném wejrzeniu w koło; bo budka niska, więc nie zasłania wcale widoku. Wszak nasz gondolier stary, co stał u steru na tyle gondoli, zaledwie spostrzegł o co mi chodzi, gdy jako gospodarz gościny, ze zwinnością i zgrabnością niespodzianą, przebiegł po krawędzi brzegu gondoli, trzymając się ręką zlekka budki, i, stanąwszy przy mnie, w okamgnieniu narządził siedzenie pod gołem niebem — i znów tą samą sztuczką gimnastyczną wrócił na swoje miejsce. Prawda, że za każdym takim manewrem łódź nie lada się ku wodzie pochyliła, lecz uprzejmość ta z jego strony, a uznanie jej z mojej, roztworzyły mu serce; więc już jak strumień ciekły mu słowa z ust, opowiadał historyjki, anegdotki, wypadki odnoszące się do tych różnych pałaców i domów, któreśmy mijali. Szkoda tylko, że tak niewiele z tych wiadomości jego korzystać mogłem; a to z trzech przyczyn, z których każda z osobna byłaby dostateczną. Jakoż, tak niezmiernie szybko mówił, że moja niewprawa włoszczyzna nie starczyła wcale; — powtóre, mój gondolier rozgadał się dyalektem ludu weneckiego, który ogromnym parowem rozdzielony od języka włoskiego książkowego —, a nakoniec biedakowi nie stawało zębów! — Za to jednak wynagradzał te braki i wady grą fizyognomii nad wyraz ożywioną; wesolość, gniew, filuterne koncepta i domysły, smutek, strach, jakby dekoracje teatralne przesuwaly się z całą wyrazistością po tej zwiędłej, chudej twarzy, i błyszczały, migotały w tych oczach, co choć z dawnych lat, nie przygasły atoli, nie omdlały, a wtórowały im z mistrzowska potężne zwieszona brwi, co nigdy nie spoczęły, lecz albo się zbliżyły ku sobie, albo się podnosiły lub spuszczały, lub znów wyginały już jednym już drugim końcem, już środkiem i t. d. Bo dawny to lud; stara jego cywilizacya wyrobiła mu fizygnomię — a jest to nie lada rzecz, gdy człowiek się dosłuży fizygnomii — a większa jeszcze, gdy się stanie jej panem.

Gdy staruszek mowliwy nie żałował sobie słów, zwłaszcza, że mówiąc często gęsto mógł wiosłem odpocząć, jego kolega stojący na przodzie, ów olbrzym, co pracował za siebie i za tamtego, mało mówił; niekiedy tylko, jak rzekłem, wskazuje na budowania pobrzeżne, wołając ich imiona; przytakiwał tylko nprzejmie starcowi, wywdzięczając mu się niejako, że na jego gondoli wydarzył mu się zarobek.

Roztaczał się tedy w koło mnie widok otwarty, rozłożysty; wystąpiwszy z po za zakrętów kanału, przyplwały wspaniałe pałace i kościoły i długie rzędy domów — i znów ginęły zwelna, uroczyście w dali, niby rodząca się przyszłość a żegnające nas przeszłe czasy. Te ciągle zmiany i przeistoczenia widoków tém tu cudniejsze, że Canal Grande bynajmniej nie bieży w linii prostej, ale, przecinając sam kadłub miasta, snuje się węzłem mającym formę głoski S, której końce zwinęte; a dodajcie, że szerokość kanału odpowiada szeroko-



kości wielkiej a wspaniałej rzeki. Tak przeto i z bliska i z daleka możesz przypatrzeć się tym poetycznym architekturom, i porównywać w jednej i tej samej chwili formy kilku pałaców; możesz objąć jednym spojrzeniem oka długą przeciąglą perspektywę tego kanału, co jest jakby osobnym światem dla niego. Dodajmy w myśli, że lubo tu nie pulsuje już zapewne życie pełne energii i treści, jak było dawniej za świetnych czasów Wenecyi, toć w żadnej chwili nie brakuje to mniejszych, to większych statków o rozpiętym żaglu, co przybywając przynoszą mieszkańcom różne życia potrzeby. Ten obyczajony beczkami wina, ów dźwiga stopy owoców: więc arbuzy, melony, brzoskwinie, — tamten przyplywa ze świeżą wodą, — ów z paliwem, inny znów z rybami i t. d.

Niekiedy, lubo rzadziej, przesunie się około nas gondola, lub łódź rybacka niekryta. A nie mało też różnaitości, gdy spojrzymy na podnóża pałaców i kamienic; są ustępy kędy wzdłuż ich ciągną się chodniki z ciosów (trotuary) — są znów inne kędy ich nie ma, a szereg długi budynków wprost występuje z wody, kąpiąc swe stopy w falach. Niekiedy znowu widać małe place, zwłaszcza przed kościołami; więc na tych chodnikach i placach grona ludzi przeróżnie ugruppowane, zajęte to gawędą, to targiem. Niekiedy się zdarza, — bez czegoby się obeszło, — że tu i ówdzie na murach porozwieszana suszy się bielizna, — a co chwila to po prawej, to po lewej widać kanały większe lub mniejsze, wychodzące na Canal Grande; a więc na nich bliżej i dalej mnóstwo mostów i mostków marmurowych, co przeskakują zlekka, zgrabnie od chodnika na chodnik, a one wszystkie śmiało w górę wygięte, żeby pod sobą przepuścić gondole i nawet wyższe łodzie. Prawda, że są miejsca, kędy na tym precudnym kanale okropnie głucho i martwo. Niekóre pałace stoją pustką oddawna; mieszkańcy innych, jak to w porze letniej, bawią gdzieś na wsi, na willach, więc wszędzie bramy i okienice wspaniałych okien zamknięte — nie widać żywej duszy. Nie dziwiłbym się gdyby mówiono, że w tych budynkach straszny. Ale właśnie ta cisza i głuchota ma nieskończony urok, choć smętny. Jak pieśń żaloby, jak elegia, śpiewa tu anioł architektoniczne piękności i śpiewa jak słówek nad grobami. Smutek i żalność są przecież równie poezyi pełne (\*).

(\*) Nasz *Michał Wiszniewski* w swojej arcypięknie napisanej „Podróży do Włoch“ 1848 r., mówiąc (w T. I, str. 73) o powodach strasznego zubożenia szlachty weneckiej, tak się wyraża: „Za czasów rzeczypospolitej, panowie weneccy żyli nieogładając się na jutro i majątki swoje odłużali; rząd bowiem arystokratyczny ich długi i niedopłaty skarbowi często mazał ogólną amnestją, a podupadłemu panu weneckiemu dawał urzędy, gubernatorstwa lub poselstwa, które nastęrczaly sposobność podźwignienia się z upadku majątkowego. Francuzi, objawszy Wenecją kazali im wnosić wszystkie zaległości do skarbu niegdyś rzeczypospolitej należące; wielu, mając zapłacić dwakroć, do trzykroć sto tysięcy franków, odsunęci wreszcie od wszelkich zyskowych urzędów, musiało za bezcen posprzedawać swoje obrazy,

I trudno było nasycić się tym widokiem nadzwyczajnym; niekiedy, dołożywszy szczyptę wyobraźni i patrząc się na tę powierzchnią wody, piastującą obraz błękitów niebieskich i obłoków budowania, zdawało się, że te szeregi domów same unoszą się wśród powietrza, wśród lazurów i fantastycznych grodów chmur. Jakoż zaiste i sama natura tutaj ma takt artystyczny i wieszce natchnienie; bo nie wiem czyli do tych scen, które się rozsuwają tu na ziemi i wodzie, można dobrać szczęśliwszych barw i światła, i nieba więcej odpowiedniego, jak to co gospodarzy nad nami. Wśród jasnych a przecież mocnych błękitów kipią obłoki, piętrzą się, dźwigają fantazyą młodzieńczą, zuchwałą — malując to miasto i zamki, to głowy ogromne w kaskach i piórach, to zwalone świątnice, to węża co dęba stanął, to unarłego wywróconego w znak. A owe widziadła obłoczne od góry palą się złotem ciemnym, od dołu zaś wyrastają z podstaw burych, czarnych niby noc, co rodzi fantastyczne sny i widzenia gorączkowej imaginacji. Ciągłe majaczy owo mienienie się i migotanie cieniów i jasności na niebie; od czasu do czasu rozświeca kościoły i pałace światłem tём jaskrawszém, że ich kontury znów niekiedy mają za tło swoje chmurę ciemną, brunatną.

A już najdziwniejszym urokiem tych architektonicznych dzieł, któremi przeszłe stulecia jakby klejnotem wysadziły ten Canal-Grande — jest zaiste przekonanie, że te pałace i Boże przybytki nie tylko są jakby wielką wystawą sztuki samej, ale zarazem wielką wystawą historyi. Tu bowiem każda epoka ma wysłannika swóego w jakim dziele architektonicznym, które symboliczną mową opowiada, co się działo niegdyś w sercu ludzi. Tu historia wewnętrzna, duchowa wcieliła się w architekturę. Lecz nie tylko dzieje Wenecyi, nie tylko dzieje Włoch budzą się w pamięci naszej, ale jak nie pajęczka przedzie się z piersi i snuje się pasmo, co wiąże wspomnienie ze wspomnieniem, uczucie z uczuciem; — i po tём pasmie duchowém, po tój swojej nici pajęczej duch przelatuje ku Północy, w rodzinne dalekie strony. Tak nad tym Canal-Grande Wenecyi, na tём morzu europejskiego południa jedne dzieła architektury budzą myśl o czasach, gdy pierwsze Bolesławy, z butnością i poezją rycerzy średniowiekowych, roznosiły szeroko, daleko sławę i potęgę szabli swojej; — inne dzieło przenosi w epokę pierwszego Wazy, co jeszcze dojadł ostatki chwały poprzedników swoich. A ów kościół, co tak poważny i ciężki, nasuwa myśli owe dzieje, co jeszcze upiorem wspomnień cisną duszę naszą; bo przywodzą one tak długie, długie lata, gdy niebo czerwieniało pożogą i krwią od tatarskich najazdów. Obok tój świątnicy znów zrodził się późną

---

posągi i pałace, i całkiem zubożało. Tych tylko majątki ocalały, którzy przed rozwiązaniem rządu arystokratycznego byli małoletniemi; opiekunowie bowiem nie robili i nie mogli robić nadzwyczajnych wydatków i do tego rządu należy familia Pizanich, Mocenigów i Korrera.



epoką różny całkiem od niego gmach, co dziwaczac rysunkiem, wydziwiając formą, gada jakby makaronizmem skamieniałym — i prawi o owém stuleciu, gdy czcze koncepta uchodziły za rozum, a burda za meztwo dzielne, gdy ciemnopióry obskurantyzm zesłał śpiączkę na umiejętność prawdziwą i naukę życiorodną. Atoli, jakby na pociechę, naprzeciw niego dźwignął się kościół o kształtach zacnych i szlachetnych; on zwiastunem owęj kaplicy krakowskiej, kędy złożone Zygmunty.

Gdy tu przepływa pałac za pałacem, świątynia za świątynią tak licznym zastępem, że mnie się ani kusić, abym choć imieniem o nich wspomniał; więc wystarczy, jeżeli się dotknę jeszcze zlekka jedynie tych architektonicznych dzieł, co mogą być pomocą do naszego celu, więc dobitnemi wyobrazicielami właściwego sobie stylu i właściwej sobie epoki — a to odrysowanie ich pobieżne, słowami naprędce rzucanemi, tém jest dla każdego z nas łatwiejsze, niż te pałace weneckie najczęściej stanęły zupełnie w odosobnieniu od sąsiedzkich budowli; tworzą więc niby całość oddzielną, samoistną — a tém samém zbierają bacność naszą jakby w ognisku; żadne przytykające do nich budowanie nie wtrąca się w naszą uwagę, nie przerywa nam myśli naszych niewczesną ponętą. Lecz widać, że i pod tym względem tchnęły te budowniki instynktem artystycznym; bo jak każde dzieło sztuki z istoty swojej, więc ze samej kompozycji, winno być całością w sobie zamkniętą, — więc i dobrze i trafnie się dzieje, gdy ta jego dzielność i całkowitość wyraża się jeszcze i zmysłowo, materyalnie, zewnętrznie, bo oddzieleniem rzeczywistém. Wszak tę właśnie myśl np. wyrażają ramy, ujmujące sobą obraz malowany; one odosobniają go od rzeczywistości prozaicznej, a tak czynią go i na zewnątrz całością; a ztąd wynika, iż temu celowi właśnie odpowiadają ramy, co nie łączą się z samym obrazem malowanym (np. barwą jaką), a nawet z drugiej strony oddzielają go od rzeczywistego świata, który w koło otacza obraz malowany (a to się wtedy dzieje, gdy ramy są złocone). Czyliż nie dziwacznie wygląda posąg, kopiujący jakieś dzieło starych klasycznych mistrzów, jeżeli tuż obok niego znajdują się kanapy, stoły i inne graty osobliwej formy nowożytnych czasów?

Otoż te dwa pałace, co niezbyt daleko od pałacu Cornaro, a tak wspaniale patrzą w niebo i wodę, warte są, by się przed niemi zatrzymać. One stanęły po lewym brzegu, a właśnie w miejscu kędy „Kanał Wielki“ się skręcając, nabiera szerokości arcywspaniałej i ogromnej. Ten, co bliżej nas — to pałac *Balbi*. Mistrzem jego *Alessandro Vittoria* (\*) uczeń Sansovina. A choć już czas nadchodził, w którym uczucie zdrowe i zmysł artystyczny miał się ku schyłkowi, przecież w tym pałacu Balbi jeszcze nie widać przesady ani samowoli —; jeszcze on jest późniejszym renesansem, choć spóźnio-

(\*) Ur. 1525, † 1608 r.

nym i nieco spaczonym. Dół potężny, wysoki, bo sam o piętrze — nad nim dwa piętra, z których każde ma w środku łożo o trzech arkadach krągłych — po obu stronach po dwa od siebie oddalone okna kształtne. Rysunek okien, forma gźemsów, pilastrów, wszystkie szczegóły są jeszcze dalekie od dziwactwa, są czyste i pełne prostoty. Mimo tych wszystkich zalet, wyznajmy atoli, że to budowanie nie zdolne bratać się z cichym majestatem daleko wcześniejszego Cornaro, co tak uroczysty a tak jednak wdzięków pełny.

Obok tego pałacu Balbi stawiano niegdys ów rodzaj świątniczki czyli lodzięttę zlocistą, drewnianą, pokrytą baldakimem, ustrojoną w figury, kolumny, floressy błyszczące, kędy za dawnych czasów rozdzielali nagrody zwycięzcom w Regata, więc w onych tak sławnych na świat cały wyścigach wodnych. Przecież niezawsze gondolierowie z rzemiosła wyprawiali te igry na wodach. Gdy króliewicz polski Władysław, wracając z Rzymu do kraju, nawiedził Wenecyą, wówczas senat, by uczcić świetnie gościa, wybrał kilkaset młodzieży z patrycyuszów weneckich, którzy przed młodym króliewiczem popisywali się zręcznością i siłą w gonitwach wodnych. Wassenberg, mówiąc o kosztowném ubraniu, o przepysznym stroju tój młodzieży, zapewnia, że te zabawy zaiste w niczém nie ustępowały starożytnym Naumachiom, odbywanym niegdys z rozkazu rzymskich imperatorów.

Ten pałac Balbi gaśnie atoli obok przepychu fantastycznego swojego sąsiada, pałacu *Foscari*, który jest dziełem, wedle jednych, mistrza *Bartolomeo*, architekta sławnej Porta della Carta, o której poniżej mówić będziemy, a wedle drugich budownikiem pałacu *Foscari* miał być *Zuane Buono* (\*). Przecież większość mniema, że rzeczywiście *Bartolomeo* był jego twórcą. Wątpliwości zaś nie ma, że ten pałac stanął w końcu XIV stulecia.

Ten pałac jest z maurytańska gotycki, on cały dziergany we wzorki wdzięczne, lekkie; zdawałoby się, jakby sobie drwil z ciężkości nieużyttj materyi; te marmury jego spinają się idealnością piosenki; owo prawo zwyczajne wszechmateryi, co to ciągnie głązy ku ziemi, jest dla nich bajką. On zaiste jakby jedną z powieści z czasów Al-Raszyda, o których gada i baje Arabia. Tu ustała proza zwykłego życia, rozwaga rozsądkowa, oględność uleciała; a na miejscu jej igrają sny, zeslane przez wrózkę dobroczynną. Tutaj nie widać jednostajności ścian, one zamieniły się w wyrabiane przezrocyste hafty (\*\*). Jestto niby gotyk średniowiekowy, jednak zideali-

(\*) Obecnie w pałacu *Foscari* mieści się wyższa szkoła handlowa, Scuola Superiore di Commercio. — St.

(\*\*) Estetycy niemieccy w tym stylu widzą li budowanie gotyckie, które germańskiem zowią. Nawzajem znawcy włoscy, np. *Cicognara* (Hrabia Leopoldo *Cicognara*, znakomity historyk sztuki, autor licznych dzieł na tēm polu, prezes Akademii sztuk pięknych w Wenecyi, ur. 1767 † 1834 r. Jego gruntowne dzieło:



zowany fantastycznością śmiałą, lotną Wschodu, przesadzoną na grunt europejski.

Bo w tej architekturze gotycko-maurytańskiej często przeważa o wiele fantazyja orientalna nad właściwym gotyccyzmem. Jakoż obie te fantazyje, bo średniowiekowej chrześcijańskiej Europy a Wschodu, podobne są do siebie; więc łatwo się kumulują a krewnią z sobą. Bo obie wykwitły na nieskończonej swobodzie indywidualności pojedynczego człowieka, obie są dowodem, że wiek, który je stawiał, waży sobie jedynie własne osobiste natchnienie, nie oglądając się na prawa, co zewnątrz niego istnieją; że sobie żarty stroi z ustaw, które władają w naturze, a butna fantastyczność jest mu wyłącznie prawem i zakonem. Rzeczono połączenie się tych dwóch fantazyj, mimo ogromnej różnicy, rozdzielającej świat mahometański a chrześcijański, pojawia się wszędzie, kędy się stykają te dwa światy z sobą, w Sycylii jak w Hiszpanii, a mianowicie już w Wenecyi (\*).

Galarom weneckim, niosącym w laguny skarby dalekiej orientalnej natury, towarzyszyły niewidzialnie duchy Wschodu, i oczarowały tchem swoim tych rycersko-szlacheckich kupców dawniej Wenecyi; proza licząca, rachująca, rozsądkowa handlu poswatała się z czarnoksiężką Arabów fantazyją.

Gdy atoli, jak już rzekłem, w tym stylu gotycko-arabskim, o ile go spotykamy w Wenecyi, pierwiastek maurytański przeważnie panuje nad gotyką właściwą; nie dziw przeto, że nadaje, jak już powiedziałem, temu nadzwyczajnemu miastu owo wejście wschodnie, tak urocze a niezwykle w naszej stariej Europie; zwłaszcza, że, jak wiemy, styl ten często-gęsto powtarza się w architekturze tutejszych pałaców.

Nie zawadzi tedy może, gdy kilku słowami bliżej tę architekturę oznaczymy. A co ogólnie o niej powiemy, będzie już powszechną modłą, odzywającą się, lubo przeróżnym odcieniem, w pojedynczych budowlach i stanie się dla nas cechą do zrozumienia stylu, który zwykle „stylem (gotyckim) pałaców weneckich“ zowią.

Przedewszystkiem nie rozumiemy, jakoby ten lub ów pałac miał być niegdyś pierwszym wzorem, potracającym inne do naśladowania.

---

*Le Fabbriche e i Monumenti cospicui di Venezia*, wyszło w nowym wydaniu, z bogacem licznymi notatkami i wizerunkami, przez *Fr. Zanotto*. Venezia. 1858. — (St.) twierdzą, że to budowanie jest czysto maurytańskie. Ośmielam się mniemać, że i tu, jak to często bywa, środek między dwiema ostatecznościami jest prawdą. W tych pałacach zeszyły się, jak sądzę, oba te style, co już nie tylko się tłómaczy ze stosunków historycznych i z geograficznego położenia, ale zdaje się, że obok zasad ogólnych gotyccyzmu widzimy najczęściej szczegóły, a mianowicie ornamentykę arabską.

(\*) Obacz Listy z Krakowa, zwłaszcza listy o fantazyi ludów mahometańskich w T. I, List XVIII (str. 371 i nast.) i Listy o fantazyi średniowiekowej ludów chrześcijańskich w T. II, List XXVI, XXVII, XXVIII (str. 151 i nast.).

Ze sprawami lżejszej wagi ma się rzecz zupełnie, jak z wielkimi zwrotami w ludzkich dziejach. Gdy epoka nowa nastaje w historii świata, już oddawna ona się gotuje w sercach ludzkich. Zrazu ten pierwiastek przyszłości pracuje w tajnikach uczuć, a szeptem i gada zagadkową mową. Zwolna i zwolna atoli ten sfinx w piersiach ludzi zaczyna prawie zrozumiałej. Tu i owdzie w jaśniejszych głowach zaczyna dzień przekonanie, mające być piastą nastających dziejów; tu i owdzie pojawiają się oznaki, zwiastujące zwrot w rzeczach ludzkich. Lecz jak nikt nie zgadnie na wiosnę, który kwiat pierwszy się ocucił pod ożywczym, ciepłym powiewem budzącej się natury, tak też trudno odgadnąć, gdzie i kiedy ocknęła się najprzód jasna wiedza o tém, co nastać ma. Coraz więcej budzi się młode przekonanie w umysłach, coraz więcej niesmak, przesył świadczy, że dawny stan rzeczy nie wystarcza. W takich chwilach najczęściej występuje człowiek historyczny, co pomaga do porodu nowszej epoki. Wszystko, co dotychczas żyło w uczuciach, w myślach, co się objawiało nieśmiało oznakami, to wszystko teraz przez słowo, czyn historycznego człowieka staje się jawem, rzeczywistością. Prawda też, iż jeżeli takowy człowiek zawczasie wystąpi na scenę, jeżeli mu zbyt śpieszno z rolą, którą ma odegrać, już wtedy on swojego nie dokaże i sam przepadnie. Lecz po nim, poczekawszy trochę, zjawi się człowiek nierównie mniejszych rozmiarów i dokona tego, co się owemu pierwszemu, choć prawdziwie wielkiemu człowiekowi, nie udało. I nie dziw, bo czas późniejszy przysporzył mu sprzymierzeńców, a zguba tamtego wyrównała mu drogę. Rozumie się, że nigdy nie braknie i takich, co, choć mają oczy — nie widzą, choć mają uszy nie słyszą tego, na co się zanosi w świecie; tacy niby strusie zamrużą oczy w tém mniemaniu, iż czego widzieć nie chcą, tego nie ma na świecie. Znajdą się też inni, co się opierać będą nowemu zwrotowi rzeczy, i ci czasami się przydadzą; oni niby hamują rydwan historii, by niezbyt gwałtownie staczał się na nową drogę; lecz gdy one ślepo-głuche zuchwalce zechcą naprawdę wstrzymać ów tryumfalny wóz dziejów, nic nie poradzą; koła przejdą po nich, a ich tułowy bezduszne zostaną na samotnym, opuszczonym gościńcu. Takowe też jest prawo władzące w artystycznych formach sztuki; one lubo daleko mniej ważą przed sądem ostatecznym historii świata, są przeciw ducha rumieńcem, błyskawicą oczu jego, zwiastującą co się wyświęca w sercu pewnej epoki. Styl gotycko-maurytański, tak fantastyczny, przebywał zaiste w uczuciu, w dziejach, we krwi, w powietrzu dawniej Wenecyi, był symboliczną mową jej duszy. Znać tedy, że pałac dożów nie był koniecznie wzorem i powodem pojawienia się tego stylu wśród tych lagun morskich. Jakoż ten styl puścił się kwiatem bujnym w pałacach, które stanęły dawniej, niż sam przepyszny pałac dożów; lubo z drugiej strony nie przeczę, że on, zaświeciwszy w całej okazałości swojej, mógł się



przyczynić do ogólniejszego jeszcze rozpowszechnienia tej bogatej, fantastycznej a tak niezwykłej architektury.

Pamiętajmy, że ów ostrołuk, złożony z dwóch łuków koła, a który zwyczajnie u nas nazywa się gotyckim, często zapewne pojawia się i w tym stylu; przecież on nie jest bynajmniej formą w nim przeważającą; owszem najwięcej charakterystyczną cechą jego okien, drzwi, bram i wielu ozdób jest ostrołuk, mający formę gruszki ze szczytem ostrym u góry (czyli formy serca śpiczastego, wywróconego ostrzem do góry). Takie są linie zewnętrzne tego łuku. Wewnątrz zaś, podobnie jak to często spotykamy w stylu gotyckim, wprawiony jest trójliść (trifolium, trèfle, dreiblatt, trefoil), to jest ozdoba w kształcie olbrzymiego koniczu.

Widzimy tedy, że kształt tego łuku jest zaiste wyrazem fantastyczności igrającej, bujającej, co nie dba o prawa prozai podane. Jakoż, sklepienie normalne, toć zawsze mniej więcej koliste, krągłe, niem się też cieszył on rozsądek rzymski, baczący głównie na to, co praktyczne a udatne do celu; — wszakże ostrołuk zwyczajny nasz, najzwyczajniejszy u chrześcijańskich ludów w drugiej połowie średnich wieków, choć już więcej sobie pozwala, choć już jakiś butny i samowolny, przecież jest ważnym pierwiastkiem technicznym, a jak w innem miejscu dokładniej obaczymy, jest cechą gotycyzmu, a cechą, wynikającą z koniecznością z jego konstrukcyi. Tak, zaiste, ten ostrołuk jest warunkiem niezbędnym tych form śmiałych, wzlotnych, tych ścian przezroczystych, czyniących gotyckie budowanie do szklarni podobnym; on tedy jest warunkiem koniecznym tych sklepień zuchwałych, których zniesiona prawie zupełnie siła rozpięrająca, a niemal cała sprowadzona do siły ciężącej pionowo. Lecz ten łuk wywijany, powyżej wspomniany, żartuje sobie wręcz z prawideł, które sama ciężkość materji podaje, i w tej mierze wyrównywa prawie owym łukom „w podkowę“, co są rozkoszą maurytańskiej architektury. Bo przecież owa forma sercowata, gruszkowata łuku, pewnie się nie przyczynia do dzielniejszego dźwignia ciężaru, spoczywającego nad nim, i nie można też sobie wytłómaczyć, z prozajicznej, technicznej potrzeby, owego trójliścia danego na wewnątrz, co nie podpira ale raczej jeszcze ciąży. On, co właśnie jest może najswobodniejszą myślą gotycyzmu, przyjęty był chętnie w tych poetycznych pałacach Wenecyi.

Znać tedy, że to isticie fantastyczność, romantyczność z pierwszej ręki. A to wszystko tém więcej uderzające, gdy je porównujemy np. z architekturą dopiero co widzianego pałacu Cornaro, co świeci prawie cały klasycyzmem starożytną, rzymską. A wiemy, że w klasycyzmie prawdziwej, więc greckiej, wszystkie ozdoby i stroje dadzą się niemal wytłómaczyć rozumowo z techniki, z potrzeby, z natury samej każdego budowania. W niej fantazyja ściśle wypływa z prawideł mocy i siły budowania, a dźwigająca siła i ciężące brzemie zestrojone są z sobą w harmonii.

To jednak bujanie romantyczne, fantastyczne, wyrażające się w samych tych ostrołukach wywijanych, potęguje się i wzmacnia, gdy spojrzysz na to, co się dzieje powyżej tych łuków. Bo między szczytem a szczytem każdej pary łuków, więc niby nad łukami i niby między niemi, widać ogromny pierścień z marmuru rzeźbiony, a we wnętrzu tego pierścienia kształt kwiatu o czterech liściach.

Może mi powiesz, że przecież to wszystko spotykamy w stylu gotyckim, a mianowicie w oknach katedr, w portalach i t. d. Prawda! ale w gotyce zwykle te figury utworzone są z lasek kamiennych, splatających się z sobą niby tkanką; gdy przeciwnie, w tych pałacach weneckich, te figury są dziergane a raczej wykrawane na wylot jakby w ścianach, w płytach marmurowych; tak tedy tworzą niby ściany przezroczyście. Gdy tedy najczęściej w stylu gotyckim więcej jest przestrzeni otwartej, przezroczyściej a kamienia mniej, w Wenecyi raczej tłem przeważającym jest kamień, a mniej nierównie jest przestrzeni dzierganej. Co, wedle mnie, jest nierównie fantastyczniejsze, bo to niby nie okna, nie odrzwia, ale mur jest przezroczysty, hulający. Gotycyzm, choć tak idealny, jest przecież rozsądny w porównaniu z tą fantazyą wdzięczną Wenecyi; bo ornamentyka gotycka, powtarzająca się na ścianach, wieżach i t. d. ma przecież źródło swoje w tych ogromnych oknach katedr gotyckich, które, właśnie dla możności oszklenia, podzielone są takim właśnie splotem kamiennym na drobniejsze części.

Na tém atoli nie koniec tej fantazyi weneckiej, bo często nad tym wzorem, nad temi pierścieniami, nad ich zetknięciem się z sobą, znów drugie nowe dziergane hafty. A jeżeli już rysunek samego łuku jest tak fantastyczny, samowolny i nieogłądający się na rozsądkowe przepisy techniki, jakże dopiero te wyrabiania wdzięczne, te przezroczyście ściany, tak śmiałe a hulające, przypominają ową arabską fantazyą, gorącą, czarodziejską, co żyje w bajeczkach i powieściach poezyi Wschodu! Bo i w tych poezyach fantastyczność rozkołysana za nic sobie ma prawa, któremi się zwykle rządzi świat; na jej skinienie pojawiają się smoki i zaczarowane panie, i miasta zaklęte i węże rozmowne, i drzewa grające, a cały rzeczy ład wywraca się figlami czarnoksiężkim.

Otóż takowe dziergania, tkanki, hafty są chlebem powszednim w łodziach pałaców weneckich. Lecz te pałace i łodzie, jakby chciały na przekór pójść z prawidłami przyjętymi, wbrew sprzeciwiają się i pod innym względem architekturze klassycznej. Jakoż, podsienia, kolumnady greckie i rzymskie tak się zawsze obliczyły, iż kolumn jest liczba parzysta, że tedy ustępy między kolumnami są nieparzystej liczby; taki też skład rzeczy ma swoje powody, z których najgłówniejszy jest ten, iż w ścianie znajdując się za kolumnadą, umieszczone były drzwi, a umieszczone były w samym środku tej ściany; gdyby tedy liczba kolumn była nieparzysta, właśnie kolumna środkowa w kolumnadzie zasłaniałaby te drzwi. W łodziach



weneckich odwrotnie się ma, bo arkady są najczęściej parzyste, więc bywa ich 4, 6, 8 i t. d.

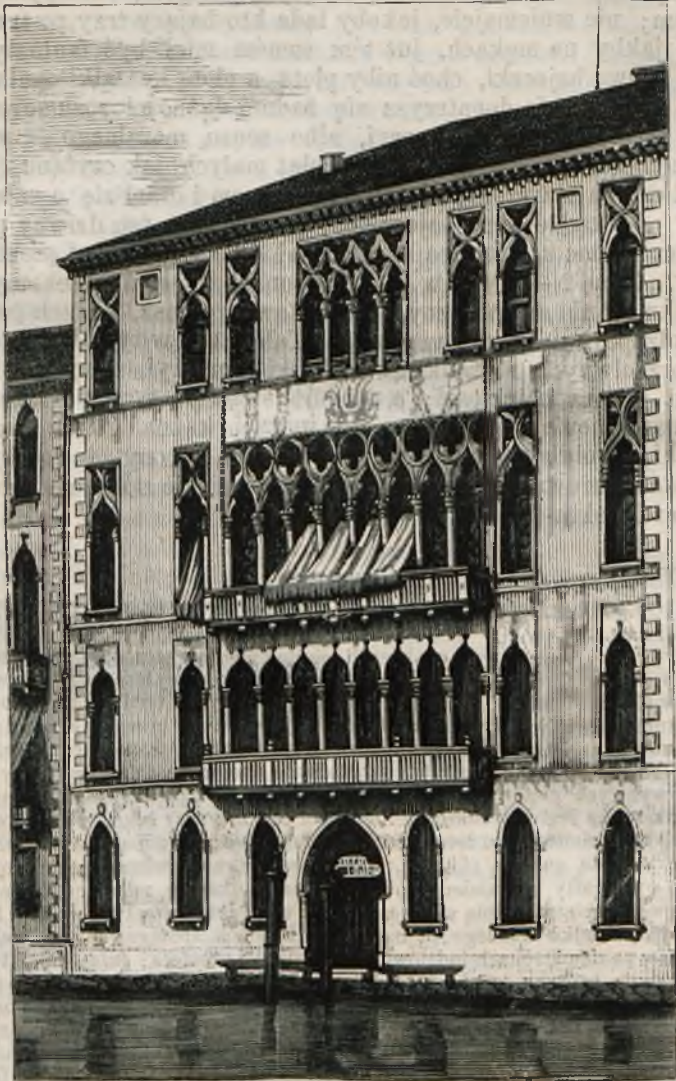
Nie rozumieście atoli, że taka fantastyczność, czy ona żyć będzie w poezyi lub w architekturze, jest tylko czczym, szczerym nierozsądkiem; nie mniemajcie, jakoby lada kto bajający trzy po trzy, prawiący jakby na mękach, już tém samém miał być fantastycznym poetą. Owe bajeczki, choć niby plotą a plotą koszałki opalki, choć nawet w nich nie dopatrzysz się żadnej dążności rozumowej, ani nawet przenośni lub allegoryi, albo sensu moralnego — przecież równie chętnie są słuchane od pacholąt małych, jak czytane z rozkoszą od człeka starszego, co dojrzał rozumem i otarł się o całą grozę życia. A zkądże tym bajeczkom, powieściom ten dziwny powab? Zkąd im ta moc urzekająca starych, młodych, mądrych i prostych na duszy? Zkąd? — Oto, w tych andronach, w tym wrzekomym nierozsądku technie artystyczny, instynktowy geniusz, w tych poezjach żyje wdzięk i urok niewymowny. Tak też i w tych budowaniach, niby przeciwnych rozsądkowi techniki i materji, odzywa się najwyższa gracia i piękność; a na dnie swawoli tych marmurów jest iście natchnienie poetyckie. Bo inaczej każda głowa bez sensu i klepki zarobiłaby sobie na wieszczowe korony, i dośćby było zbudować muirowaną niedorzeczność, by zarobić sobie na imię wielkiego architekta (\*).

(\*) Ob. O fantastyczności, Listy z Krakowa, Tom II, List XXVI i XXVIII. (str. 151 i nast.).

Przyda się może, abyśmy skreślili ogólną modłę i szczegóły tego „stylu (gotyckiego) *palacowego Wenecji*”; a tak obaczymy, jako powyższe zasady bywają stosowane w rzeczywistości. Najprzód, zgadnąć możemy, że temi łukami i koronkami architektura dokazuje dziwy przepychów, a przecież nie przesadza, nie nuży, lecz umie stosować z mistrzowska i prawdziwie artystycznie. Poziemie (rez de chaussée) pałacu jest zwykle pełne prostoty, przecież nie ubogie; jest dopiero jakby przepowiednią wyższych pięter. Podobnie też na każdym z pięter, całe bogactwo, cała fantazyja zebrana jest w środku; tu albowiem jest łuk przy łuku, więc arkada przy arkadzie, oddzielone tylko lotną, lekko podpierającą kolumną — a tak ten środek staje się otwartą galerją (łodzią). Tutaj tedy w całej świetnej grze swojej okazują się owe hafty w kamieniu, owe wyrabiania okazałe, mieniające się, migocące. Rozumnie się, że pietra różnią się często i pod względem bogactwa, wzorów koronki. Gdy tedy w środku każdego pietra, bo w łodziach, spotagowany jest cały strój, przeciwnie, po obu stronach łodziów włada spokój i prostota: tutaj widać tylko pojedyncze okna, których ozdoby i wyrabiania odpowiednie są środkowi tego pietra — ale okna te oddzielone są od siebie dość szeroką jednostajną ścianą, często ubraną w różnobarwne kamienie. Toć już widzimy, że na obu stronach fantazyja ma gdzie spocząć w ciszy po tej brzmiającej przepysznej galerji środkowej — a nawzajem znów potęguje i podwyższa wspaniałość tej łodzi samęj, do której obie te strony tak się mają, jak dół do samych pięter. A tak stworzyła się zarazem rozmaitość zestrojona w całość.

Dodaj jeszcze na ukończenie tej całości, że ostateczne linie tej wystawy, bo krawędzie samego pałacu, są obrabione od góry do dołu lekkim pilastrem, a częściej jeszcze cienkim sznurem marmurowym; że u samej góry wzdłuż okapu ciągną się zęby maurytańskie, fantastyczne; że nie brakuje najosobliwszych inkrustacyj

Chciemy atoli teraz już nawrócić do pałacu *Foscari*, i obaczmy jak sobie w nim prawdziwie artystycznie począł *Bartolomeo*, ów mistrz budownik. *Fig 8.* unaoczni i wyjaśni bliżej opisanie nasze.



*Fig. 8.* Pałac Foscari.

różnobarwnych niby mozaiki, a będziemy mieli całość z mistrzowska dokończoną i zamkniętą, a jednak najwyższej fantastyczności artystycznej. Lecz jakże ta ca-



Od spodu samego tła pałacu cokułem potężnym. Na niem zbudowane poziemie (rez de chaussée), skromne, ciche. W środku jego ostrołuka ale rozkraczysta brama. Po każdej jej stronie po trzy tegoż kroju okna. Ostrołuki i bramy okien spoczywają na kolumnie ze zdobnym kapitelem; szczyt ich kończy się w kwiat butny gotycki; od spodu tego kwiatu spuszcza się sznurek cienki kamienny i obwodzi na zewnątrz łuki, aż do miejsca, kędy one już dosięgają kapitełów kolumn. Z jednej i z drugiej strony bramy, okna, sąsiadujące z nią, są do niej blisko bardzo przysunięte; oraz wraz z bramą tworzą środek, mający odpowiadać łodziom wyższych pięter. Lekki gzyms odgranicza poziemie od pierwszego piętra.

łość śmiejąca się, strojna, niedzielną! Jakże ona się raduje i cieszy! Ona tak ochotna, jak gdyby tu nigdy nie powstała troska smętna, jak gdyby tutaj i morze i niebo przygrywały nigdy nieustającym życia weselem. Trudno atoli nie zwrócić czytelnika, choćby naprędce, jeszcze na dwie cechy, które spotykamy w tym stylu weneckim, a które, jak mnie się zdaje, wielce go charakterystycznie odróżniają od stylu ściśle gotyckiego. Najprzód, styl gotycki, jako właściwy fantazyi romantycznej średniowiekowej, wyraża to współczesne mu cofanie się człowieka w głębie wewnętrzne ducha; styl gotycki wzywa, by wstąpić we wnętrze budynku, bo zewnętrzna jego strona jest tylko szatą strojną, łupiną treści wewnętrznej. O tej charakterystyce, również jak o innych cechach gotycyzmu, mówić będziemy obszerniej przy innej sposobności; tutaj zważmy tylko, że styl pałacowy wenecki, zwany gotyckim, ma cechę wręcz odwrotną onemu cofaniu się w siebie. Okna, łodzie, dziedgania, wystawa ściany, są raczej otwieraniem się na zewnątrz; jest to raczej występowanie treści wewnętrznej na świat jawny. Druga zaś cecha tych pałaców jest następująca. Wiadomo nam, że w ścisłym gotycyzmie widzimy filary potężne, dźwigające sklepienie, ale filar takowy jest rozczłonkowany, niby jest zbiorem lasek, wałków, kolumn cienkich, śmigłych, a mianowicie jakby pękiem lasek cienkich, które w przedłużeniu swoim u góry zamieniają się w żyły, w żebra, sklepienia i ostrołuki. W gotycyzmie weneckim, wręcz odwrotnie, widzimy kolumny okrągłe, nie rozczłonkowane, podpierające galerye, łodzie i t. d. Prawda, że i w innych krajach widzujemy niekiedy w architekturze gotyckiej kolumny zamiast filarów; to jednak dzieje się bardzo rzadko i wyjątkowo, i działa się zwykle w pierwszych epokach gotycyzmu. Wiemy, że w stylu gotyckim najprzód idzie kolumna, co na kapitelu swoim dźwiga laski, wałki, które w przedłużeniu swoim rozchodzą się żebami, żyłami, a tak stają się jakby szkieletem sklepienia. Później te wałki okrągłe już są przyparte do kolumny, a jeszcze tak daleko są od siebie, że między nimi widać jako rdzeń ową kolumnę; — tak jeszcze w tej epoce nie ma organicznego połączenia między temi wałkami, laskami a kolumną macierzą! Dopiero później następuje to organiczne zrastanie się tych części z rdzeniem, będące filarem istic gotyckim. Przecież o tém później mówić będziemy.

Tutaj atoli, korzystając ze sposobnej pory, uważmy jak silny a potężny przecież jest w naturze człowieka pierwiastek negacyi a barbarzyństwa! Dochodzą nas w tej chwili pewne wiadomości z Wenecyi, że się znalazło dwóch szczególniejszych architektów, pokładających w tém chwałę swoją, by się okazali wrogami tego stylu maurytańsko-gotyckiego, będącego, jak rzekłem, charakterystyczną cechą Wenecyi. Ci panowie psują, paczą, niweczą owe prześlizne zabytki średnich wieków i przymocą chcą je przerobić na style Palladia; więc murem zapełniają łuki łodzy dziedgane; więc powlekają pokostem kosztowne marmury, więc tynkują, przerabiają, gwałcą święokradztwem gburowatém owe wdzięczne, precudne formy stare. Odzywają się tam wprawdzie głosy, wnoszące się przeciw tym wandalizmom: ale one zbyt słabe, by je obroniły od zapamiętałości ślepoockiej.

Pierwsze piętro. Tu już w środku lodżia o ośmiu arkadach, przedzielonych od siebie jedynie kolumną wysmukłą. Te ośm arkad od spodu połączone razem balustradą wspólną i zdobną. Po obu stronach lodży po dwa okna, między którymi ściana znacznej szerokości. Te arkady wszystkie, podobnie jak poziemia, są ostrołukie, wywijane, w środku zaś owe trójliście fantastyczne; i tutaj wyrósł ów kwiat gotycki, strojący szczyty, i tutaj łuki obrabione onym sznurkiem kamiennym, lekkim. Lecz tu nie ma jeszcze dziergania w marmurach, bo pierwsze piętro jeszcze skromne, domaszne. Za to jednak spotykamy ozdóbkę wielce oryginalną i świeżą, nadającą osobliwszy urok całości. Jakoż, od góry i z boków cała lodżia zamknięta jakby w ramy prostokątne; albowiem wazka listewka bieży od góry wysoko nad kwiatami, więc równoległe do gzymsu, a ona łączy się z listewkami, ciągnącemi się pionowo, prosto od dołu do góry lodży. W takie ramki czworograniaste oprawne są i pojedyncze okna, znajdujące się po obu jej stronach. „Listewka“, to wyraz niedokładny, bo to jest raczej sznur cienki, skręcony, marmurowy.

Otóż, jak wedle mojego uczucia, te ramki małym zachodem niezmiernie wiele dodają wdzięku temu budowaniu, bo czynią z lodży i z każdego pojedynczego okna całość odrębną. Prawda, że to szczerza fantastyczność romantyzmu czystej krwi, bo trudnoby było te sznurki wytłomaczyć rozumowo z techniki i architektonicznej potrzeby. Przecież to arcy zgrabne i odpowiednie swojemu czasowi, a wiemy już, że fantastyczności główka nie boli o zachowanie reguł. Gzymssem leciuchnym odgranicza się piętro pierwsze od drugiego.

Niechaj teraz czytelnik zwróci uwagę na drugie piętro, co jest ogniskiem przepychu i bogactwa. Tutaj fantazyja wysadziła się, by wystroić, ozdobić świetlice, co za dawnych lat błyszczały wystawnością zamożną i hardą. Jakoż to piętro, będąc najgłówniejszém, jest wyższe od trzeciego i od pierwszego, które znów jest wyższe od ziemia. Rozporządzenie odpowiada zupełnie pierwszemu piętrem; bo lodżia ośmiolukowa stanęła nad lodżią piętra pierwszego, a każde okno pojedyncze nad odpowiedniém oknem jego. Lubo i tutaj spotykamy te ramki ładne; przecież krom tego, między temi ośmiu ostrołukami lodży, czyli raczej nad niemi, pyszną się jeszcze owe olbrzymie koliste pierścienie, a w nich rozety czwórlistne ogromne, na wylot przezroczyte, a tak szerokie jak samo oddalenie kolumn od siebie. I okna pojedyncze, będące po obu stronach, mają odpowiednie przezroczyte tkanki kamienne. I tutaj gzyms skromny pokazuje granice między tém piętrem drugim a piętrem trzecim.

Piętro trzecie. W środku lodżia: przecież ona już mniej długa, bo tylko o czterech łukach. Po obu jej stronach, na szerokość jednego okna, ściana gładka, — potem po obu stronach okno, które tedy odpowiada skrajnej arkadzie, skrajnemu łukowi lodży pierwszego piętra. Dalej jeszcze po obu stronach dwa okna odpowiednie



oknom dwóch dolnych pięter. Tak lodzia jak i okna pojedyncze tego trzeciego piętra stroją się w wyrabiania na wylot, choć już mniejsze i wedle innego wzoru wykonane. Wszelako i tutaj spostrzegamy owe ramki w kręcony sznurek. Patrząc się na te trzy piętra i na poziomie, widzimy jak te części są rozmaite, a przecież ściśle do siebie się nadają; są to waryacje na jeden i ten sam temat.

Dość spojrzeć na stosunek wzajemny tych pięter do siebie, podziwiać ten istny artystyczny zmysł, żyjący w tej budowie. Bo pomijając już szczęśliwe rozmiary wysokości tych pięter, baczmyż jedynie na stopniowanie ich form. Piętro drugie, jakeśmy rzekli, najbogatsze, i spuszczać się poniżej widzimy, jak to pierwsze piętro jest przejściem szczęśliwem do poziomu; to pierwsze piętro jest ogniwem pośredniem między dołem tak skromnym, a przepychem zebrany w piętrze drugim. I patrzmy znów na piętro trzecie; ono jest mniej strojne, mniej przezrocyste, a przecież tak lekkie, iż nie ciśnie na koronki przezrocyste drugiego piętra, a zarazem znowu odpowiada większymi przestrzeniami ścian swoich piętru pierwszemu i poziomiu.

Pod okapem piękny gzyms, w wsporniki ozdobny, tak zakończona całość od góry, jak ów potężny cokol kończy ją od dołu. A jak każde piętro oddzielone od pięter gzymsem łagodnym, tak na samą krawędź palacu, bo na rogach jego wznosi się, od dolnego gzymasu do wyższego, smukły, śmigły pilaster, z głowicą ubraną w liście. Tak całość jako i części zupełnie ukończone i zamknięte w sobie.

Widzimy jakto formy tego palacu świątecznie wystrojone, jakto one lubo choć tak wspaniałe, jakto one zdają się być wolne wszelkiej troski i wszelkiej palącej boleści; a przecież oplotły je, jakby flos passionis, wspomnienia pełne smętku a grozy. Bo to tak bywa w ziemskim żywocie, a ludzkich doczesnych sprawach; kędy zająśnieje w sercu uśmiech i radość, tam znienacka przebiegną po uczuciach mrozy nieszczęścia, niby pajak ohydny po świeżych kwiatach. Z progów świątyni Pańskiej występuje oblubienców para, ubrana w barwne wonne bukiety; cała ich przyszłość roztacza się przed oczyma serca światem rajskich nadziei; dom ich, choć jeszcze doczesny, już odziany w niebiańskie uroki; a ochoczo, radośnie otacza ich ślubna drużyna; ziemia, niebo i natura cała, — to ich grajki weselne. Ale oblubienców parze szczęśliwej, ale weselnej drużynie zachodzi drogę u wrót kościelnych smętny orszak śmierci i prawi jak przelotne, jak zdradne szczęście doczesne; — dziatki spłakane, ojciec pochylony pod brzemieniem gromu, idą za trumną matki. Tym sierotom tak pusto i glucho na świecie, serce im w piersiach umarło —, a tak śmiertelno i grobowo teraz w ich domu, że się im zdaje, jako już nie ma czego wracać pod własną strzechę, co niedawno była tak błogą, ukochaną i lubą. Owdzie znowu, w cichój izbie urodziło się dziecię, co rozkoszą rodzinie, ojcu nadzieją; a na licach białych matki wykwitł kwiatem Bożym rumieniec szczęścia i nieskończonej

macierzyńskiej miłości — a znów o sąsiedzką ścianę kona samotnik; on sam jeden umiera, sam tylko Bóg słyszy ostatnie jego westchnienia. Lecz boleśniejsza jeszcze, okropniejsza ironia, gdy sprzeczność szczęścia i boleści zbiorą się w jednym i tém samém sercu, gdy na róży rozkwitłej miłością, zamiast kropelki rosy niebiańskiej, błyszczy łza rozpacz i żalu; gdy na tych samych skroniach, w wieniec laurowy chwały — wplotą się ciernie bolesnej korony.

Te sprzeczności a dysharmonie doczesnego świata znajdują dopiero ukojenie w najgłębszém zapatrywaniu się na życie a przeznaczenie wyższe człowieka.

Przecież ze względu na rzeczy ziemskie, widać, iż w najbliższém sąsiedztwie z tą dysharmonią rodzi się pojęcie wzniosłości, i że z tém pojęciem znowu najściślej jest w związku tragiczność sama.

Uzucie „wzniosłości“ wtedy chwyta za serce nasze, gdy wśród bied doczesnych a ułomności życia obaczysz potęgę, która tak niby wzrasta po nad rzeczy skończone, która się dźwiga do tak zawrotnej wysokości, do tak niezmiernego ogromu, iż się zdaje, że jej już z niczém porównać nie możesz, bo ją mierzysz a mierzysz, ale zmierzyć nie zdołasz, gdyż miary zabraknie; żadna miara nie wystarcza, bo ona jest skończona, a potęga owa bezmierna zdaje się jakby była nieskończona, jakby była samą nieskończonością. Jednak z tego już poznajemy, iż czyli się wzniosłość w życiu, czyli w sztuce, czyli w naturze pojawi, zawsze ona złoży się z dwóch pierwiastków, bo raz z onej potęgi urosłej niby w nieskończoność, powtórę z miary skończonej, która nie wystarcza owej potędze, nie mogącej być zmierzoną. Uważmy również, jak o tej potędze mówimy: *iz się zdaje, jakoby była nieskończoną!* ztąd widać, że jej nieskończoność uważamy jedynie za pozorną. Inaczej być nie może, bo sam jeden tylko Bóg jest nieskończonym, więc wiekuistym. Wszystko zaś, co powstaje, co się rodzi, co stworzone jest, ma granice swoje. zatem może przybrać tylko nieskończoności pozory.

Stajesz przed wspaniałym ogromem katedry gotyckiej, a widok jej form uskrzydla uczucia twoje; ona się wznosi nad ziemskie poziomy, nad niskie strzechy mieszkań ludzkich, i po nad nędzotki doczesne; ona cię wznosi ku wysokościami, kędy powiewa oddech nadziemskiej dziedziny. Ta katedra, dzieło wielu pokoleń, „wzniosłością“ cię oczynia; radbyś mierzyć własnemi jej szczegółami to niebolotne jej budowanie, i te wieże strzelające w obłoki. Lecz owe wszystkie iglice i kwiatony, i wieżyczki, i strzałki, słowem owe wszystkie szczegóły architektoniczne nie zdołają być tu miarą; one malują w porównaniu z całością, która rośnie jakby w nieskończoność; te szczegóły wszystkie nikną, giną obok niej. Rozpuść oczy po szerokiej morza przestrzeni, co nie ma granic, co nie ma końca, ona się niby szerzy w nieskończoność; szczegółowe bałwany to się wzdymają, to przepadają w głębi, to spinając się, stają dęba, potrząsając kędzierne piany, to rzucają się w przepaści; lecz samo tło wo-



dnym topieli zawsze trwa, jest zawsze jedno i to samo, i nie przemija wśród tej bijącej bałwanów gry. Powstaje fala za falą, za tą znowu drugie, a dalej znów inne a inne; lecz te fale nie zdołają być miarą całego morskiego ogromu, one mierzą a mierzą morskie rozłogi, a nie zdołają ich zmierzyć. Choć zgroza i lęk cię chwyta gdy patrzysz na to dzikie żywiołów rozluzanie, przecież ten widok jest „wzniosły“ i potęguje własnego ducha twojego, bo ci nieskończoność przypomina.

Lecz i katedra, i jej wieża — owa obłoków sąsiada — choć jest arcydziełem budowniczej sztuki, i owa bezmierność mór i bałwanów gry, choć znowu są natury arcydziełem, przecież istotnie nie są nieskończone; one mają swoje granice, ich nieskończoność jest pozorną; lecz właśnie dla tego one przypominają nieskończoność i dla tego są „wzniosłe“.

Podobnie atoli dzieje się w dziedzinie ducha ludzkiego. Im za-możniejszą treść wewnętrzną jest człowiek, im wyższą potęgę wola w nim robi, tym on też silniejszym pragnieniem party będzie, by tę treść swoją, mocą swojej woli, czynem w świecie objawił, by ją wprowadził w rzeczywistość żywą, obecną. Lecz zważ! Dla człowieka cały świat rzeczywisty, cały jego ogół jest jedynie zbiorem ulamków, zbiorem szczegółów. On nie zdoła całego świata ani geniuszem, ani wolą, ani czynem swoim ogarnąć; człowiek słyszy jedynie szczegółowe, pojedyncze, a to nawet przygłuszone tony wszech-rzeczy; samemu tylko Bogu grają w pełni harmonie wszechświatów przez niego stworzonych. Człowiek tedy winien pod każdym względem ograniczyć się i miarkować wolę swoją i działanie swoje, bo on, jestestwem stworzonym będąc, sam jest objęty w szrankach a granicach.

Stać się atoli może, że człowiek zapomni o tych szrankach swoich. Wtedy on, oddając się w całości jednej myśli, w niej skupia całe brzemie swojej istoty, na tę jedną ideę, na tę jedną myśl on cisnie całą potęgę olbrzymią swojej woli; on wszystkie zasoby geniuszu swojego tej jednej myśli w służby oddaje; on, wszystkim głosom własnego serca nakazując milczenie, wszystkie chęci, skłonności, pragnienia, tęsknoty, wszystkie inne idee duszy swojej poświęca, składając je wszystkie na ołtarz ofiarny tej jednej przez siebie wybranej idei. Ztąd też człowiek takowy dźwignie się ponad siebie samego, dźwignie się wysoko ponad zwykłą ludzką naturę, wzniesie się jakby w nieskończoność. Bo mierzysz to wzniesienie jego miarą zwyczajnych ludzi, a ta miara maleje, znika; mierzysz to wzniesienie ilością poświęceń bez granic, które on składa w ofierze tej jednej swojej idei; lecz te poświęcenia wszystkie dla niego samego nie mają znaczenia, one nikną, nie są nawet już miarą żadną. Otóż człowiek takowy jest wzniosłości obrazem.

Widzimy tedy, że wzniosłość jest jednym z różnych rodzajów piękności, a różniącym się od owej spokojnej, czystej, pełnej prostoty

piękności właśnie w tem, że piękność czysta, prosta nie występuje bynajmniej po za własną istotę swoją; ona, będąc w zgodzie i harmonii ze sobą samą, nie łamie się z sobą. Ona podobna do człowieka, co, uznając granice własnej istoty swojej, sam jest w zgodzie z sobą, bo miarkując wszystkie idee, będące treścią ducha jego, żyje wedle Bożych ustaw, odprawia wiernie a w ciszy tę roboczną przekazaną sobie na tej roli Pańskiej. On, znając granice swoje, już tem samem, i właśnie dla tego, przeczuwa duchem dziedziny bez granic żyjące, płonące po za temi granicami jego własnej ziemskiej istoty; odbłask tych światów zaświeci w myśli jego, odgłos ich żywota odezwie się echem w sercu jego. Piękność wzniosłości jest przeciwnie występowaniem po za granice własnej istoty swojej, jest jakimś dualizmem w sobie samym.

Z tego też powodu piękność wzniosła łączy się, jakieśmy rzekli, najściślej związkami z tragicznością samą.

Jakoż człowiek jest z istoty swojej ujęty w przeznaczone jemu szranki a granice. Jeżeli tedy w myśli swojej przełamuje te szranki potęgą swojej woli, jeżeli chce urosć w nieskończoność, już ta żądza jego stawia go w sprzeczności z własną jego istotą. Ta sprzeczność w oczach logiki jest nielogicznością, bo ten człowiek jest rzeczywiście czem innem, a czem innem jest w myśli a woli swojej. Ta sprzeczność w obec obyczaju jest samolubstwem, zarozumiałością i pychą serca —, a w obec religii jest bezbożnością, bo kto się mieni być nieskończonej mocy sam sobie oddaje najwyższe hołdy, bo sam tylko Bóg jest nieskończonym a wiekuistym w prawdziwym i ściśłem znaczeniu.

Ta sprzeczność jest przeto nie zdolna by się ostać mogła, ona sama sobie jest wrogiem, ona sama siebie zgubić winna. Ona ginie, niweczając człowieka, który ją przedstawia. On skonem swym za winę płaci. I taka właśnie jest istota tragiczności (\*).

Gdy atoli charakter tragiczny sam w sobie ma zaród swojej zguby, zatem już i powody zewnętrzne, mające go zgruchotać, same się przez się znajdują, a będą one wprost wpływem jego wewnętrznego usposobienia.

(\*) Lubo już w innych miejscach mówiłem o tragiczności (np. ob. Listy z Krak. T. I, str. 174 i nast. T. II, str. 301 i nast.), zdawało mi się jednak, że nie od rzeczy będzie, jeśli, przy podającej się porze, wskażemy związek tragiczności z pięknnością wzniosłą.

Gdy zaś wywodziśmy tragiczność z winy człowieka, który w zuchwałstwie swoim mniema, jakoby zdolną być nieskończonym, gdy to zarozumienie jego a pychę uważamy być grzechem i sprzecznością, gotującą koniecznie mu zgubę, więc czytelnik pojmie w jakim znaczeniu mówimy niekiedy o nieskończoności, o wiekuistości przebywającej w człowieku. Te wyrażenia nasze znaczą, że w człowieku mieszka dusza, której przeznaczenie i zadanie *nie kończy się* ze śmiercią jego ziemską, że przeznaczeniem jej jest wieczność, bo nieśmiertelność. Może to tłómaczenie takich naszych wyrażen jest zbyt uczynne, bo samo się przez się rozumie; położyłem je atoli tutaj, aby uniknąć wszelkich wątpliwości.



Jakoż gdy on jedną wyłącznie ideę aż do ostateczności chce wprowadzić w świat, tém samem potracą o inne idee, które również tak samo mają prawo do istnienia w świecie, a które także mają wagę i znaczenie w przekonaniu innych ludzi. A tak postać tragiczna wywołuje na siebie wrogie potęgi; więc zewsząd budzą się zawistne moce, dźwigają się olbrzymem, i zderzają się z nim walką na zabój, stając się wykonawcami sprawiedliwości odwiecznej. Postać tragiczna nie cofa się przed tą walką, nie nawraca, bo jej cechą jest właśnie moc woli nieprzełamana, więc ona raczej ginie i przepada. Zrozumiemy, iż tragiczność jeszcze się wzmaga, gdy te potęgi, które na siebie biorą sprawiedliwości wymiar, same odziewają się w postaci tragiczne, również obłożone winą. Gdy tedy każda z tych postaci, podobnież opanowaną będąc jedną wyłącznie ideą, takową doprowadza do ostateczności, a mocą swojej nieprzemóżonej woli wzmaga ją jakby w nieskończoność; z tego wynika, że te wszystkie figury tragiczne nie mogą się ostać obok siebie, bo każda inną przedstawia ideę, a każda tę własną ideę za jedyną, za samą prawdę uważa, wszystkie inne za nic sobie mając. Tak tedy wszystkie a różne idee w postaciach różnych figur na siebie uderzają, gotując sobie nawzajem zagładę i śmierć.

Jakież atoli są te idee, które, owiładnawszy duszą człowieka, stają się jego pathos, to jest potęgą, która, silniejsza od niego, prze go niewstrzymanie do czynu a działania? — Uważmy, iż bez względu na treść tych idei, każda z nich winna ściśle łączyć się z wolą nieprzełamana, bo wola wiotka, słaba zatrzyma się na pół drogi i nie przejdzie w ostateczność. Otóż ta potęga woli sama przez się, bez względu na cele jej a treść, może się stać wzniosłą, tragiczną, i poruszyć widza do żywego, jeżeli się ona wzniesie do wysokości zawrotnej, niedosiężnej dla zwyczajnych ludzi. Z tego widzimy, że wola, choćby miała treść nie prawdziwą, nawet złą, jeszcze może zadziwić wzniosłością swoją, jeszcze może być tragiczną (Makbeth, Ryszard III, Głiński). Przecież w takich razach sama figura tragiczna odziewa nawet dla siebie samej własne żądze a działanie swoje jakimś blichtrzem słuszności, jakimś sprawiedliwości pozorem, kłamiąc sama sobie. Bo, mimo wiedzy, przecucie instynktem praw i w sercu każdego człowieka, iż to, co niesprawiedliwe, niesłuszne, utrzymać się nie zdoła w świecie, gdyż nie ma podstawy dla siebie, gdyż jest właśnie rozwo dem od prawd ogólnych, odwiecznych (\*).

---

(\*) Np. Ryszard III w Szekspirze jest charakterem z gruntu demonicznym; lecz on, na samym wstępie tragedyi, sam przed sobą tłómaczy się ze swoich zbrodniczych zamiarów, mówiąc, że natura go upośledziła jakby macocha zawistna, że na jego postać ohydną (garbatą, kulawą i t. d.) „psy szczekają“, że tedy postanowił mścić się za te krzywdy swoje na ludziach, co używają radości światowych. Ryszard jest zresztą wielkich zdolności, jest odważny i mężny. Te zalety wnoszą go w oczach jego nad innych członków królewskiej rodziny, bliżej tronu będących.

Przecież ta wola sama przez się może się stać również ideą, bo idea wykonywania tej woli swojej bez granic w świecie; — może się stać tedy *żądzą władzy*. Ta żądza jest właśnie też dla tego potęgą najczęściej występującą w dziejach historyi, jak i w dziejach sztuki. Przypisywanie sobie samowolności bez granic w działaniu, prowadzi samo przez się do chęci bezuzdnych, a więc właśnie do szału zuchwałstwa i zwichnienia myśli, a tak ginie, roztrącając się o potęgę rzeczywistego świata (\*). — Miłość, pragnienie wiedzy, społeczności ładu, honor, przywiązanie rodzinne, i tyle innych idei, żyjących pełną siłą w sercu człowieka, bywają również często ową patetyczną mocą, wstępującą w ludzi i porywającą ich do działania bez miary. Wszak wszystkie te figury tragiczne mają prawdę za sobą, ale jedynie prawdę szczegółową, bo jedną z pośród wielu prawd. Ztąd każda grzeszy wtedy, gdy występuje po za granice swoje, gdy za nic sobie ważąc inne prawdy, sama siebie jedyną a całą, bezwzględną prawdą być mniema. Nie dziw tedy, że nawet niekiedy sprawy dzielne, podjęte wolą zacną, szlachetną, do tragicznego rozwiązania prowadzą.

Ztąd też świat widzów przejęty jest do dna losem tragicznego charakteru. Bo idea, która ośwładnęła wskróż taką figurą, przebywa także w widzu samym, zatem budzi w sercu jego głębokie współczucie.

Z jednej strony, patrząc na otchłań, do której tragiczną postacią prze niepohamowanie owa idea, czujemy, że te jej koleje smętne różnią się wręcz od świata naszego powszedniego, w którym żyjemy, że te losy tragiczne są czémś dla nas obcém, cudzém; w samolubstwie serca sami sobie powtarzamy, jako te postaci tragiczne płacą za własną winę swoją, gdyż nie umiały miarkować się w uczuciach swoich; pieścimy się myślą, żeśmy się rozsądkiem, rozważą odgradzili od podobnych ciemnych losów jakby twierdzą nieprzebytą, za którą bezpiecznie żyjemy, niby w domu spokojnym. Lecz z drugiej strony coś nam w piersiach gada i szepcze, że w nas żyją pełnym życiem te same idee, też same uczucia; że te uczucia a idee mają swoje uprawnienie w świecie, i we własnym wnętrzu naszym. Więc znowu zgroza nas przejmuje na myśl, że te moce, te idee przyczaiły się tylko milczkiem w naszych piersiach, trzymane na uwieży niepewnej, że one przy danej sposobności mogą się zerwać, zrzucić pęta swoje i jako pathos ośwładnąć podobnie i naszą całą istotą! Strachy nas mrozą na samą myśl, że ta twierdza opiekuńcza, która nas niby odgradza od tragicznego świata, runąć może, i że owe potęgi tragiczne, przelamawszy wszelkie tamy, rzucą się w naszą obecność,

---

On pragnie panowania — a wiedząc, że go nikt kochać nie będzie, chce, aby się go bano, aby widok jego przejmował trwogą i strachem.

(\*) Makbeth, Foscari, Aleksander Macedoński, Cezar i t. d.



i porwą i uniosą nas samych straszliwą namiętności powodzią. Ztąd się tedy rodzi głębokie zajęcie, którem do nas przemawia tragedia.

Takowe to pomysły przeszły przez duszę moją od owej chwili, gdy powyżej pierwszy raz skreślił imię „Foscari“. A lubo, potrącony będąc widokiem pałacu téj rodziny, skreślałem z wierzchu i pobieżnie charakter owę maurytańsko-gotyckiej architektury, przeciw postacię Foscarich, boleści pełne, smętne i żałobne, przemykały się jak przeze mgłę poprzód oczy moje; a tak się stało, choć to może było mniej na porze, że jakby mimowolnie rozwiódłem się nad tragicznością ludzkich kolei. Tą również okolicznością powodowany, wspomnę pokrótce o tych dziejach doży Franciszka Foscari, przypadłych w środku XV stulecia, a wspomnę o nich tém chętniej, że zdarzenia te, przechowane przez historią, ową starą ksienię przeszłości upłynionej, za naszych czasów zmartwychwstały na zawołanie poezyi i sztuki pięknej, owę wskrzesicielki umarłych. Wszakto tak bywa zawsze, że postacie, co dawno przebolały męki swoje, i co oddawna pogrzebione w kostnicy stuleciów, roztwierają trumny swoje, gdy usłyszą wołanie piękności geniusza; wtedy one występują z za grobów odziane ciałem — ciałem, co promieni nadziemskim sztuki wdziękiem; więc napowrót stają wśród ludzi żywych, i żyją same po śmierci życiem nadzmysłowych ideałów.

Gdy atoli wielkiej części czytelników moich znane są zapewne te dzieje rodziny Foscari, zatem ograniczę się na ulotnym ich przebiegu.

Było to na wiosnę roku 1423, gdy doża Tomasz Mocenigo, ośmdziesięcio-letni starzec, zaprosiwszy do pałacu najpoufalszych sobie senatorów, oświadczył uroczyście, że, czując się być blizkim zgonu, rad z nimi pomówić o sprawach rzeczypospolitej i wyborze następcy na krzesło książęce. Wymienił im mężów najświetniejszych zasług, polecając, aby jednego z nich wynieśli na najwyższe dostojenstwo ojczyzny; lecz błagał i zaklinał aby nie myśleli o Franciszku Foscari, bo ten lekko-duchy „młody prokurator“, pała zapamiętała chęcią wojny — a wojna zuboży państwo i podda rządów Wenecyi pod przewagę żołnierstwa, opłacanego własnem ich złotem (\*).

W kilka dni po téj przemowie, dzwon z wieży Ś-go Marka (Campanile) tonem głębokim, uroczystym głosił Wenecyi, że jęj doża skoła. W sali wyborów (Sala dello Scrutinio) gromadzi się czterdzie-

(\*) *Daru* w dziele swoim „Histoire de la Republique de Venise“, na którem się głównie opieram w opowiadaniu tych zdarzeń, czyni trafną uwagę: że gdy Mocenigo nazywa blisko 50-cio letniego Franciszka Foscari „młodym prokuratorem“, już tém samem wyrażeniem swoim dowodzi, jak wysokiej powagi w Wenecyi był wiek podeszły, okryty bielą starości. Ta historia rodziny Foscari dość już często jest powtarzana, będzie tedy, jak powyżej rzekłem, znaną zapewne znacznej części moich czytelników. Jest ona atoli tak charakterystyczną, iż sądzę, że mi jęj nie przystoi opuszczać, rozprawiając nieco obszerniej o tém nadzwyczajnem państwie weneckiem, i o duchu, który w niem zamieszkał.

stu jeden wyborców, by radzić i głosować, kto ma zasiąść na zloci-  
stem krzesle książęcem.

Występuje w szranki szereg kandydatów, z których każdy  
szczył się zacie świetnemi zasługami, wielkim talentem i prawo-  
ścią nieskażoną. Więc stanęli w zawody: Contarini, Leonard Mo-  
cenigo, Cavallo, Bembo; a lubo oni wszyscy jaśnili wysokimi za-  
letami, przeszedł ich jednak wszystkich Piotr Loredan. On — Tur-  
kow pogromca, on — uwieńczył się dopiero świeżym laurem zwy-  
cięzkiem a okrył wojenną chwałą republikę. Kończył poczet kandy-  
datów Franciszek Foscari; jego zasługi nie urosły do miary współ-  
ubiegających mężów; zdawało się przeto niepodobieństwem, aby on  
mógł zdobyć sobie złotą mitrę księcia Wenecyi; a nadto przestrze-  
gający duch dopiero co zmarłego doży stanął jakby wróg jego mię-  
dzy nim a zuchwałą nadzieją dostąpienia najwyższej w państwie  
godności. Przecież Franciszek Foscari był trawiony palącym pra-  
gnieniem władzy, chęcią znaczenia i przyszłej sławy; on ufał sobie,  
a ta ufność była jego potęgą i rękojmią wygranej. A jak wrodzona  
bystrość wskazywała mu środki do celu, tak butna odwaga jego nie  
lękała się i najśmielszych środków, byle stanąć u wykniętej mety.

Sześć dni trwały tajemne narady wyborców. Już dziewięć razy  
głosowano, i co było rzeczą niesłychaną w dziejach Wenecyi, dzie-  
więć razy kreskowano bez skutku. Sala brzmiała mowami, co roz-  
taczały zalety każdego z kandydatów na księstwo. Najświetniej  
z pomiędzy wszystkich zajaśniało imię admirała Piotra Loredana.  
Nikt nie ośmielił się zaprzeczyć ogromnych zasług jego. Byli atoli  
tacy, co, oddając hołdy wielkiemu imieniu, zwrócili uwagę rady, jak  
właśnie wybór jego na dożę, pozbawiając państwo tak wielkiego wo-  
dza, byłby klęską publiczną, — i to było całym zarzutem przeciw  
wyborowi jego. Tak ważyły się losy i czarne i białe, taką była  
skryta walka stronnictw i pasowanie się zacięte, uporne.

Głosowano po raz dziesiąty.

Dzwon z wieżycy Ś-go Marka zabrzmiał, ogłaszając Wenecyi,  
że na stolicy książęcej zasiadł — Francesco Foscari.

Od domu do domu, od pałacu do pałacu, po ulicach i rynkach  
prawiono, szeptano sobie, że wybór doży jest dziełem intryg, że  
Foscari, będąc prokuratorem republiki, groszem publicznym zjednał  
sobie przyjaciół i zwolenników, będących już ślepem narzędziem jego  
żądzy, znaczenia i władztwa.

Gdy Foscari, na szczycie potęgi i świetności, wraz z rodziną  
wprowadza się do pałacu dożów, — w pałacu Loredanów zrodził się  
demon wrogięj niechęci i zawiści.

Ziściły się wróżby konającego doży Mocenigo. Przez trzydzie-  
ści lat, pod rządami Franciszka Foscari, srożyła się wojna. Bitwy  
krwawe na lądach i morzach czasem tylko umilkły, aby kilkomie-  
sięcznem zawieszeniem broni szła wojny się rozbudził spotęgowaną  
srogoscia.



Foscari własnego ducha wojennego i sławy tchnął w radców państwa. Wenecya, rozpalona chęcią chwały i podbojów, dzielnie stanęła przy doży swoim — i nie były daremne jej wysilenia, nie daremne talenta i moc duszy Foscarego. Oręż zwycięzki wzniosł wysoko potęgę Wenecyi; księstwo Rawenny, tak bogate i przemożne, stało się jej dzielnicą, a Brescia, Bergamo, Crema zhołdowane ukorzyły się przed Lwem Św. Marka. Wszak cała Lombardia miała już pójść w poddaństwo dumnej rzeczypospolitej. Francesco Foscari uczynił ojczyznę swoją przeważniejszą, niż którykolwiek z dożów poprzedników jego. Imię Foscari ściśle się spłoty z jasną chwałą Wenecyi. Lecz ów mąż, co niegdyś w sile wieku wstąpił na stolicę książęcą, w ciągłym łamaniu się i poświęceniu za dobro i zdrowie rzeczypospolitej, wcześniej się okrył starości siwizną.

Im atoli świetniejszą sławą biło panowanie Franciszka Foscari, im bujniej rozwijały się wawrzyny jego, tém liczniej mnożyły się zastępy jego skrytych nieprzyjaciół, tém gorącej paliła nienawiść serce rodziny Loredanów. Kiedy się zdarzała pora, przy sposobności każdej, to tajemnie, to jawnie Loredanowie występowali przeciw Foscaremu; — kędy zwrócił myśl a wolę swoją, tam ich znalazł jako nieużytych, nieprześlągniętych wrogów.

Foscari, oddawna pragnąc usmierzyć tę nieprzyjaźń srogą, rozdzielając oba domy, wyprawil w tej myśli poufnych sobie do admirała Piotra Loredano, ofiarując mu córkę swoją dla jednego z jego synów. Ofiarowanie takowe było zuchwale odrzucone. Więc teraz straszniej jeszcze, niż kiedykolwiek dawniej, rozplómięła się nienawiść, jątrząca serca Loredanów i Foscarów.

Zdarzyło się, że w chwili nieopatrznej z ust doży wypadły niebaczne słowa: jako się nie uzna być istnym księciem, poki żyć będzie Piotr Loredano. Nieszczęściem, nie długo po tem wyrzeczeniu, po krótkiej i niespodziewanej słabości, umarł admirał. Nie było tedy już miary oszczerstwu. Śmierć Piotra przypisywano na głos Foscaremu; a utwierdziły się złe mowy, gdy po krótkim czasie zeszedł i Marek Loredano, brat Piotra. Lubo nie było choćby najdrobniejszego poszlaku dokonanej zbrodni, wryto jednak na grobowcu admirała, jako zginął niecznie otruty.

Wtedy Jakób Loredano, syn admirała, prowadzący, podobnie jak wielka część patrycyuszów weneckich, obszerny handel, wziął swoją księgę kupiecką, w której się zapisywały wierzytelności i długi osób, z któremi miewał czynności handlowe, a rozłożywszy tę księgę, w miejscu, kędy jeszcze były karty białe, napisał u góry imię: Francesco Foscari, a na lewej stronie zanotował: „Winien za śmierć mojego ojca i za śmierć mojego stryja!...”

Lecz wśród gromów wojen i bitew, wśród cięższej walki z zawiścią domową, doża, będąc już starcem prawie siedmdziesięcioletnim, doczekał się jeszcze uroczystości, co rozpromieniła, choć na jedną chwilę, weselem i dumą ojcowską zasepione czoło. Było to w roku

1441, gdy syn jego, Jakób Foscari, zaślubił sobie córę jednej z najświetniejszych rodzin państwa. Cała Wenecya gotowała się od dawna, aby, dla uczczenia swojego doży, odprawiła te gody weselne z niesłychanym dotychczas przepychem. Wszystek lud cieszył się myślą zabaw i biesiad hojnych, które go czekały, a patrycyusze Wenecyi, mimo dumy tak hardéj i zuchwałéj, pragnęli dodać blasku tym uroczystościom ślubnym. Więc wystroili turnieje na placu Św. Marka, których wystawność przyćmiła wszelkie podobne igrzyska rycerskie, wyprawiane w krajach ościennych. Kwiat niewiast, lśniących urodą i wdziękiem, pojawił się w lamach bezcennych, w złotogłowach bogatych; młodzież gonila i kruszyła kopie przybrana w zbroje a rynsztunki, uczynione na wzór ich ojców krzyżowców, co niegdyś walczyli o grób Zbawiciela. A zewsząd cisnęli się goście najwyższego znaczenia; więc przybył i Franciszek Sforza, książę Medyolanu, i margrabia d'Este z Ferrary, i tłum możnych zagranicznych panów i panów. Tam kędy dziś Fabrica Nuova, tam stało wzniesienie bogato zdobne, na niem siwizną okryty doża Francesco Foscari, małżonka jego i cudnych wdzięków synowa, i w koło damy lśniące bogactwem i historycznym imieniem. Młody Jakób Foscari, na wezwanie margrabięgo Ferrary, gonil z nim na ostre, i powalił przeciwnika; więc dank dzielności a klejnot wziął z ręki swojej młodej i pięknej małżonki.

Trwały ochotne igrzyska, uczty i biesiady weselne, na placu Św. Marka, przez dziesięć dni i dziesięć nocy; bo aby już nie było przestanku w zabawach, więc, jak prawią kronikarze, od każdego wieczora do ranka, tysiące a tysiące pochodni woskowych, żarzyło się na placu Św. Marka i przyswiecało radości trzydziestu tysięcy gości.

Atoli jad demonicznej zawiści tak zatruił serce doży, że już w rok po tych blaskach a świetnościach weselnych uroczyscie oświadczył się z myślą zestąpienia z godności książęcej. Wszak on był już i dawniej pragnął złożyć mitrę tak cisnącą i cierpień pełną; jak atoli dawniej, tak i teraz, za powtornym razem, zrzeczenie się jego nie było przyjęte.

Im zachodził w późniejsze lata Foscari, tém srozsze katusze szarpały uczucie starca znękanego wiekiem. Dotknęli go wrogowie w najświętsze, w najtkliwsze miejsca duszy. Zaledwie cztery lata upłynęły od onych tak błyskotnych, tak świetnych weselnych godów Jakóba Foscari, na których doża, ojciec jego, tak sutą i hojną gościnnością uraczył cały lud i podejmował patrycyuszów Wenecyi; gdy jakiś Florentczyk, bawiący w Wenecyi na wygnaniu, oskarżył tegoż Jakóba Foscari, jakoby miał przyjąć datkę od Filipa Wisconti księcia medyolańskiego, co było przekroczeniem równie niezaszczynnym, jak wbrew przeciwnym wyraźnej ustawie państwa. Obwiniony stawiony był przed straszliwy sąd „dziesięciu“, któremu przewodniczył własny ojciec. Po indagacjach dany był na srogię męki;



po katuszach okropnych uznano go za winnego. Na pełnym zgromadzeniu, w sali Wielkiej Rady, doża zasiadł na tronie pod baldachinem złotogłowym. Sekretarz na klęczkach podaje mu wyrok, i nieszczęśliwy młodzieniec z ust własnego ojca słyszy: „że jest wypędzony z kraju, skazany na wygnanie do Romanii na życie całe.“ (Stało się to 29 Lutego 1444 roku, więc w sam rok potrzeby warneńskie)

Jakób Foscari był ostatnim synem doży; trzech starszych synów jego poległo w wojnach, dając życie za Wenecyą.

Okręt, niosący nieszczęśliwego wygnańca, rozbił się; pozwolono mu tedy mieszkać w Treviso, zagrażając atoli karą gardłową, jeśliby się ośmielił opuścić to miejsce wygnania swojego; rozkazano mu również, aby codziennie osobiście stawiał się przed gubernatorem.

Pięć lat Jakób Foscari przemieszkał w tym zaciszu odsadzonej od świata, gdy stolicę przeleciała wieść, że naczelnik rady „dziesięciu“ znaleziony był zamordowany na jednej z ulic weneckich. Podejrzenie tej zbrodni padło na wywołańca. — Sprowadzony do Wenecyi, stawiony przed sąd, oddany na straszliwe tortury, srogo męczony, mimo cierpień i boleści okrutnych, sercem mężkiem i niezłomnym stał przy niewinności swojej. Trybunał „dziesięciu“ upatrując w tej stałości upór zacięty, twardy i sztuczki czarnoksiężkie, skazuje go wyrokiem na straszniejsze wygnanie, bo do odludnej, pustej Canei.

Niezadługo człek znany powszechnie jako rozbójnik i bandyta, złożony niemocą na łożu śmiertelnym, przed skonem oświadcza, że był onego morderstwa sprawcą. Jakób Foscari, powziąwszy wiadomość, że się już wyświeciła niewinność jego, udaje się z prośbą do rady „dziesięciu“, błagając o złagodzenie losu jego. Prośby wszelkie i przedstawienia przepadły bez skutku. I bez skutku zostały listy, które pisał do ojca, do rodziny, zaklinając aby się ujęli za nim i wyrobili ulżenie kary. Postrach, którym ciążyła na wszystkich inkwizycya państwa, zamknął usta przyjacielom i krewnym.

Wtedy nieszczęsny wywołaniec, party niepohamowaną rozpaczą, i bez granic tęsknotą do żony, dzieci i rodziców, pisze w zapamiętaniu list do nowego księcia Medyolanu Sforzy, błagając by się za nim wstawił do senatu weneckiego.

Nie wiedzieć dokładnie, jak się rzecz miała z tym nieszczęsnym listem; jedni mówią, że jakiś kupiec, któremu Jakób Foscari powierzył to pismo, sam miał list ten wręczyć radzie „dziesięciu“, bo go zdjęły trwogi na myśl niebezpieczeństwa, grożącego mu za podjęcie się pośrednictwa tego; — inni twierdzą, że szpiegi niecie tej stokięj rady przejęły pisanie, a inni znowu mniemają, że wygnaniec, miotany rozpaczą i trawiony tęsknotą i żądzą obaczenia drogich mu osób, postanowił choćby życiem opłacić jedno ich uściśnienie; rozumieją tedy, iż napisawszy ów list, o którym z góry wiedział, że mu będzie poczytany za zbrodnią, złożył go z umysłu w takim miejscu,

że już wątpić nie mógł, iż go dostrzegą szpiegowie; a tak czekał póki go siepacze nie poprowadzą do Wenecyi.

Tak się też stało. Znowu ciemięzcy rozstrożyli się w okrutne męki, zadane nieszczęśliwemu; ale katusze najokropniejsze zdołały jedynie wymóżyć z niego wyznanie: że ten list pisał w zamiarze, aby, poprowadzony do stolicy, mógł się wyplakać w objęciu rodziców, małżonki i dzieci — i znowu — znowu ponawiały się męki wymyślne i tortury piekielnych boleści i cierpień — lecz zawsze i zawsze Jakób Foscari powtarzał wyznanie swoje. Nieszczęśliwy umierał w ręku srogich oprawców.

Wyrok zapadł, aby wrócił na to samo wygnanie, z tem atoli zastrzeżeniem kary, że miał wprzód odbyć rok jeden w więzieniu. Wrogowie nie mogli wprawdzie mu wzbronić obaczenia się z rodziną tak dla niego drogą, jednak pozwolenie swoje zaprawili nowem okrucieństwem. Nie na ustroniu dalekiem od obcych oczu, nie w komnatach domowych, ani nawet w samotnem więzieniu miał Jakób Foscari przycisnąć do serca najdroższe mu na świecie osoby; ale, konający prawie z doznanych mąk, był prowadzony do ogromnej sali przepelnionej widzem. Tam stał ośmdziesięcio-letni ojciec, matka o złamaném sercu, młoda małżonka drżąca, na pół omdlała, i dzieci jego. Z ran nieszczęśliwego ciekła krew, a członki powykręcane, zwichnione świadczyły o okropnościach, których się stał ofiarą. Wśród jęku i płaczu swoich, Foscari rzuca się im do stóp, wyciąga z wysileniem ramiona poszarpane, omdlałe i błaga i zaklina rzewnie ojca, by wyprosił złagodzenie strasznego losu. Lecz doża z drgającemi usty i rozdartém sercem rzecze: „Jakobie, bądź posłuszny wyrokom tej ziemi i nie miej już pragnień żadnych“. Na te słowa nieszczęśliwy opuścił głowę na piersi i zamilkł.

Tak duszno i wstrętne na sercu, czytając o tem postępowaniu doży, że nam je trudno sprawiedliwie ocenić. Wierzmy atoli, że w tych wyrazach ojca slychać konanie ostatniej dzielności ducha, że w nich odzywa się zawrotny obład myśli znękaney cierpieniem, ogłuchłej w sobie, więc niemogącej się opamiętać ani z życiem, ani ze światem, ani z sobą. To jedynie przypuszczenie tłómaczy w zaniejszy sposób owo zachowanie się ojca względem syna. Nie przypuszczając tego wyjaśnienia, słowa doży byłyby raczej heroizmem nieszczemności i trwogi, niż mocą niezłamaną ducha i cnotą obywatelską. Bo kłamstwem jest, aby człowiek miał prawo uważania jednej tylko ze wszystkich powinności swoich za świętą, z poniewieraniem wszelkich innych. Na ziemi, w życiu doczesnem wszystko jest względne: same tylko Boże prawdy są prawdą jedyną, bezwzględną, nieznaną granic.

Jakób Foscari nie przeczekał swojego roku więzienia — umarł w kaźni.

Doża, złamany wiekiem i okrutnym cierpieniem, osierociały po czterech synach, już po stracie ostatniego cofnął się do samotnych



komnat swoich: tam cały oddał się boleściom, które mu wyzerały serce. Już był niewidzianym od ludzi, nie pokazywał się na radach państwa, zaniechał spraw publicznych.

Wtedy Jakób Loredan podszezuwa senatora Barberigo, by wystąpił z oskarżeniem doży. Gdy jadownicze intrygi już dojrzały, sam Loredan w długiej, pełnej goryczy mowie wykazuje niby upadek państwa a zamęt i nieład, wkradający się w sprawy publiczne, z przyczyny zgrzybiałości naczelnika rzeczypospolitej i kończy temi słowy: „Książę nasz jest naszym dziełem, i jak sądzimy o przynależności jego wynosząc go na panowanie, tak mamy również prawo sądzić o niudolności jego. Wierzajcie, że sam lud przyjmie z radością złożenie doży z dostojenstwa. Bo choć lud nie ma prawa sądzić o czynach naszych, o czynach panów swoich, — ale jednak te życzenia jego uważam być od Opatrzności udzielonym mu instynktem.“

Jedynie słabe i mdle przedstawienia odpowiadały na mowę Loredana. Nikt nie ośmielił się stawić czoła wnioskowi tego groźnego naczelnika „rady dziesięciu“, nikt z tajnych przyjaciół doży nie poważył się podnieść głosu w jego sprawie choć było na czem się oprzeć; bo poprzednio, w obu razach, gdy Foscari chciał złożyć dobrowolnie władzę, takowe zrzeczenie nie było przyjętym przez radę, która wtedy trzymała się zasady, że dostojność doży jest dożywotnia, że nie ma żadnej ustawy stanowiącej o odwołalności doży. chyba w razie zdrady głównej.

Po długich naradach wyprawiono do Franciszka Foscari poselstwo, którego był rejem Loredan. Loredan sam przeczytał starcowi wyrok, na mocy którego doża uwolniony od przysięgi i dostojenstwa dla niudolności późnego wieku — i oświadczył mu, jako rada państwa przeznacza mu z łaski tysiąc pięćset dukatów rocznej pensji, polecając aby w przeciągu trzech dni opuścił pałac dożów.

Na to rzekł Foscari, patrząc pogardliwie na wroga swojego: „Byłbym niewdzięcznym synem Wenecyi, gdybym ze szkodą państwa chciał dłużej zatrzymać władzę najwyższą; oddawszy atoli tak długie życie mojej sprawie publicznej, pragnąłem też poświęcić jej ostatnie chwile moje.“

Te wyrzekłszy słowa, Franciszek Foscari zwłókł z siebie oznaki książęce — złożył mitrę — zdjął pierścień, który go był niegdyś zaślubił z fałą Adryatyku. — Ten pierścień w jego obecności zgruchotano.

Foscari postanowił już następnego dnia opuścić z rodziną i ze służbą swoją pałac dożów. Rada przewidując nieukontentowanie ludu, kazała ogłosić uchwałę, zakazującą pod karą śmierci wszelkiej oznaki współczucia. Uchwała ta odczytana była ludowi zgromadzonemu na Piazzetta, z onej cudownej koronkowej kolumnady pierwszego piętra, co tak wdzięcznie i radośnie patrzy się na świat. Jeszcze dziś poznajemy kolumny, między którymi stał czytający uchwałę; bo

one różnią się swoją barwą czerwoną od wszystkich innych. To miejsce zawsze już było przeznaczone na ogłaszanie uchwał i rozkazów władz najwyższych.

Gdy nadeszła chwila, w której doża miał pożegnać przybytki, kędy przeżył długie trzydzieści pięć lat chwały i cierpienie, jeden ze sekretarzy radził mu, żeby zeszedł ukrytymi schodami dla uniknięcia tłumów zgromadzonego ludu. Foscari atoli odrzekł, iż zestąpi tą drogą z pałacu, którą do niego niegdyś wstąpił. Zatem po głównych schodach marmurowych, po tych schodach mających imię „olbrzymich“, wznoszących się z takim przepychem na dziedzińcu pałacowym, — schodził zwolna, uroczyście doża okryty białą głową i brody, wspierając się na kulach. Gdy zeszedł ze schodów, raz jeszcze spojrzął się na okazałość pałacu i rzekł: „Zasługi moje tu mnie wzywają, złość wrogów ztąd mnie wyprowadza“.

Lud stał w milczeniu i patrzył smętnie na tę bolesną scenę. Jednak, mimo zakazu, tu i owdzie odezwał się żal i rzewne współczucie. Foscari, przybywszy do rodzinnego domu, poleca swoim, by nie pamiętali krzywd wyrządzonych mu od nieprzyjaciół.

Rada natychmiast zajmuje się nowym wyborem. W kilka dni później znów zabrzmiał dzwon i obznał stolicy i wodom Adryatyku, że Paschalis Malipieri jest dożą Wenecyi.

Głosy dzwonu przyplnęły do pałacu Foscari — usłyszał te tony starzec — zadygotał — padł i — skonał.

Rzeczpospolita uchwaliła, aby go pochować z taką czcią pośmiertną, jak gdyby umarł na dostojeństwie swoim. Sprzeciwiała się temu zacna wdowa i rzekła: że gdy mu wydarto za życia koronę, więc stracono prawo uważania go za księcia. Oświadczyła, że lubo zmarły poświęcił mienie swoje służąc Rzeczypospolitej, ona odda posag własny, by złożyć małżonkowi ostatnią cześć.

Wbrew jednak jej woli i oświadczeniu, Foscari był pochowany z urzędu z całym okazałym przepychem i ze wszelkim przepisanym ceremoniałem. Malipieri, nowo obrany doża, szedł za trumną ubrany jeszcze w skromne szaty prokuratora Wenecyi.

Wtedy Jakób Loredano roztwiera księgę swoją — i w miejscu, w którym przed laty napisał był wrzekomy dług Franciszka Foscari, dodał słowa: „l'ha pagato“ (zapłacił).

Sto siedemnaście lat minęło od tych wypadków tak smętnych, gdy (w r. 1574) ten sam pałac Foscari wystrojony lśniącym przepychem, odnowiony zbytkiem orientalnym, błyszczał i świecił w całej okazałości swojej. Pałac Foscari oczekiwał gościa, co także rzekł się korony, gościa co przybywał z dalekiej północy.

Doża Ludwik Mocenigo, senatory państwa, wszystka szlachta, wszystek lud, gotują uroczyste, świeciste przyjęcie dla obcego przychodnia. Bucentaur, ów statek dumny, co się pojawiał jedynie w najwyższe święto uroczyste, teraz nanowo powleczone świeżą pozłotą, lśnił snyderstwem wyrabianem i figurami, co błyszczały niby



godła sławy i wielmożności Wenecyi. Na statku olbrzymi sztandar z purpury o haftach złotych unosił się poważnie kołysany powiewem; a wewnątrz Bucentaura, wszystkie jego komnaty i świetlice wysłane, obite w aksamity, jedwabie, złotogłowy, gotowe przyjąć w gościnę potomka długiego królów szeregu. Statek ten, jakby złocisty pałac pływający, ruszył z patriarchą i dożą do Lido, jednej z wysp w lagunach weneckich, a otaczał go świetnym dworem cały tłum gondoli, ubranych w sztandary bogato wyszywane i w kwiaty, a brzmiących muzyką i śpiewem. — I znów tysiące widzów płynęło na łodziach większych, wystrojonych świecisto, świętecznie. W tej chwili ze strony morza także przepyszny wspaniały galar zbliżał się do Lido, niosąc upragnionego gościa.

Gdy ten gość z jednej strony, a arcybiskup z dożą z drugiej wysiedli na Lido, wtedy zabrzmiały dzwony, zahuczały działa i ręczna broń strzałami gęstemi, i uderzyły bębny i kotły i trąby i krzyk witający nieprzeliczonych tłumów. Obecny książę siedł pod baldakinem ze złotej lamy, noszonym przez sześciu prokuratorów Św. Marka, otoczonym przez kapitułę całą. Przyjęła go brama tryumfalna nумыślnie dla niego wzniesiona geniuszem sławnego Palladio, i znów czekała go kaplica, również w tym celu postawiona; tam zaśpiewała wzniosła ambrozyańska muzyka. Potem gość wstępuje na Bucen-taur, i zwolna płynie ku stolicy uroczyscie ubrany, a jak daleko okiem zasięgnął, widział gondole i barki, sztandary i chorągwie, widział patrycyszki i lud Wenecyi. Więc w tym towarzystwie, tak strojnem i wspaniałem, zanosi go Bucentaur wzdłuż wielkiego kanału aż do pałacu Foscarei. Pałac, okryty w makaty kosztowne, wschodnie kobierce, uśmiecha się kwiatów zwojami, grzmi muzyką i pieśnią, — a w tym gmachu, niesłychanym zbytkiem błyszczącym, czekało na księcia trzystu młodzieńców weneckich, co, wybrani z rodzin historycznych państwa, przeznaczeni byli na dwór świetny a honorową służbę gościa. A każdy dzień zradzał nowe festyny, zabawy zapustne, zawrotne, tak, że cały czas pobytu jego był jednem nieprzerwanem świętem. Wenecya sadziła się na przepych i okazałość, by uczyć obcego pana. A wśród festynów wyprawiano regatę — owe wyścigi wodne. Książę atoli uprosił sobie u senatu, aby się ta ochota odbyła jego kosztem — i arey wspaniale i hojnie też sypał złotem, choć pożyczonem od samychże Wenecyan.

Regata się rozpoczęła a świetny gość stał w przepysznej łodzi znanego nam drugiego piętra; otoczony swoim świetnym dworem przypatrywał się cieżbom ciekawych i goniczom gondoli. Może wtedy przechodziło mu przez duszę wspomnienie, co się z nim samym działo dopiero przed kilku tygodniami, gdy on tą drobną furtką, zwróconą ku kościołowi OO. Bernardynów, wysuwał się z cicha, tajemnie, wśród nocy z murów zamku Krakowskiego — a dosiadłszy tureckiej klaczy, sam, bo z jednym tylko dworzaninem pędził cwałem ku Szlązkiej granicy, oglądając się ciągle po za siebie, czyli go nie

dosięga pogoń z polskiej stolicy. — I wygrał na tych polskich wyścigach Henryk Walezyusz — uszedł, i przez Włochy dążył do Francyi i dosięgnął korony francuzkiej; ale i jego dognał mord i dosięgnął fanatyczny nóż Jakóba Clément.

Tak ten pałac Foscari po wielokroć był gością koronowanych przychodniów, co nawiedzali w różnych epokach Wenecyą, tę wodną boginią mórz. Bo pałac ten, sam przez się już tak wspaniały i kipiący przepychem, stanął jeszcze na Canal Grande, właśnie w miejscu, gdzie pełne okazałości szerzą się fale jego.

I znowu od chwili, gdy był król polski a przyszy francuzki opuścił pałac Foscari, przepłynęło z górą półtrzecia wieku, a pałac ten doczekał się naszych czasów. Dopiero kilka lat temu, gdy w jego świetlicach, teńących niegdyś bogactwem i dumną zamożnością, roztoczył się dramat smętny, żałobny. Ktoś, co niedawno zwiedzał te przestrzenie starej sławy i świetności, dziwne nam rzeczy o nich prawi. W całym pałacu cicho jak w grobie — szerzy się rząd komnat — roztwierają się sale po salach, a wszędzie pusto, głucho, nie widać sprzętów ani śladów ludzi; ze ścian szmatami wiszą dawne, bogate, spróchniałe adamaszki, makaty; pyłem porosły zblakowane pozłoty. Tu milczenie cmentarza — słychać jedynie rozlegający się odgłos własnych kroków po marmurowej posadzce. W ostatniej izbie tylko zamieszkały dwie siwe niewiasty; strop tej izby niegdyś złocisty, ściany niegdyś ozdobne w obrazy malowane, teraz odymione kopciem czarnym. W izbie szczątki złamanych sprzętów, niegdyś świecących bogactwem i artystycznym zbytkiem, a te niewiasty tak biedne, iżbyś rzekł, że one najuboższe żebraczki; one wiekiem późnym i nieszczęściem złamane, one w tej izbie od wielu lat z nędzy konają, a umrzeć nie mogą; te dwie biedne kobiety — to są dwie ostatnie Foscari.

Niedaleko od pałacu tego, także na kanale wielkim, widać jeden z pałaców rodziny Mocenigo, w którym mieszkał ów wielki poeta, co tragedycją swoją uczcił smętne losy Franciszka i Jakóba Foscari. Poeta ten, co jest tak dziwnym przeciwieństwem owych dwóch ostatnich cór z domu Foscari, odział pamięć ich przodków promienistą szatą poezyi: był to ów Lord-poeta Byron — on zepsutem dzieckiem nieba i ziemi. Niebo wlało weń geniusz wieszczycy i dało gwiazdę natchnienia posagiem w życie, a ziemia udzieliła mu już z urodzeniem harde stanowisko w kraju własnym, a otaczając go zamożnością, uczyniła go niezawisłym od ludzi.

Jednak serce śmiertelne rzadko kiedy przeniesie na sobie bez szwanku zbyt szczęśliwe losy..! — Wszak one wypiastowały w duszy Byrona sprzeczności wbrew sobie przeciwne i wrogie; uczucia jego były już tkliwe i rozstopne niby niewiasty młodej, już zuchwale jak tytany niebo szturmujące, a dumne i harde jak owe pyszne upadłe anioły. Geniuzus unosił wieszczycę nad ziemię, pod same gwiazdy, pokazując mu na wielkie Boże wymiary i na ludzkie spr-



wy i wszechstworzenia dziwy i na świata historia; lecz zaledwie znów Byron dotknął się ziemi, już, już go chwycił demon sceptycyzmu i czności bezdennej, a oddając go na pastwę grubej zmysłowości, oszargał orgią niegodną. Więc też poezya jego to sadza ród ludzki na tronie najwyższej godności, to odziera go z majestatu, pogardliwie nim pomiatając. Duch tego wieszczu już tonie w abstrakcyach nadświatnych, już znowu gorącą barwą maluje z mistrzowska wielkie sceny natury i burze namiętne, kołyszące uczuciem człowieka; — umysł jego to kocha bez granic, to w nienawiści nie zna miary. Więc najboleśniej sprzeczności wprowadził Byron samowolnie we wnętrze istoty swojej; bo owa dzikość rozpustna obyczajów, owe zapamiętałe żądze zmysłowe bez spoczynku, bez przerwy łamały się ze szlachetną wzniosłością natury jego; — a nadto on nie umiał zając tak potężnego ducha swojego życiem pełnym treści, nie umiał nadać mu kierunku właściwego, coby odpowiadał sile jego geniuszu, — przeto też w piersiach jego wylęgło się bolesne uczucie przeciwieństwa między życiem jego rzeczywistém a chybioném własnym przeznaczeniem, między tém, co on rzeczywiście z siebie uczynił, a myślą, czémby istotnie mógł być, gdyby był chciał dokonać w całej pełni zadania swojego na ziemi. Bo takowe to jest zawsze łęgowisko każdego byronizmu; czy on się objawia w prawdziwych i wzniosłych, czyli też w kłamanych wrzekomych talentach, zawsze on jest karą za zwichnięcie się umysłu, za niedopełnienie powołania w życiu. A im wyższy będzie talent lub geniusz, tém i ta sprzeczność srozsza, tém okropniejsze gorycze, tém straszniejsza czczość wewnętrzna; tém więc mniej podola temu rozdwojeniu umysł człowieka. Byron dochodząc najwyższych promienistych szczytów swojej potęgi wieszczowej — umarł.

Pałac Mocenigo i mieszkający w nim Byron, co tak z mistrzowska sam siebie maluje w swoim Don Juanie, przywodzą mimowolnie na myśl obraz zacnej niegdys niewiasty z domu Mocenigo i innego Don Juana, co przed laty także broił po Wenecyi! Wszak August II, będąc jeszcze młodym elektorowiczem saskim, nie śniąc tedy nawet jeszcze o polskiej koronie, ani o Szwedach, ani o Stanisławie Leszczyńskim, wyprawiony był przez ojca na wojaż w celu „ostatecznego wykształcenia“. Więc się niby kształcił, więc hulał, swawolił po Hiszpanii, po Francyi, aż w końcu przybył i do Włoch i długo bawił w Wenecyi. I czytelnik mój i ja obejdzimy się bez opowiadania jego awantur miłosnych — warto jednak wspomnieć, iż jego elektorowiczowska mość sprzykrzywszy sobie zwykle a zbyt łatwe galanckie konszakty, zaproszył sobie oczko widokiem prześlizniętej pani senatorowej weneckiej Mocenigo; a tém nieosobliwsze były te jego sentymenta, iż doświadczał wiele uprzejmości i poważania ze strony jej małżonka. Długo, długo stroił daremnie zalecanki swoje, ufając atoli sztuczkom gachowskim nie tracił nadziei; więc pewnym razem, przy wielce sposobnej porze, retorskim talentem jał

prawić damie o swoich afektach gorących, o admiracji jej piękności, o bezseniach swoich, o biednym znękaném sercu; więc sypały się przysięgi, zaklęcia i inne podobne adaggia. Z razu pani Mocenigo słuchała tych andronów z uśmiechem, obracając rzecz całą w żart; ale gdy on rozkochaniec dosadzając ukłęknał przed nią, gdy natarczywie błagał i zapamiętałe niedorzeczności prawil, wtedy zacna niewiasta wielce grzecznie i gładko powiedziała kilka słów prawdy, a mianowicie wspomniała o poważaniu, jakie nawet winien samemu sobie i przyszłemu powołaniu swojemu. Doświadczył tedy na sobie elektorowicz, że nie ma już wyższego majestatu jak godność kobiety, umiejacęj siebie szanować. Trudno też bez uśmiechu czytać (w „la Saxe Galante“), jak August skonfundowany podniósł się z ziemi i nie z pyszna wrócił do domu.

Wszak on sam, będąc już królem Polskim, także wysłał syna swojego, późniejszego Augusta III, na wojaż, — i ten bawił w Wenecyi, ale dość niezabawnie i smutnie; bo jak jego biograf prawi: młody królewicz w Wenecyi odbył ospę! — (Mittag w „Leben und Thaten Friedrich Augusti III“, Lipsk 1737).

Po kilku minutach uniosła nas gondola przed pałac *Pisani* (a San Paolo); i on jest architektury z epoki pałacu Foscari, i ona ubrana krojem maurytańsko-gotyckim, tutaj lodżye obu pięter przezroczyście, napowietrzne, i one u góry dziergane na wylot w rozety olbrzymie, i tutaj poziomie prostoty pełne — a okna po obu stronach lodziów znacznie oddalone są od siebie i przedzielone gładką ścianą. I tutaj nakoniec okna podobnie wzięte w prostokątne ramy przez listwę w sznurek skręconą. Lecz bogate gzymсы, oddzielające pietra od siebie, zdobne pilastry, wznoszące się wzdłuż rogów pałacu, a nade wszystko szlaki kamienne, bogate, wieńczące okół w rustykę zbudowane, świadczą wyraźnie, że w tej architekturze odzywają się poczucia o zbliżającym się renesansie, że nadchodzi epoka, w której rodzina artystyczna *Lombardi* stworzy w Wenecyi nowy styl budowania.

Przed bramą pałacu na wspaniałych wschodach kilka sług w liberyi, wśród nich jakiś personat, z tuszą poważną w czarnym fraku, coś rozprawia i niby udziela rozkazy. Kto to? pytam gondolierów. — „To służba państwa Pisani, a ten czarny pan to marszałek domu.“ — Serdecznie mi było miło, że ten pałac przecież nie pusty, nie głuchy, że w nim mieszkają dziedzice z dawnych lat. Więc pytam: czyliby nie można obaczyć wnętrza pałacu? — Odpowiadają „Dla czego nie! owszem!“ Więc już jesteśmy w sieni wspaniałej, obszerniej, zdobnej w piękne kolumny — a z niej również okazałe wschody unoszą się do pięter, a to strojne, marmurowe wschody; na każdym ich ustępie lśnią mozaiki w kobierzec ułożone. Otworzyły się szerokie podwoje do świetlic obszernych, wysokich. Najprzód roztacza się galerya, której całe ściany ubrane w owe zwierciadła weneckie dawniej sławy; te ściany powtarzają więc bez końca sprzęty bogate po galeryi rozstawione i powtarzają same siebie bez koń-



ca, mizdrząc się do siebie, — więc galerya ciągnie się w nieprzejrzaną dal. Na posadzkach komnat, sal błyszczy świecista kosztowna mozaika w przesliczne wzory i wzorki; na ścianach porozwieszane obrazy szkoły weneckiej. Meble i sprzęty rokoko, przecież nie nowe ale z dawnych lat, mnóstwo zbytkowych drobiazgów, cacek kosztownych, przypominających życie codzienne, domowe, powszednie, łagodzą hardość i dumę tych sal i komnat rozłożystych, wysokich i nadają im jakąś cechę poufałą, domaszną, swojską. Pan marszałek, ów statysta w czarnym fraku, pragnąc zapewne wzbudzić w nas o ile można najwyższe wyobrażenie o znakomitości rodziny, której raczy służyć, zaprowadził nas aż do komnaty sypialnej, i polecał naszemu podziwieniu, krom mnóstwa przedmiotów, namiot olbrzymi rozpięty nad łóżem, i obstawał przy tém, byśmy koniecznie wzięli do ręki jego atlas bajecznej ciężkości, i ciągle powtarzał, że ten namiot kosztował aż tysiące dukatów!

Był to pierwszy pałac wenecki, którego wnętrze widziałem, i wyznaję, że sobie był wielce rad, że tutaj wstąpił; to jednak pewna, że to nie dla tych świecistości i zwierciadeł lub atlasów i innych błyskotek kosztownych, bo tych gdzieindziej, a nawet w kraju naszym widzieć można na nierównie większą miarę; a zresztą, samo przez się bogactwo i zamożność nie łatwo zdoła zaimponować; lecz cieszyłem się, że miał sposobność rozpatrzenia się w ścianach, kędy od tylu wieków zamieszkał duch rodziny, co łamała się i pracowała tak zacnie, by się zasłużyć publicznej sprawie, by się skwitować z życiem i nie zejść milczkiem ze świata. Obok dziejów takiej rodziny miło też marzyć w jej ścianach o jej życiu domowem, o tych cichych dramatach, co przez tyle wieków tu przędły się naprzemiany to radością i smutkiem, to nadzieją ochotną, to boleścią serdeczną.

Wspomniałem, że ściany tutaj pokryte arcypięknymi obrazami, jednak perłą ich wszystkich jest dzieło *Pawła Weroneńskiego* (Paolo Caliari) (\*), przedstawiające rodzinę Daryusza, co przyklękła przed młodym macedońskim królem w namiocie jego. Dla samego tego obrazu szerokiej sławy godzi się odwiedzić pałac Pisani! (\*\*). — To arcydzieło zaprawdę świetnie wyobraża tę szkołę malarską, co jest istną córą Wenecyi, co jest krwią z jej krwi, duchem z jej ducha. Chcesz-li wiedzieć, jak ta świetna stolica Adryatyku zapatrywała się na świat, chcesz podsłuchać jej marzenia senne, jej tęsknoty, jej przecucia, lub pragniesz z nią się rozmówić na żywe słowa; wtedy ułoń myślą i sercem w obrazach malowanych jej szkoły, a one ci

---

(\*) *Paolo Caliari*, zwany od miasta rodzinnego *Veronese*, spadkobierca wspa-  
niałej sztuki Tycjana, ur. 1528 † 1588 r. — St.

(\*\*) Obraz powyższy obecnie już się nie znajduje w Wenecyi; nabytym on  
został za sumę 14,000 funtów szterlingów przez galeryą narodową (National Ga-  
lery) w Londynie i zdobi jej ściany. — St.

rozwiążą wszystkie wątplenia i dopowiedzą o czem zamilkła sama nawet historia.

Nie wiem czyli już jest lud jaki, wiek jaki, coby miał sztukę wyrażającą wierniej jego uczucia, jego puls tajemne. To malowanie mistrzów weneckich tak prześwietne i promieniejące przepychem, tak strojne i błyszczące — one, obok jakiegoś dumnej grandezzy, tak tchną uszlachetnioną zmysłowością, takim ciepłym uczuciem a fantazją gorącą, wrzącą, iż byś rzekł, że to świat wprawdzie ziemski, że te postacie wprawdzie w doczesności zrodzone, że ten atoli świat i postacie uniesione są wysoko nad ziemię, w dziedzinie nigdy niezamkniętej szczęśliwości i opromienione na wieki radosnym weselem, nieznanym co kłopoty i biedy tuteczne. Albo, jeżeli wolimy, możemy odwrotnie widzieć w tych obrazach niebian, którzy, uprzykrzywszy sobie wysokości Olimpu, zstąpili na ziemię, i tutaj, niby dla odmiany, żyją po ziemsku, po ludzku; a choć ich dotkną biedki, przykrostki doczesne, toć tylko zlekka i z wierzchu; te bogi nie biorą ich sobie zbyt do serca, bo byle zechcieli, w każdej chwili unieść się mogą do promienistej ojczyzny, kędy nie ma żalości serdecznej, kędy nie dochodzą ziemskie krzywdy; słowem, w tych obrazach weneckiej szkoły tchnie duch jakby dawnego greckiego świata: jest to uduchowniona zmysłowość, cielesność zidealizowana wdziękiem.

Nie ma się zatem czemu dziwić, że ta szkoła wenecka błyszczy barwą najwyższego przepychu, że ci artyści przemawiają kolorytem, nad który już nie ma świetniejszego, on pełny i potężny, a przytęm tak przezroczystry i lśniący, że się zdaje, jakoby pod farbami temi płótno gorzało i biło jasnością.

Te wszystkie cechy tu przelotnie i z lekka przez nas wspomniame, znajdziemy i w tym obrazie Pawła Caliari. Wszak to scena niby smutna, więc, też wyraz twarzy niby rzewny, żaloszny — a przecież piękność tych figur niewieścich jest znów tak uśmiechającą się, tak wzniesioną nad troski ziemskie, iż się zdaje, że choć się one szczerze smucą i prawdziwie boleją, po lada chwilce przypomną sobie wiekuistą naturę swoją, wyswobodzą się z pod ziemskiej cisnącej, bolesnej niedoli — i rozradowawszy się nieskończonym weselem, wrócą do olimpijskiego żywota.

Dobrze mi się jakoś udało, że pierwsze dzieło, które mi podało sposobność wspomnienia o malarstwie szkoły weneckiej jest obrazem Pawła Weroneńskiego, a do tego jeszcze jednym z arcydzieł jego. Wszakto on z Tycyanem stanął na przyczolach tej szkoły; to mianowicie oni obaj, choć tak różni od siebie, nasuwają się duszy naszej, gdy mowa o weneckim malowaniu.

Byleśmy spojrzeli na tego Aleksandra Wielkiego, a już widać, że ten Macedon na włoskiej ziemi zrodzony, że to nie ów prawdziwy syn wykrętnego Filipa, to nie ów bohater niskiego wzrostu, o twarzy pełnej, o rysach prawie niewieścich a włosach jasnych, jak go



nam opisuje tradycya a przedstawiają starożytne rzeźby; ten młodzieniec, co go na obrazie widzimy z obliczem brunatnem, ciepłym, o ślicznych, kručzych choć nie długich kędziorach — to zaprawdę jakiś nobile wenecki z dawnych lat. I zgadliśmy — nasz czarny sensat zapewnia, iż za macedońskiego króla przebrał się jeden z Pisanich. Było mu czego powinszować, jeżeli iście był podobnym do tej postaci malowanej; jakoż, niewymowna szlachetność rozlana na tej arcypiękną twarz, co tak wdzięczna, choć mężka i dzielna. Zachwycająca jest rzewność kłiwa, głęboka, którą się on zwraca do niewiast, do żony i cór zwyciężonego króla królów a pana Wszech Azyj; ta postać jego pełna zacności, ona od głów do stóp jest duszą. A wdzięczne i przesliczne są też postaci tych niewiast młodych, a mianowicie jedna z tych córek Daryuszowych, podobno średnia, jest precudnych uroków.

Tutaj atoli znać, jakto artyści dawniejsi mało się troszczyli o anachronizmy; bo w tej scenie, odbywającej się w głębokiej Azyi, a to trzy wieki przed erą chrześcijańską, spostrzegamy szczegóły czysto europejskie, które się pojawiły dopiero po ośmnastu stuleciach.

Sam jeden Aleksander przypominał sobie, że jest przecieź człkiem starożytnej daty, a choć nie ubrał się ani z macedońska, ani nawet z grecka, wystroił się jednak po starorzymsku; za to już jego towarzysz wziął na siebie zbroję średniowiekowego rycerza. A cóż dopiero te piękne panie perskie — one w pełnych a bogatych toaletach dam weneckich, ich szaty z atlasów i aksamitu przypominają krojem ową epokę, gdy uroczę cór Adryatyku czarowały wdziękiem swoim naszego Walezyusza, co to także lubił składać cześć wszechmocności Natury, zwłaszcza, gdy się pojawiała w pięknej kobiecie, niby w arcydziele przyrody.

Więc też i budowania, będące tylnym tłem obrazu, stylem przypominają Prokuracye placu Św. Marka; podobnie i mnóstwo osób, zaludniających scenę, nowym strojem a krojem otaczają namiot. Ale te usterki i wolnostki swawolne wielkiego mistrza maleją, nikną obok piękności całego dzieła; a wyznają też, że cudne wdzięki jego tak mnie urzekły, że się dopiero później mógł upamiętać i postrzedz te anachronistyczne wadki. Tak to wiele wolno geniuszowi, co nie uchodzi łokietkowym geniuszkom lub talencikom codziennym.

Na stoliku jakaś niby szafeczka szklana — w niej popiersie woskowe, peruka pudrowana, oczy szklane, świecące a umarłe; spłowiwały dawne farby powlekające niegdyś wosk, więc też ten wystąpił już barwą żółtawą, właściwą sobie; ztąd wyraz cały trupi, nieznośny. Wszak wiemy wszyscy, jak odrażające są figury woskowe, choćby świeże; bo one kłamią życie kształtem i barwą, a to ich życie, śmiercią będąc, jest raczej wydrzeźnianiem żyjących — a cóż dopiero, jeżeli, jak tutaj się stało, twarz woskowa jest dawna i samym wiekiem podstarzała! — Kto to? pytamy. „To dziad naszego pana“

odpowiedział jegomość w czarném ubraniu. „Ten Pisani był przy skonaniu rzeczypospolitej członkiem onej okropnej inkwizycyi państwa!“ Pan marszałek, uważając zapewne, że mu wypada wyrazić całą ohydę, która go przeraża na samo wspomnienie onej inkwizycyi, wstrząsł się w sobie, jak gdyby mu oko w oko stanął grzechotnik.

Wyznaję, iżbym się trudno na to pisał, bym chował w izbie mojej taką głowę, co jest najszeptniejszém memento mori, na jakie się tylko zdobyć można. I patrzą na was te szklane oczy, i uśmiechają się te sine usta, — brwi tylko czarne, wyraziste. To wszystko razem nie bardzo miłe. Ale czém ta twarz dla nas, dla obcych, tém pewnie nie jest dla swoich, dla syna, dla wnuków. Ten inkwizytor może być, mimo swojego urzędu, człowiekiem łagodnym a w domu kochanym i kochającym, więc miłość jego potomków upięknia w ich oczach to oblicze, mili tę twarz martwą; bo i miłość jest artystką, ona magią swoją idealizuje wdziękami to, co dla obojętnych jest wstrętne i odrażające.

Wystąpiłem przez te łodzie, z maurytańska wykrojone, na balkon. Bo warto było kanał wielki obaczyć z góry i z piętra. I cudnie mu też było z tém morskiem zwierciadłem, którego ramy wysadzone w przepyszne pałace i wspaniałe świątynie. Opierając się o te łodzie tak wdzięczne a fantastyczne, mając za sobą te świetlice i komnaty, przechowujące wzniosłe dzieła sztuki, widząc pod sobą faliste igry wód, a nadto otoczeni ze wszech stron przepychami architektury Wenecyi, możemy przeczuwać te wszystkie głosy, co się niegdyś odzywały w sercach dziedziców dawnych; — możemy sobie wywróżyć jak to otoczenie wkoło nastrajało właściwym tonem nawet zacisze domowe, życie powszednie, rodzinne. Jakoż, obok tych mocy historycznych, poruszających tutaj umysł ku sprawom publicznym, ten świat Wenecyi nawet już sam z siebie budzi całą potęgę fantazyi i wzniosłej poezyi w każdych piersiach, co nie umarły z obojętności a przesytu. Ten świat Wenecyi jest isticie ogrodem, w którym wiecznie kwitną romantyczne uczucia, tęsknoty niewymowne i te wszystkie marzenia młode, co żyją wdziękiem i świeżością, póki na nich jeszcze świeci poranna rosa niebiańska a wędnieją, gdy je ogarnia upał namiętności wrzących.

Zaledwie wróciłszy do gondoli naszej, gdy zwróciłem oczy ku pałacowi, co mnie oddawna nęcił kształtem swoim, a stanął po prawym brzegu wielkiego kanału; znać, że ten pałac wyrósł w końcu XVI stulecia, bo się wystroił w późniejszy renesans: on taki wspaniała, świąteczny, że było niepodobienstwem nie spytać się o imię jego. „To pałac *Grimani*, dzisiejsza poczta“, odpowiada gondolier (\*).

(\*) Dziś poczta już się nie mieści w pałacu Grimani, lecz w osobnym budynku w bliskości placu Św. Marka. — St.



Wszak przybywszy do Wenecyi pisałem do domu, więc może znajdzie listy z Krakowa. Nie bawiąc się tedy już rozpatrywaniem się krytycznym w tej architekturze, prosiłem gondolierów, aby czém rychlej a prędzej płynęli do pałacu Grimani, co jest może najokazalszą, najartystyczniejszą pocztą w Europie całej. Już śpieszyłem do biura, w którym oddają przybyłe listy, o nich tylko myśląc, gdy zmienacka stanąłem wstrzymany widokiem sieni nad wyraz wspaniałej. Sien ta (Atrium) tém jest okazalszą, iż pałac, zwracając główny front do kanału wielkiego, a bok do kanału mniejszego, ma dwa wchody, więc dwie sienie, stanowiące atoli jedną sien rozłożystą, olbrzymią, której styl jest arcy poważny, uroczysty — strop wspierają kolumny parami połączone; gzymsy, główce kolumn ciepłe, bogate. Więc całość uderza również swoim rozłogiem i wysokością wzniosłą jak architekturą szlachetną i zamożną. Zaiste, zdało mi się w tej chwili, że nie widział nigdzie w świecie sieni piękniejszej, — i powiedziano mi, że to najwspanialsze Atrium w całej Wenecyi — i wierzę.

Czytelnik zapewne sam z doświadczenia wie, z jakim to upragnieniem każdy, będąc oddalony od swoich, oczekuje wiadomości z domu! Zrozumie tedy, jak długie zdawały mi się te chwile, zanim staruszek, mający listy przybyłe pod swoją opieką, wytarł okulary, zanim z wielką flegmą przystąpił do przegródki oznaczonej literą K, zanim z uwagą przerzucił po jednemu wszystkie listy, to wielkie, to małe, szerokie i wąskie, to z napisami ściśle kaligraficznymi, to znów pisane hieroglifami, to z genialnym niedbalstwem, i zanim znalazł list do mnie adresowany... ba! było ich dwa! już koperty rozerwałem, a po listach oczy przelotem przebiegły. Więc wszyscy zdrowi! więc w Krakowie nie było nowej klęski, więc i z dala o niczym złym nie słyhać! a co się tyczy innych szczegółów, te sobie już w gondoli odczytamy wygodnie.

Czytelnik mi przyzna zapewne, że tém chciwiej pragniemy wiadomości z domu, im większy przedział nas od niego rozłącza; podobnie jak owa sprężyna, co im dalej od siebie jej końce rozpięte, tém chciwiej rada je napowrót zbliżyć do siebie. Wiemy wszyscy, że przedział, co wzmaga w nas tęsknotę, nie tylko może być wielką przestrzenią, albo długim czasem, ale też staje się i wtedy niezmiernie wielkim, gdy mnóstwo zajmujących przedmiotów, gdy treść bogata wsunie się między chwilę obecną a ową chwilę, gdyśmy się żegnali z domem; taka treść staje i za długość przestrzeni i za długość czasu. A w tém położeniu ja się właśnie znajduję. — Każdy dzień w tej podróży strawiony, a mianowicie już w Wenecyi przebyty, jest tak bogaty w osnowę, że się zdaje być tygodniem lub miesiącem zwyczajnego życia. To doświadczenie przypomina mi zacnego ś. p. *Franciszka Szopowicza* († 1839), tak wielce zasłużonego profesora naszego na uniwersytecie Jagiellońskim; on uczył nas wprawdzie matematyki; lecz obok niej wpajał jeszcze wiele zasad

życia: np. przedstawiał, jako każdy samowolnie piętnuje się bezczęścią, kto nie dba o poznanie własnego języka, kto się nim władać nie nauczy; więc fukał i burczał nas nie lada, gdy dostrzegł jakiego zwłknięcia mowy lub niewłaściwego w niej zwrotu, i stawał nam na żywą duszę bezmóglność tych niedowarzeńców, co mniemają, jakoby czystość języka zasadzała się li na unikaniu wyrazów nieswojskich, a nie baczą, że to właśnie zwroty i budowa zdań są przedewszystkiem wyrazem rodzinnego ducha każdego języka. Przy każdej też sposobności prawil nam o *Sniudeckich*, polecając, byśmy się rozpatrzyli w tym krystalicznym ich języku. Świeć mu za to Panie! — Dalej, często wpajał w nas różnicę między próżniakiem a człkiem pracowitym „co nie darmo kaszę na świecie jada“, jak się wyrażał Szopowicz; więc mawiał, jako próżniakowi każda chwila obecna, każda obecna godzina niezmiernie długą się być wydaje, a człkowi pracowitemu godziny, dnie mijają piorunem. Gdy atoli rok upłynie, a pracowity spojrzy wstecz za siebie, gdy się rozpatrzy w nieprzebranęj treści tych przebytych dwunastu miesięcy, gdy się przejrzy w ich dorobku umysłowym, w tych przelicznych swoich sprawach, myślach i łamaniach, trudno mu zrazu uwierzyć, że ten rok był tylko jednym rokiem. Odwrotnie, próżniak, jak powiadał dalej Szopowicz — próżniak, gdy się zwróci na ten rok zesły, gdy obaczy w nim brak osnowy i pustki głuche, pochwytać się nie może i radby wierzyć, że ten rok był tylko tygodniem jednym. Kończył też Franciszek Szopowicz te uwagi apostrofą, wystawując, jaka to rzecz straszna a nad wyraz okropna, gdy się próżniak zestarzeje, i gdy mu się całe własne życie upłynione pustynią być wydaje, gdy się spostrzeże, że był umarłym za życia.

Teraz naprędce rzucimy kilka słów o facyacie pałacu *Grimani*. Trudno pomyśleć, aby można już genialniej rozdzielić na części całość architektoniczną i szczęśliwiej te części napowrót zestroić, jak to uczynił *Sanmicheli* (\*) w tym tu pałacu, który jest dziełem jego. Tutaj poziomie jest wyższych wymiarów niż pierwsze piętro, a piętro pierwsze znów wznioślejsze niż drugie, a poziomie to również zdobne bogate jak te piętra. Proporcye wzajemne są tak utrafiene z mistrzowska, iż nie tylko w kierunku pionowym, to jest nie tylko co do stosunku wzajemnego pięter, widzimy harmonią cudną; lecz ten zestroj wdzięczny iści się i pod względem kierunku linii poziomej, bo idąc od jednej ręki ku drugiej widzimy, jak to znów części szczegółowe jednego i tego samego piętra cudnie się z sobą wiążą. Jakoż, okna i odrzwia o łukach okrągłych poprzedzielane są od siebie oknami prostokątnymi, a kolumny korynckie, umieszczone to pojedynczo, to parami między oknami i na dwóch końcach wystawy całej, niby rozłączają części od siebie, a przecież znów je godzą, czyniąc z nich

(\*) *Michele San Micheli*, ur. 1484, um. 1559 r.



całość artystyczną. Pomyślmy sobie jeszcze ubranie świąteczne tej architektury; więc te smukłe kolumny o głowicach korynckich w liście zdobnych, o żłobkowanych trzonach; więc wdzięczne płasko-rzeźby, więc meandry łamiące się kapryśną a gracyjną wstęgą, więc mnogie ozdoby przesłiznięte wyrobione, więc gzymsy i balustrady; łatwo sobie wystawimy, jak to ten pałac uroczysty, świąteczny! Zdaje się, że on marmurowym tryumfem, bo przypomina zaiste owe architektury, postawione na cześć wielkiego pogromcy świata, czyli raczej wielkiego człowieka, co się stał dobroczyńcą ludzkiego rodzaju.

Ogrom tego pałacu, a mianowicie już te wspinałe sienie nadają całej jego architekturze wejrzenie, które jest nadzwyczajne w budowaniu tutejszem. Bo gdy Wenecyanie zniewoleni byli każdą piędź fundamentów zdobywać sobie na morzu, bijąc pale obok palów, więc już wszędzie w architekturze weneckiej widać to oszczędzanie miejsca, i dla tego najgłówniej wynagrodzono sobie brakujący obszar przestrzeni zbytkiem i kosztownością materiałów i wyrobieniem ich misternem. Pałac Grimani odznacza się przeto nad inne budowania obszernością miejsca, ale za to jego fundamenta pochłoneły summy bajeczne; bo pale, na których on postawiony, są hebanowe. Ta okoliczność groziła zniszczeniem pałacowi całemu, bo właściciele, jak słyhać, pragnąc spieniężyć pale, mieli już rozebrać to arcydzieło architektury; ale rząd kupił ten pałac Grimani dla urzędu pocztowego, a tak uratował ten cudnie piękny pomnik od zburzenia (\*).

Warto też wspomnieć, że w tym pałacu Grimani mieszkał królewicz Władysław (IV), w czasie kilkotygodniowego pobytu swojego w Wenecyi, podejmowany wystawnie i świetnie przez zamożną republikę morską (\*\*).

Teraz, po żwawem uderzeniu wiosł, tuż przed nami wzniósł się białym marmurowym łukiem *Ponte Rialto*, co jest najcelniejszym mostem w Wenecyi; a pewnie jednym z najświetniejszych mostów w Europie całej.

Ponte Rialto! Spojrzawszy na mój plan Wenecyi, widzę, że on dopiéro w środku kanału wielkiego — owszem za tym mostem snuje się część kanału, co jeszcze dłuższą jest niż ta, którąśmy dotychczas odbyli, poczynając od Dogana di Mare. A opis mój dotychczasowy

(\*) Obacz M. Wiszniewskiego T. I. Wszak w ostatnich czasach Anglicy zaczęli zakupywać pałace weneckie i, rozebrawszy je, ładowali na okręty, by te dzieła, wykwitłe pod niebem włoskiem, postawić w mgłach angielskich. Na szczęście atoli, rząd wdał się w tę sprawę i zakazał podobnych wandalicznych frymark.

(\*\*) Prawda, że Wassenberg (w Gest. Glor. et Invict. Vlad. IV. 1641) twierdzi, jakoby królewicz mieszkał w pałacu Donatów, ale Stefan Pac (Obraz Dworów Europ.) który przeciw osobiście towarzyszył Władysławowi w podróży, powiada: „przyjechaliśmy do Wenecyi i prostośmy szedli do pałacu Krymaniego na Wielkim Kanale, który dla królewicza był zgotowany“.

lubo lekki, lubo się tylko dotknął powierzchownie maluchnej jedynie cząstki tego, coby było godne wspomnienia, przecież tak urosł, że może znękał cierpliwość choćby najcierpliwszego czytelnika.

Zatem tylko jeszcze słów kilka wspomnę przelotem o tej drugiej a większej części kanału, w to tylko trącając, bez czegoby się nie obeszło, mając jaki taki wzgląd na historię sztuki, która nad ten kanał wielki wysłała tak znacznych wyobrazicieli różnych stylów kolejnego rozwoju swojego.

Więc najprzód sam *Ponte Rialto*. Kanał, co snuje się wprawdzie wszędzie jakby szeroką wspaniałą rzeką, tutaj w środku swoim nagle się ściska, zwięża, i tu właśnie przerzucił się przez niego ten most. Lecz choć kanał niby wąski, przecież most nie lada jaki, bo zuchwały śmiałek, będąc o jednym tylko łuku, sunął tą jedną arkadą na osmdziesiąt trzy stopy! Bo taka w tém miejscu odległość obu brzegów; każdy przyzna, że to nie mała rzecz, zwłaszcza, gdy wysokość największa tej arkady dochodzi tylko stóp trzydziestu. Otóż z tego już widzimy, jaka w tém budowaniu technika doskonała. Trzeba też było oprzeć końce jego na 12,000 palów.

Gondola nasza przybiła. Wstępujem po moście na schodach. W samym środku mostu jest miejsce równe, niewielkie, poczem znów schody sprowadzają po moście na drugi jego koniec. Szerokość mostu tego jest jakby połową jego długości, na nim stanęły wzdłuż we dwa rzędy sklepy złotnicze i jubilerskie — tak tedy trzy są ulice zawieszane nad wodą. Ruch żwawy, hałaśny, krzykliwy na tych ulicach, na schodach; chodzą, gadają, śmieją się i śpieszą, wszędzie gwar i krzątania wesoła; ta ruchawość przypomina plac Św. Marka, zwłaszcza w chwilach wieczornych. Przecież na Rialto lud wenecki jakoś więcej z pierwszej ręki; tu on gospodarzem, tu mniej tużurków i paletotów, a za to zawiesziste, czerwone czapki w pełnym prawie swoim. Lubo w tych sklepach nie obaczysz już dawnego bogactwa, ani uderzającej zamożności starych lat, jednak i teraz w nich nie jedna świeci, wabi pokusa błyskotna; a mianowicie owe złote łańcuszki drobniuchne, do cienkiego sznurka podobne, utrzymują prababczyną sławę swoją; bo to, co odznacza się wdziękiem albo misternym technicznym wykonaniem, zawsze dostoi mężnie fochom kapryśnej, zmienniej mody.

Z obu stron mostu ulice, place oryginalnie zbudowane, natłoczone ludem, ruchem, głośną wrzawą, mogłyby być istnym wzorem dla weneckich Stachowiczów i Piwarskich.

A już zajmujące i arcy zabawne, zwłaszcza dla nas ludzi zrodzonych daleko od morza, są te rybnie targi. Dużoby mi przyszło prawić, gdybym wam chciał opisać tych dziwaków morskich, co tu po koszach przekupnich, po straganach, zebrały się na mimowolne sejmy. Jedne byłyby potwornem straszylłem, gdyby były nie tak drobne, inne istne djabliki, drwiące sobie ze wszelkiej estetyczności; tu olbrzymie raczyska się gramolą i jak pajaki ruchają ogromnemi



członkami, mizdrząc się do siebie wypukłemi czarnemi ślepiami. Któż zdoła spisać inwentarz tych konceptów dziwacznych natury! O! zwyczajnie, gdy stare morze śpi, lub marzy napoły śpiące, wtedy sobie roi widziadła, a te mary i kaprysy senne są to ryby, ślimaki, raki, mięczaki, skorupiaki, dziwaki o fantastycznych kształtach, te oryginały wykrzywiające ci się beczelnie, zuchwale — równie straszne jak komiczne.

Opuściwszy gwar i wstąpiwszy znowu do gondoli, która sobie spoczęła w cieniu, rozpatrzyłem się w formach tego mostu. Prawda, że on wspaniały, bogaty; znać jednak, że on już renesansem najpóźniejszym i już zupełnie przekwitł. Jakoż, budował go podobno *Jan da Ponte* (Jakób?) (\*) około roku 1590. — Lubo prawda, że i w tej późnej epoce umiano jeszcze czuć co piękne w architekturze, jak tego dowodzi pałac Grimani. Mimo najzyczliwszej woli, trudno bronić przed estetyką tego mostu. Bo najprzód ten łuk jego jest wdzięczny, lotny i lekki, a co na łuku, to ciężkie, posadziste, niby mury forteczne lub więzienne. A potem, przynajmniej wedle mojego uczucia, dziwny tu zamęt i dysharmonia linii; jakoż od spodu linia krągła, powyżej balustrada w linię prostą, ale łamiąca się, potem linie krągłe ślepych arkad odznaczających sklepy; a te sklepy unoszą się coraz wyżej a wyżej, niby stopniami; pod arkadami znowu gzymsy, które znowu mają inny kierunek, bo równoległy do poziomemu. W środku, na szczycie mostu, brama wielka. Uważmy, co się tedy dzieje z temi przeróżnemi, niesfornemi, kłócącemi się z sobą liniami — a te arkady i pilastry takie podsadziste, a duszne, a pękate!

A mimo tego, Rialto ten niewypowiedzianie hardy i majestatu pelen; on cały z marmuru: i łuk i sklepy i balustrady i schody, wszystko z marmuru. Jeżeli nam się styl jego nie zdaje, toć zapewne dla tego, że Wenecya rozpieściła nam smak, stawiając wszędy na oczy taki nieprzebrany tłum prawdziwie mistrzowskiej architektury. A kto wie? — bo i ta myśl mnie przechodzi — może właśnie ta lekkość łuku a ciężkość budowy na nim wystawionej, może właśnie ta sprzeczność jest tutaj tą potęgą ukrytą, co tak silnie, tak przeważnie uderza na naszą fantazyę?

Śpieszmy jednak, choćby z jałowem wyliczaniem, choćby tylko tych budowli, co ciężej wazą w historii sztuki, a przedewszystkiem tych, które są tuż przy Rialto. Więc z góry pyszny pałac *de' Camerlinghi* jest artystyczna i wielce wesoła pięknością. Jest to wczesny renesans, przypominający Prokuracye Stare, tylko strojnniejszy, zdobniejszy; nad arkadami lekkimi pierwszego i drugiego piętra i nad poziomem ciągną się wieńce i zwoje kwiatów. A wprost naprzeciw rozwinął się długi gmach, który zowią *Fondaco de' Tedeschi* (r. 1506).

---

(\*) Ur. 1512, um. 1597 r.

Na długiej zewnętrznej jego ścianie, niegdyś, bo w epoce gdy Wenecya szczyliła się największą zamożnością a wielkimi mistrzami, Tycyan i uczniowie jego roztoczyli czarodziejskie malowania swoje. Dziś już nie ma śladu tych dziwów, które same przez się stanęłyby za najkosztowniejszy pałac na świecie. Nieco dalej, na lewym brzegu kanału, rozwinęła się architektura zwana *Fabriche Vecchie* (z roku 1520), więc z pięknej epoki renesansu; do niej w trzydzieści pięć lat później Sansovino dobudował *Fabriche Nuove*, a potężny to gmach, bo stanął długością 250 stóp, a mistrz ustroił poziemie jego w rustyk potężny, poważny, drugie piętro w pilastry silne, we fryz dorycki pełen grozy, prostoty; a przecież mimo tej prostoty i grozy, żyjącej w całym budowaniu, umiał technąć życie, ruch, muzykę w nieme, martwe kamienie. Następnie po prawem pobrzeżu pałace *Michieli delle Colonne* i *Sagredo* pewnieby były godne bliższego rozbioru, lecz daremnie! nas prze pośpiech, a nadto przeważnie ęcni i wabi pałac *Casa d'oro*.

*Casa d'oro*, czyli jak ją też w skróceniu zowią *Ca' d'oro*, byłaby jedynie przesłuchaniem cackiem, gdyby nie było po niej tak wyraźnie znać, że się zrodziła z prawdziwego artystycznego natchnienia; tyle w niej wieszczowego czucia, tak w niej całość jest z mistrzowska zestrojona —, że wyraz „cacko“ byłby zaprawdę niedowcipnie zastosowanym i krzywdzącym. *Ca' d'oro* należy do znanego nam już dobrze stylu maurytańsko-gotyckiego, co, jak wiemy, gęsto często się w Wenecyi powtarzając, nadaje jej tę cechę czarodziejskiego Wschodu. Lecz mimo tego *Ca' d'oro* tak znów w sobie oryginalna, tak znowu się odznacza od wszystkich innych budowli tego stylu, iż sama stanowi styl dla siebie, a który tylko w niej samę żyje przecudnym wzorem. Nie przeczę, że tej architektury podstawą są zasady gotyckiego budowania; idąc atoli za własnem uczuciem, ośmieliłbym się wbrew przeważnym znawcom powiedzieć, że wrażeniu, którem nas uderza widok tego pałacu, który jest zupełnie orientalny, brakuje tylko palm a rzekłbys, że to Hafiz wyśpiewał sobie takowe mieszkanie, marząc o wyspie rajskiej, odsadzonej daleko od zabiegów powszedniego ludzkiego żywota, na której wybranym płynie bez końca niezamącona szczęśliwość i rozkosz najwyższa.

Prawda, że obok arabszczyzny są tu jeszcze różne style i smaki; one tu wszystkie dziwnie się zbiegły i złożyły się w całość najoryginalniejszą na świecie, a przecież spletają się najcudowniejszą harmonią. Zatem nie tylko same linie i mnóstwo szczegółów przypominają tutaj Wschód, lecz właśnie ta sama swawola genialna, dobierająca sobie tak różnych stylów a umiejająca je tak z mistrzowska zestroić i związać, jest właśnie córą orientalnej fantazyi. Zapewne, czytelniku mój, zdarzyło ci się choć raz w życiu widzieć kobietę, co, będąc uroków i wdzięków pełną, była też w stroju, w smaku, w obyczaju wskroś oryginalną i wyjątkiem żywym od wszelkich reguł, przyjętych w świecie. Żadna z kobiet nie ośmieliłaby się ani tak

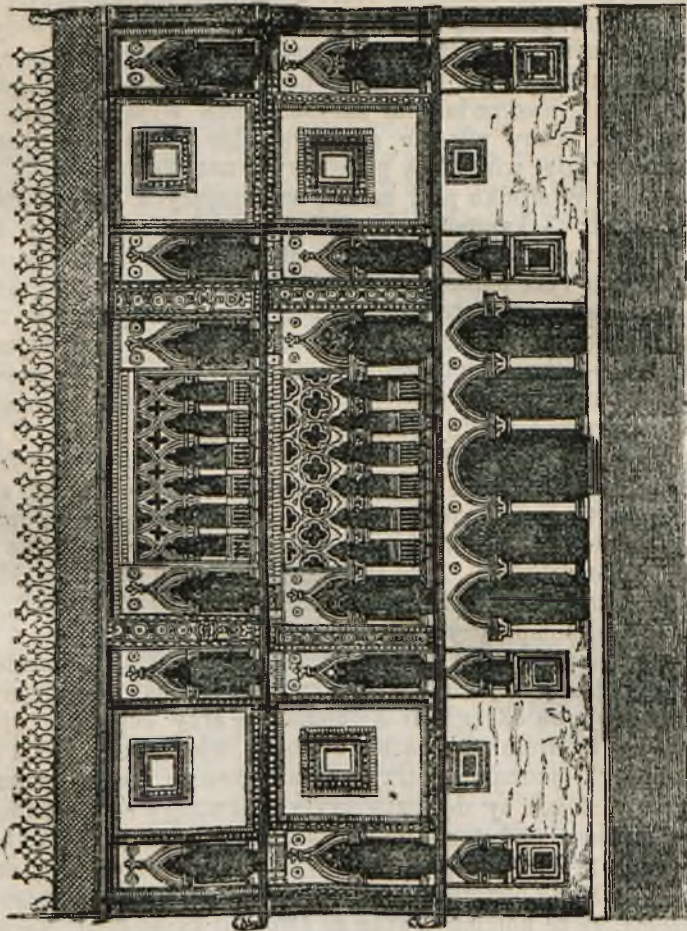


się ubierać, ani tak mówić i tak się zachowywać; a jednak wszystkie wyznają, że tej jednej to wszystko wielce do twarzy; że jej jednej z tém ślicznie i wdzięcznie, że ona właśnie tém czaruje, że to właśnie niewypowiedziana magia jej natury. Taka jest właśnie Casa d'oro. Ona murowanym dowodem przekonywającym od tylu wieków, że wolno fantastycznie kapryścić i grymasić byle z gracyą a wdziękiem, że wolno żartować sobie z prawideł zwykle przyjętych, byle być samemu genialną regułką dla siebie. Niechaj mi tedy nie będzie poczytanem za gadulstwo, iż prawiwszy wam już tyle o tym stylu gotycko-maurytańskim i przy pałacu dożów, i przy pałacu Foscarini i Pisani, jeszcze lekkim zarysem pióra wyjaśnię wam *Casa d'oro*, Ca' d'oro, która właśnie zagrywa sobie fortissime arabszczyzny weneckiej. Jej wizerunek przedstawia nam fig. 9 a i b.

Poziemie. W środku pięć arkad, wspierających się na kolumnach okrągłych, — kapitele tych kolumn wielce sute; więc tutaj liście, slimacznice i t. d. Po każdej stronie tej kolumnady okno wywijane, ujęte (jak pałac Pisani) w ramki cienkie prostokątne, — po tém oknie z każdej strony jednostajna ściana z małym tylko okienkiem czworograniastem, umieszczonem wprost pod gzymsem tego poziomu, — okno to otoczone rzeźbioną ramą. Dalej znów po obu stronach, tuż przy obu rogach pałacu, drugie okna; ten róg zaś wzdłuż całej krawędzi jakby obsyty plecionką marmurową. U góry kończy poziemie gzymś lekki, najwyższym atoli wdziękiem wyrzeźbiony; iście to wyrobienie jego tak misterne, jakby wyszło z rąk złotnika! Na tym gzymś po rogach pałacu siedzą lewki, opierające się na krawędzi (!) Widzicie tedy jak sobie ta wystawa rozpoczyna, jaka ona będzie. To jej poziemie wroży czem się stanie całość: jest to uwertura do czarodziejskiej opery, jest to pączek, otulający sobą całą kompozycyę dzieła.

Pierwsze piętro. Nad trzema środkowemi arkadami poziemia stanęło tu sześć arkad, jako lodzia właściwa; te łuki strojnie wyrabiane spoczywają na okrągłych kolumnach o arcy bogatych głowicach, bo te ich kapitele niby pączki stulone; widzisz tam świat cały liści kędziornych, jednak one trzymają się jeszcze siebie, potrzeba tylko promyka słońca by się roztworzyły i rozwinęły całą pięknością swoją. A dopiero nad temi głowicami rozpoczynają się te hafty przezroczyste, te rozety i kwiaty na wylot niby robotą brabancką dziergane. Jak zaś bogate są owe mieniące koronki, już z tego widzieć możemy, że te kolumny, wraz ze swojemi kapitelami, nie mają tej wysokości, jaką ma owa nad niemi spoczywająca ściana przezroczyście wyrabiana. Rzekliśmy atoli, że ta lodzia, więc te sześć arkad pierwszego piętra stanęły tylko nad trzema z pięciu arkad poziemia; zostały tedy nam jeszcze na dole dwie arkady skrajne. Otóż, jak na naszym obrazku widać, nad każdą z tych arkad umieszczono na pierwszym piętrze potężne okno. Te okna są wielce ozdobne; łuki ich, wywijane niby serce do góry zwrócone, unoszą na szczycie

kwiat gotycki; ramy marmurowe bogato w listwy wyrabiane, a wewnątrz ich łuku splatają się gałęzie, konary, róże, jak to bywa w oknach gotyckich. Uważmy jednak, że około tego kwiatu i łuku jest ścianka jednostajna, gładka, przerwana tylko dwiema okrągłymi tarczami, wyrobionymi po obu stronach kwiatu. I to jest myśl niezmiernie szczęśliwa, bo oko, znękanę wyrabianiem migocącym się



*Fig. 9 a. Pałac Ca' d'oro (według pierwotnego planu).*

nad lodzią, ma tu gdzie odpocząć na tém tle tak cichém choć drobném. Dalej, jak każde z tych dwóch okien oddzielone jest od lodży tylko filarem, tak każde z nich po drugiej stronie ma pas, który ciągnie się pionowo przez całą wysokość piętra, bo od gzymsu poziomu do gzymsu piętra pierwszego. A ten pas jest niezmiernie oryginalną ozdobą. Rzekłbyś, że to miluchny wzorek, rysowany



wdzięcznym kaprysykiem uroczej kobiety; bo ten pas — to niby wstęga, mająca po obu brzegach rąbek haftowany, a w środku rząd dużych okrągłych medalionów, połączonych przez mniejsze medalioniki. Na owych wielkich medalionach, ile dojrzyć mogłem, umieszczone jakieś inkrustowane barwne kwiatki, figurki, widoczki. Tak tedy jak lodzia sama tak i to okno (czyli raczej drzwi, bo dochodzi od spodu aż do posadzki, więc od gzymsu) obwiedziona jest niby ramą, bo z jednej strony ma lodzie, a z drugiej graniczy z owym pasem uroczym; od góry zaś i od dołu zamknęły je gzymsy.

Za tym pasem z obu stron znowu okno, jednak już węższe (bo umieszczone nad oknem poziomą sąsiadującym z onemi arkadami dolnemi); przecież i to okno, lubo mniejsze, niższe i węższe, wielce bogate, i tu kwiatek, i tutaj ów splotek wewnątrz łuku, i tutaj tłem łuku ścianka jednostajna, i tutaj po obu stronach łuku wyrabiane kółko.

Te okna czyli drzwi (bo równie spuszczają się aż do posadzki i tam mają balustradę), mając z jednej strony ów pas szeroki, z drugiej mają szlaczek węższy, choć niby rysunek jego także do medalioników zbliżony. Za tym szlaczkiem (na obu stronach pałacu) ustęp gładki, owa tak charakterystyczna jednostajna ściana a jej przestrzeń jest bardzo znaczna, w porównaniu do miejsca, które zajmują oba wspomniane okna wraz z onym pasem, odgradzającym je od siebie. Tutaj spoczęła sobie owa wdzięcznica architektura, zdrzémała się, aby się znów obudzić do nowych uroczych figlów poetycznych. Ale ba! Ona nie zasnęła na piękne. Bo ów węższy szlaczek nie tylko odgranicza tę ścianę od okna, lecz obwodzi ją jeszcze w koło jakby ramą; bo ciągnie się i od dołu i od góry i od obu boków. A co więcej, w środku tylko tej ściany równiej jest mały kwadracik, który znów listwami, szlaczkami jest wzięty w ramy, a tak nabiera kształtu niby obrazu zawieszonego w bogatych ramach na tej ścianie.

Po tej ścianie, czyli raczej po tym wyższym jej szlaczku, znów widać (po obu stronach) okno dochodzące do posadzki (z balustradą u dołu), będące zupełnie tych samych wymiarów jak owo już przez nas opisane, a sąsiadujące z lodzią; z tą tylko różnicą, że jest także oprawione w szlak prostokątny. Za tem oknem już róg budowli, więc kończy ją owa plecionka czyli liścianka szeroka rzeźbiona, obrębująca krawędzie pałacu.

Od góry, wzdłuż całego piętra, gzyms niezmiernie sztucznie wyrabiany. Na występach jego po obu krawędziach pałacu także siedzą lewki. Takie tu wszystko weselne, kochające i kochane — tej architekturze tylko żyć i rozkoszować.

Drugie piętro niższe od pierwszego, jednak zupełnie z tym samym rozkładem. Więc w środku lodzia na sześciu łukach, dalej po jednym oknie wielkiem z obu stron, potem ów pas szeroki; dalej z obu stron okno mniejsze; za niemi ściana jednostajna ze szlaczkiem

ze wszech stron, a w środku z tym kwadratem oprawnym w szerokie bogate listwy; a nakoniec znów okno wielkich rozmiarów; nareszcie plecionka; ta atoli kończy się tutaj już kapitelem bogatym; na gzymsie już nie ma onych lewków.

Nie trudno nam teraz wywrócić sobie i harmonijny stosunek wszystkich pięter do siebie. Bo łodzie wraz z dwoma oknami po obu stronach odpowiadają pięciu dolnym arkadom poziemia; okno mniejsze oknom na dole; te gładkie ściany obu pięter, obwiedzione owym bogatym szlakiem, odpowiednie są równie takowym przestrzeniom dolnym, choć mniej strojnym; nakoniec ostatnie okna obu pięter mają odpowiednie okna na dole; a owa strojna plecionka na krawędziach pałacu, lubo poprzecinana gzymsami, bieży od dołu do góry pod sam dach. Tak widzimy, że i wszystkie te piętra, że tedy i w kierunku pionowym części architektury zestrzajają się z sobą, łączą się w jedność wspólnego kamertonu, lubo z drugiej strony gzymsy, szlaki, oddzielając je od siebie, bronią od spływania ich, i jawnie je oznaczają jako części osobne (\*).

Ukończmy sobie w wyobraźni cały rysunek, dodając najwyższą część pałacu. Nad szlakami, nad gzymsiem drugiego piętra wznosi się mur złożony w kratki poprzeczne, a nad nim jakby to wyższe, to niższe pałeczki korony unoszą się w powietrze, wieńczą od góry to fantastyczne a tak przesłiczne budowanie; a na samych końcach,

(\*) My w tem skreśleniu Ca' d'oro uważamy, jakby ten pałac miał po obu stronach łodzi zupełnie symetryczne części; tak jak gdyby np. każdej ozdobie, każdemu łukowi, każdemu pasowi, będącemu po prawej stronie łodzi, odpowiadała takąż ozdoba, takiż łuk i takiż pas po lewej jej stronie i temu opisowi odpowiedni dodaliśmy wizerunek na naszej figurze 9a. Lecz uważmy, że Ca' d'oro w rzeczy samej nie była nigdy zupełnie wykonaną. Brakuje jej części lewej (lewej dla nas patrzących się na nią), zaczynając od okna, które jest drugim od łodzi —, zatem w tym opisie, wedle istniejącej prawej części, dopełniałem lewą, a więc czyniliśmy obraz, jaki rzeczywiście istniał w duchu mistrza-budownika (\*). I to właśnie jest rzeczą osobliwą, że gdy się zdarzy w Wenecyi budowa jaka, która nie jest skończona, prawie zawsze brakuje jej części w kierunku pionowym, niby skrzydła pałacu, gdy w innych krajach najczęściej niedokończenie pokazuje się brakującym pięter wyższem. Służnie uważano, że ta osobliwość w Wenecyi ztąd pochodzi, że niezmiernie trudno było o miejsce, mające być fundamentem i węglem dla budowli, trzeba je było dopiero stworzyć, bijąc pale. — Czytelnik zwąży, cośmy rzekli, iż lubo gotyctwem weneckim wiele posłużył się ze Wschodem, tak już najmocniej ze wszystkich budynków Wenecyi Ca' d'oro przypomina maurytańskie fantazje. I tak jak arabskie najświetniejsze dzieje są epizodem w epoce średniowiekowej Europy, jak styl architektoniczny tych Maurów krewni się ze stylem gotyckim budowania średnich wieków (Listy z Krakowa L. XXVII i XXVIII) — tak też, jakby dla naszej wielkiej dogodności, chok pałacu Foscari, co jeszcze niby gotycki, staje Casa d'oro, co już prawie maurytanką czystej krwi.

(\*) Podajemy w niniejszem wydaniu dwa widoki pałacu d'oro, jeden przedstawia jego pierwotny plan, nie wykonany w rzeczywistości (Fig. 9a), drugi (Fig. 9b) podaje rzeczywisty pałac d'oro, jak był zbudowany i jak istnieje po dziś dzień. — St.



kędy już ustaje korona, siedzą znów lewki, jednak rośniejsze niż owe umieszczone na gzymsach poziomu i pierwszego piętra.

Teraz powiążmy sobie w wyobraźni te piękności wszystkie, pomysłmy, że nawet najmisterniejsze szczegóły są cudnie wdzięczne, że nawet słupki marmurowe w balustradach, same przez się, są

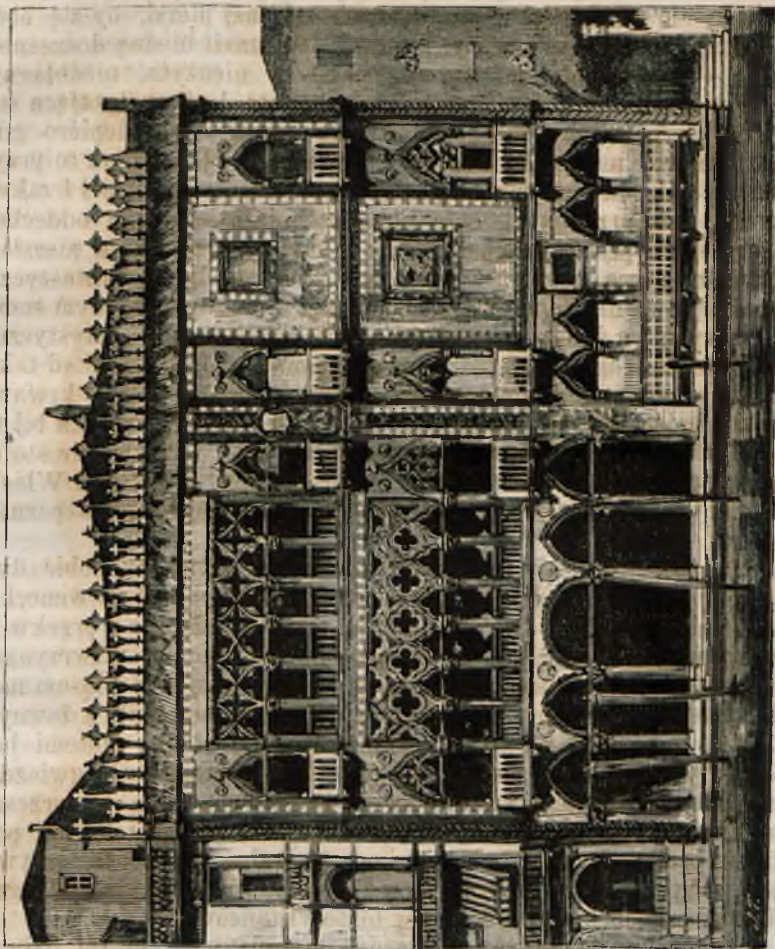


Fig. 96. Pałac Ca' d'oro (w rzeczywistości).

arcydzielkiem prawdziwie mistrzowskiem, a przyznacie zem słusznie twierdził, jako ten pałac jest fantazyjką wschodniego poety, zrodzoną wśród swobody Arabii szczęśliwej, a przeniesioną do szczęśliwej a świetniejszej jeszcze Wenecyi. Więc też tej architekturze tutaj tak lubo i błogo; ona, przezierając się w zwierciadłach Adryatyku, cieszy się swojemi wdziękami i uśmiecha się do własnych nie-

wypowiedzianych uroków. Lecz przenieśmy sobie w myśli ten pałac w strony, kędy słotne szarugi a wielomiesięczne śnieżne zawieje i wszystkie moce zawistne materji dławią życie w naturze i życie w duchu, — kędy biedny człek od poranku do wieczora twardym trudem, krwawym potem walczy o chleb powszedni, kędy tak boleśnie łamie i szarpie się z nieustanną nigdy pracą, że już nie ma chwili by się rozpatrzył w przybytkach własnej piersi, by się obejrzał około siebie na te kwiaty, któremi Bóg umiał biedną doczesność naszą; — przenieśmy, mówię, ten pałac w nieużyte, nieubłagane strony, a ta architektura fantastyczna, bogata, lśniąca, igrająca stanie się cierpkim wysmiechem i zatrutą ironią. Cóż dopiero gdy, krom krzywd niesformnej bezlitośnej przyrody, jeszcze na to przyjdzie, że co krwawym znojem posiejesz, wyrosnie w bolesti i zakwicie iza; gdy przez życie całe nie odetchniesz szerokim oddechem a posiwiejesz przed czasem; gdy za młodu pogrzebiesz w piersiach najdroższe serca ohoty — powiedz, czyli wtedy to fantastyczne czarodziejstwo nie będzie bajką wierutną, złowrogim nocnym snem!

Dziś panią a dziedziczką tej *Ca' d'oro*, tej ślicznotki artystycznej jest tancerka Taglioni (\*) — ta córka zamorskich krajów, zkąd także idą innym ludom mroźne zawieje a zkąd im poszły burze krwawe, klęski i śmiertelne wywroty. Bo, jak może wiecie, kolebka tej tańczownicy stała w onej smętnej pamięci Szwecyi. Wszystkie stolice Europy, a mianowicie Paryż, głosiły jej tryumfy, a w końcu Włochy i Wenecya ofiarowały jej cichy przytułek a pokój luby na późniejsze lata.

Panna czyli raczej pani Taglioni, wytańcowawszy sobie duży majątek, zakupiła podobno aż trzy czyli cztery pałace na weneckim Canal Grande. Ona dziś (w r. 1852), mniej już dbając o przekwitłe a zawodne młodości róże, odпочęła mądrze sobie na wawrzynach, co jej rodziły złote owoce. Tutaj ona przypatruje się płasom morskich igier dekoracyom, co je roztoczyły poety-budowniki z dawnych lat, a co je codzien na świeżo maluje italskie słońce złotemi barwami. Życmy jej z serca, by jej długo jeszcze świeciła ta gwiazdka szczęścia, bo Taglioni zrobiła swoje na świecie, i ona nie przeszła daremnie przez życie. Wszak to ona, jeszcze piętnastoletnim podlotkiem będąc, wyrzuciła z kretesem teatralne skostniałe, sztywne mody, i wyrzuciła na śmiecie zatęchłe stroje i przedpotopowe reguły baletu i rozpoczęła nową epokę w historii tańców.

Taglioni w nowożytnych czasach stanęła na reju tej dziwniej sztuce, w której człowiek sam mistrzem i zarazem sam własnym dziełem artystycznym, w której on zarazem jest treścią i formą, bo przepromienia własnym duchem własną postać i ruchy, nadając im rytm i dźwięk.

(\*) *Marya Taglioni*, ur. 1804 r. w Sztokholmie; w r. 1832 wyszła za mąż za hrabiego de Voisins, a od r. 1847 opuściwszy scenę żyła we Włoszech.— St.



I tańce mają swoje miejsce w świecie artystycznej piękności! A jakże nie! — Bo jeżeli prawda, że każdy rodzaj sztuki pięknej jest umysłowaniem nieskończonej idei we formach materialnych, to i taniec zdoła być t $\acute{e}$ m umysłowaniem idei; a to mo $\acute{z}$ e t $\acute{e}$ m wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j, że przecie $\acute{z}$  w żywym cie $\acute{l}$ e ludzkim ju $\acute{z}$  sama przez si $\acute{e}$  przemieszkuje nieskończoność i idea, co wi $\acute{e}$  o sobie; bo to ciało jest duszy nieśmiertelnej przybytkiem, która wi $\acute{e}$  o wiekuistości swojej. Tak taniec ju $\acute{z}$  znajduje gotow $\acute{a}$  formę, bo postać cielesną, znajduje ju $\acute{z}$  gotow $\acute{a}$  treść t $\acute{e}$ j formy, bo duszę, bo uczucia, bo myśli jej. Chodzi tedy jedynie jeszcze o to, aby treść ta przeniknęła formę, aby ciało stało si $\acute{e}$  idealnym, aby si $\acute{e}$  stało wyrażeniem ducha i uwidomieniem jego.

Lekkość, lotność rusałki, sylfidy, oznaczające panią Taglioni, ju $\acute{z}$  jawnie świadczą, że w tańcu ciężkość materji jest pokonan $\acute{a}$  duchem, że idealność przewyciężyła moce ziemskie. Ztąd t $\acute{e}$ ż ta rozkosz, to wesele wewnętrzne, gdy widzimy na oczy zmysłowe ow $\acute{a}$  apoteozę postaci śmiertelnej, co ju $\acute{z}$  uskrzydłona, ju $\acute{z}$  ulotna, cho $\acute{c}$  jeszcze na ziemi, cho $\acute{c}$  jeszcze za życia.

Przecie $\acute{z}$  ta lekkość a panowanie duszy nad ciałem, same przez si $\acute{e}$  wzięte, s $\acute{a}$  dopiero jedynie przymiotem ujemnym, bo dowodzą tylko wladztwa ducha nad cielesnośc $\acute{a}$ , nie wystarcz $\acute{a}$  tedy w tańcu, o ile on jest prawdziwie sztuk $\acute{a}$  pi $\acute{e}$ knią; bo w sztuce nie doś $\acute{c}$ , aby duch pojawił wy $\acute{z}$ szość swoj $\acute{a}$  nad materj $\acute{a}$ , lecz winien jeszcze okazać cz $\acute{e}$ m on jest, winien cał $\acute{a}$  treść swoj $\acute{a}$  idealn $\acute{a}$  wyrazić w tych formach ciała swojego. Gdy tego doka $\acute{z}$ e, wtedy dopiero tanecznik b $\acute{e}$ dzie mistrzem, wtedy postać jego stanie si $\acute{e}$  przezroczeniem, w którym zaświeci duchowość człowieka właściwym sobie wyrazem. Gdy zaś tego nie dopnie, gdy tylko zdoła okazać wprost wladztwo ślepe ducha nad materj $\acute{a}$ , wtedy on, mając jedynie przymiot ujemny, nie b $\acute{e}$ dzie artyst $\acute{a}$  ale skoczkiem; wtedy sztuka jego zejdzie na sztuczność, na sztukę łaman $\acute{a}$ , a za cał $\acute{a}$  zaletę stanie tylko mechanizm, wprawa, rzemiosło techniczne. Taki wrzekomy artysta b $\acute{e}$ dzie uważał t $\acute{e}$  wprawę a technikę za cel, a ona przecie $\acute{z}$ , jak widzimy, jest srodkiem tylko. W t $\acute{e}$ m skręceniu wyobrażeń w $\acute{l}$ asnie b $\acute{e}$ dzie wina i poniżenie takowych niby artystów.

Atoli każdy rodzaj sztuki ma swoj $\acute{a}$  stronę li techniczn $\acute{a}$ , mechaniczn $\acute{a}$ , której mistrzowi lekce wa $\acute{z}$ yć nie godzi si $\acute{e}$ ; bo si $\acute{e}$  bez niej nie obejdzie, a ta strona jednak zawsze jest tylko srodkiem a nie celem. Wszak wartoby by $\acute{o}$  rozebrać, zkąd si $\acute{e}$  to bierze, że w naszych czasach w $\acute{l}$ asnie dwie owe sztuki — taniec i muzyka, — bardziej ni $\acute{z}$  wszystkie inne rodzaje sztuki tak si $\acute{e}$  często wyradzają w mechanizm i w jakieś kunsztyki łamane. Rozwiązanie t $\acute{e}$ j zagadki t $\acute{e}$ m wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j zaiste by $\acute{o}$ by zajmuj $\acute{a}$ c $\acute{e}$ m, że obie te sztuki, cho $\acute{c}$  tak spokrewnione z sob $\acute{a}$ , przecie $\acute{z}$  znów s $\acute{a}$  niby wręcz odwrotne; bo jak taniec jest sztuk $\acute{a}$  zewn $\acute{e}$ trzn $\acute{a}$ , tak muzyka tonami gra we wn $\acute{e}$ trzu czło-

wieka, i jak tamten odnosi się do oczu, tak ta wiąże się ze słuchem naszym.

To nadużycie obu tych rodzajów sztuki jest tém osobliwszem zjawiskiem, że w obu przecież nie brakło wzorów szlachtetnych; bo i pani Taglioni i inne tancerki pewnie zasługują na imię artystek w najwyższém znaczeniu; wszak i muzyka szczyci się prawdziwie wielkimi mistrzami. Gdy atoli, mimo tych zacnych przykładów, w obu tych rodzajach sztuki ciągle a ciągle pojawiają się rzemieślniki, którym sztuka jest kuglarstwem niegodnem; gdy, co jeszcze gorzej, my sami dziś jeszcze poklaskujemy chętnie i rześisto sponiewieraniu sztuki prawdziwej; toć zaiste dowodzi, ile jeszcze na dnie naszego wrzekomo cywilizowanego wieku jest rubasności i barbarzyństwa.

I popłynęła sobie morzem Ca' d'oro; bo raz na jawie, a drugi raz w wizerunku wodnym, drgającym, rozplynnym. A jeżeli już gdzie, to w obec tej czarodziejki umocnisz w sobie przekonanie, że architektura weneckich pałaców żąda koniecznie morskich fali, by miała w czém się przeglądać, by jako wdzięczyć się do siebie; a rzekłbym, że owo budowanie maurytańsko-gotyckie, niby kwiat morskiej toni, z dna Adryatyku wyrósł. Ta architektura zostałaaby zagadką niezrozumiałą wśród ludów, wśród skał lub sosien ciemnych, poważnych, wśród smętnej biedy.

Lecz ujechaliśmy daleko, bo prawie naprzeciw Ca' d'oro, na lewym brzegu kanału dźwignął się niesłychaném bogactwem *pałac Pesaro*. On tak przepyszny a zamożny, tak sobie nie żałował na wystawność, że iście one budowania, co w innych krajach pałacami zowią, w porównaniu z nim mają minę niewymownie głodną i chłodną, szaraczkową. I nie mogło być inaczej. Pesarowie nie sknerzyli, gdy sobie raz powiedzieli, że trzeba się światu z pańska pokazać; więc z ich dłoni otwartęj płynęły strumienie złota. A gdy architektem był właśnie ów już znany nam *Longhena* (\*), ów mistrz tak błyskotnie paradyjący, co wystawił S. M. della Salute, więc zrozumiecie, jakto on i tutaj umiał świecić i stroić i ubierać. Wszak świetność a dekoracye w pałacu Pesaro, to nie blichtry kłamliwe, to nie dekoracye kulisowe, co zmyślając wspaniałość, kędy iście raczej pyszka z biedą się pobrała. Pałac Pesaro jest zaiste całemi usty wielkim panem — on jest zaprawdę tém, za co się udaje. Pesarowie w nim pokazali, na co ich stać, a Longhena po swojemu pokazał, jakto on rozumie okazałość, świetność i przepych prawdziwy.

Bujał też i pozwalał sobie po swojemu Longhena. Więc w roku 1650 stanął ten pałac jako jeden z najwspanialszych w Wenecyi, a nawet we Włoszech całych. Przecież ta jego architektura jest już przywiedłym renesansem; pod niesłychaną wystawnością a pa-

(\*) Zob. powyżej str. 185.



rada widać, jak już mdleje i obumiera prawdziwe estetyczne uczucie, jak piękność rzetelna poświęcona ozdobie przesadnej.

Oto sam dół już świadczy, jak się zuchwaliła pycha i wytworność. Podmurowanie tego pałacu ubrało się w tłumy misternie bogate rzeźbionych dziwaków; strach patrzeć, jakie to stworzenia nie boskie się wyległy z tych ciosów i obsadziły je sobą w okół; kędy spojrzysz — gmerzą, ruszają się larwy, brzydaki, ohedki, potworne gęby; jakieś maskary, szatanki przebrały się w formy zwierzęce i odprawiają piekielne wesela. Rzeklibys, że tu hulala imaginacya ongi miss *Anny Radcliff* (\*), co tak lubiła wieczorem pożywać ciężkie niesforne potrawy, by sobie do kompanii przywołać sny gorączkowe, pełne strasznych, szalonych marzeń; więc też w tych jej snach nawiedzały ją rozhlukane widziadła fantazyi i bujały swawolą obłąkańców, wydróżniających się zapustnym demonicznym szałem. A gdy strachy piekielne, waryackie zagrały już fortissime — wtedy budzi się miss Anna, i szczęśliwa, co tehu się zrywa z łóżka, i błyskawicą pędzi jej pióro po papierze — a co napisze, tém już częstuje czytelnika swojego. Widzicie, że ciężki, tłusty plum-pudding jest także receptą na poetyckie natchnienia. Nie dziw tedy, że ta zacna dama ze swoich romansów nasylała nam za młodości naszej febralne majaki, co zrazu zasnąć nie dały, a potem na dobitkę wydróżniały się i straszły we śnie, wybijając na piękne z głowy grammatykę łacińską.

Nie wdajemy się w bliższe opisy tego pałacu Pesaro, bo nam przecież nie o sam przepych chodzi; a nadto już z ukosa przez kanał, więc po prawym brzegu jego rozwinęła się nam zacna architektura, co warta, abyśmy jej cześć naszą złożyli, bo ona z piękności prawdziwej i z wieszczego natchnienia ród swój wieździe; jest to *palac Vendramin-Calergi*.

Pałac Vendramin, niegdyś Loredan, jeszcze przez Sansovina, co przecież nie lada znawca, był policzony między cztery najpiękniejsze pałace Weneckie. Powyżej skreśliłem wam jako-tako obrazek dwóch z tych czterech pałaców, bo *Cornaro* i *Grinani* (a S. Luca); teraz jeszcze powiemy kilka wyrazów o trzecim z nich, bo o Vendramin; a te trzy architektury wystarczą nam sownie; czwarty mimo siebie puścimy, bo on już mniej jest przedstawcą pewnej osobnej epoki, więc już nim nie myślę trudzić czytelnika mojego.

Pałac Vendramin jest kompozycyi *Piotra Lombardo*. Ten Piotr był czołem a zacnym przodkiem całej rodziny mistrzów-budowników w Wenecyi (\*\*); on był architektem oraz rzeźbiarzem, a kwitnie w drugiej połowie XV wieku; zgadujecie przeto, że już nawet dla tego warto się przypatrzeć dziełom jego, iż one jawią nam pierwszą

(\*) *Anna Radcliff*, znana powiesciopisarka angielska, ur. 1764 + 1823 r. — St.

(\*\*) Zob. powyżej str. 149.

epokę przebudzonej fantazy — więc owe czasy, w których świat artystyczny, wyzwolony z pod jęctwa wieków średnich, świeżą myślą, odmłodnioném uczuciem zwrócił się do sztuki starożytniej, studiując zabytki i okrucy klasyczne stariej Romy. A tak jest głównym wyobrazicielem architektury renesansowej w Wenecyi.

*Marcin Lombardo*, także znakomity artysta, był krewnym Piotra (\*), a ten miał trzech synów, z których każdy promienił świetnemi talenty — a zwali się oni *Tullio*, *Antonio* i *Giulio*; na tém jednak nie dość jeszcze, bo *Giulio* miał syna *Sante*, który również wyszedł na arcymistrza wielkiej chwały. Byli inni jeszcze artyści *Lombardo* w Wenecyi, a przecież nie są już krewnymi tamtych. A małaż to rzecz, gdy w jednej familii zrodzi się aż sześciu wielkich mistrzów! Takto bywa czasem na świecie! Gdy anioł opiekuńczy łaskaw na jakąś rodzinę, to i bardzo łaskaw, a nie żaluje jej wieńców świeżych i coraz świeżych. Wszak i dziś Francya szczyci się *Vernetami*, co od kilku pokoleń odradzają się nowym a świetnym talentem. I my mamy naszych *Kochanowskich*, i tuszymy sobie nadzieją, że talenta, co się pojawiły w jednej z naszych rodzin muzycznych, nie zawiodą naszego oczekiwania. Najczęściej atoli inaczej bywa; zwykle geniusz, wysiliwszy się w ojcu, odpoczywa sobie w synie i zasypia w nim. Więc ten skazany, by o wątych siłach dźwigał przez życie brzemień wielkiego imienia. A biedaczysko tém serdeczniejszego pożałowania wart, że bez tej niedogodnej dla niego sławy ojcowskiej uchodziłby często za wcale niepośledniego człowieka. Jednak, cóż się dzieje! publiczność mierzy syna sławą ojcowską, więc też w okamgnieniu wzrost jego kurczy się w karła i przymioty jego stają się w oczach ludzkich niepoczesne i tuzinkowe.

Lecz nawróćmy do naszego pałacu *Vendramin-Calergi*. Czytelnik zechce unaoocnić sobie ogół tej budowy *widokiem głównej facyaty*, którą tu przedstawia nasza fig. 10 (str. 249).

Najprzód — cechą charakterystyczną a przeważną całej wystawy głównej (facyaty) jest ogrom okien, co o przeslicznych wymiarach spuszcza się do samej podłogi każdego piętra (więc to niby drzwi, jak to zwykle bywa we Włoszech). Te okna są u góry o łukach krągłych, które spoczywają na kolumnach; każdy z tych łuków obejmuje w sobie dwie mniejsze arkadki tegoż rysunku, a spierające się w środku samego okna na kolumnie wspólnej, która rozdziela całe okno niby na dwie części. Miejsce próżne między łukiem wielkim a temi dwoma pomniejszych, zajęte jest przez koło, niby wielki pierścień, który przeto, jak widzicie, dotyka od góry wewnętrznej strony owego wielkiego łuku, a od spodu spoczywa na stronie ze-

(\*) Niektórzy historycy sztuki sądzą, że *Martino Lombardo*, kwitnący około 1480 roku, jest ojcem Piotra, dla tego, że ten ostatni nazywanym bywa *Pietro di Martino*. — St.



wewnętrznej owych dwóch mniejszych arkad. Tak tedy z rzeczy saméj wynika, że po obu stronach tego pierścienia powstaje rodzaj trójkąta o bokach kulistych. Te trójkąty, podobnie jak i pierścień, są na wylot rzeźbione. Wszak to wszystko przypomina nam rozdział



*Fig. 10.* Pałac Vendramin-Calergi.

w oknach gotyckich, atoli w tym pałacu łuki są krągłe a nie ostrołukie. Widzimy tedy w nich czas pierwszego renesansu obok wspomnień z epoki gotyckiej.

Teraz rozkład.

A najprzód poziemie. — W środku brama o krągłej arkadzie; ona jest ogniskiem całej téj dolnej kompozycji. A gdy dalsze części te architektoniczne są z obu stron takie same, więc co o jednej stronie powiemy, tyczyć się będzie i drugiej. Tak tuż obok bramy pilastr z kapitelem korynckim; potem okno jak powyżej opisane; dalej dwa takowe pilastry, oddzielone od siebie dość szerokiém polem; dalej jeszcze okno, jednak już prostokątne, zaczynające się u góry od samego brusu a dochodzące spodem swoim jedynie do środka całej wysokości poziemia; następnie kończą rzecz podobne dwa pilastry, mające między sobą podobnie takie pole. Dodajmy z góry jeszcze ów brus, fryz i gzyms przesłicznych proporcij.

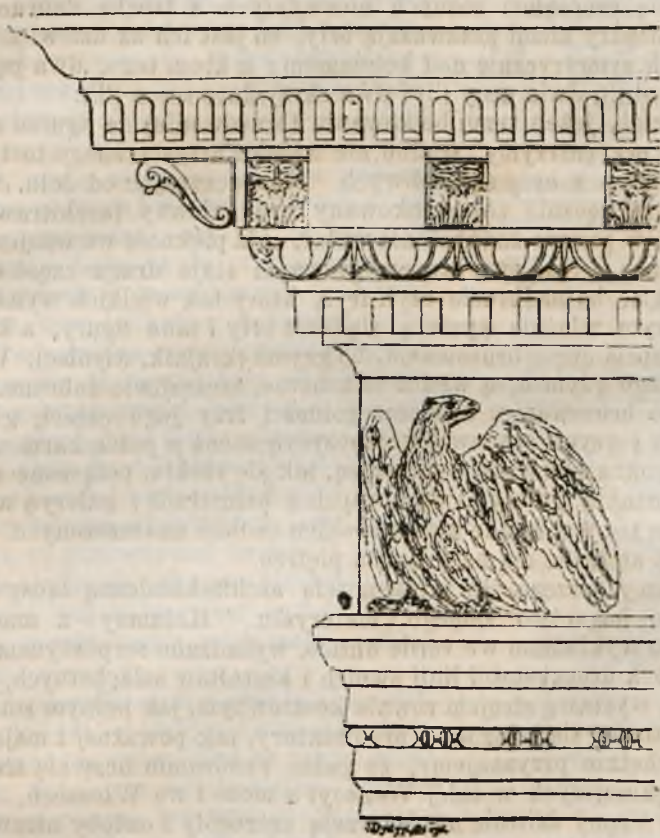
Choćbyśmy nie mieli przed sobą wizerunku naszego pałacu, już z tego, cośmy rzekli, łatwo byśmy złożyli sobie architekturę pierwszego i drugiego piętra. Jakoż bramie i przyległym dwóm oknom odpowiadają na obu piętrach trzy okna powyższego rysunku; między oknem a oknem już nie ma onego płaskiego pilastru, lecz stanęła okrągła koryncka kolumna, silnie występująca od ściany. Te trzy okna, będąc blisko siebie umieszczone, składają jakąś całość, bo rodzaj łodży; a jedność téj całości tém wydatniejsza, że owe okna są, na pierwszym piętrze nawet, połączone wspólną galeryą, a co więcej, że te trzy okna łodży są bardzo blisko siebie, gdy tymczasem znacznie oddalone są od okien następnych. Jakoż, gdy te trzy okna środkowe, tworzące niby główne ciało piętra, rozgraniczone są tylko jedną kolumną, przeciwnie między każdym z okien skrajnych téj łodży a dalszém oknem widzimy dwie kolumny, które nadto przedzielone są polem. Następnie widzimy, że te okna, kończące z obu stron pałac, całe są również tych samych wymiarów, i że para kolumn korynckich, oddzielonych takiémże polem, zamyka rzecz całą.

Nie trudno wyobrazić sobie harmonią i powagę tego pałacu. Mianowicie już te olbrzymie okna, i te tak silnie a przecież szlachetnie występujące gzymsy nadają całości osobiwą, uroczywą grozę. A obok téj powagi nie brak też i gry architektonicznej; zważmy np. różnaitość potęgi w samych kolumnach, bo z rzeczy samej wynika, że innej miary są te, które oddzielają okno od okna, a innej miary te, na których spoczywają arkady okien. Wszak widzimy, jak różną falą biją arkady, z których jedne wielkie a drugie o połowę są mniejsze, bo po dwie w tamtych objęte.

Jest więc tutaj nielada ruch i życie obok poważnego majestatu całości. Ten ruch gra i potęguje się jeszcze silniej, jeżeli porównywać będziesz piętro z piętrzem; bo lubo co do ogólnego charakteru oba piętra a nawet poziemie są wielce do siebie nastrojone i podobne, przecież i one w tém podobieństwie unikają jednostajności i kliwego powtarzania. Najprzód, pierwsze piętro, jako najcelniejsze, jest wznioślejsze od drugiego, a tém bardziej wyższe niż poziemie. I w poziemi i w obu piętrach jest wprawdzie zachowany tak strojny i bogaty porządek koryncki, lecz na pierwszym piętrze kolumny



(czyli raczej półkolumny) są żłobkowane, a nadto, wszystkie kapitele są nawzajem między sobą połączone zwojami kwiatów; tymczasem na poziomie widzimy, zamiast kolumn czyli półkolumn, pilastry; a zwoje kwiatów łączą te tylko pilastry, które parami stanęły obok siebie. Dalej — gdy powyżej wspomniane pola, rozdzielające kolumny od siebie, są na pierwszym piętrze zdobne jedynie w obwódkę,



*Fig. 11.* Belkowanie pałacu Vendramin-Calergi.

a w środku mają kółko rzeźbione, też pola na drugiem piętrze, jako wyższem, lżejszém, świecą właściwym strojem, bo niby na wstędze zawieszony okrągły medalion z głową lwią, a później jeszcze maską. Spostrzegamy również, że na poziomie jako dźwigającym, więc poważniejszém, te pola, przedzielające dwa przyległe pilastry, są tylko obwiedzione rąbkami i nie mają nawet onego kółka w środku wyro-

bionego. Wspominam o tych niby małych rzeczach, dla tego, że, choć nie pozorne, świadczą o misternym takcie i uczuciu artystycznym mistrza.

Fryz pierwszego piętra ma za jedyną ozdobę swoją wyrabiane kwadraciki, niby strojne ramy, a przypadające po jednemu nad każdą główną arkadą. Fryz (nadbrusie) poziemia ubrany w bogate sporniki; a tymczasem fryz nad drugim piętrzem szeroki, silny, ustroił się szeregiem różnych niezwykłych a trochę dziwacznych figur. Między niemi przeważają orły, bo jest ich aż dziewięć umieszczonych symetrycznie nad kolumnami; a krom tego, dwa pędzące jednorożce (!), dwie urny (!! ) i dwa skrzydlate serca (!!!).

Przecież, jeżeli temu belkowaniu (brusowaniu) na figurze naszej bliżej się przypatrzymy, trudno nie widzieć artystycznego instynktu w tych formach arcy szczęśliwych. Rozpoczynając od dołu, widzimy jak wdzięcznie rozczłonkowany brus główny (architrav); tu przystrojów prawie żadnych nie widać, cała piękność we wzajemnych proporcjach. Nad tym brusem głównym staje druga część całego brusowania, bo nadbrusie czyli fryz, który tak wielkich wymiarów, a na którym właśnie pyszną się owe orły i inne figury, a kończy członki trzecia część brusowania, bo gzyms (krajnik, wieniec). Wszak członki tego gzymsu są wielce szlachetne, szczęśliwie dobrane. Tak tedy całe brusowanie, a w szczególności trzy jego części, główny brus, fryz i gzyms stanowią kompozycją zącą a pełną harmonii.

Trzy okna pierwszego piętra są, jak się rzekło, połączone wspólną, jednostajną galeryą, więc wspólną balustradą; galeryą własną opatrzone też jest każde z dwóch okien osobno umieszczonych. Tych balustrad atoli nie ma na drugim piętrze.

Uważmy jeszcze, że z pięknoscią architektoniczną łączy się tu greckotne bogactwo samego materiału. Kolumny z marmuru greckiego wykładane we verde antico, wysadzone serpentynem, porfirem, obok uroczystości linii swoich i kształtów szlachetnych, ubierają całą wystawę strojem równie kosztownym, jak pełnym smaku.

Wpatrując się w ogół tej architektury, tak poważnej i majestatu pełnej, chętnie przyznajemy, że pałac Vendramin liczy się słusznie do najpiękniejszych w całej Wenecyi a może i we Włoszech. Lecz z drugiej strony dziwnie nas uderzają szczegóły i ozdoby niezwykłe. Tak np. owe jednorożce, serca i t. d. i cała owa ozdoba fryzu jakaś dziwaczna, jakaś osobliwa, nie swoi się z naszym uczuciem artystycznym, wykształconem na starożytnych wzorach. Możeby także jaki krytyk surowszy krzywił się widząc, że na poziemiu i na pierwszym piętrze i na drugim piętrze zachowany jest w płaskostłupach (pilastrach) i kolumnach porządek koryncki, co przecież tak lekki i strojny, że mu raczej do twarzy stawać na innych porządkach, niż dźwigać ciężkie brzemie architektoniczne, do czego porządek dorycki daleko stosowniejszy. Tak podobnie pilastry poziemia zdają się zbyt misterne, zbyt słabe w porównaniu kolumn pierwszego pię-



tra. Jakoż nasza *figura 12*, przedstawia nam część głównej bramy, więc część wyższą jej węguru (podwój) czyli pilastru, na którym wznosi się arkada bramy (nałęcz, archiwolta) i częśćkę tej arkady. Wszak to formy miłe i wielce wdzięczne, wykonane strojnie i ozdobne; wszak nawet te armatury wyrzeźbione na pilastrze są tutaj wielce stosowne. One nie tylko stosowne są z treści, bo to ładnie patrzy, gdy na wstępie do domu zawieszono broje i oręż, lecz one również rysunkiem się nadają do pilastru, bo nie psują w nim wyrazu dźwigania, podpierania, bo one wiszą, mają się pionowo; ten takt nie zawsze widzujemy w architekturach wczesnego renesansu, ani też w naszych czasach. Lecz za to przyznajemy, że i ten pilastr i ta archiwolta jest zbyt wązka, zbyt delikatna, misterna, a tak mniej odpowiada przeznaczeniu swojemu, zwłaszcza, iż się znajduje na poziomie, więc z istoty swojej, jako część dźwigająca, winna mieć formy silniejsze i cięższe. Cała ta delikatność i słabowitość tego pilastru i archiwolty będzie jeszcze dla czytelnika wydatniejszą, jeżeli naszą figurę 12 porównywać zechce z fig. 10, a tak okaże się, jako ten płaskosłup jest wysoki, jak nałęcz jest ogromnym łukiem w porównaniu z ich małą szerokością.

Te zagadki atoli rozwiąże nam cyfra, bo rok 1481, w którym Lombardo skomponował ten pałac. Był to, jakem rzekł, czas, w którym świat dopiero przetaił oczy po onym lat tysiącu przebyłym w średniowiekowych émach i zaczął uczyć się wzorów starożytnych. Te kształty wspaniałe, uroczyste, staro-rzymskie, które widywał włoski mistrz na ojczystej ziemi swojej, potrafiły fantazją jego, podniecając do twórczości świeżej, odmłodnionej. Lecz brakło jeszcze umiejętnego rozpatrzenia się w tych zabytkach sztuki, niedostawało wiadomości, mogącej wyjaśnić zwroty klassycznej fantazyi, i jej różne epoki.



*Fig. 12.* Nałęcz i Węgur z pałacu Vendramin-Calergi.

fantazyi, i jej różne epoki.

Mistrz radził się tedy li samego instynktu artystycznego i szczęśliwego natchnienia; za tém poszło, iż własny geniusz jego podał mu ogólne formy, pełne piękności i uroczystej powagi, przypominające ducha staro-rzymskich czasów. Z drugiej strony atoli w szczegółach i szczegółkach zabrakło mu jeszcze wątku; więc je tworzył wedle własnego osobistego smaku lub z tradycyi średniowiekowej fantazyi. Słowem, była to epoka najwcześniejszego renesansu, wyobrażającego się w Wenecyi przez rodzinę Lombardów; była to epoka, w której fantazyja nowoczesna, rozpiąwszy skrzydła swoje, wlatywała nad światy klassycznej piękności, i jakby rozkochana, patrzyła na ułamki sztuki stariej, zostawione nam w upomniku od pomarłych a prawie zapomnianych ludów. Przecież, czego ona dojrzała w przelocie, toć było jedynie jeszcze wizerunkiem rozplynnym, zamglonym; i z tym wizerunkiem, z tym obrazem rozwiewnym wracała ona do rzeczywistości współczesnej, czyniąc go wzorem sztuki nowożytniej. Nie dziw tedy, że wzór takowy jęj nie wystarczał; więc mistrz dopełniał własnym pomysłem, czego się był jeszcze nie dopatrzył w dziejach przeszłości; więc śledził i szukał w duszy swojej a zgadywał formy, coby mogły nadać się do ogólnej modły sztuki starożytniej. Była to tedy epoka doświadczania się, uczenia się, której przyswiecało głębokie uczucie artystyczne i którą wodził instynkt geniuszów, nie poparty atoli jeszcze umiejętną wiedzą i przekonaniem rozumowem.

Pałac Vendramin, obok potężnych wymiarów swojego obszaru, obok artystycznych uroków swojej architektury, umiłł się jeszcze wdziekami przyrody; on przytulił do boku swojego ogród, co zwrócony na kanał wielki, licuje z jego główną facyatą. Na podmurowaniu ciosowem wznosi się nad morzem szereg filarek kamiennych, połączonych żelaznemi sztachetami; w środku ich od wody widać bramę z żelaznej lekkiej kraty, na pobocznych jęj filarkach unoszą się posągi. Więc z gondoli, więc z morza widzisz ten raik zielony, kwiecisty, cienisty, przezierający się w wodzie wiecznie ruchawej. W tym ogródku chłodno, domaszno a lubo. Te dzieci Flory, te pieszczotki człowieka tulą się a swoją do niego; więc jemu ufając bez trwogi a strachu patrzają się na to dziejowładne morze, co tuż pod ich stopkami to bawi się teraz i igra niby dziecień pluskając drobną, ciepłą falą, to znowu gdy się zgniewa, tak się rzuca, ciska i sroży. Te drzewa, krzewy i kwiaty takie skromne i lube, one chętnie przedstawiają na tęp zagródcie swojej, na tęp państewku drobnem, skromnem. A ten ich sąsiad to morze, ma całą kulę ziemską za ojcowiznę swoją; te fale, co tu igrają i swawolą, one zarazem bieżą w daleki — daleki świat! One biją i trojańskie pobrzeża i przyjmują do siebie olbrzymie toczące się rzeczne wody obojęd Ameryki, one słuchają bajek, co im prawi Egipt stary. Wszak to morze niegdyś zwierciadliło gwiazdę Betleemską, a dźwiga grody lodowe na biegunach świata; jemu po-



wierząc Indye tajemnice swoje, ono się patrzy od lat tysięcy na skostniałe chińskie dziwaki.

Pałac Vendramin-Calergi jest dziś własnością księżny Berry (\*). Mówiono mi, że wolno oglądać ten pałac i że wielce warto go widzieć. Nie dziw tedy, że zwróciłem uwagę na dwóch silnych lokajów, co błyszcząc czerwonymi inexpressiblami, dumali oparłszy się o kolumny bramy pałacowej. Gondolierowie podpłynęli pytając, czyliby w tej chwili można obaczyć wnętrze. — „Custode wprawdzie wyszedł z domu“, odpowiadają „jednak co chwila z powrotem spodziewany; jeżeli tedy państwo zechcą się zatrzymać, doczekają się go niebawem“.

Wstępujemy tedy do sieni, co wielka, wspaniała, jakie rzadko spotykamy po pałacach weneckich. W końcu sieni po prawej nie wielkie drzwi, te nam otworzono, zachęcając uprzejmie, byśmy weszli do onego ogrodu, by nam się nie przykrzyło czekanie. Lecz zaledwie widzieliśmy się wpośród tego zielonego wdzięcznego zacisza, gdyśmy zapragnęli, by pan Custode nie tak wielce śpieszył się z powrotem swoim.

Zostawiono nas samych, więc tém swobodniej było nam zebrać się w sobie i oddać się tej przyrodce lubej, miluchnej, co tu wkoło wdzięczyła się barwą, kształtem, wonią i cieniem. Oleandry, laury, cyprysy, magnolie, figi, pomarańcze, cytryny i ten cały roślinny ludek, co u nas na północy taki trwożny, lękliwy i skurczony zimnem, tutaj sobie buja i patrzy swobodnie około siebie, rad sobie i niebu swojemu.

Tutaj zaiste przekonać się można, jako sztuką nadrobić możesz szczupłe przestrzenie. Jakoż boczna ściana pałacu, obejmująca sześć dość sporych, znacznie od siebie oddalonych okien, stanowi głębokość ogródka; a szerokość jego ciągnie się wzdłuż przybudowania, niby oficyn, co mieści w sobie dziewięć takich okien. Widzimy tedy, że choć, jak na Wenecyą, obszar taki wcale nie drobny, bo go trzeba było ogromną pracą na morzu zdobyć, tak znowu, wedle naszych wyobrażeń, ogródek to wcale maluchny, miniaturowy; ale rozłożenie mądre i dowcipne kłębów, prowadzenie szczęśliwe ścieżek, korzystnie z każdego miejsca nadaje temu ogródkowi pozór nierównie większych rozmiarów. A przecież nie widać tutaj drobiazgowego smaku, cackającego się niepoczesnemi wymysłami.

Niewypowiedziany to dla nas urok na tej długiej drodze, na wielkim kanale, zatrzymać się w tej ciszy i patrzeć się na tę grę barw liści, co tu w promieniach słonecznych świecą odcieniem głębo-

(\*) Po śmierci księżny Berry w r. 1870, pałac Vendramin-Calergi przeszedł na własność jej syna hrabiego Chambord, księcia Bordeaux, pretendenta na tron francuzki. — St.

kim i jasnym, przezroczystym i złocistym. A kędy się krzewy, drzewa roztulą, przez liście, przez cień, przez sztachety widać, jak lula zlekka i płąsa morska fala; niekiedy to z daleka, to z bliska przemyka się gondola lub barka, słychać wołanie gondolierów, flisów — i znów wszystko na dworze, na kanale ucichło; w koło nas szezebiocą tylko ptaszki, ukryte w klatkach po gęstwinie kwitnącej, i lekkie a lekkie fale, uderzając o podmurowanie sztachetów, wybijają takt do myśli twych, niby zegar natury, co daje znać o sekundach uciekających żyjącemu światu.

Więc tutaj mieszka księżna Berry, której życie jakby ustęp z czasów romantycznych rycerskich, której los obecny tak nastrojony do obrazu tój dzisiejszej Wenecyi...!

W ogródku tym altanka splotem kaprykornu okryta, w niej kapnka kamienna; tu spoczywając w zaciszy, trudno nie cofnąć się w głąb wspomnień owych, co nam na myśl przywodzą najważniejsze epoki życia księżny Berry.

Wszakto ona była córka następcy neapolitańskiej korony, późniejszego Franciszka I. Ona urodzona wśród czarodziejskiej sycylijskiej natury w Palermo (r. 1798) — lubo się jēj szczęście od kolebki uśmiechać zdawało, przecież już w dziecięcych latach była dotkniętą najokropniejszym nieszczęściem, które spaść może na młodość i na cały kierunek żywota; bo utraciła matkę swoją. Wychowana przez panią de Latour, Francuzkę, już od pierwszej młodości spokrewniła się całym sercem z Francją. Te jēj skłonności ziściły się w r. 1815; bo wtedy Ludwik XVIII posyła do Neapolu, prosząc o rękę młodej księżniczki dla synowca swojego księcia Berry, drugiego syna hr. Artois (późniejszego Karola X). Księżniczka całą duszą zezwala na to małżeństwo, bo ono miało ją przenieść na tę ziemię, o której już oddawna na jawie i we śnie marzyła.

Księżniczka neapolitańska przybywa do Marsylii. Brak wszelkiej dumy i sztywności dworskiej, wesołość nieprzymuszona z serca pochodząca, nieudana łagodność, prostota obyczajów, dobroczynność i otwartość zniewoliły dla niěj wnet wszystkie umysły. Więc nie ma się czemu dziwić, że podróż jēj z Marsylii do Fontainebleau stała się podobną do pochodu tryumfalnego; wszędzie witano ją ze szczera, niezmyśloną radością. Ta podróż może była najpomyślniejszą chwilą jēj życia, — nadzieje przyszłego szczęścia świeciły jeszcze jėj losom całą poświata młoděj wyobraźni.

We Fontainebleau czekała na narzeczoną rodzina królewska. Król Ludwik wyjechał naprzeciw przyszłej synowicy swojej, która 17 Maja 1816 r. była zaślubioną w Notre-Dame w Paryżu.

Księstwo Berry, znawcy sztuki, wspierali ją całą siłą; niejeden młody artysta zachętą i pomocą ich hojną wyrósł na mistrza. Sztuka pod opieką młodego małżeństwa nabierała we Francyi swobodnego, śmiałego polotu. Ta miłość do dzieł artystycznych jak była najzacieńszą rozkoszą młoděj pary, tak była zaletą jēj, której nawet



niezaprzeczała niechęć dość cierpka w owoczesnym cierpkim nastrojeniu politycznym.

Dnia 21 Września 1819 r., urodziła się księżnie córka Marya Ludwika d'Artois (dzisiejsza księżna Parmy). Było to ostatnie szczęście, co jej zaświeciło na ziemi francuskiej.

W kilka miesięcy później, bo dnia 13 Lutego 1820 r., oboje księstwo udają się do teatru opery. Wśród gry ks. Berry, spozstrzegając znużenie swojej małżonki, zachęca ją by pojechała do domu na spoczynek. Z kilku dworzanami towarzyszy jej do karety; uściskawszy jej rękę wraca na operę; w bramie teatralnej jeszcze raz obrócił się do księżny, mówiąc: Zegnam cię Karolino! Podniesiono stopnie karety, już miano zamknąć drzwiczki, gdy z boku przypada jakiś człowiek i jedną ręką przytrzymując księcia, drugą zadaje śmiertelną ranę. Książę Berry, widząc w piersiach swoich puginał po rękojęść utkwiony, woła: „Zamordowano mnie!“ — Księżna, słysząc te słowa, rzuca się z karety i dosięgła małżonka swojego w chwili, gdy ten upada ogarniony śmiertelną niemocą.

Wśród rozpaczki swojej małżonki, książę skonał następnego poranku, polecając troskliwości księżny dziecię, którego się miała stać matką — i prosząc króla Ludwika XVIII o przebaczenie dla mordercy. Zabójcą był Louvel, siodlarczyk.

Księżna Berry, pragnąc uczcić pamięć małżonka, zbudowała w Rosny obszerny gmach na cześć S-mu Karolowi Boromeuszowi. Środek był kaplicą poświęconą Patronowi jej małżonka. Jedno skrzydło gmachu zostało przeznaczone na szpital dla chorych ubogich, drugie na dom wychowania dzieci ubożego ludu.

Francya oczekiwała rozwiązania księżny tém ważniejszego dla państwa, gdyż książę Angoulême, starszy brat księcia Berry, nie miał dzieci. Dnia 20 Maja, Gravier i Bouton, dwóch ludzi nieznanych, podsunawszy się pod pawilon Flory w Tuileryach, kędy mieszkała księżna, wysadzili z wielkim loskotem maron, aby zniweczyć oczekiwania ogólne. Schwytanych sprawców skazano na śmierć. Księżna uprosiła króla o ulaskawienie ich; Ludwik XVIII zmienił rodzaj kary. Dnia 28 Września urodził się jej syn Karol Ferdynand, książę Bordeaux, dzisiejszy hrabia Chambord. Niezadługo teść księżny hrabia Artois jako Karol X wstąpił na tron.

Następne lat dziesięć księżna, daleka od polityki, oddawała się wychowaniu swoich dzieci, opiekowaniu się sztuką a mianowicie sztuką dramatyczną. Tak nadszedł pamiętny rok 1830. Niepoczesne ministerstwo — Polignac włada Francją. Na początku tego roku wyprawiają w Tuileryach ów głośny „bal historyczny“ (niby kostiumowy. — Księżna Berry przebrana była za Maryą Stuart (!) a książę Chartres (po roku 1830 książę Orleański), najstarszy syn ówczesnego księcia Orleanu (późniejszego króla Ludwika Filipa) cieszył się serdecznie i szczylił, że mu wolno było przebrać się za Franciszka II, małżonka królowej Szkockiej i służyć w parę księżnie

Berry. Dużo wtedy w stolicy prawiono o tój parze pięknej, która iście wtedy nie rokowała sobie najbliższych a tak smętnych losów.

Tymczasem ciemne chmury, gromami brzemienne, gromadziły się nad Tuileryami; a choć nikt jeszcze nie przewidywał, że burza tak bliska, przecież wszyscy czuli, że atmosfera gęsta, ciężka, duszna.

Nie dziw tedy, że na mnie, będącym naówczas młodzieńcem a bawiącym w Paryżu, głębokie wrażenie uczynił widok rodziny królewskiej, gdy ją przypadkowo obaczył otoczoną świetnością ówczesnego dworu.

Było to w święto Bożego Ciała, a zatem właśnie na kilka tygodni przed wypadkami Lipcowemi. Już od wielu dni czyniono przygotowania dla mającej się odbyć uroczystej processyi; wystawiono ołtarze strojne i bogate. Celował nad wszystkie ołtarz w bramie Louvru na pobrzeżu, będącej wprost Pont des Arts. Do niego prowadziły wysokie na prędce zbudowane schody, dosięgające prawie okna pierwszego piętra. Ztąd, wzdłuż pobrzeża, aż do rogu Louvru, a od tego rogu aż do głównej bramy jego, naprzeciw starego kościoła tak historycznego Saint-Germain-l'Auxerrois, sporządzono z obu jej stron ściany drewniane z łąt i pozawieszano na nich gobeliny. Rozumie się, że trzeba było wyczerpać cały zapas kobierców dworskich, aby wystarczyć tak długiej ulicy. Dla tego też zrazu widać było gobeliny nowe, świeże, lśniące barwami; potem coraz więcej zblakowane; później zaś, gdy nie dostawało już kobierców ze scenami z Pisma Ś-go, nadstawiano dywanami, na których błyszczwały dzieje niezawsze budujące z mitologii greckiej. Bądź co bądź, prawie wszystkie były kopiami arcydzieł malarskich; więc nastreżaly niemalą treść dla uwagi, skracając chwile ekliwego czekania. W sam poranek święta, wiedziony ciekawością właściwą młodemu, przyłączyłem się do jednej ze znanych mi rodzin, i zawczasu stanęliśmy pod Louvrem ze strony kościoła [St.-Germain-l'Auxerrois. — Ulica z gobelinow, wysypana piaskiem, zasłana kwiatami i ziołem pachnącym. Z jednej i z drugiej strony stanął szpaler ówczesnej gwardyi królewskiej. Trzeba było nam dość długo czekać, ale w kolo nas nie brakło conceptów mniej więcej dowcipnych, przecież zawsze przyzwoitych. Processya się zbliża — więc szeregi dziewczątek w bieli, z wieńcami, sypiących kwiaty — duchowieństwo — Baldakin pyszny i celebrujący arcybiskup Paryża — za baldakinem cała rodzina, ale postępująca w dość znacznej odległości od siebie, wedle większego albo bliższego swojego oddalenia od tronu. Miałem tedy dość sposobności przypatrzenia się dokładnie każdej w szczególności z osób, a to tём więcej, iż cały pochód przesuwał się około nas zaledwie o trzy kroki. Tuż za baldakinem Karol X w bogato haftowanym mundurze, starzec 73-letni, wysoki, wysmukły; a lubo siwy, lubo chwiejący się, przecież nieco tylko pochylony; a choć z postawy niepodobny do brata swojego Ludwika XVI, przecież trudno nie poznać profilu rodziny. Po tój twarzy o przyciasłych oczach, o dolnej



wardze nieco zwieszonj nie było znać, że Karol X, podobnie jak ów nieszczęśliwy brat jego, był jednym z tych ludzi, którzy w zwykłych okolicznościach zachowują się biernie do świata, do otoczenia swojego; atoli w twardych i ciężkich chwilach wydobywają z siebie z nienacka moc duchową, męstwo i odwagę. Wszak kto tylko go bliżej znał, już bez trudności uwierzył, gdy w kilka miesięcy słyhać było, z jaką godnością i siłą opuszczał brzegi Francyi, z jaką odwagą zbliżał się do statku, co go miał unieść na ziemią obcą, by na niej złożył stare kości swoje, a tłumny lud w koło, choć niechętny, milczeniem uszanował nieszczęście w starcu. Podobnie największym dniem w życiu Ludwika XVI był dzień jego skonu, jak się wyraża w liście niedawno ogłoszonym kat ówczesny, wykonawca krwawych wyroków.

Za królem, więc blisko baldakinu, szedł syn jego ksiązę Angoulême; zdawał mi się wielce podobny do ojca; przecież twarz jego, choć młoda, prawie tak przygasła, jak siwego ojca; fizyognomia bez wydatnych zarysów. Nierównie więcej zajmującą była jego małżonka, boć to córka Ludwika XVI i nieszczęśliwej a tak cudnie pięknej Maryi Antoanetty. Wszak to ona za dziecięcego wieku dzielila więzienie w Temple z rodzicami swojemi. Mogłem też spostrzedz, że grono kobiet z ludu, niedaleko od nas stojące, wielce się nią zajmowało; a z kilku rzuconych słów widać było, iż choć pod powierzchownością szorstką w sercu niewieściem, byle wolnem od namiętności, nie braknie nigdy współczucia dla obcych a wielkich cierpień. Księżna Angoulême odznaczała się prawdziwie pięknym profilem, przypominającym matkę jej, królowę Maryą Antoanettę; a na tém obliczu jej świecił głęboki wyraz przeboleiałych dziejów, ułagodzony wewnętrznym pokojem i rezygnacją. Pазie w strojach z czasów Franciszka I nosiły ogony od sukni księżny Angoulême i tuż przy niej idącej księżny Berry. Księżna Berry, nierównie od niej młodsza, bo miała wtedy dopiero lat 32, była atoli mniej piękną, profil jej mniej prawidłowy; za to jednak w całej postawie, ruchach i na twarzy usmiechał się jakiś wdzięk i świeżość ochocza, naturalna. Zdawało się, że jej tylko żyć na tém świecie, że patrzy całą ufnością na przyszłość swoją. Obok niej szedł dziesięcioletni ksiązę Bordeaux i Marya Teresa, córka jej, mająca naówczas lat 13.

Po znacznym ustępie zbliżała się młodsza linia Burbonów — na czele ksiązę Orleański Ludwik Filip (późniejszy król) i małżonka jego — dalej najstarszy syn, ksiązę Chartres, i Ludwika Marya (przyszła królowa Belgijska). Potem inne a inne osoby rodziny — dalej ministrowie a na czele ich prezydent ministerstwa — Polignac, co w szalonej, ryzykownej grze stawil losy pana swojego na hazard — i przegrał.

Po dniach Lipcowych ksiązę Orleanu został królem, a księżna Berry na tułactwie w angielskim zamku, ponurym Holy-Rood. Tak

się skończył dla niej rok 1830, rozpoczęty w kostiumie Maryi Stuart.

W końcu Kwietnia 1832, wśród burzy straszliwej, księżna Berry występuje na ląd francuzki tuż pod Marsylią. Wśród wichrów i ulewy, wśród gołego pola pod skałą, otulona grubym płaszczem, przebyła całą noc ciemną, głuchą, a przebyła ją sama jedna. Oddala od siebie dwóch towarzyszy, aby nie być poznaną — i sama jedna, wzięwszy sobie za przewodnika włościanina, który się jej z przypadku nawinął, śpieszy ustroniami, drożynami pobocznymi i przybywa do Tuluzy. Tutaj, jak gdyby była królową francuzką, przyjmuje przez kilka godzin najspokojniej stronników swoich. A potem siada do otwartego powozu i jedzie do Bordeaux. I w tym mieście, z tą samą niesłychaną odwagą, daje publiczne posłuchanie swoim przyjacielom politycznym i odbywa z nimi długie narady. Później, bawiąc na zamku Saint-Jean-Angely, pisze tłum listów do Paryża, a co więcej rzuca proklamacye do Wandei, wzywając do powstania.

Toczy się walka krwawa w Wandei. Wśród świstu kul, wśród jęku umierających Szuanów, księżna opatruje rannych; kilkakrotnie już ma być pojmana, a przecież zawsze uchodzi cudem z rąk ścigającej ją ówczesnej władzy. Po rozproszeniu jej przyjaciół, ona sama tropiona, śledzona, niepokojona dniem i nocą ucieka w przebraniach przeróżnych; to sypia w jarach, to pod krzewem, po gęstwinach. Nakoniec w ubiorze wieśniaczki, piechotą, boso, nogi zawalane błotem gościńca — dostaje się do Nantes, do samotnego mieszkania panieli du Guigny.

Tu dla niej przygotowana kryjówka pod dachem, do której przystęp przez kominek, zasuwany z tyłu żelazną blachą. Bezecny Deutz, Żyd chrzczony, polecony oddawna księżnie, będący powiernikiem wszystkich jej tajemnic — sprzedał ją. Władza, mając wskazany sobie przez niego dom, w którym była księżna ukryta, otoczyła go i przepatrzyła od piwnic do dachu, przetrząsnęła wszystkie zakątki, ale napróżno — nie znaleziono księżny. Bo ona ukrytą była za ową blachą żelazną, nieznaną Deutzowi. Tam przez trzydzieści godzin siedziała księżna w najstraszliwszym stanie; tutaj wytrwała przez długie trzydzieści godzin bez pokarmu, bez napoju, bez ruchu, bez snu, narażona na ulewy i słoty wpadające kominem. A byłaby może jeszcze uszła szczęśliwie, gdyby nie ogień rozniecony na kominiku. Blacha rozpalona piekła, parzyła; jednak księżna przez długie godziny, upornym męstwem i zrzeczeniem się siebie, znosiła tę mękę; — aż wreszcie, gdy już suknie się tliły, gdy w rękach poparzonych, popieczonych wzmagaly się nieznośne bólesci dopiero wystąpiła z okropnej kryjówki i poddała się generałowi Dermoncourt, który dowodził żandarmami i przepatrzeniem domu.

Odwieziono księżnę Berry do twierdzy Blaye. Tam póty była trzymana w jęctwie, aż nie była osobistym położeniem zniewoloną do



wyznania zameżcia swojego z hr. Luchesi Palli. Żądano później, aby to wyznanie uczyniła aktem urzędowym, bo forma takowa poszła w rym owym wszystkim, którzy radzi byli, że się im udało sławą niewieścią kupić korzyści dla siebie. W skutek onego aktu, dnia 8 Czerwca 1833, księżna Berry wypuszczona na wolność, odbiła od brzegów Francyi, zabierając z sobą smętne przekonanie, że jędze wojny domowej, przez siebie roznieconej, gorzko opłaciła trzy-nastu miesiącami trwogi, cierpień i niepokojów, a co więcej narażeniem się na gadaniny nieszlachetne, niezacne, będące również charakterystyczną, lecz niepolecającą cechą naszego grubego czasu. Towarzyszył księżnie na tej przeprawie do Palermo generał Bugeaud i adjutant jego, ówczesny porucznik de Saint-Arnaud (który umarł marszałkiem).

Siedząc na tej ławeczce marmurowej w ogrodku pałacu Vendramin, jeszcze oczyma wspomnień widziałem przed sobą ową świetną processyą. Większa część osób tego błyszczącego pochodu, tak z linii starszej jako i z młodziej, umarła za granicą. Wszak nawet ów pełen nadziei książę Orleanu, co będąc jeszcze księciem Chartres służył księżnie jako Franciszek II na onym „balu historycznym“, zgruchotał sobie czaszkę na bruku gościńca. I dziś cicho w tej rodzinie jak w zgłiszczach spalonego domu. Nie wiem jak długo jeszcze byłbym chodził po tym świecie marzeń, co niby knieja zaczarowana tak nas wabi i nęci i ludzi; lecz Custode pojawił się w ogrodzie oświadczając, że gotów pokazać nam wnętrze pałacu.

Rad byłem zem się znów obaczył wśród tych odwiecznych ścian z pradziadowych czasów. Schody wspaniałe; w pierwszej sali wizerunki osób z rodziny księżny. We wszystkich pokojach sprzęty i ustroje pełne smaku, wygod i komfortu, jednak bez zbytku i wykwintu a częściej przesady. A jeżeli obaczysz gdzie kosztowne ozdoby, toć już co się zowie kosztowne; tak np. w jednej sali są dwie kolumny podpierające strop, — te kolumny świecą i błyszczą, ale nie blichtrzem udanym; bo proszę sobie wystawić, one są z szczerego jaspisu; rozumiem się, że pochodzą z dawnych lat i były razem z pałacem nabyte.

Dalej, wysokiej ceny i wysokiej szlachetności jest inny przystroj tego pałacu, bo zbiór arcyważnych obrazów; za każdy prawie z nich mógłbyś zakupić gratów lśniących tyle, iżby ich nie brakło na umeblowanie długiego szeregu dzisiejszych pokoi. Trudno mi się dotknąć tych wszystkich arcydzieł; więc tylko polotem wspomnę o tem, co najsilniej mnie uderzyło i w pamięci zostało. Otóż jeden z obrazów *Jana Belliniego* (\*). Jest to Święta Rodzina, tak święta i luba jak widziadelko senne młodej przeczystej dziewczyny. Obok tego obra-

---

(\*) *Giovanni Bellini*, jeden ze znakomitych mistrzów szkoły weneckiej, nauczyciel Tycyana, ur. 1426, um. 1516. -- St.

zu spotykamy jeszcze inną Rodzinę S-tą przez *Pordenone* (\*), i znów inną przez *Andrea del Sarto* (\*\*). Tu widzimy na nasze oczy cieleśne, jak to jeden i ten sam przedmiot niebiański, wedle właściwej fantazyi różnych mistrzów, promieni się indywidualną jej cechą; — a przecież te wszystkie wizerunki przynajświętszej Rodziny tak są pełne nadświatnego wdzięku, że się zdaje jakoby się im Anioł przyśmiechał; więc też widok ich goi rany i usypia w sercu namiętności wywrotne. Obok nich atoli zawieszony obraz wielkich wymiarów; w nim mistrz jego *L. Giordano* (\*\*\*) stawia cię przed męczeństwem Św. Piotra. Święty męczennik głową na dół zwieszony — nogi związane — ręce rozpięte — wszystko to straszne, a tém więcej, że figura w postaci naturalnej. Wolałbym widzieć ten obraz w jakiejś pokutnej kaplicy — ale w salonie! Dla salonu, kędy każdy lubi jakoś odetchnąć i pomówić o życiu powszedniem, codziennem, postać Apostoła jest świadkiem za nadto okropnym. Tak mnie się zdaje; może przesadzam; kto wie czyli nie można nawyknąć i do tego widoku. Oderwałem oczy od okrutnych mąk świętego męża; aby im popoľgować zwróciłem je do sąsiedniego malowania, dzieła onego genialnego Hiszpana *Giuseppe Ribera*, co go *Spagnoletto* zowią (\*\*\*\*). Ale i tu nerwy widza nie znajdują ochłody. Straszna rzecz co się tu w tych ramach dzieje. Jest to Kato zadający sobie śmierć. W prawej ręce trzyma jeszcze puginał, a palce lewej ręki włożył do rany, którą sobie rozdziera. Patrząc się na tę głowę, na te usta, na tę fizyognomię, słyszysz jak on krzyczy z boleści — istny brzydak. Tak sobie nie wystawiam Katona, bo to raczej brawo włoski. Tu nie ma ani śladu szlachetnej wzniosłości rzymskiej. To nie ten eichy pokój, przenikający niegdyś skonania tych synów starej Romy, co się z partesu nauczyli sztuki umierania. Lada gladyator konał na arenie z większą godnością, niż ten tu Kato. Mistrz chciał stworzyć widok straszny, okropny, przenikający nas dreszczem zgrozy, a stworzył szpetność. Rzekłbym, że ten Kato jest nawet śmiesznym, a co większa komicznym, bo jest w sprzeczności sam z sobą. Jakoż sam dobrowolnie utopił w sobie nóż zabójczy, a potem tak okropnie hałasi i wykrzywia się. Trzeba było albo wcale się nie zabijać, albo też, zabiwszy się, nie tak się rzucać i dokazywać. Ta sprzeczność człowieka z samym sobą jest właśnie jednym z warunków komiczno-

(\*) *Giovanni Regillo*, zwany od miejsca rodzinnego *Pordenone*, ur. 1483, um. 1539 r. Należał także do szkoły weneckiej. — St.

(\*\*) *Andrea Vanucchi*, zwany *del Sarto*, mistrz ze szkoły florenckiej, ur. 1488, um. 1530. — St.

(\*\*\*) *Luca Giordano*, znany ze swęj powierzchowności i prędkości w malowaniu i dla tego zwany *Luca fu presto* (Lukaszu rób prędko!) należał do przedstawicieli naturalizmu w końcu XVII wieku; ur. 1630, um. 1705. — St.

(\*\*\*\*) *Jose Ribera*, zwany dla małego wzrostu *małym Hiszpanem* (lo *Spagnoletto*), był uczniem *Caravaggia* i jednym z główniejszych mistrzów szkoły naturalistycznej w Neapolu; ur. 1588, um. 1656. — St.



ści, jak nas uczy estetyka. Przecież ten Kato z drugiej strony jest za nadto ohydny, aby mógł być naprawdę komicznym. A jednak Spagnoletto jest mistrzem, a doprawdy bardzo wielkim mistrzem — ! On nie darmo wyczył się od weneckiej szkoły sztuki obchodzenia się z farbami; więc też koloryt jego tak cudowny, czysty i przezroczysty, pełny i ciepły. A potem, cóż to za prawda, za wierność dochowana naturze! Jakto ten Spagnoletto podpatrzył przyrodę, jak ją wytropił w najcichszych jej tajemnicach, w skrytych jej pulsach i oddechach! On tak się poswatał z naturą, iż sam jest naturą. Te zalety jego i owe wady tłómaczą się, gdy przypomnimy czas, w którym żył a kwitnął Spagnoletto. Wszak on umarł w r. 1656. Chciemy przywieść sobie na pamięć budowania, wspomniane powyżej a należące do tegoż czasu; chciemy sobie przypomnieć cośmy przy tej sposobności o architekturze tej epoki powiedzieli; a zgadniemy, że dech nadchodzącej choroby, co miała ogarnąć cały żywot sztuki, zaraził i malarstwo. Ribera liczy się do tak zwanej szkoły naturalistów, o których kiedyś więcej sobie powiemy. Cośmy powyżej o jego obrazie rzekli, wystarczy jak na teraz, aby się na oczy przekonać, że za czasów tej szkoły idealność dawniejszych mistrzów uniosła się z ziemi, zostawując świat zmysłowej naturze i oddając go pod władztwo doczesnym potęgom. Więc też ten świat zrubaśniał, zdziczał we wszystkich dzielnicach duchowych, a to u wszystkich ludów i państw Europy. Gdy Ribera we Włoszech malował swojego Katora, Wojna Trzydziesto-letnia rozzwierzęcała, rozhułała północ całą.

Wystaw sobie, żeś widział około siebie sceny bezuzdnej srogości, żeś patrzył jak to demony cielesnej żądzy opadały ludzi, opajając je szaleńcem niegodnym istoty człowieka, i pomyśl, że po tych scenach, że po tych widokach schroniłeś się do odsunionej od świata lubej zaciszki domowej, że cię tam w koło otoczył z miłością obyczaj święty, nieskalany, i wspomnienia z własnej szczęśliwej bo niewinnej młodości; pomyśl, żeś pod tą twoją strzechą słyszał modlące się w spokojności pacholę — i wyznaj czyli wtedy nie ukolysze się i nie ukoi rozburzone i zranione serce twoje? — Otóż podobnego doznasz uczucia, gdy oderwawszy zmysły od dzieł mistrzów, jakim jest *Ribera* lub *Caravaggio*, zwrócisz się okiem i duszą do przenajświętszej Rodziny *Belliniego* lub *Andrzeja del Sarto*, co tak pełne wdzięku i ciszy niebiańskiej, jakby żywe wiekuiste niezabudki Boże.

W tym samym salonie, bliżej okna, więc bliżej morza, zawieszony w szerokich ramach wizerunek jakiejś damy w naturalnej wielkości. Postać jej stojąca, w czarnej sukni, rękawy bufiaste, jak to było modą w szesnastym stuleciu, rękę położyła na bukicie kwiatów. Uroczą to i przepyszna kobieta — ona w pełnym kwiecie swoich hardych wdzięków, a przecież tak się czegoś głęboko zadumała, ciężko coś waży i mierzy w duszy. Jest to jedna z tych piękności, co nęci ku sobie a trwoży, co do miłości tęskni a dumna, co czaruje uśmiechem, ale w tym uśmiechu czynia niby wąż grzechotnik. Ona

tak tkliwa, rzewna, gotowa siebie za kochanie bez granic poświęcić; a kiedy zechce, taka mroźna, że i najzuchwalszy Don Juan w obec niej języka w ustach zapomni i stanie jakby studenta, który się lekcyi nie nauczył. Taką mnie się przynajmniej zdawała ta dama! Ale któż ona jest? „To jest *Bianca Capello* malowana przez sławnego *Tinelli*“ odpowiada Custode. Teraz pojmuję! Więc to owa przegłośna Bianka najawanturniejszej pamięci. O tej damie jeszcze innym razem powiemy. O *Tinellim* nie wspominałbym wcale; bo lubo on nie jest poslednim malarzem, przecież nieraz może, dla braku miejsca, przemilczec mi przyjdzie o nie jednym z jego kolegów wyżej w sztuce stojących. Skoro jednak on, za przyczynieniem pani Bianki, zaszedł nam w drogę, warto mu oddać, co mu się słusznie należy.

*Tinelli* należy do szkoły weneckiej, a lubo nie liczy się wcale, jak rzekłem, do pierwszych jej gwiazd, przecież on nie ladajako maluje, co tém więcej idzie mu na wyższą zastugę, iż żył w czasie już nie nader lubym i wdzięcznym dla sztuki, bo umarł dopiero w roku 1637. On zdobył sobie zacne imię, zwłaszcza portretami swojemi; jakoż umiał duszą swoją utonąć w duszy ludzi; on uczucia żywych swoich wzorów czuł własnem sercem, on myślał ich myślą; więc co było tajemnicą, kryjącą się w ich piersiach, to wykwitło na jaw w tych malowanych jego obliczach.

Wszędzie nas oprowadzał Custode, pokazał nawet budoarek księżny. Rozumie się samo przez się, że w nim nie brakło wizerunku drugiego jej małżonka, hrabiego Luchesi Palli. Lecz nie dziw, że bliższym jej serca jest hrabia Chambord. Gdzie spojrzysz, i na ścianach i na biurku i na stolikach, i w większych i w mniejszych formatach widać portrety jego: jedne olejne, drugie akwarelą, inne w miniaturze, inne rytowane; a każdy z innych lat życia młodego księcia. Zaczawszy od pierwszych dziecięcych lat, widać jak się rozwinął w latach pachołących, aż nie urósł i dojrzał w sobie. Znać, że serce matki mierzyło własne życie swoje życiem syna; on w każdym wieku był wyobraźnikiem i ogniskiem jej uczuć, jej losów i nadziei.

Nie będę wam rozprawiał o cackach i drobiazgach, pięknostkach błyszczących w tej świetlicze, bo ich rzadko gdzie brakuje w gotowalni dam; a pomnę tylko, iż na posadzce stała rozproszona cała kompanijka piesków, wiewiórek, królików, wielce zgrabnie z marmuru wyrobionych, których urządowanie takie: wszystkie drzwi w pokojach tym trybem są urządzone, iż same się przynykają; gdy tedy wypadnie, aby stały otworem, trzeba przysunąć do nich takie stworzenko, a ono je wiernie przytrzyma. Podobne koncepciki nie są nadzwyczajne w domach włoskich. Coś podobnego nawet widziałem później w mieszkaniach starożytnych przed dwoma tysiącami prawie lat zasypanego a dziś zmartwychwstałego miasta Pompei. Znać, że w tej mierze damy włoskie nie zmieniły smaku swojego.

Świątecznie i wspaniale roztoczył się widok na Canal Grande, gdy wystąpił na galeryą. Wenecya w tej stronie tak milcząca,



poważna, uroczysta jak wdowa po wielkim człowieku. to jest, po człowieku, co się zacnemi sprawami zasłużył ludzkiemu rodowi, co nadał zwrot szczęśliwy duchowi dziejów. Ta architektura w kolo — to jakby arfa Ossyana, śpiewająca o czasach, co dawno przeminęły, o dawno pomarłych bohaterach. Stare czasy, bohaterowie nieczłowiecznie przemykają się niby postaci w mgłę przeszłości, rozwiewne, obłoczne, rozlotne.

Wróciłem do gondoli, aby dokonać tej wodnej pielgrzymki po epokach upłynionych historii i sztuki weneckiej. Przecież, tu pomniki nie mają końca; ten kanał wielki — to zaiste Panteon! Te jego pałace i kościoły, te wszystkie pomniki jego patrzą na nas, jakby grobowce przeszłych stuleciów, co dawno umarły ciałem, lecz duchem są nam obecne, przytomne po wszystkie czasy. Jakoż, zaledwo wystąpiłem po za progi pałacu Vendramin, a tu prawie naprzeciwnie, bo po lewym brzegu, duma budowanie długie o arkadach niezwykłej, niepospolitej formy. Smętno jakoś w piersiach tych gładów, bo one pamiętają bardzo, bardzo dawne lata. Ten budynek prawie rozsypiskiem: zioła, trawy, nawet krzewy i drzewka hulają po wierzchołkach jego, i zagęściły się jakby u siebie na tych ciosach przedwiecznych. Takto zawsze bywa; człek chętnie wojuje naturę, puszcza się z nią na walki uporeczywe; więc niweczy, podbija i męczy roślinność, i, aby miał gdzie orać i siać, karczuje puszcze, wycina knieje — ojcowiznę leśnego zwierza, a z pradziadowych dębów i sosien buduje statki, mieszkania i pałace; on tnie, kraje, strzyże w szpalery wedle swoich fochów a konceptów krzewy i drzewa. Lecz niechaj-no na chwilę od dzieła swojego się odwróci, niechaj cofnie od niego opiekuńczą rękę, a natura nawzajem wet za wet odplacając się, wyśle na jego dzieła żywioły swoje, co zabiorą się żwawo, upornie, by zniweczyć krwawe jego trudy; słoty, mrozy, skwary, wichry na wysegi pracują, by zetrzeć i zgładzić robotę ludzi, a co one napoczną, dokonywa owa zgwałcona, obrażona roślinność, co silna, bujna, co korzeniem rozpiera ciosy rzeźbione i cegły złożone misternie, i póty się rozdyma i póty się sady, aż nie dokaże swojego, i póki nie zamieni znacznych form architektury w nory a legowiska dla bezrozumnego zwierza. Wszak wrogie moce natury bliżej są nas, niżbys zrazu mniemał; wszak to one własnym ciałem naszym! Chciej-no ustawy natury obrazić w cielesności twojej, a wiesz, co cię czeka? — choroba, skon!... albo odwrotnie, pozwól bujać tej fizyczności twojej, popuść jej cugłów, a obaczysz jak górę weźmie nad duchem twoim, jak wytepi w tobie co zacne i jak, w ruinę obróciwszy co wielkie i piękne, uczyni twoje ciało legowiskiem bezrozumnych żądy. Lecz dość o tém. Ten gmach, co teraz zwałiskiem, niegdyś był pałacem wspaniałym, a zowie się dziś *Fondaco dei Turchi* (\*), lubo on dopiero

(\*) W nowszych czasach gmach ten odbudowano w dawnym stylu. — St.

od XVII-go stulecia dostał się Turkom na gospodę i po nich otrzymał dzisiejszy przydomek swój. Przecież on arcy starowieczny, a styl jego arcy ważny, bo to styl romański.

Romańska architektura dawniejsza w całej Europie, niż styl gotycki; więc też Wenecya wcześniej budowała się z romańska, niż zrodziła z siebie owe kształty maurytańsko-gotyckie, co nas tak serdecznie zachwycają w tym grodzie morskim. Znać przeto, że styl romański stanowi jedną z najwyższych epok w dziejach sztuki, a to nie tylko chrześcijańskiej, lecz i powszechnej; — on przeszedł się po całej prawie Europie, a kędy stąpił, wszędzie po sobie zostawił pomniki pełne artystycznej treści, a głębokiego mistrzowskiego uczucia. Więc też z nich, jakby z ksiąg, wyczytać możesz, co się działo w sercu onych starych wieków.

Otóż na Canal Grande dochowały się dwa pałace, bo pałac *Fursetti* i *Loredan*, mające na sobie cechę romańskiego stylu. One zapewne razem powstały z pałacem *Fondaco dei Turchi*, i są współczesne bardzo starym wypadkom w historii europejskiej; do nich doleciały wieści o „Magna Charta“ angielskiej, o czwartej wyprawie krzyżowej, o zdobyciu Konstantynopolu; za ich czasów żył Ludwik Św. król francuzki i polscy Leszkowie Biały i Czarny. Nie wspominałem wam atoli o tych pałacach, bo przykładów daleko przeważniej uczących nas stylu romańskiego spotkamy dużo i gęsto po Włoszech; a przecież nam głównie o to chodzi, aby rozświecić teraz w Wenecyi te epoki i rodzaje sztuki, które pełnym kwiatem rozwinęły się na łonie tej dziwnej stolicy. A nadto, w samej Wenecyi spotkamy może jeszcze inne budowanie, będące czystym a nierównie dokładniejszym wzorem romańskiego stylu.

I zwolna, zcicha gondola nasza już teraz sama jedna dobiegała końca kanału. Nie daleko ujścia, po prawej, jak gdyby na ostatnie akordy naszej pielgrzymki dzisiejszej, stanęła nad wodą architektura stylu baroko, bogata a wykrygowana, kosztowna a wymuszona: jest to kościół *degli Scalzi*. On to świadectwem głośnym, jakto ci republikanie starzy a hardzi, skąpiąc przestrzenią a drogim okupem zdobywając na falach węgly dla budynków swoich, wynagradzali szczupłość miejsca bezmierną kosztownością i bogactwem przesadnym. Zaiste, kościół *degli Scalzi* przestrzegając prawi, jak to trudno, aby człek, choćby z najświetniejszym talentem, zdołał wyrość nad czas swoj a wiek. Ta architektura, co taka dumna i błyszcząca, tak lśniąca i błyskotna, poczęła się we fantazyi *Longheny*, więc tego samego mistrza, co stworzył owe wspaniałe kontury kościoła della Salute. Lecz jak na jesień najprzód zwijają się, wędnieją liście, choć w gałęziach, konarach i pniu tętni jeszcze życie; tak w Salute, jako w dziele dopiero poczynającego się barokizmu, jeszcze prawie cały ogół piękny i okazałości pełny, tylko szczegóły skrecone i spaczony. Wszak w Salute, jakeśmy powiedzieli, grzechem tajemnym, ukrytym, rodzącym wszystkie inne z siebie, jest żądza popisywania się wysta-



wnością, jest ochota bezuzdna paradowania, mniej sobie wążąca godność sztuki pięknej, istniejącej dla siebie i niemającej innego celu, prócz prawdziwych artystycznych wdzięków. Ta żądza a ochota, znieważająca powołanie sztuki, zemściła się okrutnie na fantazyi samego mistrza; coraz więcej a więcej się w nim rozjadając, uczyniła go służalcem zepsutego czasu. Longhena przez długie lata długiego życia swojego gonił za efektem, i nie pytał co wielkie, co znaczne w piękności dziedzinie, ale dbał jedynie o oklask tłumu; a tak, zachodząc w lata, wypaczał a wypaczał fantazyą swoją; aż w pięćdziesiąt lat po Salute, wystawił Scalzi, będący uzupełnionym, wykończonym w sobie stylem baroko. Wszak baroko w tym kościele zwraca ku nam najbiedniejszą stronę swoją, bo widzieliśmy, mówiąc o Dogana di Terra i o Salute, że baroko nawet może mieć swoje nielada polecające go przymioty, godzące nas niekiedy z dziwaczeniem się jego. Przecież ten kościół Scalzi raczy nas właśnie niemal wszystkiemi grzechami swojego stylu, nie wynagradzając ich prawie żadnymi jego zaletami.

Facyata ma niby dwa piętra, u góry kończy się szczytem, a cała ta wystawa główna, więc i poziemia i pierwszego piętra, jest jedynie zbiorem niż głębokich i kolumn, które parami między niżami stanęły; dalej cokuly ogromne, występujące gzymsy i chowające się kapryśnym trybem, nakoniec figury po niżach, po rogach, na szczycie. Na tym szczycie jedne figury stoją, drugie położyły się wygodnie, inne balansują; są tam po krawędziach i muszle i kapitele, kółka i już nie wiedzieć co — słowem, cała ta facyata przypomina szafeczki z palisandru, lub z hebanu, albo z różowego, lub z innego rzadkiego drzewa, a wykładane złotem, srebrem, perłową macicą, słoniową kością, jak je to czasem widzieć można na wystawach europejskich, okazujące najwyższy szczyt roboty stolarza lub hebanisty. Słowem, jest to styl, który tak często i u nas się zawadza w kościołach, stawianych w 17-tém i 18-tém stuleciu. Pomyślcie atoli, że ta wystawa degli Scalzi uczyniona cała z najkosztowniejszego marmuru karyjskiego, a wykonanie techniczne, choć nie dowodzi mistrza, świadczy wszakże o najdoskonalszych, najcierpliwszych majstrach. To nie architektura, lecz rzemiosło; to nie utwór sztuki, ale wyrób rękodzielnika. Te drogie marmury, te kolumny, niże, cokuly, figury i gzymsy tak silnie występujące, tak grymasnie się łamiące, — świecą i błyszczą i mienią się najświetniejszym blaskiem; każdy szczegół architektoniczny tutaj pcha się naprzód, radby na siebie zwrócić wyłączną uwagę, zapominając, że on jest z istoty swojej tylko częścią, i że mu byłoby najwłaściwiej, a więc najpiękniej, gdyby się chciał stosować do harmonii całości, i stać się tylko jednym tonem spływającym we wspólne akordy.

Z tej facyaty, co zarazem tak dziwaczna a tak kosztowna i lśniąca, już łatwo wróżyć możemy, co nas czeka we wnętrzu samém. I zaiste, trudno sobie wystawić hojniejsze zmarnowanie bogactw,

wyższe wysilenie się w pracy mrówczej! Marmury najdroższe, świat mineralny z całą swoją wielobarwnością, z całym błyskotaniem czarodziejskim zebrał się tutaj, i sadzi się i sili, żeby zdumić i olśnić przepychem. Czego się górnik dobrał w tajemniczych ziemi przepaściach, a co żeglarz przywiózł z dalekich zamorskich krajów, toć wszystko niemym kamiennym przepychem złożyło się w mozaiki nad wyraz kosztowne. A te mozaiki haftują się po ścianach, dokazują cudów lśniących, wielobarwnych, stroją fioszki i kosztowne a miłe dziwactwa po ścianach i gzymdach. Utkwały kobierce w kwiaty, w zwoje, w szlaki i w linie misterne. Wszędzie pełno tych robotek wysokiej ceny, nieprzebranej hojności; kędy wstąpisz, rozlane krocie; kędy spojrzysz, widzisz dzieło pracy, doskonałej techniczności a wykonania sumiennego, co nie przykrzyły sobie w robocie misternej, kłiwiej, drobiazgowej.

Nie daleko od degli Scalzi, także nad wodą, jest kościół *Św. Łucyi*, wręcz tamtemu przeciwny, bo jest klasykiem, bo jest dziełem *Palladiusza*, człeka wielkiego imienia (\*). Ale o stylu Andrzeja Palladio innym razem pomówimy. A teraz wielki czas dokonać podróży naszej na tym Canale Grande, co zmysły i myśli tak ciężko przyległ samemi cudami a uroczemi dziwami swojemi. Więc zaiste prawie nam miło się stało na sercu, gdy, minawszy dworzec kolei żelaznej, przyplłyneliśmy pod mur *Św. Klary*, która stanęła na straży u kończyn kanału. Odetchnąłem szeroko, głęboko, jakby po ukończonej pracy miłej, zajmującej, ale treściwej i ważnej.

#### Wenecya.

(Dalszy ciąg.)

Człowiek, party żądzą wiedzy, wznosi oczy i myśl ku owym przestrzeniom bez granic, kędy chodzą gwiazdy, kędy się rodzą i umierają słońca; on liczy, waży i mierzy tych światów kroczenie i rachunkiem kreśli ich płonące ścieżki po niebie, i wie po ilu dniach, latach lub stuleciach, ten lub ów świecący świat, jakby skazówka ognista niebiańskiego zegaru, znów wróci na miejsce dziś mu obecne. Wśród tych formuł i kalkulów jego, powiewy od gwiazd mrozą go dreszczem, bo miarą jego — to miliony mil, liczbą jego — to lat tysiące! I mnoży się i mnoży ta miara, aż do niej cyfer nie staje, aż ona sama ginie w niezgłębionych gwiazd przepaściach, kędy nawet nie dolatuje przecucie, kędy omdlewa najzuchwalsza wyobraźnia,

(\*) *Andrea Palladio*, znakomity wskrzesiciel klasycznego budownictwa, ur. w Vicenzy 1518 r. um. w Wenecyi 1580 r. — St.



kędy myśl, chwycona zawrotem, sama się traci. I znów człowiek liczy i rachuje puls w listku, kwiatku, i czyta na nim tajemnicze barwne pisma, i liczy dygotania w jednodniówce — żyjątku, którego niedowidzisz gołym okiem; i to żyjątko, ów pyłek drgający, jest pierwszym szczeblem poczynającego się zwierzęcego świata; i szkłem i myślą wpatruje się w te coraz doskonalsze rozwoju życia, które wzmaga się z każdym dalszym stopniem natury. Co na niższym stopniu zapowiedziane wróżbą nieśmiałą, to idci się w pełni w jestestwie następnego, wyższego stopnia, a tak wyżej a wyżej niezniekanie spina się umiejętność po szczeblach żyjącej natury. Ona spotyka w tej drodze swojej i dziwadła fantastyczne i straszne wymysły i przepych form i potęgę wspaniałą, aż nie stanie na ostatnich przyczółkach fizycznego świata, kędy postać człowieka już świeci duchem siebie świadomym. I znowu myśl się zwraca ku innym dzielnicom przyrody, śledząc prawa jestestw bezżywothnych, niby martwych; lecz i tutaj, wśród głuchoty, ślepoty budzą się ruchy chemiczne; i tutaj prawem jest miłość i wstręt, i ślubią się ciała kochaniem, a odpychają nienawiścią. Wśród tej wzajemnej tęsknoty i walki rozkładają się dawne kształty, a rodzą się nowe, i nie ma spoczynku w naturze; ona ciągle a ciągle się przekształca, ciągle roztacza się nowém życiem, ona wiecznie młoda, wiecznie odradza się siłą i potęgą — ona nigdy nie jest tém, czém była przed chwilką. Czyliż mam jeszcze rzucić wejrzeniem w inne dzielnice przyrody i w inne silenia się około niej myśli człowieka?... Wszak wszędzie i wszędzie znajdziesz w niej posłuszne wykonywania ustaw danych przez miłość i mądrość Bożą. A człek, ucząc się tej natury, zdobywając jej tajemnice, korzy się Panu i modli się miłości i mądrości Jego, która tutaj zewsząd na niego promieni.

Te badania są wprawdzie jakby pierwszą kąpielą dla myśli człowieka; te wszechnatury zjawiska są wprawdzie jakby pismem żywém; one ciągle i wiecznie wnoszą uczucia do Wszechmocy a mądrości tronu; przecież, cała ta wiedza, której się człowiek dosługuje wśród fizycznego świata, jeszcze nie wystarczy wszystkim pragnieniom jego, ona nie ukoi jego serca. Ztąd też wśród tych rzeczy materialnych, przemijających, przelotnych, niewymownie mu tęskno na duszy; umiejętność jego wśród nich jest jakby tęskną pieśnią słowika, co śpiewa samotnie wśród ciemnej nocy. Jestestwa przyrody powstają, rozwijają się i znikają, wedle praw odwiecznie im nadanych; lecz one tych praw nie mają w sobie, bo one nie wiedzą o tym zakonie swoim. Dla tego też człowiek, dla ukoju własnej istoty, ku sobie samemu się zwraca. Wszak to na niego Bóg w miłości nieskończonej zlał bezmierne łaski, i odsłonił mu na jaw prawa, wedle których ma żyć, działać i umierać, by się stał niebiańskiej ojcowizny szczęsnym dziedzicem. Nie dziw tedy, że wszystko, co ludzkie, że wszystko, co do człowieka należy, tak gorąco nas obchodzi! Roztwiera się przeto nowa dziedzina pięknych a przeróżnych umiejętno-

ści. W nich człowiek podsłuchuje własnych uczuć głosy i rozbiiera tworzenie się mimowolne swoich wyobrażeń, i patrzy na pracowanie tajemnicze swojej fantazyi i rozświeca ciemnice własnych piersi, kędy się lęgną namiętności zgubne, lub majaczące senne postaci; to znowu wydobywa z ruchów myślenia prawa własnej myśli swojej. Albo, zwróciwszy się ku innéj stronie duchowego świata, śledzi zasady sprawiedliwości i obyczaju, lub zgłębia warunki wzajemnych ludzkich stosunków, lub mierzy i ocenia węgly, na których oparte społeczności brzemię.

Lub innym razem, stając przed mogiłą, dawnym wiekom daje posłuchanie, albo ze zbutwiałych pergaminów lub zwietrzałych napisów zbiera podań okrucy, by z nich mozaiką złożył wizerunek dawnych lat. Bo choć dziwnie wieją na badającą myśl tchy od gwiazdzistych przestrzeni, dziwniej jeszcze na historyka tchnie życie z zamglonych wieków, oddech zmarłych ludów. Wszak groby, rozsypiska a duchy starych dziejów uczą go dumania i zagłębiania się w sobie; więc puszcza się nurkiem w tonie myśli swojej, i doświadcza, o ileby też zdołał sam z siebie wysnuć ową przedzę praw, co go wiąże z nadzmysłową dziedziną.

Wyznajmy atoli, że lubo tak wielce bogata, tak nieprzebrana jest treść, którą oposażony jest duch człowieka, lubo więc tak niewyczerpany jest umiejętnośći poczet, które między sobą rozdzieliły prace około rozwoju téj treści duchowej, przecież najwdzięczniejszą ze wszystkich tych umiejętnośći jest owa, która się rodzi w chwili, gdy człowiek, przykładając rękę do gorących piersi swoich, sam siebie pyta, z kąd mu się bierze, że to serce jego, dopiéro co chore i bolejące, orzeźwia się, unosi zachwyceniem wzlotném, radośném, gdy na smętném życia pustkowiu zajdzie mu drogę piękność, ze świata ideałów zesłana.

I, zaprawdę — któż nie zgodzi się na zdanie, tylekroć przez nas powtarzane, że na widok dzieła piękności, téj wdzięcznicy o wieńcu gwiazdzistym — i w duszy naszej wdzięczno i gwiazdzisto! Wiemy też wszyscy, że w dziele sztuki, choć śmiertelną ręką dokonaném, widzimy własny nasz pierwiastek duchowy, bezśmiertny, w kształty zmysłowe odziany. Lecz prawda takowa, lubo niezaprzeczoną, niezwalczoną, jest jeszcze nie zupełną, bo jest ogólnikiem. By ta prawda stała się dla ciebie rzeczywistością, treścią, by wzięła na się ciało i kości, potrzeba, byś ją obaczył w jéj rzeczywistych objawach, a takimi są właśnie jéj formy szczegółowe; więc potrzeba, byś się jéj przypatrzył w dziele architektoniczném, i rzeźbioném, i malowaném, a mianowicie, byś dokładnie poznał odmiany, które każdy z tych trzech rodzajów sztuki przechodzi w kolejach wieków i epok historycznych.

Więc niechaj się nie ekliwi czytelnikowi wśród tych opisów architektonicznych dzieł. Opisy te, z istoty swojej zaprawdę suche i postne, nabiorą znaczenia, nabiorą duszy, zadrągają życiem, gdy je



później pojmiemy w związku z sobą, gdy się nauczymy patrzeć na nie, jako na konieczny wykwit swojej epoki, gdy odgadniemy tych epok wzajemny stosunek i wątek; bo wtedy iście dosłuchamy się szeptów, któremi duchy stuleciów powierzały sobie tęsknoty swoje, odgadniemy o czém marzyły serca ludów w dziejach świata. A lubo i teraz już, o ile sposobna pora, przy dziełach sztuki wspominamy o tych okresach sztuki i głównych jej cechach, toć przecież te lekkie natrącania nie wystarczą, bo one wszystkie są zbyt przelotne i z wierzchu rzeczy brane, a zresztą, jako od przypadku i niby z łaski trafu nastręcone, są ułamkowe, nie mogą więc być jeszcze powiązane z sobą w całość, ani roztoczyć się jednolitym wątkiem; więc też te ułamkowe wiadomości nie okazują mienia się mistrzów do swojego wieku, a spóczesności swojej.

Zanim atoli, choć w ogólnych i z wierzchu rzuconych zarysach, skreślimy taką całość rozwoju sztuki i jej dzieje po sobie zrodzone, przychodzi nam wprzód przypatrzeć się dziełom sztuki, należącym do różnych okresów historii, wypada nam nazbierać wprzód wiele faktów, które dopiero staną się osnową a materiałem do złożenia z nich później całości zupełnej a zaokrąglonej w sobie. A lubo takowy nasz rozwój historii sztuki rozsnuje się jedynie na pomnikach italskiej ziemi, przecież ta praca nasza rozświeci nam jasno pochod sztuki przez wszystkie wieki a europejskie ludy. Tuszę więc sobie, że to, co sobie w tej książce powiemy, wystarczy już naszym młodszym a ciekawszym czytelnikom, by zrozumieli znaczenie sztuki starożytnej klassycznej, by poznali, co to styl bazyliki, a co styl bizantyński, co istotą romańskiego, a co znów wschodniego, by pojęli w ogólności, na czém oparty gotyk, a na czém renesans, i jak się później urodził na świat ów dziwaczny barokizm, a rozwój takowy uzupełnimy, ile sił naszych, okazując mienie się tych różnych epok architektury do okresów innych rodzajów sztuki, a mianowicie do rzeźby i malarstwa. Bo i dzieła skulptury i malowane obrazy, choć z razu dorywczo opisane, następnie zwiążą się w całości różnych szkół i epok, aż w końcu wszystkie te szkoły i epoki, w jedność zebrane, okażą swoje wzajemne siebie dopełnienie, a tём samém cały wątek dziejów sztuki.

---

*Wenecya.*

(Dalszy ciąg.)

Ma przyszłość swoich proroków — oni slysą klujące się w łonie historii kielki, co kiedyś wykwitną, zawiążą się w ziarno, i rozsypią się siejbą dziejorodną; ma atoli i przeszłość swoje wroźbity. Jedni z nich z literki zbladłej na strzępku starym, z monety wytartej, z mgił i okopów przeoranych wiekami, ze szczerbców praiojcowych

wskrzeszają z martwych ducha dawno zapadłego ludu; drudzy pytają podziemne kruchty i zuzelice wypalonych wulkanów o cierpienia, których doznała natura, gdy rodziła z siebie dzisiejszy nam współczesny świat żyjący; i znów są inni, co w okrucach posągów, w rzeźbach strzaskanych, w malowidłach miast zapadłych dosłuchali się bicia serca dawniej sztuki. Nakoniec są nawet i tacy, co ze zwalisk chaotycznych, z rozsypanych świątyń i grodów, z ułamków kolumn, ze sterczących, ziółem porośniętych sklepień i łuków, nie tylko odgadnąć zdołają całe przedwieczne architektury i odbudować je w myśli lub rzeczywistości, lecz nawet tak się przejmują uczuciem artystycznym starych mistrzów, tak się napoją oddechem tych gruzów, które dziedzictwem na nas spadły, że z głębi swojej fantazyi stworzą formy, o którychbyś rzekł, że się zrodziły z natchnienia architektów starorzemskich, choć nie są wcale kopią ich pomysłów. Te formy służą nowym potrzebom, nowemu wiekowi, a przecież w nich z miłością przemieszkuje duch sztuki dawniej.

Takie uwagi mimowolnie nasuwają się każdemu, co, odwiedzając tutejszą akademię sztuk pięknych, przechadza się po jej dziedzińcu. Bo tutaj złożył świadectwa geniuszu swojego wielki *Andrzej Palladio* (\*). Jeżeli już kto na świecie, to on i *Bramante* (\*\*), jest tym prorokiem przeszłości klassycznej, on wyobraźnikiem epoki właściwego jej odrodzenia w nieskalaną przezroczystą formę; lubo każdy z nich po swojemu, a trybem sobie właściwym, odradza starożytność, stwarzając arcydzieła architektury.

Palladio rozmówił się poufnie z duchem dawnych budowników starego Rzymu, a oni też uczynili go dziedzicem ich artystycznego geniuszu, powierzając mu tajemnice klassycznej fantazyi. Palladio atoli, zamieniwszy ich serca na serce własne, nie stracił oryginalności sobie właściwej; on został samym sobą, bo potęgą własnego ducha umiał przyswoić sobie fantazyą owych starych mistrzów; a przecież wzmógł się samodzielnie, samoistną potęgą, więc twórczością swoją wywoływał formy architektoniczne, odpowiednie nowym czasom, nowożytnym potrzebom i innym zupełnie religijnym uczuciom. On, stawiając kościoły chrześcijańskie, tak wzniesione świętością swoją nad bożnice pogańskie, lub budując pałace dla ludzi prywatnych, lub zakłady państw nowoczesnych, tak wiele odbiegłych od obyczajów, potrzeb, smaku starorzemskich senatorów, konsulów, umiał wszystkim te dzieła swoje stworzyć w formie odpowiedniej nowemu stuleciu; a przecież, z drugiej strony, tchnął w nich ducha i uczucia wspaniałych i czystych form klassycznych.

Jak się kształcił, czem duchowo tak urósł Palladio? Na to tru-

(\*) Zob. powyżej str. 268.

(\*\*) *Donato Lazzari*, zwany *Bramante*, pierwszorzędnym budowniczym, twórca tak zwanej szkoły rzymskiej XV-go wieku, ur. 1440 † 1514. — St.



dno odpowiedzieć: wiemy atoli, że się urodził w Vicenzy w r. 1518. Zresztą tryb jego kształcenia, lata jego pacholęce i młodzieńcze są dla nas zagadkową mgłą pokryte. On sam o sobie powiada, że Vitruvius był jego nauczycielem. Ten Vitruvius, co żyjąc za czasów Juliusza Cezara i Augusta, zatem wśród eleganckiej i wymuskaniej społeczności rzymskiej, sam był jałowym i ośchłym, a wierząc tylko w cyrkiel i w cyfry, i w arytmetykę, napisał swoją książkę o architekturze, również pedancką i chudą, jak sama dusza autora (\*). A przecież w tej martwej książce Palladio zdołał znaleźć ocieplenie duszy swojej!

Zdaje się atoli, że silniej niż ta stara książka, działały na umysł młodego Palladio zapatrzenia się na gruzy dawnego Rzymu; — bramy tryumfów, termy, świątynie bogów umarłych, teatru i amfiteatru krwawej morderczej pamięci, grody, kędy się czały na ród ludzki światozercze rzymskie imperatory, były jego nauczycielami; a geniusz jego stał mu obok i tłómaczył mowę dawnych głązów. Przewszystkiemi już miasto rodzinne Palladiusza, Vicenza, bogato się ustroiło w kompozycye swojego zanego syna. Nie braknie atoli też jego szlachetnych dzieł i po innych miastach włoskich; liczne wille wiejskie, kościoły tłumami rodziły się z jego fantazyi. I miast, i wiejskie gminy, i duchowni, i książęta, i pany, i podpanki — słowem, kto jeno pragnął budować, cisnął się do Andrzeja Palladio po rysunek. Wszak nie jeden, co ani marzył o nowym domu, porwany prądem a zachwyceniem ogólnem, jał się stawiać, ile go stać było. A miał też po co; bo podobno nie znajdziesz już w historii sztuki nikogo, coby głębiej czuł harmonią a proporcją wymiarów, coby już wyższym geniuszem umiał zestroić architektoniczne części na całość zupełną. Palladio prawdziwie muzyczną fantazyą zagrał na martwych kamieniach! A przytém, jakim rzekł, on tak twórczy, on tak swobodnie rozpina skrzydła fantazyi swojej, a przecież jest wiernym przez życie całe swojej kochance, sztuce klassycznej, której już na wieki się zaślubił miłością i geniuszem swoim.

Patrzac na dzieła Palladia widać, że to nie gołe kopie, uniesione pamięcią ze wzorów starożytnych rzymskich, lecz wyjaw własnego ducha i fantazyi wolnej i swobodnej. Choć, z drugiej strony, zaprzeczyć nie można, że ta jego swoboda ztąd się bierze, że klassycznoscia się przeniknął, że jęj się oddał, że studia głębokie nad światem starorzyskiej architektury stały się jego uczuciem a duszą, i że stosując te formy staręj klassycznosci do nowych potrzeb swojego wieku musiał kombinować, myśleć, a tak znów niekiedy chłód zimnej rozwagi ostudził dzieła jego, nadając im jakąś trzeźwość i prozę wyrozumowaną. Co więcj, obaczmy przy innęj sposobności, jak to trudno wiązać dawne formy do nowych myśli a potrzeb nowych;

(\*) Pismo Vitruviusa *De architectura* wydał ostatnio Rose w r. 1867. — St.

przekonamy się na samych dziełach Palladia, jak nie zawsze się udaje powiązanie tych sprzeczności, choćby się ich jał tak wielki geniusz, jakim był ten mistrz na stopę olbrzymią.

Przyznajemy nakoniec, że od Palladia upłynęły światem prawie trzy stulecia, przyznajemy, że ten długi wątek lat wiele nauczył ludzi, że przedewszystkiem okazał im na oczy piękność wyższą od starorzymskiej, będącej krynicą natchnienia dla Palladia; bo nas obeznał ze wzorem wyższej klassyczności, bo ze sztuką grecką, z onemi pomnikami dawnej Hellady, co jeszcze tak urocza, choć w grobie, co tak wdzięków pełna, choć oddawna w pośmiertnym rozspaniu.

Przecież trudno zaprzeczyć, co twierdzą istni znawcy, że Palladio był mistrzem nad wszystkie mistrze, gdy chodziło o to, aby zawładnąć przestrzenią, więc gdy się jał ołówka, by skreślić plany gruntowe, lub przekroje pałaców i świątń. Więc, lubo prawda, cośmy rzekli o chłodzie jego budynków, o tej grozie a trzeźwej powadze i uroczystości ich, o trudności zespolenia starego i nowego świata, przecież niepodobna nie być poruszonym tą przeczystą choć hardą pięknoscią jego kompozycyi, więc też całém sercem zawtórujemy Götthemu, gdy zachwycony duchem Palladia woła: „Otóż ten mistrz z własnych wewnętrznych głębin swoich wyrósł na wielkiego człowieka!... On umiał przemóżyć ową tak twardą trudność połączenia kolumn i murów, a tak właśnie rozwiązał owo zadanie, co tak upornie staje na zawadzie nowoczesnym mistrzom budownikom. Bo, zaiste, to powiązanie artystyczne murów i kolumn będzie na zawsze sprzecznością.“ Palladio atoli tak te sprzeciwieństwa zestroił, tak je organicznie splótl, iż zupełnie o nich zapominamy, patrząc się na dzieła jego. „Budowania przez niego stworzone tak nam imponują,“ powiada dalej Göthe, „iż w nas niby wmawiają, jakoby w nich nie było sprzeczności żadnej. Zaiste, w dziełach jego telnie jakiś bóstwa żywioł, podobny do formy artystycznej wielkiego poety, który z kłamu i prawdy stwarza trzeci pierwiastek, co nas czaruje, unosi swojem uludnym, pożyczanem istnieniem“ (\*).

Wstąpmy w Wenecyi na dziedziniec gmachu sztuk pięknych; on, dawniej klasztorem będąc, zwał się *Carita*, a dziś zamieniony na *Academia delle belle arti*, a znajdziemy się w obec geniuszu wielkiego Palladia. Jeżeli zaś tutaj pełnym nurtem przez duszę przepływają wszystkie wspomnienia o promiennym mistrzu, tém sroższy żal rozbiera serce, że w tej budowlu znajdziesz jedynie same ułamki ułamków jego natchnienia. Bo Palladio dokonał tylko drobnej części całego gmachu, a te ledwie zawiązujące się początki dzieła jego uszkodził jeszcze i w niwecz obrócił późniejszy pożar.

(\*) Göthe, Italienische Reise. Vicenza. d. 19 Sept.



Wspomnę atoli o jednej stronie dziedzina, która nam się w całości dostała.

Poziemie przypomina nam poziemie biblioteki Św. Marka, owego dzieła Sansovina. Brus (architrav) dźwigają kolumny; między każdą ich parą widzisz arkady krągłe, wspierające się na kolumnach pomniejszych. Te mniejsze i owe większe kolumny łączą się i wiążą harmonijnie we wspólny filar. Poziemie to jest doryckie, a fryz (nabrusie) jego ubrany w draperye i w czaszki zwierzęce; i to cały tutaj strój a ozdoba.

Pierwsze piętro unosi się podobnym rysunkiem jak poziemie, i bieży w podobne arkady; ale tu wdzięczy się już porządek joński, co tak lekki, luby i uroczy. Drugie piętro zaś nie ma już arkad; tu tylko ściana, w niej okna o szlachetnych rozmiarach a umieszczone odpowiednio nad arkadami pierwszego piętra i poziomu. Okna takowe odgradzone przez pilastry, co bogatsze, bo z koryncka strojne. Na wysokości wieńczy całość gzyms cudnie pięknego profilu. Ogół jest budowany z cegiel.

Rzeknie może kto, że to wszystko przecież tak skromne a niewymyślne, tak proste i potulne; zkądże więc tej architekturze ten urok i wdzięk? Otóż w tém właśnie tajemnica geniuszu, że jego pomysł tak prosty, tak skromny a przecież jest niebiańskim pojawem dla duszy widza. Potęgą sercowładną jest tutaj harmonia i proporcya wymiarów; a ową mistyczną magią, która oczynia i chwytą dusze, jest zestroj linii i powierzchni w arkady muzykalne.

Mógłbym wprawdzie pokazać czytelnikowi i inne części tej akademii, kędy znać jeszcze geniuszowe ślady naszego mistrza, przecież to tylko okruchy całości. Wolimy się przeto zachować dla innych jego dzieł, których nie braknie nam jeszcze w Wenecyi; bo nie braknie nam na sposobnej porze, by oddać holdy nasze jego świetnej pamięci. Teraz raczej poprowadźmy się do wnętrza akademii, bo to w niej wiernie są przechowane malarskie arcydzieła onych wielkich mistrzów weneckiej szkoły. Zaiste ta akademja, będąc zacną strażnicą ulubieńców najwyższej piękności, jest jako arka przymierza, co wiąże ziemię z niebem. Te malowane obrazy są wcielonym świętym przeczuciem, że nie tyle tylko czlowieka, ile jego doczesnego żywota, że powyżej tęsknych dolin tutecznych woła na niego świat duchów jasności.

Wyznaję wam szczerze, że jakaś nieśmiała groza, jakiś lęk pada w tej chwili na myśl moją, gdy mi przychodzi teraz po raz pierwszy pomówić choć z wierzchu, choć z lekka o dziejach *malarskiej* sztuki. Bo to przecież nielada rzecz poufalić się z oną artystyczną pięknoscia, z której dźwiga się ludom chwala bezśmiertna i holdy późnych pokoleń; to nielada rzecz uczcić ową piękność, co ci na jaw stawia żywot artystyczny, twórczy ducha ludzkiego. A przybytek każdy.

gdzie, jak w tej akademii, zebrały się arcydzieła sztuki, staje się już świątynią, w której na doczesne oczy widzisz promienienie nadzmysłowego pierwiastku ludzkości w formie zmysłowej, materyalnej. A ona przyrodzona groza a lęk tём potężniej mi się wzmaga w sercu, że jeszcze w literaturze polskiej nie bardzo liczne grono poprzedników poszło przedemną tą drogą, i że ja sam nie jestem namaszczeniem sztuki, lecz jedynie nieśmiałym jej chwalcą a pokornym czcicielem. Przecież tuszę, że chęć czysta a uczciwa przysłużenia się młodszej braci w umiejętności doda mi mocy potrzebnej i udatnych wyrazów, bym się mógł przecież jako tako wywiązać z założonego zadania; a przytём niechaj mi świeci gwiazdą przewodniczą przekonanie, że lubo moja ta praca będzie ułonna i wiotka, stanie jednak za szczebelek dla późniejszych a lepszych odemnie. Dość mojej zasługi, gdy po swojemu zgotuję ścieżki dla wyższych talentów, co po mnie przyjdą a których, ufać Bogu, nie zabraknie (\*).

Lecz wstąpmy już do tej świątyni malarskich dzieł.

W pierwszych salach akademii stanęły, jakby gospodarze witając przychodnia, najstarsze dzieła malowane.

(\*) Zgodzicie się zemną, czytelnicy moi, że podobno dobrze sobie pocznie, jeżeli w tym zarysie wycieczki mojej przez Włochy, mając prawić o jakiej szkole szczegółowej malarskiej, zajmować się nią będę najczęściej w tём mieście, kędy ona miała główną kolebkę swoją, albo ognisko a stolicę przeważną. Bo wiecie, że mistrzów sztuki, podobnie jak wieszczów, zrozumieć tylko można w ojcowiznie ich a na gruncie ich rodzinnym. Jak bowiem zrozumiesz mowę kwiatu i gaju i dąbrowy, gdy je obaczysz wśród gór a dolin i wód ojczystych —, tak znowu ta natura cicha, niedosłyszane natchnienia, co szepcą w duchu mistrzów. Bo jeżeli już każde serce ludzkie żyje jakby pod lekkim zakleciem otaczającego je świata, cóż dopiero duch mistrza, co czuje co myśli i cierpi za wszystkich.

Przecież nie mam zamiaru, ani też mogę, trzymać się zawsze i wszędzie ściśle onego prawidła. Zaiste niedobrzebym sobie radził, gdybym, rozszerzając się o szkole właściwej jakiemu miastu, pomijał milczkiem arcydzieła innych szkół a znajdujących się w jego ścianach. Co więcej, przewiduję że mi wypadnie może dość często, prawiąc o jednej ze szkół, odbyć się i z drugą, właściwą zupełnie innym stronom Italii. Jakoż niekiedy, z istoty swojej, jedna szkoła zrozumiana być może gdy od razu pomówimy i o drugiej; czasem znowu jedna z nich nie jest dość ważną aby z osobna o niej rozprawić; niekiedy zaś tak mi uczynić wypadnie już to dla samego przebiegu tej mojej przelotnej wycieczki, już to dla tego, abym, nie rozdrobniając zbyt przedmiotu, oszczędził sobie miejsca w tej książce, a czytelnikowi czasu.

Tuszę sobie, że wszelkie odstąpienia od powyższego założonego sobie przeze mnie prawidła, czytelnik mi przyrzecze zechce; boć też ta podróż nie rości sobie prawa, aby miała być ścisłą, co się zowie, historią sztuki.

Rozumie się atoli, że same takowe dzieje pojedynczych szkół malarzy włoskich, dotknięte po różnych a rozrzuconych miejscach, byłyby luźnemi ułamkami bez wspólnego tła i dna. Czytelnik nie zgadłby z takowych rozsypanych okruchów wzajemnego stosunku i działania na siebie tych różnych szkół. Przypominam atoli, jako, mówiąc dopiero powyżej przy sposobności o dziełach architektury z różnych epok, przyrzekłem że rozwinę w tej wycieczce, choć naprędce, choć naprędce, nie tylko różne epoki architektury, malarstwa i rzeźby, ale nawet, gdy przyjdzie na to czas, zbiore w jeden obraz dzieje tych różnych rodzajów sztuki i choć przelotnie roztoczę jedynym wizerunkiem historią ogólną sztuki pięknej.



Napatrzyliście się ze mną już dostatecznie tym postaciom z mozaiki, co na tle złocistém, świecistém błyszczą i promienia się i zewnątrz i wewnątrz bazyliki Św. Marka. One stanęły na wysokościach kościelnych, i tą twarzą brunatną, ciemno spoglądają na pokolenie żywe o krwi cieplej, co oddycha, uwija się, śmieje się i płacze tam w głębi pod ich stopami. Te postaci tak obojętne, bezserce dla świata i ludzi, skostniały, oniemiały; one milczą w smętnym przepychu swoim a w ponurym, nieużyтым majestacie. One samotne, bez świata; bo owo tło złote, promienne, toć dla nich światem całym; około nich nie widać uroków natury, wywołanych czarodziejstwem pędzla; nie widać kwiatów ani gór, ani krzewów lub strumieni, ani obłoków złocistych —; w kółko nich wymarło, oniemiało życie ziemskie, doczesne; około nich pusto, głucho jakby już było po sądzie ostatecznym. A przecież, jakeśmy już rzekli, i to malowanie ma ogromne i wielkie znaczenie swoje; w niem usymbolizowane uczucia co pożegnały doczesność, co zerwały z ziemią, więc one tak ciche i spokojne! Wierzą i w spokoju czekają, póki ich nie zbudzi i nie wezwie zmartwychwstania glos.

Przyjdzie nam może pora, w której szerzej jeszcze sobie powiemy o tém bizantyńskim mozaikującym malarstwie, które się, jak wiecie, zrodziło w Carogrodzie za cesarzów greckich — a zarazem wyświecimy sobie i strony znakomite tej dziwnej sztuki.

Ten sam styl malarzki był prawie wyłącznie panującym przez wiele, wiele stuleciów po świecie chrześcijańskim i stanowił, bez mała, pierwszą epokę jego sztuki. Wszak i dziś spotykacie styl ten na starych obrazach po kościołach naszych, boć to nie obca rzecz dla Polski.

Lubo, jak już rzekłem, to malowanie wschodnie rozgospodarowało się i na zachodzie, i tu rozpierało się wyłącznie aż dobrze do połowy wieku XIII, — toć dłużej jeszcze, niż po innych miastach italskich, gościło w Wenecyi; bo ten gród Adryatyku w ciągłych a ciągłych był stosunkach z Konstantynopolem; więc ztamtąd przez morze płynął mu smak, ztamtąd wraz z bogactwem Wschodu przybywali mu artyści-malarze, czyli raczej artyści technicy. Jakoż w tym czasie, gdy spotęgowana Wenecya najtłumniej sprowadzała sobie artystów z Bizancyum, już nawet biedne ostatki słabych pulsów zatrzymywały się w tej sztuce. A jak z istoty swojej a z urodzenia samego te figury bizantyńskie były bez ciepłego życia, bez ruchu; tak teraz i sama sztuka malowania umarła i stężała śmiercią. Więc też całą zasługą tych techników było kopiowanie na oslep tych samych typów, ze zrzeczeniem się niewolniczym własnej osobistej swobody a wszelkiej fantazyi. Nie była to już praca sztuki, lecz raczej wprawa i wywłaszczenie. Rozumie się, że niedostatki, które były właściwe i wcześniejszym epokom sztuki bizantyńskiej (jeżeli by je właściwie epokami nazwać można), znajdują się i w ostatnim okresie. Zawsze i wszędzie napotkasz to samo techniczne wykonanie. Np.

owe soczyste głębokie barwy (laki), owe silne twarde kontury, a ostre fałdy, ową karnacją (ciało) w dziwne zielonkowate cienie; a najczęściej też obaczymy i ową sutość złota; bo i tło pozłacane, i gwiazdy złociste, i suknie przystrojone złotem; a ono tak grubo, tak gęsto nałożone, że aż garbi się, wystając od powierzchni, a przytém najczęściej karbowanie rytowane w desenie.

Choć w tej sali pierwszej rzędem uszykowały się obrazy owego stylu, jakby poselstwo do nas od dawnego świata, od starych lat —, przecież nie damy im posłuchania, bo znamy już ten styl z mozaik Sw. Marka, a nadto widzieliśmy owo Pala D'oro, co istnym, litym wzorem bizantynizmu, jego stylem z pierwszej ręki.

Rzekłem wam, że styl ten jak był stylem pierwotnych malarzy i mozaistów w Wenecyi, tak też w niej mieszkał upornie, bo półtysiąca lat z okładem. Bo gdy na południe Wenecyi już przemagało wianie wiosenne; gdy w onęj błogrodnej Florencyi dzieła malowane *Cimabue'go* i *Giotta* (\*), niby pierwiosnki a wonne fioletki, dały znać, że na świat duchów przyszło zmartwychwstanie, że w sercu ludzi cuci się nowa epoka dziejów i że skowronki Boże już zaśpiewały na swobodę a wyzwolenie artystycznej fantazyi —; wtedy zwolna, zeicha posłannik niebiański nowej sztuki stanął i w dozwów stolicy. Inaczej też być nie mogło. Bo wiecie, jak się to dzieje, gdy wiosna technie na sąsiednie od południa łąki, dąbrowy, gdy rozchucha liście i kwiaty; wtedy też i na dalszej północy pękają lody i spływają strumieniem; wtedy już radośny ruch daje się widzieć w naturze, a jej serce puka rozkosznym weselem, jakby na zbliżanie się upragnionego oddawna kochanka.

A jest-to, wierzajcie, rzeczą wielce zajmującą, przypatrzeć się jak-to wówczas w Wenecyi przychodziła sztuka do nowego odrodzonego życia, jak-to ona budziła się z bezprzytomnego omdlenia, po ckliwej bizantyńskiej zimie. A tego ocknienia fantazyi tutejszych artystów weneckich nauczyć się możesz, jeżeli się weźmiesz chodzić z uwagą po tej akademii tak bogatej, tak szczęśliwie zebranej a umiejętnie ustawionej (\*\*).

Widzisz ten obraz poważny, sędziwy —, on jakby pierwszym porannym dzwonkiem, co o szarym jeszcze świecie głosił zmartwychwstanie i zwolywał na jutrznią młodą, różową, złocistą. Ten obraz jest dziełem syna weneckiego, *Mikolaja Semitecolo*, który kwitnął od roku 1367 do 1394. Ten obraz jeszcze ze staroświecka urządzony: we

(\*) *Giovanni Cimabue* ur. 1240, um. 1300 r., stoi na czele nowoczesnej sztuki jako nauczyciel *Giotta di Bondone*, ur. 1276, um. 1336, właściwego wskrzesiciela tej sztuki. — Śt.

(\*\*) Mimo tego umiejętnego ładu w umieszczeniu obrazów czynię uwagę, iż obrazy niekiedy zmieniają miejsce i numer swój. Radziłbym tedy podróżującemu ziomkom, aby, zwiedzając tę galeryę jak i inne włoskie, trzymali się najnowszych wydań spisu galeryi lub najnowszych przewodników.



środku malowidło większe, a po obu bokach jego po cztery mniejsze obrazki, dwa od góry, dwa od dołu. Na wierzchu całość ustrojona w rząd szczytów trójkątnych, gotyckich, ostrych. Z tych szczytów wyrastają kwiaty, floresy gotyckie; a tak dzieło malowane ubrało się w architekturę bogatą. Ow środkowy wizerunek przedstawia koronacją Najświętszej Panny, ale on jest robotą *Stefana Pivano*, innego weneckiego mistrza, co także z onych czasów starych. Wszystkie zaś ośm bocznych obrazków roztaczają żywot Zbawiciela, a są dziełem samego *Mikołaja Semitecolo*. Włosi, prawie o tym malarzu, mówią jako po nim znać, że jeszcze żył w atmosferze dusznej i twardego stylu Bizantyńskiego państwa.

I prawda, że na tym jego obrazie często gęsto wysypują się na jaw cechy orientального stylu; bo i tu nie brak nawet owych cieniów zielonych na twarzach i rękach, nie brakuje owych farb właściwych temu wschodniemu malowaniu; a nadewszystko już rysunek sztywny i twardy daje znać, że te figury jeszcze dyszą ciężko pod przewagą sztuki bizantyńskiej. Zaiste, w niem odbywa się już, choć nieznacznie, metamorfoza artystycznej fantazyi. Poczwarzka zasklepiona zwolna roztula grób swój, i już dobrze widać, choć zlepione jeszcze, skrzydelka motyla, co niezadługo lekki, promienny, migotny w tęczę złocistą uleci, kędy go czekają z miłością tęskne kwiaty niebiańskie. Wyznaję chętnie, że tu rysunek arcyłękliwy, bo niewprawy, nieradny; ale żyją tu pomysły tak lubie, dziecięce, jakby pacholecia, co gwarzyć zaczyna. Np. na pierwszym zaraz obrazku widać Narodzenie Pana Jezusa: z jednej strony klęka Ś-ta Dziewica, z drugiej Św. Józef — oboje modlą się rzewnie. Nad samą główką Zbawiciela, na promieniu zawieszona gwiazdka, a obok jej głowa wołu i lebek osiołka, — a oba bez kadłubów, obie głowy unoszą się na powietrzu: tak dana symbolem część za całość. Jest-to może oznaka przyrodzonego wstrętu owoczesnej sztuki do figur zwierzęcych. Jakoż podobnie za klęczącemi królami, co się ubrali w korony, widać dwie wyciągnięte szyje wielbłądów; ale czworonożni właściciele tych szyi i główek także się gdzieś ukryli. W drugim obrazku chrzest Pana Jezusa. Zbawiciel stanął w Jordanie po pierzi; malarzowi się jednak zdawało, że wypada uczynić wodę na pół przezroczystą; więc kontury ciała wyraźnie przez wodę widać. Tak całe pojęcie rzeczy wielce miluchne i naiwne, niby kolendy przez prostaczków a pacholeta śpiewane.

Lecz puszczać mimo siebie te wszystkie szczegóły, zwrócić uwagę waszą na znamiona, co już z cicha przepowiadają nowy zwrot sztuki. Jakoż, niektóre główki są tutaj tak serdeczne, tak tkiwe i lubie, iż radością dopatrzeć się możesz wyzwolenia się z pod głuchoty bezdusznnej bizantyńskiego stylu. Zewsząd poczuwasz tu wroźby, że weneckie malowanie wrychle się rozciepli, rozgrzeje romantyczną fantazyą — tą fantazyą, będącą posagiem ludów chrześcijańskich, którym serce rozwarło się szeroko jak wieczność.

Lubo przeto te oblicza o wykwitającym w nich głębokiem uczuciu są zaprawdę najgłówniejszemu znamieniem, że Semitecolo stanął na początku epoki przejścia, warto jednak nie pominąć i tych cech, co choć z siebie mało znaczące a li tylko zewnętrzne, po swojemu atoli poświadczają zetknięcie się z sobą dwóch różnych okresów fantazyi. Jakoż, gdy te ośm obrazków ujęte są ramami, co, krągłe od góry, sklepiąc się niby w arkadki, przypominają ciężką budowę bizantyjskich czasów; to przeciwnie owe wspomniane szczyty ostre. floresy i stroiki gotyckie są również wysłannikami nowej epoki. Bo wiecie, że czysta gotycka architektura właśnie urodziła się wśród tych wieków Europy, co się już były wyzwoliły z pod wspomnień bizantyjskiego świata; więc też w połowie średnich wieków, a zwłaszcza na północnej Europie uczucia świeże, z najgłębszej krynicy duszy płynące, te sentymentalne, rycerskie muzyki serca, przetłumaczone na formy architektoniczne, najradziej, najchętniej przemawiały stylem gotyckim. I dlatego nawet po ziemiach italskich, w owej ojcowiznie klassyczości, przyjmowały się one niekiedy, choć rzadziej, a puszczały się po swojemu i właściwemi sobie kwiaty.

Żał mi, że nas pośpiech prze i nagli, bobym wam prawil jeszcze o innym obrazie, co, również będąc kosztowną ozdobą tej pierwszej sali, jeszcze mocniej a wyraźniej, niż dzieło M. Semitecolo, okazuje te cechy przeistoczenia się malarskiego stylu. Jest to praca zacnego *Lorenzo Veneziano*. Jest to wielki obraz, którego środek i skrzydła budują się niby we dwie kondygnacye. Owa część środkowa jest wizerunkiem pozdrowienia Najświętszej Panny przez posłannika Bożego, a u góry błogosławiący świat Chrystus Pan. W obu bocznych częściach, w niżach i przedziałkach gotyckiej architektury, stanęły postaci święte, w których już bardzo znacznie a wyraźnie, jakby rumieńcem niebiańskim, występuje rzewność i gorąca serdeczność sztuki nadechodzącego okresu. Żał mi powtarzam, że mi nie staje czasu, rozmówienia się bliższego z czytelnikiem o tej lubej pracy. Powiem tylko jeszcze tyle, że ten Lorenzo Veneziano i drugi, współczesny pobratymczy mu w malarstwie artysta *Niccolo di Pietro*, żyli w Wenecyi po roku 1350. Na ich obrazach niby dziwna dwoistość czasów; bo przyszłość, która się już wykluwa ku słońcu, ku jawie, a przeszłość, co, omdlewając, żegna martwem spojrzeniem świat. Fantazyja tych artystów podobna do panienki-podlotka, co już nie jest dziecięciem, lecz równie nie jest jeszcze panną; więc biedna nie wie, jak się mieć na świecie. Panny, rozkwitłe w pełną różę dziewiczości swojej, jakoś nie uznają jej za równienniczkę swoją; a ona sama zbyt wiele siebie waży, by się miała swoić do igraszek i chichotek dziecięcych.

Choć nam nagle, choć nam tak śpieszno, przecież zatrzymajmy się jeszcze choć na chwilę przed klejnotem malarskim *Michala Giambono*, co również zasłynął jako mozaista znakomity i żył w pierwszej połowie XV wieku. Obraz jego, który mamy przed



oczyna, jest Chrystus Pan i czterech Świętych, po dwóch z każdej strony. Każda z tych pięciu figur umieszczona w niży osobnej, kończącej się u góry w łuk śmiały i w szczyt gotycki, z całym przystrojem a przyrządem odpowiednim stylowi temu. Lecz w tych architektonicznych oprawach nie widać już śladu bizantyńskich smaków; tak też i same święte postaci jaśnieją swobodą, której nie znalo malowanie onego odrętwiałego wschodu. One tak miękkie i rzewne, tak lube i tęskne, a wyraz ich oblicza tak muzykalny, rozpląny, że te postacie jakby przezrocyste, pokazują ci we wnętrzu swoim serce mistrza, pełne tkliwości rzewnej. Chrystus Pan jest obłąny godnością a ciszą świętą niezamąconego pokoju. A lubo cały odziany płaszczem przepyszny niebiańskiego majestatu, lubo jedną ręką trzyma berło światem władzące, a w drugiej księgę wiekui- stych prawd; przecież nieskończona słodycz a lubość rzewna rozpląnęła na postaci i obliczu jego. Co do mnie, z pomiędzy tych czterech świętych, dałbym może pierwszeństwo Ś-mu Michałowi; jest to figura młodzieńcza niewypowiedzianego wdzięku. U stóp jego powalony smoczy potwór, wylęły w młaku grubej chluci; Archaniół przepasany mieczem potęgi, co karze i broni; tuż przy tym mieczu zgrozy zawieszono szale, na których ważą się ciężkie i lekkie sprawy ludzi. Smętny Archaniół, pochylił szlachetne oblicze i duszą tonie w rzewnych uczuciach.

Przecież ta rzewność i słodycz niewymowna, ta głęboka serdeczna liryczność i miękkość tkliwa u weneckich mistrzów najwdzięczniej się odzywa w pracy dwóch artystów, co dziwnem zrządzeniem założyli na Murano, na jednej z dalszych wysp Wenecyi, pracownią swojego geniuszu i chwały. Jeden z nich zwał się *Giovanni Alemanno* (d'Allemagna, Alemanus) może z pochodzenia Niemiec; a drugi zaś z pewnością weneckiego rodu, imieniem *Antonio Vivarini*. Obadwaj poślubieni przyjaźnią i miłością dla sztuki, więc też wspólnie mają przydomek *Muranosów*, a zaświecili pełną jasnią swojego południa, w samym środku XV wieku. Antonio nadto był przodkiem całej rodziny artystów Vivarinich, co dziedziczyła z miłości Bożej zacne imię i geniusz swojego dziada \*).

(\*) Są, którzy Andrzeja Vivarini da Murano (który był starszym od Antoniego), mienia być przodkiem artystycznym rodziny Vivarinich; nie wchodząc w bliższy rozbiór tej wątpliwości, wspominamy, że, krom Andrzeja i Antoniego, znajdujemy jeszcze Ludwika (starszego), Bartłomieja i Ludwika (Antoniego) Vivarinich. Oni wszyscy spokrewnieni z sobą. Do Muranosów należy jeszcze ów Alemanus; ale ten, jak rzekłem, podobno należy już do tej rodziny Jana (Lanzi nie zdania, że Giovanni nie jest Vivarini, ale raczej jedną i tą samą osobą z owym Janem d'Allemagna, który był współpracownikiem Antoniego, ale nie jego krewnym).

Jest zaiste rzeczą mniejszej wagi, a dla mnie nawet trudną, abym się rozwozdzil nad wszystkimi mistrzami znaczniejszymi każdej szkoły; dla tego wymienię tutaj tylko jeszcze *Michala Onorio*, kwitnącego w drugiej połowie XVI wieku. Zaś

Nie chciejmy się balamucić lekko-duchym przykładem wędrownych różno-języcznych gości, którzy, gnani demonem niecierpliwości, gromadkami gęstemi przemykają koło nas i około tych starych obrazów, a nie raczą nawet cisnąć oczkiem na prace dawnych lat; bo te niby tak zczerniały, a posępne i staroświeckie! Więc gwarzając, harmiderując śpieszą do świetnych arcydzieł szesnastego stulecia, o których im gada i prawi wodzący rej srocza-Cicerone. Ledwie się jedni przesunęli, a już przelatuje drugie i trzecie stadko, a wszyscy pędzą od sali do sali, w żadnej długo nie popasając; bo oni radzi odrobić czempredzję, czém rychlej tę pańszczyznę na gruncie sztuki pięknej. Oniby się może nawet nazawsze odrzekli i tych obrazów i tych artystów, gdyby ich nie piekła obawa, że po powrocie do domowego gniazda, może ktoś z ukosa naprzykrzyć się niedogodnym pytaniem. Niechaj sobie śpieszą, niechaj lecą dokąd ich prowadzą puste a drwiące z nich bożki światowe; ale my jeszcze przez chwilkę jedną popatrzmy ze sercem otwartém w duszę Muranesów, która, przeistoczywszy się w obraz malowany, została z nami na ziemi, dla ochłody a pociechy naszej duchownej. A nadewszystko uważmy, że jeżeli nasze zabawienie się około tych mistrzów starej weneckiej szkoły zdawaćby się mogło przydługie, zwłaszcza w porównaniu z późniejszymi rozprawami, które poświęcić myślę świetnym geniom Tycyanów, Giorgionów, Tintorettów, Pawłów z Werony — toć ja to czynię z umysłu; bo wielkie imiona już rozeszły się po świecie, są ciągle a ciągle we wszystkich ustach; warto tedy zwrócić uwagę czytelnika i na imiona mniej popularne, a przecież tak wysokiej wagi.

Patrzcie co za olbrzymi obraz! Na nim figury większych niż przyrodzonych wymiarów. Widzimy salę otwartą, bez stropu, niby dziedziniec; wspaniała architektura jej niby z gotycka a troszkę fantastycznie przystrojona. W środku tej okazałej, bogatej świetlicy, na tronie złotym, misternie wyrobionym, zasiadła Dziewica Przenajświętsza; na jej głowie światów korona, od ramion spływa wspaniała płaszcz królewski. Bo Marya święta, co była córą ziemskiej biedy, tutaj mistrzynią niebiańskich gwiazd a panią wszech duchów stworzonych. Na jej łonie pachole, co Zbawicielem światów. Po bokach tronu czterech aniołów, w szatach kościelnych, trzymają laski strojne, na których baldakin zawieszony nad Bożą Rodzicą. Po jednej stronie Maryi, w pewnej od niej odległości ŚŚ. Hieronim i Grzegorz; po drugiej ŚŚ. Ambroży i Augustyn. U stóp tronu drobnemi literkami napisano: że malarze Jan i Antoni z Murano dokonali tego obrazu w roku 1446. Więc to obadwaj ci szlachetni towarzysze a współmistrze obchodzą zrękowiny swoich talentów w tém zacném dziele.

do wysłanników kierunku Muranesów należą *Jacobello de Flore* (około roku 1434) i *Fra Antonio da Negroponte*.



Lubo czynią zwykle dziełu temu może słuszny zarzut szorstkiego i troszkę twardego wykonania; jednak za to ujmuje na wskroś rzewna powaga, pełna tkliwej słodyczy tych świętych postaci, co tak serdeczne, tak łagodne! Najświętsza Panna, lubo nieco wymuszonoj postawy, przecież ochuchana niebiańską lubością. Na jej uśmiechu rozplynął smutek cichy, głęboki. Zdaje się, że ona duma nad boleścią nieskończoną, że patrzy na straszliwe widziadło Golgoty i na wszystkie męki, które przechodzi ludzki ród, — a zarazem tonie duchem w tryumfach niebiańskich wiekuistego słowa, które się na ziemi ciałem stało. Dzieciatko święte, na Matki kolanach, zwróciło oczy ku Niebu, ku Ojcu, i prawą ręką podnosi na ofiarę granat; bo ten owoc o soku purpurowym jest godłem owęj miłości nieskończonoj, płomiennęj, co daje krew własną purpurową za kochanie swoje.

Z pomiędzy czterech mężów świętych, najpotężniej do serca mi przemówiła postać owego wielkiego papieża Grzegorza S-go. Troista korona na skroniach, krzyż w rękę wzmaga jeszcze głębokie znaczenie tej wyrazistej twarzy, co pełna uroczystej grozy a dziejorodnych myśli. Znać, że to te myśli światowładne, obok potęgi woli, dzwignęły gród niewzruszony na węglach Piotrowych. Aleć, na ramieniu prawem świętego męża siadła golębica biała — ona nachyla się do ucha jego i powierza mu prawdy, które mają być piastą historii i pulsem ludzkości.

Patrząc na te oblicza, widzimy, jak się już w nich sztuka ślubi z naturą; bo te rysy zaiste są wzięte z rzeczywistości obecnej, są to wizerunki z ludzi żywych, współczesnych, którzy byli mistrzom wzorem, a wierną modłą. Więc też z twarzy i z rąk zniknęły owe kłamliwe cienie; a natomiast karnacya świeża, czysta, rzetelna i koloryt jej pełny i ciepły wróżą, że ten wdzięk niewidziany jeszcze nigdy barw stanie się kiedyś chlubą i wieniec sławy dla weneckich artystów. Ten nawrót do natury i zakochanie się w niej okazuje się też i innym trybem; bo tu pojawia się już ciche państwo roślin, choć jeszcze lękliwie a nieśmiało. Za ścianami tej sali, wspaniale ubranęj, rosną krzewy i drzewa, bo je widać przez okna otwarte. Wszak nawet co wyższe drzewa przerosły ściany świetlicy, i, wybudawszy powyżej nich, powiewają wesolą koroną bogatą w liście, nasadzoną owocem złocistym, rumianym; więc cieszy się ten światek roślinny młodym odrodzonym żywotem, po tak długich, martwych mrozach bizantyńskiego czasu. Wszak nawet na przedniem tle ciśnie się od ziemi gęsto, bujnie, trawy, ziola i kwiaty.

Z jakąż to pieczołowitą, staranną miłością wyrobione są te wszystkie, choć najmistrzniejsze, szczegóły: włosy na brodzie i głowie, i przystroje i ozdóbki tej architektury; drzewa, jabłuszka, liście wykonane do ostatka, jakby pracą ofiarną na cześć Maryi Przenajświętszej. Nie eniło się widać tym artystom, tej zacnej czeladzi Bożej, gdy chodziło oddać pokłon Bogarodzicy a zarazem i chwale ich sztuki ukochanęj.

Jest tu i drugi obraz tychże dwóch mistrzów, także poświęcony Przczystej Dziewicy. Na tronie wzniesionym na wysokich kolumnach króluje Matka Zbawiciela. Obok niej Chrystus Pan, wkładający jej koronę wiecznej chwały. Powyżej Bóg Ojciec, na pierśiach jego Duch Święty, który „gdzie tchnie, głos jego słyszysz, a nie wiesz z kąd przychodzi, albo dokąd idzie“.

Jest-to więc *koronacja Boga Rodzicy* przez Trójcę Świętą. Po prawej i lewej stronie Matki Bożej liczny tłum świętych mężów i niewiast, którzy świadczą o podwyższeniu Maryi. Pod tronem, między kolumnami, grono aniołów-pachołat, trzymających godła boleści męczeńskich.

I w tym obrazie spotykamy te znamiona, które w tamtym cechowały naszych dwóch Muranesów; i tutaj owo zamilowanie prawdy i natury, i ta czerstwa, czysta karnacja, i to sumienne, misterne, prawie miniaturowe wykonanie szczegółów; a mianowicie urok i pełnia głęboka kolorytu. Uderza nas atoli ugrupowanie figur, umieszczonych po obu stronach tronu, w różnych od niego oddaleniach, w różnych wysokościach. Dziwna albowiem w tém ich ustawieniu architektoniczna symetria a geometryczność. Po jednej stronie zupełnie ten sam szyk a ład świętych męczeńskich postaci, który znajdujemy i po drugiej. Każdemu szeregowi figur z jednego boku prawie całkiem odpowiada rząd ich na drugim. Tu i tam liczne grupy budują się w piramidę. Ta architektoniczność, przewodząca tutaj wśród pełnego a ciepłego żywota, to jakieś jęctwo a wymuszenie dławiające, duszące przypomina jeszcze, choć dalekim odgłosem, ową niewolę w bizantyńskim malowaniu. Prawda, że i w tamtym pierwszym obrazie widzimy także tę symetrią nie tylko w architekturze świątlicy, ale nawet w ustawieniu czterech świętych mężów; lecz tam, dla szczupłej liczby figur, ten układ mniej uderza, mniej razi.

Mimo jednak tego geometrycznego ugrupowania, mimo szorstkości nieużytej rysunku, który w niniejszym obrazie tu i ówdzie spotykamy, cieszy nas przecie znowu owa tkliwość serdeczna i topliwosć uczuć, co wnet, bo w najbliższych następcach obu tych mistrzów, zaintonuje im psalmem niewinności anielskiej. Co więcej, sztywnosć wymuszoną w rozkładzie figur w tym obrazie sownie nam wynagradza ów orszak niebiańskich pachołat, co stanęły między kolumnami tronu. Ta istna dziatwa nadoblocznej dziedziny, te pachołeta nie mają szat na sobie, lecz za to ubrały się w wdzięk i w swobodę nieskończoną; tyle w nich gracji, iżbyś rzekł, że to proroczki młode owęj rodzącej się już najwyższej piękności sztuki weneckiej.

Teraz wystarczą nam te przykłady mistrzów staro-weneckiej szkoły. Pokazałem czytelnikowi niektóre z ich dzieł, aby się w nich dopatrzył tej cichej a nieznacznej pracy ducha, mającej się ku przestoczeniu sztuki. Dążność takowa malarstwa w tej epoce jawna nawet dla nas nie artystów.



W obrazach albowiem tego okresu wyraźnie spostrzegamy jeszcze jakąś chudziźnę, często oschłą i jałową, widzimy jakieś postaci długie i wązkie; często też razi brak łagodniejszego przejścia ze światła mocnych jaskrawych, wysokich, w cieniu głębokie, przepaściste; nadto widać, że ugrupowanie figur nie poszło tym mistrzom z natchnienia, lecz jest raczej owocem rozsądkowego wynysłu i chłodnego kalkułu, któremu głównie chodzi o układanie symetrycznych figur, a wynajdywanie, ile być może, rozmaitości w ich postaciach, aby niby nie znękać jednostajnością cikliwą. Z drugiej strony atoli ta naiwność i lubość rozlana po tych obrazach, te postaci tętnące serdecznym rozrzewnieniem a miękkiem, roztropnem uczuciem, i owe wszystkie przymioty, powyżej wspomniane, są również znamię przeważnem tej epoki przejścia, wiążącej malowanie bizantyńskie ze światem promienną pięknosci, która zrodzić się miała na łonie XVI wieku.

Może zatrzymałem cierpliwego czytelnika zbyt długo przed tą sztuką staro-wenecką, mimo że nas do siebie nęciły czarodziejskim wabem arcydzieła późniejszej epoki, królujące po innych salach Akademii. Jednak nie ostatnie też są korzyści, któreśmy wynieśli z tej pierwszej sali; bo w niej, jakem rzekł, widne łamanie się geniuszu sztuki, by się wydobyl z długiego odętwienia i osiągnął najwyższych piękności szczytów. A gdy prawie i każda z innych szkół malarskich odbywała tę twardą epokę przejścia, zanim stanęła na wysokościach jej właściwych; więc też to wszystko, czegośmy się teraz nauczyli od starych Wenecyan, zdołamy bez mała zastosować i do każdej innej włoskiej szkoły.

Wróćmy do historii weneckich mistrzów, w której już jasno dnieje epoka przyszła, pełna sławy i potęgi.

Wiecie, jakie to były zrodzenia się greckich bogów. W pierwszym okresie kultury hellenckiego ludu, póki nim jeszcze miały moce ślepe i żądze zmysłowe, póty też i te bogi jego były jeszcze wyobraźnikami potęg natury, co pieszcą uśmiechem schlebnym, to znowu straszą trwogami a zemstą gniewną. Tak tedy w tej pierwsiastkowej, początkowej mitologii Greków wszechradny i wszechniweczący czas i powietrze, ocean, słońce i ognie ziemskie, a siła płodna ziemi, i borów tajemnice, i wszystkie żywioły przyrody, wzięwszy na się postać do ludzkiej podobną, stały się bogami. One to zasiadły na czołach górskich, leśnych, wśród dymów a chmurnych wyziewów, i gospodarzyły na ziemi, wstrząsając sercem śmiertelnem i szcując namiętności a chuć człowieka, by się również stał jak owe ślepo-okie, głuche żywioły. Nie dziw atoli, że lubo te bogi wzięły na się postać ludzką i stały się niby osobą, przecie to uosobienie ich jeszcze nie było ukończone w sobie i było mdłe i wiotkie. Bo postać człowieka jest arcydziełem owęj arcymistrzyni natury; więc ta postać już nie może bez ubliżenia godności swojej, bez spazczenia a zwichnienia własnej istoty, wyobrażać niższe od siebie sto-

pnie fizycznego świata; to ciało ludzkie tak szlachetne, będąc najwyższym wykwiem mądrości przyrody i akordem najgłębszym wszystkich a wszystkich jej tonów, nie zdoła już cofnąć się do głuchoty, do abstrakcyi pustej, i stać się wyrażeniem żywiołów i ślepych potęg przyrodzonych. A co więcej, ta postać cieleśna człowieka, właśnie dla tego, iż jest najmisterniejszém wysileniem natury, więc też stanęła na przyczółkach doczesnego świata, na których schodzi się niebo z ziemią, i kędy się myśl myśląca, bezśmiertna poczęła z Bożego nasłania a łaski.

Lecz myśl myśląca, bezśmiertna, co ogniskiem siebie jest, co jest wiedzącą o sobie, jest osobą — a osobą zaś sam tylko duch być może, bo on sam może być sobie obecny i przytomny. Tak przeto owe bezduszne natury moce a żywioły bezmyślne, będące jedynie grubą bezwładną osnową, na których spoczął materyalny świat, nie zdołają zaiste pojawić się przed oczy ludzkie w kształcie osoby. Ztąd też tu uosobienie tych pierwotnych greckich bogów tak rozlotne, niepewne, mgliste. Ztąd też owe powieści i mity o nich tak potworne i w dziwaków wykrzywione. Te bogi z chaotycznych nizin materji wyległe, są wiecznie na dwoje rozdarte; to niby działają, mówią, żyją jako osoby, jako jestestwa rozjaśnione ducha płomieniem; to znowu, potworném przeistoczeniem się a dziwacznym zwrotem, stają się same ślepa, głuchą siłą przyrody, a bezmyślnym żywiołem.

Im widniej atoli lud Hellenów dojrzał w sobie wzmagające się światło duchowe istoty swojej, im silniej zadygotało w nim poczucie osobowości człowieka, tém mniej wystarczyły mu te pierwotne bogi, zrodzone z grubej osnowy natury zmysłowej i z równie tak dzikiej materyjalnej fantazyi starych przodków jego. Tak tedy Olimpem zatrzęsły od czasu do czasu wywroty, a spadały ze stolicy bóstwa dawne; tak tedy nadświatne ich państwa mają również epoki, a z każdą nową epoką nowe bogów pokolenia rodzą się na wysokościach, a powstawszy siłą ducha, strącają ze stolicy światowładnej pierwotne przestarzałe rządcy. Więc za każdym wywrotem w nad gwiaźdnej dziedzinie, zasiadają nowi bogowie, świecący coraz jaśniejszą siłą duchową. Aż w końcu Zeus, ziemią i niebem władający pan, jest już ducha greckiego najzacniejszém uosobieniem. Na czole jego promieni myśli majestat, brwi jego wstrząsają światów posadą, a na ustach niewymowna dobroć rozplynęła łaską słodczy pełną. Widzimy tedy, jak-to wewnętrzna historia duszy Hellenów uwidomiła się w epoki bogorodne na niebie; błękitny czyste Olimpu były zwierciadlanym obrazem uszlachetniających się uczuć człowieka i wzmagającej się jasności ludzkiego ducha. Wnętrze było niby rozświeconą czarnoksiężką latarnią; najgłębsza i najzacniejsza treść duszy, najcichsze zadrgania serca pojawiały się na niebie w uroczych postaciach bogów nieśmiertelnych, odzianych magicznym wdziękiem poezyi.



Dla tego Grek szczęśliwy widział w swoich bogach własne uczucia i własne pulsa duszy, co ziściły się na wysokościach promiennych Olimpu. Czyliż tedy dziwno, że te bogi, co były krwią i kością jego, co były nim samym, już tęskniły za miłością niewiast ziemskich, i że nawzajem greckie młodzieńcy, zuchwałe śmialki, marzyły o kochaniu nadobłocznych niebianek ?

Jakim trybem u Greków roztaczały się dzieje bogów, takąż samą drogą zwykle przebiegała historia sztuki u różnych ludów, mianowicie już u ludów nowożytnych, a przedewszystkiem we Włoszech. I sztuka ubiera rzewne duszy tęsknoty w widome formy, i ona przeczucia niebiańskie, co kwilią w serca zacisz, uzmysławia w dziele artysty. Więc też wśród walki twardej a boleści rodzenia pracowały te ludy, by w pojawach sztuki obaczyć uśmiech własny nieśmiertelnej istoty swojej, opromienionej przeczuciem nadzmysłowych światów. Więc łamał się człowiek z mocami własnej natury cielesnej, z popędem namiętności zmysłowych, by wydobrzeć w sobie, by wyzwolił anioła Bożego, co jeszcze złożony niemocą, spętany od żądy materyalnej, tęsknił na dnie duszy jego ; — więc pasował się człowiek z naturą zewnętrzną, chcąc ją poddać sobie ; by te jej postaci i kształty, te jej barwy, światła, cienie i tony, by te dźwięki i marmury jej, i żywe słowo, stały się czeladzią potulną sztuki ; by te wszystkie moce natury służyły mu wiernie do wyrażenia tego, czém go natchnął w szczęśliwych światłorodnych chwilach ów geniusz wewnętrzny, z krainy ideałów wysłaniec.

A każde nowe zwycięstwo odniesione nad naturą zewnętrzną, każdy tryumf, zdobyty na własnej doczesnej istocie swojej, oznaczał świat nową ale wyższą już epoką w sztuce ; bo za każdą epoką takową duch strącał z siebie jedną z tych szat, któremi go oblekła ziemską tuteczność, niby ciężkiem brzemieniem. A gdy tak z kolei spadały z niego te zwłoki grube, nieprzejrzyste, już jaśniej a jaśniej promieniła się światłość od ducha bijąca.

Więc też z każdą takową epoką wewnętrznego odrodzenia, nawzajem i natura zewnętrzna chylila się korniej a korniej przed duchem człowieka, jako przed światło-okim panem swoim. Tak cała rzeczywistość, co dawniej przez długie wieki milczała upornie, z każdym dalszym ducha rozwojem roztwierala mu nowe tajemnice swoje. Tak tedy tłómaczyła mu cuda magiczne światel i barw, i dziworodną pięknotę kształtów żyjących, i sztukę czarnoksiężką tonów i dźwięków ; tak natura wskazywała mu jak poskromić twarde jej ciosy kamienne, jak dłotem zakłąć marmury a czynić farby, jak malować i rzeźbić słowami.

Tak rósł duch człowieka z siebie i wzmagał się w sobie i wyzwalał się z pierworodnej winy zmysłowej natury, aż nie dopiął najwyższego przyczola, co promienił całą światłością fantazyi, aż nie stanął na wzniosłym państwie artystycznej twórczej potęgi. Wtedy w głębiach tajemniczych własnego ducha, jakby w jasnych przeczucach

blekitów promiennych, obaczył obraz przeczystej piękności — najwyższy ideał. A co w sobie samym, w tych wewnętrznych tajemnicach obaczył, to już ściągało się w świecie zewnętrznym, w rzeczywistości, bo się stało dziełem sztuki. Bo wszystka rzeczywistość, bo natura cała, oddawszy się mu w wierną służbę, była mu wyrobnicą chętną, potulną. Wtedy też na tych wysokościach słonecznych artystycznej fantazy zakwitnęła dla Grecyi wiosna duchowa, brzmiąca pełnem wdzięku weselem, tchnąca wonią radosną, świecąca wszechbarwami szczęścia, upajająca rozkoszą błogiej, bo uwieńczonej miłości młodej.

Zaiste, człowiek w dziełach mistrzów swoich samego siebie obaczył, obaczył w nich siebie w promieniach najwyższej zacności, nieprzyćmionego biędą i ziemską skazą, więc widział i znajdował siebie w tém dziele, a przecież uznał różnicę siebie a dzieła tego. A ta jedność, ta różnica a dzielnosć, to wzajemne widzenie się w drugim, to uznanie własnej, a przecież rozpromienionej treści w drugiej istocie, jest miłości szczęściem; są to słoneczne duszy gody, co tém są wyższem szczęściem, im czystsze, im wznioślejsze uczucia w sercu płoną. To kochanie nadziemskie, te uciechy, błogiego wesela a szczęścia pełne, były całym żywiołem Grecyi dawnej. Bo lud Hellenów był przez sztukę na ulubieńca jęj wybrany; zatem jego bóstwem jest olimpijski wdzięk bogów uroczych.

U ludów nowożytnęj Europy zaś chwile takowe rozkochania się w piękności sztuki były tylko jasnym, przelotnym zaraniem nowocześniejszy historyi. Wszak owe piękności lubie widziadła pojawiły się ludziom w końcu piętnastego stulecia; lecz one zaledwie przżywszy wiek XVI umarły z żalu nad ówczesnym nanowo dżiczęjącym światem. Prawda, że ten świat późnięj znów się podniósł, znów urosł kulturą, znów zaświecił godnością; jednak sztuka nie dosięgła już owych jasnych wysokoć, w których żyła wśród XVI wieku. Dla czego? Bo dzieje ludów chrześcijańskich nie są historyą pogańskięj Grecyi. W Grecyi uczucie piękności było wprost wypływem jęj żywotnych warunków; gdy tedy Hellada umarła, skończyła także sztuka jęj właściwa. Lecz w dziejach ludów chrześcijańskich żyje wyższy pierwiastek nieśmiertelny, co je chroni od śmierci; każdy naród chrześcijański ma w sobie nieskończoności wątek, który może wprawdzie się przyćmić, ale nie zgaśnie nigdy na zawsze. Ludy chrześcijańskie mają, krom sztuki, inne jeszcze a nieskończenie wyższe powołanie; ich sztuka może omdleć, lecz ich dzieje, mimo to, rozwijać się będą ciągle a ciągle, by ziszcic zadanie istotnego ucłowieczenia ludzi, by w jawną rzeczywistość wprowadzić miłość prawdziwie chrześcijańską.

Wysłannikiem owęj epoki, pełnej świetności i chwały, stał się dla Wenecyi *Jan Bellini* (\*). A pierwiosnek rodzącej się epoki, któ-

(\*) Polecamy czytelnikom naszym jeszcze ustęo o malarzach weneckich, znaj-



ry już był obecny, choć jeszcze w pączku stulony, rozwija się u niego pełnym, cudownym kwiatem. Co więcej, Bellini, gwiazdą geniuszu swojego wiedziony, nie tylko odkrył nowe piękności światy, ale zarazem stał się przecuciem zacnych potomków po duchu; bo on jest istic rodzicem właściwej szkoły weneckiej. W jego malowaniach najpierw pojawiają się te właśnie cechy, które już nazawsze zostały świetną a wyłączną zaletą weneckich mistrzów, różniącą ich od artystycznych szkół innych italskich miast. Jaka zaś jest ta cecha szkoły weneckiej, świecącej tak znacznie wśród innych, to zaprawdę przetrudno opisać słowami, bo słowa wiecznie martwe i blade obok pełnego żywota sztuki. Gdy obraz na istne oczu obaczysz, wtedy uderzą na cię wszystkie czary jego, a uderzą razem, niby grom niebiański. Więc ile strun duszy twojej, tyle w niej zbudzi się tonów, a mistrza duch, jakby na lutni, wygrywa na nieśmiertelnej istocie twojej akordy i pieśni swoje. Bo w jednej i tej samej chwili biją na ciebie barwy i światła, kompozycya i myśl obrazu, sytuacja i wyraz figur jego, i rytm i harmonia, a chwytają cię te wszystkie genjusze sztuki i unoszą z sobą fantazyą twoją w światy nieznane, w światy obce powszedniemu życiu. Gdy zaś tylko słyszysz opis tych cudów, lub gdy je widzisz ujęte tylko na papierze głóskami biednemi, wtedy te wszystkie genjusze, te wszystkie potęgi dzieła sztuki, jakby cienie bezśmiertne, bez ciała i krwi o zeszkloném wejrzeniu, po jednym i zwolna stają przed prozą myśli twojej, a rozum chłodny, co kombinuje, waży i mierzy, daje tym nieboszczykom posłuchanie. Bo potęgi, żyjące w każdym dziele sztuki prawdziwej, zaiste umierają i stają się jako nieboszczyki, jeżeli je przeistoczysz na prozę mowy ludzkiej, i będą jako pierwiastki niegdys żywej istoty, rozebrane po jej śmierci w retorce chemika.

Jednak, mimo tych praw wszystkich, nie uchodzi abym, niemożnością się składając, puszczał mimo siebie poczet wszystkich świetnych znamion, które już na wieki wzniosły malarstwo weneckie do szczytu chwały i zrodziły szkołę, która jest jedyną, niepowtarzającą się już nigdy więcej w dziejach sztuki. Lecz gdy raz już przy weneckich artystach pokuszę się o bliższe wytknięcie cech ich malowania, nie obejdzie się abym i na przyszłość, rozprawiając o dziełach innych, a najgłówniejszych pod względem sztuki, italskich miast, nie zwrócił również baczenia czytelnika na charakter, będący głównem piętnem każdej z tych szkół malarskich.

Aby zaś zrozumieć właściwe pulsa sztuki w Wenecyi, uważmy, że jej szkoła jest jakby dopełnieniem, jakby trzecim tonem do współczesnej szkoły florenckiej i padewskiej. Wszystkie te trzy szkoły w onej epoce, zacnem choć bezświadomem sobie przymierzem, siłą

---

dujący się w dziele *Selvatico*: „Storia Estetica Critica delle Arti del Disegno. Venezia 1851. (Co do Belliniego zobacz powyżej.)

się by wyzwolić fantazją artystyczną z tak ciasnego, dusznego jęctwa dawnych lat; każda atoli z tych szkół pracuje po swojemu, pracuje we właściwym sobie trybie i kierunku. Albowiem Bóg, stwarzając ludy, ducha każdego z nich rozświetlił promieniem innej barwy, by uzały jako żaden z nich nie jest całością osobną, i że dopiero one wszystkie razem złożą jasną tęczę przymierza, co łączy cały ludzki ród ze światłodawczym Ojcem niebieskim.

Tak szkoła florencka, przez wielkiego *Cimabue* a większego jeszcze *Giotto* potracona (\*), wyuczyla się natury, odgadła tajemnice jej form, i poszła już za natchnieniem z góry sobie danem, a oblewając te postaci, przez siebie stworzone, uroczystą powagą, godnością szlachetną, dała im, jakby duszę, głęboką treść poetyczną a wielkiej wagi znaczenie. W kompozycjach genialnych rozłącza obrazem malowanym wzniosłe niebolotne myśli i oddaje cześć chwale ojczystych tryumfów. Ona to z wysokości, nad doliny ziemskie wzniesionych, patrzyła na dzieje doczesne i na niebios historią, ona wiązała oba te światy wspólną harmonią, bo przeczuwała ich mienie się do siebie i tajemnicze ich pokrewieństwo. Ztąd, gdy stajemy przed obrazami tych mistrzów, wyczytujemy z nich, jakby ze świętej powieści, jakby z legendy lub z epopei, dzieje ludzkie i nadziemskie. Te malowania prawią nam istic historią o tém, co się wielkiego stało wśród ludzi, lub wśród niebian jasnego żywota. A wzajemne stosunki tych postaci są tak głębokie a na wielką stopę pojęte, tak poetyczne a zarazem tak łatwe i jawne, że potracając treść widza, by sam utonął w sobie i słuchał w toniach własnych historii duchowej.

Ta dążność Florency już się jawi, gdy w XV stuleciu pod rodziną Medyceuszów zapromienił poważny a pełen grozy *Masaccio*, tudzież szlachetny i głęboki Dominik *Ghirlandajo* (\*\*), obaj wieszczmalarze, pełni wysokiej poezyi. Pomijam innych świetnych robotników tej szkoły; bo Florenca, będąca tą cudnie uroczą matką tyłu i tyłu wiekopomnych geniuszów, znajdzie później szeroką rozprawę, którą jej złożymy później w należnej ofercie; jednak za to szkołę padewską odprawimy już tutaj przy Wenecyi. Bo ta szkoła już jest mniej ważną dla naszych czytelników, więc nie wymaga osobnej dla siebie rozprawy; kilka słów przeto wystarczy, aby oznaczyć jej charakter a cechy. Z tego też powodu, lubo droga nasza w tej włoskiej wędrowce poprowadzi nas na Padwę, nie zabawimy atoli zbyt długo w tej starosławnej stolicy nauk, chowając się z naszym czasem dla innych siedzib sztuki włoskiej wyższego znaczenia.

(\*) Zob. powyżej str. 278.

(\*\*) Tomasz *Guidi*, zwany *Masaccio* (gruby, ocieślał Tomasz), stoi na czele szkoły florenckiej XV wieku; ur. 1402, um. 1443. — Znakomite miejsce w tej szkole zajmuje po nim *Dominico Curradi*, z przydomkiem *Ghirlandajo* od złotych wianków (*ghirlande*), które ojciec jego jako złotnik wyrabiał. Ur. 1449, um. około 1495 r. — St.



Wiemy, jak-to często bywa na ziemi: niekiedy na niej pojawiają się dusze, co rano wstawszy, już na dobre sobie przetarły oczy, gdy inne milionami w koło jeszcze smacznie śpią snem duchowym; a im bliżej świat się ma do jakiejś wielkiej epoki historycznej, tem gęściej rodzą się owe umysły, co, same wczas się obudziwszy, rozbudzą i inne ze śpiączki głębokiej. Podobnie się stało w roku 1394, gdy w mieście Ś. Antoniego przyszedł na świat chłopczyna, co się zwał *Francesco Squarcione*. On również był jednym z tych rannych ptaków, co zwiastował wiosnę umysłową wtedy, gdy jeszcze w koło niego zima duchowa zalegała umysły. Ten Francesco od małego już kochał się w sztuce; więc rysował, więc malował. Na szczęście swoje był on synem zamożnych rodziców, więc mu nie trzeba było szarpać się z ludźmi a losem o kawałek powszedniego chleba. Mógł się tedy, choć z amatorska, oddać pełnem sercem, dokąd wzywała go przyrodzona miłość jego do sztuki.

Gdy wyrósł na młodzieńca, Padwa, choć tak uczona i mądra, zdawała mu się duszną i dławną; przeto, instynktem wiedziony, chciał odetchnąć z całej głębi piersi i obaczyć, co się dzieje na świecie po za rodzinną dzwonnicy. Puścił się tedy w podróż przez Włochy i z rozkoszą a miłością najwyższą wpatrywał się w wielkie wzory zapadłej sztuki klassycznych czasów. Lecz na patrzeniu i niemém podziwieniu nie kończył zwykle Squarcione; bo, kędy tylko mógł, zbierał, kupował posagi starożytne, płaskorzeźby, torsa (kadłuby), ornamenta, wazony; a skupował je jak się zdarzyło, to w całości, to w okrucach, a czego nie mógł nabyć, to rysował skrzętnie i przechowywał po tekach swoich. Lecz im więcej widział pomników, przekazanych od tej dawniej Grecyi i Romy, tem silniej parł go duch, w niemych tych ulamkach zamknięty, by coraz więcej a więcej rozpoznawał się w świetnej przeszłości dziełach; a im liczniejsze gromadził dla siebie skarby sztuki, tem gorętsza go brała ochota, żeby ich posiadał więcej a więcej. Zatem wsiada na statek i płynie do Hellady. I w tej Grecyi znowu kąpie duszę w morzu rozkoszy. Jakoż, ulamki z rzeźby cudownej piękności, sterczące kolumny świątnic zapadłych, rozsypiska dawnych miast, choć chwastem zarosłe, choć często od rozbójników, od dzikiego zwierza lub od węzów strzeżone, stawały się dla młodego Francesco rajem uciechy przeczystej. Rozumie się, że i tu nie szczędził ojcowskiego mieszka, a choć ubywało brzęczących zasobów, za to przybywały paki i skrzynie ogromnych wymiarów a napelnione ulamkami starożytnej rzeźby.

Aż i wrócił Squarcione do Padwy. Tam zakłada szkołę, czyniąc się jej mistrzem. W szerokiej, obszerniej pracowni jego, rozstawione, ułożone, rozwieszzone szlachetne lupy, które uniósł z dalekich podróży. Squarcione niewoli uczniów swoich, by roztworzyli oczy na piękności sztuki starożytnej i pilnuje ich by wiernie, pocziwie i z całą grozą kopiowali te wzory. Więc oni też pracują i lamia

się póki się nie nauczyli rysować tych form, z całą pewnością, z całą ścisłością. A ścisłość ta była tak surową, że się ona u uczniów Franciszka niekiedy przeradza w jakąś surowość twardą, nieużytą.

Tak przeto Francesco czuł się być wielbicielem starej sztuki już wtedy, gdy jeszcze daleko było światu do epoki pełnego odrodzenia, to jest do czasu, który zawołał na zmartwychwstanie starożytnych wzorów. Więc podobno mieliśmy słuszność mówiąc, że dusza jego rano wstała i była wczesnym ptaszkiem co zapowiedział światu wiosnę artystyczną.

Squarcione był może mniej świetnym malarzem, ale za to dzielnie i wybornie z całym wylaniem uczył drugich. Prawda, że mu zarzucają jakąś niezgodę z samym sobą. Powiadają — a zapewne słusznie — iż zarazem pragnął trzymać się wiernie antyków, bo wzorów starożytnych, a zarazem pałał chęcią naśladowania natury rzeczywistej, obecnej, żywej. Lecz antyki te, przecież, postaci a arcydzieła piękności, to istne mieszkance idealnych światów; one żyją i oddychają olimpijskim promieniem, a ludzie rzeczywiści karmią się chlebem ciężkim, powszednim; te ziemskie syny nie wyżyłyby poezją nadniebną. Tak tedy się działo, że w utworach Franciszka i uczniów jego widać obok siebie idealizm i realizm, poetyczność i prozę codzienną. Te sprzeczności nie są nawet stopione z sobą, owszem one żyją tuż obok siebie; często nawet widzieć je można w jednej i tej samej figurze, niedbające bynajmniej o siebie.

Mimo tego, że Padwanów trudno obronić z tego zarzutu, należy się jednak cześć mistrzowi Squarcione; bo on przecież sumiennem działaniem i uczciwą pracą położył ogromne zasługi. I nie darmo doczekał się późnej starości, bo go utrzymywała przy życiu doczesnem miłości sztuki i serdeczne dla niej poświęcenie się. Więc przeżywszy lat osmdziesiąt i dokonawszy swojego na świecie, umarł w 1474 r., gdy już ze wszech stron pełnym potokiem spływała na Włochy jasność, co im miała przyswiecać w nastającej już epoce, a której Squarcione był jednym z pierwszych wróżbitów a sprawców znacznych.

Rozumie się, że on wszczepił i wzdłuż italskich ziem rozsiał uczniów swoich (\*), a miał ich blisko 140!

---

(\*) Dla wiadomości czytelników naszych wspominamy co ważniejsze imiona z tej szkoły padewskiej. W Toskanii odznaczał się *Piero della Francesca*, w Ferrarze *Cosimo Tura*, *Stefano de Ferrara*, *Francesco Cossa*, a mianowicie już *Lorenzo Costa*. Przecież wielce świetnym stronnikiem tej szkoły był *Melozzo da Forlì* († około 1493), a we Vicenzy odznacza się arcy zaszczytnie *Bartolommeo Montagna* (kwitnie mniej więcej od 1489 do 1522). W Medyolanie *Vincenzio Foppa*, *Ambrogio Fossano*, zwany *Borgognone*, zasługują również na wspomnienie. Pomijając już innych zwolenników tego kierunku, nie chcemy zapomnieć, że w samej Wenecyi młodsi członkowie owej artystycznej rodziny *Vivarinich* kształcili się wedle pa-



Miejmy na pamięci, że to on, ten Francesco Squarcione, jest założycielem szkoły padewskiej.

Najsławniejszym atoli jego następcą był *Andrea Mantegna*; on także rodzi się pod Padwą, ale już 37 lat później niż jego mistrz, bo przyszedł sztuce na świat w roku 1431. Co Francesco rozpoczął, to spotęgował Mantegna. Jego obrazy tak są pełne natury a tak tchną prawdą, że się zdaje, że na nich figury ruszają się i żyją. Zdaje się, że polotem błyskawicznym jednego spojrzenia umiał przeniknąć wskrós indywidualność każdego człowieka, wyraz jego twarzy, ułożenie i postawę i gięsta; a co bystrością oczu schwycił, to się stało u niego obrazem. On bowiem jak się dopatrzył tajemnicy cielesnego żywota, organizmu i anatomii, tak również i wydobyl na jaw skrytą jeszcze, tajniejszą pracownią duszy, co ciągle działa i miota się, kipi aż nie stworzy sobie i wyrobi odpowiedniej postaci i oblicza. Więc też malowania jego — to istny ten świat obecny, przytomny, co się rodzi, żyje i umiera milionami przed oczyma naszymi.

Żal mi wielce, że nam czasu braknie, abym kilka słów dorzucił o żywocie Andrzeja Mantegna, a zaprawdę byłoby o czem i o kim prawić; bo zważcie, ten wielki mistrz pasał za młodu bydło, a gdy go dorostkiem do miasta przyprowadzono, Squarcione, z całej duszy pokochawszy młodzieńca, przysposobił go sobie za syna. Stało się tedy, że były pastuszek tak się wzniósł wysoko, dobił się tak świetnej chwały w sztuce, że się dosłużył zaszytów obywatelskich wielce na one czasy znakomitych (że się stał „di vilissima nascita Cavaliere, per la sua virtu“ powiada z pokłonem stary Vasari) (\*).

Mantegna, jako artysta sam wykonywający sztukę, przerósł nad miarę swojego mistrza a dobrodzieja; jeżeli tamten był założycielem szkoły, to wielki mistrz Andrzej słusznie uchodzi za głównego jej wyobraziciela a wzorodawcę. A potem umarł także starcem, bo pożegnał się ze światem dopiero w roku 1506, — więc w czasie, gdy ten świat właśnie co witał epokę świeżą, rozkwitającą już w całej pełni dziewczyczych uroków.

Puszczając już dalsze rozwoły nad mistrzem Andrzejem, wolimy jeszcze nieco bliżej oznaczyć charakter tej szkoły padewskiej. Wiel-

---

deńskiego trybu; a mianowicie wspomniany powyżej Bartolommeo Vivarini, młodszy krewny znanego już nam Antoniego, i późniejszy jeszcze Luigi Vivarini.

(\*) Vasari, *Vite de' piu eccellenti Pittori, Scultori e Architetti*. Tomów jedenaście — pierwsze wydanie we Florencyi 1568; ile wiem ostatnie w Medyolanie 1807. To dzieło jest jednem z najgłówniejszych źródeł historii malarstwa włoskiego. Często też z niego korzystam. Niemieckie tłumaczenie w sześciu częściach a ośmiu tomach 1832 — 1849 odznacza się wybornemi przypisami pp. Schorn i Förster. (*Giorgio Vasari* ur. 1512 † 1574 roku. Cenne dzieło jego wyszło w nowém wydaniu w 14 tomach we Florencyi 1846 — 1870 r. Tłumaczenie francuzkie *L. Leclanché* w 10 tomach Paryż 1839 — 42. — St.)

ka szkoda atoli, że lubo dwa razy z uwagą przeszedłem spis bogaty tej akademii weneckiej, nie znalazłem w nim żadnego dzieła ani Franciszka Squarcione, ani Andrzeja Mantegna (\*), na którymbym, jako na obecnym modle, mógł naocznie wytknąć o co głównie chodziło tym zacnym artystom. Przyrzekam wszelako czytelnikom, iż przy pierwszej sposobności pokażę im dzieło Andrzeja, będącego, jak mówiłem, główniejszym wyobrazicielem tej szkoły. Zanim jednak z tej obietnicy uiścić się zdołam, niechaj go tymczasem zastąpi Bartolomeo Montagna (\*\*), którego kilka obrazów przechowuje ta galeria wenecka. Bo choć ten mistrz już był owiany późniejszym wpływem Jana Belliniego, przecież, gdy miał dawniej nauczycielem swoim Andrzeja Mantegna, zachował niemało cech tych poważnych Padwanów. Więc on nam stanie za przykład, zwłaszcza jeżeli w jego dziele tu obecnym głównie trzymać się będziemy śladów tej padewskiej szkoły.

Widzimy wśród przysionka staro-rzymskiej architektury N. M. Pannę. Ona trzyma na prawym kolanie święte pacholę. Po prawej jej ręce stanął Św. Szczepan na poły obnażony, przywiązany do słupa, przeszyty mnóstwem strzał. Po lewej zaś stronie Bogarodzicy widać Św. Hieronima.

Ani przeczę, że ten obraz jest ogromnego wrażenia, niezmiernie imponujący a hardy. W nim znać tę dumę ucziwiej pracy i głębokich studyów, co pogardza umizgiem do widza, lecz pracuje sumiennie i nie pyta o oklaski powszedniej gawiedzi. Ztąd też w całym tym malowaniu tchnie jakaś pośępność ponura a uroczystość. Więc też i prostotę poważną widać tutaj nawet w drobnych szczegółach. Ornamentyka przypomina staro-rzymską strojność, jest atoli jeszcze pełną prostoty. Posadzka i strop sali, tron sam i szaty Panny są o tyle tylko ozdobione, by nie zdawały się biedne i ubogie; a do tego w ubraniu architektury przeważają takie przystroje, które zdradzają się z linii geometrycznych, więc to niby wstęgi proste a łamane, gwiazdy, koła i t. d. Wszak te ozdoby to niby mała rzecz, przecież i do nich przeniknął duch całego dzieła.

Wedle mojego zdania, na obliczu M. Panny spłynęła dusza dwóch szkół, bo onę padewskiej i szkoły późniejszej Belliniego. Jest to uśmiech luby na tym obliczu, jednak znać, że go wstrzymuje jeszcze ciężka groza onego Andrzeja Mantegna. Za to przecież rysunek wszystkich figur wyborny. Święty Szczepan, będąc jedynie około bioder przewiązany lekką draperją, świadczy o głębokich studyach

(\*) Galeria Akademii w Wenecyi zbiera głównie dzieła szkoły weneckiej. Pomimo to posiada obecnie jeden piękny obraz Andrzeja Mantegna, przedstawiający S-go Jerzego, a pochodzący z galerji Manfrin. — St.

(\*\*) Bartolomeo Montagna, nazwany w pierwszym wydaniu *Podróży do Włoch* kilkakrotnie przez pomyłkę Mantegna, ur. 1489 † 1522 r. — St.



mistrza nad ciałem ludzkim. A jeżeli jeszcze zwrócimy bacność uważną na oblicza tych postaci, to już widać, jak te studia z natury były grozy pełne. Św. Hieronim jest starcem o długiej śnieżnej brodzie, który widział, jak rzeką przepływały mnogie pokolenia, co się rodziły i znikały z kolei. Na tych rysach posępnych jakaś grandezza i moc wspaniała, co dostała mężnie licznym gromom światowym. Lecz mimo tego nie jest to bynajmniej głowa idealnie piękna; owszem zdaje się, że mistrz, napotkawszy podobne oblicze w rzeczywistym świecie, wśród ludzi sobie współczesnych, przeniósł je na obraz, nie idealizując go wcale. Tak i głowa Św. Szczepana nie jest otulona żadnym idealnym urokiem poezyi, mimo że również pełna prawdy i głębokiej boleści.

Tak tedy i pod tym względem spotykamy studia z natury i realizm z pierwszej ręki.

Szaty, odziewające Najświętszą Pannę, i suty obszernością płaszcz Św. Hieronima, są przepysznym wzorem drapowania. W każdym załamku, w każdym zagięciu, w każdym fałdzie, zwłaszcza w szacie Św. Hieronima, widać styl arcy poważny i jakieś pojmowanie rzeczy na wielką stopę. Nie ujrysz nigdzie drobiazgowości, ani malizny misternej. Święty mąż podtrzymuje suknie ręką, spoczywającą na piersiach; więc ta draperya jego, poważna i okazała, spadając bije w fałdy, jakby w głębokie uroczyste tony.

Zdaje się, że całe takowe udraperowanie, które jest samo z siebie kunstem tak misternym i trudnym, przyszło tej szkole z ćwiczenia się na antykach, bo na posągach starożytnej sztuki.

Blizsze atoli rozpatrzenie się w szatach tych figur, jak z jednej strony potwierdza domniemanie, że pod tym względem zaiste szkoła padewska trzymała się rzeźb klasycznych, tak z drugiej strony przekonywa, jak niebezpieczne jest pomieszanie dwóch odrębnych rodzajów sztuki, i że przenoszenie na przykład w dziedzinę malarstwa tych form, które jedynie są właściwe skulpturze, jest grzechem tak ciężkim przeciw estetyce, jak gdy rzeźbiarz, zapragnąwszy dłużej malować, udaje na płaskorzeźbie widoki kraju, perspektywy, skrócenia, drzewa, obłoki i inne wymysły, które znajdują miejsce sobie właściwsze w malarstwie; a takie nadużycie skulptury jest znów takim grzechem, jak gdy muzyk, podrzucany swawolną chętką, wdaje się w zakres mowy i tonami opowiada bitwy, pochód wojsk, to jazdy, to piechoty, to huk dział, lub sili się, by dźwiękami wyraził szumy morskich balwanów, wichry i pioruny, krzyk majtków i inne podobne koncepta.

Jakoż, te draperye na tym obrazie są zaiste uroczyste i arcyzanie pojęte; mają atoli to do siebie, iż się zdają być kamienne, marmurowe. Z czego widzimy raz, że mistrz miewał przed oczyma arcydzieła rzeźbione, co mu idzie na zaletę, ale powtóre zarówno poznajemy, że wpływ rzeźby jest tu zanadto przeważny. I baczymy, że nawet sama treść całego obrazu wyjawia tę zbytnią przewagę

skulptury. Bo prawda, że każda z tych figur, z osobna wzięta, jest doskonale rysowana, a mianowicie już postać Św. Szczepana, pełna znajomości anatomii, jest zupełnie plastyczną, bo jakby dziełem dłuta znakomitego rzeźbiarza. Mimo to wszelako uderza nas jakiś brak duchowego związku między figurami tego obrazu. Mienie się ich wzajemne do siebie jest tylko zewnętrznem; jest to niby symetryczne ich ustawienie w wspólnej przestrzeni, wszakże nie jest kompozycją prawdziwą. Każda z tych postaci jest zupełnie odosobnioną całością, zachowującą się obojętnie do drugich. Każda z nich mogłaby stanowić osobny obraz a niebyłoby znać braku tamtych figur; każda z nich patrzy w inną stronę. Ś-te Pacholę ma wprawdzie oczy zwrócone ku Ś-mu Szczepanowi, ale, jak się zdaje, nie patrzy wcale na niego. Są to trzy figury, nie zaś grupa z trzech figur. Są to jakby trzy posągi, trzy dzieła plastyczne, umieszczone obok siebie w jakiejś galerii skulptury. Słusznie zaprawdę rzekłem, że to są skulptury a istne posągi; bo właśnie rzeźba z istoty swojej radziej się zabiera do pojedynczych osobnych postaci, niż do grupp; a gdy zaś jej przyjdzie złączyć w jedność wiele figur, mających wspólnie opowiadać dzieje ziemi lub niebios, wtedy udaje się do płaskorzeźby; ale płaskorzeźba właśnie już jest przejściem skulptury do sztuki malowania. Jakoż dramatyczność a przedstawienie dziejowe, o ile się zwraca do oczu, jest raczej sprawą malarstwa niż rzeźby.

Wypowiadałem się tedy z mojego zdania o tym obrazie, słów jednak moich za wyrocznię bynajmniej nie uważając. Com rzekł, posłuży przecież, byśmy, choć kilku rzutami, ostatecznie teraz skreślili charakterystykę tej szkoły padewskiej. Niechaj się czytelnikowi nie przykrzy, że mu tak długo o niej prawie, bo te uwagi nasze pewnie nam się przydadzą na przyszłość; a wątpię też wielce, czyli, w dalszym ciągu naszej wycieczki, nadarzy nam się pora do dłuższego zabawienia się z tymi prawymi a wielce szanownymi mistrzami starój Padwy.

Zatem, krótko mówiąc, cechą tej szkoły były bystre oczy, umiające się jasno patrzeć na rzeczywistość, a tym oczom służyła niechybna ręka i sumienna, nigdy nie ekliwiająca sobie praca. Ztąd rysunek niemylny i ścisły tak w konturach, jak i w cieniach i światłach, ztąd modelowanie całe doskonałe. Z jednej strony widąc pilną wyciwikę na wzorach rzeźbionych starożytnego świata, a z drugiej realizm, idący od kopiowania żywych modeli. Nauka takowa, doprowadzona tutaj do ostateczności swojej, prawie do zbytku przeważająca w żywocie tych artystów, zdradza jakąś plastyczność ich figur; więc też takowe stają się raczej podobniejsze, jak już rzekłem, do dzieł rzeźbionych, niż do malowanych obrazów. Te figury atoli, z drugiej strony, są jakby rzeczywiste, jakby z życia powszechnego wzięte; bo bez idealności, bez poezyi wyższej, lotnej. Pracowitość tej drużyny padewskich artystów, ich niezniekana sumiennosc, jest



powodem, że i najdrobniejsze szczegóły, a mianowicie ornamentyki, są wykonane u nich z najwyższem ukończeniem. Oni lubią ornamentykę, przeciw takową najczęściej pożyczają z równie poważnych starorzymskich wzorów. Ta właśnie groza w robocie tych Padwanów, ta ich sumiennosc, nie na żarty biorąca powołanie swoje, dbająca jedynie o prawdę a nie o szumne oklaski i huczne brawa często znarowionej publiki, niekiedy wyradza się w jakąś szorstkość twardą i nieużyta a pedancką jałowiznę.

Widząc tedy, jakie to są główne zalety tej szkoły padewskiej, już sobie wróżyć można, że w niej nie ma czego śledzić mistrzowskich kompozycji o wysokiej poetycznej treści. W tej szkole, jak wiemy, nie znajdziesz tej duchowej wstęgi, co łączy wszystkie figury jednego obrazu w całość idealną; za to jednak zawsze prawie spotykamy zbiór figur odosobnionych, a nie widzujemy jedności o wielu figurach.

Jednak cieszymy się z serca temi zaletami Padwanów, które im są właściwe, a nie żądamy po nich przymiotów, które, jak wyżej rzekłem, są raczej posagiem szkoły florenckiej. Jakoż, już powiedziałem, że to jest rzeczą Florency owo opowiadanie obrazami dziejów nieba i ziemi; jęj to mistrze umieją zagrać, jakby dramatem, głęboką artystyczną kompozycją; florenckie malowanie, napelniając ogromną treścią idealną swoje dzieła, zarazem roztacza w nich jawnie i jasno stosunki wzajemne owych potęg duchowych, co są wszechmożnemi choć niewidnemi świata czynnikami.

Tak tedy wyświeciliśmy, choć po swojemu, tętna, stanowiące tajniki żywota i szkoły padewskiej i florenckiej, a poznaliśmy, choć powierzchownie, jakąto każda z nich idzie drogą, przekazaną im geniuszem, właściwym ich mistrzów. Później zobaczymy, czem inne szkoły przyczyniły się do rozwoju całej a pełnej sztuki.

Lecz ta odrębność i prawie wyłączność cech, rozróżniająca wkrótce owe, tu już wspomniane, szkoły między sobą, sama przez się już budzi w nas domysł, że winna pojawić się trzecia szkoła, co uznała być powołaniem swoim wykształcenie tej strony sztuki malarskiej, do której się nie poczuli ani padewscy, ani florenccy mistrze. Zgadujemy przeto, iż obok tamtych dwóch, prawie sprzecznych sobie kierunków, znajdzie się trzeci, będący dopełnieniem a ostatecznym zestrojem.

Cóż atoli jest niedostatkiem wspólnym obu tamtych szkół mimo ich różnicy? — Koloryt! — Koloryt nie był potęgą najwyższą ani malarzy florenckich, ani padewskich; tamci celują w kompozycyi a Padwanie w rysunku. Koloryt atoli bierze na siebie, jako zadanie żywotne swoje, szkoła mistrzów weneckich.

Jakoż, prócz tylu świetnych zalet, które już nazawsze będą chwałą artystów Wenecyi, krom innych znamion, wykwitłych z tajemnic ich serca — nadewszystko przeciwieź zmysł dla czarodziejstwa barw uczynił ich pod tym względem najwyższym wzorem sztuki.

Któż słowami opisać zdoła to mienienie się i świecenie barw, i przepych tonów co grają, dźwięczą farbami na obrazach weneckich? — Z daleka patrząc na to malowanie, zdaje się, iż widzisz olbrzymi, wspaniały bukiet z kwiatów zbieranych świeżo po rajskich ogrodach. A gdy bliżej przystąpisz, już bukiet przeistoczył się w grona radosnych, szczęśliwych ludzi, wybrańców piękności i szczęścia, odzianych w szaty lśniące bogactwem, w lite, kosztowne, świecące materye; a otacza ich w koło natura uroczą, wdzięczna, co ich ojcowizną błogą, lub obstepuje ich architektura wspaniała a przecież wdzięku pełna.

Patrz, jak promienia te szaty, jak migocą i mienia się barwą i złotem. A dopiero ciała tych figur! One tchną cudną, ciepłą karnacją; upaly życia i pulsa tętnią w tém cieple, oblaném tchem złocistej poświaty. Zaiste, nie wiedzieć jak się to dzieje, lecz patrząc na ten koloryt wenecki, zdawałoby się, iż na samém tle obrazu płoną słońca gorące, co biją przez farby, przeświecając je jasnością, niby krystaliczne przezrocze. Więc te farby same tu żyją, błyszczą i oddychają światłem dziwnem, cudownem. Te barwy tak pełne i świetne, tak wysokie i znów zapadające w cieniach głębokich, te barwy tak są różne i wbrew odwrotne, a przecież nie rażą, a przecież nie są jaskrawe. One tak z sobą zestrojone, tak spływają dziwną harmonią, że w nich niby słyszysz słuchem oczu panujący ton, do którego wszystkie te różne dźwięki nastrojone; słyszysz ton, co jest mistrzem ich wszystkich i wszechwładnym kontrapunktem.

Pytacie może, jakimże trybem ci malarze dostąpili tych rządów w tém zagadkowym państwie barw? jakichże się oni trzymali prawideł w dokonaniu tych dziwów zachwytnych a upajającej rozkoszy? — Ba! gdybyśmy to znali tę receptę na koloryt wenecki, gdyby to można zkad nauczyć się tych formuł czarnoksieżkich na zaklęcie onego czarodziejskiego królestwa barw — jużby też wenecki koloryt nie był jedynym zjawiskiem w całej historii sztuki; jużby on był własnością wszystkich szkół, wszystkich malarzy; nikt z nich nie straszyłby ludzi mętną, oszarganą farbą. A łamanie się dzisiejszych artystów, zwłaszcza francuzkich, byłoby najwyższym uwiecznionym skutkiem.

Gdybyśmy nie znali dziwnej potęgi geniuszu, moglibyśmy powiedzieć, że koloryt Wenecyan zaiste zrodził się jakby jakimś cudem na ziemi. Bo kto zgadnie, kędy pod wieczór chodzą gwiazdy, by zapalić różnobarwne kaganki swoje, kędy rodzą się tęczę lub gdzie mieszka owa czeladka Boża, co maluje niebo zachodu purpurą. Rzekłbyś, że te farby, które widzimy na obrazach Wenecyan, świeciły kiedyś rzeczywiście na młodej ziemi, gdy ona po swoim stworzeniu obchodziła pierwszą szczęsną wiosnę swoją. Rzekłbyś, że dziś te barwy w rzeczywistości omdlały, przygasły, przypalone biedą i ułomnością ludzką.



Jeżeli prawda jest, że jeszcze *Semitecolo*, *Giambono* (\*) i inni artyści owej epoki przejścia są jakby przecuciem skromnym, cichym, ledwie dostrzeżonym tych wszystkich czarów, które kiedyś stać się miały duszą sztuki weneckiej; jeżeli następnie już w Muranesach mocniej a mocniej odzywają się wielkiej przyszłości wróżby, gdy zwłaszcza ich koloryt jest jakby wysłańcem, zapowiadającym nadchodzące jasne sławy; toć już *Jan Bellini* jest ostatnim z poprzedników najświetniejszej epoki malarstwa w Wenecyi. Duch jego, usamowalniając do reszty sztukę z pod średniowiekowej nocnej émy, na rozcież rozgarnął obłoki poranne, niby bramy tryumfalne dla słońca Giorgionów, Tycyanów, Tintorettów i Pawłów z Werony.

Było to jakoś jeszcze w ostatniej ćwiartce XV wieku, gdy cała Wenecya brzmiała chwałą jednego ze swoich malarzy; obrazy jego tak były barwy świetlistej, błyszczącej, farby tak polyskującej, soczyste, że już niepodobna było obaczyć nic śliczniejszego na świecie. A co które nowe malowanie wyniesiono z jego pracowni, to zdawało się jeszcze a jeszcze świetniejszém; więc też podziwieniu nie było końca. Cisnęli się tłumnie nobili weneckie, co same błyszczące, polyskujące i świeciste. Cisnęły się damy cudnej urody, o licu przezroczytém a oku palącym, o ustach niby dumnych a uśmiechających się miłością. Cisnął się kto jeno mógł do szczęsnego malarza, a schlebując jedwabnym słówkiem, zamawiał obrazy dla siebie. A lubo nikt nie zdołał odgadnąć sposobu tego nowego trybu malowania, wszyscy unosili się nad tém dziwem; więc każdy, co świecił zamożnością lub rodem w adryatyckim grodzie, uważał sobie za szczęście zazdrości godne, by ściany pałacowych świetlic jego przystroić się choeby jednym z tych dziwnych a uroczych obrazów. Wszak nawet ten uwieńczony, upieszczony artysta utworzył dla kościoła Św. Kasylna, jednej z parafij weneckich, obraz, co znów stał się przedmiotem oklasków całej Wenecyi. Płynęło tedy pełnym strumieniem złoto do skrzyni artysty, ale nie gościło w niej długo, bo malarz wyprowadził sobie festyny huczne, i uczył i tańce, bo miał serce ochotne a krew wcale nie chłodną.

Otóż zdarzyło się, że pewnego poranku przed mieszkanie hulającego malarza podpłynęła gondola. Z niej wyskoczył jakiś suty noble wenecki; szumiący na nim sajety, aksamity, błyszczał łańcuch złoty na szyi, migotały się klejnoty na szpadzie, powiewało piórko na czapce. Oczywiście znać, że ten elegant jednym z celnych panów weneckich. I wstąpił do izby malarza, prosząc by uczynił wizerunek jego. W okamgnieniu, bez targów dobił zgody. I już artysta maluje. Gość był jakoś roznowny a admirator obrazów, więc dużo prawił o sztuce malowania i sypał pytanie za pytaniem, na które odpowiadał uprzejmie mistrz, choć z tém trudną miał spra-

(\*) Zob. str. 278 i 280.

wę; bo wielce szkoda, że temu obcemu panu, co tak grzeczny i uprzejmy, brakło nawet najdrobniejszego pojęcia o malarstwie; bo co usta otworzył już wylatywały jakieś niestworzone rzeczy, jakieś herezye przeciw sztuce, budzące uśmiech na licach mistrza. Ale za te grube niewiomości wynagradzał ten świecisty pan wielką pilnością; bo żadnego razu nie chybił na posiedzenie — i zaledwie od placu S-go Marka przyplływał głos zegaru, dając znać, że już nadeszła umówiona godzina, juźci przed oknami malarza słyhać było plusk wiosel gondoli świecistego magnatka.

Już, już dogorywała liczba tych posiedzeń, już, już wizerunek miał być skończony, gdy nagle gdzieś zniknął nobile; a chociaż już był za obraz zapłacił, nie posłał nawet po niego, i przepadł gdzieś bez śladu.

Teraz przyda się powiedzieć, że ten malarz zwał się *Antonello d'Antonio*, znany skróconem imieniem *Antonello da Messina*; a tym elegantem złocistym jest *Giovanni Bellini* — malarz przebrany za weneckiego panka.

Rzecz z *Antonello da Messina* tak się miała: — on, jak z przydomku widzicie, rodził się w Sycylii i jak się zdaje, około r. 1414. Już on w mieście rodzinnem był nie ostatnim artystą i weale znakomicie rysował i malował. Gdy atoli król Alfons I wrócił na państwo swoje i osiadł w Neapolu, przybył tam i Antonello; bo w stolicy było dworno i szumno, i nie brakło zbytku i smaku i ochoty do sztuki i piękności; więc i artystom łatwiej się tam było chować i hodować, trzymając się klamki dworskiej. Więc i nasz malarz rysował i malował skrzętnie w Neapolu — i dosłużył się nawet niezgorszego imienia, gdy nagle po mieście całem gruchnęła wieść, że król Alfons otrzymał z dalekiej mglistej północy, bo z Niderlandów, jakiś obraz, jeszcze niewidzianej, niesłychanej ślicznoty barw, co cały połyskujący, mieniący, bo malowany jakimś nieznanym sposobem. Na te odgłosy Antonello już nie spoczął ani sypiał po nocach; bo go ciaskała gorąca, niepohamowana żądza widzenia tego obrazu. On o tem tylko marzył i śnił i myślał, aby się jakoś do pałacu królewskiego dostać. Jak się tedy jał chodzić i starać, tak i na swoim postawił. Gdy atoli w świetlicach królewskich ujrzał ten obraz cudny, dziwny, zadrzał w zachwyceniu; — niezadługo też, nikomu się nie sprawiając, ruszył do Niderlandów, by poznać owego mistrza o czarodziejskich farbach.

I miał po co i miał do kogo się śpieszyć Antonello da Messina; bo w Niderlandach żyło wtedy dwóch braci malarzy nazwiskiem *Van Eyck*, z których starszy zwał się *Hubert* a młodszy *Jan* nierównie przewyższający geniuszem brata (\*). Otóż ten Jan, którego

(\*) Bracia *van Eyck*, Hubert ur. 1366 † 1436 i Jan ur. 1390 † 1441 r., są założycielami tak zwanęj staroflandryjskiej szkoły malarstwa. Nowsi historycy oddają pierwszeństwo w sztuce *Hubertowi*, wykazując, że Jan pracował przy boku



Włosi od miasta, w którym pracował, zowią Giovanni da Bruggia, był głową szkoły znaney pod imieniem staro-flandryjskiej; a co więcej, on to wynalazł kunszt olejnego malowania, a tém samem stworzył ogromny zwrot w sztuce, która najczęściej malowała *alla tempora* (\*). Rządym go z serca uczyć kilką rysami jego żywota i wysokich zasług, ale wiecie jak nam śpieszno, i że w tej wycieczce po Włoszech ledwie dotkniemy się słówkiem artystów włoskich; tém mniej tedy czasu, by rozszerzać się nad innymi, zwłaszcza nie włoskimi malarzami. Dość na tém, że Antonello przybywa do zacnego Van Eycka, a tak mu się umiał zasługiwać, zalecać, że go ten wielce polubił, — a gdy nasz Włosek darował mu jeszcze cały zbiór rysunków, gdy z miłością a uwielbieniem przytulił się do Jana, już ten, zdjęty życzliwością dla ucznia, pokazał mu, jak to się maluje olejno. Antonello, wróciwszy do Włoch, przybywa do Wenecyi. Zaledwie stanął w tym grodzie czarodzieju, gdy go oczyniła Wenecya rozkoszami swojemi, bo to było miasto oddane ochotnej zabawie i wszystkim przyjemnostkom życia; lubiła się śmiać i śpiewać, tańczyć i radować się, a nadewszystko już była bogata w dusze kochane a kochające. Bo dobrze wam wiedzieć, że mimo morzo-władnego Neptuna, w Wenecyi wodziła rej owa rodzona matka kupidynowa. To wszystko przypadło w rym naszemu Antonello, który, jak wam wspominałem, także miał temperament miłosny, a serce nie z bibuły. Więc postanowił pozostać już do śmierci w Wenecyi i w niej żyć podług swojego „gustu“ (*secundo il suo gusto*, powiada Vasari).

Rozumiemy już tedy, jako *Jan Bellini*, zaczaiwszy się na Antonella w sukniach błyszczących nieświadomego nobili, podpatrzył kunszt o farbách olejnych. Powiecie zapewne, że to nie było wcale ładnie z jego strony, iż tak zdradą podszedł mistrza. Nie ma co mówić — ale kto wie, czyli to wszystko i prawda! Bo lubo stary Ridolfi, żyjący bliżej tych czasów, pierwszy (o ile wiem) wspomina o tym podstępie Belliniego (\*\*), są jednak inni, którzy zapewniają, że Antonello nie tail się przed nikim ze sztuką swoją, i że z całą otwartością udzielał jej innym artystom; co być łatwo może, bo, jak wiadomo, hulacze o ciepłej krwi zwykle bywają życzliwego i che-

---

starszego brata i rozwijał tylko jego pomysły. Hubertowi także przypisują wynalazek olejnego malowania. Zob. *Hotho*, Die Malerschule Huberts van Eyck, 2 tomy, 1858, oraz *Görting*, Geschichte der Malerei, 1866 T. I, str. 240 i nast. — St.

(\*) *Alla tempora* albo *in tempora*, sposób malowania, którego obok fresco używano przed czasami Cimabuego aż do XVI wieku, więc w epoce od 1200 do 1500. Malowanie takowe zależy na tém, iż powlekano deske, płótno tłem z gipsu, na którym dopiero malowano farbami zaprawionemi żółtkiem z jaj i niektórymi żywicami (np. lodygami z figi), co przyspieszało schnięcie farb. Wszak długo jeszcze artyści używali zarazem sposobu in tempora i farb olejnych, jak np. sam Bellini.

(\*\*) W „Le Maraviglie dell' Arte overo le Vite degli Illustri Pittori Veneti in Venetia“ 1648, in 4-to. Ta ważna książka jest jedném ze źródeł, z których tu czerpiemy.

tnego dla innych serca. Lecz w najgorszym razie, choćby i tak było, to przecież Belliniego nie wolno mierzyć miarą powszednich, codziennych ludzi; bo artyści mają jakieś pewne przywileje; im nie jedno do twarzy, co nie uchodzi nam prozaicznym ludziom — rozumie się, byleby nie nadużywali tych przywilejów i byleby byli prawdziwymi, a nie na żarty, artystami. Alboż my wiemy, lub wiedzieć możemy, jaki niepokój palił duszę Belliniego, ile się z sobą nałamał, ile bezsennych nocy strawił, zanim się dowiedział o tym nowym i tak wielkim, świetnym kunszcie malowania? Otóż na dowód, że te domysły nie puste, ani obrane z prawdy historycznej, powiem, co się stała za zbrodnia szkaradna właśnie z powodu tego malowania olejnego, a która właśnie wykonana była na jednym z uczniów Antonella.

Jakoż, nasz Antonello udzielił był tajemnicę swoją *Dominikowi Veneziano* (\*), co mu się stał najmiłszym uczniem a przyjacielem od serca. Więc też Dominik, bawiąc później we Florencyi, wzbudził uwagę całego miasta dziwnie pięknem malowaniem swoim. Byle kto ucha nadstawił, już słyszał chwałę obcego artysty, bo smak do sztuki a zamiłowanie w umiejętności było chlebem powszednim tej znacznej stolicy. Przecież w tym czasie żył także we Florencyi wśród mnogich artystów i *Andrea del Castagno*, będący zaiste jednym ze znakomitszych malarzy owego okresu (ur. 1406 um. 1480), lecz za to był człkiem, co zaprzedał duszę demonowi pychy i zazdrości. Więc łasi się Dominikowi, nadskakuje mu udaną przyjaźnią a judaszowym uśmiechem, aż się wśliznął w serce zacne weneckiego malarza. Dominik, człowiek z duszą ciepłą, pełną życzliwości dla ludzi, zwiedziony chytrą obłudą, przywiązał się cały szczerze do zdrajcy. Więc pewnego razu, w chwili przyjacielskiego wylania, wyjawil mu cały tajemny proceder olejnego malarstwa. Mimo tego dowodu szczerzej doznanej przyjaźni, zazdrość, zawiść miotła sercem Andrzeja del Castagno. On w dobroczyńcy swoim widział tylko niebezpiecznego, bo pełnego talentu rywala; więc był miotany chucią, by on sam stał się jedynie dziedzicem tajemniczego kunsztu. Tak od dnia do dnia zły duch silniej a silniej rozpierał się w ciemnej duszy Andrzeja, a nakoniec szepnął mu myśl, aby się pozbył współzawodnika i sam jeden jaśniał we Florencyi chwałą, którą dotychczas dzielił z Dominikiem. Ta myśl, raz ogarnąwszy złościka, stała się w nim niezłomnym, niezworotnym wyrokiem. Chodziło mu tylko o to, aby omajaczyć uwagę miasta, a nie chybić nadającej się do zamysłu godzinny. Więc ciągle już żyje w kłamanej przyjaźni z towarzyszem swoim, niby kochając go jak brata i wszystkie zabawy i prace z nim dzielając. Obaj razem malowali w kościele Santa

(\*) Domenico di Bartolomeo, zwany *Veneziano* albo da Venezia ur. 1408 1464 r. — St.



Maria Nuova, obaj razem mieszkali i wspólnie jadali i przechadzali się; — co więcej Andrzej wtórował Dominikowi na lutni, gdy ten wyprawiał po nocach serenadki swoim damom. A przecież nie było już dwóch ludzi tak niepodobnych do siebie, jak obaj ci koledzy a przyjaciele. Dość spojrzeć na wizerunek Andrzeja, umieszczony przy żywocie jego w Vasarim, by w tej twarzy o ustach grubych, w tych oczach, z ukosa patrzących, wyczytać naturę drapieżną, duszę zdradną jadem przejętą. Nie dziwimy się też, gdy nam prawią, że, mimo wielu zalet jego obrazów, przecież z nich straszy jakaś ponura posępność, że się w nich czai jakiś złośliwy, odpychający demon. Przeciwnie Domenico Veneziano był człkiem lekkim, wesołym, żyjącym w zgodzie z każdym, lubionym od wszystkich; a nadto, śpiewał pięknie i grał po mistrzowsku na lutni, co mu także niewoliło serce nie jednej piękności.

Pewnego razu, gdy się już dobrze pod noc miało, Dominik bierze lutnię i, wybierając się na serenadę, zaprasza z sobą przyjaciela swojego. Andrzej żałuje, że mu dziś towarzyszyć nie może, zajęty będąc pracą około rysunków wymagających pośpiechu. Lecz zaledwie wyszedł Dominik, gdy Castagno, troszkę poczekawszy, okrywa się płaszczem, bierze w garść ogromny kawał ołowiu i cichaczem śpieszy za nieszczęśliwym. Znając cel drogi, zasadził się na rogu jakiej ulicy. — Z daleka, w pośród spokojnej nocy, słyszy kroki już zbliżającego się towarzysza i wesołe jego nócenie. Andrzej rzuca się na niego i sztuką ołowiu uderza go w skronie, a powtórzywszy ciosy mordercze, przekonany, że dokonał swojego, znowu kocim chyłkiem, krytym sztychem niedopatrzony wraca do mieszkania w S. Maria Nuova, i, zamknąwszy się w izbie, siada napowrót do rysunków swoich. Wkrótce potem słychać na schodach łoskot, krzyk, narzekanie i zgiełk — to słudzy, co śpieszą z doniesieniem o okropnym zamordowaniu przyjaciela jego. Castagno, niby przełknięty, w najstraszniejszej rozpacz, biegnie ze sługami na miejsce zbrodni. Tam już grono ludzi obstało konającego Dominika. Więc Andrzej, udając rozpacz i klamiąc okropną boleść, klęka obok przyjaciela i, biorąc krew zalanego w objęcie swoje, woła: „o bracie mój! o bracie mój drogi!“ Niezadługo Dominik na rękach własnego mordercy wyzionął ducha.

Wnet rozpoczęło się dochodzenie zbrodni — wiele osób uwieziono napróżno. Morderca przepadł bez śladu. Bo nikt nie przypuszczał, aby Andrzej mógł być jej sprawcą. A okropna tajemnica nie byłaby się nigdy odsłoniła światu, gdyby nie własne zeznanie Andrzeja. Jakoż, on jeszcze wiele, wiele lat przeżywszy na świecie, i doczekawszy się później starości, w obec skonu i Bożego sądu, na łożu śmierci wyznał zbrodnię, która mu była okrutnym piekłem wśród długiego żywota, a szatanem ściągającym przez wszystkie lata, i dniem i nocą nieużywającym nigdy pokoju.

Powiedzmy sobie, czyli tedy, obok haniebnego czynu Andrzeja

Castagno, koncepcik Jana Belliniego, choć nieco podstępny, nie ma-  
leje na lekki figiel, co mu pewnie nie pójdzie na karb śmiertelnego  
grzechu; a to tém mniej, iż on w sztuce rozwinął się na pociechę  
i chwałę ojczyzny swojej, a nam późnym pokoleniom na istne duchow-  
we wesele.

Otóż imię „Bellini“ zamknęło w sobie znowu jedną z tych szczę-  
śliwych artystycznych rodzin. Bo ojciec Jana, zowiący się *Jacopo  
Bellini* (ur. 1400, um. 1470) był także malarzem, choć nie osobliwym,  
mimo tego, że miał nauczyciela znanego już nam Franciszka Squar-  
cione (\*), a potem wielce słynnego *Gentile da Fabriano* (\*\*). O tym  
Gentile nie wypada mi tutaj rozprawić, bo on do szkoły toskańskiej  
należy, a przecież my, lubo bawimy w Wenecyi, zaledwie dotknąć  
możemy najznamienitszych jej artystów. Dość na tém, że Fabriano  
jest malarzem tchnącym tak lubą, wdzięczną słodyczą, że jego fanta-  
zya zdaje się być niby uśmiechającym się aniołkiem, co wie wszystko,  
co się w niebie dzieje i te powieści nadziemskie swoje rozpowiada  
farbami na obrazie malowanym. Lubo atoli Jacopo Bellini nie dopiął  
się jasnych wysokości mistrza swojego, chował go jednak w tak  
wdzięcznej pamięci, iż na jego cześć synowi swojemu starszemu dał  
imię *Gentile* (ur. 1421, um. 1501), — i ten syn jego był także mala-  
rzem, a nawet wielce świetnym malarzem. Przewyższał atoli i tego  
brata i ojca syn drugi *Giovanni Bellini*, zwykle Gianbellino przez  
skrócenie zwany; otóżto on, nasz dawny znajomy a mistrz rejoyodny  
nowej epoki artystycznego świata.

Długi żywot był, jak się zdaje, błogosławieństwem tej rodziny,  
bo gdy ojciec Jacopo dożył 70-go roku, a Gentile 80-go, wielki Gio-  
vanni podobno jeszcze w 90-ciu leciech życia był czynnym z pędzlem  
a paletą w ręku. Rzeklibyś, że duchowość idealna, wnosząca zwa-  
szcza tego mistrza nad życie zmysłowe cielesne, umiała go też obro-  
nić przez długie lata naturze materialnej własnego ciała. Co więcej,  
ten Giovanni, który i w późnej jeszcze starości przemagał wrogie  
wszystkim ludziom potęgę natury, wyswobodził równie, jak wiecie,  
do reszty sztukę z ciężkiej średnio-wiekowej niewoli, która, jakby  
ślepe, głuche moce przyrody, ciążyła na duchu ludzkim. On geniu-  
szem swoim wykupił piękność, wyzwolił ją z pod czarów materyi,  
wionął na nią życie młode wiosenne; jak ów rycerz w bajce, co  
ucalowaniem miłości pełnem, co wyrzeczonem słówkiem wyzwolił  
kochankę z pod oczynienia czarownicy złowrogiej.

Zaprawdę, w tym Bellinim fantazyja artystyczna odetchnęła ca-  
łemi pełnemi pierściami; ona tak lekka, swobodna, uskrzydłona, że  
wedle woli swojej to wzbija się w górę i w niebo zagląda, to znow

(\*) Zob. powyżej str. 291.

(\*\*) *Gentile da Fabriano*, zwany także *Marc Ancona*, urodzony około 1360,  
um. 1450. — St.



schodząc w tuteczne poniża, rozświeca tęskne, mgliste émy naszego żywota. Ta fantazyja wielkiego mistrza jest wyrozumiałą na ludzkie uczucia, lecz je uzacnia, uszlachetnia.

Jakoż ową swobodę fantazyi lekko-skrzydlatéj, ten jéj oddech, co zjednal téż mistrzowi Belliniemu ową ciszę błogą a pokój, niezamącony ziemską biedą, widzisz równie w świętych jego postaciach. Uczucia czyste, nieskalane owiały duszę jego, zwłaszcza w chwilach, gdy malował Madonny swoje. Rzekłbyś, że one tchną wonią wiosennych bożych fiodków: tak ci lubo i niebiańsko a rzewnie, gdy staniesz przed jednym z tych wizerunków Boga-Rodzicy! Atoli wielki ten mistrz wzbijał się już lotami natchnienia do najwyższych naniebnych wysokości, gdy mu przychodziło przedstawiać ludziom śmiertelnym oblicze i postać ich Zbawiciela. Wszystko, co tylko szlachetne, nadziemskie, co wiekuiste, tutaj staje się psalmem widomym. Przecież ten Jan Bellini jest jeszcze weneckim malarzem, więc mu nie obce są, jak rzekłem, ziemskie uczucia, ziemskie radości i doczesne wesela; więc je téż rozświecła jasnością wdzięków czarownych, a tak uzacnia i wznosi nawet życie codzienne. On jest weneckim malarzem, zatem i koloryt już u niego pełny i przepyszny, w czém go jedynie jeszcze przewyższyli wielcy uczniowie a następcy jego.

Zamiast atoli prawić z pamięci o cechach mistrza Belliniego, chciéjmy raczej idąc zwykłym trybem naszym, naocznie się przypatryć charakterystycznym cechom tego mistrza na własnych jego pracach.

Akademia przechowuje niektóre z nich, jako kosztowne klejnoty sztuki weneckiej. Najprzód znajdziemy tutaj Najświętszą Pannę królującą świata. Ten obraz był niegdyś przeznaczony do kościoła Św. Hioba, a jest tém więcéj zajmujący, iż to było podobno pierwsze dzieło, które Bellini olejno malował.

Przestrzeń architektoniczna przedstawia jakby niżę wielkiego ołtarza (jak to bywa w kościołach stylu romańskiego), ujętą z przodu łukiem krągłym, spoczywającym na dwóch zdobnych pilastrach stylu lombardzko-romańskiego. U góry niży udane mozaiki. Zdaje się, że to malowane budowanie odpowiada rzeczywistéj architekturze kościoła, dla którego było przeznaczone i jest jakby dalszym jéj ciągiem. W środku niży N. Panna, na prawéj ręce trzyma Bożego Syna, lewą podniosła jakby przemawiała do świata o wiekuistej sprawie odkupienia ludzkiego rodu. Po jéj stronie prawéj najbliżéj stanął Św. Franciszek z Assyżu, przy nim Św. Jan Chrzciciel, dalej Hiob. Po lewéj ŚŚ. Sebastyan, Augustyn i Dominik. U stóp tronu trzech aniołków przygrywających na lutniach i skrzypcach. Prawda, że Matka Boża pełna słodyczy i rzewnej lubości niebiańskiej; ona daleka od sztywnego, twardego wymuszenia, które cełuje jéj wizerunek u dawniejszych a znanych nam już szkół — prawda, ale, mimo tego, trudno zrazu pojąć czém się dzieje, że jéj postać na

tym obrazie Belliniego, mimo tej lubości miękkiej, mimo nawet braku najwyższej idealnej piękności, jest przecież tak wzniosłego, dziwnego majestatu. Ta zagadka ci się rozwiąże, gdy się bliżej rozpatrzysz w całej kompozycji. Poznasz albowiem, że wszystkie jej szczegóły, wiążąc się w całkowitą organiczną jedność, a nawzajem się potęgując i uzupełniając, nadają tę moc i znaczenie wysokie postaci Boga-Rodzicy jako głównej figurze tego obrazu, jako jego sercu a ognisku.

Najprzód otoczenie architektoniczne, lubo pędzlem stworzone, przesłicznie zamyka i niża i łukiem, i pilastrami tę grupę; a tak już zewnętrznie łączy wszystkie figury w całość harmonijną a wysoką treści.

Następnie Pacholę Ś-te, choć jeszcze dzieciątkiem, patrzy jakby wiecejności oczyma — tak spojrzenie i oblicze Jego uroczyste a grozy pełne. Dalej, te aniołki, co siadły na stopniach, są przedudnej piękności dzieci, lubo mistrz, z mądrością rodzącą się z prawdziwego natchnienia, nie udzielił im tej uroczystości niebnej, co jaśnieje rzewnością na obliczu Pana Jezusa; są to dzieci, zrodzone w nadgwiazdnych edenach, igrające i śpiewające całym sercem na chwałę onemu pacholęciu, co samą jest ofiarą a zarazem kapłanem ofiarnym za winy świata. Nakoniec uzupełniają kompozycją święci mężowie, stojący dworem około Pani nieba i ziemi. Nic cudniejszego nad tę postać Św. Sebastjana! Męczennik bez sukni, biodra tylko odziane lekką draperją; zatem wdzięk cały tej postaci zwiastuje, jakim to Bellini był mistrzem w stwarzaniu przyrodzonych uroków ludzkiego ciała. Tu nie ma tych twardych kolorów, konturów szorstkich lubo bezchybnych, co stanęły za chwałę szkole padewskiej. Św. Sebastjan tutaj zjawia się nam młodzieńcem rozkwitłej pełnej wiosny żywota swojego. Z mistrzowska znowu naprzeciw niego Bellini postawił Hioba, onego męża prawego co trwał w ufności do Boga, którego tak ciężko ręka Pańska nawiedziła. Hiob jest bez szat, boć to on rzekł: „Nagim wyszedł z łona matki, nagim się do niego wrócić! Pan dał, Pan wziął! Niech będzie imię Pańskie błogosławione!“ — Lubo tutaj widzisz ciało starca, lubo po jego całej postaci jakby uwidomione słowa, że „człowiek narodzony z niewiasty dni krótkich jest i pełen kłopotu“, że on „wyrasta jako kwiat i bywa podcięty jako trawa, a ucieka jako cień i nie ostoi się“ (*Hiob XIV*); przecież na tém ciele znękaném od strachu, miotaném boleścią, rozlana lubość dziwna i cudny wdzięk. Mistrz dokazał arcsztuki, że omdlenie sił fizycznych, że zwiędnięte życie zdołał wnieść do piękności uroczej, nadziemskiej, i że tak zarazem pocieszając przypomniał, że Pan przyjął Hioba oblicze po mękach i katuszach ziemskich i błogosławił go, że Hiob odrodził się nowym żywotem, bo się odrodził w Bogu.

Otoż, całą tę kompozycją razem ujawszy w jedność, już zrozumiemy na tym obrazie, z kąd w postaci Boga-Rodzicy owa uroczy-



stość majestatu pełna. Bo, jakem rzekł, dopiero całość kompozycyi a wszystkie szczegóły, nawzajem się dopełniające, potęgują wrażenie tych figur, a tём samém nadają głębsze znaczenie głównej postaci, bo samej Pannie Przenajświętszej. Łatwo ztąd poznać możesz, że te figury nie dadzą się rozłączyć od siebie, jak to zwykle mogło mieć miejsce w dziełach padewskiej szkoły; bo postaci Belliniego są muzykalnie zestrojone z sobą, więc im też przygrywiają anieli niebiańską harmonią, co śpiewa u stóp Pani światem władnącej. Prawda, że tutaj widzimy jeszcze pewną symetrią w ustawieniu tych figur; jednak ona, o ile mnie się zdaje, jest wypływem samej istoty obrazu, co, będąc przeznaczony dla kościelnego ołtarza, wymaga uroczystości i grozy. Mimo tego atoli, ta symetryczność bynajmniej nie jest owém ustawieniem posagowém, które nas uderzało w obrazach szkół dawniejszych. Jakoż Bellini jest już istnym malarzem; on już wyswobodzony z dusznego jęctwa Padwanów; on już nie dłutem, lecz pędzlem stwarza swoje obrazy.

Znać nawet wyraźnie, że ten wielki mistrz odprawiał w duchu swoim epoki artystycznego rozwoju, gdyż im późniejsze są jego dzieła, tём wyższa lotność a swoboda jego twórczej fantazyi. Abyście się o tём przekonali, dość nam spojrzeć na inny obraz, co urosł w następnym okresie wzmagającego się jego geniuszu. I tutaj widzimy, wśród grona świętych postaci, Bożą Matkę z dziecićciem Zbawienia na rękach; ona atoli teraz już nie usiadła na tronie, nawet nie jest wzniesieniem posadzki odosobnioną od świętych osób co jój towarzyszą. Jakaś luba, niebiańska poufalość, jakaś serdeczność wzajemna łączy tę wszystką czeladź Bożą z Królową wszech światów. Te figury otoczyły Rodzicę Zbawiciela, stając z nią nawet na jedném i tём samém tle; a lubo jedne z nich się modlą, drugie patrzą na Matkę i dziecię z rozrzewnieniem i czią, przecież nie ma w nich lęku ani grozy, bo one wszystkie tchną samą miłością; jedném ich wszystkich wspólném sercem jest miłość bez granic a tkliwe uwielbienie dla Bożej Matki. Tutaj nawet nie ma cienia symetrii wymyślonej; bo lubo te postaci stanęły pięknie i prawdziwie artystycznie się grupują, to się jednak zdaje, że one tak stanęły przypadkiem szczęśliwym, wcale o nim nie myśląc.

Nie ma tedy dziwu, że swoboda, słodycz, że woń nadziemskiego spokoju opłynęła atmosferą to grono całe, i że widz ssie oczyma duszy z tych światów nadgwiazdnych cichotę przeczystą, a pokój święty, co utula i ukaja w sercu człowieka ekliwości ziemskie i bolejące biedy.

Nie skończyłbym w rychłe tych rozpraw moich, gdyby mi wypadło choć przelotnie pomówić o innych obrazach Belliniego, co, jakby w piękności skarbnicy, przechowują się w akademii weneckiej; a mniej mi podobno starczy czasu, abym wam przy sposobności jakiej prawil o innych arcydziełach naszego Jana, które tak suto

jeszcze znajdują się po kościołach Wenecyi (\*). Jest ich niezbyt mało i po innych miastach włoskich a nawet w za-italskich stolicach Europy. Wszak jeden z obrazów Belliniego niezbyt dawno jakieś zaoceaniskie Amerykany ze sobą uniosły.

Amerykanie! Co tym ludziom po dziełach sztuki a zwłaszcza po Bellinim! Niechby już przestali na tych grubych dollarach, któremi tak się chlubią; lecz niechaj nas, synów Europy, nie obierają z arcydzieł arcy mistrzów naszych. Nie dosęże już nam na tych pankach i podpankach angielskich, co wykupują ze stałego ładu całej naszej części świata słynne dzieła sztuki, a to aby je wzięć przed światem w zamkach i zameczkach niedostępnych, zaklętych, a to jedynie dla parady i dla dogodzenia częściej pysze. Bo one wrzekome amatory sztuki jak najczęściej nie mają uszu muzycznych, tak zwykle nie mają oczu dla obrazów i posągów. Dopiero Amerykany! — co im do mistrzów naszej Europy? która tak krwawym trudem, tak długowiekowym łamaniem się zapracowała sobie na te rajskie kwiaty swojego geniuszu. Te dzieła są naszą, są Europy własnością; do tych dzieł nic wcale nie przyczyniła się kupcząca Ameryka. A potem, czyliż te dzieła wielkich mistrzów włoskich, oderwane z pod ojczyzstego nieba, od rodzinnej ziemi, rozwiedzione od swojej historii, będą zrozumiane wśród kupczących handlarzy? Czyliż atmosfera, w której prosperuje niewola murzynów a kaci frymark na istoty ludzkie, jest atmosferą dla ducha Belliniego, co tak jasny, przeczytsty, niebiański jako cherubinów śpiew, jak gwiazdka co dopiero uleciała z dłoni miłości wiekuiściej?

Lecz widzę, że mnie uniosły nieco gniewne a zbyt jaskrawe żale: więc wracam do Bellinich, a mianowicie już do *Gentile Bellini*, który, jak wiecie, był starszym bratem Jana (\*\*). Na czole jego zaiste już nie świeciła owa jasność płomienna geniuszu, co jakby aureolą uwieńczyła głowę brata; jednak zaprawdę i on jest także wielce znakomitym mistrzem, a co mu brakło geniuszu, dosadził uczciwie pilną pracą i sumienném ćwiczeniem. I dla tego *Gentile Bellini* wzrosł do świetnej chwały i okazał, że to nie bajka owo stare przysłowie, że praca wytrwała a cierpliwość niezniekana jest istnym talentem. Ztąd też obaj bracia, połączeni krwią po ojcu, poślubili sobie jeszcze pokrewieństwo po sztuce; a choć losy rozniosły ich daleko od siebie, oni przecież ciągle byli razem z sobą, byli sercem braterskiem nawzajem sobie obecni. Bo nie małe to były podróże zwłaszcza na ową epokę, które odprawił *Gentile*, — wszak nawet bawił i w Turczach. Bo *Sułtan Mahomet II*, którego raz przy-

(\*) Np. w kościele Św. Jana i Pawła. Św. Zacharyasza, Św. Jana Chryzostoma. we Frari, w Salvatore, i t. d. i t. d. (Piękna Madonna Belliniego w *S. Giovanni e Paolo* spaliła się w pożarze, który 15 Sierpnia 1867 nawiedził ten kościół. — St.)

(\*\*) Zob. powyżej str. 304.



padkiem nasza ochota posiadania portretu swojego, upraszał senat wenecki, by mu przysłał jakiego z celujących malarzy wizerunków. Senat wybrał Gentilego, który też pojechał do Stambułu, i tak grako się sprawił, tak z mistrzowska odmalował sułtana, że się wszystkim Turczydom zdawało, że Gentile cudu dokonał; bo nikt z nich nie wierzył, żeby człek śmiertelny miał taką moc Boską w sobie, żeby zdołał przedstawić rzeczy przyrodzone jako żywe. Więc Gentile odbierał hojnie i pochwały bisurmańskie, a sułtan, obsypawszy go bogatemi darami, najpiękniej i jak tylko mógł najcieplej polecił go względem rzeczypospolitej weneckiej. Są atoli pisarze, co inną wręcz przeciwną, opowiadają historią; bo mówią, że sułtan, widząc obraz Belliniego przedstawiający ściętą głowę Św. Jana, jął się krytyki, a mianowicie wytknął błędy w rysowaniu szyi. Gentile wątpił o słuszności zarzutu. Więc sułtan, dla przekonania artysty, kazał zawołać greckiego niewolnika i temu biedakowi, dobywszy szabli, jednym zamachem ściał głowę. Tym dowodem zupełnie przekonany odszedł malarz i, nie żegnając się zbytecznie z Turkami, krytym sztychem udawszy się na okręt, wrócił do Wenecyi.

Akademia wenecka posiada dwa wielce słynne obrazy Gentilego, a oba odnoszą się do cudu, który się przytrafił z krzyżem świętym w Wenecyi. Była bowiem tradycya, że w XIV wieku krzyż, należący do bractwa Św. Jana, wpadł w wodę kanału właśnie w czasie, gdy bractwo odbywało processyą do kościoła Św. Wawrzyńca. Otóż, lubo ten krzyż, choć był z drogich kruszców i kosztownie figurkami ozdobiony, zatem wielce ciężki, przecież nie poszedł na dno, ale pływał po wierzchu wody. Mnóstwo osób z bractwa i pobożnych towarzyszy wskoczyło w morze aby go ratować; atoli co który z nich wyciągnął rękę, już krzyż cofał się od niej unikając spotkania. Aż w końcu Vendramin, starszy w bractwie, sam skoczył w wodę; jemu też, jako mężowi wielce pobożnemu, krzyż ująć się pozwolił. Wynosi tedy z wody Vendramin świętą relikwię, przy odgłosie okrzyków radości bractwa i tłumu ludu. I tę chwilę właśnie przedstawił Gentile. Wielką tu widać pracowitość w wyrobieniu tych nieprzeliczonych małych figur i znajomość niepospolitą perspektywy; przecież widać jeszcze jakąś bojaźń, znać brak ruchu i brak różności w ugrupowaniu ludu; figury zanadto jednostajne, niektóre z nich stoją rzędem lub klęczą obok siebie. Za to jednak wielce, wedle mnie, zajmujące są domy otaczające w kolo tę scenę. To istna dawna Wenecya! Te domy są wprawdzie o łodzyach, one atoli jeszcze, jak się zdaje, w stylu czysto romańskim; obok nich inne domowstwa, które tak wskroś mają fizyognomie wschodnie, jak gdyby je ów olbrzym-ptak Skala w jednej z „tysiaca nocy“ poprzeniósł wprost z Arabii.

Drugi obraz Gentilego przedstawia processyą, która także z powodu tegoż Św. Krzyża odbyła się na placu Św. Marka. I tutaj znać znakomitą umiejętność naszego artysty i wielką prawdę, będą-

ca skutkiem jego pracowitości sumiennej; widać jak on studyował naturę, jak umiał doskonale rysować, jak rozporządzać gruppami, jak je ustawiać. I ten obraz jest jakby okienkiem, przez które zaglądać możesz w dawno uplynione czasy. Długim rzędem ciągnie processya. Tataj istne średnie wieki w ubraniu figur i zachowaniu się dygnitarzy republiki weneckiej w uroczystościach publicznych,— a nadto, widać jakie miał wejrzenie naówczas plac Św. Marka. Pałac dożów, którego część w oddaleniu widać, jest ten sam co dziś, ale pałac Nowych Prokuracyj jeszcze pokazuje się innym kształtem, wieża zegarowa nie istnieje jeszcze. Lecz za to kościół Św. Marka świeci gęstym przepychem, lśnią złotem kopuły, mozaiki, szczyty i błyszczą jakby w senniej ułudnej powieści. Ta pozłota kosztowna i jej blaski dziś omdlały; wyjedzone od żywiołów trawiących przez długie lata w części zniknęły bez śladu.

Więcie, jak to geniusz, gdy wstąpi wśród ludzi, pojawieniem swoim potraça całe świetne grono znakomitych talentów, co już, grzejąc się w promieniach wielkiego człowieka, idą wytkniętym szlakiem, który im zostawiły stopy jego. Tak Gianbellino (Jan Bellini) udarował świat piękności liczną a zacną czeladzią, co pracowała świetnie w służbie sztuki, jako ukochanej pani swojej. Wśród nich prowadzi rój *Giambatista Cima*, zwany od miejsca rodzinnego *da Conegliano*. Nie wiedzieć kiedy się Cima urodził, wiadomo tylko, że jeszcze żył w r. 1517. Mają w tej akademii piękne rzeczy jego ręki: np. Madonnę na tronie, w koło sześciu świętych, a u stóp tronu dwóch aniołków grających a przybranych w długie fałdziste szaty. Nad tronem cały wieniec anielskich główek, co unosząc się na powietrzu, przysłuchują się tej muzyce starszych braciszków. To wszystko wielce lubie, choć poważne i uroczyste — barwy kwitną blaskiem, rysunek trafny, choć ugrupowanie jakieś nieśmiałe i bojaźliwie. Żal mi tylko, że nie staje czasu na przywodenie imion innych mistrzów, którzyby zaiste godni byli obszerniejszej rozprawy; pamiętajmy sobie atoli choć celujących, jakimi są: *Girolamo di santa Croce*, *Vincenzio Catena*. Tego Catenę wyobrażają w galerii dwie postaci wielkiej piękności, bo ŚŚ. Hieronim i Augustyn. Nie zapominajmy też, że znakomitego pędzla był *Marco Marccone*, którego niektórzy także liczą do zwolenników Gianbellina (\*).

Prócz tych naczelných a wierných uczniów wzorodawcy swojego, odznaczało się współcześnie grono artystów, którzy nie uszli potężnego wpływu jego, choć w ich dziełach jeszcze szepcą odgłosy szkoły padewskiej; takim był np. już znany nam *Bartolommeo Montagna* (\*\*), który uczuł wdzięk Belliniego, choć, jak wiemy, był silnie

(\*) Krom tych, choć znakomici, mniejszej atoli wagi są: Bissolo, Pennachi, Martino da Udine, Antonio Previtali i t. d.

(\*\*) Zob. powyżej str. 294.



przejęty Padwą. Wszak jeden z jego obrazów już powyżej rozegraliśmy. Potém staje w szeregu *Francesco Morone*, talent iście świecący, niby gwiazdka wśród innych współczesnych. Dalej występuje szanowny *Girolamo dai Libri*, tak nazwany po ojcu, malarzu książek i t. d.

Przecież nie rozumiemy jakoby Gianbellino już się stał samowładczą wszystkich mu współczesnych malarzy w Wenecyi, owszem byli tacy, którzy, choć nie zdołali uniknąć duchowego z nim związku, przecież śmiało stawali w szranki, walcząc o prym z jego sztuką. Takim współzawodnikiem Belliniego był *Vitore Carpaccio*, którego talent waży na ciężki kamień. Mało znamy żywot jego, wiemy tylko, że w r. 1522 już był starcem siedmdziesięcioletnim, i że wiele z jego najznakomitszych dzieł, będących ozdobą kosztowną pałacu dożów, razem z nim spłonęło w r. 1576. Lecz i te prace jego, które spadły na nasze czasy, są oczywistym dowodem wielce świetnego talentu. W akademii bacność naszą zwraca przedewszystkiem obraz jego, przedstawiający również cud krzyża świętego. Na jednej z wodnych ulic Wenecyi widzisz bez liczby tłumne figury; to z blizka, to z dala, to na bruku, to na galeryach, na moście ruszają się cizbą senatory, dygnitarze i pospólstwo weneckie, a uwija się liczne stado gondoli, co jeszcze staroświeckim krojem pod namiotkiem otwartym niosą jakiego poważnego sensata; a wszędzie pełno tych gondoli — jedne są tuż przy nas na przedniem tle, inne troszkę dalej, inne znowu przesuwają się w ostatniej głębi obrazu. Dziwnie też zgrabnie Carpaccio umiał połączyć sceny i postawy, wzięte z życia powszedniego, z jakąś uroczystą niedzielną powagą. A grupowanie jego wielce umiejętne; z razu widzisz jakby lik nieprzebrany figur, lecz wnet gdzieś znika ten pozorny chaotyczny, bałamutny nieład; bo rozdziela się z łatwością na grupy pojedyncze, pomniejszych, które, razem wzięte, znowu zrastają się w wielką organiczną jedność. A otoczenie całe odpowiada też tutaj ruchawości i życiu tych figur; te domy, to istne domy stariej Wenecyi, jaką ona była temu trzysta lat z górą. Budowanie najczęściej romańskiego stylu; niektóre okna a nawet takie, które są po wyższych piętrach, zawarowane w kraty żelazne; a nad domami, nad dachami wzlatają kominy kieliszkowate, podobne do tych, które dziś jeszcze tutaj widzimy; przecież te na obrazie jeszcze fantastyczniejsze; jakieś one kręte a ubrane we floresy, liście i inne awanturki, przypominają w ogóle minarety wschodnich meczetów.

Istotnie, patrząc na płodną, niewyczerpaną fantazyę, z jaką Carpaccio stwarza te przeróżne figury, te fizyognomie, te charaktery, a mianowicie bacząc na to jego zdrowie, bystre pochwycenie natury i rzeczywistości, już bez sporu wierzymy, że nasz malarz był ulubieńcem weneckiego ludu; wierzymy chętnie, że ten lud z serdecznem zajęciem wpatrywał się w każdą jego malowaną pracę, ciesząc się, że się znalazł przecie taki mistrz, co go tak na wylot zrozumiał

i podpatrzeć zdołał wszystkie jego uczucia. Ztąd też zapewne słuszne jest zdanie, prawie ogólnie przyjęte, że Carpaccio miał prawdę w sercu.

Nie przeczymy, że on może był pierwszym historycznym malarzem weneckim, że jego historyczne obrazy mają jakiś charakter ni-  
by powieściarski, że one, zamiast być malowaną epopeją, kroją raczej na *genre*, na obraz obyczajowy; temu wszystkiemu bym się nie sprzeciwiał, ale przystać bezwarunkowo nie mogę na to, jakoby ten jego tryb obchodzenia się z obrazami historycznymi nadał z góry kierunek całemu dziejowemu malarstwu w Wenecyi, i jakoby ten wpływ Carpaccia stał się już tak stanowczym, że nawet wielcy mistrze, po nim idący, nie zdołali się uwolnić od tego kierunku malarstwa przez niego nadanego; ztąd są, co twierdzą, że właśnie z tego powodu znajdujemy w obrazach ich historycznych cechy obyczajowego malarstwa. Może znajdziemy jeszcze zręczność zastanowić się czyli ten brak ścisłego rozróżnienia istoty malarstwa historycznego od obyczajowego, który spotykamy w późniejszych malarzach weneckich, zrodził się z przykładu danego przez Carpaccio, czyli też rzeczony brak tkwił głębiej, bo w samem nawet usposobieniu Wenecyi.

Mile mi było wielce porównanie powyższej historycznej pracy tego mistrza z innym jego obrazem treści religijnej, a będącym również własnością tej kosztownej galeryi. Widzimy tu rodziców Bożej Matki: Ś-go Joachima i Ś-tą Annę, obejmujących się rzewnem uscismieniem; bo już jest na spełnieniu prorocstwo, jako że świętej matrony narodzić się ma światu przezzysta Dziewica, ponad wszystkie niewiasty od Boga ukochana, wybrana. Obok tej świętej pary, lecz jakby w odosobnieniu, stanął po jednej stronie Ludwik Ś-ty król francuzki, a po drugiej Urszula Ś-ta. Obie postaci wielce znaczące i pewnie w szczęśliwej chwili artystycznego widzenia poczęte. Po-za figurami, jakby na średniem tle, wznoszą się domy mieszkalne w bardzo szlachetnym stylu skomponowane, bo w takich architektonicznych otoczeniach Carpaccio był mistrzem. Przecież na tymże samym obrazie mamy dowód, że on również celował w pejzażach; bo w głębi jego roztacza się prześliczny widok natury: z razu drzewa, dalej jakieś miasto, a na ostatniem tle rysują się zlekka góry błękitne. I w całym tém dziele widzimy wiele prawdy, żyjącej nietylko w rysunku figur, lecz nawet w ubraniu ich; jak np. szaty króla Ludwika pokazują nielada studia historyczne. A architektura i widoki kraju wielce mile pojęte i dzielnie wykonane; zwłaszcza ta jego wdzięczna natura jest istną malowaną sielanką. Choć koloryt świę-  
ży, soczysty i pełny jawnie dowodzi, że ten obraz jest dziełem weneckiej szkoły, nie wiem atoli czylibym się poważył potakiwać zdaniu tych, którzy twierdzą, jakoby ten obraz można brać za robotę Gianbellina, gdyby Carpaccio nie był go oznaczył swoim imieniem!

Może właśnie co do kolorytu więcęj się do G. Belliniego zbliża



*Marco Basaiti*, co równie, jak *Carpaccio*, chciał pójść z owym wielkim mistrzem o lepsze (um. także w pierwszej ćwierci XVI-go stulecia). Jeden z jego obrazów osobiwie zwrócił moją uwagę, bo jakoś przypomina nasz ukochany grojec krakowski, wyrzeźbiony mistrzowską ręką *Wita Stwosza*. *Basaiti* skomponował niby obraz w obrazie: arkada krągła na filarach graniastych, przed nią posadzka marmurowa, na której po dwóch stronach stało dwóch świętych modlących się zakonników. Przez arkady, jakby przez ramy, widać grojec — skała niewielka, na niej drzewa z liścia obrane, pod którymi kłęczą Pan Jezus —, pod skałą trzech z jego uczniów złożonych snem, w oddaleniu na górze wieżaste miasto Jerozolima, z kądem kilku siepaczy przybiega stromą ścieżką. To wszystko tak naiwnie pojęte, tak pełne prostoty, a przecież telnie żywą a swobodną fantazyą. Trudno nie uśmiechnąć się, patrząc jako *Basaiti* skomponował sobie tych tak smacznie śpiących uczniów. W nich nie ma idealnej piękności, za to jednak jakaś uczciwość, jakieś niewymuszenie i prostota, jak gdyby w świętej powieści dziatwie opowiadanej.

Może nie bez krzywdy czytelnika i mojej własnej tak rychle odbyłem tak znakomitego malarza, jakim jest *Basaiti*; lecz gdybym się z artystami jego miary dluzej zabawiał, cózby mi pozostało już dla wielkich artystów, co nam się pojawić mają w następującej epoce; a nadto myślę, że dość już na dziś tej galeryi obrazów. Patrzeć się długie na dzieła sztuki upaja, odurza i nęka. Wszak com dotychczas prawil czytelnikom moim jest owocem nie jednych odwiedzin uczynionych w tej akademii; widziałem ją za wielu nawrotami.

Gdy tedy sam, dla własnej dogody, rozdzieliłem sobie na wiele dni ten przegląd sztuki weneckiej, słusznie abym i ja był również wyrozumiałym dla czytelników moich i zachował się na inny dzień z dalszym ciągiem tej podróży po akademii. Czytelnik, odpocząwszy sobie i wydobrząwszy z utrudzenia, z świeższym umysłem raczy mi towarzyszyć, gdy się obaczmy w obec najwyższych dzieł arcymistrzów Wenecyi. A rozpoczniemy od nowej epoki malowania weneckiego, więc od tych mistrzów, co, lubo byli także uczniami *Gianbellina*, przecież samowładztwem swojego geniuszu roztworzyli na oścież bramy do nowej, najświetniejszej epoki sztuki.

## TREŚĆ TOMU PIERWSZEGO

### PODRÓŻY DO WŁOCH.

**Przedmowa.** — Str. VII.

**Odjazd z Krakowa.** Głosy dzwonów krakowskich i wspomnienia młodości. — Jaki cel tej podróży. — Str. 13.

**Szczakowa.** — Str. 27.

**Mysłówice.** Przypadek na kolei. — Str. 29.

**Raciborz.** Dzisiejszy styl w budowaniu. — Utylitarność a estetyczność lasów. — Wspomnienie o dawnych Piastach szlązkich. — Henryk IV Wrocławski oblega Raciborz. — Henryk godzi się z biskupem Tomaszem. — Henryk V i Pakosław. — Tryumfy cywilizacji. — Str. 31.

**Wiedeń.** Mozaika z Wieczery Pańskiej Leonarda da Vinci. — Strauss I-szy i Strauss II-gi. — Wpływ takiej muzyki na młode umysły. — Jaki cel w uczeniu młodzieży muzyki? — Muzyka jest sztuką najwięcej odpowiednią duchowi chrześcijańskich ludów. — Znaczenie prawdziwe dla nas tej sztuki. — Muzyka jest ważnym pierwiastkiem domowego obyczaju i wychowania. — Powołanie matek a społeczność dzisiejsza. — Śpiewy religijne i muzyka domowa. — Str. 40.

**Z Wiednia do Tryestu.** Przeprowa przez Semering. — Droga z Mürzschlag. — Widoki na naturę styryjską. — Natura uczy jak malować widoki kraju. — Zmiana oświecenia zmienia barwy. — Harmonia w pejzażu malowanym. — Korzyść z patrzenia na naturę przez szkła różnobarwne. — Główna cecha prawdziwie artystycznie wykonanego krajobrazu. — Wzmianka o perspektywie powietrznej. — Rozsypiska starych zamków po górach styryjskich. — Średnie wieki a czas dzisiejszy. — O felonach przeszłości. — Poezya i proza. — Powieść styryjska. — Sto-



sunek fantazyi gminnej do poezyi artystycznej. — Zkąd poszła głuchota prawdziwa klasycznej tragedyi francuzkiej. — Wrzeczome a prawdziwe geniusze, talenta. — Jak wzajemnie zachowują się do siebie zdarzenia rzeczywiste, poezya ludowa, i dzieło artystyczne. — Powieść o słowiańskiej Ines de Castro. — Agnieszka Bernauerin. — Marya Malczewskiego. — Bracia de Reichenburg. — Str. 53.

**Lublana.** Unikajmy ostateczności. — Str. 92.

**Kras.** Opisanie tych pustkowiów natury. — Negacya w naturze i negacya w sercu człowieka i w poezyi. — Str. 96.

**Obczyna.** Morze. — Str. 100.

**Tryest.** Jego dworki i pałacyki wiejskie. — Locanda Grande. — Pokój Nr 10 i sala jadalna. — Morderstwo wykonane na Winkelmanie. — Charakterystyka Winkelmana. — Nastroj jego duszy odpowiedni starożytnemu klasycznemu światu. — Młodość Winkelmana. — Czasy starożytnej klasyczności a czasy nowożytne. — Winkelman i Göthe. — Geniusz bakałarzem w szkółce elementarnej. — Winkelman przechodzi do wiary katolickiej. — August III, król polski, elektor saski wysyła swoim kosztem Winkelmana do Rzymu. — Pobyt Winkelmana w tej stolicy świata. — Jego prace i zaszczyty. — Odwiedza Niemcy, jego przeczucia o grożącym nieszczęściu. — Winkelman w Tryeście poznaje się z mordercą swoim. — Dokonanie morderstwa. — Słowa Göthego o Winkelmanie. — „O sztuce u dawnych czyli Winkelman polski“ przez Stanisława Potockiego. — Braciszek Siekierka. — Str. 102.

**Wenecya.** Czarodziejstwo pierwszego widoku Wenecyi. — Piazzeta widziana ze statku parowego. — Biblioteka Św. Marka jest dziełem Jakóba Sansovina a najcudniejszym przykładem późniejszego renesansu. — Opisanie tej budowy. — Z drugiej strony Piazzetty. — Pałac dożów jest gotycyzmem weneckim, bo ochuchany tehem fantastyczności wschodniej. — Opisanie jego. — Jego architekt Filippio Calendario powieszony. — Wjazd do Wenecyi, tylna strona pałacu dożów i most westchnień. — Table d'hôte w Wenecyi, p. cirerone Bulgari. — Str. 131.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Plac Św. Marka. — On cały jest dziełem sztuki. — Fabrica Nuova już późnym renesansem. — Charakterystyka stylów innych dzieł architektonicznych na tym placu Św. Marka. — Przelot dziejów weneckich. — Cechy tego ludu i jego upadek. — Duchowe ideały Wenecyi usymbolizowane architekturą na placu Św. Marka. — Kościół Św. Marka. — Pala d'oro. — Ona jest modlitwą z drogich kamieni. — Słowo o głębszym znaczeniu bizantyńskiego malowania. — Trzy maszty przed kościołem Św. Marka. — Podnóża masztów dzieło Aleksandra Leopardi, jako przykład stylu de-

koracyjnego w epoce renesansu. — Kara za zniewagę zabytków historycznych. — Str. 145.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Plac Św. Marka wieczorem. — Str. 169.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Pierwsze zetknięcie się z gondolierami. — Wyprawa na Canal Grande. — Wspomnienia Napoleona I. — Pani Sand. — Rada nieśmiała dana mistrzom i poetom, zwłaszcza niektórym powieściarzom. — Dogana di Mare jako dzieło barokizmu. — O jednej z zalet tego stylu. — S. Maria della Salute, jako drugi przykład tegoż lubo jeszcze niespełna rozwiniętego stylu. — Niechybna pokuta artysty, gdy, mizdrząc się do smaku współczesnych, staje się niewiernym sztuce prawdziwej. — Stosunek sztuki pięknej do natury i do całej rzeczywistości (w przypisku). — Czasy rycerskie i gotycko-arabski pałac *Giustiniani*, co dziś oberżą. — Pałac Cornaro. — Władysław IV na balu w pałacu Cornaro. — Magia widoków na Canal Grande. — Powód upadku dawnych rodzin Wenecyi. — Pałac Balbi i uroczystości wyprawiane niegdys na uczczenie Władysława IV. — Bajeczki arabskie i pałac Foscari. — Fantazya romantyczna średnich wieków krewni się z fantastycznością Wschodu. — Kilka słów o właściwości gotycyzmu pałaców weneckich, różniącej go od stylu prawdziwie gotyckiego. — Ogólna modła tych pałaców (w przypisku). — Opisanie pałacu Foscari. — Wspomnienia dziejowe pałacu Foscari. — Źródło wszelkiej tragiczności w ułomkowej istocie człowieka. — Cecha ogólna prawdziwej tragiczności. — Doża Foscari i syn jego. — Henryk Walezyusz mieszka w pałacu Foscari. — Pałac Mocenigo i lord Byron. — Zkąd się tak często lęgną sprzeczności w duszy znakomitego człowieka? — Jego saska elektorowiczowska mość, późniejszy August II, król polski a pani senatorowa Mocenigo. — Pałac Pisani i jego architektura. — Obraz Pawła Caliari. — Lekkie, bo tymczasowe wspomnienie o cechach malarstwa weneckiego. — Poezja dziejów i natury w Wenecyi. — Pałac Grimani (poczta). — Listy z kraju — wspomnienia o Franciszku Szopowiczu. — Architektura pałacu Grimani. — Zbudowany na palach hebanowych. — Władysław (IV) król polski w pałacu Grimani. — Ponte Rialto. — Morskie ryby, morskie sny. — Casa Doro. — Ona istną wysłannicą orientalnej fantazyi. — Opis architektoniczny tego pałacu. — Ta szczęsna uśmiechająca się fantastyczność bywa i złowrogiem marzeniem. — Właścicielką Casa Doro jest pani Taglioni. — Znaczenie tańca jako prawdziwej sztuki pięknej. — Architektura wenecka wymaga właściwej sobie miejscowości. — Pałac Vendramin-Calergi. — Rodzina Lombardo rodziną artystów. — Facyata tego pałacu stawianego w roku 1481 jawnie świadczy o istocie wczesnego renesansu. — Kwiaty i sąsiad ich morze. — Księżna Berry



dzis właścicielką pałacu Vendramin. — Smutne koleje jej życia. — Wspomnienie processyi około Luwru na Boże Ciało w roku 1830. — Dalsze losy księżnej. — O niektórych obrazach znajdujących się w pałacu. — Obraz męczeństwa Św. Piotra p. L. Giordano a salon wesoły. — Obraz Katona przez Spagnoletto. — Szpetność, komiczność a śmieszność o ścianę z sobą graniczą. — Bianca Capello malowana przez Tinelli. — Walka zawistna mściwej natury z dziełami człowieka. — Fondaco dei Turchi i styl romański. — Kościół degli Scalzi. — Jak to czasem długie życie artysty szkodzi jego sławie. — Św. Łucya i Św. Klara; — koniec kanału Grande. — Str. 177.

**Wenecya** (dalszy ciąg). Bez wroźby duchowej o opatrznej miłości nie zrozumiemy ani natury, ani historyi, ani sztuki. — Myśl główna, która nas wiedzie w tym opisie pomników italskich. — Str. 268.

**Wenecya.** Różne tryby zgadywania przeszłości. — Wroźbitą zapadłej sztuki stariej był Andrzej Palladio. — Tymczasowa charakterystyka jego geniuszu. — Accademia delle belle arti. — Przegląd tej galeryi obrazów wedle epok po sobie następujących. — Bizantyńskie obrazy. — Charakterystyka ich. — Mistrze stariej weneckiej szkoły. — Malarze z wyspy Murano. — Wspomnienie sztuki starogreckiej; zrodzenia i śmierć greckich bogów na Olimpie. — Tryumfy odniesione nad naturą. — Jan Bellini pierwioskiem weneckiego malarstwa. — Różnica obrazu malowanego a martwego opisu. — Szkoła wenecka trzecim pierwiastkiem dopełniającym szkołę florencką i padewską. — Szkoła padewska. — O ludziach co rano wstają w dziejach; Franciszek Squarzone. — Przerósł go uczeń jego Andrzej Mantegna. — B. Mantegna. — Charakterystyka szkoły padewskiej. — Wenecka szkoła odgadła barw tajemnice. — Jan Bellini i Antonello da Messina; — figiel podstępny malarza. — Figiel choć nie bardzo skrupulatny, przecie lepszy niż zbrodnia. — Historya o Andrzeju del Castagno i Dominiku Veneziano. — Morderstwo z powodu tajemnicy farb olejnych. — Rodzina Bellinich. — Niektóre z dzieł Jana Belliniego. — Przykład kompozycyi. — Kupcząca Ameryka obiera Europę z dzieł jej mistrzów. — Gentile Bellini. — Bisurman i malarz. — Rzecz o innych malarzach weneckich tej epoki. — Str. 271.



nr. 474